

Koncert nieskończoności

Bear Greg



calibre 0.9.43

GREG BEAR

Koncert nieskończoności

Przełożył JACEK MANICKI - 1991

Tytuł oryginału **The Infinity Concerto - 1984**

Gdyby tak człowiek mógł przejść we śnie przez Raj i gdyby podarowano mu kwiat na dowód, że jego dusza

naprawdę tam była, i gdyby obudził się z tym kwiatem w ręku - Oj i co wtedy?

Jaką to pieśń śpiewały syreny. Starożytna zagadka

Rozdział pierwszy

Czyś gotów?

- Co? - Michael Perrin drgnął przez sen. Jego łóżko otaczała nieokreślona liczba wysokich, białych postaci

zlewających się ze ścianami, z szafką na ubrania, z półkami na książki i sztalugami. Nie sprawia zbyt imponującego wrażenia.

Michael przekręcił się na drugi bok i potarł dłonią nos. Jego krótkie włosy koloru piasku zmierzwiły się o poduszkę.

Zmarszczył grube, krzaczaste, rude brwi, jakby trochę poirytowany, ale nie otworzył oczu.

Wejrzyj głębiej. Kilka postaci pochyliło się nad chłopcem. To tylko człowiek-dziecko.

A jednak nosi zamię.

Cóż to za zamię? Trwonienie na prawo i lewo swych zdolności zamiast skoncentrowania się na jednym?

Niemożność zdecydowania się, kim chciałby zostać? Widmowe ramię zatoczyło łuk wskazując na sztalugi i półki

pełne książek, na biurko zavalone zeszytami w postrzępionych okładkach, pogryzionymi ołówkami i

kartkami.

A jednak. To jest zamię albo jeden z...

Z odrażającym brzęczeniem ożył budzik Michaela. Chłopiec jak pchnięty sprężyną usiadł na łóżku waląc

automatycznie otwartą dłoń w wyłącznik dzwonka z nadzieją, że nie usłyszeli go rodzice. Półprzytomny, spojrzał

na jarzące się zielenią cyfry; trzydzieści minut po północy. Sprawdził godzinę na zegarku ręcznym. Cholera. Budzik spóźniał się o osiem minut. Ma tylko dwadzieścia dwie minuty.

Wyskakując z łóżka kopnął bosą stopą leżący na podłodze zbiorek poezji Yeatsa; książka przeleciała przez pokój i zatrzymało się na ścianie. Zaklął pod nosem i poszukał po omacku spodni. Jedyne źródłem światła, jakiego

odważył się użyć, była tensorowa lampa biurowa. Odsunął na bok walizkową maszynę do pisania, żeby

skoncentrowany snop światła mógł się rozlać nieco szerzej, i strącił na podłogę stos książek. Schylając się, żeby je podnieść, wyrznął głową o kant biurka.

Zaciskając zęby z bólu porwał spodnie z oparcia krzesła i naciągnął je. Jedna noga przeszła przez nogawkę, a druga utknęła w pół drogi. Michael stracił równowagę i ratując się przed upadkiem oparł się o ścianę.

Jego palce musnęły oprawną w ramkę reprodukcję wiszącą trochę krzywo względem linii i kwiatów tapety. Zerknął

na obrazek: wizja Saturna oglądanego z jednego z bliższych mu księżyców, namalowana przez Bonestella. Krew

uderzyła mu do głowy.

Przez usiany kraterami księżycowy krajobraz na reprodukcji wędrowała wysoka, smukła postać. Zamrugnął oczyma.

Postać odwróciła się i popatrzyła nań jakby z jakiejś znacznej odległości, a potem machnięciem ręki dała znak, żeby szedł za nią. Zacisnął mocno powieki i kiedy ponownie je otworzył, na obrazku nikogo już nie było. O rany - szepnął

do siebie - nawet się jeszcze na dobre nie rozbudziłem.

Zapiął pasek i wciągnął przez głowę swoją ulubioną brązową koszulkę z krótkimi rękawkami i z wycięciem w serek.

Skarpetki, szare cichobiegi i brązowa nylonowa wiatrówka dopełniły stroju. Ale zapomniał o czymś.

Stał pośrodku pokoju, usiłując sobie przypomnieć, co to było, kiedy jego wzrok padł na małą książeczkę oprawną w połyskliwą czarną skórę. Pochwycił ją i wepchnąwszy w kieszeń kurtki

zasunął zamek błyskawiczny. Sprawdził, czy ma kartkę w kieszeni spodni, i znalazłszy ją równo złożoną obok futerału z kluczem zerknął ponownie na zegarek.

Dwunasta czterdzieści pięć.

Miał jeszcze piętnaście minut.

Zszedł ostrożnie po schodach trzymając się blisko ściany, bo tam najmniej skrzypiały, i podbiegł na palcach do drzwi frontowych. W salonie było ciemno, nie licząc zegara w magnetowidzie. Pokazywał dwunastą czterdzieści

siedem.

Szybko otworzył drzwi, zamknął je cicho za sobą i puścił się pędem przez trawnik. Latarnie uliczne w sąsiedztwie przerobiono na lampy sodowe, zalewające teraz trawę i chodnik soczystą pomarańczową poświatą. Przed Michaeliem maszerował jego cień wydłużając się do niebywałych rozmiarów, póki nie znikł w blasku następnej lampy.

Pomarańczowy kolor podkreślał granat nocnego nieba, przyćmiewając gwiazdy.

Cztery przecznice dalej w kierunku południowym kończyły się lampy sodowe i zaczynały tradycyjne latarnie uliczne na betonowych słupach. Ojciec mówił, że te latarnie zainstalowano w latach dwudziestych i że są bezcenne. Były już tutaj, kiedy budowano pierwsze domy w okolicy; stały wtedy przy bitym wiejskim gościńcu, którym przejeżdżały

gwiazdy filmowe i kolejowi magnaci szukający ucieczki od całego tego zgiełku.

Domy prezentowały się w nocy okazale. Przeważały te w hiszpańskim stylu, tynkowane na biało i zdobione

sztukaterią; niektóre miały po dwa piętra i ogrodzony podjazd. Inne były drewniane, kryte popękany gontem, z oknami w wąskich ramach patrzącymi ponuro z mansard.

We wszystkich domach było ciemno. Łatwo było sobie wyobrazić, że ulica jest dekoracją do jakiegoś filmu, a za ścianami nie ma nic, tylko pustka i świerszcze.

Dwunasta pięćdziesiąt osiem. Przeciął ostatnie skrzyżowanie i ruszył na spotkanie przeznaczeniu. Cztery domy

dalej, po przeciwnej stronie ulicy wznosiła się otynkowana na biało jednopiętrowa posiadłość Davida Clarkhama.

Mimo że od z górą czterdziestu lat nikt tu nie mieszkał, należące do niej trawniki były starannie wypielęgnowane, żywopłoty pieczołowicie przystrzyżone, ściany bez skazy, a na belkach z hiszpańskiego drewna nie znać było

upływu czasu. Zaciągnięte szczelnie zasłony w wysokich, łukowato sklepionych oknach kryły tylko

pustkę a

przynajmniej takie było realistyczne założenie. Jednak to nie realizm go tutaj sprowadził.

Równie dobrze dom mógł być wypełniony wszelkiego rodzaju rzeczami... nieprawdopodobnymi, niemiłymi

rzeczami.

Stał pod uliczną latarnią rzucającą księżycowy blask, skryty do połowy w cieniu wysokiego klonu o brązowych

liściach, składając i rozkładając spoconą dłonią karteczkę spoczywającą w kieszeni spodni.

Pierwsza w nocy. Nie był odpowiednio ubrany do szukania przygód. Miał instrukcję, książkę i skórzany futerał

z jednym starym mosiężnym kluczem; brak mu było tylko przekonania.

To była głupia decyzja. Świat jest normalny; takie okazje nie nadarzają się same. Wyciągnął karteczkę i przeczytał ją po raz setny:

Otwórz tym kluczem drzwi frontowe. Nie ociągaj się. Przejdź szybko przez dom, wyjdź tylnymi drzwiami i poprzez boczną furtkę skieruj się do drzwi frontowych sąsiedniego domu po lewej, patrząc na domy od strony ulicy. Drzwi tego domu będą otwarte. Wejdź do środka. Nie przystawaj, aby się rozejrzeć. Zdecydowanie, szybko przejdź na tyły domu, wyjdź znowu tylnymi drzwiami i przecinając znajdujące się tam podwórko podejdź do kutej żelaznej bramy.

Wyjdź przez bramę i skręć w lewo. Idąc alejką biegnącą za domem mijając będziesz wiele bram po obu jej stronach.

Wejdź do szóstej bramy po twojej lewej ręce.

Złożył karteczkę i wsunął ją z powrotem do kieszeni. Co pomyśleliby sobie rodzice widząc go tutaj, jak rozważa kwestię włamania i wejścia do obcego domu - a co najmniej samego wejścia bez włamywania się?

Nadchodzi kiedyś taka chwila - powiedział raz Arno Waltiri - kiedy trzeba skończyć z oglądaniem się na rodziców i słuchaniem starszych; kiedy trzeba na jakiś czas zapomnieć o ostrożności i pójść za głosem instynktu. Krótco

mówiąc, kiedy trzeba zdać się tylko na siebie...

Rodzice Michaela wydawali przyjęcia słynne w całym mieście. W czerwcu, na jednym z takich przyjęć, Michael

poznał starszego już kompozytora nazwiskiem Waltiri oraz jego żonę Goldę. Było to przyjęcie

urządzone z okazji zrównania dnia z nocą (Spóźniona wyjaśniała matka bo wszystko robimy po czasie). Ojciec Michaela był stolarzem artystycznym słynącym z wyrobu wspaniałych mebli; miał liczną klientelę wywodzącą się spośród bogatych

znakomitości Los Angeles, a Waltiri zlecił mu wykonanie nowego stołka do swojego pięćdziesięcioletniego for-

tepianu.

Michael pozostawał na dole przez pierwszą godzinę przyjęcia, snując się wśród tłumu gości i pociągając piwo z butelki. Słuchał przez chwilę brodatego, siwowłosego kapitana liniowca oceanicznego, opowiadającego młodej

aktoreczce swoje niebezpieczne przeżycia z czasów drugiej wojny światowej „w konwoju na Zachodnim Oceanie”.

Michael po równo dzielił między tych dwoje swoją uwagę; zaczął szybciej oddychać: kobieta była tak piękna, a

morzem i okrętami zawsze się interesował. Kiedy kapitan otoczył kobietę ramieniem i przestał snuć morskie

opowieści, Michael się oddalił. Przysiadł w rozkładanym fotelu, w pobliżu hałaśliwej grupki przedstawicieli prasy.

Dziennikarze działali Michaelowi na nerwy. Zwalali się tabunami na przyjęcia rodziców. Zachowywali się

zuchwale, dużo pili, szpanowali, a więcej gadali o polityce niż o pisaniu. Gdy ich konwersacja schodziła na grunt literatury (a zdarzało się to rzadko), odnosiło się wrażenie, że czytają tylko Raymonda Chandlera, Ernesta

Hemingwaya albo F. Scotta Fitzgeralda. Michael usiłował wtrącić parę słów o poezji, ale konwersacja zawisła w martwym punkcie, więc ruszył w dalszy obchód.

Resztę gości stanowili członek rady i jego świta, paru biznesmenów oraz sąsiedzi, a więc Michael nałożył sobie na talerz rezerwowego zapas przystawek i wycofał się z nim na górę, do swojego pokoju.

Zamknął za sobą drzwi, włączył telewizor, usiadł przy swym małym biurku z którego nie wiadomo kiedy wyrósł i

wyciągnął z górnej szuflady plik kartek z wierszami.

Poprzez drzwi dolatywało z dołu ciche dudnienie muzyki. Tańczyli.

Wyszukał wiersz, który napisał tego ranka, i przeczytał go marszcząc z niezadowoleniem czoło. Była to jeszcze jedna z długiej serii słabych imitacji Yeatsa. Usiłował wtłoczyć doświadczenie ucznia

klasy maturalnej w

romantyczne strofy i jakoś to nie brzmiało.

Niezadowolony, schował wiersze z powrotem do szuflady i zaczął przełączać kanały telewizora, dopóki nie natrafił

na stary film z Humphreym Bogartem. Widział go już kiedyś; Bogart miał romans z Barbarą Stanwyck.

Kontakty Michaela z kobietami ograniczały się do podrzucania miłosnych poematów w szafce pewnej dziewczyny.

Przyłapała go kiedyś na gorącym uczynku i wyśmiała.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. - Michael? - To był ojciec.

- Tak?

Przyjmujesz gości?

- Oczywiście. - Otworzył drzwi. Pierwszy wszedł ojciec, trochę wstawiony, i skinął na starszego, siwowłosego

mężczyznę, zapraszając go do środka.

- Mike, to Arno Waltiri, kompozytor. Arno, to mój syn, poeta.

Waltiri uroczyście potrzęsnał ręką Michaela. Nos miał cienki i prosty, a wargi pełne i młodzieńcze. Jego uścisk był

silny, ale nie bolesny. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy? - Miał trudny do określenia, środkowoeuropejski akcent, zatarty trochę przez lata spędzone w Kalifornii.

Ależ skąd - powiedział Michael. Czuł się trochę zakłopotany; jego dziadkowie umarli, zanim przyszedł na świat, i nie był przyzwyczajony do obcowania ze starszymi ludźmi.

Waltiri przyglądał się z zainteresowaniem reprodukcjom i plakatom porozwieszanym po ścianach. Zatrzymał się

przed reprodukcją Saturna, zerknął na Michaela i pokiwał głową. Przeszedł do oprawionej w ramki okładki jakiegoś magazynu przedstawiającej insektopodobne stworzenia tańczące na plaży w pobliżu omywanych falami skał i

uśmiechnął się. - Max Ernst powiedział. Jego głos dudnił cicho. - Najwyraźniej lubisz odwiedzać dziwne miejsca.

Michael wybąkał coś o tym, że tak naprawdę to nigdy nie był w żadnym dziwnym miejscu.

- Pragnie zostać poetą - wtrącił ojciec wskazując na pełne książek półki pod ścianami. - Chomik. Trzyma tu

wszystko, co przeczytał.

Waltiri spojrział krytycznym okiem na ekran telewizora. Bogam uparcie wyjaśniał Barbarze Stanwyck jakąś

delikatną sprawę. Skomponowałem do tego oprawę muzyczną mruknął.

Michael ożywił się natychmiast. Nie miał zbyt dużo pieniędzy na płyty (większość swojego stypendium i zarobków z wakacji wydawał na książki); te pięć płyt, jakie posiadał, to album Bee Geesów, podwójna płyta koncertowa Ricky Lee Jonesa oraz albumy ze ścieżkami dźwiękowymi oryginalnego King Konga,

Gwiezdných wojen i Obywatela Kane. - Naprawdę? Kiedy to było?

W 1940 - odparł Waltiri. - Tak dawno temu, a wydaje się, jakby to było wczoraj. Nim przestałem się tym zajmować, napisałem muzykę do ponad dwustu filmów. - Waltiri westchnął i zwrócił się do ojca Michaela. - Twój syn ma

bardzo szerokie zainteresowania.

Michael zauważył, że dłonie Waltiriego są silne, o szerokich palcach, a jego ubranie dobrze dopasowane i proste w kroju. Jego ciemnoszare oczy wyglądały bardzo młodo. Chyba najniezwyklejsze były jednak zęby koloru jakby

szarej kości słoniowej.

Ruth wolałaby, żeby studiował prawo - powiedział ojciec uśmiechając się. Słyszałem, że poeci nie zbijają kokosów.

Ale lepsze już to niż marzenia o karierze gwiazdy rocka.

Waltiri wzruszył ramionami. - Gwiazdzie rocka nieźle się powodzi. - Położył dłoń na ramieniu Michaela. Michael nie znosił takich poufałości, ale tym razem nie zwrócił na to uwagi. Lubię ludzi niepraktycznych, ludzi, którzy chcą liczyć tylko na siebie samych. Ja też, wybierając zawód kompozytora, nie kierowałem się względami praktycznymi.

- Nie odrywając wzroku od ekranu usiadł na krześle przy biurku Michaela i wsparł się dłońmi o kolana wystawiając łokcie na zewnątrz. - Tak trudno w ogóle doprowadzić do wykonania czegokolwiek, nie mówiąc już o dobrej

orkiestrze. Przeniosłem się więc w ślad za moim przyjacielem Steinerem do Kalifornii...

Znał pan Maxa Steinera?

- Znałem. Musisz kiedyś odwiedzić mnie i moją żonę w naszym domu i może posłuchać tych starych kawałków. - W

tym momencie, do pokoju weszła żona Waltiriego, szczupła, złotowłosa kobieta, o kilka lat od niego młodsza.

Michael pomyślał, że jest w niej wyraźne podobieństwo do Glorii Swanson, ale bez tego dzikiego spojrzenia, jakie miała Swanson w Bulwarze Zachodzącego Słońca. Polubił Goldę od pierwszego wejrzenia.

Tak więc wszystko zaczęło się od muzyki. Kiedy ojciec odwoził stołek do fortepianu, Michael zabrał się razem z nim. W drzwiach przywitała ich Golda i w dziesięć minut później Arno oprowadzał ich już po parterze

dwupiętrowego bungalowu. Arno uwielbia mówić - szepnęła Golda do Michaela, gdy zbliżali się do pokoju

muzycznego na tyłach domu. Jeśli ty uwielbiasz słuchać, to przypadniecie sobie do gustu.

Waltiri otworzył kluczem drzwi i przepuścił ich przodem. Ostatnio niezbyt często tu wchodzi - powiedział. - Golda nawet nie ściera tu kurzu. Dużo teraz czytam, grywam od czasu do czasu na pianinie, które stoi w pokoju

frontowym, ale nie muszę słuchać. Poklepał się po głowie. - Wszystko jest tutaj, co do nutki.

Wzdłuż trzech ścian pokoju ciągnęły się półki z płytami. Waltiri ściągnął z góry wielkie lakierowane matryce

gramofonowe z muzyką do kilku jego pierwszych filmów, potem zwrócił uwagę na postęp techniczny, który

pozwoił firmom fonograficznym wypuszczać mniejsze płyty przeznaczone do odtwarzania z szybkością

siedemdziesięciu ośmiu obrotów na minutę, i na koniec zaprezentował znaną Michaelowi postać długogrającą.

Utwory skomponowane w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zarejestrowane miał na taśmach skrupulatnie

opisanych i umieszczonych w stojących na półkach czarnobiałych i kraciastych pudełkach. To moja ostatnia ścieżka dźwiękowa - powiedział ściągając z półki największe pudełko na taśmy. - Półcalowa, stereofoniczna, ośmiośladowa taśma matka. Dla Williama Wylera, znasz go. Poprosił mnie w 1963, żebym napisał muzykę do Nazwij to Snem. Nie jest to moje największe osiągnięcie, ale na pewno mój ulubiony film.

Michael przesunął palcem po spisie treści pudełka z taśmą. Niech pan spojrzysz Panie Waltiri...

Mów mi Arno, proszę. Tylko producenci zwracają się do mnie per „panie Waltiri”.

- Robiłeś muzykę dla Bogarta do Człowieka, który chciał być królem!

- Robiłem. Właściwie dla Johna Hustona. To dobry kawałek. - To mój ulubiony film - powiedział z zachwytem

Michael. Oczy Waltiriego roziskrzyły się. Przez następne dwa miesiące

Michael spędzał większość swojego wolnego czasu w domu Waltiriego słuchając, jak ten gra na fortepianie własne wybrane kompozycje, albo z namaszczeniem odtwarza kruche matryce gramofonowe ze swoimi utworami. To były

cudowne dwa miesiące, stanowiły niemal usprawiedliwienie dla jego miłości do książek, przedkładania samotności i zamykania się w świątku marzeń nad szwendanie się z kolegami...

Teraz Michael stał na ganku domu Clarkhama. Nacisnął klamkę ciężkich drewnianych drzwi; tak jak się spodziewał, były zamknięte. Wyjął klucz z kieszeni spodni. Pora była późna jak na tę starą okolicę. Ulica wyglądała jak

wymarła, nie było nawet słycać przelatujących w oddali samolotów. Odnosiło się wrażenie, że wszystkie dźwięki tłumi jakiś koc.

Przed dwoma miesiącami, w gorący, duszny, sierpniowy dzień Waltiri zaprowadził Michaela na poddasze, żeby

pokazać mu stare dokumenty i pamiątki. Michael nie posiadał się z zachwytem oglądając listy od Clarka Gable,

korespondencję z Maxem Steinerem i Erichem Wolfgangiem Korngoldem, rękopis oratorium Strawińskiego.

- Tu na górze ma się wrażenie, że to znowu lata czterdzieste westchnął Michael. Waltiri spojrzął w dół na smugi światła wpadającego przez ścienny wywietrznik, kładące się na stosach pudeł, i mruknął: - Może to nie tylko

wrażenie. Spojrzął na Michaela. Zejdźmy 'na dół; napijemy się herbaty z lodem. A swoją drogą - dosyć już się

naopowiadałem o sobie. Chciałbym, żebyś teraz ty wyjaśnił mi, dlaczego chcesz zostać poetą.

To nie było proste. Siedząc na ganku i sącząc herbatę ze szklanki Michael potrząsnął głową. - Sam nie wiem. Mama twierdzi, że to dlatego, iż chcę być inny. Ona się śmieje, ale podejrzewam, że naprawdę tak myśli. - Skrzywił się.

Tak jakby moi starzy powinni się przejmować moją innością. Sami nie są taką całkiem normalną parą typową dla

warstwy średniozamożnej. Ona może mieć rację. Ale tu chodzi o coś jeszcze. Kiedy piszę poezję, czuję bardziej namacalnie, że żyję. Życie tutaj sprawia mi przyjemność. Mam paru przyjaciół. Ale... to wszystko wydaje się jakieś niepełne. Staram się bardzo znaleźć ten smak, to bogactwo, ale mi się nie udaje. Musi istnieć coś więcej. - Potarł

dłonią policzek i spojrzał na opadłe kwiaty magnolii zaścielające trawnik. - Niektórzy z moich przyjaciół chodzą po prostu do kina. To ich namiastka magii, ucieczki. Lubię oglądać filmy, ale w nich nie można żyć.

Kompozytor pokiwał głową. Jego ciemnoszare oczy patrzyły gdzieś w dal ponad żywopłotem odgradzającym

podwórko. Uważasz, że jest coś wyżej - albo niżej - niż to, gdzie sięga nasz wzrok, i chcesz to znaleźć.

- No właśnie - przytaknął Michael. - Czy jesteś dobrym poetą?

- Nie bardzo - odparł automatycznie Michael.

- Tylko bez fałszywej skromności. - Waltiri otarł o kolano spodni kropelki rosy zbierające się na szklance.

Michael zastanowił się przez chwilę. - Zamierzam być. - Być czym?

- Zamierzam być dobrym poetą.

- I tak trzeba mówić. Teraz kiedy już to z siebie wydusiłeś, wiedz, że będę cię obserwował. Musisz zostać dobrym poetą. Michael potrząsnął ponuro głową. - Wielkie dzięki!

-- Nie ma za co. Każdy z nas potrzebuje kogoś, kto go będzie obserwował. Dla mnie tym kimś był Gustaw Mahler.

Spotkałem go, kiedy miałem jedenaście lat, i on spytał mnie wtedy mniej więcej o to samo. Byłem młodym pianistą -

cudownym dzieckiem, jak mówiono. „Jak będziesz dobry” spytał wysłuchawszy mego występu. Usiłowałem

wykręcić się .od odpowiedzi zachowując się jak mały chłopiec, ale on spojrzał na mnie tymi swoimi przenikliwymi, czarnymi oczyma i powtórzył pytanie „Jak d o b r y?” Zostałem przyparty do muru, napuszyłem się więc i odparłem

„Będę b a r d z o dobry”. A on uśmiechnął się do mnie! Cóż to było za błogosławieństwo. Ach, cóż za chwila! Znasz Mahlera?

Miał na myśli muzykę Mahlera; Michael jej nie znał.

- Ten smutny Niemiec był moim bogiem. Czcilem go. Zmarł w kilka miesięcy po naszym spotkaniu, ale w jakiś

sposób czułem, że nadal mnie obserwuje, że byłby zawiedziony, gdybym do czegoś nie doszedł.

Na początku września Waltiri jeszcze bardziej otworzył się przed Michaeliem. - Wstydzilem się trochę, kiedy

zaczynałem pisać muzykę do filmów - powiedział pewnego wieczoru, kiedy Michael wpadł na obiad. - Pomimo że

swój pierwszy podkład muzyczny robiłem do dobrego filmu, do Ashenden z Trevorem Howardem. Teraz niczego

nie żałuję, ale wtedy zastanawiałem się, co na pisanie do niepoważnych filmów powiedzieliby moi bohaterowie? Nie miałem jednak wielkiego wyboru. W 1930 poślubiłem Goldę i musieliśmy z czegoś żyć. Czasy były wtedy ciężkie.

Ale nigdy nie zarzuciłem marzeń o pełnym blasku splendorze tworzenia prawdziwej muzyki, materiału dla sal

koncertowych.

Pisałem trochę na boku - utwory na fortepian, kantaty, coś wprost przeciwnego do wielkich opracowań

orkiestrowych przeznaczonych do filmu. Niewiele z tego nagrano, bo znany jestem głównie jako kompozytor

muzyki filmowej. Pragnąłem robić operę - jakże zachwyciłem się librettem do Opowieści Hofmanna i jak

zazdrościłem Ryszardowi Straussowi, że żył w czasach, kiedy takie rzeczy były o wiele łatwiejsze! „Sen i

rzeczywistość są jednym, razem, ty i ja sam, zawsze razem... na całą wieczność..." „Geht all's sonst wie ein Traum dahin vor meinem Sinn..." Roześmiał się i potrząsnął głową. - Ale odbiegam od tematu.

Miałem jedną jedyną przygodę z muzyką poważną. L.. - Waltiri urwał. Siedzieli przy świecach w mrocznej jadalni, a on patrzył gdzieś w dal, tym razem przebijając wzrokiem oprawiony w ramy pejzaż wiszący nad kredensem. - To

była bardzo poważna przygoda. Pewnego dnia, w wytwórni Warner Brothers podszedł do mnie pewien człowiek,

wówczas w moim wieku, może trochę starszy, nazwiskiem David Clarkham. Pamiętam, że wtedy padało, ale on nie

miał na sobie płaszcz... ubrany był tylko w szary, wełniany garnitur, na którym nie dostrzegłem ani śladu przemo-czenia. Nie zmókł, rozumiesz?

Michael skinął głową.

- Mieliśmy wspólnych znajomych. Z początku myślałem, że to jeszcze jeden z tych studyjnych szakali. Słyszałeś może o tym gatunku? Pętają się zawsze wokół ludzi sukcesu, pławią w ich sławie i fortunie, żyją z przyjęcia na przyjęcie. Ktoś nazwał ich salonowymi jaszczurami. Ale okazało się, że on zna się na muzyce. Czarujący facet.

Dobrze nam się współpracowało... przez pewien czas.

- Miał pewne, skromnie mówiąc, bardzo niezwykle koncepcje na temat muzyki. Waltiri podszedł do oszklonej

biblioteczki, uniósł drzwiczki i wyjął stamtąd małą, grubą książkę w zniszczonej obwolucie. Dał ją do obejrzenia Michaelowi. Tytuł brzmiał Diabelska Muzyka, a autorem był Charles Fort.

- Pracowaliśmy razem, Clarkham i ja. On sugerował instrumentację i aranżację; ja komponowałem. -
Twarz

Waltiriego sposepniała. Zaczął mówić szybko, z ironią. - „Arno”, zwraca się do mnie, bo zaprzyjaźniliśmy się już;

„Arno, nie będzie drugiej takiej muzyki. Takich dźwięków nie słyszano na Ziemi od milionów lat”. Obróciłem jego słowa w żart wspominając coś o dinozaurach puszczejących bąki. Spojrzał na mnie bardzo poważnie i powiedział:

„Pewnego dnia zrozumiesz, o co mi chodzi”. Przyznawałem, że jest trochę ekscentryczny, ale przy tym błyskotliwy.

Odwoływał się bezpośrednio do mego pragnienia zostania drugim Strawińskim. Tak... dałem mu się podejść.

Wykorzystałem jego koncepcje w naszej kompozycji wprowadzając do niej coś, co nazywał psychotropową

strukturą tonu.

„W ten sposób”, mówi do mnie, „osiągniemy to, czego bez powodzenia próbował dokonać Skriabin”. - Michael nie wiedział, kim był Skriabin, ale Waltiri mówił dalej, jak gdyby wygłaszał długo przygotowywaną prelekcję.

- Utwór, który napisaliśmy, był moim czterdziestym piątym opus, koncertem na fortepian i orkiestrę,

zatytułowanym Nieskończoność. - Wyjął książkę z rąk Michaela, otworzył na zaznaczonej stronie i oddał mu ją z powrotem. - I tak okryliśmy się niesławą. Przeczytaj, proszę.

Michael zaczął czytać.

„Czarodziejska pieśń, czyli o niesamowitym koncercie. Osądźcie państwo sami, oto fakty:

Dnia 23 listopada 1939 roku pewien muzyk stworzył dzieło bezsprzecznie genialne, dzieło, które odmieniło

dotychczasowe życie sławnych ludzi, również muzyków. Człowiekiem tym był Arno Waltiri, a swoim nowym

koncertem opus 45 stworzył on atmosferę sprzyjającą muzycznej katastrofie.

Wyobraźcie sobie państwo: chłodna noc, Los Angeles, Pandall Theatre na Bulwarze Zachodzącego Słońca. Do

środka wlewają się tłumy w czarnych cylindrach, białych krawatach i frakach, długich powłóczystych sukniach, aby wysłuchać prapremierowego wykonania. Posłuchajcie państwo: kakofonia dźwięków wzniesiona przez orkiestrę

strojącą instrumenty. Waltiri unosi batutę, opuszcza ją...

Mówią, że muzyka była dziwna, taka jakiej dotąd nie słyszano. Dźwięki wypełniały salę niczym zjawy. Mówią, że widownię opuścił z oburzeniem pewien słynny kompozytor. A potem, po tygodniu, wytoczył Waltiriu sprawę

sądową! „Nie potrafię już słuchać, ani komponować muzyki w sensowny sposób!" stwierdził w pozwie. I co

obwiniał za ten stan rzeczy? Muzykę Waltiriego.

Zastanówcie się państwo.

Co skłoniło znanego i uznanego kompozytora do oskarżenia drugiego kompozytora o urojone tak twierdzą lekarze -

okaleczenie? Sprawa upadła, zanim jeszcze weszła na wokandę. Ale... jak właściwie brzmiał ten koncert?

Zastanówcie się państwo, a może Waltiri poznał odpowiedź na odwieczne pytanie, mianowicie: „Jaką to pieśń

śpiewały syreny?"

Michael zamknął książkę. - To wcale nie jest stek bzdur powiedział Waltiri wstawiając ją z

powrotem na półkę. -

Tak mniej więcej było. A potem, po upływie kilku miesięcy, zniknęło dwadzieścia osób. Jedyne, co ich łączyło, to obecność na koncercie naszej muzyki. - Spojrzał na Michaela i uniósł brwi. - Większość z nas żyje w świecie

realnym, mój młody przyjacielu... ale David Clarkham... w jego przypadku nie jestem tego taki pewien. Kiedy

ujrzałem go po raz pierwszy, wchodzącego ze słoty w zupełnie suchym garniturze, pomyślałem sobie: „Ten człowiek musiał lawirować pomiędzy kroplami deszczu”. Gdy widziałem go po raz ostatni, również padało: był to lipiec 1944

roku. Dwa lata wcześniej nabył dom niedaleko stąd. Nie spotykaliśmy się zbyt często. Ale w ten deszczowy letni dzień on zjawia się przed moimi drzwiami i wręcza mi klucz. „Wybieram się w podróż”, mówi. „Przyda ci się to, jeśli kiedykolwiek zapragniesz podążyć moim śladem. Dom będzie miał opiekę”. Zagadkowa sprawa. Do klucza dołączona była karteczka.

Waltiri zdjął z górnej półki małe pudełko z drewna tekowego i trzymając je przed Michaeliem uniósł wieczko.

Wewnątrz znajdowała się poźółkła, złożona na pół karteczka i częściowo zawinięty w nią klucz ze zmatowiałego

mosiądzu. - Nie poszedłem nigdy za nim. Byłem ciekawy, ale nigdy nie starczało mi odwagi. A poza tym jest

przecież Golda. Jak mógłbym ją zostawić? Ale ty... ty jesteś młodym człowiekiem.

Dokąd udał się Clarkham? - spytał Michael.

- Nie wiem. Pamiętam jego ostatnie słowa: „Arno, gdybyś kiedykolwiek pragnął pójść za mną, zastosuj się dokładnie do wskazówek z tej kartki. Przyjdź do mego domu między północą a drugą nad ranem. Spotkasz mnie tam.” - Wyjął

z pudełka karteczkę z kluczem i podał je Michaelowi. Nie będę żył wiecznie. Nigdy za nim nie pójdę. Może ty

zrobisz z tego użytek.

Michael uśmiechnął się. To wszystko wydaje mi się jakieś niesamowite.

- Bo to j e s t niesamowite, a do tego głupie. Ten dom... Clarkham powiedział mi, że robił tam mnóstwo

eksperymentów muzycznych. Niewiele o tym słyszałem. Jak już wspomniałem, po premierze koncertu nie

utrzymywaliśmy już ze sobą ściślejszych kontaktów. Ale kiedyś powiedział mi: „Widzisz, muzyka wnika z czasem

w ściany. Ona nawiedza to miejsce”.

Był genialnym człowiekiem. Michael, ale jakby to powiedzieć? - zostawił mnie na lodzie. Wszystkie gromy z burzy, jaka rozpętała się po koncercie, spadły na moją głowę. On wyjechał na dwa lata. Mnie włączono po sądach. Sąd

nigdy nie dał mi wiary. Byłem niemal zrujnowany.

Clarkham nakłonił mnie do napisania muzyki, która wpływa na ludzki sposób myślenia, tak jak narkotyki wpływają na pracę mózgu. Od tamtej pory nie skomponowałem niczego podobnego. A co będzie, jeśli tam pójdę?

- Nie wiem - powiedział Waltiri wpatrując się w niego z napięciem. Być może odkryjesz, co znajduje się ponad lub pod tym, co znamy.

- Mnie chodzi o to, co pomyśleliby sobie rodzice, gdyby coś mi się stało.

- Nadchodzi kiedyś taka chwila, kiedy trzeba skończyć z oglądaniem się na rodziców i słuchaniem starszych; kiedy trzeba na jakiś czas zapomnieć o ostrożności i pójść za głosem instynktu. Krótko mówiąc, kiedy trzeba zdać się tylko na siebie. - Otworzył inne drzwiczki szafki na książki. Dajmy już sobie spokój z tym moralizatorstwem, mój młody przyjacielu. Pomyślałem sobie, że jest jeszcze coś, co chciałbym ci dać. Książka. Jedna z moich ulubionych.

Wyciągnął tomik kieszonkowego formatu oprawiony w gładką, błyszczącą, czarną skórę i podał ją Michaelowi.

- Bardzo ładna - stwierdził Michael. - Wygląda na starą. - Nie jest taka stara powiedział Waltiri. Kupił mi ją ojciec, kiedy wyjeżdżałem do Kalifornii. To najwyższego lotu poezja w języku angielskim, wiersze, które najbardziej sobie cenię. Poeta powinien ją mieć. Znajdziesz tu dużo Coleridge'a. Na pewno go czytałeś.

Michael skinął głową.

A więc przeczytaj go dla mnie jeszcze raz.

Dwa tygodnie później, kiedy Michael pływał w basenie na tyłach domu, na patio wyszła matka. Miała szczególny

wyraz twarzy. Nerwowo odgarnęła z czoła kosmyk rudych włosów i dłonią osłoniła oczy przed słońcem. Michael

patrzył na nią z wody, a jego ramię pokrywało się gęsią skórą. Prawie wiedział.

- Telefonowała Golda odezwała się matka. Arno nie żyje.

Pogrzebu nie było. Prochy Waltiriego złożono w kolumbarium w Forest Lawn. Komunikaty o jego śmierci pojawiły

się w gazecie i w telewizji.

Od tamtej pory minęło już sześć tygodni. Ostatni raz Michael rozmawiał z Goldą przed dwoma dniami. Siedziała

wyprostowana i pełna godności na stołku od fortepianu we frontowym pokoju. Kremowy kostium, nienagannie

uczesane złote włosy. Akcent miała wyraźniejszy niż mąż.

Siedział właśnie tutaj, przy fortepianie odezwała się - i nagle spojrzał na mnie i powiedział: „Golda, co ja zrobiłem, dałem temu chłopcu klucz Clarkhama. Zadzwoń zaraz do jego rodziców”. I ręka mu zeszywniała... Poskarżył się, że bardzo go boli, i zaraz potem osunął się na podłogę. - Spojrzała poważnie na Michaela. Ale nic nie powiedziałam twoim rodzicom. On tobie ufał. Sam podejmiesz właściwą decyzję.

Siedziała przez chwilę w milczeniu, a potem podjęła. Dwa dni później do gabinetu Arno, tam gdzie teraz znajduje się biblioteka, wleciał mały, brązowy wróbel. Usiadł na fortepianie i zaczął dziobać arkusze papieru nutowego. Arno zażartował kiedyś, że ptak to dusza w ciele zwierzęcia. Usiłowałam wypłoszyć go za okno, ale nie chciał odfrunąć.

Usadowił się na pulpicie nutowym i tkwił tam przez bitą godzinę przekrzywiając łepkę i wpatrując się we mnie.

Potem odleciał. Zaczęła szlochać. Tak bardzo chciałam, aby Arno odwiedzał mnie od czasu do czasu nawet pod

postacią wróbelka. To był taki wspaniały mężczyzna. - Otarła oczy i mocno przytuliła Michaela do piersi; po chwili puściła go i poprawiła mu kurtkę.

Ufał ci - powtórzyła pociągając lekko za klapę. Sam będziesz najlepiej wiedział, jak postąpić.

Stał teraz na ganku domu Clarkhama z uczuciem jeśli nie spokoju, to cichej rezygnacji. W koronach drzew

rosnących wzdłuż ulicy śpiewały nocne ptaki; ten odgłos zawsze go intrygował, bo wnosił odrobinę dziennego

światła do nieruchomego mroku.

Nie potrafiłby precyzyjnie wytłumaczyć, dlaczego znalazł się tutaj. Może był to dług spłacany przyjacielowi, którego znał tak krótko. Czy Waltiri naprawdę chciał, żeby zastosował się do tych instrukcji? To wszystko było takie

zagadkowe.

Wsunął klucz w dziurkę.

Odkryć co jest ponad lub poniżej. Przekręcił klucz w zamku. Muzyka nawiedza teraz to miejsce. Drzwi otworzyły się cicho.

Michael wszedł do środka i dokładnie zamknął za sobą drzwi. Szczęknęły mosiężne zapadki.

Trudno było iść prosto przed siebie w ciemnościach. Otarł się ramieniem o ścianę. Dotknięcie to wzniciło

niespodziewane bamm, jakby znajdował się wewnątrz gigantycznego dzwonu. Nie wiedział, czy przechodzi przez

pokój, czy posuwa się korytarzem, ale nagle nadział się na drugie drzwi, poszukał po omacku klamki i natrafił na nią. Drzwi otworzyły się cicho i bez oporu. W pomieszczeniu za nimi, po lewej ręce Michaela znajdowały się

jeszcze jedne drzwi prowadzące do mniejszego pokoju. Światło księżyca wpadające przez oszklone tarasowe drzwi rozlewało się po parkiecie niczym mleko. W żadnym z pokoi nie było mebli.

Oszklone drzwi wychodziły na patio wyłożone cegłą i na pusty dziedziniec ogrodzony murem. Klamki były w

dotyku zimne jak lód.

Michael wyszedł z domu Clarkhama. Biegnący wokół patio chodnik z cementowych płyt prowadził do bocznej

furki. Kiedy Michael wchodził frontowymi drzwiami, nie było księżyca, ale teraz nad sylwetkami domów po

drugiej stronie ulicy unosiła się posepna, zielonkawa kula. Nie dawała wiele światła. (A przecież

księżycowy blask wpadający przez drzwi od tarasu był jasny...) Latarnie uliczne też świeciły dziwnie słabo i miały żółtawozielony odcień.

Drzew było jakoś mniej, a do tego nie miały liści i sprawiały wrażenie uschniętych. Powietrze pachniało środkami antyseptycznymi, elektrycznością i jakby pleśnią, wszystkim na raz, jak gdyby zostało zakonserwowane, a potem zepsuło się z braku użytkowania. Niebo było czarne jak smoła i bezgwiazdne. W oknach domów po przeciwnej

stronie ulicy pojawiały się nieregularne brązowe rozbłyski nie pochodzące bynajmniej od oświetlenia elektrycznego czy ekranów telewizorów, a kojarzące się raczej z refleksami od zakrzepłej krwi.

Michael podszedł do drzwi frontowych domu po lewej. Tak jak mówiła instrukcja, były uchylone. Z wnętrza wąską smugą sączyło się ciepłe, przyjazne światło. Wchodząc do sieni Michael ujrzał mały stolik na lekko wykrzywionych

rzeźbionych nóżkach stojący na lakierowanej drewnianej podłodze. Patera z brązu ustawiona na stoliku wypełniona była owocami: pomarańcze, jabłka i jeszcze coś niebieskiego i błyszczącego. Po lewej stronie korytarza, jakieś dwa metry dalej, znajdowało się łukowato sklepione przejście do pokoju gościnnego. Michael zamknął za sobą drzwi

frontowe.

Powietrze w domu było zatęchłe. Mdła woń pleśni wydobywająca się ze ścian i z podłogi wisiała w korytarzu

niewidzialnymi pasmami. Marszcząc nos Michael zbliżył się do przejścia. Dom był oświetlony, jakby ktoś tu

mieszkał, ale Michael słyszał jedynie odgłos własnych kroków.

Całe umeblowanie pokoju gościnnego stanowił fotel stojący na wielkim okrągłym kobiercu przed wygasłym

kominkiem. Kobierzec utkany był z koncentrycznych kół, na przemian brązowych i czarnych, przez co przypominał

tarczę strzelniczą. Fotel stał tyłem do Michaela i bujał się powoli. Michael nie widział, kto w nim siedzi. Uświadomił

sobie właśnie, że nie stosuje się do instrukcji, kiedy fotel przestał się bujać i zaczął obracać się wokół własnej osi.

Michael nie chciał już ani nic widzieć, ani sam być widzianym. Pobiegnął korytarzem, minął ostry zakręt i znalazł się w kolejnym pustym pokoju. „Nie przystawaj, aby się rozglądać” było napisane na kartce z instrukcjami. Zawahałem się tylko, pomyślał, nie

zatrzymałem; czuł jednak, że musi być bardziej ostrożny. Upewnił się, że nikt za nim nie podąża, po czym wyszedł

przez tylne drzwi domu na drugie wyłożone cegłą patio. Po lewej ręce miał altankę obrośniętą wisterią, a w

krzewach oleandra po obu stronach patio tańczyły ćmy. Za patio, ze sznurów rozciągniętych nad klombami kwiatów zwisały rozjarzone lampiony.

Przestraszył się ujrawszy jakąś postać siedzącą pod pnączami wisterii za żelaznym stołem o szklanym blacie. Poza nikłym blaskiem lampionów nie było praktycznie innego oświetlenia, ale zdołał dostrzec, że postać przy stole ubrana jest w długą jasną suknię z falbanami i nosi szeroki

kapelusz na wpół skryty w atramentowym cieniu.

Michael, zafascynowany, nie mógł oderwać wzroku od siedzącej postaci. Czy ktoś miał na niego czekać,

poprowadzić go dalej? W instrukcjach nie było nic o czekającej kobiecie. Usiłował dojrzeć twarz skrytą pod

kapeluszem.

Postać wstała powoli z krzesła. Było coś charakterystycznego w tym ruchu, jakaś nieuchwytna niezdarność, od

której ciarki przeszły mu po plecach. Cofnął się i straciwszy grunt pod nogami zjechał tyłem po schodkach

wiodących z ganku do ogrodu, czyniąc po drodze rozpaczliwe wysiłki, aby się odwrócić i paść na brzuch. Przez

jedną czy dwie sekundy leżał oszołomiony wstrzymując oddech. Potem obejrzał się przez ramię.

Tajemnicza postać odeszła od stołu i stała teraz u szczytu schodków. Nawet pomimo skrywającej je sukni widać

było, że każda z kończyn zgina się nie w tym miejscu, co trzeba. Wciąż nie mógł dostrzec twarzy pod kapeluszem.

Postać postawiła stopę na pierwszym stopniu schodków z patio i Michael zerwał się na równe nogi. W sekundę

później pędził już przez ogród w kierunku widniejącej w głębi bramy z kutego żelaza. Zamek ustąpił łatwo i Michael przystanął na chwilę w alei, żeby zorientować się w sytuacji. - W lewo - wysapał, z trudem łapiąc oddech. Usłyszał

za sobą kroki, szcęk zamka. To miała być piąta czy szósta brama po lewej? W alei było zbyt ciemno, aby mógł

jeszcze raz przeczytać instrukcję, ale dostrzegł bramy -- po obu stronach. Nad murem ciągnącym się wzdłuż

przeciwległej strony alei majaczyły grube, czarne, zupełnie nieruchome drzewa.

Biegając liczył bramy... dwa, trzy, cztery, pięć. Przystanął znowu, ale po chwili zastanowienia podszedł do szóstej bramy.

Żelazny zamek był zamknięty na klucz. Wiedział instynktownie, że nie wolno mu po prostu przeleźć górą - gdyby to zrobił, zastałby po drugiej stronie tylko ciemność. Gorączkowo przetrząsał kieszenie

w poszukiwaniu klucza,

jedyne go klucza, jaki dostał.

Postać w sukni z falbanami znajdowała się już w odległości jakichś sześciu, siedmiu metrów i zbliżała do niego powolnymi, odmierzonymi susami, jakby miała cały czas świata.

Klucz pasował do zamka, ale nie idealnie. Michael musiał szarpnąć nim kilka razy. Za jego plecami rozległo się przeciągłe, suche westchnienie; poczuł zimny nacisk na ramię, coś lekkiego i twardego otarło się o rękaw jego kurtki...

Michael otworzył pchnięciem bramę i wpadł do środka, potykając się na nierównościach terenu i uschniętym

ściernisku, na wpół biegnąc, na wpół pełzając. Brama zatrzasnęła się za nim z metalicznym hukiem i szcękaniem

rygła powracającego na swe miejsce. Zamknął oczy i czekał zaciskając pięści na rozsypujących się grudkach ziemi i suchych patyczkach.

Minęło kilka sekund, zanim uwierzył, że nie jest ścigany. Zmieniło się powietrze. Przekręcił się na plecy i spojrzał

na kamienny mur. Postać powinna być widoczna nad nim albo między prętami bramy, ale nie zobaczył tam nikogo.

Odetchnął pełną piersią. Czuł się teraz bezpieczny - przynajmniej przez chwilę. - Udało się -- mruknął pod nosem wstając i otrzepując ubranie. - Naprawdę się udało! - Mimo wszystko nie odczuwał wielkiego podniecenia. Działo się coś dziwnego i był porządnie wystraszony.

Wykonanie wszystkich instrukcji nie mogło zająć Michaelowi więcej niż piętnaście minut, a tu na wschodzie

rozlewała się pomarańczowa mgiełka brzasku.

Przeszedł. Ale dokąd?

Rozdział drugi

Zaraz też pomyślał, jak wrócić do domu. Podszedł ostrożnie do bramy i wyjrzał przez nią. Po drugiej stronie zamiast alei zobaczył szeroką groblę opadającą ku szarej rzece, toczącej leniwie swe wody między brzegami odległymi od siebie o jakieś trzydzieści metrów. Rzeka płynęła wśród oparów unoszących się w świetle pierwszego brzasku,

poprzez pagórkowatą bezdrzewną krainę, a wzdłuż brzegów pleniły się chwasty.

Michael obrócił się i rozejrzał po polu, które miał przed sobą. Kiedyś była to winnica, ale teraz

zarastała ją zielsko, a i ono zbytnio nie wybujało. Winorośle zmarniały, pozostawiając po sobie grube, szare łodygi uwiązane do

przechylonych tyczek, otoczone martwymi, zeschniętymi liśćmi i żwirem.

Gdy mglisty świt przyniósł więcej światła, Michael zauważył, że ogród znajduje się na tyłach bryłowego,

prostokątnego dworku. Ruszył przez zapuszczoną winnicę, mrużąc oczy, by lepiej wyłowić szczegóły z ciemnych

zarysów budynku. Za dworkiem wschodziło słońce; nie widział go wyraźnie, dopóki nie zbliżył się na odległość

jakichś stu metrów.

Dom nie znajdował się w najlepszym stanie. Pożar strawił całe jedno skrzydło. z którego pozostały tylko ściany i poczerniałe od ognia belki. Michael nie był ekspertem w dziedzinie architektury, ale konstrukcja wyglądała na europejską; stylem przypominała dwór francuski. Dom mógł mieć od stu do trzystu lat, a może jeszcze więcej.

Wokół nie było śladu życia.

Michael czuł się tu intruzem. Było mu zimno, nie miał zielonego pojęcia, gdzie się znajduje, a teraz jeszcze zaczynał

mu doskwierać głód. Na razie nie miał innego wyboru, jak podejść do domu, sprawdzić, czy ktoś tam mieszka, i

postarać się znaleźć odpowiedzi na nasuwające się mu pytania.

Znalazł wąską ścieżkę biegnącą przez chwasty i uschnięte winorośle. Dom był większy, niż sądził; miał trzy

kondygnacje. Ściany parteru były cofnięte w głąb o około półtora do dwóch metrów względem górnej części

budynku. Występ podpierało pięć szerokich, kamiennych łuków wspartych na kolumnach; gdy podszedł bliżej,

stwierdził, że ze środkowego łuku odpadł szeroki na metr kawał tynku.

Atmosfera opuszczenia i ruiny nie podniosła go na duchu. Michael zatrzymał się przed środkowym łukiem, do

którego doprowadziła go ścieżka. W ścianie przed nim widniały ciemne, dębowe drzwi; ich ramy, górną i dolną,

zdobił ornament w postaci dwóch symetrycznych spirali, otoczonych przeplatającymi się węzami. W kamieniu

stojącym obok drzwi tkwiły spiżowe latarnie z potłuczonymi, wyszczerbionymi szybkami.

Michael zwinął dłoń w pięść i zastukał w szorstkie, popękane drewno. Odpowiedzi nie było nawet po kilku minutach zdrowego walenia. Cofnął się o krok. Po obu stronach drzwi znajdowały się zamurowane okna, a dalej nisze w

kamiennym murze. Podeszedł do pierwszej z prawej i natrafił na drugie drzwi, też nie posiadające klamki od

zewnątrz. Spróbował je podważyć palcami, ale nie drgnęły. Ostatnie drzwi z prawej strony były całkowicie pokryte tynkiem. Wrócił do drugich drzwi i pchnął je na próbę jedną ręką wyczuwając pod palcami gładkie zwoje węży.

Drzwi uchylły się do środka z jękliwym skrzypnięciem.

Obejrzał się niespokojnie za siebie. Nadal był sam, nikt go nie obserwował, chociaż nie opuszczała go myśl, co też może się kryć w zarośniętej winnicy.

Pchnięte silniej drzwi otworzyły się szeroko i odbiły z głuchym łomotem od ściany. Michael spojrzał w głąb

mrocznego korytarza. Rozproszone światło poranka pozwalało mu przebić wzrokiem ciemności na odległość jakichś dwóch metrów. Zobaczył gołe, nieotynkowane ściany z cegieł, niczym nie ozdobione i bez żadnych mebli. Wszedł

powoli. Około czterech metrów dalej korytarz skręcał pod kątem prostym, a na podłodze kładła się ukośna smuga padającego zza zakrętu światła.

Michael zajrzał za róg. Znajdowała się tam ogromna i wyjątkowo zaniedbana kuchnia. Ruszył ostrożnie przed siebie, unosząc stopami wielkie kłęby filcowatego kurzu. Pomieszczenie, mierzące

sobie dobre dwadzieścia metrów długości i szesnaście szerokości, wypełniały żelazne kotły metrowej średnicy, piec na ceglanej podmurówce i piekarniki. Smuga światła wpadała tu przez długie i wąskie poziome okno wybite w

przeciwległej ścianie, około czterech metrów nad poziomem podłogi. Kuchnia mieściła się najwyraźniej w jakiejś suterenie; patrząc z zewnątrz, położona była poniżej poziomu gruntu.

Korytarz, którym tu dotarł, omijał komórkę z cegły, która mogła spełniać rolę spiżarni albo lodówki. Białe

emaliowane metalowe drzwi zwisały uchylone na zardzewiałych zawiasach, odsłaniając puste, ciemne wnętrza.

Klatka schodowa po południowej stronie kuchni pięła się w jeszcze gęstszy cień. Ruszył w tamtym kierunku między piecem z żelaznym rusztem a komórką, potykając się o stosy potłuczonych talerzy i ciężkich, mniejszych garnków pokrytych gładkimi warstwami kurzu. Wstąpił na schody.

Na ich szczycie natknął się na wahadłowe drzwi; jedno skrzydło, wyrwane z zawiasów, zwisało opierając się o

ścianę, drugie ktoś kopniakiem rozłupał na ukos. Odepchnął to zwisające i wszedł do jadalni.

Połowę powierzchni sali zajmowały trzy długie stoły z ciemnego drewna. Wzdłuż ich krawędzi ciągnęły się równe rzędy krzeseł ustawionych do góry nogami na blatach. Za stołami kończył się dywan i zaczynał drewniany parkiet.

W sali można było urządzić spory bal; ciągnęła się aż do frontowej ściany domu, gdzie wysokie, zwieńczone łukami okna umożliwiały podziwianie wschodzącego słońca. Światło poranka rozmazywało się srebrzystą szarością po

blatach stołów.

W sali unosił się zapach kurzu i raczej przykra woń kwiatów. Michael rozejrzał się na boki i jego wybór padł na szerokie drzwi po prawej. ,

Otworzywszy je znalazł się w równie zdewastowanym i imponującym foyer z nowoczesnymi miękkimi sofami

stojącymi wzdłuż ścian pod takimi samymi wysokimi, łukowato sklepionymi oknami, jakie widział w jadalni. Na

małym podeście rozpierał się niczym zdeptany żuk wielki, rozwalony fortepian. Po przeciwległej stronie foyer

znajdowały się okazałe schody ze złotymi poręczami na toczonych kolumnkach z czarnego drewna, przeniesione tu prosto z jakiegoś zamczyska albo z luksusowego transatlantyku. Michael spojrzął w górę. Od schodów, przez cały górny podest biegła balustrada.

- Ne there! Hoy ac!

Bezpośrednio nad nim, przez kamiennie-metalową poręcz balustrady wychylała się największa kobieta, jaką w życiu widział. Cofnęła się. Trzeszczenie podłogi pozwalało mu śledzić jej kroki zbliżające się do schodów. Bezkształtne cielsko widziane poprzez słupki balustrady zdawało się ważyć co najmniej dwieście kilogramów; mierzyła sobie ze dwa metry wzrostu, a jej ramiona, zasłonięte długimi rękawami czarnego kaftana, były grube jak szynki i

przypominały je kształtem. Twarz kobiety kojarzyła się z wielką bryłą białego ciasta, w którą wciśnięto oczy i usta, zwieńczoną dobrze utrzymanymi, długimi czarnymi włosami.

- Halo - wykrztusił Michael łamiącym się głosem. Przystanęła u szczytu schodów i walnęła otwartą

dłonią w poręcz.

- Ha-lo - powtórzyła, a jej malutkie oczka rozszerzyły się niemal niezauważalnie. Michael nie mógł się zdecydować, czy zostać, czy uciec. - Antros. Jesteś człowiekiem. Skąd się tu wziąłeś, u diabła?

Wskazał palcem na tyły domu. Stamtąd. Wszedłem przez bramę winnicy.

- Nie mogłeś wejść tamtędy - zawyrokowała kobieta teraz bardziej tubalnym głosem. Ta brama jest zamknięta.

Wyjął z kieszeni spodni futerał na klucz i uniósł go nad głowę. Posłużyłem się tym.

- Klucz! - Zaczęła schodzić powoli po schodach, pokonując każdy stopień z wielką ostrożnością, bo i powinna. Była tak ciężka, że gdyby upadła, zabiłaby się i zwała na dół razem ze schodami. Kto ci to dał?

Michael nie odpowiedział. - Kto ci to dał?

- Pan Waltiri - wybąkał Michael.

- Waltiri, Waltiri. - Była już na dole i kołysząc się na boki jak kaczka, wolno zbliżała się ku niemu. Przy każdym kroku jej ramiona zataczały szerokie łuki, żeby uniknąć zderzenia z rozhuśtanymi biodrami. Nikt tu nie przychodzi -

powiedziała zwalniając i zatrzymując swą rozedrganą masę na kil

ka kroków przed Michaeliem. - Mówisz po kaskaryjsku albo po nerbsku?

Potrząsnął głową, nie rozumiejąc, o co jej chodzi. - Tylko po angielsku?

- Znam trochę francuski - powiedział. - Uczyłem się go dwa lata w szkole średniej. I trochę hiszpański.

Zachichotała i nagle wybuchła głośnym, piskliwym, smutnym rechotem. - Francuski, hiszpański. Jesteś nowy.

Zdecydowanie nowy.

Nie mógł temu zaprzeczyć. - Gdzie ja się znalazłem? -- Od kiedy tu jesteś? -- spytała. nie odpowiadając. - Chyba od jakiejś pół godziny.

- O której godzinie wyszedłeś? - Skąd?

- Ze swojego domu, chłopcze - powiedziała, a jej głos znowu przybrał jakąś ponurą barwę.

- Około pierwszej po północy.

- I nie wiesz, gdzie jesteś ani kim jestem ja?

Potrząsnął głową. Obok strachu zaczął w nim powoli narastać gniew.

- Nazywam się Lamia - powiedziała ogromna, korpulentna kobieta. - A ty? - Uniosła jedną rękę i wycelowała w

niego zadziwiająco delikatny palec.

- Michael - przedstawił się. - Co masz ze sobą?

Wyciągnął przed siebie puste ręce. - Tylko ubranie. Klucz. - Co masz w kieszeni kurtki?

- Książkę.

Skinęła głową niemal unieruchomioną na postumencie potężnego karku. W rezultacie włożonego w to wysiłku broda zatoneła jej w tłustej piersi. - Przysłał cię pan Waltiri. Gdzie on jest? - Nie żyje.

Znowu zaniósła się rechotem, jakby usłyszała coś zabawnego. Ja też nie żyję. Jestem nieżywa jak ten dom, nieżywa jak milion snów! - Jej śmiech tłukł się między ścianami i sufitem niczym spłoszony ptak. - Potrafisz wrócić?

- Nie wiem - powiedział. - Chciałbym.

- Chciałbyś. Przyszedłeś tutaj i chcesz wracać. Nie wiesz jak?

Potrząsnął głową.

- No to też jesteś martwy. Utknąłeś tutaj. No cóż, przynajmniej masz towarzystwo. Ale musisz opuścić ten dom. Nikt nie zostaje tu na noc.

Drżał już na całym ciele i był zły na siebie, że się boi. A to, jak ta kobieta milcząco patrzyła na niego, pogarszało jeszcze sprawę. No dobrze - odezwała się w końcu. Niedługo się dowiesz. Wrócisz do tego domu jutro rano.

- Dopiero rano - zaproponował Michael.

I będziesz potrzebował całego dnia, żeby wyjaśnić swoją sytuację. Chodź ze mną.

Obeszła schody w koło i otworzyła wielkie drzwi frontowe. Zszedł za nią posłusznie po kamiennych stopniach na brukowany dziedziniec; przecięli wąską ścieżkę i znaleźli się na bitym trakcie wijącym się między niskimi,

pozbawionymi drzew pagórkami.

Trzy mile stąd, za polem i za mostem jest miasto - ludzkie miasto. Zaprowadzi cię tam ta droga. Idź szybko. Nie zwlekaj. Kręcą się tu tacy, którzy nie pałają zbytnią miłością do ludzi. W mieście

znajdziesz lichego hotelika, łóżko i wikt; będziesz musiał zapracować na utrzymanie. Ludzie w mieście trzymają się razem. Muszą. Idź tam, powiedz

im, że przysłała cię Lamia. Powiedz im, że będziesz pracował. - Popatrzyła na książkę wypychającą mu kieszeń

kurtki. - Jesteś studentem? - zapytała.

- Chyba tak odparł.

- Ukryj tę książkę. Wróc jutro przed południem, to porozmawiamy.

Odwróciła się nie czekając na jakąkolwiek reakcję z jego strony i wdrapawszy się z wysiłkiem po schodach zniknęła za drzwiami zamykając je za sobą. Michael rozejrzał się na wszystkie strony usiłując wycisnąć jakiś sens z nagich wzgórz, zrujnowanego, starego domu i kamienistego dziedzińca.

To wszystko było realne. Nie śnił.

Rozdział trzeci

Michael nie zważał na uczucie strachu, na głód ani na przykrą świadomość, że nie ma zielonego pojęcia, co robić.

Nie widział żadnego punktu zaczepienia, żadnej racjonalnej wskazówki; miał tylko słowa Lamii. Sama Lamia, bez względu na to co mówiła, raczej nie wzbudzała zaufania. Jej obcesowość i niemal pewne szaleństwo skłaniały

Michaela do jeszcze bardziej rozpaczliwego poszukiwania drogi powrotnej do domu. Postanowił jeszcze raz

spróbować z bramą, przeleźć górą, jeśli nie da się inaczej; może ta rzeka i krajobraz po tamtej stronie były

złudzeniem. Może po prostu przeskoczy i znajdzie się z powrotem w alei...

Z powrotem obok postaci w sukni z falbanami i w szerokoskrzydłym kapeluszu.

Ta myśl kazała mu się zatrzymać, chociaż był już w połowie winnicy za zrujnowanym dworkiem. Zawrócił i

zacinawszy pięści ruszył z powrotem, brnąc przez zeschnięte winorośla, kamienie i grudy ziemi. Idąc już gościńcem w kierunku wskazanym przez Lamię, usłyszał tętent kopyt. Niecały kilometr za nim unosił się tuman kurzu wzniecony przez galopującą grupkę pięciu konnych. Ukrył się za przydrożnym głazem i patrzył.

Jeźdźcy zbliżyli się do wąskiej ścieżki prowadzącej do domu i zwolniwszy zaczęli się naradzać. Michael nigdy nie widział podobnych koni ani ludzi. Wierzchowce były wielkie i smukłe, tak

umięśnione, że wyglądały jak obdarte ze skóry. Wszystkie oprócz jednego, oślepiająco złocistego gniadosza, były maści dereszowatej.

Mężczyźni byli wysocy i szczupli; emanowała z nich jakaś widmowość, najbardziej uderzająca w twarzach.

Wszyscy mieli rudawe blond włosy, długie, wąskie twarze bez bród i wielkie, srogie oczy pod groźnie ściągniętymi brwiami. Ich odzienie było

perłowo szare; od umaszczenia koni odróżniało się tylko kątem. pod jakim odbijało wczesnoporanne promienie

słońca.

Naradziwszy się, podjechali ścieżką do domu i zsiadli z koni niedaleko schodków. Wierzchowce zaczęły rozbijać kopytami grudy skawalonej ziemi, a ich panowie weszli bez pukania do wnętrza domu.

Michael obserwował to wszystko ze swej niewygodnej kryjówki. Zdecydował, że najlepiej będzie, jeśli jak

najprędzej oddali się stąd i uda do wioski.

Maszerował trzy kwadranse. Po drodze zerkał co chwila przez ramię, czy nie ścigają go jeźdźcy.

Zauważył, że zegarek stoi; wskazówka sekundnika nie poruszała się. Minutowa i godzinowa zatrzymały się na

pierwszej trzydzieści. Ale nie miał kłopotu z oceną upływu czasu; pomagał mu narastający głód.

Osada pojawiła się najpierw jako nieregularna, odcinająca się od horyzontu linia brązowych zabudowań. Im bliżej podchodził, tym bardziej rosła jego konsternacja. Peryferie tworzyły małe lepianki o stożkowych dachach krytych słomą. Z większości szalasów unosiły się cieniutkie smużki dymu. Przy bezwietrznej pogodzie, dym ten osiadał

stopniowo cienką, czepiającą się ziemi mgiełką. Za lepiankami wznosiły się większe, piętrowe chaty połączone

kamiennymi murami, tworząc monotony, posępny, brunatny wał.

Niska, niestrzeżona brama w murach prowadziła do właściwej osady. Przeszedł między słupkami bramy, roztrącając nogami smugi ciężkiego, wilgotnego dymu i przyziemnej mgły. Napis wymalowany starannie na łuku wieńczącym

bramę nie od zewnątrz, a od strony osady głosił:

EUTERPE

Wspaniała Stolica Ziem Paktu

Mimo przedpołudniowej pory na ulicach było pustawo; kilka kobiet z koszykami, paru mężczyzn gwarzącach na

stojąco. Wszyscy oglądali się za przechodzącym Michaeliem. On zaś wepchnął ręce głęboko w kieszenie spodni i

odwzajemniał się im ukradkowymi spojrzeniami. Kobiety nosiły spodnie albo brązowe,

workowate suknie. Mężczyźni ubrani byli w wypłowiałe szarawary i brudne brązowe koszule. Niektórzy chodzili od domu do domu roznosząc wiązki suchego sitowia.

Michaela krępowała uwaga, jaką ściągał na siebie; nikt wszakże nie posunął się do wszczęcia z nim rozmowy.

Panowała tu atmosfera więzienia; było cicho i spokojnie, lecz dawało się wyczuć napięcie.

Michael rozglądał się za jakimś znakiem, który wskazałby mu drogę do hotelu. Żadnych znaków tu nie było. W

końcu zdobył się na odwagę i podszedł do bladego mężczyzny o puciołowatej twarzy i przerzedzonych czarnych

włosach, stojącego przy wiklinowej klatce na poboczu wąskiej, brukowanej uliczki.

- Przepraszam pana - powiedział. Mężczyzna spojrział na niego z obojętnym zainteresowaniem. - Czy mógłby mi pan wskazać drogę do hotelu?

Mężczyzna uśmiechnął się i skinął głową, a potem zaczął mówić szybko w języku, którego Michael nie rozumiał.

Michael potrząsnął głową i mężczyzna, unosząc brwi, wskazał mu właściwy kierunek na migi.

- Dziękuję - powiedział Michael. Na szczęście hotel znajdował się niedaleko i łatwo go było rozpoznać; było to jedyne miejsce, skąd dochodziły przyjemne zapachy. Nad wejściem nie wisiała żadna tablica, ale budynek był nieco elegantszy niż sąsiednie domy i wyróżniał się ceglanyymi niby-płaskorzeźbami umieszczonymi nad drzwiami i

oknami. Z okien parteru dolatywał falami zapach pieczonego chleba. Michael przystanął, przełknął napływającą do ust ślinę i wszedł po schodkach do małego holu.

Za kontuarem siedział niski, przysadzisty mężczyzna w szarym kepi i w kombinezonie. Wszystkie meble plecione

były z wikliny albo - tak jak kontuar - wykonane ze ściśle dopasowanych do siebie cegiełek. Dywany w holu i w korytarzu były cienkie i wytarte, a wiklinową kanapę stojącą przy drzwiach przykrywała

zgrzebna narzuta, cała w strzępach, pocerowana piórami i włóknami.

- Przysłała mnie tu Lamia - powiedział Michael.

- Naprawdę? - spytał człowieczek wpatrując się w pierś Michaela. Zdawał się nie przyjmować do wiadomości, że

ktoś może być wyższy od niego.

- Mówi pan po angielsku - zauważył Michael. Mężczyzna przytaknął nieznacznym skinieniem głowy.
- Powiedziała, żebym zapracował na jakiś posiłek i przenocował tu dzisiaj. Jutro mam do niej wrócić.

Naprawdę? - powtórzył mężczyzna. - Kazała mi popracować.

- Aha. - Mężczyzna odwrócił się, żeby spojrzeć na tablicę z kluczami zamontowaną za jego plecami - z kluczami z wypalanej gliny, wielkimi i śmiesznie wyglądającymi. Lamia. - W jego głosie nie słychać było zbytniego

zadowolenia. Objął klucz palcami, ale nie zdjął go z haczyka. Znowu spojrzął na pierś Michaela. Michael pochylił

się tak, żeby mężczyzna mógł patrzeć mu w oczy, i twarz tamtego rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.
- Co to ma być za praca?

- Ja... chyba wszystko jedno jaka.

- Lamia. - Człowieczek zdjął klucz i przyjrzał się mu tęsknie. - Nigdy jeszcze nikogo tu nie przysyłała. Jesteś jej przyjacielem?

Nie wiem odparł Michael.

- To dlaczego się tobą zajmuje? - ciągnął człowieczek, jak gdyby Michael zaprzeczył.

- Ja niewiele wiem bąknął Michael.

- A zatem jesteś nowy. - Mężczyzna stwierdził to od niechcienia, po czym zmarszczył czoło i uważniej przyjrzał się twarzy Michaela. - Na Boga, jesteś nowy! Jeśli jesteś nowy, to jak spotkałeś Lamię? Ale... - Uniósł rękę i potrząsnął

głową. Żadnych pytań. Jesteś pod jej opieką, bo inaczej byś tego nie mówił, wierz mi. Poprzestańmy na tym.

Ponieważ jesteś nowy, dokwateruję cię do nauczyciela. - Obszedł kontuar. - Zamieszkas z nim. To mały pokój, a moja żona przydzieli ci taką robotę, że zedrzesz sobie skórę z palców i urobisz ręce po łokcie. Będziesz jadł prosto, tak jak reszta z nas. - Zachichotał. - Nie ma tu żadnych luksusów, przekonasz się. W nocy jest tu spokojnie, będziesz spał na wełniance, a w razie alarmu...

W tym momencie rozległy się donośne dźwięki dzwonu. Zdawały się dochodzić ze wszystkich stron.
- Nazywam się

Brecker powiedział grubas - a teraz zejdziemy na dół. To jest właśnie alarm. Ryzyk!

Michael pomyślał, że to ocena sytuacji, ale Brecker ponownie zawołał - Ryzyk! - i po schodach, przeskakując na krzywych nogach po trzy stopnie na raz, zbiegła chuda, wystraszona kobieta mniej więcej w wieku Breckera.

- Słyszałam - wysapała. Michael wyrzwał przez zakopane okna holu i zobaczył ludzi przebiegających ulicami. - To znowu Buńczucznik Alyons ze swoimi jeźdźcami. Najpierw pewnie odwiedzili dom Izomaga, a teraz przyniosło ich

tutaj. - Michael zszedł za nimi po kamiennych schodkach do piwnicy wygrzebanej w ziemi. Przykucnęli przy ścianie obok schodów, wśród wielkich butli z brązową ciecżą i wiklinowych koszy pełnych ziemniaków. Brecker klepnął

dłonią w ziemię obok siebie i Michael usiadł. - Co to za alarm? - spytał.

Ryzyk odrzuciła do tyłu swe proste włosy i splunęła w kąt. To najazd szlachetnych Sidhów na plemię człowiecze -

mruknęła głosem pełnym sarkazmu. Zmierzyła Michaela zimnym wzrokiem. - Jesteś nowy - stwierdziła. - Gdzie

Savarin?

- Prawdopodobnie obserwuje ich z góry - powiedział Brecker. - Jak zwykle.

Michael słyszał ostry stukot kopyt nawet przez zamknięte drzwi piwnicy. Rozległ się przenikliwy zew, a potem

dźwięczny i hipnotyzujący głos przemówił:

- Hoy ac! Mięsożercy, poplecznicy Węża! Módlcie się do Adonny, bo inaczej spuścimy ze smyczy wasze dzieci i

obrócimy w perzynę Ziemi Paktu!

Brecker zadrżał, a usta Ryzyk stały się cienkie i białe. Stukot kopyt oddalił się i po chwili w całej osadzie ponownie rozdzwoniły się dzwony.

-- Witaj w Euterpe - odezwała się Ryzyk do Michaela otwierając energicznie drzwi od piwnicy i gramoląc się po schodach na górę. Brecker ruszył za nią dając Michaelowi znak, aby wrócił wraz z nimi na parter.

- Jutro - zwrócił się Brecker do Ryzyk - nasz nowy lokator wraca do domu Izomaga, do Lamii. On

jest tu nowy.

- Jest o wiele za młody na kogokolwiek innego - odparła Ryzyk. - No i jest inny niż reszta z nas. Nami ona się nie interesuje. - Powiedziawszy to, zdawała się dokładać wszelkich starań, by przestać myśleć o czymkolwiek. -

Zaprowadź go do dwójki.

To samo pomyślałem. Do Savarina.

Może być do Savarina. Wiele musi się nauczyć. Dwuosobowy pokój na pierwszym piętrze znajdował się na końcu

słabo oświetlonego korytarza. Izdebka była mała, wytapetowana cienkimi pasmami szarej tkaniny. Podłogę

wyłożono płytkami miki, która łuszczyła się pod podeszwami butów. W tej wąskiej klitce upchnięto piętrowe łóżko i miednicę na wąłym stojaku wykonanym z patyków i wikliny. Robactwo, jeśli nawet tu było, przynajmniej nie

rzucało się w oczy.

Gdy tak stał w drzwiach zastanawiając się, kim jest Savarin, dołączyła do nich Ryzyk i zaczęła się spierać z

Breckerem, jakie mu dać zajęcie. Brecker rzucił Michaelowi nerwowe spojrzenie i odciągnął Ryzyk w głąb

korytarza, gdzie o czymś poszeptywali.

Pomimo tych środków ostrożności Michael słyszał prawie każde słowo.

Czy w ogóle powinniśmy kazać mu pracować, jeśli znajduje się pod opieką Lamii? spytał Brecker.

A zabroniła tego? Będzie pracował i już. Pomoc zawsze się przyda.

- Tak, ale on jest inny niż my wszyscy.

- Różni się tylko tym, że przyszedł z domu Izomaga. - A czy to czegoś nie oznacza?

- Nie boję się Lamii zaperzyła się Ryzyk. - Słuchaj, gdyby to Alyons przyprowadził go tu za rękę i powiedział „niech sobie u was wypocznie”, wtedy może dalibyśmy mu poleniuchować.

Na tym stanęło. Ryzyk pokazała mu umywalnię. - Nowoczesna - powiedziała - jedna na górze i jedna na dole - ale Michael nie dostrzegł ani wody bieżącej, ani toalety. Ryzyk zaprowadziła go na górę. Zaczął od przekręcania świeżo upranej bielizny przez kamienny magiel w pralni za kuchnią. Obracając korbą i wprowadzając między wałki

wyżymaczki prześcieradła i powłóczki na poduszki, żuł kawałek chleba.

- Żeby mi nie było okruchów na prześcieradłach ostrzegła go Rzyk częstując szklanką chudego mleka. - Wyglądasz na głodnego.

- Umieram z głodu - przyznał Michael.

- No, tylko nie jedz za dużo. Wszystko będziesz musiał odpracować.

Odnosząc na górę wysuszoną bieliznę Michael zauważył, że z dwunastu pokoi znajdujących się w budynku zajęte są tylko dwa; dwójka, którą dzielił z nieznanym Savarinem, i duży apartament. - Do apartamentu wchodzimy tylko raz na tydzień wyjaśniła Rzyk.

- Kto tam mieszka?

- Głodny i ciekawy. Głodny i ciekawy. Nowy potrzebuje trochę czasu, zanim zorientuje się w sytuacji, co? -

Potrząsnęła głową. - Poznasz go dziś wieczór. Brecker już organizuje zebranie.

Robotę wyznaczono mu na hotelowym podwórku - rąbał, a raczej próbował rąbać drwa na opał. Szybko dorobił się

pęcherzy na obu dłoniach i uczucia zniechęcenia. Nigdy nie pociągała go ciężka praca fizyczna. Machając tak

siekierą i chybiając, machając i chybiając. machając i trafiając, porąbał wreszcie jedną wiązkę drewna, ale nade wszystko pragnął znaleźć się teraz z powrotem w domu, na łóżku, z książką na kolanach i ze szklaneczką piwa

imbirowego na nocnym stoliczku.

Do zmierzchu - który według niego zapadł trochę za wcześnie - porąbał trzynaście wiązek drewna na kawałki

mieszczące się w hotelowym piecu. Brecker, kręcąc głową, obejrzał niewielką kupkę. Patrząc na pierś Michaela

powiedział: - Na pewno z czasem się wyrobisz. Jeśli tu zostaniesz. Ale nie przejmuj się. Dziś wieczór jest zebranie. -

Na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia. Mrugnął do Michaela.- Wszyscy już zawiadomieni. Pogadamy o

tobie; w każdym razie tematu na dzisiaj starczy.

Dali Michaelowi pół godziny na umycie się do obiadu. Cały jego posiłek tego dnia stanowiło parę

kromek suchego chleba i dwie szklanki przezroczystego, niebieskawego mleka, i był znowu wściekle głodny. Udał się do

przydzielonego mu pokoju, położył się na chwilę na dolnej pryczy i zamknął oczy. Był zbyt zmęczony, aby jeść, i zbyt głodny, aby zapaść w drzemkę. Obmył pokryte pęcherzami dłonie w misce wody i wydlubał drzazgę spod

paznokcia. Z miednicy zaleciała mu ostra woń ziół. Powąchał mydło tłustą, ziarnistą, bezwoną laseczkę - i wytarł

ręce w ścierkę. Zapach ulotnił się od razu.

Zdjął koszulę i wytarł się od pasa w górę wilgotną szmatką, a potem skorzystał z prymitywnego ustępu w końcu

korytarza.

Podejrzewał, że następnego dnia będzie znosił na dół wiadra pomyj, chyba że...

Chyba że co? Chyba że rozmowa z Lamią da pomyślne rezultaty? Co ona może zrobić poza rozmową z nim i co ją

łączy z jeźdźcami, z tymi Si..., czy jak ich tam nazywała Rzyk?

Był zbyt wyczerpany, by snuć na ten temat przypuszczenia. Zszedł po schodach na obiad i walcząc z opadającymi powiekami zasiadł obok Breckera za stołem o kamiennym, wypolerowanym przez liczne łokcie blacie.

Zapadła noc i stół oświetlał tuzin łojowych świec wetkniętych w lichtarze stojące przed każdym krzesłem. Miejsc było dwanaście, każde zajęte, a siedzący na nich ludzie - zarówno mężczyźni, jak i kobiety - przyglądali się

Michaelowi z żywym zainteresowaniem, kiedy tylko odwrócił głowę.

Michael siedział wyprostowany, jakby kij połknął, usiłując wyglądać godnie i nie zasnąć. Gdy Rzyk wniosła wazę zupy, jarzynowej, Brecker wstał i podniósł w górę kufel wodnistego, brązowego piwa. Panie i panowie zaczęli. Dziś wieczór jest między nami nowo przybyły. Na imię mu Michael i, jak sami widzicie, jest młody; najmłodszy z ludzi, jakich do tej pory spotkałem w Królestwie. Powitajmy go.

Mężczyźni i kobiety wzniesli swe kufle i zakrzyknęli dezorientującą mieszaniną języków: - Cheers! Skaal! Slainte!

Zum Wohl.~ Zdrowie Michaela! i jeszcze więcej, ale tylko tyle toastów udało mu się wyodrębnić. On też uniósł swój kufel. Dziękuję mruknął.

- Teraz jedzmy powiedziała Rzyk. Kiedy skończyli zupę, wyniosła wazę do kuchni i wróciła z

następną, dopiero co zdjętą z pieca. Była to misa pełna kapusty, marchwi, dużego brązowego grochu, jak również jarzyn, których Michael nigdy dotąd nie widział - jakby ogórków w brązowej skórce, ale o trójkątnym przekroju. Mięsa nie było.

Powieki mu opadły, ale ocknął się, żeby jeszcze usłyszeć: ...tak więc widzisz, chłopcze, nasza sytuacja tutaj nie jest do pozazdroszczenia. - Mówił to wysoki, potężnie zbudowany jegomość o bujnej, szpakowatej brodzie, siedzący

naprzeciw, o jedno krzesło na lewo od niego.

- Co? Znaczą się, słucham? - wybąkał Michael mrugając powiekami.

- Mówię, że miasto nie znajduje się w najlepszym położeniu. Od kiedy Izomag przegrał wojnę, zostaliśmy

internowani na Ziemiach Paktu, pośrodku Przeklętej Równiny. Oczywiście żadnych dzieci...

Pulchna, kasztanowowłosa kobieta siedząca obok syknęła i wzniosła oczy w górę. -- Z pewnym wyjątkiem -- ciągnął

posyłając jej surowe spojrzenie -- i wybaczą tę niedyskrecję, ale chłopiec musi poznać swoje położenie.

W tym momencie kilkoro stołowników zakrzyknęło: - A gdzie jest Savarin''

To on powinien uczyć tego chłopca powiedziała kobieta o kasztanowych włosach.

Chłopiec - upierał się mężczyzna - musi widzieć, że są tu swego rodzaju dzieci, żeby przypominać nam o ryzyku, na jakie się narażamy. Mieszkają w Kojcu pośrodku Euterpe. - Kasztanowowłosa kobieta przeżegnała się i spuściła

głowę poruszając bezgłośnie ustami. - I w całej tej krainie nie ma żadnego instrumentu, na którym można by grać.

- Grać? spytał Michael. Wszyscy siedzący przy stole spojrzeli po sobie.

- No, muzykę - powiedział Brecker.

- Muzykę - powtórzył za nim Michael wciąż zdezorientowany.

- Chłopcze powiedział silnie zbudowany mężczyzna wstając - chcesz przez to powiedzieć, że nie grasz na żadnym instrumencie?

- Nie gram.

- Nie znasz się na muzyce?

- Lubię jej słuchać - powiedział Michael czując niepokój z powodu ich zaskoczenia. Siedzący za stołem znowu

wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Brecker sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Chłopcze, twierdzisz, że trafiłeś tutaj nie za sprawą muzyki? - Chyba nie - bąknął Michael.

Kobieta o kasztanowych włosach wydała rozdzierający jęk i odsunęła swoje krzesło od stołu. W jej ślady poszło kilkoro

innych. A więc skąd się tu wziąłeś? spytała, nie patrząc mu już w oczy.

- On chyba nie jest dzieckiem, co? - zawyła tęga kobieta siedząca na końcu stołu. Towarzyszący jej mężczyzna

chwycił ją za ramię i siłą zmusił, aby z powrotem usiadła. Oczywiście, że nie powiedział. - Znamy przecież te dzieci.

On ma normalną twarz.

-- No to jak się tu dostałeś?

Zacinając się Michael opowiedział w Waltirim, o karteczce. o domu Clarkhama i o przejściu. Coś - może zmęczenie

- nie dało mu wspomnieć o postaci w sukni z falbanami. Gdy skończył, zebrani pokiwali zgodnie głowami.

- To najniezwyklejsza z dróg stwierdził potężny mężczyzna. Nigdy o niej nie słyszałem.

- Bez wątpienia Lamia potrafiłaby nam więcej wyjaśnić odezwał się ktoś; Michael nie zauważył kto.

- Ja wiem - rozległ się tubalny, burkliwy głos. Zebrani zamilkli. Brecker trącił Michaela i wskazał na mężczyznę siedzącego po przeciwnej stronie stołu, na prawo od nich. To lokator apartamentu - wyjaśnił.

Mężczyzna był starszy od reszty zebranych, z których żaden nie wyglądał na więcej niż czterdzieści, czterdzieści pięć lat. Wierzch głowy przykrywały mu siwe, przerzedzone włosy, a jego blada twarz wyrażała gorzką obojętność.

Jasnoniebieskie oczy mężczyzny przesuwwały się z jednej zaskoczonej twarzy na drugą. On się n i g d y nie odzywa -

szepnął Brecker.

- Chłopcze powiedział mężczyzna wstając - nazywam się Frederick Wolfer. Słyszałeś o mnie?

Michael potrząsnął głową. Mężczyzna miał na sobie znoszony czarny, uroczysty garnitur. Biała koszula była

pożółkła i podarta, a na łokcie marynarki naszyto łąty z niedopasowanego kolorystycznie szarego materiału. - Czy Arno Waltiri wspominał coś o mnie?

- Nie - zaprzeczył Michael.

- To on mnie tu przysłał - powiedział Wolfer poruszając szczęką. Podniósł drżącą rękę. Przysłał starego już

człowieka do krainy, która nie toleruje starych. Na szczęście trafiłem na dobrych ludzi. - Przy stole rozległ się pomruk. - Na szczęście

wytrzymałem niewygody wojny, próby zbudowania tu imperium przez Clarkhama i internowanie nas wszystkich

tutaj, na Ziemiach Paktu. Wszystko to... - Urwał i rozejrzał się po suficie, jak gdyby chciał znaleźć unoszące się gdzieś tam właściwe słowa. - Ponieważ pewnej letniej nocy, nie wiem już ile dziesiątków lat temu, poszedłem na koncert i wysłuchałem utworu muzycznego, muzyki napisanej przez Arno Waltiriego. Tak, znam to nazwisko.

Jestem jedynym pozostałym przy życiu z tych, których przeniosła jego muzyka. Jedynym. Musisz zrozumieć naszą

sytuację chłopcze. Wszystkich nas tutaj, wszystkich ludzi w Królestwie, w Mroku Sidhe, w Czarodziejskim Cieniu, czy jak chcesz sobie nazywać to przeklęte miejsce, wszystkich z wyjątkiem ciebie przeniosła tutaj muzyka.

- Zaczarowana - wtrąciła kasztanowowłosa kobieta. Przeniosła nas na tę stronę - przytaknął pulchny, czarnowłosy mężczyzna.

Mnie, kiedy grałem na trąbce - dorzucił potężny facet. - A mnie, kiedy na pianinie - powiedział inny.

Wolfer podniósł rękę, żeby ich uciszyć. - Ja nie grałem na niczym; byłem krytykiem muzycznym. Wciąż mam

wrażenie, że Waltiri zemścił się... umieszczając mnie na zawsze wśród muzyków.

Kochaliśmy muzykę - powiedział Brecker. - Dodaliśmy do muzyki ludzi coś, czego w niej nie było...

Jeśli nie brać pod uwagę koncertu Waltiriego - wpadł mu w słowo Wolfer.

- Dodaliśmy do niej coś od siebie i uczyniliśmy taką, jaką od tysięcy lat grają ją Sidhowie, uczyniliśmy ją pełną. I przeszliśmy. Wszyscy z nas kochają muzykę.

- A tutaj - powiedziała Rzyk - tutaj nie ma żadnej. - Sidhowie mówią, że całe ich Królestwo jest

muzyką - wtrącił

potężny mężczyzna - ale nie dla nas.

Spytaj Lamii, dlaczego się tutaj znalazłeś - podsunęła Ryzyk.

- I bądź ostrożny z tą kobietą, chłopcze - dorzucił Wolfer siadając z pełną rozpaczczą powolnością. -
Uważaj.

Rozdział czwarty

Michael pamiętał niejasno, że dowlókł się po obiedzie do swego pokoju, ale już zupełnie nie przypominał sobie, jak zasnął. Obudził się jednak w zupełnych ciemnościach na odgłos otwieranych drzwi, kroków i czegoś ciężkiego

stawianego na mikowej podłodze. Nie potrafił określić godziny.

To pewnie mój współlokator, pomyślał. Savarin. Zapadł znowu w niespokojną drzemkę, zastanawiając się sennie,

jakiż to hokus-pokus uprawia się w Królestwie.

O świcie otworzył szeroko oczy i spojrzał na wybrzuszenia między deskami górnej pryczy. Przekręcił się na bok pod szorstkim kocem i popatrzył na kufer ustawiony pod ścianą, obok umywalki. Kufer wypleciony był z wszechobecnej wikliny i miał ręczki z grubego sukna.

W nocy nic mu się nie śniło. Sen wprowadził mu przerwę w życiorysie, w czasie której równie dobrze mógł nie żyć.

Mimo to czuł się wypoczęty. Zastanawiał się właśnie, czy by nie wstać z łóżka, kiedy ktoś zapukał do drzwi. W tym samym momencie znad krawędzi górnej pryczy wychyliła się rozczochrana głowa.

- Świta - oznajmiła zza drzwi Ryzyk. Michael usłyszał, jak odchodzi korytarzem.

- Dzień dobry - odezwał się współlokator Michaela. Był to mężczyzna około czterdziestki o siwiejących rudych

włosach i wielkich jasnych oczach. Miał wydatny nos i cofnięty podbródek osadzony na cienkiej szyi, na której jabłko Adama ledwie rysowało się pod skórą.

- Dzień dobry - odpowiedział Michael.

- O, Amerykanin? - spytał mężczyzna. Michael skinął głową. - Nazywam się Henryk Savarin. Zająłeś moją pryczę. -

Michael Perrin. Przepraszam.

Skąd? Z Los Angeles.

Savarin spuścił się zwinnie po drabince pryczy i z plaśnięciem wylądował na podłodze. Spał w brązowych spodniach i obszernej koszuli, a nogi miał owinięte w filcowe onuce przytrzymywane kawałkami sznurka.

- Krótki koc tam na górze wyjaśnił. Rozplątał węzły sznurka, ściągnął onuce i wsunął bosc stopy w szmaciane

łapcie. Muzyk?

Michael potrząsnął głową. -- Raczej uczeń.

- Student! -- Savarin uśmiechnął się i przejechał dłońmi po nogawkach spodni usiłując wygładzić zmarszczki.

Człowiek nauki, taki jak ja, w tej krainie pełnej postrzeleńców na punkcie muzyki. Wyciągnął rękę. Miło mi cię poznać.

Michael potrząsnął ręką Savarina. - Właściwie to nie jestem studentem -- bąknął.

- Oni podsłuchują, wiesz? - powiedział Savarin wskazując ruchem głowy na zamknięte drzwi. Co do mnie. uważam

podsluchiwanie za coś niegodnego. A więc na razie żadnych pytań. Ale... - podniósł rękę i znowu się uśmiechnął. -

Powiem ci coś; obserwuję tutejszych ludzi, studiuję Sidhów i ich języki i czasami uczę nowo przybyłych. Swego czasu nauczałem muzyki, ale sam gram bardzo słabo na fortepianie. No i mimo wszystko muzyka mnie wciągnęła.

Przeszedłem, jak to oni określają.

Michael ubrał się szybko i zszedł za Savarinem do jadalni. Poranne słońce odkryło wyblakłe, ręcznie malowane

kwiaty pokrywające ozdobnymi rzędami ceglane ściany na podobieństwo tapety. Po obiedzie z poprzedniego

wieczora nie pozostało ani śladu. W jadalni znajdowali się tylko Savarin, Michael i stary Wolfer. Wolfer zdawał się ich nie zauważać. Siedział przy osobnym małym stoliku pod oknem i jadł swoją owsiankę nabierając po łyżce co

jakieś pół minuty i kontemplując z uniesionymi brwiami rozproszone światło poranka.

Savarin, dzierżąc postawioną na sztorc łyżkę, czekał, aż Ryzyk zwali mu do miski kopiastą porcję skawalonej kaszy owsianej i poleje ją chudym mlekiem z glinianego dzbanka. Michael został

obsłużony w ten sam sposób. Kasza

zalatywała trochę zagrodą dla koni, ale w smaku nie była zła.

Masz dzisiaj iść do Lami przypomniała Michaelowi Ryzyk zawracając do kuchni. Powiedziała to tak obojętnie, jak gdyby nie był już dla gospody ani osobliwością, ani żadnym honorowym gościem i w związku z tym nie mógł liczyć na zbyt wiele.

Savarin uśmiechnął się do Michaela i przekrzywił głowę. Masz randkę z wielką babą w domu Izomaga?

Tamteży tutaj przyszedłem odparł. Savarin przestał jeść. Coś mi się obito o uszy powiedział marszcząc brwi. To niesamowite. Mówisz, przez dom?

- Przez bramę na tyłach.

- Rzeczywiście niesamowite. Savarin nie odezwał się już słowem, dopóki Ryzyk nie przysłała po puste miski. Zabrała opróżnioną do połowy miskę spod łyżki Woltera i odniosła ją do kuchni pogwizdując fałszywie.

- Czy wiesz odezwał się Savarin tak głośno, aby Ryzyk mogła go usłyszeć - że Sidhowie nie pałają zbytnią sympatią do ludzi, a między innymi dlatego, że często gwizdzą, tak jak teraz nasza gospodyni?

Michael potrząsnął głową. Kto to są Sitowie?

- Między innymi Alyons i jego jeźdźcy. Władcy Królestwa. Gwizdanie bardzo ich denerwuje. Denerwuje ich zresztą ludzka muzyka wszelkiego rodzaju. Są bardzo wrażliwi. Sądzę, że gdybyś szedł gwizdząc Czarodziejską ścieżką,

kiedy jeszcze żyli na Ziemi, ukamienowaliby cię jak amen w pacierzu. Są źli, kiedy kala się ich sztukę, rozumiesz?

Michael pokiwał głową. Kim jest Lamià?

Savarin wzruszył ramionami. - Na ten temat wiesz chyba więcej ode mnie. To wielka baba, która mieszka w domu

Izomaga. - Kto to jest Izomag?

Czarownik. Rozzłościł Sidhów daleko bardziej niż ktoś, kto tylko pogwizduje. Savarin uśmiechnął się. Wróciła

Ryzyk z dzbankiem wody i rozlała ją do glinianych kubków, postawiła jeden przed Wolferem, jeden przed

Savarinem i jeden przed Michaeliem. Savarin trącił ją i pogroził palcem. Ta melodia powiedział -

sprowadza

nieszczęście.

Ryzyk przytaknęła skinieniem głowy. Zły nawyk - mruknęła.

- Sitowie sprawiają wrażenie... - zaczął Michael, ale Savarin mu przerwał.

- Zle to wymawiasz. Pisze się S-I-D-H, od staroceltyckiego a właściwie to starożytni Celtowie słyszeli, jak tamci określali się tą nazwą. Wymawiają to jak coś pośredniego między Szii i Szitii.

- Rozumiem powiedział Michael. - Spróbuj.

Spróbował. - Sziti...

- Blisko. Spróbuj jeszcze raz. - Szytii...

- O właśnie.

- ...no więc oni sprawiają wrażenie dosyć okrutnych.

I są trudni we współżyciu. Ale przecież jesteśmy tu intruzami, a mówiono mi, że przybyli do Królestwa w ucieczce przed ludzkością. Od dawna panuje między nami wrogość.

- Ale nie odniosłem wrażenia, żeby ktokolwiek z Euterpe przebywał tutaj z własnej woli.

- Tym gorzej, prawda? Mówisz po niemiecku? - Nie.

Savarin uśmiechnął się zuchowato, ale widać było, że jest rozczarowany. - To dziwne - mruknął. - W Królestwie żyje tylko jeden czy dwóch z niemieckiej grupy językowej, a przecież w Niemczech muzykę tak sobie ceniono. -

Przechylił się przez stół. - A więc niewiele wiesz o Lamii?

Michael pokręcił głową.

- Dowiedz się o niej, ile będziesz mógł. Tylko ostrożnie. Obiło mi się o uszy, że ona ma temperament. A kiedy... a jeśli wrócisz, opowiesz mi wszystko.

- Jeśli?

Savarin odpędził to słowo machnięciem ręki. - Wrócisz. Mam pewne przecucia co do twojej osoby... jesteś

niezwykły.

Kilka minut później Michael opuścił hotel. Brecker wyszedł za nim na ulicę i wręczył mu wytartą płócienną torbę z kawałkiem chleba. - Słyszałem, że spiżarnia Lamii jest pusta... zazwyczaj rzekł. -

Powodzenia.

Michael ruszył z powrotem drogą, którą szedł poprzedniego dnia. Serce mu waliło; ręce miał zimne. Na peryferiach osady zebrała się gromadka ludzi odprowadzająca go wzrokiem.

Nie dostrzegł ani nie spotkał żadnych konnych Sidhów. Prawdę mówiąc nie widział niczego, co by się poruszało; ani zwierząt na ziemi, ani ptaków w powietrzu. Niebo nad głową wyglądało jak pomalowane na jasnoniebiesko, a

zielonkawy brąz zmieszany z pomarańczowymi plamami na widnokręgu przypominał warstwę smogu. Słońce

przygrzewało, ale niezbyt silnie; prawdę mówiąc było jakieś mniej jasne - mógł na nie patrzeć prawie bez końca i nie raziło oczu.

Krok za krokiem dotarł wreszcie do samotnego domostwa nabrawszy po drodze wrażenia, że jest zamknięty w

przeźroczystej bani, która nie dopuszcza do niego Królestwa, nie pozwala, aby stało się dlań realne, a zarazem nie przepuszcza na zewnątrz jego myśli uniemożliwiając mu przez to zrozumienie tego, co widzi.

Kiedy zbliżył się do ścieżki wiodącej do domu, jego pole widzenia zawężyło się. Skupił wzrok na drzwiach

frontowych uchylonych do połowy, jak gdyby się go tu spodziewano. Skręcił na ścieżkę.

Przystanął na ganku i wziął głęboki oddech. Bania zdawała się nie dopuszczać nawet powietrza do jego płuc.

Odetchnął jeszcze raz z trochę lepszym rezultatem.

Jego pokój. Jego książki. Filmy w telewizji w sobotnie popołudnie. Matka i ojciec. Golda Waltiri ze łąką spływającą po policzku i dalszymi, kręcącymi się w oczach. Michael czuł się pusty, pełen echa.

Usłyszał zbliżający się tętent koni. Drzwi otworzyły się na całą szerokość i wysunęło się przez nie grube ramię, które pochwyciło go i wciągnęło do środka, nim zdążył zareagować. Uścisk Lamii był boleśnie silny. Puściła go i zaraz porwała za kołnierz kurtki podnosząc do poziomu swojej głowy i przyglądając mu się bacznie swymi maleńkimi

oczkami. - Do schowka! wyszeptwała chrapliwie. Na wpół zawlokła, na wpół zaciągnęła go do wielkich schodów i

otworzywszy drzwiczki znajdującej się pod nimi wąskiej komórki wepchnęła go do środka. Upadł na wznak na coś

miękkiego i zakurzonego, i starał się powstrzymać napływające do oczu łzy, drżąc tak i silnie, że aż

dzwoniły mu zęby.

Usłyszał kroki za drzwiami schowka. Drzwi frontowe zamknęły się z ledwie słyszalnym trzaskiem, jak gdyby w ich zamknięcie włożono akurat tyle energii, ile trzeba i ani trochę więcej.

Znowu usłyszał głosy Sidhów - rozkazujące i melodyjne mówiących w jakimś zupełnie nieznanym języku. Lamia

odpowiedziała po angielsku głosem złagodzonego i służalczego. - Nic nie czułam. Przez chwilę słyszeć było inny

głos płynny i wysoki, ale na pewno męski.

Nikogo tu nie ma, nikt nie przechodził powiedziała Lamia. Mówię wam. Nic nie czułam. Nic mnie nie obchodzi, co dzieje się w mieście. Wiecie lepiej niż ja, że to sami głupcy.

Michael wyciągnął w ciemnościach rękę, szukając czegoś, czego mógłby się uchwycić, żeby wstać. Jego dłoń

natrafiła na zgrzebną tkaninę, potem na coś miękkiego i gładkiego, czego nie potrafił zidentyfikować; jak skóra, ale cieńsze i lało się niczym jedwab.

Głosy Sidhów nie milkły przybierając wężowy ton pogroźki. - Trwam na posterunku, obserwuję powiedziała Lamia.

Zmuszacie mnie, żebym tu tkwiła, trzymacie moją siostrę przy bramach; jesteście waszymi niewolnicami. Jak

mogłybyśmy się wam sprzeciwiać?

Michael wychwytał z odpowiedzi jeźdźca jedno słowo: Clarkham.

Nie było go tutaj powiedziała Lamia. Na tym konwersacja się urwała. Drzwi frontowe otworzyły się i odgłos

przypominający podmuch wiatru oznajmił wyjście jeźdźców. Michael poszukał po omacku klamki. Nie znalazł jej.

Schówek otworzyła Lamia. - Wychodź - powiedziała. Mrugając oczyma oślepiiony dziennym światłem, postąpił krok

do przodu i potknął się o coś miękkiego i zarazem twardego. Zanim zdążył się obejrzeć i sprawdzić, co znajdowało się w schowku, Lamia odwróciła go do siebie gwałtownym ruchem i zatrzasnęła drzwiczki. Najadą dzisiaj miasto.

Szukają kogoś. Półmiasta nie będą niepokoić; nigdy tego nie robią. A więc wysyłam ciebie tam. Najpierw jednak posłuchaj mnie i odpowiedz na kilka pytań.

Michael strząsnął z ramienia jej rękę i cofnął się. - Ja też mam parę pytań - powiedział.

Jakim prawem? Jeśli tu trafiłeś, powinieneś wiedzieć wszystko, co można.

- Ale nie wiem! Okrzyk Michaela przeszedł w pisk frustracji. Łzy znalazły sobie wreszcie ujście. - Ja nic nie wiem; nie wiem nawet, gdzie jestem.

- W Mroku Sidhe powiedziała Lamia odwracając się do niego plecami. Chodź ze mną podjęła nieco łagodniejszym

tonem. Znajdujesz się w Czarodziejskim Cieniu. W Królestwie. Nie jesteś już na Ziemi.

Już mi to mówiono. Ale gdzie to jest?

Nie na Ziemi - powtórzyła Lamia. Ruszyła przed siebie. Jej cielsko dygotało przy każdym ruchu.

Czy mogę wrócić? krzyknął za nią. - Nie tą drogą. Może nawet nigdy.

Michael, oklapły nagle, powlókł się za nią szerokim korytarzem prowadzącym do strawionego pożarem skrzydła

domu.

Rozdział piąty

Przed laty toczyła się tutaj wojna powiedziała Lamia. Ogarnęła całą równinę. Rzeka zamieniła się w parę, drzewa stały się węzami i odpełzły, ziemia popękała otwartymi ranami, odsłaniając wszystkie wcześniejsze pomyłki

Adonny, wszystkie jego nieudane twory. A pośrodku tego... Przerwała rozkładając swe grube ramiona, żeby ogarnąć zrujnowane skrzydło. Pośrodku tego stał samotnie ten dom. Izomag stracił wszystko, prawie wszystko. Ale umknął i nadal był dość silny, aby zagrozić im straszną zemstą, jeśli nie wejdą z nim w układy. Ze swej strony Sidhowie mieli stworzyć nadające się do zamieszkania miejsce na terenach Przekłętej Równiny i zgromadzić tam wszystkich ludzi, wszystkich tych, którzy przeszli i byli prześladowani. Sidhowie nie mieli ich krzywdzić, lecz opiekować się nimi. Ze swej strony Izomag miał odejść gdzieś daleko i nie uprawiać żadnych czarów w tej części Królestwa. Zwróciła na niego swoje maleńkie oczka i Michael ujrzał w nich błysk wyzwania i siły, który, zdawało się, nie pasował do tej masywnej, nalanej twarzy. Kiedy zamknęła oczy, ledwie przypominała istotę ludzką. Byłam wtedy młoda.

Westchnęła głęboko i spazmatycznie, wypuszczając z gwizdem powietrze przez mały, wąski nos.

Przystanęli przy długim, nadpalonym stole, wokół którego stały w nieładzie zdewastowane krzesła. Wśród rupieci zwalonych na blacie Michael dostrzegł błyski zaśniedziałych srebrnych talerzy, pogiętych i nadtopionych widelcy i noży, poharatanych metalowych kubków i potłuczonego szkła, wszystko pokryte warstwą miałkiego, szarego kurzu

oraz kawałkami drewna i tynku. W powietrzu unosił się wciąż duszący zapach dymu.

To było przed laty. Przed wiekami - powiedziała Lamia. Przesuwając po jednej potężnej nodze na raz, powoli i

ociężale jak

słoń obróciła się twarzą do niego i drżącą lewą ręką wskazała w jego kierunku. Przyszedłeś z czymś potężnym w sobie. Wiem to. Czy jesteś tego świadom?

Michael potrząsnął głową.

- Wkrótce dowiesz się, co to takiego. To dziwne miejsce; nie bądź tu niczego pewien. A nade wszystko okazuj

posłuszeństwo. To ostatnie słowo wywarczała i zbliżyła się do niego, przystając w odległości metra, kiedy zaczął się cofać. Masz wciąż tę książkę. Radzę ci ją ukryć. Sidhowie nie lubią ludzkich słów, nie mniej niż ludzkich pieśni.

Dlaczego mnie nie posłuchałeś? - Nie miałem jej gdzie schować.

- Masz wątpliwości, czy należy mnie słuchać? W jej głosie nie było groźby, ale i tak poczuł, że ciarki przechodzą mu po plecach. Nie odpowiedział.

- Jestem drugą strażniczką. Czy spotkałeś pierwszą? - Nie wiem.

Wiedziałbyś, gdybyś ją spotkał, chłopcze. Wierz mi, wiedziałbyś.

Przypomniał sobie postać w sukni z falbanami. Tak, chyba ją spotkałem.

Przestraszyłeś się jej? Skinął głową.

Mnie się tak nie boisz, to widać. A przecież... Uśmiechnęła się; skrzywienie ust minimalnie przesunęło płatki jej policzków i podgardla. To ja kieruję tamtą. Czy to jasne?

- Jeśli nikt tędy nie przechodzi, to dlaczego tu jesteś? spytał Michael. Lamia zachichotała zasłaniając dłonią usta i hamując swą wesołość w taki sposób, że zrobiło mu się niedobrze.

Tak - powiedziała. Czeka cię dużo pracy. Jesteś nowy i na pewno nie masz nawet w połowie pojęcia, co trzeba robić, żeby po prostu utrzymać się przy życiu. A wierz mi, nie chciałbyś tutaj umrzeć. Aby przeżyć, będziesz musiał

przejsć odpowiednie szkolenie.

- Ja nie chcę tu zostać. Chcę wracać. - Zacisnął pięści. Wciąż nie mógł uwierzyć w nieodwracalność tej sytuacji.

- Żeby wrócić, musisz iść naprzód - powiedziała Lamia. Istnieje tylko jedna osoba dysponująca siłą potrzebną, by odesłać cię z powrotem. On żyje bardzo daleko stąd i żeby do niego

dotrzeć, będziesz musiał odbyć pełną niebezpieczeństw podróż. Dlatego musisz poddać się treningowi. Rozumiesz mnie teraz? Pochyliła się i spojrzała na niego z bliska. A może jesteś równie głupi, jak młody?

Nie jestem głupi odburknął Michael.

Niektóre dzielnice Królestwa są bardzo piękne, chociaż niewielu ludzi przechodzi przez Przekłętą Równinę, aby je zobaczyć. Sidhowie są wrażliwi na piękno. Zgłiszcza pozostawiają ludziom.

A ty jesteś człowiekiem? - spytał Michael.

Biała skóra Lamii lekko spurpurowiała. Teraz nie. To jesteś Sidhem?

Nie. Jej śmiech zadudnił głęboko w zwalistym tułowiu. No, dosyć już tych pytań. Jeszcze jedno i...

- Jeśli nie będę pytał, to jak dowiem się czegokolwiek? Nim zdążył się uchylić, ręka Lamii wykonała błyskawiczny ruch niczym ogon skorpiona i jej dłoń wymierzyła mu siarczasty policzek. Przeleciał przez zagraconą salę i upadł w kupę popiołu, wzbijając gęsty tuman. Lamia przebiła się przez unoszącą się w powietrzu chmurę, złapała go obiema rękami za ramiona, podniosła bez wysiłku w górę i rozhuśtała nad podłogą. Poprzez mgiełkę, jak gdyby z odległości wielu mil, dotarł do niego jej łagodny, niemal słodki głos.

Pójdiesz do Półmiasta. Dostaniesz instrukcje od Żurawic Zrozumiałeś?

-- Hotel...

Potrząsnęła nim tak, że poczuł, jak zaklekotały mu kości. Nie zasługujesz na luksusy. Żurawice noszą imiona Nare, Spart i Coom. Powtórz.

Nie zapamiętał.

Jeszcze raz. Nare, Spart i Coom. Nare, Spart...

Coom. Coom. Oczekują cię. Nauczają cię, jak przetrwać. Nauczają cię też

może, jak patrzeć, słuchać i zapamiętywać, jak lepiej oceniać sytuację. Myślisz, że to możliwe? - Trzymała go jedną ręką, a drugą otrzepywała. Jej dotyk był gorączkowo ciepły. Postawiła

go na podłodze w pobliżu stołu i spojrzała z zadumą na pocerniałe od ognia krokwie.

- To zdarzyło się w połowie bankietu powiedziała cicho. Zaskoczyli nas. Często urządzaliśmy tu przyjęcia. Było wspaniale. Michael usiłował opanować drżenie, ale mu się nie udawało. Był przerażony i wściekły. Najchętniej by ją zabił.

Idź powiedziała. Powiedz karczmarzowi i jego żonie, że Lamia nie potrzebuje już ich usług. Sam udaj się do

Półmiasta. Do Żurawic Powtórz ich imiona.

Nare, Spart i Coom.

Chrząknęła. Idź, zanim powrócą tu Sidhowie. Czmychnął korytarzem ze zrujnowanego skrzydła i dopadł do drzwi

frontowych. Biegł drogą do Euterpe, nie zwracając uwagi na obijającą mu się o biodro książkę, dopóki nie poczuł, że za chwilę pękną mu płuca. Twarz miał zlaną łzami bezsilnej wściekłości. Zatrzymał się przy popękanych, szklistym głazie i walił weń pięściami, dopóki nie zaczęły krwawić. - Niech cię szlag trafi, niech cię diabli porwą!

Zamilcz lepiej szepnął wiatr. Michael podskoczył i obrócił się na pięcie. Ani żywej duszy.

- Nie zapominaj, gdzie jesteś.

Krzyknął. Coś musnęło jego włosy i spojrzał w górę. Ujrzał nad sobą przezroczystą jak pajęcza sieć, wąską i

bezkrwistą twarz. Odwróciła się i znikła.

Zatykając dłońmi usta, rozmazując sobie krew po policzku i zataczając się jak pijany, przebiegł resztę drogi do Euterpe nie zważając już na swoje płuca ani nogi.

Ryzyk przyjęła jego wyjaśnienia z pozorną obojętnością. Brecker skinął głową i odprowadził go na górę do pokoju. -

Przybyłeś tu, jak stoisz, a więc nie masz bagażu do zabrania - powiedział. Ale możesz mi pomóc posprzątać. -

Zamiatali w milczeniu podłogę. Michael był zmieszany tą formą zapłaty.

Nie ja tu naśmiecilem - mruknął. - Mieszkałem tu tylko jedną noc.

Każdy z nas coś robi powiedział Brecker. - To pomaga nam wytrwać.

Nawet wtedy, gdy nie ma nic do roboty?

Brecker wsparł się na kiju od szczotki. Skąd masz tego siniaka?

- Lamia mnie uderzyła. - Za co?

Nie wiem za co - skłamał Michael.

Najpewniej za zadawanie głupich pytań - zawyrokował Brecker biorąc się znowu do zmiatania. - To surowa kraina, chłopcze. Skądkolwiek przychodzisz, wygląda na to, że wiodłeś tam beztrudne życie wśród normalnych ludzi. Tutaj tak nie jest. Za błędy trzeba płacić. -- Przytrzymał szufelkę, żeby Michael mógł wmieść na nią pył i płatki miki. -

Błędy drogo kosztują.

Schodząc na dół spotkali na schodach Savarina wspinającego się na górę. Michael minął go ze wzruszeniem ramion.

Już odchodzisz? - spytał Savarin oglądając się za nimi.

Do Półmiasta odparł Michael.

- Mogę ci towarzyszyć spytał Savarin. Michael znowu tylko wzruszył ramionami. - To mogłoby być bardzo

pożyteczne. Z Euterpe do Półmiasta szło się dwie mile drogą biegnącą na wschód.

- W każdym razie my nazywamy to wschodem - wyjaśniał Savarin krocząc obok Michaela. Michael trzymał ręce w

kieszeniach kurtki, ściskając jedną tomik wierszy. - Wiesz, tam wschodzi słońce.

Michael nie odzywał się idąc ze wzrokiem utkwionym w ziemi. - Skąd masz tego sińca?

- Lamia mi przyłożyła za to, że pytałem.

Savarin zacisnął usta. Słyszałem, że ta Lamia, to twarda baba. Sam nigdy jej nie widziałem. Co to były za pytania?

Michael zerknął podejrzliwie na Savarina. - Co ty wiesz?

Mogłeś się już zorientować, że kiedy pojawiają się nowi ludzie, ja jestem ich nauczycielem. Wiem chyba tyle, co każdy z tutejszych ludzi nie licząc Izomaga, ale mija już kilkadziesiąt lat, jak go tu nie ma.

- Gdzie my właściwie, u diabła, jesteśmy?

- Niektórzy utrzymują, że to piekło, ale to nie piekło. Zaryzykowałbym twierdzenie, że to legendarna Kraina

Czarów, którą niektórzy uważają za krainę zmarłych; ale ani jedna z uwięzionych tu osób nie umarła na Ziemi, a więc moje przypuszczenia są

prawdopodobnie tyle samo warte, co i twoje. Spytaj Adonny. Adonna to stworzył.

- Kto to jest Adonna?

- Genius loci, bóg Królestwa. Większość Sidhów oddaje mu cześć. Z tego, co zdołałem się dowiedzieć, wynika, że nie gra w tej samej drużynie z tym, co stworzyło nasz wszechświat. Jest o wiele bardziej prymitywny Savarin

przymrużył oko. Ale uważaj, z kim rozmawiasz wygłaszając takie krytyczne uwagi. -- A więc znajdujemy się w

innym wymiarze'?

Savarin podniósł rękę i potrząsnął głową. -- Nie odpowiem ci na to. Jako naukowiec dokładałem wszelkich starań aby rozwiązać ten problem, i nadal jestem całkowitym ignorantem. Trudno tu o fakty. Prawdę mówiąc, miałem

nadzieję, że ty dostarczysz mi jakichś.

Kim są Sidhowie?

Śmiertelnymi wrogami rodzaju ludzkiego odparł Savarin pochmurniejac nagle na twarzy. - Oprócz tych, którzy

przypominają nas nieco wyglądem, istnieje jeszcze wiele rodzajów Sidhów. Są Sidhowie Powietrza, nazywani przez niektórych Meteoralami... Jak wyglądają?

Są to przezroczyste, płynące w powietrzu stworzenia przypominające duchy. Są Sidhowie lasów, nazywani

Drzewolami; ci są zieloni jak trawa. Mroczków można spotkać zawsze w cieniu; w nocy bywają bardzo potężni.

Morzole żyją podobno w oceanie, ale tu krążą tylko pogłoski o jakiejś wielkiej wodzie gdzieś daleko. Rzekole żyją w strumieniach i rzekach. Amorfici mogą przybierać coraz to inną postać. Większość Sidhów należy jednak do

rodzaju zwanego Czarodziejami; są nimi Alyons i jego jeźdźcy. Czarodzieje są podobni do ciebie i do mnie, i

możemy się nawet z nimi krzyżować, ale to zupełnie inna rasa, o wieki całe starsza od obecnego miotu ludzkości.

A co to jest Półmiasto?

- Osada zamieszkała przez Mieszkańców. Najczęściej są to istoty zrodzone z Sidhów płci żeńskiej zapłodnionych

przez mężczyzn - ludzi.

I nie mieszkają z ludźmi?

To nieszczęsne plemię - odparł Savarin. Podobno żyją wiecznie, tak jak Sidhowie, i tak jak Sidhowie nie mają dusz.

Ale

zmieniają się tak samo jak ludzie starzeją się w specyficzny dla siebie sposób. Ludzie ich nie akceptują. Sidhowie odżegnują się od nich, ale od czasu do czasu wykorzystują do swoich celów. Wielu zna magię Sidhów. Szli przez kilka minut w milczeniu. Kto ma się tobą opiekować w Półmieście'?

Żurawice - odparł Michael.

Savarin był wyraźnie poruszony. - Są potężne. Szpetne jak grzech i same to przyznają. To najstarsze z Mieszkańców, o jakich słyszałem. Lamia cię do nich skierowała?

Michael skinął głową. - Nie chodzę tam, gdzie przyjdzie mi ochota. Znaczą się, nie mam żadnego wyboru.

Może powinieneś się cieszyć. Dzięki temu popełniasz mniej błędów.

-- Czy Lamia jest Mieszkańcem?

Nie sądzę. Krąży o niej wiele opowieści, ale nikt nie wie, kim jest naprawdę. Podejrzewam, że kiedyś była

człowiekiem, ale uczyniła coś, czego Sidhowie nie lubią. Kiedy tu trafiłem, mieszkała już w domu Izomaga.

Za pagórkami droga przecinała osadę Mieszkańców rozłożoną na planie nieregularnego koła. Półmiasto zajmowało

około czterech hektarów i składało się z brązowych, ciemnobrunatnych i wyblakłoszarych budynków ciągnących się wzdłuż koncentrycznych, półkolistych uliczek, z których każda zaczynała się i kończyła na głównym trakcie.

Półmiasto otaczał pagórkowaty teren, jakby zaorany przez gigantycznego i nieuważnego rolnika, a grunt był

podmokły. W zagłębieniach stały kałuże i sadzawki wody, a w powietrzu unosiła się mdła woń bagna. Przez drugą stronę wioski przepływała odnoga rzeki, niewiele szersza od strumyka.

- Zwróć uwagę na budynki - powiedział Savarin zatrzymując się, żeby zawiązać tasiemkę przy swych szmacianych

łapciach. Co byś o nich powiedział?

Michael przyjrzał się zabudowaniom, a potem, żeby się upewnić, czy niczego nie przeoczył, przyjrzał się im jeszcze raz. - To szałas - stwierdził. - Wyglądają jak domy w Euterpe.

Savarin wyprostował się. - Wciąż jesteś mało spostrzegawczy. Patrz, mając na uwadze to, co już wiesz. Wskazał

nagi krajobraz: karłowate krzaki, pagórki i kałuże, niskie zarośla i rozrzucone po polach głazy.

O Jezu mruknął pod nosem Michael. To szałas, ale z drewna.

- Z drewna - powiedział z naciskiem w głosie Savarin. Widzisz tu jakieś drzewa?

- Nie.

- I po tym możesz odróżnić Półmiasto od Euterpe. Mieszkańcy mają krewnych Sidhów, a to oznacza

koneksje z Drzewolami. Drzewole sprawują kontrolę nad wszystkimi lasami w Królestwie. Ludziom wolno

korzystać tylko z

patyków, trzciny i trawy. Michael czuł zamęt w głowie. Wciąż nie mógł uwierzyć w realność Królestwa a mimo to stawało się

ono coraz to

bardziej i bardziej złożone.

- Tutaj wcale nie ma drzew?
- Za Przekłętą Równiną lasy można spotkać na każdym kroku, ale ani dla mnie, ani dla ciebie drewna nie ma. Bardzo niewielu ludzi opuszcza Ziemię Paktu. Na mocy umowy podpisanej z Izomagiem

kupcy Sidhów przybywają tu co

dwa tygodnie z towarami, ale Przekłęta Równina jest niebezpieczna nawet dla nich. Gdy podeszli na odległość jakichś trzydziestu metrów do zewnętrznego kręgu chat, Michael ujrzał

pierwszego

Mieszkańca. Był to potężnej budowy mężczyzna, nieco wyższy od Michaela, z długimi i prostymi

czerwonobrazowymi włosami. Stał pośrodku drogi z kijem w ręku i wyrazem znudzenia na twarzy. Zatrzymał ich

wyciągając przed siebie kij.
- Poznaję cię, Nauczycielu. Tego młodzieńca też znam. Lamia uprzedza nas o jego przybyciu - ale o tobie nie

wspomina. - Często tu przychodzę - powiedział Savarin tonem usprawiedliwienia.

- Zeszłej nocy byli tu jeźdźcy - odparł Mieszaniec. - Żadnym ludziom nie wolno już przebywać w Półmieście. Z

wyjątkiem oczywiście... - wskazał palcem na Michaela.

- Może lepiej idź powiedział Michael do Savarina. Dziękuję za pomoc.

Savarin łypnął spode łba na Mieszaniec. - Tak. Grunt to dyskrecja. Ale nigdy dotąd nie zabraniano mi wstępu do Półmiasta. Mam nadzieję, że to nie na stałe. Stąd zaczerpnąłem najwięcej informacji. - Westchnął, posłał

Michaelowi promienny uśmiech

i odwrócił się. - Ucz się pilnie, przyjacielu. I jeśli tylko będziesz mógł, wpadnij powiedzieć mi, czego się nauczyłeś.

Michael uściśnął jego wyciągniętą dłoń. Savarin ruszył z powrotem drogą, którą tu przyszli, pozostawiając go

samego ze strażnikiem. Chłodny wiatr rozwiewał im włosy i targał ubraniami. - A więc dokąd mam iść?

- Do Żurawic. Chodź.

Michael podążył za nim drogą. Trakt przecinający Półmiasto wybrukowany był brązową cegłą i kocimi łbami.

Chaty, chociaż skromniejsze niż domy w Euterpe, sprawiały wrażenie schludniejszych. Małe ogródki przed każdym domem wypełniały grzędy soczyscie zielonych roślin; nie dostrzegał wśród nich żadnych kwiatów.

Przez okna i otwarte drzwi przyglądali się mu inni Mieszaniecy. Mężczyźni dorównywali niemal wzrostem Sidhom,

których Michael widział przez mgnienie oka w domu Izomaga. Kobiety były smukłe, o szlachetnym wyglądzie,

choć Michael niewiele z nich nazwałby ładnymi. Twarze miały surowe, o ostrych rysach, za bardzo podobne do męskich.

Kiedy minęli wieś, przewodnik zszedł z głównej drogi i skręcił w stronę strumienia. Na drugim brzegu, przycupnięta na szczycie niskiego, szerokiego pagórka, stała większa chata o kształcie na wpół sflaczałej piłki futbolowej, pokryta patykami, błotem i słomianą strzechą. Gdyby nie dwa okrągłe okna ze szklanymi szybami i kamienny komin

wystający przez otwór w szczycie dachu, można by ją wziąć za jurte - przenośne domostwo nomadów ze środkowej

Azji. Na klepisku otaczającym chatę walały się niewielkie głązy i stosy rozmaitych rupieci posortowanych i

poklasyfikowanych - tu kupka kamieni, obok kije, dalej kości i czaszki zwierząt; pozostałych stosów nie potrafił

zidentyfikować. Zalaływało od tego zestarzałymi śmieciami; woń była bogatsza i bardziej sugestywna niż kurzu, ale nie całkiem odpychająca. Miejsce przeznaczone pod każdą hałdę wytyczały paliki, przy których, niczym smutne

bandery rozkładu, łopotały skrawki materiału.

- Jak mam przejść na drugą stronę?- spytał Michael, kiedy przystanęli na brzegu strumienia. Mieszaniec pokazał mu płaskie kamienie tuż pod powierzchnią leniwie płynącej wody.

- Czekają na ciebie - powiedział i zawrócił w kierunku Półmiasta. Michael przełknął ślinę, żeby pozbyć się skurczu chwytającego go za gardło, i postawił nogę na pierwszym kamieniu. Woda zawirowała wokół jego butów. Przyszło

mu do głowy, żeby przewrócić się w wodę i w ten sposób obudzić, przerwać senne majaki, ale jeśli nie wyrwały go ze snu zdarzenia, które już zaszły, to mało prawdopodobne, aby dokonał tej sztuki powolny strumień. Poza tym nie miał pojęcia, co czai się w głębinach. Było mu niedobrze ze strachu. Ścisnął kurczowo książkę i wszedł na drugi kamień. Tak bardzo zaprzątnięty był utrzymaniem równowagi, że nie zauważył postaci stojącej na drugim brzegu, dopóki się tam nie znalazł. Podniósł wzrok i zdrygnął się.

Halo - wykrztusił pośpiesznie.

Była to dziwaczna istota płci chyba żeńskiej. Wydłużone, gładkoskóre członki zachowały swe krągłe kształty,

zdradzając kobiecość, ale ręce zwisały jej do kolan. Twarz miała spłaszczoną, szerszą niż wyższą, z wąskimi,

wydłużonymi oczyma spoglądającymi spod cienkich, rzadkich brwi. Mierzyła sobie o jakieś pięć centymetrów mniej od Michaela i garbiła się lekko. Nogi w postrzępionych spodniach były nieproporcjonalnie długie w porównaniu z tułowiem. Uniosła jedną rękę do swej płaskiej piersi i zaczęła przebierać pajęczymi palcami. Były długie, ciemne, zakończone spiczastymi, cienkimi, czarnymi paznokciami.

- Halo - powtórzył. Bez pośpiechu zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, kiwając w jednostajnym rytmie głową, jakby była zupełnie niedołączna. Jej krótko przycięte włosy miały barwę i strukturę gęsiego puchu.

- Jan antros - wymruczała. - To tylko człowiek-dziecko. Głos miała skrzekliwy, pobrzmiwiający świstem wichury.

Michael potrząsnął mokrymi stopami i schylił się, żeby wylać

wodę najpierw z lewego, a potem z prawego buta. Czyniąc to, nie odrywał wzroku od kobiety. W butach mu

chlupało, kiedy ponownie nasunął je na nogi. - Jestem Michael powiedział, starając się, aby wypadło to jak

najsympatyczniej.

- Jesteś delikatnym, niewiarygodnie wątlym, co więcej bardzo słabowitym kawałkiem materii - dobiegł od strony chaty melodyjny głos. Przez okno wychylała się druga kobieta o podobnych rysach. Jej twarz stanowiła mozaikę

zmarszczek oraz czer

wonych i purpurowych tatuaży. - Nie wyglądasz na kogoś ważnego.

Za Michaeliem, chociaż nie było możliwe, aby podeszła go od tamtej strony niezauważona, stała na jednej chudej nodze trzecia kobieta, przyciskając drugą, podkurczoną nogę do piersi. Miała długie, matowoczerwone włosy

splecione w warkocz sięgający kolan. - Cieliste Jajo przysyła nam słabowite dziecko-człowieka. Chce, żebyśmy nad nim pracowały, szkoliły je?

- Czy to wy jesteście Nare, Spart i... Coom? - spytał Michael, starając się zapanować nad dzwoniącymi o siebie zębami.

- Ja jestem Nare powiedziała Żurawica stojąca na jednej nodze.

- Spart - rzuciła ta w oknie i...

- Coom - skrzeknęła postać o włosach jak puch, która pierwsza do niego przemówiła. - Chcesz, żebyśmy cię uczyły?

- Sam nie wiem, czego chcę - odparł Michael wiem tylko, że chcę się stąd wydostać.

Chichot Żurawic przypominał szelest liści ześlizgujących się po skale.

- Nie wyrządzimy ci krzywdy powiedziała Coom cofając się o krok. - Wielkiej. - Jej włosy poruszane wiatrem

zdawały się żywe.

- Nie obchodzą nas ludzie-dzieci - wtrąciła z boku Nare okrążając go.

- Ale istnieje coś, czego musisz pragnąć - dodała z okna Spart swym pięknym głosem. Splunęła aż pod stos rupieci.

- Przetrwać - powiedziała Nare. - Przeżyć w Mroku Sidhe.

- Walczyć o życie.

- Walczyć, by pozostać człowiekiem. - Rozumiesz?

Pozostawało mu tylko kiwać głową. W chwili gdy odwrócił się plecami do chaty, Spart zniknęła z okna i stanęła pomiędzy Nare i Coom. Była najwyższa z całej trójki i miała najdłuższą twarz, najbardziej przypominającą twarz Sidhów. Gdziekolwiek spod ubrania wystawała naga skóra, pokrywały ją tatuaże układające się w zawiłą płataninę liści, gałęzi i spirali.

Zbudujesz na tym pagórku dom odległy od naszego o trzydzieści kroków - powiedziała. - Dziś wieczorem dostaniesz drewno. Dopóki nie zbudujesz własnego domu, nie istniejesz.

A co mam robić teraz? - spytał. Patrzył na Spart i w tym momencie zdał sobie sprawę, że pozostałe dwie Żurawice zniknęły. Bądź cierpliwy. - Jej głos miał to samo hipnotyzujące

brzmienie, jakie zauważył słuchając Alyonsa i jeźdźców. - Potrafisz to, prawda?

Tak. Idź i usiądź tam, gdzie chcesz postawić dom. Drewno będzie. Żurawice wróciły do swojej chaty, zostawiając go na splechaku

udeptanej ziemi nad brzegiem strumienia. Przystąpił z nogi na nogę, potem spojrział nad wodą w kierunku Półmiasta.

Oslonił dłonią oczy i popatrzył w niebo.

Nie dostrzegł na nim nawet jednej chmurki. W górze rozpościerał się gładki roziskrzony błękit przechodzący nad horyzontem w pomarańcz i zieleń. W odległości około trzydziestu kroków od chaty i w takiej samej odległości od brzegu strumienia spoczywały oparte o siebie dwa głazy, tworząc naturalne siedzenie szerokie na mniej więcej metr i na pół metra wysokie. Michael podszedł do kamieni, usiadł i znowu spojrział w niebo. Czasami wydawało mu się, że jest splecione z barw, setek barw składających się wspólnie na błękit. Jednak nie przypominało malowidła. Było bardzo żywe, niepokojące tym, jak zdawało się przesuwac, wybrzuszac do dołu i kurczyć, wycofując z powrotem w górę.

Czuł się jak w transie. Wydało się mu, że aż do tej pory, kiedy został sam i miał tylko czekać, nie widział niczego wyraźnie. Teraz ta wyrazistość spłynęła na niego z nieba. Niebo, właśnie poprzez swoją nierealność, zdawało się ujawniac, jak realne było wszystko wokół.

Ale to nie była ta sama realność, jakiej doświadczał na Ziemi. Ta była bardziej żywa, bardziej oczywista i prostsza.

Ukląkł przy głazach, zerwał źdźbło trawy, obdarł je wzdłuż włókien i potarł postrzępione krawędzie rozmazując kropelki soku. Poczł łaskotanie na ręce i zobaczył maleńką mrówkę przedzierającą się przez las jasných, miękkich włosków. Mrówka była przezroczysta, i rzucała tęczowe blaski, niczym opal. Do tej pory nie przyszło mu do głowy zastanawiać się, czy w Mroku Sidhe istnieją owady. Najwidoczniej nie było ich wiele.

No a ptaki, koty, psy, krowy Widział konia, ale... skąd brało się mleko?

Był zmęczony. Oparł się plecami o kamienie i zamknął oczy. Ciemność pod powiekami była nieruchoma i

odprężająca. Wokół szumiał wiatr.

Zasnął. Nagle usiadł prosto i potarł łokcie zdrętwiałe od przyciskania do kamieni. Słońce zachodziło. Nie było jeszcze chmur, ale nad horyzontem wisały nieruchomo barwne pasma, najwyżej blade róże i zielenie, a tuż nad

rąbkiem słońca szczególnie żywa smuga pomarańcza. Michael nigdy dotąd nie oglądał takiego zachodu słońca.

Spojrzał ku wschodowi. Niebo było tam elektrycznie niebieskoszare. Na jego tle zaczynały się już pojawiać

gwiazdy, ostre i jasne jak rozgrzane do białości ostrza igieł. Zamiast mrugać, zataczały małe kręgi, jakby były odległymi ćmami na łańcuchach. W letnie noce Michael używał czasem atlasu nieba Whitneya do wyszukiwania na

niebie tych kilku konstelacji, jakie można było dostrzec poprzez gęste powietrze spowijające Los Angeles. Teraz nie potrafił rozpoznać żadnej.

Ochłodziło się znacznie. W oknach chaty Żurawic zamigotało pomarańczowe światło. Kusilo go, żeby zajrzeć do

środka i zobaczyć, co tam porabiają, ale potarłszy siniec na policzku dał sobie spokój.

Dopiero teraz zauważył, że nie ma zegarka na ręku. Sięgnął szybko do kieszeni spodni po klucz, ale jego również nie było. Została mu tylko książka.

Bez klucza czuł się niemal nagi. Rozwścieczyła go ta kradzież; oburzało go to, jak go traktowano, ale nie mógł na to nic poradzić.

Ostatni skrawek słońca ześlizgnął się za odległe wzgórza rozpalając na ciemnopomarańczowy kolor podobną do

dymu mgiełkę zalegającą, jak podejrzewał, nad Przeklętą Równiną, poza granicami Ziemi Paktu. Tam gdzie jeszcze przed chwilą było słońce, wypłynęła zza horyzontu ostro zarysowana wstęga ciemności

stapiając się z zenitem; po chwili, na podobieństwo cieni

plóciennych proporców łopocących na niebieskim wietrze, pojawiła się druga z jednej strony i jeszcze jedna z

przeciwnej.

Michael nasłuchiwał. Kraina wokół milczała, ale z nieba dolatywało ciche brzęczenie niczym odgłos wiatru w

drutach telefonicznych. Kiedy zapadły zupełne ciemności, brzęczenie ustało.

Potem od wschodu poczynając i stopniowo coraz dalej w kierunku zachodnim, zaczęły nieruchomieć na niebie

gwiazdy, jak gdyby wytrącały się z roztworu i osiadały na ściankach niebieskiej misy.

Gwiazdy były też w pyle. Podkurczył nogi pod brodę, opierając stopy na kamieniu, i spojrzał w dół. Pomiędzy

kilkoma źdźbłami trawy coś się iskrzyło i migotało. Wkrótce te błyski zbladły i ziemia z cichym westchnieniem utonęła w nocy, jak gdyby całe Królestwo było kobietą kładącą się na wznak na poduszce.

Nie, zdecydowanie nie, pomyślał Michael; pomimo zewnętrznego podobieństwa, to nie była Ziemia.

Siedział tak przez jakiś czas na kamieniach i nagle usłyszał głosy. Dochodziły od strony strumienia, ale nie widział, do kogo należały; ciemność rozpraszał tylko blask gwiazd i słaba teraz poświata padająca z okien chaty. Wpatrując się z napięciem w mrok i rozszerzając do granic możliwości źrenice, odróżnił wreszcie cień łodzi o niskich burtach sunącej strumieniem oraz kilka postaci stojących na dziobie. Łódź przybiła do brzegu i Michael usłyszał zbliżające się kroki.

Stanął na kamieniach. - Kto tam? - zawołał.

Otworzyły się gwałtownie drzwi chaty. Na tle wirującego, pomarańczowego blasku padającego z pieca rysowała się sylwetka Spart. Nadchodzące cienie przecięły smugę światła wylewającą się przez otwarte drzwi, stając się na

chwilę lepiej widocznymi. Były to cztery brązowawozielone - a może całkiem zielone - zupełnie nagie istoty. Trzy płci męskiej i jedna kobieta. Nie ulegało wątpliwości, że to Sidhowie. Wyróżniali się tymi samymi wydłużonymi sylwetkami i widmową gracją. Każde niosło, gruby kłoc.

Otoczyli Michaela i na jakiś znak, jednocześnie zwalili swoje kłoc z ramion na ziemię.

- Dura - powiedziała kobieta. Piękno jej głosu przyprawiło Michaela o drżenie.

To twoje drewno, chłopcze - odezwała się Żurawica z drzwi chaty.

Odwrócił się i krzyknął: Co mam z tym robić?

Ale drzwi chaty zamknęły się, a nadzy Sidhowie odeszli. Kobieta zerknęła jeszcze na niego przez ramię z pewną, jak mu się wydało, dozą sympatii, ale nic już nie powiedziała. Rozpłynęła się w mroku.

Stał jeszcze przez chwilę na głazie, po czym usiadł. Cztery kłocę, każdy jakieś pół metra szerokości i metr

wysokości, stały przed nim na sztorc. Nie był cieślą, jak ojciec; nie potrafił wyliczyć, ile metrów kwadratowych desek z nich wyjdzie ani jaki dom można z nich zbudować.

W każdym razie niewielki.

Oparł się plecami o kamień i znowu przymknął oczy. - Czym jesteś chłopcem?

Pomyślał, że śni. Wytarł odruchowo nos. - Hoy ac! Czyj to dom?

Michael obrócił się gwałtownie na kamieniach i spojrzał w kierunku, z którego dochodził głos. Stała tam tylko kłoda.

- Rup antros, jan wiros odezwał się głos podobny do głosu kobiety Sidhów, ale trochę zniekształcony. Quos maza.

Kim jesteś? - spytał cicho Michael. Nocne powietrze było już bardzo chłodne.

- Wszędzie wokół, antros. To prawda. Twoje słowa są anglosaskie i normańskie, z mglistej północy i ciepłego

południa. Ach, znalazłam kiedyś te języki, od samych ich korzeni... trwożyłam wielu Gotów i Franków i Jutów.

- Kim jesteś? Kim?

Przez chwilę trwała cisza, potem głos, dużo słabszy, odezwał się znowu. - Maza sed more kay rup antros. To dziwne; rozpadać się, by dać dom człowiekowi. Skąd ten przywilej? Ale i tak całe drewno przemija; piętno, trzeba ścichnąć...

I głos ścichł. Chociaż od tej chwili było już spokojnie i cicho, Michael nie zmrużył tej nocy oka.

Rozdział szósty

Kiedy wczesnym świtem osiadła wokół niego rosa, był prawie tak samo zimny jak kamienie, na których siedział.

Niebo zmieniło barwę z czarnej na szarą; mgła osunęła się na pagórek i na strumień kleistymi warstwami. Poprzez mgłę strzeliły z cichym sykiem na jakieś półtora metra w górę wąskie smużki

pary. Michael był zbyt zziębnięty, aby zwracać na to uwagę.

Pokręcił zeszywniałą szyją i zauważył, że wokół głazów nie ma już drewnianych kłocy. Rozpadły się w nocy na

stosy równo pociętych belek i desek. Kora każdego pnia leżała na ziemi obok swego podzielonego wnętrza.

Michaelowi było wszystko jedno. Czekał jak jaszczurka, aż wzejdzie słońce i rozgrzeje mu krew. Przez całą noc -

przez te godziny spędzone na odrętwiającym chłodzie niczego mądrego nie wymyślił, ale utrwaliło się w nim

poczucie nieprzystosowania.

Na wschodzie pojawiło się słońce, odległa czerwona krzywizna unosząca się spoza wzgórza za główną odnogą rzeki.

Michael rozprostował machinalnie ręce i nogi, podniósł się i stanął na kamieniach, żeby chłonać pierwsze promienie ciepła. Kości mu zatrzeszczały, a nogi omal się pod nim nie ugięły; zachwiał się, ale utrzymał równowagę. Ubranie nasiąknęło rosą.

Chata była cicha i ciemna, tak samo jak wioska. Jednak po kilku minutach, w chwili kiedy już poczuł, jak rozgrzewa go ciepło nowego dnia, usłyszał odgłosy krzątania dobiegające z domów Półmiasta. Z kamiennych i glinianych

kominów zaczęły się unosić smużki dymu.

Jego uszu dobiegł kobiecy śpiew. Z początku Michael zbyt był pochłonięty rozkoszowaniem się rozgrzewką, żeby

zwrócić na to uwagę, ale kiedy głos przybliżył się, odwrócił głowę i ujrzał bosonogą Mieszankę przechodzącą w bród strumień po płaskich

kamieniach. Ubrana była w płócienne spodnie do kolan i sznurowany stanik. Miała kruczoczarne włosy -

niecharakterystyczne, pomyślał ale jej twarz nosiła niezaprzeczalne znamię Sidhów. była wąska i długa z

wystającymi kośćcami policzkowymi i wąskim, prostym nosem. Nosiła cztery wiadra przykryte płóciennymi

kapturkami, po dwa w każdym ręku. Spojrzała na Michaela kierując się do chaty Żurawie

- Hoy -- pozdrowiła go.

- Halo - odwzajemnił się jej Michael. Zatrzymała się przed drzwiami, które otworzyły się ze skrzypieniem.

Wysunęła się przez nie długopalczysta ręka, chwyciła za dwa wiaderka, wciągnęła je do środka, po czym wysunęła się ponownie, żeby zabrać dwa pozostałe. Drzwi zamknęły się i dziewczyna zawróciła po swoich śladach.

Zatrzymała się i spojrzała na Michaela przekrzywiając głowę, a potem ruszyła w jego kierunku.

- O Boże mruknął pod nosem. Rozgrzał się już na tyle, że mógł drzeć, i strasznie chciało mu się sikać. Nie miał

ochoty z kimkolwiek rozmawiać, a już na pewno nie z Mieszanką.

Jesteś człowiekiem - powiedziała zatrzymując się jakieś sześć kroków przed głazami. - A jednak dali ci drewno.

Skinał głową, wciąż chłonąc ciepło rozpostartymi ramionami.

Mówisz po angielsku ciągnęła. - I przyszedłeś z domu Izomaga. Tak mówią o tobie w Półmieście.

Znowu skinął głową. Pod całym jego zziębnięciem i cierpieniem płynął stały prąd nieśmiałości. Głos miała

rozbrajająco piękny. Będzie się musiał przyzwyczać do głosów Sidhów i Mieszkańców.

- Wkrótce się ociepli - powiedziała ruszając w kierunku strumienia. Jeśli będziesz miał dzisiaj trochę czasu, przyjdź

do wioski. Dam ci kartkę na mleko i ser. Każdy musi coś jeść. Pytaj o Eleuth.

- Przyjdę - wychrypiał. Odczekał, aż dziewczyna przebrnie przez strumień, zlął z kamienia, odszedł kawałek i ukląkł, żeby po kryjomu oddać mocz. Czuł się jak jakieś ledwie udomowione zwierzątko, jak pupilek Mieszkańców.

Otworzyły się drzwi chaty Żurawie i pojawiła się w nich Spart ze zwojem materiału pod pachą. Popatrzyła nań

ponuro, rozpostarła materiał i strzepnęła go. Z fałd płachty wyfrunął rój maleńkich ptaszków, zatoczył krąg wokół

domu i skierował się na północ.

Bez słowa wyjaśnienia Spart weszła z powrotem do chaty i zamknęła za sobą drzwi.

Przywracając sobie masażem krążenie krwi w nogach Michael popatrywał z powątpiewaniem na kupki drewnianych

elementów. Podniósł kilka płatów kory i stwierdził, że można je rozdzielić na lekkie, mocne pasma o wytrzymałości liny. Zastanowił się nad sposobem zmontowania domu, lecz potrząsnął głową. Potrzebowałby narzędzi - na pewno

gwoździ, piły i noża chyba też.

Kombinując tak bez przekonania zadawał sobie w duchu pytanie, po jakie lichy ma budować dom w miejscu, do

którego nie należy.

- Masz przed sobą długą drogę.

Stała za nim Nare. Oczy miała wielkie jak sowa, ale ruchliwe. Jej rozpuszczone długie czerwonoszare włosy

spływały rozszerzającym się świetlistym pasmem, które osiągało swój najszerszy punkt poniżej kolan. - Teraz kiedy dostąpiłeś łaski przydziału drewna, co zamierzasz z nim uczynić?

- Potrzebuję narzędzi.

Nie wydaje mi się. Czy wiesz, co oznacza łaska przydziału drewna?

Zastanowił się chwilę. - Ludzie nie dostają go wiele.

- Ludzie dostają same zrzynki. Nawet Mieszkańcy nie mają drewna na każde zawołanie. Najlepsze drewno jest

zarezerwowane dla Sidhów. Bez wątpienia mają w nim przodków.

- Nie rozumiem - powiedział Michael.

- Sidhowie są nieśmiertelni, ale jeśli polegną w bitwie lub na skutek jakiegoś innego nieszczęścia, Drzewole

właczają ich w drzewo. Sidhowie zamieszkują je przez jakiś czas, a potem proszą o łaskę. Drzewole robią, co do nich należy, i mamy drewno.

- Słyszałem w nocy jakiś głos.

Nare pokiwała głową. Pochyliwszy się podniosła z ziemi deskę i pokazała ją Michaelowi. Pod naciskiem jej

długiego palca wskazującego z krawędzi deski wypadł kawałek drewna pozostawiając po sobie prostokątny wrąb.

Wyczuwaj i naciskaj. Rozwikłaj tę łamigłówkę, przypasuj do siebie elementy. Drewno zostało

ukształtowane w dom przez Sidha, który w nim zamieszkiwał. Masz po prostu rozwikłać tę łamigłówkę. Maza.

Dzisiaj? spytał Michael.

- Masz na to tylko dzisiejszy dzień. - Nare skierowała się w stronę strumienia i zanurkowała w nim jak wydra. Nie widział, żeby wypłynęła na powierzchnię.

Przez następne kilka godzin, usiłując lekceważyć głód, Michael brał po kolei każdą deskę i belkę i dopóty naciskał, opukiwał i pocierał powierzchnie, dopóki nie znalazł fragmentów, które dawały się usunąć. Z początku podnosił te małe kawałki drewna i odrzucał je na bok, ale po chwili zastanowienia zaczął je gromadzić na kupkę.

Stało się jasne, że niektóre z tych kawałków pasują do otworów w deskach i można je wsuwać w nacięcia w belkach.

Przypominało mu to drewnianą układankę, jaką miał w domu, tylko o wiele bardziej skomplikowaną. Gdy słońce

stało już wysoko, zdołał połączyć ze sobą dwie deski i jedną belkę, i nie miał zielonego pojęcia co dalej. Nie wiedział nawet, jaki kształt ma przybrać dom.

Z chaty nadeszła z drewnianą miską Spart, wytatuowana na całym ciele Żurawica o melodyjnym głosie. W misce

była zimna kasza, kawałek jakiegoś owocu i kałuża chudego mleka. Jadł nie grymasząc. Patrzyła, jak się posila, a jedną z jej długich rąk przechodził co chwila nerwowy skurcz. Kiedy skończył, wyjęła miskę z jego rąk.

- Po zbudowaniu domu pójdziesz do wioski i zgłosisz się na targowisku. Dostaniesz przydział żywności. Dopóki tu będziesz, możesz również nosić nam wiadomości i świadczyć inne usługi. Zerknęła na stos drewna. - Jeśli nie uda ci się rozwikłać tego do świtu, nie będzie to już twoje drewno.

Gapił się na jej tatuaże. Sprawiała wrażenie, że tego nie widzi, ale pochyliła się i postukała znacząco w drewno.

Zabrał się znowu do pracy, a ona odeszła z powrotem do chaty.

- Czy można bezpiecznie pić tę wodę? - zawołał za nią. - Nie wiem - odpowiedziała.

Do wieczora, wkładając w to całą swoją pomysłowość, zdołał dojść do wniosku, że dom będzie kwadratowy, o

wymiarach jakieś dwa na dwa metry, i że nie będzie miał ani dachu, ani podłogi. Wynikało z tego, że będzie musiał

nazbierać trawy lub czegoś podobnego na dach i to go zniechęciło. Był wściekle głodny, ale nie wyniesiono mu

więcej jedzenia.

- Może nakarmią mnie, kiedy skończę - pomyślał. - Jeśli w ogóle skończę.

Odkrył, że korę można wykorzystać do wiązania. Kiedy słońce i niebo wchodziły w taką samą jak poprzedniego

wieczora postać zmierzchu, Michael kopnął belkę i wyciągnął przed siebie rękę. - To niemożliwe.

Ale zaraz...

Przykłęknął i podniósł z ziemi grubą belkę o kwadratowym przekroju, która nigdzie mu nie pasowała. Nacisnął

wzdłuż słoja i belka rozpadła się na gładkie, cienkie jak papier dachówki. Teraz skryzalizował mu się w głowie cały plan. Składał deski i belki, wsuwał czopy w gniazda, wiązał drewno pasmami kory i wykorzystawszy pięć

łukowatych elementów zmontował konstrukcję dachu. Kiedy zapadły kompletne ciemności, kończył już prawie

kładzenie gontów. Zostały mu jeszcze dwa kawałki wyciśniętych drewnienek i jedno pasmo kory, mimo to dom

wydawał się gotowy.

Kiedy wyszedł na zewnątrz przez niskie drzwi, natknął się na stojącą tam Spart. Popatrzyła na pasmo, które trzymał

w ręku, i pokręciła głową. - Fera antros - powiedziała. - Gdybyś zbudował go prawidłowo, nie pozostałaby ci ani jedna część.

Przez chwilę bał się, że może każe mu rozmontować szałas i zacząć wszystko na nowo, ale ona wyciągnęła zza

pleców miskę i podała mu ją. Tym razem jego posiłek składał się z warzywnej pasty i grubej kromki zakalcowatego, czarnego chleba. Przykucnęła obok niego i czekała, aż zje.

Sidhowie znają wiele języków - podjęła. - Niektóre są bardzo stare, niektóre nowsze. Niemal wszyscy Sidhowie

mówią po kaskaryjsku. Dobrze by było, gdybyś nauczył się jak najwięcej kaskaryjskiego - i dlatego korzystaj z każdej nadarzającej się okazji.

- Niektórzy mówią po angielsku - mruknął Michael.

- Większość mówi tym językiem dlatego, że ty masz go w swojej głowie. To dosię-mowa. No i po angielsku

mówiono w krainach, które wielu z nas zamieszkiwało ostatnio na Ziemi. Mówiono tam po angielsku i w innych

językach - po irlandzku, po walijsku, po francusku, po niemiecku. Mówimy również takimi

ziemskimi językami, których byś nie rozpoznał, bo wszystkie są stare, a większość z nich martwa. Sidhowie łatwo uczą się języków. Ale żaden ludzki język nie może zastąpić kaskaryjskiego.

Zaspokoiwszy głód Michael nabrał śmiałości. - Ile masz lat? - Tutaj nie ma lat - odparła Spart. Pory roku przychodzą i odchodzą, kiedy chce tego Adonna. A ty ile masz lat?

- Szesnaście odparł Michael.

Wstała i wyjęła mu z rąk pustą miskę. Dziś w nocy, w ciemnościach, sprawdzi cię jedna z nas. Nie będziesz nam się w stanie oprzeć, ale od tego, jak zareagujesz, zależeć będzie sposób, w jaki będziemy ciebie uczyć. Śpij albo nie, jak chcesz.

Rozdział siódmy

Domek był w środku prowizoryczny i ciasny, a klepisko zastępujące podłogę niewygodne, ale zawsze lepsze to niż nic. Usiadł w kącie i czekał na zapowiedzianą próbę, starając się nie zasnąć.

Niewiele mógł zrobić, żeby się przygotować. Zastanawiał się, czy to będzie bolało. Nigdy nie umiał dobrze walczyć; zawsze trudno wpadał w złość i w konsekwencji miał niewielkie doświadczenie w walce na pięści.

Poprzedniej nocy nie zmrużył oka i teraz nie mógł sobie dać rady z ciężącymi powiekami. Jęknął zdając sobie

sprawę, że zasypia. Głowa opadła mu na kolana...

I poderwał ją gwałtownie usłyszawszy tętent kopyt. Było wciąż ciemno. Coś plusnęło w rzece. Usłyszał rzenie konia i parsknięcie.

Był tak znużony. Zmęczenie i czujność zarazem sprowadzały go na jakąś surrealistyczną krawędź, jakby wszystko do tej pory nie było już wystarczająco dziwaczne. Musiał się zdecydować, czy zostać w domu i czekać, czy czasem coś nie zwali mu się na głowę czy wyjść na zewnątrz.

Wstał. Głową niemal dotykał stropu. Przez całe życie był flegmatyczny, ostrożny i łatwo było przewidzieć jego reakcje. Być może zyska przewagę, jeśli zrobi coś nieoczekiwanego...

Przykucając napiął mięśnie nóg, żeby błyskawicznie wypaść przez drzwi. Jeśli będzie biegł

dostatecznie szybko, może uda mu się umknąć.

Pochylając głowę wyskoczył z szalasu i nadział się na kogoś wysokiego i masywnego. Odbił się i upadł na wznak łapiąc się rękoma za głowę. Stał nad nim Sidh w srebrzystej kolczudze, dzierżący długą, ostro zakończoną pikę.

Michaelowi świat zawiro

wał przed oczyma; ledwie widział, jak Sidh opuszcza powoli pikę i przytyka mu ją do piersi.

Vera ais, sepha jan antros pek przemówił cicho Sidh. Michael odzyskał oddech i rozejrzał się rozpaczliwie dookoła.

Kilka metrów dalej stał spokojnie koń Sidha bez wędzidła w pysku, z szyją i kłębem owiniętymi jasnoszarym

kocem. Siodło było srebrzyste, bez strzemion. Vas lenga spu? Pod dociśniętą silniej piką pojawiła się krew. Michael rzucił się z bólu i krzyknął. Vas lenga?

- Zostaw mnie! - wrzasnął Michael. Pochwycił oburącz pikę, ale miała chyba ze wszystkich stron ostre krawędzie, bo przeciął sobie palce.

- Nie jesteś stąd warknął Sidh. - Wiesz, kim jestem? Nie!

- Jestem Alyons, Buńczucznik Przeklętej Równiny i Ziem Paktu. Niektórzy nazywają mnie Scarbita Antros;

Pogromca Ludzi. Skąd się tu wziąłeś? Dlaczego mieszkasz w domu z drewna?

Przysłano mnie tutaj jęknął Michael. Strach rozwiął w nim wszelką złość, ale zdawał się wyostrzyć zmysły. Chociaż było ciemno, widział Alyonsa bardzo dokładnie: widmowa twarz i długie, krwistoczerwone włosy; ogromne oczy o

kącikach położonych odwrotnie niż u człowieka; długopalce dłonie z paznokciami spiłowanymi w metaliczne ostrza, zaciśnięte na pice; buty z tego samego srebrzystoszarego materiału, co siodło; perłowszary płaszcz spływający luźno z ramion i sięgający łydek. Quos fera antros, to suma antros.

Ten chłopiec jest u nas na służbie.

Michael rozpoznał cierpki głos Nare. Stała obok, między nimi a chatą Żurawic, a z drugiej strony pojawiła się Spart.

Michael nie widział Coom. Alyons nawet nie drgnął, ale jego ręce jeszcze silniej naparły na pikę. Michael poczuł, jak ostrze ociera się o kość, ale starał się leżeć spokojnie. Co on tu robi? spytał Alyons nie odrywając oczu od Michaela, niczym łowca, który nie ma zamiaru zrezygnować ze swej ofiary.

Powiedziałam ci przecież powtórzyła Nare. Jest u nas na służbie.

To człowiek. Nie szkolicie ludzi.

Między Spurt i Buńczucznikiem nastąpiła szybka wymiana zdań w języku Sidhów. Twarz Alyonsa poryły głębokie

bruzdy nienawiści przeistaczając jego regularne, cyzelowane rysy w maskę mumii. Odsunął o włos pikę. Zabijając tego chłopaka zdejmę kłopot z głowy, prawda?

-- Prawdopodobnie powiedziała Spurt. - Ale co my w rewanżu zrobimy tobie?

- Jesteście t'al antros rzucił pogardliwie Alyons. Z cienia za jego plecami wyszła Coom.

- Jesteśmy bardzo, bardzo stare powiedziała Spurt i Sidhowie z hallu przychodzą do nas z pytaniami. Czy chciałbyś, żebyśmy odpowiadając wymienili twoje imię koniokradzie?

Bruzdy na twarzy Alyonsa jeszcze bardziej się pogłębiły jeśli w ogóle było to możliwe. Nic mnie to nie obchodzi warknął. Uniósł pikę o włos.

-- Nawet kiedy kapłani Adonny przyjdą po temelos? - spytała Spurt.

Coom położyła rękę na ramieniu Alyonsa i brutalnym szarpnięciem odciągnęła go od Michaela przyginając

jednocześnie do poziomu swojej twarzy. - On jest nasz!

- No to go sobie zabierzcie powiedział Alyons z niezmaconym spokojem. Strząsnął jej rękę z ramienia, podszedł do konia i raczej się na niego wślizgnął, niż wskoczył. Ale pojedę do Drzewoli i popytam o tę łaskę przydziału drewna.

Sami je tu przynieśli powiedziała Nare.

Jesteś okrutnym i głupim frichtem dorzuciła Spurt. On jest nasz powtórzyła Coom.

Alyons pochylił się do przodu i koń jakby rozpułynał się w dym; każde jego zaokrąglenie to rozmazywało się, to wygładzało. Potem znikli razem w zupełnej ciszy. Michael leżał na ziemi, a z jego piersi sączyła się leniwie krew.

Ręce też miał pokrzwawione od kontaktu z piką. Żurawice również zniknęły.

Dźwignął się na nogi i powłókł do domu. Znalazłszy się w środku usiłował stłumić spazmy rozsadzające mu płuca i zasłaniając skrwawionymi dłońmi usta dusił w sobie szloch. Nie bardzo wiedział, co przed chwilą zaszło czy to sprawdzały go Żurawice, czy naprawdę odwiedził go Alyons. W uszach wciąż dźwięczał mu głos Sidha, głęboki i

pełen złowrogiemu jadu.

Mimo tych przeżyć Michael nie był w stanie walczyć ze snem. W pobliżu rozległo się wibrujące ćwierkanie, które powtórzyło się kilkakrotnie - ptaki? i to było jego ostatnie wspomnienie. Ocknął się szarpany przez kogoś za ramię.

Wyjdź z mojego domu wymamrotał nieprzytomnie.

- Jan antros. Pochylała się nad nim Coom; w pierwszych promieniach brzasku wpadających przez drzwi rysował się bok jej głowy. - Nie śpij! Uprzedzałyśmy cię o próbie...

Nie sądził, że śni sny zdawały się nie istnieć w Królestwie ale chciał wierzyć, że to jednak sen. Proszę cię, odejść

wymamrotał. I został w chacie sam.

Rozwidniło się, minął ranek, minął dzień i miało się ku wieczorowi, kiedy ocknął się zdrętwiały i wciąż wyczerpany.

Pomacał pierś. Krew zakrzepła, a rana została posmarowana białą maścią. Czuł ją, ale nie bolała. Przecięcia na dłoniach zasklepiły się.

Przy drzwiach stała miska kaszy z owocami. Jadł powoli palcami, zupełnie otumaniony. Nie myślał o niczym.

Pokusa wrzucania w siebie pożywienia była silna, porównywalna z bólem przenikającym jego ciało i zmęczeniem

uczepionym każdego mięśnia.

Skończywszy posiłek przekręcił się na brzuch i zapatrzył w klepisko. Bezmyślnie narysował palcem kreskę na ziemi, potem napisał linijkę słów i jeszcze jedną. Te machinalnie kreślone wyrazy ułożyły się w wiersz.

Wśród nocy jakies w dach drapanie Chityna, pazur, włos z rozgrzanej szczeci W cierrutościact sierpnia upał lata Koniczynę z kurzu i powietrza kleci.

Gdy zcr próg ynjdziesz, by spojrzeć na chmury,

Grom, stając dęba, blaskiem cię oniemi. Na dachu czyha przyczajone lato

I gdy .spróbujesz cofnąć się do .sieni...

Hej, czolem! Ta pora jest pająkiem.*

Pisząc ten wiersz nie miał z początku pojęcia, co on znaczy. Część jego umysłu zdawała się odłączona od

teraźniejszości, jak

* Przełożył Łukasz Nicpan.

gdyby fakty i obrazy wsiąkały weń dopiero powoli i mieszały się jeden po drugim.

Ale groźba była oczywista. Był na wskroś przerażony i nie potrafił zwalczyć tego przerażenia. Nie potrafił tego jeszcze, a być może nigdy się nie nauczy.

Stał z rękoma w kieszeniach spodni przed wejściem do swojego domu i obserwował słońce osuwające się po

nieboskłonie. Z chaty wyszła Nare i ruszyła wielkimi krokami w jego stronę. Podszedłszy blisko wzięła go za ręce i zerknęła na dłonie, potem rozchyliła zakrwawioną koszulę i obejrzała pierś.

Jak wypadłem? spytał Michael siląc się na ironię.

-- Śpiąc nie jesteś dla nas wiele wart. Miałeś dzisiaj pójść na targ i wyrobić sobie kartę.

- Chciałem wiedzieć, jak wypadłem w nocy?

- Strasznie odparła. Zabiłby cię. A później... marny z ciebie wojownik.

- Nigdy nie chciałem być wojownikiem - powiedział niepewnie.

Rozczapierzyła swoje żylaste palce i wzruszyła z gracją ramionami. Nie masz wyboru, chyba że chcesz umrzeć

powiedziała. Twoja wola.

Coom i Spart przepравиły się przez strumień i weszły do chaty. Nare trwała w bezruchu obok zdenerwowanego

Michaela, a tymczasem na niebie pojawiły się wirujące gwiazdy. Coom i Spart pojawiły się znowu, niosąc osiem

długich pochodni, które zaczęły rozstawiać w koło pomiędzy domem - strumieniem. Zapaliły pochodnie osłaniając dłońmi knoty i dmuchając na nie. W mrok nocy strzeliły iskry i płomień, i w polu wytyczonym pochodniami

rozbłysł krąg pomarańczowego światła.

- Trudno się odmierza czas w Królestwie odezwała się Spart podchodząc do Michaela i biorąc go za rękę. Uścisk jej długich, silnych palców obejmujących jego dłoń stłumił wszelki upór. Wprowadziła go do wnętrza kręgu i skinęła na Coom, żeby do nich dołączyła. - Będziemy cię teraz uczyć tego, co umiemy powiedziała Spart. -- Coom jest

ekspertem w tym, co Sidhowie nazywają isray: w walce wręcz. Nare jest biegła w stray czyli w przygotowywaniu

umysłu. A ja nauczę cię vickay, sztuki unikania walki jako środka do odniesienia zwycięstwa. Dzisiejszej nocy będziesz się uczył z Coom wychodzenia cało z walki z człowiekiem lub Sidhem, ponieważ jest to najłatwiejsza z trzech umiejętności, które wymieniłam.

Coom. unosząc wysoko nogi, obchodziła Michaela w koło wolnym, niemal tanecznym krokiem. Nare i Spart

przyglądały się im spoza kręgu pochodni. Michael, z opuszczonymi wzdłuż ciała rękoma i lekko przechyloną głową, obserwował czujnie poczynania Coom. Podskoczył, kiedy schyliła się i chwyciła go za nogę, żeby ją przestawić. -

Nie przewróć się powiedziała. Jak stół. Jedna noga ma być jak dwie. - Nadal krążyła wokół niego. Rano pobiegiesz do Półmiasta i z powrotem. Dzisiejszej nocy będziesz po prostu stał. - Wyciągnęła błyskawicznie rękę i popchnęła go. Rymsnął na tyłek i podźwignął się znowu na równe nogi. Ponownie wyciągnęła rękę, żeby go pchnąć. Zatoczył

się, ale utrzymał na nogach. Okrążyła go i popchnęła pod innym kątem. Padł na twarz. -- Jak stół -- powtórzyła.

Popchnęła go znowu i jeszcze raz, ale nie przewrócił się.

Na twarz wystąpił mu rumieniec, a szczęki bolały go od zaciskania zębów, ale nie mógł się nadziwić spokojowi, jaki odczuwał. To metodyczne okrażanie i popychanie trwało przez jakąś godzinę, dopóki nie potrafił utrzymać

równowagi niezależnie od kąta, pod jakim atakowała go Coom.

Pochodnie dopalały się. -- Uszy - rzuciła Coom. Nare i Spart wygasiły zanikające płomyki. Chmury przysłaniały teraz gwiazdy; jedynym źródłem światła była gorączkowa, pomarańczowa poświata padająca z okien chaty. Nie

widział żadnej z Żurawic. Nasłuchiwał ich kroków, usiłując odgadnąć, ile ich krąży wokół niego. Przyklęknął na

jedno kolano pchnięty silnie w plecy czyjąś ręką, ale zerwał się zaraz na nogi.

Uszy -- odezwała się znowu Coom. Wyczuł, jak ktoś stawia w pobliżu stopę, i instynktownie sprężył się z

przeciwniej strony. Spadł cios, ale utrzymał równowagę.

Minęła kolejna godzina. Był zupełnie skołowany i strasznie bolały go nogi. Ramiona miał posiniaczone i

popuchnięte. Przez chwilę kręcił się w ciemnościach w kółko, dopóki nie uświadomił sobie, że nie słyszy już kroków Żurawic. Był .sam. Żurawice wróciły do chaty. y

Dowlókł się po omacku do szafasu i zwałił w kącie na ziemię. Nie mógł zasnąć. Rozcierał sobie ręce i barki,

wspominając lekcje gimnastyki w szkole, do których nigdy nie odnosił się z entuzjazmem. Nie, nie był słabeuszem ani łamagą; dosyć dobrze biegał i był ogólnie sprawny. Po prostu nigdy nie przykładał się zbytnio do ćwiczeń, a nauczyciele gimnastyki rzadko kiedy dodawali takim pewności siebie.

Cokolwiek myślał, jakkolwiek był rozbity, jutro będzie biegał, dopóki nie padnie - a tego, że padnie, był pewien.

Żadnych protestów, żadnych skarg.

Po zejściu z Alyonsem Michael zdawał sobie w pełni sprawę ze swej sytuacji.

Mogło być, oczywiście, o wiele gorzej.

Rozdział ósmy

- Sidhowie nie używają mieczy powiedziała Spart do Michaela. Siedzieli przed szafasem naprzeciw siebie na ziemi ze skrzyżowanymi nogami.

- Ale Alyons ma pikę...

- To jego buńczuk. Używa go tylko przeciwko ludziom. Michael pokiwał głową i odwrócił wzrok, zniechęcony do

roztrzymania tych niejednoznaczności. Spart westchnęła i pochyliła się ku niemu.

Powinieneś się zainteresować, co Alyons robi ze swoim buńczukiem.

- Buńczuczy się? - odparł Michael próbując się uśmiechnąć. Spart wyprostowała się mrużąc oczy, tak że stały się jeszcze węższymi szparkami. No dobrze - dał za wygraną. - Co on z nim robi?

- Buńczuk jest symbolem rangi. Sankcjonuje jego urząd i działalność. Oznacza, że Alyons ma prawo strzec

Przeklętej Równiny i Ziem Paktu oraz nadzorować przestrzegania paktu zawartego między Sidhami a Izomagiem.

- To dlaczego mnie nim dźgnął?

- Podobnie jak wielu Sidhów, nienawidzi ludzi. - Ty też nienawidzisz ludzi?

T'al antros - odparła stukając się palcem w pierś. Jestem w połowie człowiekiem.

Dlaczego Sidhowie nie używają mieczy?

- Nie mają takiej potrzeby. Wojownik Sidhów jest wystarczająco groźny i bez niego. A poza tym chodzi tu też o honor. Śmierć jest dla Sidha ostateczna; po niej nie ma dla niego nic poza wprasowaniem w drzewo przez Drzewoli.

Tego nawet w przybliżeniu nie można nazwać życiem. Ustalono więc, że Sidhowie mogą ze sobą walczyć tylko środkami zależnymi od ich umiejętności i mocy, pod którymi rozumiemy magię i siłę woli.

- Czy ja też będę się uczył magii?

Spart pokręciła głową. - Żaden człowiek nigdy nie opanował magii Sidhów. Będziesz się musiał nauczyć uciekać, zachowywać jak najmniej podejrzanie. Nie możesz mieć nadziei, że dotrzymasz pola Sidhowi w bezpośrednim

starciu. Twoją jedyną szansą jest to, że Sidh uzna walkę z człowiekiem za coś niegodnego, wymagającego

niewielkiego tylko wysiłku. Wykorzystuj to. Gdybyś jednak, co wielce nieprawdopodobne, został wyzwany na

pojedynek... Uderzyła otwartą dłoń w ziemię. - Po prostu zginiesz. Śmierć w Królestwie jest dla człowieka tak samo ostateczna, jak dla Sidha gdziekolwiek. Nie prowokuj więc wojowników.

- Nie rozumiem...

- Z czasem to zrozumiesz. Teraz pójdziesz do Półmiasta załatwić nasze sprawy. Po powrocie będziesz biegał. Ziarno dostarczane jest tutaj na zamówienie i będziesz musiał...

- Wiem. Poprosić o przydział żywności i dla siebie.

Spart przyjrzała mu się badawczo z nieskończoną cierpliwością, zamrugała powoli powiekami, i odwróciła.

W Półmieście panował spokój, jak to w ponury, pochmurny ranek. Michael starał się odnosić do Mieszkańców

serdecznie, ale nie odpowiadali na jego pozdrowienia; zaciekawienie jego osobą chyba wygasło. Podobni duchom, pochłonięci byli bez reszty realizacją jakichś nie dających się odłożyć na później zadań; tylko w kilku kobietach dostrzegł wyraźne przebłyski życia i radości.

Michael szedł krętą ulicą targową odchodzącą od głównego traktu niedaleko centrum Półmiasta. Samo targowisko

składało się z budynku (po kaskaryjsku caersidh, co wymawiało się mniej więcej „ker-szi”,

okrągłego jak większość pozostałych, i z krytego dachem dziedzińca o powierzchni dwukrotnie większej niż powierzchnia samego domu.

Dziedziniec wypełniony był stołami i półkami ze stosami zapasów w jednym rogu żywność, sprzęty gospodarstwa

domowego i napoje (w butelkach, które były podejrzanie podobne do tych w piwnicy Breckera w Euterpe) w

drugim, a w trzecim proste w kroju ubrania. Środek dziedzińca zajmował kontuar, za którym rej wodził zarządca targowiska.

Michael wiedział od Spart, że zarządca nazywa się Lirg i że ma córkę Eleuth, tę samą, która dostarczała mleko do chaty Zurawic. Lirg nigdy nie przyjmował zapłaty w gotówce Sidhowie brzydzili się pieniędzmi, co wydawało się Michaelowi co najmniej dziwne, zważywszy legendy o dzbanach ze złotem i tak dalej ale pilnował uważnie

rachunków Półmiasta. Michael zorientował się, że zasady ekonomii opierały się tu luźno na wypełnianiu powierzanych zadań i rozprowadzaniu towarów zgodnie z zapotrzebowaniem. Przypominało to nieco prostsze formy

komunizmu, o których uczył się w szkole na lekcjach prowadzonych przez pana Wagnera. Transporty towarów

docierały tutaj przez Przekłętą Równinę. Gdy Michael zbliżał się do dziedzińca, w ulicę targową wtoczyły się z turkotem nadjeżdżające z przeciwka trzy ogromne wozy na wielkich kołach, każdy ciągniony przez dwa sidhowe

konie.

Wozy wypełnione były po brzegi żywnością i towarami. Na koźle pierwszego siedział Sidh woźnica, wysoki i

wyniosły, odziany w mieniące się brązy; krój jego ubioru nie różnił się w zasadzie od tego, jaki nosił Alyons, z tym, że ten tutaj nie miał na sobie zbroi i nie dzierżył buńczuka. Konie były pokryte pianą, jakby nie żałowano im bata, a z tyłu każdego wozu unosiła się szczególna złota poświata niczym podświetlany promieniami słońca kurz. Poświata rozwiewała się, pozostawiając w powietrzu słodko-kwaśny odór. Lirg wyszedł zza swojego kontuaru i kierował

rozładunkiem towarów. Sidh woźnica opuścił tylną klapę wozu, a kilku przechodniów podskoczyło, żeby mu pomóc.

Wszystko odbywało się w niemal zupełnym milczeniu. Towary albo przenoszono do krytej szopy stojącej w

czwartym rogu dziedzińca, albo umieszczano od razu na półkach targowiska. Nikt nie tłoczył się, żeby zobaczyć, co przywieziono; dostawa nie zawierała niczego poza tym, co już było na składzie i

zapewniała jedynie ciągłość, nie urozmaicenie.

Michael przyglądał się temu z boku, dopóki wozów nie rozładowano i nie odciągnięto na stronę, po czym wszedł na dziedziniec starając się nie zwracać na siebie zbytnej uwagi. Woźnica zatrzasnął klapy wozów i pogłodził drewno dłońmi, pozostawiając na deskach smugi złotej poświaty. Potem obszedł wszystkie konie i bardziej z precyzją niż z uczuciem poklepał

każdego po zadzie. Wszystko, czego dotknął, roziskrzało się blaskiem.

Michael podszedł do kontuaru, za który wrócił już Lirg. Mieszaniec osadził go w miejscu nieruchomym wzrokiem.

Jedno oko miał ciemne, drugie na wpół przymknięte przez bliznę. Włosy Lirga były bardziej brązowe niż czerwone, a jego skóra nie biała, lecz śniada. Czego ci trzeba? - zapytał wspierając się na muskularnych rękach i pochylając do przodu.

- Przyszedłem po ziarno dla Żurawic. I żebyś mnie wciągnął na swoją listę.

- Na jaką listę? Przyjrzał się bacznie Michaelowi i skinął głową. Chodzi ci o kartę. Rozumiem. Jedynie żywność...

tylko tyle jesteśmy w stanie wygospodarować, nawet dla pupilków Żurawic.

Nie jestem żadnym pupilkiem zaprotestował Michael zgrzytając zębami. Jestem uczniem i robię, co mi każą robić.

Słyszając to Lirg uśmiechnął się, a Michael spiekł raka.

- Rozumiem. Córko!

Z domu wyszła Eleuth z czterema woreczkami ziarna. Dwa postawiła na ziemi przed Michaeliem, a pozostałe dwa

zarzuciła sobie na ramiona.

-- Sam udźwignę wszystkie obruszył się Michael.

- Kazałem córce, żeby ci pomogła powiedział Lirg. To chyba przesądzało sprawę. Eleuth posłała Michaelowi

spojrzenie odradzające dalsze upieranie się przy swoim. Michael podniósł swoje dwa worki.

- A jestem na twojej liście... na tej karcie?

-- Jesteś uspokoił go Lirg. Odwrócił się do klienta Mieszaniec i Michael opuścił dziedziniec. Eleuth podążała kilka kroków za nim.

- Czego one cię uczą? spytała Eleuth, gdy zbliżali się już do strumienia.

- Usiłują uczynić mnie silniejszym odparł Michael. Dlaczego nie zostałeś po prostu w Euterpe? Mają tam własne przydziały. Byłoby ci tam dobrze.

- Sprawy inaczej się ułożyły odpowiedział. Przypuszczam, że szkolą mnie, żebym mógł wrócić znowu do domu. W

każdym razie mam nadzieję, że taka właśnie jest

przyczyna. Muszę odnaleźć człowieka, który potrafi mi w tym pomóc.

- Czarodziej Sidhów mógłby odesłać cię do domu - powiedziała Eleuth. Głos miała nadzwyczajny; całą siłą woli

powstrzymywał się, żeby na nią nie spojrzeć, w obawie, że nie będzie już mógł oderwać od niej oczu. - W każdym razie wiem o jednym takim, który mógłby to zrobić. Lirg mówi, że kapłani z Irall potrafią odsyłać ludzi z powrotem do domu, jeśli naprawdę tego pragną. Kryje się za tym coś tajemniczego, co nie daje mi spokoju. Bo widzisz, ludzie wciąż tu są.

Michael zastanawiał się przez chwilę nad tym, co usłyszał, a potem wszedł w strumień. - Mimo wszystko muszę się nauczyć, jak tu żyć.

Eleuth skinęła głową. - Jeśli jesteś nowy, to pewnie musisz się dużo nauczyć.

Postawili worki na ziemi przed drzwiami chaty Żurawic.

- Gdzie jest twoja matka? - spytał Michael. Ludzie nie mieszkali w Półmieście; zauważył już to.

- Nie wiem - odparła Eleuth. Jej twarz była prosta i spokojna. - Większość z nas ma matki pochodzące z Sidhów, a ojców nie mamy - albo mieszkają w Euterpe. Nigdy nie wiemy, kim są. Wydaje mi się więc, że jestem nietypowa,

jestem Mieszanką w drugim pokoleniu... ojca mam Mieszkańca, a matkę z rodu ludzkiego.

Michael zapukał do drzwi i otworzyła je Spart. Zerknęła na Eleuth, potem na Michaela i w końcu na worki. -

Świetnie powiedziała i zamknęła im drzwi przed nosem.

- Czy to znaczy, że jesteś dzisiaj wolny?

Pokręcił głową. - Muszę pobiec do Euterpe i z powrotem. Podszedł do swego domu.

- Sam go zbudowałeś? - spytała Eleuth depcząc mu po piętach.

- Tak jakby.

- Jak wojownik Sidhów. Oni muszą budować sobie sami dach nad głową... ale sprytny jesteś jak na człowieka,

naprawdę. Michael odważył się wreszcie zerknąć na nią; wyraz twarzy

Eleuth nadal był spokojny i prosty. Nie szydziła z niego. - Dzięki za pomoc - powiedział. Czuł się bardzo

niezręcznie.

Eleuth rozejrzała się po pagórku z wyrazem zachwytu i niesmaku na twarzy, a potem uśmiechnęła się i pożegnała z Michaelem. Kiedy przechodziła przez strumień, Michael podziwiał ruchy jej nóg. Były długie, pełne gracji.

Zaczerwienił się. Na swój sposób była nawet ładna; nie, nie tylko ładna (może nawet całkiem nieładna) - ale piękna.

No ale skąd miał wiedzieć, co uchodzi za piękne w Królestwie?

Pociąg do Mieszanki, był tego pewien, mógłby oznaczać perwersję i tylko jeszcze bardziej skomplikowałby mu

życie.

- Człowieku-dziecko! - Szła ku niemu Nare z dwoma grubymi, na oko dwumetrowymi tyczkami. - Biegnij do

Euterpe. Trzymaj to nad głową w tamtą stronę i przed sobą w drodze powrotnej. Wręczyła mu jedną tyczkę. Zważył

ją w rękę i jęknął w duchu.

- A co potem?

- Kiedy będziesz już wystarczająco silny, nauczysz się posługiwać kijem. - Postukała lekko drugim kijem o jego tyczkę tuż przy ściskającej ją dłoni. - Albo połamię ci wszystkie palce. Teraz leć.

Michael puścił się pędem. Bez poślizgnięcia się przebył strumień i pogratulował sobie w duchu nowo nabytej

koordynacji ruchów. Pozostawiając za sobą mokre ślady pokonał wielkimi susami pierwsze sto metrów, chociaż od tyczki bolały go ramiona. Po przebiegnięciu pięciuset metrów trzymał się jeszcze dobrze. Pod koniec pierwszego kilometra był już pewien, że tyczka ściągnie go do dołu i że znalazłszy się raz na ziemi, nieodwołałnie umrze.

Usiłował sobie przypomnieć, jak się oddycha biegnąc; równomiernie, tak by nie pozwolić nogom wybijać powietrza z płuc. W ustach miał sucho, a płuca piekły, jak spryskane żrącym

kwasem. Ramiona były parą sterczących w górę kolumn bólu i ugięły się pod nim kolana; mimo to zaciskał zęby i biegł dalej. Pokaże im, że jednak się do czegoś nadaje. Dostyc miał tych upokorzeń...

Zaczeplił dużym palcem u nogi o kamień i rozciągnął się jak długi w pyłe. Upuszczona tyczka odbiła się od ziemi jednym końcem, potem drugim i potoczyła po drodze. Wydłubał sobie piasek pomiędzy zębów, pomacał stłuczone

usta i nos, usiłując jednocześnie zapanować nad rozpaczliwym łykaniem powietrza

Pół godziny później, czerwony na twarzy, opierając dłonie na kolanach, stał na uginających się nogach przed

peryferiami Euterpe. Tyczkę cisnął obok siebie na ziemię. Nie miał wcale pewności, czy będzie w stanie podnieść ją jeszcze. - Chryste wysapał. - Jestem zwyczajnym mięczakiem. Równie dobrze mógłby mnie wtedy zabić.

Dopiero po kilku minutach uświadomił sobie, że niedaleko, tuż przy jednej z małych furtek dla pieszych w murze otaczającym Euterpe, zebrał się mały tłumek gapiów. Przyglądali mu się ciekawie nic na razie nie mówiąc. Chciał

się wyprostować i skrzywił się. Z grupki wystąpiła kobieta o kasztanowych włosach, którą widział ostatnio na

obiedzie w hotelu. - Co ty tu znowu robisz? - spytała głosem kipiącym złością. - Nie odpowiadają ci Mieszkańcy?

Popatrzył na nią spode łba, dysząc ciężko.

- Oni pracują nad moją sprawnością - wydusił z siebie. Nie chciał żadnych zatargów - dlaczego ludzie mieliby się na niego wściekać?

- A po co ci ta sprawność? - spytał jakiś mężczyzna zza pleców innych.

- Nie wiem - odparł Michael. Podniósł tyczkę, z trudem zmuszając palce, aby się na niej zamknęły, i odwrócił się, żeby ruszyć w drogę powrotną.

- Michael!

Przez furtkę wybiegł Savarin. Michael wsparł się na swojej tyczce wdzięczny mu za przyjazny ton i pretekst do nieco dłuższego odpoczynku. Miał teraz wrażenie, że jego piersi wypełnione są wodą. Zakaszłał i otarł pot z czoła.

- Trenujesz? - spytał Savarin. Michael skinął głową i z trudem przełknął ślinę. - No cóż, to ci nie zaszkodzi.

- O, naprawdę?

- Uczą cię... jak walczyć, może jak walczyć z Sidhami? Pokręcił głową. - Uczą mnie, jak uciekać przed Sidhami.

Savarin zachmurzył się. - Kiedy będziesz mógł tu wrócić?

Chciałbym cię poznać z pewnymi ludźmi.

- Nie wiem. Zamierzają teraz częściej wykorzystywać mnie na posyłki. Może później.

- Jeśli będziesz mógł, przyjdź do budynku szkoły - stoi po drugiej stronie ulicy odchodzącej od Kojca, w środku miasta. Poza nauczaniem nowo przybyłych ucze też języków i różnych takich rzeczy. Wpadnij do mnie.

Michael obiecał, że skorzysta z zaproszenia, i wskazując tyczką za siebie powiedział: - Muszę teraz wracać.

- Spójrzcie tylko! - wrzasnął z tłumu jakiś piskliwy, męski głos. - Dają temu łobuzowi fortunę w drewnie!

-- Zamknij się! - krzyknął Savarin wymachując ramionami i ruszając na tłum. - Do domu, zamknąć się, cisza!

Michael usiłował ponownie nadać sobie tempo, które z początku było niewielkie. Po przebyciu połowy drogi kryzys zaczął jednak ustępować i biegło mu się coraz lżej. Złapał drugi oddech, ale nie doświadczywszy przedtem niczego podobnego, nie zdawał sobie z tego sprawy. Jego ciało zdawało się przystosowywać do zaistniałej sytuacji i dawało z siebie wszystko.

Zbliżało się już południe, kiedy dotarł do strumienia, przedostał się na drugi brzeg i zziębnięty dowlóknął do Spart stojącej na pagórku. Spart wzięła od niego tyczkę i ostrym gwizdem przywołała pozostałe dwie Żurawice.

Z chaty wyszła Coom, żeby go obejrzeć. Obmacała mu nogi i ramiona, a potem potrząsnęła gwałtownie głową i

odrzucała do tyłu szare jak kurz włosy. Usgal! Nalk - odezwała się wskazując na strumień. Śmierdzisz.

- To nie w porządku- zaprotestował, chmurząc się urażony. - Nic nie będzie w porządku, dopóki się nie wykąpiesz -

powiedziała spokojnie Spart. - Później pójdziesz z Coom i będziesz dalej pracował.

- Ale ja jestem skonany.

- Nie biegłeś bez przestanku - powiedziała. Nare wyglądająca przez okno zarechotała i schowała się w chacie.

Michael, powłócząc nogami, dowlókł się do strumienia i zdjął ubranie. Zawstydzenie ogarnęło go dopiero wtedy, gdy był już w samych majtkach. Zerknął przez ramię na Spart, ale ta siedziała na ziemi plotąc matę z sitowia. Nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Nie ściągnął jednak majtek i trwożliwie zanurzył stopę wodzie.

Była oczywiście lodowato zimna. Zamknął oczy. Jeśli nie przestanie się wciąż wahać, wezmą go za idiotę albo

tchórza. Wziął rozbieg i wskoczył do wody nogami do przodu. Szok był niesamowity; gdy wynurzył się na

powierzchnię, nie mógł złapać tchu, a zęby szczękały mu niczym profesjonalny telegraf. Lepiej jednak było przejść przez tę próbę, niż znów narazić się na śmieszność.

Nacierając skórę zamuloną, pełną płatków miki wodą, poczuł znowu cierpki zapach ziół. Taka była najwyraźniej

natura wody w Królestwie. Wypełzył ze strumienia - którego głębokość na samym środku ledwie przekraczała metr - i potrząsając rękami i nogami rozsiewał wstęgi wody po brzegu. Włożył ubranie na mokre jeszcze ciało, ale kurtkę wziął za wieszak i podszedł do Spart plotącej sitowie.

Przerwała na chwilę pracę, żeby zmierzyć go wzrokiem od stóp do głów, i potrząsając ze współczuciem głową,

powiedziała: Tylko głupiec skacze do tak zimnej wody.

Michael kiwnął głową nie wdając się w dyskusję. To była ich gra; można się było przyzwycząić. -
Dzięki - mruknął.

I tak było przez pięć pierwszych dni.

Rozdział dziewiąty

Żurawice kazały Michaelowi biegać po równinnych łąkach, z tyczką i bez niej. Czasami jedna lub dwie z nich biegły z nim ramię w ramię wskazując kierunek. Były niezmordowane. Kiedy on niemal padał na twarz z wyczerpania, one nawet się nie zasapały. Po jakimś czasie Michael zaczął podejrzewać że Sidhowie i Mieszkańcy po prostu się nie męczą. Spytał raz o to, a Nare tylko się uśmiechnęła.

Szybko poznał Ziemię Paktu w okolicy Euterpe i Półmiasta. Do zwiedzania nie było w sumie wiele - łąki, zakole rzeki, jedno rozwidlenie i łuk za rozwidleniem.

Zapytał o Przeklętą Równinę, ale Spart stwierdziła, że dowie się o niej we właściwym czasie. Widział mgiełkę poza granicami Ziemi Paktu i czasami dostrzegał czarne spirale strzelające w górę poprzez pomarańczowobrazowe

chmury, ale poruszał się tylko w promieniu dziesięciu kilometrów od Półmiasta, a Ziemię Paktu, jak

przypuszczał, rozciągały się na co najmniej piętnaście kilometrów we wszystkie strony.

Czasami ćwiczenia, jakim go poddawano, wydawały się dziwaczne i obmyślane tylko ku jego udręce.

- Pięć razy nie trafiłeś do celu powiedziała Nare stojąc nad nim. Jej cień przepoławiał cztery koncentryczne koła wyrysowane na piasku trzy metry od miejsca, w którym kucał. Miał rzucać kamykami, tak by trafić w środkowe

koło. Po godzinie miał na koncie tylko trzy trafienia w środek.

- Nie trafiłem więcej razy - przyznał.

- Moje słowa też do ciebie nie trafiają - powiedziała Nare. Nie rozumiesz niczego, co ci pokazujemy. Pięć prób.

Michael starał się przypomnieć sobie, ile razy był poddawany jakimś sensownym testom. To nie jest dobry znak -

ciągnęła. Czy nie dostrzega; z prawdy kryjącej się za tymi

testami? Czy musimy wyjaśniać ci wszystko słowami? Jak ty kochasz słowa!

- Przynajmniej są jasne - mruknął Michael. - Co chcecie mi przekazać? Robię, co mogę, żeby was zadowolić...

- Tylko nie robisz właściwego użytku ze swej głowy! - Nare pochwyciła go za ramię i poderwała na równe nogi. -

To nie środek tarczy. To nie są kamyki. Ty nie ćwiczysz i nie jest to zlepek bezmyślnych zabaw.

- Ciekawe - zakpił Michael. Natychmiast pożałował, że to powiedział; ślubował sobie, że bez względu na trudności nie będzie się zachowywał jak gówniarz.

- Jesteś skrzeczącym bachorem i, co gorzej, jan viros. Czego się nauczyłeś?

Wydaje mi się... wydaje mi się, że staracie się mnie nauczyć, jak przetrwać myśląc w szczególny sposób. Ale ja nie jestem czarodziejem.

- Nie musisz nim być. Jak każemy ci myśleć? Zdecydowanie.

-- Nie tylko. Jak jeszcze? - Nie wiem!

- Gdybyśmy starały się uczynić z ciebie magika, byłybyśmy jeszcze głupsze niż ty. Nie jesteś zbyt pojętny. Ale Mrok Sidhe to nie Ziemia. Musisz się nauczyć, na czym polega specyfika Królestwa, w jaki sposób nas wspiera i wzbogaca. Nie możemy ci tego powiedzieć. Słowa skazają wiedzę. Musimy cię więc dręczyć, chłopcze, żebyś

przejrzał na oczy. Sidhowie zwrócili ludziom język tysiące lat temu, ale nigdy nie powiedzieli im, jak niszczący wpływ może on wywierać. Uczynili to celowo.

- Staram się, jak mogę - bąknął ponuro Michael.

- Staraj się tak, żeby udowodnić nam, iż nie jesteś głupcem. Uśmiechnęła się ohydny, obnażającym uśmiechem,

który wcale nie podniósł go na duchu i prawdopodobnie nie miał tego czynić. Zęby miała ostre jak u kota, a dziąsła czarne jak smoła.

- W betlim, zwykłym starciu, wojownicy nie zabijają. Podchodzą się wzajemnie - powiedziała Coom. Krążyli wokół

siebie z kijami w wyciągniętych, szeroko rozstawionych rękach. - Lober, bez ran. Wygrywa. Strategia.

Michael skinął głową.

-- Bardzo groźne tylko jedno - ciągnęła Coom. - Ril. Gniew. Nigdy nie daj się ponieść złości! Złość w betum to trucizna. W poważnym starciu rilu znaczy mord. Słyszysz?

Znowu skinął głową. Coom dotknęła jego kija swoim. - Teraz cię rozbroję.

Uchwycił mocniej swój kij, ale przez to tylko bardziej zaboląły go ręce, kiedy Coom, obróciwszy się jak fryga, wyprowadziła cios, który z trzaskiem wytrącił mu broń z dłoni. Kij poszybował w powietrze równoległe do ziemi.

Michael, krzywiąc się z bólu przeszywającego nadgarstki, złapał go, kiedy spadał.

- Dobrze pochwaliła go Coom. Teraz słuchaj, dlaczego się uczysz. Wyobraź sobie, że ten kij to buńczuk; jesteś Sidhem obdarzonym władzą nad pais tam, gdzie stoisz. Ja biorę buńczuk i odbieram ci ziemię. Powstrzymaj mnie -

może ci się uda. Słuchaj, jak się poruszam. Weź władzę nad powietrzem. Nad Królestwem.

I nagle uczyniła rzecz zadziwiającą. Podskoczyła, wsparła się nogami o nicość i rzuciła na niego ze swoim kijem.

Cofnął się, ale za późno, by uniknąć kolejnego ciosu po żebrach. Przez chwilę wisiała przed nim w powietrzu, po czym wylądowała na ziemi. Dobrze - pochwaliła go. - Jesteś już silniejszy.

Rozbroiła go znowu, tym razem odbijając kij poza jego zasięg, nim zdążył spaść. Podszedł, żeby go podnieść, i odwróciwszy się zobaczył, że Coom stoi na jego miejscu.

- Oddałeś teren - zarzuciła mu z oburzeniem. Wytrąciłaś mi kij.

- Nie wytrącałam ci najważniejszej broni. - Cisnęła na ziemię swój kij i wycofała się. - Chodź na mnie z kima.

Nie zastanawiał się długo. Wyciągnęła pajęczą rękę, gdy jego kij spadał tam, gdzie stała, pochwyciła go i z

rozmachem docisnęła do ziemi.

Zanim puścił kij, poczuł trzask kości w kręgosłupie.

-- Na błędach człowiek się uczy powiedziała Coom. Żebyś nie traciła czasu, będziesz ćwiczył z tym. Z chaty

nadeszła Spart niosąc bezgłowego manekina z ramionami z gałęzi krzaków. Kukła dzierżyła krótszy kij przywiązany sznurkiem do liściastych „dłoni”. Michael jęknął w duchu, ale z rezygnacją zniósł tę zniewagę.

- Zabierz go na trzydzieści kroków stąd i wbij tam w ziemię. Potem z nim walczy - poleciła Spart.

Posłuchał. Wziął manekina z materiału, słomy i drewna pod pachę, odszedł z nim na trzydzieści kroków i wbił

swoim kijem jak stracha na wróble. Naśladując Coom i czując się strasznie głupio, przyjął przed manekinem

podpatrzoną u Zurawicy postawę...

A kukła machnęła skwapliwie swoim kijem i przewróciła go na ziemię. Potem zatrzęsła się radośnie, skręciła na swojej tyczce i ponownie zwiotczała.

Ochłonawszy, Michael podniósł swój kij i znowu przyjął odpowiednią postawę, tym razem trochę dalej. Zaczęli się fechtować, przy czym manekin był w podwójnie gorszej sytuacji, bo tkwił przykuty do ziemi na swojej żerdzi i

walczył krótszym, gorszym kijem. Nie dodało to odwagi Michaelowi.

Nie miał złudzeń, że jest to walka fair. Zarobił parę guzów.

Rozdział dziesiąty

Gdy światło pierwszego brzasku przesączyło się do szałasów przez zasłonę na drzwi uplecioną z trzciny, którą dała mu Spart, Michael nagryzmolił na klepisku kolejny wiersz.

Noc to przyjazna dusza Och lubi czasem rzucać Błady .strach - kiedy wiatr Pohukuje - lecz gdy skonasz Chętnie ci ona

Da łyka ze szklanki księżycy.*

To tylko dla wprawy, pomyślał - niewarte zapisywania, nawet gdyby miał na czym, a nie miał: ani ołówka, ani

jakichkolwiek innych przyborów do pisania z wyjątkiem patyka; ani papieru, z wyjątkiem tego z czarnej książki. A nie uważał raczej, by jego dzieło nadawało się do utrwalenia w takim miejscu.

Żurawice wstawały zwykle piętnaście minut przed wschodem słońca, co dawało mu chwilę samotności i wolnego

czasu - cenił go sobie bardziej niż sen. Wykorzystywał ten okres na czytanie książki lub pisanie na piasku, albo po prostu na rozkoszowanie się bezczynnością.

Usłyszał skrzyp otwierających się drzwi chaty. Wsunął książkę do kieszeni kurtki, zapiął ją na zamek błyskawiczny, owinął pieczęlowicie fałdami materiału i ukrył pod krokiewiami powały. - Człowieku-dziecko! Jan wiros!

Wyszedł przed szalas i ujrzał zbliżającą się Coom oraz podążającą dwa kroki za nią Nare. Wyglądały jak łowczynie niepewne swej ofiary - a ich ofiarą był on. Żurawice były mistrzyniami w wyprowadzaniu go z równowagi. Nigdy

nie potrafił przewidzieć

* Przełożył Łukasz Nicpan.

ich nastrojów ani zamiarów. Powinien już być znerwicowanym wrakiem człowieka, ale stwierdzał, że się

przystosowuje.

- Dzisiaj znowu bieg - powiedziała Coom. - Do Euterpe i z powrotem. Z kima.

Nie ociągając się chwycił kij i ruszył biegiem. - Dziś wieczór odbędzie się Kaeli - zawołała za nim Nare.

Powiedziała to tak, jakby zapowiadała jakąś specjalną przyjemność. Michael przeciął strumień trzymając kij przed sobą. Nie zauważył wodnistej ręki, która wysunęła się z toni, aby pochwycić go za kostkę nogi, ale chybiła.

Mógł teraz dobiec do miasta bez większego wysiłku. Był nawet dumny z tej poprawy. Po raz pierwszy w życiu

odczuwał radość z czystej aktywności swego ciała, z synchronizacji pracy płuc i nóg, ze stonowanego, niemal

przyjemnego bólu we wszystkich mięśniach.

Z początku trzymał się z dala od zabudowań przedmieścia, nie mając ochoty na prowokowanie

kolejnej konfrontacji.

Ale był ciekaw, do czego zmierza Savarin, co nauczyciel ostatnim razem miał na myśli, mówiąc o ludziach, z

którymi chciałby poznać Michaela. Zdecydował się wejść do Euterpe i odnaleźć budynek szkoły - i niech diabli

wezmą wszystkich mieszkańców. Miał kij i czuł się pewny siebie.

Skierował się ku głównej bramie i niemal wpadł na nauczyciela. Roześmieli się i Michael odłożył kij oddychając głęboko i ocierając pot z twarzy rękawem koszuli.

- Pomyślałem sobie, że może cię spotkam na twojej porannej ścieżce zdrowia - powiedział Savarin. - I ostrzegę cię.

Najlepiej nie zbliżaj się do miasta przez parę najbliższych dni. Od chwili twojego przybycia Alyons nie daje nam spokoju. Mieszczanie są wściekli. Mogą cię zaatakować, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co czynią.

- Nic im nie zrobiłem - powiedział Michael.

- Nie, ale sprowadziłeś kłopoty. Skromnie mówiąc, sprawy stoją tu na ostrzu noża. Alyons grozi zmniejszeniem

przydziału, jeśli wydarzy się jeszcze coś, co go rozzłości.

- To dlatego pokrzykiwali na mnie ostatnim razem?

- Tak. Nadal chcę cię przedstawić pewnym ludziom, ale odłóżmy to na później. I chciałem ci też powiedzieć... coś się

szykuje na dzisiejszy wieczór - Kaeli w Półmieście. Zaprosili ciebie?

- Nare coś wspominała, kiedy ruszyłem. Nie wiem nawet, co to takiego.

- To bardzo ważne. Kaeli to zgromadzenie Sidhów, na którym opowiadają sobie rozmaite historie, zwykle o

dawnych dziejach. Chciałbym cię prosić, żebyś uważnie słuchał i przekazał mi, co usłyszałeś. Raz się tylko temu przysłuchiwałem - i to z dużej odległości. Chowałem się w wysokiej trawie. Teraz, kiedy Mieszkańcy są tak czujni, nie mam odwagi. Nikomu nie wolno teraz zbliżać się do Półmiasta... Dlatego właśnie podejrzewam, że coś się

szykuje.

- Co?

- Najlepiej nie ściągać sobie jeszcze kłopotów na głowę. Ale może grazza. Najazd Rzekoli i Mroczków. Miej oczy otwarte i bądź ostrożny.

- Chcesz, żebym wrócił i opowiedział ci o Kaela?

- Oczywiście - przytaknął gorąco Savarin, a oczy mu pojaśniały. - Ale za kilka dni, kiedy się trochę uspokoi. -

Rozejrzał się nerwowo dookoła. Z pobliskich okien wychylało się kilka głów, a dwóch mężczyzn nudzących się przy bramie rzucało w ich kierunku ukradkowe spojrzenia. - No to na razie - powiedział nauczyciel, uściśnął znacząco rękę Michaela i skierował się do innej bramy. Michael schylił się po kij, uniósł go nad głowę i ruszył w drogę powrotną.

Jego ciało zaskoczyło niemal natychmiast i zapomniał o Savarinie, zapomniał o Kaeli, zapomniał niemal o

wszystkim z wyjątkiem poczucia pokonywanej odległości.

Mieszkańcy z Półmiasta, odziani w ciemnobrązowe i szare oponcze, maszerowali dwójkami przez łąkę, zamieniając

od czasu do czasu parę słów po kaskaryjsku albo wołając coś do idących dalej z przodu lub z tyłu pochodu.

Powietrze było nieruchome i chłodne; słońce opierało się już o szczyty odległych wzgórz, a wstęgi wieczoru

spływały wolno kaskadami ku zamglonemu widnokręgowi, odsłaniając gwiazdy zataczające swe małe kółeczka.

Na końcu kolumny maszerowały Żurawice. Michael, ubrany w kurtkę, kroczył ramię w ramię ze Spart. (Książkę

zostawił w schowku w swoim małym domku zabezpieczywszy ją jak najstaranniej.) Wcześniej, żeby formalności

stało się zadość, uprał w strumieniu ubranie; było jeszcze wilgotne, chociaż suszył je nad ogniskiem rozpalonym przez Nare. Spodnie były dziurawe na kolanach, a ramię kurtki rozpruło się na szwie.

Żurawice ubrały się w krótkie czarne płaszcze podkreślające długość ich nóg i krótkość tułowi. Szły z założonymi rękoma, a sterczące łokcie jeszcze bardziej niż zwykle upodabniały je do ptaków. Zdawały się przejawiać więcej starożytnego szacunku do Kaeli niż inni Mieszkańcy i nie rozmawiały.

Ci, których wyznaczono do wybrania miejsca na zgromadzenie, pobiegli przodem już późnym popołudniem. Teraz

kilkadziesiąt metrów dalej płonęło przy ścieżce ognisko, którego paliwo stanowiły kostki torfu i

suchy chrust.

Ognisko otaczał krąg wbitych w ziemię słupów, z których każdy zwieńczony był liściastą, zieloną gałęzią. Kiedy wszyscy Mieszkańcy zebrali się już w kręgu wytyczonym słupami, z tłumu wystąpił Lirg i uroczystym krokiem

obszedł ognisko w koło. Michael usiadł po turecku na ściernisku obok Żurawic.

Lirg przemawiał przez kilka minut po kaskaryjsku. Michael niewiele z tego rozumiał; miał nawet trudności z

wychwyceniem znaczenia pojedynczych słów w tej długiej oracji. Wydawało mu się, że kaskaryjski ma wiele słów o podobnych lub lekko stopniowanych znaczeniach i tak samo zmienia się składnia.

Siedząca za jego plecami Spart nachyliła się do niego i poklepała po ramieniu. - Nie nauczyłeś się tego języka, prawda? - spytała. - Jestem tu dopiero od dwóch tygodni - odparł Michael

tonem usprawiedliwienia. Nare parsknęła pogardliwie. Żurawice popatrzyły po sobie i Spart podsunąwszy się do

przodu otoczyła dłońmi głowę Michaela.

- Otrzymujesz ten dar tylko na dzisiejszy wieczór - powiedziała. - To nie na zawsze. - Cofnęła ręce i Michael potrząsnął głową, żeby pozbyć się lekkiego zaćmienia umysłu. Kiedy oszołomienie minęło, zaczął słuchać Lirga.

Mieszaniec nadal mówił po kaskaryjsku, ale słowa były teraz wyraźne; Michael wszystkie je rozumiał.

- Dziś wieczorem - mówił Lirg - wywołamy smutek czasów, kiedy byliśmy wielcy, kiedy Sidhowie maszerowali

między gwiazdami tak samo łatwo, jak ja okrążam to ognisko. - Omijając ogień przeszedł na drugą stronę; jego

słowa przebijały się teraz przez trzask płomieni. - Każdy będzie brał udział w snuciu opowieści, w części dotyczącej jego przodków, a na zakończenie opowiem o Królowej Elmie i dokonanym przez nią wyborze.

Pierwszy podjął wątek wysoki, brązowowłosy Mieszaniec, który przedstawił się jako Manann z rodu Till. Manann

zaczął - na wpół nucąc, na wpół mówiąc - aż Michael, zafascynowany poetycznością tego języka, nie mógł już

stwierdzić różnicy.

W tysiacy się polarnych okręciła tańców

Ziemia, nasz dom pospólny, od Zachodniej Wojny, Której zwycięzcy, ludzie, z tryumfalnych szanów
Ogłosili, że odtąd żaden z wziętych brańców

Z rasy imieniem Sidhe nie będzie się drożył Dziedzictwem duszy za granicą śmierci. Niechący Mag,
który nas tak zubożył

I w naszych wnętrzach tę pustkę otworzył, Życie nam dał, którego kres nie studzi.

I przyszedł potem czas na obrót koła wtóry. Ruszają Sidhe, przekleństwem tym struci, Na podbój
próżnych,

zadufanych ludzi, Których gniewu okrutnego ślepa plaga

Z pozamaterialnego bytu nas odarła. Do winowajcy zwracają się Maga, By też im pomstę odmierzyła
waga,

By ludzie mocą swoją w zwierzęta przemienił. Słodką ironią pasąc trymfujące oczy

Patrzą Sidhe, jako owi są zmniejszeni.

Lecz nawet w tak nikczemny, nędzny kształt wtrąceni Z pazurkiem przyprawionym, szczecią
grzebieniaści, Nie

wiedzą ci, którzy ludzkością byli

Cienistej śmierci jak rozewrzeć paści; I nie umieją rzec, jak błogie maści Duszy odzyskać mogą
nieśmiertelni.

Buńczuka Bitwy dzierzyciel, Czarodziej Ysra z Till rodu, zamknął wzwierżonych

Ludzi i wszystkich z nimi sprzymierzonych Takoz w zwierzęcych formach pomieszczonych Na Ziemi,
niczym bydło

ich ogrodził.*

- Ile właściwie było ras? - szepnął Michael do Spart, nie mając pewności, czy mówi po kaskaryjsku,
czy po

angielsku. Zwróciła na niego ciemne oczy i odpowiedziała: - Więcej niż cztery... nie wiemy tego
teraz dokładnie.

Wiele uległo zapomnieniu. Wiele zwierząt zamieszkujących Ziemię było wtedy istotami na wysokim
szczeblu

ewolucji, krewniakami dawnych Sidhów i ludzi.

Manann usiadł i wstał ktoś inny, młoda kobieta o krzepkich ramionach i twarzy szerszej niż przeciętna. - Jestem Esther z rodu Dravi. Podejmuję wyzwanie snucia rymowanej pieśni, ale chcę poprawić Mananna z Till... - Śmiech potoczył się po kręgu. - Zapomina o zaszczytnej roli mego rodu, co niniejszym uzupełniam.

Wszystkie szczepy, bracia i siostry pospołu,

W chwale Sidhe na gwiazdne wyruszają szlaki. W wędrówce tej przepastnej ich dzieje się mnożą
Liczba wielką jak piasek z dna morskich wądołów. Jednakże czasy rwące wszelki postęp morzą.
Znowu się wzlot chwalebny nurza w

poniżeniu, Gdy Sidhe odrodzonych czasu trakt okrutny Ostrzem gniewu lub trafu pcha ku ich losowi.
Uniesienie w rozkładzie, czystość w upodleniu, Ideałem nie żyje się już, ale bawi.

Bez celów szczytnych, godnych przeciwników, Na drogach gwiazdnych skapcianał Czarodziej. Do
dyscypliny nikt

Sidhe nie wdraża. Gnuśnych waśń bratnia ćwiczy wojowników; Gorzką wolnością plemiona poraża

Zawiść. Buńczucznik Sun z rodu Dravi Przewidział grożącą zagładę; wśród mroków, Najgłębszych z
dotąd

zaznanych, wszczął zwady Z Wielkiej Oddali szczepami, by sławy Odświeiyc blask i w bitwie
odnaleźć ślady

* przełożył Łukasz Nicpan.

Dumny i męstwa, starte po wojnie z Człowiekiem. Umysły różne od naszych płodzą się w Wielkiej
Oddali, Lęgnące myśli obcej nam postaci.

Pamięć tej wojny, Quandary zwanej, zginęła z wiekiem, Wynik jej tylko wiadomy, gdy po
zwycięstwie, co pali Raną dotkliwszą od klęski, stradawszy czego

Nie pozbyli przez gnuśność, nierząd i niecnotę, Ku Ziemi Sidhe, strzegąc się gorszego, Zwracają
przetrzebioną Czarodzieja flotę.

W liczbie ich zmarłych: Buńczucznik Sun z rodu Dravi.

Pobiwszy ludzkość przed dawnymi wieki, Ostatnim kroplom z rodu tego rzeki Jawi się Ziemia jako
upragniony

Port, gdzie spoczynek czeka zasłużony.*

Esther z rodu Dravi zajęła swoje miejsce, a opowieść kontynuował Fared z rodu Wis.

Słusznym prawem dziedziczenia Krake z zacnego Wis plemienia Odzierzywszy Buńczuk przywiódł
Do dom nas z

bezkresnych wód Ciemno-wieszczęj, złej przestrzeni. Nie wstąpił wszak w mir na Ziemi Twarda
bowiem rasa Ludzi Wybrnęła po wieków grudzie

Ze zwierzęcej zelżywości Cierpiąc Ból i Śmierci oścień.

Gdy Sidh w bratnich waśniach brzydł, C.aek w świadomy wracał byt.

A choć był dość jeszcze młody, Pojął Krake, że zawisł odeń

Los znędzniałych, marnych Sidhe, Zbyt mdłych do zwycięskiej bitki. Nizandsa z Serket rodziny,

Dziś zgasłej, te radzi czyni: Maga nam odszukać, męża Więzionego w skórze węża. On swą sztuką
nam powróci

Durze, których brak tak smuci.

* Przełożył Łukasz Nicpan.

Być może wolność - zawód Ducha Sidhe sprawi nawrót!" Krake sprzeciwia się wszelako, „Stary,
nowy Człek,

jednako Trosk nam licznych nie ukoi. Ludzka pomoc kłopot dwoi! Człeku władza, Maga wolność,
Mogą jeno

wskrzesić złość Jaka ich w zwierzęctwie gryzła. Pod ich władzą zaznamy zła" Partia Nizandsy
przegrywa. Krake, którego gniew porywa, Rumakom swoim niesnaski Przeciąć każe. Kir niełaski

Znów nas mroczy w Wielkiej Zwadzie. Mord Nizandsy koniec kładzie

Ufności między rodzeństwem, Trzecim to z trójcy przekleństwem.*

Teraz wstał Lirg i znowu ruszył wokół ogniska. - Nowy pomiot ludzi - zaczął głosem cichym, niemal
pozbawionym melodii - odzyskał poprzednią postać, ale swą dawną chwałę utracił na zawsze.
Ludzie nie potracili utrzymać tego, co czyniło ich przodków najgroźniejszymi wrogami Sidhów. A
sami Sidhowie dawno zagubili to, co czyniło ich

wielkimi. - Przeszedł na tę stronę ogniska, po której między Żurawicami siedział Michael, i spojrzął
nad ich głowami na Ziemi Paktu. - Opowiem teraz historię rodziny, do której wszyscy należymy,
historię rodu córki maga Tonna, Elmy.

Królowa Elme po ojcu Tonnie Buńczuk wzięwszy, z Człeka kpiny Ucięła, nowej zgody podwaliny
Pośród Sidhe

położyła i wbrew woli Bogowładcy kochała i poślubiła

Gdzieś w dali, nad równiną, przetoczyło się przeciągłe wycie, przerywając Lirgowi i wywołując
pierwsze od pół

godziny poruszenie wśród Mieszkańców. Nare, Spart i Coom zerwały się na

* Przełożył Łukasz Nicpan.

równe nogi i nim Michael zdążył mrugnąć okiem, były już na zewnątrz kręgu.

Po niebie gnały z zawrotną szybkością chmury. Wycie ścichło, znowu narosło i ponownie ścichło, jakby niesione kapryśnymi podmuchami wichury. Z jeszcze większej odległości wciąż dolatywał odgłos rogów nie przypominający

niczego, co Michael dotąd słyszał; rogów, które zdawały się śmiać i płakać zarazem.

Jak jeden mąż tłum rzucił się do zasypywania ogniska piaskiem. Michael, dezorientowany, trzymał się na uboczu uważając, że w tej sytuacji najlepiej nie przeszkadzać.

Gdy po ognisku pozostały tylko żar i dym, widoczność pogorszyła się znacznie. Kropla deszczu spadła Michaelowi na czoło, w chwilę później następna. Wiatr targał jego kurtkę - a może tylko mu się wydawało, że to wiatr. Zielony welon jasności rozbłysnął za wzgórzami.

- Człowieku-dziecko! Tędy! - Spart chwyciła go za ramię i pociągnęła za sobą. - Kaeli na dziś skończone. Adonna śle swych gospodarzy!

Pierwsza fala ulewy przemoczyła Michaela do suchej nitki. Biegł przez świeże błocko i przygiętą do ziemi, zbitą trawę za niewyraźnymi zarysami Żurawic. Wszędzie tworzyły się kałuże wody.

Gwałtowne porywy wichury

popychały go to w tę, to w inną stronę.

- Dokąd biegniemy? - krzyknął Michael. Postać obok nie odpowiedziała, ale biegła dalej dając mu rękoma znaki, aby podążał jej śladem. Wpadł po kolana w rozpadlinę wypełnioną deszczówką i walczył o zachowanie równowagi

zanurzył się aż po uda. Ocierając oczy i ociekając wodą wygramolił się z dołu i wrzasnął: - Hej! Poczekaj!

Postać zatrzymała się. Ponownie machnęła na niego ręką, kiedy pobrnął w jej kierunku. Trudno było biec; lało tak rzęsiście, że musiał zasłaniać dłonią usta, żeby nie nałykać się wody. Mimo to postać dyktowała mordercze tempo.

Błyskawica znowu rozświetliła wielką połąć nieba zalewając krajobraz szarą jasnością. Michael zatrzymał się.

Usłyszał gdzieś w pobliżu ryk - to rzeka, pomyślał, jednak postać biegnąca przodem znowu przynagliła go gestem ręki: Chodź. - Gdzie jesteśmy? - krzyknął. Nie otrzymał odpowiedzi. Niepewnie

postąpił krok do przodu i stracił grunt pod nogami. Wrzasnął przerażony i usta natychmiast wypełniły

mu się

deszczem. Krztusząc się, zleciał na rozjeżdżających się nogach i pośladkach po błotnistej skarpie, minął krawędź i runął w pełną deszczu pustkę.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że wpadł z deszczu w rwący nurt. Wierzgał i miotał się usiłując namacać brzeg i ucześcić się czegoś, ale prąd omotał mu nogi i wciągał w głębie. Otworzył oczy ściskany grubymi, potężnymi

ścianami wody i poczuł, jak ciemność nocy przechodzi w jeszcze czarniejszą nicość.

Myślał już, że pękną mu płuca, kiedy nagle wyprysnął z wody jak łosoś wyrzucony na brzeg pazurami niedźwiedzia.

Zarył się twarzą w błocie odwracając głowę na tyle tylko, aby zaczerpnąć tchu, i wdychał łapczywie powietrze wraz z grudkami ziemi podbijanymi w górę przez słabnącą ulewę.

Przetarł oczy. Była zielono od bezgłośnych, nie kończących się błyskawic. W pulsującym blasku ujrzał rwącą w

odległości niespełna metra rzekę. Z wody wyciągały się cztery przezroczyste ręce usiłujące pochwycić go za nogi i wciągnąć z powrotem w toń. Podkulił pod siebie nogi i wbił palce w błocko, żeby odczołgać się dalej od rzeki.

Barkiem i ramieniem uderzył o zimną, nieruchomą masę gład, pomyślał. Objął to coś obiema rękami i... gład

poruszył się. Michael spojrzał w górę i mrugając powiekami, aby osłonić oczy przed ostatnimi kroplami deszczu, ujrzał nad sobą fragment nocy, który przybrał kształty człowieka. Zarysy te poruszyły się i Michael poczuł, że twarde jak stal, mrozące krew w żyłach łapy unoszą go z brzegu. Chciał wołać o pomoc, ale twarda, zimna dłoń

zaczisnęła się na jego ustach paralizując mu wargi i blokując język za zębami.

Ktoś błyskawicznie owinał mu głowę grubą opończą. Potem, obmacując go brutalnie poprzez lodowatą tkaninę,

napastnik zawahał się. Odślonił głowę Michaela i ten spojrzał w twarz czarną jak dno morza, z dwoma podobnymi gwiazdom punktami zamiast oczu. Chrapliwy oddech, zimny jak powietrze z zamrażarki, zaszczytał go w nos.

- Antros! Wiros antros!

Z okrzykiem wściekłości lodowaty cień odrzucił Michaela od siebie. Chłopiec poleciał w przestrzeń wirując w

świecie błyskawic

i ciemności. Czuł krople wody na wargach i błoto wciskające się do oczu. Zderzenie z ziemią nastąpiło chyba po tym błocie, ale wszystko mu się pomieszało.

Leżał na wznak pewien, że ani jedna kość nie pozostała cała. Gdzieś w oddali słabło wycie zmieszane z poświstem wiatru, aż w końcu wszystko ucichło i spokój zapanował nad przemoczoną, udręczoną ziemią.

Rozdział jedenasty

Kropla wody, przeświecona promieniem słońca, zwisała z koniuszka źdźbła trawy, piękniejsza od najwspanialszego diamentu. Okrągła, wypełniona połyskującym życiem pęczniała i pęczniała, aż w końcu dorosła do wolności. Spadła rozedrganą kuleczką i rozprysła się na jego czole, zimna i łagodnie ponagląca.

Michael ujrzał roziskrzoną mgiełkę, złotą od góry i błękitną po bokach, otaczającą nową kropelkę tworzącą się na źdźble. Zamrugał powiekami i mgiełka przemieniła się w słońce zasnuwane do połowy chmurami. Wszędzie wokół

rosła wysoka, zielona trawa. Przez chwilę nie odczuwał żadnej innej potrzeby poza patrzeniem. Tak, wydało mu się, że przez całe życie był tylko parą oczu.

Wkrótce jednak przypomniał sobie o rękach i te drgnęły nerwowo. Istniała jakaś przyczyna, że wzbraniał się

pomyśleć o swym ciele, i kiedy poruszył nogami, ta przyczyna wyszła na jaw; ból. Tułów, kiedy uniósł głowę i

spojrzał po sobie, był zaskakująco czysty. Deszcz zmył błoto z kurtki. Chciał usiąść, ale zgrzytnął tylko zębami i opadł z powrotem na plecy.

Sprawdzał kolejno kończynę po kończynie, aż upewnił się, że żadna kość nie jest złamana. Rozchyliwszy kurtkę i koszulę odkrył masę pręg na boku. Czuł również ból w ramionach zasłoniętych rękawami - zwłaszcza pod pachami, pod które trzymał go cień. Miał wrażenie, że płoną mu zęby. Przypominał sobie jak przez mgłę moment, w którym wyleciał z rzeki, i ręce wyciągające się po niego z wody... cień z oczami jak gwiazdy.

Wstał na chwiejnych nogach i świat zawirował mu przed oczyma. Rzeka płynęła w swoim korycie w odległości

jakichś pięćdziesięciu metrów. Musiał przejść ten kawałek; nie przygięta do ziemi trawa nie dawała podstaw do przypuszczeń, iż rzeka

wezbrała tak, aby przynieść go aż tutaj. A może - to cień odrzucił go tak daleko.

Czyżby spotkał inny rodzaj Sidha - Mrocza?

Oslaniając oczy przed przeświecającym zza chmur słońcem, spojrział ze swojego wysoko położonego

punktu

obserwacyjnego na równinę. Stał na wyspie trawy pośród żółtozielonego oceanu błota. Jak daleko sięgał wzrokiem, nie było tam nic oprócz rozmytej przez nawałnicę równiny i odległych wzgórz. Ani śladu Euterpe czy Półmiasta; ani żywej duszy.

Wyglądało na to, że oprócz trawy jest tu jedynym żywym stworzeniem. Z niskich wzgórz spływały jeszcze do rzeki czarne fale wody z nocnej powodzi. Sama rzeka wróciła do swego koryta i znowu płynęła powoli i leniwie.

Michael usiadł. Skoro wpadł do rzeki, musiał tu spłynąć z jej prądem, a więc kiedy nabierze sił, skieruje się w górę rzeki. Poczul na plecach czyjs wzrok. Odwrócił się sztywno, żeby

spojrzeć za siebie. Niecałe sto metrów za trawiastą kępą kończyły się Ziemie Paktu. Zniosło go prawie na Przekłętą Równinę. Powietrze po drugiej stronie granicy było gęste i szaropomarań

czowe. Wody rzeki aż do linii demarkacyjnej miały mętłą, szaroniebieską barwę, a zaraz za nią stawały się jaskrawo żółtozielone i obrzydliwie purpurowe, niczym ropa z gnijącej rany.

Sama Przekłęta Równina była ciągnącym się aż po horyzont rumowiskiem czarnych, szarych i brązowych głazów

rozrzuconych po połyskliwym, miłkim piasku koloru umbry. Poprzez zawiesiste powietrze dostrzegał wysokie,

poskręcane spirale skał, przypominające urwane sploty kleju z tubki pozostawione na spartaczonej wyklejance. To miejsce było czymś więcej niż tylko sumą swych fragmentów; bardziej żywe niż martwe, chociaż nie widać było

niczego, co żyje. Było to miejsce wrogie, utworzone z dawno pogrzebanych spraw, długo tłumionych namiętności, ukrywanych błędów.

Śmierć, rozpacz, plugastwo i horror.

Michael zadrzał i to drzenie przeszło w dreszcze spóźnionego szoku. Zszedł z kępy, kiedy tylko pozwoliły mu na to uginające się w' kolanach nogi, i podjął marsz przez step w górę rzeki w kierunku Euterpe i Półmiasta - taką

przynajmniej miał

nadzieję - byle dalej od pozostałości po wojnie, którą mógł sobie tylko mgliście wyobrazić.

Po kilku minutach zaczął czerpać z rezerw, jakie nagromadził w ciągu ostatnich tygodni treningu. Szedł przez mniej więcej godzinę, jaka pozostała do zapadnięcia zmroku, potem przespał się czujnie pod gołym nocnym niebem i o

świcie ruszył w dalszą drogę. Nie umrze. Nie zginie z głodu.

Przetrwał; i ten prosty fakt wbijał Michaela w przerażającą, przyjemną dumę.

Gęste opary mgły unoszącej się z ziemi o pierwszym brzasku, zanim słońce zaczęło silniej przygrzewać, snuły się nad równiną. Michael, trzymając się cały czas piaszczystego brzegu rzeki, dotarł do płytkiego zakola, gdzie nurt burzył się i połyskiwał na skałach i kamieniach; przebył je w bród i wspiął się na najbliższe wzgórze, żeby

zorientować się w położeniu.

W odległości trzech kilometrów ujrzał dachy Półmiasta. Puścił się pędem wydeptaną w gliniastym piasku ścieżką.

Życie w Półmieście wydawało się toczyć normalnym trybem. Deszcz i wichura uszkodziły kilka domów, a

dziedziniec targowy Lirga niemal zrównał z ziemią, ale Mieszkańcy krzątali się wokół swych zajęć, jak gdyby

wydarzenia ubiegłej nocy były dla nich chlebem powszednim.

Chata Zurawic stała nietknięta. Nare, kucając pomiędzy dwoma stosami zwierzęcych kości, z długą trzcina w

zębach, spokojnie plotła z sitowia grube maty do siedzenia. Coom nie było nigdzie widać. Spart, jak się po chwili zorientował, szła za nim, kiedy zbliżał się do pagórka. Michael obejrzał się przez ramię i uśmiechnął do niej.

- Martwiłyście się o mnie? - spytał. Spart zrobiła wielkie oczy i odsłoniła czarne dziąsła.

- Nie szukali ciebie ani żadnego innego człowieka - powiedziała.

- Takie odniosłem wrażenie - przyznał Michael. Zatrzymał się przed swoim szałasem i podniósł jedną nogę, żeby zdrapać z buta zaschnięte błoto. - Co to było?

- Najazd na Mieszkańców - powiedziała Spart. Odeszła

w kierunku chaty poruszając szczęką, jak gdyby coś przeżuwała. Nie sprawiała wrażenia zadowolonej z jego

widoku.

- Dałem sobie radę - powiedział.

- Miałeś dużo, dużo szczęścia. - Odwróciła się do niego spod drzwi. - Wymknąłeś się Mroczkom i Rzekolom. To

szczepy Sidhów, które najzarliwiej czczą Adonnę. Adonna potrzebuje do swych celów krwi Sidhów,

ale nie może

tknąć rodowitego Sidha. Przychodzi więc po nas. Nadajemy się do jego potrzeb i mało kto przejmuje się zniknięciem Mieszkańca. To szczęście, człowieku-dziecko, nie umiejętności, pozwoliło ci ujść z życiem.

Michael spoglądał to na jedną, to na drugą Żurawicę, czerwieniejąc na twarzy. - Przeżyłem - warknął. - Przeżyłem, do cholery! Nie jestem jakimś śmieciem, który każdy kopie przechodząc! Mam swoje prawa i... i ja... - Nie mógł

znaleźć słów. Spart wzruszyła ramionami i zniknęła w chacie. Nare zerknęła na niego przekrzywiając głowę i

uśmiechnęła się nie wypuszczając z zębów trzciny. Potem wyjęła trzcinę z ust i splunęła na ziemię.

- Przeżyłeś, chłopcze - odezwała się. - Ale nie pomogłeś nikomu. Ostatniej nocy porwani zostali trzej Mieszkańcy, a wśród nich Lirg z rodu Wis.

- Co się z nimi stanie?

- Adonna już wie, co z nimi zrobić. Mówiliśmy ci, chłopcze. Nie słuchałeś.

Michael poczuł się nagle zmęczony i zniechęcony. Nigdy dotąd nie żył w miejscu tak okrutnym i niepewnym. Miał

wrażenie, że przedłużający się spór rozmiękcza mu mózg: - A co z Eleuth? spytał po chwili.

- Nie porwano jej - odparła Nare. - Ona jest tylko w ćwierci Sidhem. Jej przydatność byłaby ograniczona.

- Czy zawsze was napadają w noc Kaeli? - Nie zawsze. Ale dosyć często.

- To dlaczego wciąż urządza te zgromadzenia na otwartej przestrzeni?

- Mimo wszystko wywodzimy się z Sidhów - powiedziała Nare. - Musimy pielęgnować ich zwyczaje, nawet jeśli jest to niebezpieczne.

Michael przetrwał przez chwilę tę odpowiedź i doszedł do wniosku, że w gruncie rzeczy nie ma w niej wiele sensu.

Nie chciał

jednak ciągnąć tego tematu. - Pobiegam teraz - powiedział. Nare nie zareagowała. Przyszło mu na myśl, żeby pójść do Euterpe i porozmawiać z Savarinem, sprawdzić, co się stało z Ludźmi. Savarinowi mógł przynajmniej zadawać

pytania nie narażając się na śmieszność.

Ruszył łagodnymi susami w nadziei, że po drodze pozbędzie się ze swego ciała zmęczenia i strachu. Zbliżywszy się po raz drugi tego dnia do Półmiasta, zwolnił. Zerkając za siebie, czy nie jest obserwowany, wybrał drogę

prowadzącą przez osadę.

Zastał Eleuth zamiatającą dziedziniec. Spojrzała nań nie przestając machać miotłą.

- Słyszałem - powiedział Michael. - Przykro mi.

- Służy teraz bogu - odparła Eleuth. Jej głos przesycony smutkiem był jeszcze piękniejszy.

- Zamierzasz teraz sama prowadzić targowisko? - Spróbuję.

Otwierał już usta, ale w ostatniej chwili uświadomił sobie, że właściwie nie ma nic do powiedzenia. Schylił się po kawałek drewna.

- Odłóż to na stos - powiedziała pokazując miotłą stertę równo poukładanych, połamanych desek.

- Gdybym mógł ci w czymś pomóc...

Popatrzyła na niego ze spokojną, nieruchomą twarzą, chociaż policzki miała wilgotne. Nie widział jeszcze, żeby Sidh albo Mieszaniec płakali. Zapisał tę informację w pamięci; być może płakała, bo była w trzech czwartych

człowiekiem.

To znaczy, w czymś, co potrafię robić - zastrzegł się od razu.

Potrząsnęła głową i zamiatała dalej. - Michael - powiedziała, gdy odwracał się już, żeby odejść.

- Tak?

Po południu wezmę sobie wolne. Możemy się wtedy spotkać? Będę w lepszym nastroju.

Jasne. Będę przy moim szalasiu o... Nie. Nie przy Żurawicach.

To mu nawet odpowiadało. - Przyjdę tu do ciebie. Chociaż bolał go każdy miesiąc, czuł, że jest to taki rodzaj bólu, którego można się pozbyć poprzez wysiłek fizyczny. Znalazłszy się

na drodze za Półmiastem puścił się truchtem, przyśpieszając stopniowo, w miarę jak ból cofał się przed wysiłkiem.

Jego życie było już dwa razy zagrożone. Widocznie takie sytuacje były w Królestwie na porządku dziennym. Za

każdym razem Żurawice traktowały jego straszne doświadczenia jako jeszcze jeden mało znaczący

incydent.

Michael nie mógł się z tym pogodzić.

Nie był pewien, czy Żurawice pomogą mu w osiągnięciu celu, jaki sobie wytknął; wiedział, że nie może ufać Lamii.

Nawet ludzie mieli w jego losie mały tylko altruistyczny interes; Savarin będzie się prawdopodobnie zajmował

Michaelem . dopóty, dopóki ten będzie mu znosił informacje. Tylko Eleuth akceptowała go takim, jakim był, i

pragnęła jego towarzystwa. Przyśpieszył.

Cokolwiek o nich myślał, jedno było pewne: trenując go Żurawice nie wyrządzały mu żadnej krzywdy. Czuł się

lepiej, był silniejszy; na Ziemi, po kąpieli, która omal nie skończyła się utonięciem, i po takim obcesowym

potraktowaniu, pewnie przez tydzień nie wyszedłby z łóżka.

Burza nie wyrządziła w Euterpe wielkich szkód. Na niektórych ścianach widniały jeszcze wilgotne zacieki, a jedną czy dwie podparto stemplami, bo rozpuściło się w nich kilka cegieł, ale nic poza tym. Najwyraźniej Nare mówiła prawdę: Mroczeni i Rzekole polowali na Mieszkańców, nie na ludzi.

Michael szedł szybko ulicami, żeby uniknąć ciekawych spojrzeń gapiów. Mimo to zaczepiono go kilka razy.

Przygarbił się czując, jak narasta w nim bezsilna wściekłość.

Potrząsnął głową, żeby opędzić się od złych myśli, i przeciął wąski, ponury, trójkątny placyk sąsiadujący z wielkim parterowym budynkiem z brunatnożółtej cegły.

Nie było żadnych znaków potwierdzających ten fakt, ale Michael domyślił się, że to właśnie jest ten Kojec, który wzbudzał we wszystkich taki lęk. Okrążywszy budynek zobaczył po drugiej stronie szkołę Savarina - kwadratową

budowlę o płaskim dachu z przysadzistą wieżyczką górującą nad jednym z narożników. Wchodząc po ceglanych

stopniach usłyszał piskliwe, wibrujące wycie dochodzące z podziemi Kojca i stłumione trzaśnięcie . ciężkich drzwi.

Savarin stał w pustej klasie przy wiklinowym pulpicie, kartkując cienki plik szarego papieru. Podniósł wzrok na wchodzącego Michaela i zrobił wielkie oczy na widok jego posiniaczonej twarzy

i stanu ubrania: zabłocone spodnie całe w plamach po trawie, podarta koszula i kurtka. - Z każdym dniem bardziej przypominasz dzikusa - powiedział

Savarin. - Czy miałem rację co do ostatniej nocy: to nie była zwykła burza?

- To był... jak ty to nazwałeś? To był najazd.

Savarin pokiwał głową obchodząc Michaela w koło i dotykając z troską jego kurtki. - Grazza, widzisz, przypomina arabskie słowo grazzu. Mój Boże. Wiedziałem, że to napad na Półmiasto...

- I to w samym środku Kaeli - powiedział Michael. - Porwali trójkę Mieszkańców, a wśród nich zarządcę targowiska.

Jak często zdarzają się te najazdy?

- Na tyle często, abym zaczął podejrzewać, że Adonna mało dba o Mieszkańców i że Pakt nie odnosi się do nich w pełni. A mimo to pielęgnują zwyczaje Sidhów...

- On ma ich wszystkich głęboko gdzieś - zaperzył się Michael sam zaskoczony swoim gniewem. - Chętnie bym zabił

tego sukinsyna.

Savarin przyglądał się przez chwilę z powagą Michaelowi. Mam nadzieję, że pamiętasz wszystko, co zaszło.

- Pamiętam wszystko wystarczająco dokładnie - zapewnił go Michael. - Żurawice dały mi nawet na tę okazję dar

rozumienia języka kaskaryjskiego.

Twarz Savarina zdradzała niemal komiczną zazdrość. - No to opowiadaj - powiedział. - Opowiadaj wszystko.

Przez półtorej godziny Michael odtwarzał przebieg Kaeli i późniejszych wydarzeń. Savarin porwał plik szarego

papieru i notował wszystko zapamiętane zaostrzoną laseczką utwardzonego węgla drzewnego. - Zdumiewające -

pomrukiwał co chwila. Imiona, których nigdy nie słyszałem, powiązania! Zdumiewające!

Gdy Michael skończył, Savarin powiedział: - Podejrzewam, że Adonna skończyłby już z nami wszystkimi, czy to

Mieszaniec, czy człowiek. Ale działa bardzo wolno. Czas boski musi się różnić od naszego. W chwilach jego

zawahania zmieściłaby się cała historia naszej obecności w Królestwie...

- Co się dzieje z Mieszkańcami, których porywają?

- Słyszałem, że Mroczyki i Drzewole składają z nich ofiary w swoich świątyniach. Wykorzystują ich do magicznych obrzędów. Niewiele więcej wiem. Być może niektórzy są zabierani do Irall.

- Co to jest Irall?

- Największa świątynia Adonny rządzona przez Czarodzieja, ale dostępna dla wszystkich Sidhów. Mówiłeś, że ilu zostało porwanych?

- Troje.

- No to może nie da się ich rozdzielić po równo. Przy podziale jeńców mogło dojść do sprzeczki między

najeźdźcami. Michaelowi nie spodobało się słowo „rozdzielić”. Brzmiało aż za dosłownie.

- Wracając do pieśni z Kaeli, słyszałem wcześniej pewne streszczenia, ale nigdy nie zawierały tylu szczegółów.

Pomogłeś mi złożyć w jedną całość wiele oderwanych fragmentów. Szkoda, że Lirgowi zabrakło czasu na

opowiedzenie czegoś więcej o Elme. Podejrzewam, że wiąże się z nią jakieś bardzo ważne wydarzenie historyczne. -

Odłożył notatki na pulpit i usiadł obok Michaela w pierwszej ławce. - Po mieście krąży wiele pytań. Dlaczego tu się znalazłeś i dlaczego mieszkasz z Żurawicami, zamiast przebywać wśród swoich? Mieszczanie nie lubią cię, bo boją się niezadowolenia Alyonsa. Nasza sytuacja jest chwiejna, a ty wprowadziłeś do niej jeszcze jeden element

niepewności.

- Czy mogę coś zrobić? - spytał Michael.

- Być może. - Savarin uśmiechnął się i spoważniał zaraz oglądając sińce na ciele Michaela. - Powinienesz

odpoczywać, a nie ganiać po okolicy.

- Czuję się świetnie. Powiedz mi coś więcej o Żurawicach. No, nauczycielu, pomyślał. Ucz. - Dlaczego są tak stare...

i ile mają lat?

- Nie jestem całkowicie pewien zaczął Savarin - ale wydaje mi się, że one pamiętają jeszcze czasy samej królowej Elme. Z tego co słyszałem, są córkami Elme, ale nie ma na to dowodów, a one oczywiście nic nie powiedzą.

Czasami Sidhowie przysyłają przez Przeklętą Równinę swoich kapłanów nowicjuszy albo młodych, obiecujących

wojowników na szkolenie do Żurawic.

- No dobrze, ale ja nie jestem wojownikiem, a już na pewno nie Sidhem. Z Żurawicami czuję się głupio. Jeśli

Sidhowie tak nienawidzą ludzi i Mieszkańców, to dlaczego Alyons jest tu po to, aby nas ochraniać? Czy on naprawdę kogokolwiek ochrania?

- Tak - powiedział Savarin drapiąc się dwoma palcami po nosie. - W pewien sposób. Choć niechętnie, przyznać

muszę, że bez niego byłoby tu jeszcze gorzej. Ale on nas nienawidzi. Pilnuje, żebyśmy się stąd nie ruszali, i zapewniając nam jaką taką ochronę jednocześnie nas prześladowuje. Uprzykrza nam życie.

- Chciał mnie zabić.

- Jestem pewien, że ty występujesz przeciwko wszystkiemu, co jemu najdroższe - zachichotał Savarin. - Jesteś

traktowany w najniezwykleszy sposób - pod wieloma względami jak Sidh.

Michael spojrział w dół na ubite klepisko. - Mam milion pytań, a nikt nie zna na nie odpowiedzi albo nie udziela mi ich, nawet jeśli je zna.

- Jeśli Żurawice nie powiedziały ci do tej pory - powiedział Savarin - to może utrzymywanie cię w niewiedzy należy do programu szkolenia. - Wstał. - Ignorancja kocha towarzystwo. Jest ktoś, z kim chciałbym cię poznać... to znaczy, jeśli masz czas.

- Jestem wolny - odparł Michael ze zbyt wyraźną nutką wyzwania.

Rozdział dwunasty

- Ostatnią osobą, jaka pojawiła się przed tobą w Królestwie jest... młoda kobieta. - Savarin prowadził Michaela wąską alejką. Pod ich stopami kląskalo wciąż jeszcze rozmiękłe błocko. - Jest tu od dwóch lat, licząc to na dni - bo taka rachuba jest pewniejsza niż liczenie upływu czasu według pór roku. Powiedziałem jej o tobie i ona chce cię poznać. Pochodzi z twojego kraju, ze Stanów Zjednoczonych.

- A gdzie mieszkała w Stanach? - W Nowym Jorku.

- Savarin, od jak dawna ty tu jesteś? - Jakieś trzydzieści, trzydzieści pięć lat.

- Nie wyglądasz na tak starego zdziwił się Michael.

- Starzejemy się tutaj do pewnego momentu, a potem przestajemy. Nasze dusze uświadamiają sobie, że nie ma

miejsca, do którego mogłyby odejść, i przez to lepiej dbają o nasze ciała. Przestajemy się starzeć; dotyczy to również starego Wolfera.

Michael szedł przez chwilę w milczeniu przetrawiając tę informację. - Jak ona ma na imię?

- Helena. - Savarin skręcił w lewo i skinął na Michaela, żeby szedł za nim. Na końcu jeszcze węższej alejki w kształcie litery T znajdowały się drzwi osadzone w ścianie z niewypalanej cegły. Poprzeczka tego T rozgałęziała się na prawo i lewo, kończąc się ślepyimi ścianami. Schodki w korytarzyku pięły się w cień. Drogę oświetlał im

migotliwy blask świecy zatkniętej w lichtarzu u szczytu schodów.

Savarin poprawił Michaelowi kołnierz kurtki i wyłożył na wierzch kołnierz koszuli, potrząsnął głową, widząc całą beznadziejność starań o doprowadzenie go do porządku, po czym odwrócił się twarzą do obciągniętych płótnem

wiklinowych drzwi i zastukał w nie lekko knykciami.

- Tak? Kto tam?

- Przyprowaździłem gościa - powiedział Savarin mrugając okiem do Michaela.

Drzwi otworzyły się z suchym skrzypnięciem i stanęła w nich młoda kobieta niewiele starsza od Michaela.

Uśmiechnęła się niepewnie, zerknęła na Savarina, wygładziła dłońmi dolną część bluzki i spojrzała na Michaela.

Miała na sobie krótką spódniczkę z tego samego ciemnobrązowego materiału, co większość ludzi i Mieszkańców. Jej bluzka była jednak z białej bawełny, lekko wycięta pod szyją. Miała szeroką twarz, wspaniałe czarne oczy i szerokie, pełne usta. Jej włosy były ciemnobrązowe z przebłyskami czerwieni. Była zgrabna, trochę pulchna, ale wzrostem dorównywała Michaelowi i umiała eksponować zalety swojej figury.

- Heleno Davies, to jest Michael Perrin - przedstawił ich sobie Savarin machając ręką.

- Halo - bąknął Michael wyciągając rękę. Helena uścisnęła ją - palce miała ciepłe i suche, trochę zrogowaciałe - i cofnęła się w głąb izdebki.

- Proszę, wejdźcie. Savarin opowiadał mi o tobie. Mieszkanko przedzielone było otynkowaną

ścianką z cegły na dwa pokoiki. W przejściu między nimi wisiała zasłona z wydrążonych kawałków gałązek nanizanych na sznurek. W

przeciwnych kątach stały dwa trzcinowe fotele przykryte małutkimi, szarymi poduszeczkami. W trzecim kącie, na stojaku z patyków, bardzo podobnym do tego, jaki Michael widział w pokoju hotelowym dzielonym z Savarinem,

rozpierała się miednica.

- Parzę herbatę ziołową - powiedziała Helena zapraszając ich gestem ręki do zajęcia miejsca. Ściągnęła wałek z łóżka i zniknęła za zasłoną, skąd wróciła po chwili z białym, ceramicznym czajniczkiem i trzema kubkami.

Postawiła to wszystko na drugim wiklinowym stolyczku, przysunęła wałek do fotela Michaela i usiadłszy na nim

rozlała herbatę do kubków, które im podała. Wstała nagle wyciągając ręce to w tę, to w inną stronę i jednocześnie szukając czegoś wzrokiem. - Ach! - powiedziała, podeszła szybko do pudełka stojącego na parapecie i wyjęła z

niego plaster miodu owinięty w nasączoną woskiem szmatkę. Chcecie miodu do herbaty?

- Poproszę powiedział Michael. Oderwała kawałek plastra i podała mu go. Wrzucił miód do swojego kubka.

Uświadamiając sobie swój błąd zaczął wyławiać rozpuszczające się drobiny wosku, ale po chwili zrezygnował.

Helena roześmiała się, ale bez złości, i znowu zajęła swoje miejsce.

- Jestem taka przejęta - zwróciła się do Savarina. - Henryk mówi, że nie trafiłeś tu tą samą drogą, co reszta z nas.

Michael nie miał ochoty powtarzać swojej historii, która

zaczynała już być dla niego nużąca. - A jak ty się tu dostałaś? spytał.

- Helena była obiecującą pianistką koncertową - odpowiedział za nią Savarin. Helena wzruszyła ramionami z

udawaną skromnością i uniosła do ust kubek zerkając znad obrzeża na Michaela.

- To przez Prokofiewa - powiedziała. - Słucham?

- Grałam Prokofiewa. Przez miesiąc ćwiczyłam koncert fortepianowy numer trzy, przygotowując się do recitalu.

Byłam bardzo zmęczona. Najpierw rano z Bachem, a później, przez całe popołudnie z Prokofiewem.

Michael czekał, aż Helena podejmie opowieść. Popatrzyła mu znacząco w oczy, roześmiała się i mówiła dalej. - Nie czułam zupełnie rąk, postanowiłam więc wyjść na spacer. W głowie dźwięczała mi muzyka. Czułam ją. Była też w

moim ciele, a zwłaszcza w piersi i ramionach. - Dotknęła miejsca pod prawą piersią. Jej piersi zakołysały się podniecająco pod bluzką. Zupełnie jakbym doznała muzycznego ataku serca, rozumiesz? Michael pokręcił głową.

-- Zresztą może to nie tak. W każdym razie byłam jak pijana. Stałam u szczytu schodów w budynku, w którym

mieszkałam, a na dole nie było nic, tylko kałuża rtęci - wiesz, takiego żywego srebra - i postąpiłam krok do przodu.

Zanurzyłam w to stopę. Ocknęłam się tutaj. - Odstawiła kubek i delikatnie otarła usta palcem. - Nadal nie lubię schodów, nie lubię nawet mieszkać na wyższych piętrach.

- To się zdarzyło dwa lata temu? - spytał Michael.

- Mniej więcej. A teraz - jak ty się tu dostałeś? To znaczy Henryk już mi opowiadał, ale chciałabym to usłyszeć jeszcze raz od ciebie.

Cała pewność siebie, która (jak sądził) gromadziła się w nim podczas tygodni treningu, stopniała w jej obecności niczym śnieg. Była tak świeża, urocza, młoda i całkowicie ludzka. Zastanawiał się przez chwilę nad doborem słów, a potem przywołał wspomnienia i stworzył kolejną wersję swoich przeżyć. Kiedy skończył, Helena wyjrzała przez

małe zasłonięte okienko. Słabe światło wpadające z alei kładło na jej twarz miękkie cienie.

- My właściwie wcale nie rozumiemy życia, prawda? - odezwała się. - Myślałam, że to coś w rodzaju czyścica dla tych, którzy za dużo czasu spędzali z muzyką, a za mało w kościele. To znaczy myślałam tak z początku. Taka

byłam naiwna.

- Wielu ludzi, znalazłszy się tutaj, odczuwa z początku religijne zmieszanie - powiedział Savarin. - Badam to.

- Ty badasz wszystko - powiedziała Helena wyciągając smukłą rękę, żeby dotknąć ramienia Savarina. Michael skupił

wzrok na tym kontakcie czując ukłucie zazdrości. - Czy jeszcze mało ci jego?

- Jesteś z Nowego Jorku? - Z Brooklynu. A ty?

- Z Los Angeles.

- O rany - powiedziała potrząsając głową. - Zwariowany Kalifornijczyk. Nigdy nie słyszałam o Arno Walt... jak on się nazywał? Czy pisał w ogóle muzykę poważną?

- Do filmów - odparł Michael. - I nic poza tym?

- No, napisał koncert...

- Zabawne, o tym też nigdy nie słyszałam.

- Wydaje mi się, że zabroniono go wykonywać, czy coś takiego. Miał przez niego mnóstwo kłopotów.

- Tak, muzyka to wielki świat. I przypuszczam, że kompozytorzy mają ciężkie życie, jeszcze cięższe niż pianiści. Co tutaj robisz?

- Trenuję - powiedział Michael bez zastanowienia. - Po co trenujesz?

- Nie wiem. - Uśmiechnął się zakłopotany. Helena popatrzyła na niego z wyraźnym zaskoczeniem.

- Musisz wiedzieć, po co trenujesz - powiedziała. - Chyba po to, żeby nabrać sił.

- Nie wyglądasz mi na szczególnie zabiedzzonego.

- Jestem słaby - przyznał. - To znaczy nigdy nie przykładałem się do ćwiczeń fizycznych.

- Z ciebie chyba taki sam mól książkowy, jak z Henryka powiedziała Helena. - A zatem to dobrze dla ciebie, że tu tak mało książek.

- Michael przyniósł jedną ze sobą. - O, naprawdę? Mogę ją obejrzeć?

- Nie mam jej przy sobie. - Zaskoczyło go, jak drażliwy był to dla niego temat; przypomniał sobie wyraz twarzy Lamii, kiedy powiedział jej, że ma tę książkę. - To po prostu tomik poezji.

- Szkoda, że to nie książka o muzyce. Strasznie wyszłam z wprawy. - Uniosła ręce i rozczapierzyła palce zginając lekko serdeczne. - Założę się, że uważasz muzyków za strasznie próżnych - powiedziała wzdychając. - Za dużo

mówią.

- Wcale nie.

- Ludzie w większości są tutaj starsi ode mnie. Niektórzy przebywają tu już od stu albo więcej lat. Czy to nie zadziwiające? A mimo to rzadko który wygląda na starszego od Henryka, ci zaś, którzy wyglądają, byli już w

podeszłym wieku, kiedy tu trafili. Według mnie to wszystko jest bardzo tajemnicze.

- Owszem - zgodził się Michael, chociaż mógł wybrać inne słowo. Nie odrywał od niej oczu. Ku swemu

zakłopotaniu, nie potrafił powstrzymać erekcji. Położył ręce na kolanach i starał się skoncentrować na innych sprawach - na Alyonsie i jego jeźdźcach, na Mroczku.

- Ciekawa jestem, czy kiedykolwiek to wszystko zrozumiemy - ciągnęła Helena. Zdawała sobie chyba sprawę z

onieśmienia Michaela - nawet z jego kłopotliwej sytuacji i wyraźnie ją to bawiło. - Długo będziesz mieszkał z Żurawicami? Chciałam powiedzieć, czy pozwolą ci przenieść się do miasta?

- Nie wiem. Prawdę mówiąc, ja w ogóle niewiele wiem. Jestem taki zagubiony, ale... - Pragnął się jej zwierzyć ze wszystkiego, przelać na nią wszystkie swe rozterki... Oderwał oczy od jej bluzki. - Muszę już iść - powiedział.

Wspomnienie Alyonsa otrzeźwiło go. - Może jestem im do czegoś. potrzebny. Może.

- Och, jaka szkoda - powiedziała Helena wstając. Zerknął na jej kolana, a potem spojrzał jej w oczy. Nie miał

wątpliwości. Była

piękna. Ciekawiło go, kim był dla niej Savarin - tylko przyjacielem? - Czy będziesz mógł jeszcze kiedyś przyjść?

Chciałabym trochę więcej z tobą porozmawiać, powspominać stare czasy.

- Postaram się - powiedział Michael. - Kiedy mam... hmmm... kiedy by ci odpowiadało?

- Wczesnie rano pracuję w pralni. - Pokazała mu swoje ręce. - Są okropne, prawda? - stwierdziła podsuwając mu je pod sam nos. - W Królestwie nie ma żadnych urzędzeń wyręczających ludzi w pracy. Możesz przychodzić po

południu. Poza tym jestem zwykle tutaj. Wpadnij czasem. - Uśmiechnęła się promiennie.

- Muszę już iść - zwrócił się Michael do Savarina.

- Oczywiście - powiedział Savarin. Wyszedł razem z Michaelem.

- Do następnego razu - powiedziała na pożegnanie Helena. - Do zobaczenia - powiedział Michael i pomachał

niezdarnie ręką. Gdy doszli do końca alejki, Savarin zachichotał.

- Podobasz się jej, chłopcze. Michael tylko pokiwał głową.

- I coś mi się wydaje, że nie będziesz już tak często mnie odwiedzał, dostarczał tylu interesujących informacji.

- Będę ci przekazywał wszystko, czego się dowiem - obiecał Michael.

- Kiedy już to opowiesz Helenie. - Savarin przerwał słaby protest Michaela uśmiechem. - Nie, ja dobrze to

rozumiem. Każdego interesuje przede wszystkim chwila obecna. Ja jestem tymczasem przeklęty, bo zajmuję się

sprawami długoterminowymi.

Rozstali się na peryferiach Euterpe i Michael wrócił do Półmiasta z zamętami w głowie.

Rozdział trzynasty

Po raz pierwszy życie w Królestwie nabrało jakiegoś innego sensu poza walką o przetrwanie i odległym na razie celem powrotu do domu. Michael szedł krętą uliczką targową Półmiasta, mając przed oczyma twarz Heleny, jej usta i to, jak się poruszały, kiedy doń mówiła.

Dotarł do targowiska z zerwanym dachem i przedostał się przez rumowisko do frontowych drzwi domu Lirga - a

właściwie teraz Eleuth. Zastukał we framugę. Przez chwilę nie było odpowiedzi, ale w końcu Eleuth otworzyła drzwi i stanęła w nich mrugając szeroko otwartymi oczyma.

- Halo - powiedziała. Twarz miała jakby starszą, zniszczoną. - Chciałaś ze mną porozmawiać? - spytał Michael.

Porównał obcą urodę Eleuth z rzeźką, znajomą pięknnością Heleny i poczuł pewną odrazę.

- Pragnę towarzystwa - powiedziała Eleuth. - Ale jeśli jesteś zajęty...

-- Nie - powiedział Michael. Odraza ustępowała stopniowo, przechodząc wręcz w pociąg, ale był to jakiś odległy pociąg, z którym potrafił sobie poradzić. Eleuth zaprosiła go gestem do środka i zamknęła cicho drzwi.

Dom był urządzony zupełnie inaczej niż mieszkania ludzi, które dotąd widział: czyste, solidnie wyglądające meble i podłogi z drewna wyściełane obiciami i dywanami, w rogach, daleko od okien, zapalone lampy wydzielające

słodkawą woń wosku, pośrodku domu palenisko obudowane ceramicznymi płytkami, z kominem

przez dach. Na żelaznych prętach umocowanych między ścianami a kominem wisały grube kobierce o misternym

wzorze, dzielące wnętrze na cztery izby. Michael usiał na ławie, a Eleuth naprzeciw niego, na krawędzi paleniska wygaszonego teraz i przykrytego mosiężną siatką.

- Właściwie to Lirg nie umarł - odezwała się po kilku minutach kłopotliwego milczenia.

- Co z nim zrobią? - zapytał Michael.

Eleuth spuściła oczy i schyliła się, żeby poprawić sobie but. Będzie służył Adonnie.

- Powiedzmy - mruknął Michael.

- Oznacza to, że będzie wzbogacał rytualne obrządki swą magią. To go osłabi. Mieszkańcy różnią się od Sidhów

pełnej krwi. Magia nas męczy. Im więcej płynie w nas ludzkiej krwi, tym mniejszą mocą dysponujemy.

- A co potem?

- Strach pomyśleć - powiedziała Eleuth. - Tak czy inaczej, już nigdy go nie zobaczę. Był dobrym ojcem.

Mówiła powoli i z uczuciem. Im była smutniejsza, tym bardziej go pociągała. Niemal bez wahania usiadł obok niej i wziął ją za rękę. Po raz pierwszy poczuł, że panuje nad sytuacją. Podniosła na niego wzrok i w jej oczach pojawiły się łzy. - Jak wygląda śmierć na Ziemi?

To pytanie zaskoczyło Michaela. Nie licząc Waltiriego, nigdy nie przeżył na Ziemi śmierci kogoś bliskiego. O ile wiedział, przyjaciele, rodzice i dziadkowie nadal żyli. Śmierć była dla niego pojęciem teoretycznym, czymś, co można sobie wyobrazić nie przeżywając tego głęboko. - Jest ostateczna - powiedział. Wszyscy utrzymują, że ludzie mają dusze, a Sidhowie nie, ale znam wielu ludzi, którzy by się z tym nie zgodzili.

- Tutaj to żadna różnica - powiedziała Eleuth. - Tak mi mówiono. Młodzi muszą wierzyć w to, co im się mówi,

prawda? Michael wzruszył ramionami. - Chyba tak.

- I nie robić tego, czego się im zabrania. Mieszkańcy mają większą swobodę niż Sidhowie. Już utraciliśmy swoją pozycję. Nie mamy właściwie gdzie spadać.

- Ludzi też się tu nie poważa - przypomniał jej Michael. - Ale Sidhowie pozostawiają ich w spokoju. Mroczki ich nie porywają.

- Tylko dlatego, że jesteśmy dla nich bezużyteczni. Nie ma w nas magii. Umiesz odprawiać czary?

Eleuth pokiwała powoli głową. - Trochę. Uczę się, ale nie przychodzi mi to łatwo.

Michael poklepał ją po ramieniu i wstał. - Powinienem już wracać do Żurawic. - Właściwie to nie miał na to zbytnej ochoty, ale nie mógł wymyśleć innej wymówki; nie bardzo wiedział, jak ją jeszcze pocieszyć.

Eleuth wstała wciąż patrząc w podłogę i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jednym palcem grzbietu jego dłoni. -

Najbardziej bezbronni stajemy się wtedy, gdy jesteśmy sami - powiedziała. Podniosła na niego wzrok. - Oboje

potrzebujemy siły.

- Chyba masz rację - powiedział Michael. Przez chwilę zastanawiał się, jak by tu, nie urażając jej, pożegnać się i wyjść. W końcu uśmiechnął się po prostu i wymknął przez drzwi. Odprowadziła go wzrokiem, a oczy miała tak

samo szeroko otwarte, jak wtedy, kiedy tu wchodził. Zanim drzwi się zamknęły, zobaczył jeszcze, jak się odwraca z powolną elegancją, i dreszcze przeszły mu po ramionach.

Jego zmieszanie pogłębiło się jeszcze, kiedy przeszedł strumień i minąwszy pagórek zbliżył się do chat. Na szczęście na zewnątrz nie było żadnej z Żurawic. Wszedł do swego małego domku i stanął dotykając głową krokwi powały.

Twarz pozaczyły mu linie poczerwieniałego światła słonecznego ześlizgującego się po przeciwległej ścianie.

Ta noc była spokojna, nie licząc odległego, głębokiego pomruku, który wypełnił na jakąś sekundę całą krainę. Gdy ścichł, Michael położył się na macie z sitowia i zapatrzył w ciemność. W chwili oszołomienia wydało mu się, że to nie świat się zmienił, ale on; że w jakiś sposób przekształcił się i pokazał nową twarz. Nie czuł się jak szesnastolatek.

Czuł się pełny, czekał na coś... żywił nadzieję.

Rozdział czternasty

Spart obudziła Michaela wczesnym rankiem chwytając go za rękę i wywlekając z szałas. Przez cały czas wydawała przy tym dziwne dźwięki, ni to nucąc, ni gwizdząc. Odnosiło się wrażenie, że szuka odpowiedniej tonacji i nie bardzo może ją znaleźć, ale im uważniej jej słuchał, tym bardziej dochodził do przekonania, iż ten dźwięk wykracza poza wszystkie tonacje. Zanim rozbudził się na tyle, żeby zacząć myśleć trzeźwo, Spart puściła go i zaczęła się przechadzać dookoła niego. Jej krytyczny wzrok mierzył go od stóp do głów. - Gotowy - spytała zatrzymując się przed nim i biorąc pod boki.

- Chyba muszę --- odparł.

-- Wybieramy się na wycieczkę. Przejdziemy przez Przekłętą Równinę. Pójdiesz z nami.

- Dobrze - powiedział przełykając ślinę. - A będzie śniadanie?

Z chaty wyszła Coom i rzuciła mu szarozieloną limonę wielkości pomarańczy. Nare podała przez okno suchą

kromkę chleba. Wolał nie protestować; poza tym jedzenie Sidhów wydawało się pożywniejsze. W każdym razie

rzadko bywał wygłodniały, a gdyby sądzić tylko z wielkości porcji, jakie mu wydzielano, dawno powinien już

umrzeć z głodu.

Szli o poranku brzegiem rzeki przez wysokie do pasa trzciny i wodne rośliny o pierzastych listkach, których nie potrafił zidentyfikować. Pnącza ześlizgiwały się do wody niczym zielone węże gumowe. Przed nimi, na

południowe-wschodnim horyzoncie, ponad wyblakłym pomarańczowym pasmem unoszącym się nad Przekłątą

Równiną, lśniła plamka intensywnego błękitu.

Żurawice nurkowały w szuwarach pojawiając się to przed nim to za nim. Przypominał sobie trochę okolicę ze swej mimowolnej

wyprawy podczas Kaeli. Po dwóch godzinach marszu dotarli do trawiastego stepu, który najbardziej ucierpiał w

czasie burzy. Zbita deszczem trawa jeszcze się nie podniosła. Po czterech godzinach rozpoznał wzgórek z czubem bardziej zielonej trawy, na którym się ocknął, i ujrzał granicę. Ale Żurawice, porzuciwszy trzciny, ruszyły wijącym się szlakiem skręcającym na północny wschód.

Po upływie trzech następnych godzin, podczas których kilkakrotnie zbliżali się do granicy tylko po to, by zmieniać kierunek marszu i ponownie się od niej oddalać, kiedy tylko znalazła się w zasięgu wzroku, Michael był już tak zmęczony, że zatrzymał się i słabo zaprotestował. Żurawice biegingy dalej w podskokach jak dzieci na wycieczce. Ich zachowanie mogło wskazywać, że są o wiele młodsze, niż wynikałoby to z wyglądu (jeśli można było przykładać do nich ludzką miarę wieku, a tego nie był pewien). Poczekajcie, proszę! - zawołał za nimi Michael. - Co my robimy, dokąd idziemy?

Spart machnęła ręką, żeby nie zostawał z tyłu. Michael westchnął. Dawno już dał sobie spokój z doszukiwaniem się motywów w tym, co robiły. Żurawice były, skromnie mówiąc, nieobliczalne.

I teraz go zwodziły. Schylił się na chwilę, żeby wyswobodzić stopę zaplątaną w korzeniach, i kiedy się wyprostował, Żurawic nie było. Zamiast nich, w odległości pół kilometra, na szczycie niskiego pagórka zobaczył konia - konia Sidhów; jego pana nie było nigdzie widać.

Michael nerwowo omiótł wzrokiem pagórek, po czym ruszył w kierunku zwierzęcia. Bezpański koń

Sidhów był

prawdopodobnie najniezwyklejszym zjawiskiem na Ziemiach Paktu. W każdym razie on nigdy takiego nie widział.

Kiedy wspiał się po łagodnym stoku, koń uniósł łeb i zarżał. Zastrzygł uszami w jego kierunku i przebierając

nerwowo nogami odwrócił się przodem do Michaela. Chłopiec zatrzymał się; wolał nie podchodzić bliżej. To mogła być pułapka. Po drugiej stronie pagórka mógł leżeć Sidh czekając na kogoś tak ciekawego, jak on.

-- Tak, powinieneś zachować ostrożność - odezwała się Spart Wyrastając jak spod ziemi metr za jego plecami. - Czy wiesz, co to jest? Czy mają je jeszcze na Ziemi?

- Oczywiście - odparł Michael. - Ale trochę inny... ten koń.

- Po kaskaryjsku epon - powiedziała Spart. - Jest to słowo tak stare, że poprzedza najwcześniejsze konie. W tamtych czasach istniały inne wierzchowce, silniejsze, jeszcze szlachetniejsze. Nie przetrwały wojen. Przyjrzymy mu się bliżej?

- Jeśli tak mówisz.

- Tak - powiedziała Spart. - To część tego, czego musisz się nauczyć.

Koń uderzył kopytem w ziemię i pochyliwszy łeb zaczął skubać żdźbła trawy. Kiedy się zbliżyli, cofnął się kawałek, po czym ruszył wprost na Spart. Wyciągnęła przed siebie rękę i koń zagłębił nos w jej szeroką dłoń, zamykając jednocześnie oczy i pochrapując z cicha.

Sierść konia była z bliska aksamitno połyskliwa, a pod skórą grały mu ubite mięśnie. Nogi miał długie, a łeb wąski, niemal kościsty. Długa grzywa zwisała nisko na szyi, ale była dobrze utrzymana; koń musiał być niedawno czesany.

- Skąd on jest? - spytał Michael.

- Przed chwilą przeszedł Przekłętą Równinę - powiedziała Spart. Poklepała zwierzę po zadzie, z którego wzbił się złocisty pył. - Jego panowie oczekują nas po tamtej stronie granicy. Przeprowadzi nas i jeśli będziemy się blisko go trzymali, sani nas ochroni. - Pokazała mu otwartą dłoń; ujrzał w niej iskierki podobne do płatków miki. - Chciałbyś go dosiąść?

Michael potrząsnął głową. - Nigdy nie jeździłem konno. - Będziesz się musiał nauczyć. Może zacniemy już teraz?

Nie pytała Michaela; zwracała się do Nare i Coom, które tymczasem podeszły jak gdyby nigdy nic do stóp pagórka.

Nare trzymała w zębach żdźbło trawy. Pokiwały obojętnie głowami:

Spart spojrzała spode łba na Michaela i wzruszyła ramiona mi. - Jak chce - mruknęła. - Mimo wszystko koń jest pożyczony. - Obeszła zwierzę w koło obmacując jego boki i zad gładząc po grzbiecie.

Nare zachichotała gardłowo i przykucnęła kilka metrów dali wyjmując trawkę z zębów i przyglądając się jej

uważnie. - Kiedy chcesz dosiąść konia - odezwała się - podchodzisz do niego spoglądasz mu w oczy i mówisz „Tyś moją duszą, jam twoim panem!” Wierz w te słowa, kiedy je wymawiasz. Potem... wskakuj

r, na niego.

- I to wszystko? - spytał Michael. Coom roześmiała się, a zabrzmiało to tak, jakby ktoś przeciągał dachówkę między zaciśniętymi zębami.

- Tak - powiedziała Spart. - Ale żeby w to uwierzyć, musisz być zdolny do radzenia sobie z koniem jak Sidh. Żaden człowiek nie potrafi jeździć na koniu tak jak Sidh. Macie już dusze. Niewiele miejsca pozostaje dla konia.

- Może potrafię się nauczyć - powiedział Michael wyzywająco. - Może będę jeździł równie dobrze.

- No to spróbuj. - Spart splotła dłonie w koszycek i podstawiała mu je jak strzemię. - Lewa stopa w górę, prawą przerzucić przez grzbiet.

- Nie ma siodła?

- Chyba że przyniosłeś swoje.

Postawił lewą stopę na jej dłoniach, złapał się za szyję konia, odbił prawą stopą od ziemi i wskoczył na grzbiet. Na moment zawisł w powietrzu i wylądował bez tchu na czworakach. Koń stał kilka kroków dalej potrząsając łbem i

parskając.

- Jeśli nie potrafisz jeździć na koniu - powiedziała Nare przypatrując mu się stamtąd, gdzie siedziała - postępuj jak on. Michael pozbierał się z ziemi. - Szybki jest - mruknął. - Kiedy indziej - odezwała się Spart. I znowu poczuł, że jego

wartość spadła w ich oczach do zera. Żeby wyjść z tego z twarzą, podszedł po raz drugi do konia i poklepał go po boku. Koń zwrócił ku niemu perlowski łeb mrugając enigmatycznie wielkimi srebrnymi ślepiami. - Hej -

przemówił do niego Michael czy jak ci tam. Zostaniemy przyjaciółmi?

Sidhowy koń machnął ogonem opędzając się od wymagowanej muchy i uniósł przednią nogę. - Posłuchaj -

szepnął mu Michael do ucha kładąc zwierzęciu dłoń na chrapach i przyciągając łagodnie jego łeb do poziomu swych ust. - Nie dobijaj mnie, bo i tak jest ze mną źle. One uważają mnie za łamagę - wskazał ruchem głowy na Żurawice -

i ja się z nimi zgadzam. Jeśli już nie chcesz zostać moją duszą, to może zostaniesz moim kumplem?

Koń uniósł łeb odtrącając rękę Michaela, a potem przygiął ku niemu uszy i delikatnie pchnął go nosem w pierś.

- Czyżbyś potrafił postępować z końmi? - spytała Spart. - Nie wiem; to pierwszy raz.

- Spróbuj jeszcze raz - zachęciła go Spart. - Jeśli ci się uda, może nie będziesz musiał brnąć przez Przekłętą Równinę na piechotę. - Znowu podała mu dłonie splecione w strzemię. Wsparł się o nie nogą i wskoczył na grzbiet konia. Koń napiął mięśnie grzbietu i potrząsnął łbem, ale stał spokojnie. Michael mocniej ścisnął go kolanami i zapytał z lekkim drżeniem w głosie: - Czy teraz na nim pojedę?

Oczy Spart zwróciły się ku zachodowi, na step, gdzie w odległości ponad kilometra galopowała grupka złożona z trzech konnych Sidhów.

- Kto to? - spytał Michael.

- Buńczucznik - odparła Spart mrugając wolno powiekami i ujmując konia pod brodę.

- Czego on tu chce?

- Chce się spotkać z tymi, którzy nas oczekują - powiedziała Nare wstając. - Chodź. Przejdźmy teraz.

Żurawice zeszły przeciwległym stokiem z pagórka. Koń ruszył za nimi bardziej idąc pod Michaelem niż będąc przez niego kierowanym. Michael nie miał pojęcia, jak nim kierować, a nie sądził, aby była to odpowiednia pora na

pytania. Alyons i dwaj jego jeźdźcy zbliżyli się do nich na sto metrów i zwolnili. Obie grupy, zachowując już ten dystans skierowały się ku granicy Ziemi Paktu i leżącej ,za nią zasnutej dymami krainie.

Na granicy Żurawice przystanęły. Zielona trawa urwała się wzdłuż idealnej geometrycznie linii prostej, a po drugiej stronie zaczynał się połyskliwy, czarno-umbrowy piasek Przekłętej Równiny. Nare schyliła się, żeby zaczerpnąć garść piasku; przeciekał jej między palcami tak samo pozbawiony życia, jak kurz w worku odkurzacza. Wytarła ręce o spodnie krzywiąc się z obrzydzeniem.

- Będziemy szły przy tobie, blisko konia - powiedziała Spart. Coom obejrzała dokładnie boki wierzchowca.

- To ten pył nas chroni? Chciałem powiedzieć, sani?

- Częściowo - odparła.Coom. Ona też nie spuszczała wzroku z Alyonsa i jeźdźców, którzy zatrzymali

się na granicy jakieś sześćdziesiąt metrów dalej. Alyons mierzył ich zimnym wzrokiem gładząc pewnymi, płynnymi ruchami

łopatkę swego złocistego konia. Michael zastanawiał się, dlaczego Buńczucznik zachowuje się tak dziwnie.

Pierwsza przekroczyła granicę Nare. Koń ruszył za nią niechętnie; jego boki falowały. - Czterdzieści mil -

powiedziała Spart wskazując na wschód. - Bezludzie. Wojenne pobojuwisko. Dobry teren do treningu. Ale

powinieneś być ostrożny. Adonna grzebie w ziemi swoje pomyłki; wykop albo wysadź w powietrze dostatecznie

głęboki dół na terenie Królestwa, a odkryjesz je ponownie.

W którą stronę spojrzeć, wszędzie wznosiły się powykręcane spirale stopionych niegdyś skał; niektóre, pochylone, wspierały się o siebie tworząc pętle i łuki. Ziemia rozstępowała się, pojawiały się w niej pęknięcia i rozpadliny, z których buchały kłęby siarczanego dymu i gryzące opary. Tu i ówdzie, niczym wypełnione ropą rany, rozlewały się bulgocące kałuże żółtopomarańczowej brei. Michaela strasznie piekły oczy; dopiero Spart kazała mu się nachylić i nałożyła mu ciemnej, gęstej maści na oba policzki, tuż pod oczodołami. Nie potrafiła jednak znieczulić jego zmysłu powonienia. Z nosa ciekło mu bez przerwy i pociągając nim tracił tę namiastkę godności, jaką zyskał dosiadając konia.

Michaela niepokoił fakt, że nie zabrali ze sobą ani żywności, ani wody. W razie jakiegokolwiek zwłoki w marszu przeoczenie to mogło okazać się tragiczne w skutkach; na Przeklętej Równinie nie znaleźliby niczego do jedzenia ani do picia.

Otaczały ich tumany gęstego, drażniącego kurzu. Michael wziął od Coom pasek tkaniny i obwiązał sobie nim nos i usta; Żurawice uczyniły to samo.

O zmierzchu dotarli do płaskiej, kamiennej tafli z rozrzuconymi po niej mniejszymi głazami o ostrych krawędziach.

Michael zsiadł z konia, żeby pomóc Żurawicom w oczyszczaniu miejsca na postój o średnicy około czterech

metrów. Podnosił i odrzucał kamienie ostrożnie, uważając, żeby nie poprzecinać sobie dłoni. Potem Coom wyjęła ze swojej torby krótką drewnianą różdżkę i nakreśliła nią na piasku koło wokół oczyszczonego miejsca. - Tutaj

odpoczniemy - powiedziała.

- Czy ta linia zatrzyma wszystko, co chciałoby się do nas dostać? - spytał Michael przypominając sobie pentagramy.

- Nie - odparła Comm. Nie wyjaśniła, po co narysowała to

koło. Alyons ze swoimi jeźdźcami zatrzymali się dwadzieścia metrów za nimi, ale nawet nie zsiadli z koni.

Pomarańczowe światło było przytłaczające. Michael chciał ruszać w dalszą drogę i namawiał do tego Żurawice, ale Nare stanowczo potrząsnęła głową. Wszystkie trzy usiadły w kole, a Michael stanął w pobliżu jego środka. Koń stał

obok niego z opuszczonym łbem i na wpół przymkniętymi oczyma. Wyglądał na bardzo zmęczonego. -
Czy

odpoczywamy ze względu na konia? - spytał Michael głosem stłumionym przez chustkę zasłaniającą usta. - Już

wiem - ciągnął nie doczekawszy się odpowiedzi. - Coś wysysa tutaj z konia siłę, ale on nas osłania...
- Ani nie potwierdziły, ani nie zaprzeczyły jego teorii.

Nad ich głowy napłynęła ciemnobrązowa chmura, z której wysuwało się nibyodnoże szaropomarańczowej mgiełki.

Każda płynna cząstka tej mgiełki była wielkości kropli deszczu, ale nie spadała. Chmura krążyła wokół koła, lecz nie przekraczała jego obwodu.

Alyons ze swymi jeźdźcami znajdowali się poza zasięgiem chmury. Wpatrywali się uporczywie w Żurawice i

Michaela, któremu wydawało się, że nawet z tej odległości czuje nienawiść Alyonsa.

Godzinę później Spart i Coom wstały nagle. Michael potrząsnął głową; ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że zasnął

stojąc. Zaproponował Nare konia, a ona dosiadła go bez słowa. Spart

zmaszała stopą kawałek narysowanego koła i ruszyli dalej na wschód. Sidhowie podążyli w ślad za nimi zachowując niewielki dystans.

Robiło się coraz ciemniej i Żurawice śpieszyły się, żeby opuścić Przekłętą Równinę przed zapadnięciem nocy. Stopy Michaela grzęzły wciąż w piachu o wiele gorszym od piasku na plaży; zmęczył się szybko i żałował teraz, że oddał

konia.

O zachodzie słońca - przekształconym przez pomarańczową ; mgiełkę w złowieszczy rytuał ściemniania się

brązowego nieba i opadania pasm jasnego brązu i ochry - zbliżyli się do kolejnej ostro zdefiniowanej

granicy. Nie bardzo było wiadomo, co leży po jej drugiej stronie; powietrze w tym punkcie gęstniało i widać było przez nie tylko jakieś widmowe zarysy, które równie dobrze mogły być drzewami, jak i wysokimi skałami.

Koń przyspieszył i musieli biec, żeby dotrzymać mu kroku. Michael starał się, jak mógł, ale przekroczył granicę jako ostatni.

Na sekundę sparaliżowała go przerażająca myśl, że jeśli zostanie z tyłu za Żurawicami, może nie będzie w stanie przejść granicy sam; ale żadna wyczuwalna siła nie przeszkodziła mu w jej przekroczeniu.

- Witaj we właściwym Królestwie - powiedziała Spart. Drzewa! Rosły przed nimi ogromne, rozłożyste, liściaste bal-dachimy przyciemniające resztki dziennego światła do poziomu zielonkawego mroku. Powietrze było chłodne i

rześkie. Opadł nawet pył, który zgromadził się na ich skórze i ubraniach, i stali teraz zgrzani i spoceni, ale czyści.

Koń pogalopował na trawiastą polankę, żeby skubać szmaragdowozielony obiad. Nare zeskoczyła z niego i wolnym

krokiem podeszła do drzewa. Poklepała je długopalczystą dłonią uśmiechając się szeroko. Michael rozłożył ręce i oddychał głęboko, chłonąc chłód, zieleń i spokój.

Na ile sięgał wzrokiem w zapadający zmrok, pnie drzew rosły w nieregularnych, sporych odstępach jeden od

drugiego. Między nimi dostrzegał krzaki uginające się pod ciężarem czerwonych i purpurowych jagód, wysokie lilie o białych kwiatach z delikatnymi, krwistoczerwonymi obwódkami, kolonie niebieskich kwiatów na skraju polanek.

Ten las był więcej niż ziemski; był surrealistyczny, przeidealizowany. Po kilku minutach Michael znowu poczuł

niepokój. Obejrzał się na granicę, na to nagłe przejście do pomarańczowej mgiełki, żeby sprawdzić, gdzie jest Alyons ze swoimi jeźdźcami. Nie było ich nigdzie widać.

Podeszła do niego Spart z rękoma założonymi na plecy. Uśmiechały się subtelniej niż Nare. Coom siedziała na

najniższym konarze drzewa i przyglądała się mu stamtąd jak ptak.

Spart wyciągnęła lewą rękę. Na jej otwartej dłoni leżał kwiat. Nie przypominał żadnej z kwitnących roślin, które do tej pory zauważył - był przezroczysty, jakby zrobiono go z miękkiego szkła. Można byłoby sądzić, że jest z plastyku, gdyby nie drobna siateczka żyłek na jego płatkach. Pomyślał, że Żurawica mu go daje, sięgnął więc po niego. Spart cofnęła błyskawicznie rękę i zasłoniła kwiat długimi, rozczapierzonymi palcami drugiej dłoni. - Jakiego jest koloru?

- spytała.

- Żółtego - odpowiedział. Cofnęła dłoń. Kwiat był jasnobłękitny. - No tak, niebieski, a wyglądał jak...

- Królestwo to nie Ziemia. Na Ziemi wszystko opiera się na chaosie, tak samo jak tutaj, ale tam ściślej określone są fundamenty. W Królestwie fundamenty są mniej dokładne. Wszystko jest bardziej otwarte na sugestię. Chaos na

Ziemi jest podtrzymywany w stanie względnej stabilności przez prawo, które stanowi, że nigdy nie możesz wygrać...

rozumiesz?

Michael potrząsnął głową; nie rozumiał.

Spart podsunęła mu kwiat bliżej. - Ziemia jest o wiele doskonalszym tworem. W Królestwie wszystko jest bardziej płynne. Spójrz. Jakiego koloru jest ten kwiat?

- Nadal niebieskiego - odparł, ale kiedy to powiedział, uświadomił sobie, że kwiat był przez cały czas żółty. - Nie...

nie, przepraszam. Żółtego.

- Ponieważ nie jesteś w stanie zwyciężyć nawet w betlim, w małym starciu - powiedziała Spart - musisz być jak ten kwiat. Sugeruj! Wykorzystuj tę płynność, te niedoskonałości Królestwa. Magia może być dla ciebie niedostępna, stosuj więc sugestię. Podała mu żółty kwiat. Tym razem pozwoliła mu go wziąć, ale rozwierając palce sama

zniknęła. Zniknęły też Nare i Coom oraz koń. Michael upuścił kwiat i ten upadł w wysoką zieloną trawę, lądując na trzech pokrytych kropelkami rosy łądkach.

Był teraz różowy.

Michael usiadł, a potem położył się na trawie, zaintrygowany tym, co przed chwilą usłyszał od Spart. Kwiat kołysał

się w pobliżu na swym trójnogu z trzech ździebeł trawy w podmuchach leniwego, orzeźwiającego wietrzyka.

Pachniał mieszaniną aromatów herbacianych róż i jaśminu. Noc zapadała gwałtownie i niebo przybrało barwę

granatu z delikatnymi odcieniami różu. Drzewa były teraz niemal czarne. Wiatr szeptał w ich koronach, hipnotycznie kołysząc tam i z powrotem widmowymi konarami. Michael poczuł, jak opadają mu powieki...

- Mamy towarzystwo.

Wzdrygnął się i obudził. Siedziała przy nim w kucki Nare ze źdźbłem trawy w zębach. Wskazała na grupkę zebraną wokół małego, jasnego ogniska płonącego w odległości jakichś dziesięciu metrów.

- To Sidhowie! - syknął Michael. Ale nie był to Alyons ani jego jeźdźcy, których nadal nigdzie nie widział. Ognisko otaczało pięciu długowłosych, brodatych mężczyzn, ubranych we wspaniałe czerwienie, zielenie i błękity,

spoglądających w ciemność, w stronę Nare i Michaela. Pojawił się szósty, młodszy od tamtych; odzienie miał białe w czarną kratę. Michael nie potrafił stwierdzić, czy ich strój to zbroja, czy ciepła odzież, ale fragmenty oświetlane przez ogień olśniewały.

Odwrócił głowę i dostrzegł w tej grupce Coom rozmawiającą z siwym, bladolicym Sidhem w czarnych aksamitnych

szatach. Gdy Sidh poruszył się, Michael ujrzał bogate, szare wzory na jego opończy - a raczej zawieszane tuż nad materiałem z którego była wykonana, bo zdawały się falować i zmieniać z każdym ruchem. - Kim oni są? - spytał

Michael.

- Są z Irall - odparła Nare. - Wybrali nowicjusza i przyprowadzili go do nas na szkolenie.

- Dlaczego do was?

- Bo jesteśmy starsze niż większość Sidhów. Znamy stare zwyczaje i stare ćwiczenia. - Wyraz jej twarzy wiele

powiedział Michaelowi: Żurawice dostały nareszcie kogoś interesującego do szkolenia, kogoś wartego zachodu.

Młodszy Sidh oddalił się od ogniska i podszedł na skraj obozowiska. Oparł się o gładki, masywny pień drzewa i osunął po nim na ziemię. Zabrał się do obierania ze skórki jakiegoś owocu, najwyraźniej nieświadom, że Nare i Michael obserwują go z odległości zaledwie kilku metrów.

- Czego on jest nowicjuszem? - spytał Michael.

- Ten młodzieniec poznaje tajniki temelos, przedsionka kapłaństwa. Czeka go ciężki okres, nawet bardzo ciężki.

Niełatwo dojść do stanu kapłańskiego i niełatwo się w nim utrzymać. Jak się nazywa?

- Biridashwa - odparła. - Będziemy go nazywali Biri. Michael obejrzał się na granicę i brązowy mrok nad Przekłętą Równiną. Dostrzegł tam odległe czerwone lśnienia, które jak języki lawy wpełzały po skalnych spiralach,

przelatujące zielone kule, a w górze, wysoko ponad równiną, małą, samotną sferę blasku błyskającą bezgłośnie.

I nagle zobaczył inne ognisko jarzące się głęboko w lesie. Na tle tego blasku rysowały się trzy sylwetki: Alyonsa i jego jeźdźców.

- Czego oni tu chcą? - spytał Michael wskazując w tamtym kierunku. - Wciąż za nami idą, czekają na coś.

Nare potrząsnęła głową. - Buńczucznik pragnie rozmawiać z Sidhami z Iralii. Nie uda mu się to.

- Dlaczego?

Nare uśmiechnęła się krzywo, jak zawsze, kiedy chciała wyrazić swą opinię o zdolnościach Michaela. - Dlaczego według ciebie Alyons jest Buńczuczniakiem na Ziemiach Paktu, a nie u siebie, we właściwym Królestwie?

- Nie wiem - odparł Michael. - A dlaczego?

- Za dużo pytań - zganiła go Nare i nie odezwała się już tej nocy.

Rozdział piętnasty

Między drzewami i nad obozowiskiem snuła się mgła pozostawiając błyszczącą warstewkę kropel na trawie,

kwiatach i na Michaelu. Obudził się na dźwięk ciężkich stóp w pobliżu i zaalarmowany przekręcił na plecy. W

odległości dwóch kroków, biało-czarny na tle szarości, z twarzą bladą w świetle wczesnego ranka, stał młody Sidh.

- Kazano mi sprawdzić, czy się obudziłeś - odezwał się Biri. Wyglądał na spiętego i nieszczęśliwego. Pocierał o siebie palce wskazujące i kciuki obu rąk.

- Już nie śpię - powiedział Michael klękając. Odczuwał pewien respekt przed tym młodym Sidhem. Jego towarzysze tak różnili się od Alyonsa i jego jeźdźców. Pomyślawszy to Michael utkwiał wzrok we mgle usiłując wypatrzeć

Buńczuczniaka, ale wokół roztaczała się tylko srebrzysta jasność, w której majaczyły cienie wielkich drzew. Otarł

twarz i ramiona z rosy i zadygotał.

- Nie nauczyły cię hyloki? - spytał Biri.

Michael pokręcił głową. - Nie wiem nawet, co to takiego. - Powiedziano mi, że mamy trenować

razem. Może

będziemy sobie wzajemnie pomagać.

- Masz zostać kapłanem.

Biri spuścił wzrok. - Moi strażnicy wkrótce odchodzą. Przejdę z wami na tamtą stronę Przeklętej Równiny. Gdzie są Geen Krona? - Co?

- Żurawice.

Nie wiem. Na pewno gdzieś w pobliżu. - Ale Żurawic nigdy nie był pewien.

Z mgły wyłoniły się trzy wysokie postacie zbliżające się do obozowiska. Michael wstał szybko. Natychmiast

rozpoznał smukłą, potężną sylwetkę Alyonsa. Minęli Michaela i Biriego w odleg

łości nie większej niż pięć, sześć kroków, ignorując ich, i zatrzymali się tuż przed obozowiskiem Sidhów. Biri cofnął

się i spytał szeptem Michaela: - Przyszli tu za wami?

Michael skinął głową. - Alyons mnie nie lubi. Buńczucznik powiedział coś po kaskaryjsku do ubranego na czarno strażnika. Ten spojrzał z otwartą niechęcią na jeźdźców stojących z boku w pokornych pozach.

- Prosi o nowe posłuchanie u Daruda - powiedział Biri. - Kto to taki?

- To naczelnik Malnu, Czarnego Zakonu. Jest nim Tarax - ten w czarnej sepli. Alyons był kiedyś członkiem, ale popełnił jakąś zbrodnię. Został ukarany zesłaniem na Ziemie Paktu, żeby nadzorować tam ludzi i Mieszkańców.

- O czym teraz rozmawiają?

Tarax odwrócił się bokiem do Alyonsa i podszedł do jednego z jeźdźców. Zamienił z nim kilka słów i jeździec

wycofał się zgięty w lekkim ukłonie.

- Tarax powiedział Alyonsowi, żeby był wdzięczny za to, co ma. Wydaje mi się, że Tarax gani tego jeźdźca za jakieś uchybienie w rytuale obowiązującym w obecności członka Malnu.

Michael przyjrzał się dokładniej Taraxowi zafascynowany ruchami białowłosego Sidha. - Czy jest starszy od

pozostałych? - Człowiek może tak pomyśleć. Wiek niewiele dla Sidhów

znaczy, kilka tysięcy lat w tę czy w tamtą. Zwłaszcza tutaj. - No, ale jest starszy? - nalegał Michael.

- Nie wiem - przyznał Biri. Jak gdyby uświadamiając sobie dopiero teraz, że rozmawia z człowiekiem, Biri

zesztywniał cały i cofnął się o krok. Alyons skłonił się Taraxowi, odwrócił i opuszczając obóz skinął na swoich Sidhów. Jego wzrok napotkał Michaela i zatrzymał się na nim; twarz Alyonsa nie wyrażała żadnych uczuć, ale mimo to Michael poczuł błysk nienawiści.

- Jest teraz bardzo zły - odezwał się znowu Biri. - Wydaje mi się, że Żurawice rozmawiały z Taraxem. Alyons miał

nadzieję na złagodzenie kary. Tarax powiedział mu, że wśród Sidhów nie ma czegoś takiego.

- No to nieźle - mruknął Michael. - Teraz dopiero da nam w kość.

- Nie sądzę - powiedział Biri. - Nie uczyni tego, dopóki ja tu jestem. Żurawice traktowane są ze specjalnymi

względnymi, zwłaszcza kiedy szkolą nowicjusza. One nie są już tylko starymi Mieszankami. Alyons nie waży się im narazić.

- No a kiedy odejdziesz?

Coom spuściła się po pniu pobliskiego drzewa i zeskoczyła ciężko na ziemię. Otrzepała ubranie z kawałków kory i zerknęła z ukosa za Alyonsem i jego jeźdźcami znikającymi we mgle. Do Michaela i Biriego podeszła od tyłu Nare niosąc owoc w świeżo wplecionej z trawy macie.

- Śniadanie - oznajmiła kładąc matę między nimi. - Najedzcie się dobrze. Wieczorem przekroczymy granicę i z tego powodu należy się najeść, ale nie do syta. To dzisiaj nasz ostatni posiłek.

- Dlaczego wieczorem - spytał Michael. - Czy to nie bardziej niebezpieczne?

Coom prychnęła. Nare rzuciła mu niebieski owoc podobny do tego, który widział w domu przejściowym. Złapał go i obrócił na dłoniach. Ovoc był w połowie pokryty meszkiem i miękki jak brzoskwinia, chociaż miał barwę

wyblakłego nieba. Druga połowa była ciemnoniebieska, twarda jak jabłko i błyszcząca. Nigdzie na jego powierzchni nie dostrzegął śladu ogonka czy innej skazy. Jedz - powiedziała Sport stojąca kilka metrów dalej, przy młodym drzewku.

W południe Sidhowie wyprowadzili konie i dosiedli ich. Tarax podszedł do Spart i wręczył jej woreczek sani; w drodze powrotnej nie miał ich ochraniać żaden koń. W zamian mieli zdać się na czystą, ale na razie jeszcze nie wykształconą w pełni magię Sidhów Biriego.

Tarax wyciągnął przed siebie dłonie i Biri przyłożył do nich swoje. Spojrzenia, jakie między sobą wymienili,

zdradzały długą zażyłość, nawet przywiązanie, ale nie było w nich wyraźnego uczucia. Tarax pierwszy cofnął ręce.

Na odchodnym odwrócił się do Michaela i zmierzył go zimnym spojrzeniem. - A więc to jest ten faworyt Cielistego Jaja, prawda? - przemówił głosem głębo

kim i spokojnym. - To on ma być szkolony z moim Birim przez najstarsze z Mieszkańców.

Wypowiedziawszy tych kilka zdawkowych słów, Tarax wrócił do swojej grupy, po czym wszyscy dosiedli koni.

Cienie między drzewami zdały się rozdwajać i przesuwać - i Sidhowie wraz z końmi zniknęli.

Biri westchnął. - Jesteś pierwszym od wieków człowiekiem, do którego się odezwał. Twój poprzednik... lepiej nie wspominać, co się z nim stało.

Kiedy cienie drzew wydłużyły się i niebo zmieniło odcień, Żurawice wyprowadziły Michaela i Biriego z lasu i

skierowały się na południe, żeby przekroczyć granicę w innym miejscu. Michael maszerował równym krokiem za

Spart przez niezbyt rozległą, szmaragdowołazurową sawannę. Za wyżynną podmokłą łąką wznosił się regularny rząd woskowobrazowych skał lśniących w promieniach zachodzącego słońca niczym polerowane drewno. Najwyższa

skała miała około dziesięciu metrów, najniższa była zaledwie kamieniem, po którym można przejść przez wodę.

Poczynając od miejsca, w którym przecinała je granica, skały zaczynały czernieć, pękać, przechylać się w tę czy inną stronę. Nare pokonywała, jedną po drugiej, gigantyczne kamienne płyty, pozostali zaś podążali za nią, aż wreszcie stanęli na granicy, która gładko dzieliła na dwoje trzymetrowej wysokości głąz.

Po drugiej stronie granicy, ze wszystkich stron gromadził się przy skałach pył. Biri przeszedł pierwszy; ześlizgnął się na stojąco po pokrytej pyłem pochyłości nie przewracając się. Za nim przeszły Coom i Nare. Spart klepnęła

Michaela w ramię przynaglając go. Starał się naśladować grację Biriego, ale skończyło się to zjechaniem po

pochyłości na pośladkach. Szybko odbiegli dalej, żeby uciec przed gryzącymi obłokami, które wznicieli.

- Teraz idziemy w zwartej grupie - zakomenderowała Spart. - Jedno blisko drugiego. - Biri wydobyl torebkę z sani i rozpylił po szczypcie na każde z nich mruczając coś przy tym po kaskaryjsku. Posuwali się na wschód, aż zmierzch przeszedł w ciemność i wtedy się zatrzymali. Michael rozejrzył się w

koło i zobaczył pomarańczowe pasmo

gasnącego światła na horyzoncie,

atramentowoczarny teraz pył, kleiste łuki i spirale na północy. Zadrżał.

- Dlaczego się zatrzymujemy?

- Bo nie będziemy już nic widzieli - wyjaśniła Spart. Tym razem Biri wyjął różdżkę spod opończy i narysował krąg wokół miejsca, w którym stali. Tam gdzie linie się łączyły, rozpylił znowu sani, po czym cofnął się.

- Teraz patrz uważnie - powiedziała Spart, gdy zbili się w gromadkę pośrodku koła i usiedli. - Patrz, czego nawet młody Sidh może dokonać w Królestwie.

Biri wyciągnął długie muskularne ramiona i wskazując palcem dotknął ziemi bezpośrednio przed sobą. Napiął

mięśnie twarzy i poruszał bezgłośnie ustami. Skała zaczęła się rozjarzać, a chłód ustępował z wolna równomiernemu pulsowaniu ciepła. Jarzące się miejsce zahipnotyzowało Michaela. - Czy kiedykolwiek będę potrafił

to zrobić? - spytał szeptem Spart.

Potrząsnęła głową nie w kategorięcznym zaprzeczeniu, ale jakby zirytowana tym pytaniem. Michael odsunął się od niej pochmurniejac. No to będę potrafił, czy nie? spytał sam siebie. Wyciągnął ręce do ciepła. Chciało mu się pić -

nałykał się trochę pyłu, który smakował jak gorzka część nadpsutego jabłka - i był głodny, ale wolał nie wspominać o jedzeniu.

Ścierpły mu nogi, wyprostował je więc i wyciągnął się na wznak. Pozostali siedzieli dalej wpatrując się w blask.

Michael podparł się na łokciu wyciągając nogi za Spart. Powieki mu ciążyły.

Obudził się nagle. Dygotał na całym ciele i co chwila wstrząsały nim spazmatyczne drgawki. Otworzył oczy i

stwierdził, że stoi na samym skraju koła wyrysowanego przez Biriego, dotykając palcami u nóg linii. Odwrócony tyłem do ciepła spoglądał w ciemność. Coś ponaglało go, aby przeszedł za linię, ale nie mógł tego uczynić.

W jednostajnym blasku gwiazd Michael zobaczył purpurowy cień czający się poza obrębem koła. Za każdym

mrugnięciem oka zjawa zmieniała kształt i przybliżała się. Walka pomiędzy pokusą wyjścia poza koło i wolą

pozostania w nim, coraz silniej wstrząsała jego ciałem; ręce i nogi podrygiwały mu jak kończyny marionetki w

rękach niewprawnego lalkarza.

Purpurowy cień był już na tyle blisko, że Michael mógłby powiedzieć, iż stoi z nim oko w oko, ale zjawa nie miała ani oczu, ani twarzy. Składała się z gładkich, rozmaitej wielkości pierścieni ułożonych jeden na drugim, a jeszcze kilka mniejszych pierścieni przesuwano się w górę i w dół we wnętrzu stwora. Michael mrugnął powiekami i zjawa przeistoczyła się w zbiorowisko nieregularnych zaokrąglonych kropel.

Mrugnął jeszcze raz i zamiast zjawy zobaczył swoją matkę uśmiechającą się do niego i wyciągającą rękę.

Znowu mrugnął i tym razem zobaczył Helenę cofającą się i kiwającą na niego, żeby szedł za nią.

- To zupełnie oczywiste, prawda? - powiedział Biri stając za nim. - Nie spotkałeś jeszcze czegoś takiego?

Michael potrząsnął głową. - Co to jest?

- Nieudacznik. Twór zbyt niespójny, aby mógł istnieć w Królestwie.

- Jedna z pomyłek Adonny?

- Bóg się nie myli - powiedział Biri. - Co zamierzasz uczynić?

Michael roześmiał się histerycznie. - A co mam do wyboru? - Czy chcesz zobaczyć, jak to naprawdę wygląda?

- A muszę? To znaczy nie, nie.

- Widziałem je wiele razy - powiedział Biri. - Są zupełnie nieszkodliwe dla Sidhów, a nawet dla co zdolniejszych Mieszkańców. Zagrażają tylko ludziom. To moc Izomaga uwolniła je z głębokich grobowców, w których spoczywają.

Na Przeklętej Równinie można spotkać stwory o wiele gorsze.

- Czy to może wyrządzić nam krzywdę?

- Może zrobić ci coś o wiele gorszego niż tylko zabić. Za każdym razem, kiedy rodzi się ludzkie dziecko, uwalniany jest jeden z nich. Dziecko nie ma kolejki czekających dusz, z której mogłoby czerpać, a więc jego poszukiwania wyzwalają w którymś z tych stworów pewne reakcje, które umożliwiają mu dostanie się na terytorium Ziem Paktu.

Dziecko zostaje napiętnowane. To samo mogłoby się przydarzyć tobie, gdybyś spał tutaj bez koła. - Chcesz przez to powiedzieć, że zostałam opętana?

- To nie są inteligencje. To Nieudaczniki. Zostałbyś raczej pożarty, nie opętany. Twoja dusza, to tutaj rzadkość; tkwi opancerzona w twym ciele. Tego co się z nią dzieje, kiedy Nieudaczniki skruszą ten pancerz, nie da się wyjaśnić w żadnym z waszych języków.

Michael usiłował się wycofać od krawędzi koła, ale nie mógł się poruszyć. - Sparaliżowało mnie.

- On nie może ci wyrządzić żadnej krzywdy, dopóki tu jesteś. Możesz z nim, w pewnym sensie, igrać; nie może się od ciebie odczepić tak samo, jak ty nie możesz się cofnąć. Możesz się więc czegoś od niego nauczyć.

- Nie chcę się niczego uczyć. Marzę tylko, żeby sobie poszedł i zostawił mnie w spokoju.

- Sidhowie wykorzystują Nieudaczników do sprawdzania swojego wnętrza...

- Nic mnie to nie obchodzi! - wrzasnął Michael. - Nie jestem Sidhem! Zrób coś, żeby stąd spłynął.

- Nie mogę - powiedział Biri. - Tylko ty możesz go zwolnić. - Nowicjusz odszedł i przykucnął przy jarzącej się skale. - Spart - jęknął Michael - pomóż mi!

Nie było odpowiedzi, a nie mógł odwrócić głowy, tak by widzieć Żurawice. Zjawa przypominała teraz Eleuth. Była bardzo smutna, jakby straciła coś ważnego i czuła się za to odpowiedzialna. Spuściła wzrok. Stała się czymś

cylindrycznym, a po powierzchni tego niczym robaki pełzały świetliste linie pozostawiając za sobą ogniste ślady.

Starał się znaleźć w sobie klucz do wybrnięcia z tej sytuacji. Nie zostawiliby go (taką miał nadzieję) w tym stanie unieruchomienia, gdyby nie wierzyli, że znajdzie sposób, by sam sobie poradzić. Musi się zastanowić...

Nie, w nagłych przypadkach myśl jest zbyt powolna. A jeśli ludzie dysponują czymś, co rekompensuje im brak siły magicznej, czymś instynktownym? Szukał, czekał, ale niezbędne remedium się nie pojawiało.

Cylinder rozszczepił się jak obierany ze skóry ogórek, odsłaniając wnętrze złożone z odpadków i maleńkich,

trudnych do rozpoznania szkielecików. Kości szkielecików łączyły się i wirowały, zrzucając strzępy ciała do cieczy wypływającej strumieniem z wydłużających się szczelin i rozpryskującej w zderzeniu z ciemną ziemią. Segmenty

przekształcały się w oślizgłe, gładkie węże,

których głów nie można było odróżnić od ogonów. Zwijały się w spirale, a te spirale unosiły się do

pionowego

położenia i stykały krawędziami.

Zlały się teraz w postać Arno Waltiriego. Siedział bladożółty w trumnie, z oczyma otwartymi, ale martwymi i

zapadniętymi. Nagle opadła mu szczeka i z ust wydobyła się ostra i drażniąca uszy muzyka. Na jej dźwięk Michael dostał gęsiej skórki. Trup opadł na twarz, zsunął się po dolnej połowie wieka trumny i odsłonił inne ciało skryte do tej pory za nim; jego własne.

- Poczekaj - zaprotestował Michael. Stwór wykradał wszystkie te obrazy z jego wnętrza. Gdyby udało mu się

zatomować przepływ...

- Poczekaj - imitacja Michaela w trumnie naśladowała go trzęsąc. głową na boki.

- Stój powiedział Michael. Zamknął oczy i skoncentrował się na zamykających się drzwiach, tamach zagradzających drogę rzece, zakręcanych tubkach z pastą do zębów, korkowanych butelkach. Tak długo zaciskał swój umysł, dopóki nie odniósł wrażenia, że skurczył mu się cały mózg. Nie możesz już nic wykraść. Zamknąłem to na kłódkę. Niczyje umysły nie mogą się splatać, nie mogą się łączyć...

Otworzył oczy i poza granicami koła uirzał tylko ciemność. Odetchnął z ulgą; znowu był panem siebie samego.

Cofnął się do wnętrza koła i położył znowu przy rozjarzonej skale zerkając na Biriego, który leżał na wznak z głową zwróconą w stronę Michaela. Sidh skinął głową i zamknął oczy.

Spędzili na tym odludziu dwa dni i trzy noce. Spart zamęczała Michaela nie kończącymi się, powtarzanymi po

wielokroć ćwiczeniami z kijami i biegami po ostrych kamieniach, po których nie czuł stóp, a skórę na goleniach i dłoniach miał pozdzieraną do żywego mięsa. Kurz dostający się do ran szczypał jak kwas i pozostawiał malutkie, czarne linie, które nie chciały zniknąć.

Kiedy nie trenował, przypatrywał się, jak Nare i Coom przygotowują Biriego. Młody Sidh znosił wszystko ze

stoickim spokojem i bezbłędnie wykonywał swoje ćwiczenia. Najbardziej widowiskową rzeczą, jaką zrobił, było

starcie na pył głazu o średnicy co

najmniej dziewięciu metrów poprzez obieganie go w koło i nucenie. Kiedy kurz opadł, Biri stał na szczycie stosu otrzepując ubranie. Nare i Coom przechadzały się dookoła niego z nieprzeniknionymi twarzami.

Michael wiedział, że są o wiele bardziej zadowolone z Biriego niż z niego i to z oczywistych powodów.

Pomimo pozornej swobody, z jaką Biri odnosił się do niego, Michaelowi rzadko udawało się wciągnąć Sidha w

jakąkolwiek rozmowę poważniejszą niż zdawkowa wymiana uprzejmości czy czasami jakaś rada, co napawało

Michaela goryczą bardziej niż całkowite milczenie.

- Po co w ogóle się mną zajmujecie? - zapytała Spart. Mogłybyście wyszkolić tego Sidha, tak by robił, co tylko mu każecie. - Spart przyznała mu rację i potrząsnęła z rozpaczą głową.

- Faktycznie tracimy czas - przytaknęła. - Całe szczęście, że jesteśmy nieśmiertelne i możemy sobie pozwolić na trochę ekstrawagancji.

Dopiero ostatniej nocy spędzonej na Równinie, gdy przygotowywali się do przejścia przez granicę na Ziemi Paktu, Biri otworzył się przed nim trochę bardziej. - Teraz kiedy już tu skończyliśmy, mam dwie myśli: jedną dobrą i jedną złą - zwierzył się Michaelowi.

- Co to . za myśli? - spytał Michael nie starając się nawet ukryć tonu niechęci w głosie. Nie przejąłby się zbytnio, gdyby Biri nie odpowiedział, ale Sidh wskazał na Równinę i powiedział cicho: - Dobrze jest wracać na terytoria Sidhów, ale mniej dobrze jest wypełniać tam swoje zadanie.

- Co zrobicie z Mieszkańcami, których porwaliście? - wybuchnął Michael. - Pytam ciebie, bo jesteś właściwie

kapłanem. Po raz pierwszy Michael zobaczył Biriego wyraźnie rozłosz

zonego. Zbliżył się do Michaela i stanął nad nim. Czarodziej nie czci w ten sposób Adonny - odparł zimnym i

drżącym z gniewu tonem.

- Niektórzy Sidhowie tak robią - powiedział Michael. Spart spoglądała na nich ciekawie, jak gdyby spodziewała się, że dojdzie między nimi do jakiejś walki i być może życząc sobie tego.

- Ale nie Czarodzieje - Biri spuścił z tonu i wycofał się. Zerknął spode łba na Michaela i zajął się znowu swoimi przygotowaniami. Michael odetchnął głęboko.

- Wstrzymaj się - rzuciła Spart nie spuszczać z niego zaciekawionego wzroku. Michael wstrzymał oddech buntując się w duchu przeciwko tej zniewadze. - Nie oddech, umysł. Wstrzymaj go jeszcze raz.

- Nie rozumiem - powiedział Michael.

- Teraz. Biri sondował cię, żeby sprawdzić, jakie są twoje zamiary. Nie ma jeszcze w tym wprawy i nie udało mu się.

- Starał się czytać w moich myślach?

Spart wzruszyła ramionami i wzięła Michaela za rękę. - Mimo wszystko jesteś człowiekiem-dzieckiem -

powiedziała. Nie udzieliła żadnych bliższych wyjaśnień.

Noc już zapadła, kiedy Nare kazała im iść za sobą. Michael szedł przed Spart, która zamykała pochód, i potykał się rzadziej, niżby się tego spodziewał. - Staję się coraz zwinniejszy - powiedział nie zwracając się do nikogo w szczególności, uradowany tym małym osiągnięciem i przez następne kilka minut musiał starać się podwójnie, żeby nie wyjść na kłamcę.

Coom niosła kij, który zgodnie z jej życzeniem jarzył się na jednym końcu. Słaba żółta poświata była jedynym

źródłem światła, przy jakim musieli maszerować. Michael nie pytał, dlaczego nie zaczekali do rana. Niepokoił się trochę, na co mogą się natknąć bez ochraniającego ich koła, ale ten marsz stanowił chyba część planu, jakąś próbę.

Maszerowali najpierw parowem, a potem długą pochyłością. Poza odgłosem ich kroków na równinie panowała cisza.

Michael zatracił się w rytmie stawiania jednej stopy przed drugą trzymając się kręgu światła padającego z

rozjarzonego kija.

- Psst - syknęła Nare. Michael podniósł głowę i spojrzał w kierunku, w którym były zwrócone oczy idących przed nim. Na krawędzi parowu rysowała się na tle gwiazd gigantyczna, odwrócona czaszka z tępą szczęką sterczącą w

niebo.

Grupka zatrzymała się i Coom uniosła wyżej kij. Obiekt miał co najmniej dziesięć metrów wysokości. Przyjrząwszy się dokładniej Michael zauważył, że to nie czaszka, a ogromna muszla. Mieszkaniec, a raczej mieszkańcy muszli -

długie, niebieskoczarne ślimakopodobne stwory - wznosili się nad obrzeżem parowu wyłaząc z „oczu”. Połączyli się tuż za dwoma otworami tworząc wydłużone cielsko, z którego wykształciły się zaraz trzy głowy. Głowy te

podzieliły się dalej na trzy szypułki, każda z ustami jak

para wyszczerbionych talerzy połączonych zawiasowo włóknistą tkanką. Głowy i szypułki chwiały

się nad grupką

wędrowców, a talerze otwierały się i zamykały z cichym mlaskaniem. Stamtąd, gdzie powinien być nos czaszki,

wysuwało się ramię o trójkątnym przekroju, z mackami na końcu, z których każda kończyła się cielistą bulwą

jarzącą się w ciemnościach. Stwór, czy też stwory, machał tym ramieniem jak nocny stróż latarnią.

Michael stał tu jeszcze tylko dlatego, że pozostali też stali. Instynkt kazał mu albo uciekać, albo umrzeć na atak serca. Słyszał w swych płucach rżenie, jakby ktoś tarł pilnikiem stal. Tętno dudniło mu tak, że hałas mógł

obluzować skały i spowodować lawinę. I rzeczywiście, kilka kamyków strąconych przez pełzającego stwora stoczyło się z turkotem po zboczu do parowu, a ten odwrócił swoje głowy i popatrzył za nimi.

Na twarzy Biriego malowało się przerażenie pomieszane z napiętą czujnością i fascynacją.

Potwór albo ich nie widział, albo zignorował przepelzając obok z okrutną powolnością. Znowu rozległ się turkot osuwających się kamieni; głowy ponownie się odwróciły, a potem stwór odciągnął swą muszlę od parowu z hałasem przypominającym szorowanie ogromnymi paznokciami po akwach papieru ściernego. Michael usiadł nie mogąc

opanować drżenia. Biri obejrzał się na niego i wykonał ruch, jakby chciał otrzeć czoło z potu, gest, którym zjednął

sobie ogromnie Michaela. Spart szturchnęła Michaela pod żebra ponaglając go do dalszej drogi.

Zaledwie kilka minut później przekroczyli granicę i znaleźli się na trawiastej prerii Ziem Paktu, niedaleko rzeki.

Wczesnym rankiem grupka dotarła do pagórka. Michael wszedł do swego szałas i nogi się pod nim ugięły.

Dygotał jak liść na wietrze. Dopiero kiedy drżenie wytrzęsło z jego ciała ostatnie pozostałości emocji i wspomnień, ułożył się na boku i zasnął.

Biri stał przed szałasem twarzą do dopiero co wzeszłego słońca, unosząc wysoko swą różdżkę. Potem usiadł na

wybranym przez siebie miejscu i głowa opadła mu na piersi. On również zasnął.

Rozdział szesnasty

Michael usiadł i przetarł oczy; raczej wyczuł, niż usłyszał obecność Biriego przed jego szałasem. - Tak? O co chodzi?

- W nocy dostarczono mi drewno - powiedział Biri. - Zbudowałem sobie domostwo.

Michael wysunął się na zewnątrz odchylając kotarę zawieszoną nad wejściem. Na pagórku, w odległości sześciu

metrów stała nowa chata, nieco inna niż jego. Nie rozbudził się jeszcze na dobre i czuł się zakłopotany w obecności Sidha. - No i dobrze.

- Do tej pory nigdy nie rozmawiałem z istotą ludzką. Aż do wyruszenia w tę podróż nigdy nie słyszałem o istnieniu Ziemi Paktu.

Obok drzwi szafasu Michaela czekała na niego jak zwykle miska owsianki. Schylił się po nią i dwoma palcami

zaczął pchać sobie kaszę do ust. - Skąd jesteś? Nie pomyśl tylko, że coś mi to da, jeśli się dowiem... Nie wiem zupełnie nic o terenach leżących poza Ziemiami Paktu.

- Może wymienimy się opowieściami? - spytał Biri. - Geen Krona uważają, że skoro już trenujemy razem,

powinniśmy zachowywać się godnie i nie wdawać w spory. Bardzo jestem ciekaw skąd przybyłeś i jak się tu

znalazłeś.

Michael przystał na to i opowiedział Biriemu, jak trafił do Królestwa. Biri kiwał głową w kluczowych punktach opowieści i zmarszczył czoło, kiedy Michael wspomniał o postaci w sukni z falbanami. - Teraz twoja kolej -

powiedział Michael odstawiając pustą miskę.

- Na północy, za sawannami i za Nebchat Len - to bardzo głębokie jezioro, prawie morze znajduje się las nazywany Konhem. Tam się urodziłem. - Urwał zerkając na Michaela kącikami swych głęboko osadzonych oczu. - Dużo wiesz

o Sidhach?

Michael pokręcił głową. - Właściwie to niewiele.

- Rzadko mówi się nam, kim są nasi rodzice, zwłaszcza jeśli przed urodzeniem, a czasami nawet jeszcze przed

poczęciem, zostaliśmy wybrani do stanu kapłańskiego. Tradycja nakazuje naszym ojcom wstydzić się okazania swej słabości, za jaką uważana jest miłość do kobiety i obdarzenie jej dzieckiem. To dlatego młodzi Sidhowie są taką rzadkością. - Zwrócił wzrok w stronę Półmiasta. - Wydaje mi się, że więcej rodzi się Mieszkańców niż Sidhów. W

każdym razie nigdy nie spotkałem Sidha młodszego ode mnie. Po rozwiązaniu nasze matki powracają do swoich

klanów pozostawiając swe dzieci pod opieką Ban Sidhe. Są nimi Mafoc Mar, Matki Zastępcze, kobiety nie należące do żadnego klanu, usługujące członkom Malnu, Czarnego Zakonu. - Urwał i różdżką naszkicował na piasku jakiś

wzór. Kiedy oderwał różdżkę od ziemi, rysunek zmasał się sam. Rozumiesz?

- Chyba tak - powiedział Michael. - Nie mówię prawie wcale po kaskaryjsku, ale słyszałem już o tych Ban Sidhe. Na Ziemi panuje przypuszczenie, że przychodzą po zmarłych.

Uszy Biriego przygięły się nieznacznie w przód, czego Michael u Mieszkańców nigdy nie widział. - Bezklanowe

Banitki nie zajmujące się wychowywaniem młodych, zanoszą zmarłych Sidhów do Drzewoli lub do ich grobowców,

zależnie od ich woli.

- A gdzie leży ten las i ta sawanna? Spotkaliśmy się w lesie... - To był mały las, ledwie zagajnik. Sawanna - czyli Plata rozciąga się wokół kępy i za nią, aż do Konhem, najgłębszej, najciemniejszej puszczy w Królestwie. Żyłem przez jakiś czas w Konhem. Potem zabrano mnie w góry nazywane Chebal Malen, Czarne Góry. Oddano mnie pod

opiekę Taraxa...

Biri pochylił się w przód i popatrzył Michelowi w oczy. I stała się rzecz nadzwyczajna. Zniknął gdzieś pagórek i chata Żurawic, a Michaelowi wydało się, że stoi przed siwowłosym Sidhem w czarnej szacie i spogląda pod

niewielkim kątem w górę. Tarax schylił się i ujął małą, smukłą dłoń - jego dłoń, a raczej Biriego. Obraz zbladł -

Michael znowu jak przez mgłę ujrzał chatę - i na jego miejscu pojawiło się pasmo ogromnych gór o płaskich

szczytach z postrzępionymi przez wirujące tumany śniegu. W chwilę potem stał już na idealnie płaskiej równinie zarzuconej

ogromnymi blokami skalnymi rozciągającymi się na wiele mil w każdą stronę, a po tej kamiennej pustyni

przesuwały się cienie chmur. Wstęgi chmur wypływały pionowo w górę ze zboczy po przeciwległej stronie równiny.

- Kamienne Pole nie jest najwyższą górą w Chebal Malen, ale jest tam bardzo zimno i surowo. Tarax

wzniósł

czterozbowy caersidh z kamienia i mieszkałem tam przez wiele pór roku, a on mnie uczył. W końcu uznano, że się nadaję, i wtedy zabrał mnie do Sklassa, fortecy Czarnego Zakonu. Aż do tej pory to był cały mój świat. - Biri uśmiechnął się do Michaela. - Podróż przez las i sawannę była cudowna. Nigdy nie widziałem, tak wielkiego

urozmaicenia.

- Co robi kapłan? - spytał Michael.

Biri odsunął się od niego i westchnął. - Tego nie mogę ci powiedzieć.

- Chciałem się tylko dowiedzieć, czy usługujecie Adonnie, składacie mu ofiary? Jestem po prostu ciekaw, co...

- Nie mogę odpowiedzieć! - powiedział Biri wstając pośpiesznie. - Już rozmawiałem z tobą zbyt swobodnie. Żaden człowiek nie może się nigdy dowiedzieć, co się dzieje w Irall. - Oddalił się sztywno do swojej chaty pozostawiając Michaela z jego rozważaniami na temat zmienności nastrojów i tajemnic Sidhów.

Co jak co, pomyślał Michael, ale sądząc po nazwie, na zachowanie w tajemnicy najbardziej zasługuje Czarny Zakon, Maln. Czy szkolenie nowicjuszy jest jedynym powołaniem Czarnego Zakonu? Tarax nawet dla Sidhów był kimś

znacznym sądząc po tym, jak upokorzył i zastraszył Alyonsa.

Po zboczu pagórka przeciwnym do tego, które skierowane było w stronę Półmiasta, wspinały się Żurawice opierając się rękoma o swoje gałkowate kolana, jakby wchodziły długim, wyczerpującym wzniesieniem. Trajkotały cicho

między sobą i potrzęsały głowami. Nare dostrzegła Michaela siedzącego na swoim kamieniu i wyprostowała się

szybko mierząc go wielkimi, przenikliwymi oczyma.

Jakie dziwne mają twarze, pomyślał. Takie ludzkie, a przy tym ten wykrój ich oczu, sposób, w jaki zezują nimi na boki... Spart zawołała do niego z dołu: - Chłopcze! Pójdiesz dzisiaj

z nami. - Westchnął, zlął z kamienia i sięgnął do szafasu po swoje buty.

Odeszli kilka kilometrów od Półmiasta kierując się cały czas na wschód. Intrygowało go, dlaczego nie idzie z nimi Biri, a Coom zdawała się słyszeć jego myśli. - Trening Sidha jest inny powiedziała. - Pokrywa się czasem z twoim, ale nie dzisiaj. Znowu cicho zarechotała i Michael poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku.

- On umie już to, czego ty się dzisiaj będziesz uczył - odezwała się Spart. Szła przodem trzymając

różdżkę w

wyciągniętej ręce i wymierzając ją to tu, to tam w horyzont. Wkrótce zaczęła się podnosić mgła, która przelała się przez rzekę i spowila ich. Spart dołączyła do grupy i wszyscy usiedli po turecku na ziemi, żeby odpocząć - chyba tylko ze względu na mnie, pomyślał Michael, ho przecież Żurawice były niezmordowane i nigdy się nie męczyły.

- Czy pamiętasz kolor tamtego kwiatka, chłopcze? - zapytała Spart przysuwając się bliżej i zaglądając mu bacznie w oczy. Zmarszczki na jej skrzywionej twarzy zniekształcały wytatuowane tam czerwone purpurowe węże i winorośla.

- Pamiętam, że się zmieniał - odparł.

- Jaką przewagę daje ci Królestwo? - dociekała dalej. - Że można je zmieniać.

- Co to jest magia, chłopcze? - Nnnie wiem. Jeszcze nie wiem.

- Czy kiedykolwiek będziesz wiedział?

Nie odpowiedział. Podsunęła się do nich Coom. Jej delikatne jak gęsi puch włosy poskręcały się pod wpływem

wilgotnej mgły. Za nimi stała Nare; słyszał jej oddech.

- Niektórzy myślą, że Żurawice będą tu zawsze, ucząc i trenując - powiedziała Spart. - Czy w to wierzysz?

Michael skinął głową. - Nie mam nic przeciwko temu. Spart zachichotała gardłowo i wcisnęła różdżkę w ziemię. -

Biri jest ciekawym nowicjuszem. Dzisiaj miałeś za jego sprawą widzenie. Co teraz sądzisz o Sidhach?

- Są dziwni - odparł Michael mrużąc oczy przed rozproszoną smugą słonecznego światła.

- Czy kiedykolwiek zrozumiesz Sidhów albo Mieszkańców? - Prawdopodobnie nie - odparł Michael.

Bo jesteś człowiekiem - zasugerowała Nare.

- Nie, dlatego, że wy jesteście Mieszkańcami... a on Sidhem zaoponował Michael nie bardzo wiedząc, co chciał przez to powiedzieć.

- Na tym etapie masz zamęt w głowie - powiedziała Spart wyczuwając jego niepewność. - Nie rozumiesz jasno.

Jesteś rozkojarzony. Nie czujesz tego, czego cię uczymy. Twój duch jest jak obwisły żagiel na Nebchat Len.

- Macie żaglówki? - spytał Michael.

Spart westchnęła. No widzisz? Każdy podmuch bryzy spycha cię to w tę, to w tamtą stronę. Nie słuchasz uważnie.

Mamy teraz mniej czasu na twoją naukę. Czekają na nas inne obowiązki. Spojrzała na swe towarzyszki. - Mamy

mniej czasu, niż myślisz. Musisz się uczyć szybko. Pamiętaj o tym kwiatku. Pamiętaj, że Królestwo pracuje na twoją korzyść. A ty... - Wstała. - Ty masz mniej czasu. - Wyciągnęła z torby kwiat i rzuciła mu go do nóg. - Jaki ma kolor?

- Niebieski - odparł. Oderwał wzrok od kwiatka i spojrzał w górę. Żurawic nie było. Odwrócił się szybko usiłując wypatrzyć we mgle choćby ślad ich obecności. Zostawiły go.

Kwiat był żółty.

Głęboki, buczący szum opadł z nieba i przesunął się nad trawą, jakby w górze przelatywał ogromny helikopter. Mgła zawirowała i rozwiała się, zdmuchnięta, w przezroczystych spiralach. Podmuch gwałtownie trawę do ziemi i smagał go po twarzy.

Michael cofnął się kilka kroków i nadział na wyciosany z kamienia czworokątny słup dorównujący mu wysokością.

Kilka metrów dalej majaczył we mgle drugi taki. Na obu wyżłobiono swastyki w kółkach patrzące na siebie nad

polanką świeżo przystrzyżonej trawy.

Im bardziej rozwiewała się mgła, tym oczywistszym się stawało, że między słupami wiedzie jakiś szlak; nie był to jednak szlak uczęszczany przez konie, ludzi a nawet nie przez wozy. Trawa nie była zgnieciona - tylko równo

przycięta.

W górze znowu rozległo się buczenie i pojawiło wrażenie ruchu. Włosy mu się zjeżyły i mrówki przeszły po całym ciele.

Coś białego falowało na drodze na granicy mgły, kilkanaście metrów dalej. Nagle ruszyło i popłynęło w jego stronę; miało ludzką postać od pasa w górę, a od pasa w dół wlokło za sobą rozmazaną smugę. Zjawą przepłynęła obok,

jakby Michael nie istniał, i zniknęła we mgle kłębiącej się za nim.

Sidh powietrza, pomyślał Michael - Meteor, jak ten, którego widział idąc z domu Lamii do miasta. Porwał z ziemi kij i odskoczył na skraj szlaku, gdzie przykucnął w wyższej trawie drżąc i starając się nie rzucać w oczy.

Przeleciało jeszcze kilku Meteorali wzniecając za sobą wiry powietrza. Nie byli niematerialni, ale widział przez nich niemal na wylot. W przytłumionym świetle słonecznym rzucali ledwie widoczne cienie. Ich głowy unosiły się dobre dwa metry nad ziemią i zdawały się zachowywać proporcje odpowiednie do takiego wzrostu. Z początku nie potrafił

stwierdzić, czy wykazują cechy męskie, czy żeńskie, ale szybko zorientował się, że to same kobiety o szczupłych, ostro zarysowanych twarzach i posepnych minach. Wkrótce szlakiem sunął już nieprzerwany strumień Meteorali

coraz bardziej wyraźnych, w miarę jak słońce rozpędzało mgłę swym ciepłem.

Zrazu żadna ze zjaw nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Mimo to chciał skryć się głębiej w trawie i nastąpił

na suchy patyk. Patyk złamał się z głośnym trzaskiem. Poczuł, jak serce zaciska mu się w piersi niczym pięść.

Strumień Meteorali rozpierzchnął się na wszystkie strony. Michael usłyszał jakieś szepty najpierw nad głową, potem wokół siebie, jak gdyby Meteorale przegrupowali się i opadali teraz na niego całym baldachimem.

Tuż przed nim powietrze zamigotało i zatrzeszczało. Po plecach przeszły mu bolesne ciarki i tuman bieli przesłonił

mu wzrok. Mignęła mu ohydna, rozwścieczona, długa twarz rozciągnięta w krzyku i palce zakrzywione w szpony.

Zapiekł go policzek. Złapał się za twarz i spojrzał na dłoń. Była cała we krwi.

- Sed ac, par na antros sed via? - dobiegały ze wszystkich stron syczące głosy wydychane jak przenikliwy wiatr.

- Stoisz na gościńcu - rozległ się tuż przy jego uchu cichszy, pojedynczy, nie mniej groźny głos. Obrócił powoli głowę i ujrzał obok siebie Meteoralkę kołyszącą się w trawie. Trawa zdawała się przechodzić przez nią na wylot. Czuł na sobie jej oddech, oddech słodki jak eter. - Jesteś człowiekiem z domu Izomaga, tak?

Michael skinął głową. Nogi wrosły mu w ziemię, a po udach pełzały mu igły i szpilki.

- Nie wolno ci tu być. - Żurawice...

- Nie mają nad nami władzy. - Twarz zamigotała i rozciągnęła się przybierając jeszcze ohydniejszy wygląd. Oczy były wielkie, całkowicie białe i bez źrenic, i stanowiły najbardziej namacalną część twarzy. Przy jego głowie uniosła się ręka, a jej palce rozczapierzyły się i zagięły. Krew zaczęła kapać Michaelowi z policzka na kurtkę.

- Przyprowadziły mnie tu. Spytajcie ich...

- Gardzimy Mieszkańcami tak samo jak tobą.

Twarz zniknęła. Nogi Michaela były tak zdrętwiałe, że nie zdołały utrzymać jego ciężaru. Padł na wznak w trawę i krzyczał z bólu przez zaciśnięte zęby, kiedy do nóg powróciło mu krążenie krwi. Zerknął w dół na plamy krwi na ramieniu i przodzie kurtki, i zauważył, że ubranie zostało na nim pocięte w paski. Skóra butów również była

poszarpana.

- Pomóżcie mi -- jęknął odczołgując się od gościńca. Pozostawiał za sobą strzępy materiału. - Pomóżcie mi, proszę.

Boże, błagam, zabierz mnie stąd...

Nad jego głową uformowała się długa wstęga perłowej bieli. Kuląc się ze strachu spojrzął w górę i zobaczył łańcuch Meteorali przepływający tuż nad nim. Każda twarz wyrażała jakiś nowy odcień zaniepokojenia, złości, rozdrażnienia,

...a nawet wesołości. I po każdym takim przelocie jego ubranie przedstawiało coraz żłośniejszy widok. Ramiona

Meteorali ciągnące się za nimi przepływały nad Michaeliem jak dym, cicho chłostając i drąc.

Zamknął oczy i przywarł do ziemi podkładając sobie pod czoło ręce. Wcisnął twarz w trawę pewien, że wkrótce

umrze. Nie chciał po prostu widzieć, jak to się stanie. Gdzie się podziały Żurawice? Czy po to szkoliły go całymi tygodniami, żeby teraz dać go poćwiartować jak kielbasę w delikatesach?

Poczuł powiew zimnego powietrza na nagich plecach. Kurtka i koszula spadły z niego zupełnie. Coś przesunęło się wzdłuż jego

pleców i nagle przeszło go pierwsze pchnięcie bólu, powolne, rozdzierające. Nie. Poczuł przyplływ gniewu. Niech ich wszystkich szlag traf. Dlaczego każdy musi być tak okrutny, tak pełen nienawiści? On nie czuje do nich

nienawiści.

I w tym momencie wydało mu się, że siedzi gdzie indziej, pośród niewiarygodnego bezruchu i spokoju, i patrzy, ale nie widzi. Tego samego uczucia doznawał wtedy, gdy poezja spływała z jego ołówka na papier tak szybko, że nie potrafił określić, skąd się bierze.

Był to rodzaj rozluźnienia ogarniający zarówno ręce, jak i głowę. Obserwował siebie samego, jak wstaje, jak z grymasem na twarzy macha w powietrzu kijem. Zdawał się uśmiechać do osaczających go Sidhów.

Z kija niewielki był pożytek. Musi wykorzystać chaos. Kwiat niebieski, żółty, a tak naprawdę różowy.

Trawa, właściwie, i powietrze, dokładnie tutaj.

Puścił się pędem dzierżąc kij przed sobą i gładko roztrzając kolanami sięgając biodra trawę. Częstkę siebie pozostawił tam, przy gościńcu, jak kałamarnica wypuszczająca na przynętę chmurę atramentu. Nie magia, ale

ciekawe; Meteorale zdawali się nie orientować, który z nich jest prawdziwy.

Biegł nagi w promieniach słońca i łagodnych podmuchach ciepłego wiatru; nogi niosły go same, płuca nadymały się wciągając powietrze, miarowo biło lwie serce. Wyobraził sobie, że jego serce ryczy otoczone targaną wiatrem

grzywą. Wyobraził sobie, że jest gazelą, koniem Sidhów przemieniającym się w rtęciową mgiełkę. Step uciekał spod niego bojąc się jego stóp; on był środkiem, a pod nim przesuwało się Królestwo, nie odwrotnie.

Otoczyli go Meteorale. Wymknął się im. Kwiat niebieski, różowy.

Tutaj, pomyślał gdzieś w podświadomości, można sięgać w głąb i wykorzystywać umysł do dokonywania rzeczy

niemożliwych na Ziemi. Bo Adonna jest niedojrzałym bogiem i Królestwo nie zostało jeszcze do końca

dopracowane. Czy tego chciały go nauczyć Zurawice?

Uskakiwał, pozostawiając za sobą cienie. Meteorale zostali z tyłu kłębiąc się niczym burza śnieżna wokół jednego takiego cienia.

Biegł dalej, chociaż dawno już wiedział, że udało mu się umknąć. Nie niosło go ciało, ale oczy. Nie czuł mięśni, tylko kij, który trzymał przed sobą. On był kijem, a jego ciało warkoczem mknącej komety.

Michael Perrin przewrócił się i potoczył po ziemi napychając sobie usta trawą i kurzem. Kij obijał mu żebra.

Wylądował w końcu w pozycji kucznej z powykręcanyimi nogami i rękami. Głowa opadła mu na piersi, a ramiona

uciekły spod niego.

Cały świat wypełnił się w jednej chwili cierpieniem. Jego ciało chciało się obrócić w popiół, tak okropnie piekły go mięśnie. Widział wszystko na czerwono i niewyraźnie.

I znowu się bał. Jego serce nie było już lwem, ale małym zwiniętym w ciasną spiralę wężem. - Boże - wysapał. -

Boże, błagam.

- Spokojnie. - Stała nad nim Spart podparta pod boki. Zgięte w łokciach ramiona sterczały jej na zewnątrz jak skrzydła ptaka. Pochyliła się i z z troskaniem obmacała mu ręce i plecy. Usłyszał Nare i Coom rozmawiające obok pod kaskaryjsku.

- Dobrze się spisałeś - powiedziała Spart. - Prawdę mówiąc, o wiele za dobrze.

Cierpienie i ból złagodniały. Czy to noc? Nie.

Rozdział siedemnasty

Czy chciały, żeby umarł? Czy po to zostawiły go samego między słupami, żeby się go pozbyć i skoncentrować na

Birim? A może chodziło o coś innego - może to jakiś spisek, o którym Michael nic nie wiedział?

Kiedy otworzył oczy i spojrzał w powalę swej chaty, wszystko wydało mu się snem. Jednak w Królestwie nie było marzeń sennych... zapewne dlatego, że nie można śnić we śnie. W myślach może zdarzyć się wszystko. Mając

władzę nad otoczeniem można dokonać wszystkiego. Czy ta właśnie starała się mu przekazać Żurawice?

Aż podskoczył, kiedy nachyliła się nad nim Spart i zajrzała mu w oczy. Nie miał pojęcia, że znajduje się w jego chacie.

- To było dobre, co?

- Znowu uszedłeś z życiem - powiedziała lakonicznie Spart. - Przyjdzie czas na tryumfowanie, kiedy będziesz

potrafił robić to, co zrobiłeś, na każde zawołanie.

- A co ja takiego zrobiłem?

- To było odsię-widzenie. Po kaskaryjsku evisa. Rzuciłeś cień. Czy pamiętasz, co wtedy czułeś?

Usiłował sobie przypomnieć to uczucie; było to jak napinanie mięśni, żeby zastrzyc uszami. Nigdy jednak nie udało mu się zastrzyc uszami, ani nosem. Na Ziemi śniło mu się często, że lata. Latanie było takie łatwe: polegało po prostu na odkryciu i wykorzystaniu pewnego mięśnia przebiegającego przez kark do głowy i już można było wzbić się na metr albo dwa nad ziemię, a przy większym wysiłku nawet wyżej. Po przebudzeniu nigdy nie mógł

zlokalizować tego mięśnia - teraz też nie.

- Ja nie śnię - wymamrotał. Spart cofnęła rękę z jego piersi. - Może będę to po prostu robił, kiedy będę musiał. -

Uniósł się na posłaniu i podparł łokciami.

- A jeśli zorientujesz się, że musisz, kiedy będzie już za późno? Dopiero zaczynasz. Nie podsycaj zbyt wiele nadziei.

- Jakich nadziei? Od kiedy się tu znalazłem, opuściła mnie wszelka nadzieja.

- Ach! - Spart obnażyła czarne dziąsła i długie zęby. - Masz nadzieję na te geen.

- Na kogo?

Poczuł się słaby i opadł na plecy. Przekręcając głowę ujrzał Nare po jednej ręce, a Coom po drugiej.

- Ba(pstryk) dan

- odezwała się Coom. - Dobrze? - Nare nachyliła się niżej, żeby obejrzeć jego członki.

- Poza tym, że jestem trochę poobijany, czuję się świetnie powiedział cicho Michael.

- Coś - rzuciła Coom. - Zrobili coś.

- Co?

- Wstań. Wyjdź przed chatę.

Wstał niepewnie i stwierdził, że jest nagi. Spart wypchnęła go przez drzwi i wszystkie trzy pociągnęły go za sobą za ręce, dopóki nie stanął na środku pagórka. - Czy coś czujesz? - spytała Spart okrążając go wraz z dwiema

pozostałymi Żurawicami. Coom cmokała cicho. - Coś dziwnego?

- Nie. Nic nie czuję. A bo co?

- Upewnij się! - warknęła Nare. - Gdzie to jest?

- Prawdopodobnie na jednej z jego kończyn - powiedziała Spart. - Chowa się.

- Daggu - powiedziała Coom. Brzmiało to jak zaklęcie. Był brudny, umazany sokiem z trawy i krwią, ale nie czuł

żadnej poważniejszej rany. A jednak sposób, w jaki przyglądały mu się Żurawice mrużąc oczy, wzbudził w nim

niepokój. Coom spojrzała na jego łydkę i schyliła się. Wyciągnęła lewą rękę przebierając wolno

palcami i nagle sięgnęła nią błyskawicznie do jego kostki, wyrwała coś z niej i wyprostowała się trzymając to coś z dala od siebie.

- Widzisz to? - spytała Spart.

- Co? - Usiłował dojrzeć, co Coom trzyma w ręku, ale był tak zdenerwowany, że nie przyszło mu do głowy, żeby

podejść bliżej.

- W słońcu -- odpowiedziała mu Nare. W długich palcach Coom połyskiwało coś długiego na pięć centymetrów.

Przymrużył oczy i przyjrzał się uważniej zarysom tego czegoś. Przypominało niewielkiego, przezroczystego, i przez to prawie niewidocznego kraba. W całym tym brudzie i kurzu, jakim był pokryty, wcale by go nie zauważył; na

pewno go nie czuł.

- Co to jest? - spytał drżąc.

- Tej nocy, podczas snu - powiedziała Nare - zabiłby ciebie. To podarunek od Meteorali. Kiedy dają taki innemu Sidhowi, ukąszenie sprowadza mistyczne sny. Ludzie nie mogą tutaj śnić, a więc giną.

- O Jezu - stęknął Michael.

- Pamiętaj - powiedziała Spart nie spuszczać zeń wzroku. - Nie możesz tu śnić. Nie ma tu żadnych snów.

Coom odniosła stworzonko do chaty. - Dostarczy nam tej nocy rozrywki... a potem dodamy go do swojej kolekcji -

powiedziała Spart.

Biri obserwował to wszystko z drzwi swojej chaty. Młody Sidh zaciągnął po chwili zasłonę z trzciny i Michael został

sam, nagi i pusty, jak martwe drzewo.

W kącie jego domku leżało ubranie. Spodnie, koszula i szmaciane łapcie przypominały garderobę noszoną przez

Żurawice, z tym, że były jeszcze bardziej postrzępione. Ale przynajmniej były czyste. Ubrał się. Nawet pasowały.

Michaela opanowało dobrze już znane uczucie lęku i bezsilności. Przetrwał. Zrobił coś dziwnego, coś, czego być może nigdy nie uda mu się powtórzyć; w obliczu tajemnicy Królestwa nie nauczył się

jednak wiele.

Nauczył się tylko, że Żurawice niewiele dbają o jego bezpieczeństwo - albo są tak zwariowane, że stawiają go w sytuacjach zagrażających jego życiu.

Wyszedł ponownie z szałas, żeby zobaczyć jaśniejsze niebo. Po swej ogniowej próbie przespał cały dzień.

Posiliwszy się owocem i owsianką, które zostawiła dla niego Nare, poszedł wykąpać się do strumienia. Zeskrobał z siebie wszystkie zaschnięte plamy po trawie i ziemi, po czym oblał się wodą. Usiadł na brzegu i obsychał trzęsąc się jak galareta. Potem znalazł względnie spokojną kałużę i przejrzał się w niej.

Policzek był spuchnięty, a ślady zadrapań różowe i nabrzmiałe, ale chyba nie wdała się infekcja. Czoło miał

posiniaczone, tak samo żebra i stopy.

Gdy kończył się ubierać, podszedł do niego Biri. -- Czego chcesz? - warknął Michael nie zaszczycając go nawet spojrzeniem.

- Bawili się tobą. Nie Żurawice - Meteorale. - Każdy się mną tu bawi.

- Gdyby chcieli cię zabić, nie uciekłbyś.

- A może chcieli mnie zabić, ale jestem lepszy, niż ktokolwiek przypuszcza.

Biri potrząsnął głową.

- Cholera, nikt nie wierzy, że jestem coś wart! Dlaczego nie mogę zrobić czegoś jak należy i zasłużyć na pochwałę?

- Czy wiesz, co zrobiłeś?

- Jasne, że wiem. Uratowałem życie. Już o tym mówiono. - Żurawice...

- Gównu mnie obchodzi, co one robiły. Nie chcą mnie tu. Powiedz im - wskazał ruchem głowy chatę Żurawic -

powiedz im, że idę na noc do swoich. Nie będę spał z Mieszkańcami. Zawahał się na moment. - Ani z Sidhami.

- Powiem im. A jutro?

- O to będę się martwił później. - A co na to Lamia?

- A co ty o niej wiesz i co cię ona obchodzi? Nie chcę tu dłużej być i basta.

Biri patrzył za Michaeliem, który przeszedł przez strumień i skierował się na zachód. Zabrał ze sobą książkę, którą upchnął w porwanej kieszeni; objęła mu się o biodro przy każdym kroku.

Dotarłszy do Euterpe Michael odszukał alejkę, którą szedł z Savarinem, skręcił w nią, dotarł do samego końca i wdrapał się po schodach do drzwi mieszkanca Heleny. Zapukał we framugę, ale nikt nie odpowiedział. Stał tak przez chwilę przeświadczony, że szczęście opuściło go na jakiś czas, a potem zszedł po schodach i omal się z nią nie zderzył.

- Michael! Co ci się stało? - Podniosła ręce i troskliwie dotknęła palcami jego twarzy.

- Odchodzę od Żurawic - powiedział. - Chcę zamieszkać w mieście. Pomyślałem sobie, że może mi pomożesz

znaleźć jakiś kąt.

- Może. Może Savarin coś ci poradzi.

- Myślałem... - Był zbyt otępiały, aby bawić się w podchody. - Myślałem, że może mógłbym zostać tutaj.

- Och, raczej nie - powiedziała Helena uśmiechając się szeroko. Poklepała go po ramieniu. - Chodź. Poszukamy Savarina.

W hotelu Ryzyk powiedziała im, że Savarin prowadzi teraz lekcję. - Dlaczego postanowiłeś tu zostać? - zapytała Helena, kiedy szli ulicą.

- Mam tego wszystkiego po dziurki w nosie - odpowiedział. - Chcę tylko znaleźć jakiś sposób na powrót do domu. -

My wszyscy także - powiedziała ze smutkiem Helena.

Ale większość z nas pogodziła się już z myślą, że nie ma drogi powrotnej.

- Ktoś mógłby nas odesłać z powrotem.

- Dotąd nic takiego się nie zdarzyło. Co one zrobiły z twoją twarzą?

- Zabrały mnie na wycieczkę i zostawiły samego na gościńcu. Omal nie przypłaciłem tego życiem. To należy do

programu szkolenia.

Helena potrząsnęła ze współczuciem głową.

Szkoła znajdowała się w gorszym stanie niż większość budynków w mieście. Nie miała okien we framugach z cegły, a przez zwisające na jednym zawiasie drzwi wymykał się w bezchmurny, słoneczny poranek melodyjny głos

Savarina.

Poczekali, aż wykład Savarina - prowadzony w przeważającej części po francusku - dobiegnie końca. Pięcioro

mieszczan siedzących na ławkach, z cegły wstało wreszcie i powłócząc nogami opuściło klasę z wyrazem rezygnacji na twarzach. Savarin uniósł ręce w geście powitania. - Moje stadko - powiedział wskazując na plecy oddalającej się piątki. - Sam entuzjazm.

- Michael chce tu zostać i szuka mieszkania - powiedziała Helena.

- Jak to? Przecież masz swój dom pod Półmiastem.

- Nie chcę tam mieszkać - mruknął Michael. - Odchodzę od Żurawic.

Savarin zachmurzył się. - To niedobrze - odezwał się po chwili. - Obawiam się, że w mieście nie ma dla ciebie miejsca. Nie masz pracy, a praca odgrywa tu ważną rolę. Ludzi bez żadnego zajęcia jest niewiele, a mieszkań

brakuje nawet dla tych, którzy już tu przebywają.

-- Wezmę się za jakąś pracę.

- Nie rozumiesz. - Savarin usiadł na brzeżku ławki i rozłożył ręce. - Lania przydzieliła cię do Żurawic. Mieszczanie, chociaż sprawiają wrażenie, że nic sobie z niej nie robią, boją się Lanii panicznie. Jeśli narażasz się jej, nie ma tu dla ciebie miejsca. Wracaj.

Michael potrząsnął głową.

- Savarin ma rację - wtrąciła się Helena. - To znaczy, jestem tu od niedawna i muszę przyjmować rzeczy, jakimi są.

Przystosować się, postępować w akceptowany przez wszystkich sposób.

- Nie mogę zamieszkać z tobą? - spytał Michael zerkając to na Savarina, to na Helenę. Współczujący uśmiech

Heleny był tym razem mniej wyraźny.

- Jesteś młody - odezwał się Savarin. Michael odwrócił się od niego nie mogąc znieść myśli o kolejnym wykładzie.

- Posłuchaj - wyrzucił z siebie - wiem, że jestem młody, głupi i gapowaty. No i co z tego? Szukam jakiegoś kąta, w którym mógłbym zamieszkać. Potrzebuję trochę wolności.

Savarin roześmiał się gorzko. - Wolności? Pokaż mi chociaż jednego człowieka w Królestwie, który cieszy się

jakąkolwiek wolnością. Dlaczego ty miałbyś być inny?

- Nie prosiłem się, żeby tu trafić! Nie sprowadziła mnie tu muzyka.

- Nie - przyznał Savarin. - Przyszedłeś tu z własnej woli. Wiedziałeś, że dokądś idziesz. Przyłożyłeś więcej starań, żeby się tu dostać, niż my. Tak więc jesteś trochę mniej wolny. Tutaj, w mieście, nie ma dla ciebie miejsca. -

Usiłował złagodzić nieco swe słowa dodając: - Tu nie chodzi o to, że nie moglibyśmy cię gdzieś ulokować. Ale

obecnie nasza sytuacja jest bardzo niestabilna.

- Nie możemy sobie teraz pozwolić na rozkołysanie tej łodzi - dorzuciła Helena.

- Może uda mi się zorganizować dla ciebie trochę żywności powiedział Savarin.

- Ja też się postaram - wtrąciła Helena. - I może znajdę jakieś lepsze ubranie. Skąd masz te?

Michael nie odpowiedział. Spojrzał błagalnie na Helenę i uświadomił sobie, że tę niewielką nadzieję, jaką jeszcze żywił, diabli wzięli. Odwrócił się bez słowa i wyszedł z budynku szkoły.

- Michael...

Zaczął biec. Pozwalając znajomym rozkoszom i bólowi wysiłku wypełnić się i przysłonić zmartwienia, pokonał

większą część drogi do Półmiasta, zanim zmusił się do zwolnienia i przejścia z biegu w marsz.

Nie wiedział już, kim właściwie jest. Kiedyś był młodym, zdolnym synem zamożnych, utalentowanych rodziców

mieszkających w bogatej dzielnicy słynnego miasta, mającym nadzieję starającym się - zostać poetą. Teraz był

obszarpany, posiniaczony... a mimo to silniejszy i szybszy, i został zmuszony do uczynienia czegoś zupełnie

cudownego... bo inaczej by zginął. Nie wiedział, kto jest teraz jego przyjacielem. Był zły na Savarina i Helenę, ale tak naprawdę, to wcale ich nie winił...

Trudno było żyć w Królestwie.

Wszedł na dziedziniec targowy w Półmieście. Mieszkańcy nie zwracali na niego uwagi; nic ich nie obchodziło. Ale Eleuth dostrzegła go z szopy, gdzie pakowała towar dla klientki, i jej twarz rozjaśniła się uśmiechem. Kiedy ujrzała jego sińce, uśmiech ustąpił wyrazowi zatroskania. Obwiązała paczkę sznurkiem i wręczyła ją wysokiej Mieszance, która mijając Michaela obrzuciła go surowym

spojrzeniem.

- Witaj - powiedział Michael.

- Znowu cię wypróbowały - stwierdziła Eleuth przysiadając przed nim na stołku. Stojąc przewyższała go

wzrostem o dobre dziesięć centymetrów. Kiedy siedziała na stołku, jej twarz i jego znajdowały się na jednym

poziomie.

- Skąd wiesz? - Uśmiechnął się z przymusem, przytrzymując postrzępione rękawy.

- I nie pozwalają ci zostać w Euterpe. - Widziałaś, jak tam szedłem?

Potrząsnęła głową. - Uczę się. Bardzo powoli, z dużą trudnością, ale patrząc tylko na ciebie potrafię odgadnąć, co się mniej więcej stało. Dlaczego od nich odszedłeś?

- Chcę jeszcze pożyć - powiedział Michael. - A nie sądzę, aby im na tym bardzo zależało.

- Możesz się mylić - powiedziała Eleuth. - Ale zostań tutaj. Ja mam jeszcze trochę pracy.

- Nie mam dokąd pójść - powiedział Michael.

Eleuth uśmiechnęła się. - Przecież powiedziałam, żebyś został tu ze mną. Możesz mi pomagać. Tak długo, jak ci pozwolą. Michael patrzył na nią, kiedy wracała do klientów. Nagle poczuł

nowy rodzaj paniki. Co robi - chce żyć pod jednym dachem z Mieszanką?

Czego ona od niego oczekuje?

Rozdział osiemnasty

- Już zamykam - powiedziała Eleuth do Michaela, kiedy zapadł zmierzch. - Dzisiejszy dzień był chyba trochę

krótszy niż zwykle, prawda? Podejrzewam, że to kaprys Adonny.

Pokazała mu, jak podnosić kosze z towarami ze zbitych z desek stołów i gdzie je ustawiać w szopie, z dala od

żywołów. Pomógł jej naciągnąć plandekę na wystawy z cięższymi artykułami. - Nikt tu nigdy nic nie kradnie?

- Pewnie, że kradnie - odparła Eleuth. - Ale nawet Mieszkańcy mogą się zdobyć na pewne zabezpieczenia. - Nie

wyjaśniła tego bliżej i tylko uśmiechnęła się do niego zamykając bramę prowadzącą z dziedzińca targowego na

ulicę. - No. Powiedz mi teraz, kiedy ostatni raz miałeś coś w ustach?

- Jakieś półtora dnia temu - przyznał. Dopiero to pytanie obudziło w nim głód.

- Mam trochę zupy, parę misek... Mam nadzieję, że wystarczy. To znaczy, że wystarczy, żebyś się najadł.

Dom sąsiadujący z placem targowym oświetliły wkrótce olejowe latarnie i świece, a w palenisku zapłonął ogień.

Eleuth położyła na ceglach chleb, żeby się rozgrzał, i pomieszała zupę w kociołku zawieszonym nad kręgiem

plonących głowni. Podała Michaelowi kubek wody z brezentowej torby ochłodzonej przez parowanie i zaprosiła go do zajęcia miejsca na jednym z dwóch drewnianych krzeseł.

- Ile masz lat? - zapytał Michael, gdy skończyła kompletować nakrycia i przygotowała dla nich wiklinowy stolik. -

Och, tutaj nie można tego określić jednoznacznie - odpowiedziała.

- Nie domyślasz się?

- Z wyglądu nie jestem dużo starsza od ciebie.

- Ale ja mam szesnaście lat, a ty... ty jesteś większa.

- To naturalne u tych, którzy mają domieszkę krwi Sidhów. Bardzo szybko rośniemy.

- Twój ojciec był w połowie Sidhem?

Eleuth skinęła głową. - Moja matka była człowiekiem. Umarła dawno temu. Nie pamiętam jej zbyt dobrze. A

gdybym była Sidhem pełnej krwi, to albo pamiętałabym wszystko, albo nic. Zależnie od tego, co bym wybrała.

- Czuję się tak głupio mieszkając w Królestwie - przyznał cicho Michael. Eleuth wręczyła mu ceramiczną miskę z jarzynową zupą. Pachniała pikantnie i taka też była w smaku; po kilku łykach język go palił.

- Chleba? - zaproponowała. Usiłował ukryć niesmak żując twarde chleb z brązową skórką. - Wszyscy tu się przez cały czas uczymy - ciągnęła siadając naprzeciw niego. - Czy na Ziemi też tak jest? Bo przecież długość życia

śmiertelnych jest ograniczona; muszą spędzać krótkie lata życia w przekonaniu, że są strasznymi ignorantami.

- Chyba tak. - Po paru kolejnych łykach przyzwyczał się do ostrego smaku zupy. Fala ciepła podeszła do szyi i dotarła do głowy. Zaczął się pocić.

- Co do mnie, to nie jestem olśniewająco bystra, nawet jak na Mieszkańca. Według norm Sidhów jestem bardzo

powolna. Mój ojciec był wspaniałym rodzicem, ale wydaje mi się, że trochę go rozczarowałam.

- Wolałby mieć syna?

- Och, nie? - Eleuth roześmiała się. - Sidhowie zawsze wolą córki. W rodzinach, w których są córki, magia jest silniejsza. Ale jeśli o mnie chodzi, to odziedziczyłam bardzo mało.

- Czego potrafisz dokonać swoją magią? - spytał Michael. Widziałem już parę sztuczek, ale... - Nie dokończył.

- Zdaje się, że nie powinniśmy o tym rozmawiać - przerwała mu Eleuth. Odebrała od niego pustą miskę i napełniła ją ponownie. - Nie jesteś Mieszkańcem. Nie wiem właściwie, dlaczego tu jesteś ani dlaczego cię toleruję. A ty to wiesz?

Michael pokręcił głową. - Chciałbym. To znaczy, wydaje mi się, że chciałbym. Może tak naprawdę, to wcale nie

chcę tego wiedzieć.

- W końcu musisz się dowiedzieć - powiedziała Eleuth. Jedli przez chwilę w milczeniu. Potem Eleuth zabrała puste miski i wepchnęła je do kociołka z piaskiem. Zakręciła podstawą, na której stał kociołek, i wyłowiła z niego już czyste miski.

- Możesz spać przy palenisku - powiedziała. Ściągnęła z pręta kobierzec i rozścieliła go na podłodze, a potem wyjęła jeszcze dwa koce i szlafrok. - Należał do Lirga - powiedziała podając mu ten ostatni. - Idę spać. Rano możesz sobie wybrać jeszcze coś z jego garderoby. Dobranoc.

Położył się na kobiercu i przykrył kocami. Eleuth wygasila ogień w palenisku, przykryła je siatką i wślizgnęła się za drugą kotarę, do swojej izby.

Michael leżał przez kilka minut w ciemnościach rozpraszanych nieco przez żarzące się główne. W głowie miał

zamęt, ale nie myślał właściwie o niczym. Powieki mu opadły.

Sen bez marzeń sennych zdaje się trwać chwilę. Obudziło go szlochanie. To była Eleuth. Usiadł zaspany na

podłozie i nie wiedząc, jak się zachować, nasłuchiwał przez chwilę oparłszy brodę na kolanach. W końcu wstał.

Zmiętoszone stare ubranie, w którym spał, krępowało mu ruchy. Podszedł cicho do kotary. Eleuth?

Szloch przycichł. - Eleuth, co się stało?

- Już nie będę - odezwała się stłumionym głosem. - Ale co się stało?

Odchylił kotarę i zobaczył ją leżącą na drewnianym łożu z kocami ściągniętymi pod szyję. Twarz miała zalaną

łzami, które połyskiwały w blasku jedynej świecy oświetlającej izbę.

- Nie mogę spamiętać wszystkich tych transakcji - wykrztusiła. - Chociaż nie wiem, jak bym się starała, nie potrafię prowadzić rachunków w pamięci.

Michael oparł się sennie o ścianę. - No to zapisuj sobie na kartce.

- Och, nie! - zachnęła się Eleuth i zadygotała wstrząsana spazmami. - My niczego nie zapisujemy. Tak... tak nie wolno. Lirg byłby bardzo zawiedziony. - Otarła twarz dłońmi.

- A więc jesteś inna. Każdy jest inny.

- Zaraz się uspokoję - powiedziała. - Idź już spać.

Leżała na wznak i wpatrywała się w sufit. Puścił kotarę pozwalając jej opaść.

- Michael?

Zatrzymał się przy krawędzi swego posłania. - Co?

- Czy boisz się Mieszkańców? To znaczy, czy nas nienawidzisz. - Nie - odparł. -- Nie są gorsi od ludzi, a lepsi od Sidhów Tak bym ich scharakteryzował.

Usłyszał tupot jej bosych stóp na drewnianej podłodze. Odchyliła zasłonę i spojrzała na niego. Przez chwilę żadne się nie odzywało, potem skinęła, żeby do niej podszedł.

- Jestem w przeważającej części człowiekiem - powiedziała

odgarniając koce i robiąc mu miejsce obok siebie. Zaczął się gramolić do łóżka w ubraniu, ale zrobiła minę i

odepchnęła go łagodnie. - Nie w tym - powiedziała rozwiązując tasiemki, przytrzymujące mu spodnie. - Ściągnij tę koszulę. Zaslugujesz na coś lepszego.

Czuł się bardzo dziwnie, był podniecony, ale śpiący, przestraszony, ale spokojny. Uśmiechała się,

kiedy pozbywał

się białej bielizny i wieszal ją przed sobą. Wzięła go za ręce, przyciągnęła do siebie i pocałowała w czoło.

- Jesteś zmęczony - wyszeptała. - Dziś śpijmy.

- Nie chcę jeszcze spać - zaprotestował. Objął ją ramionami miętosząc w garści szorstki, miękki materiał jej koszuli.

Wcisnął twarz w jej szyję, a ona uniosła brodę zamykając oczy. Wtedy ją pocałował. Pocałunek smakował trochę

elektrycznie, jak gdyby lizał dziesięciocentówkę. Rozsupłał jedną ręką tasiemki w górnej części jej koszuli

odsłaniając piersi. Usiane były perłowoszarymi piegami, a w dolinie pomiędzy nimi falował mostek. Delikatnie, jednym palcem dotknął jej skóry, potem otarł się policzkiem o pierś rozkoszując się jej ciepłem. Ujęła w dłonie jego głowę i przyciągnęła do siebie całując we włosy.

- Słodki - wyszeptała. - Sona, dosa, sona.

- Co mam robić? - wymamrotał podnosząc głowę i spoglądając na nią spod na wpół przymkniętych powiek.

- Śpij, Michaelu - szepnęła śpiewnie gładząc palcem jego czoło. Wtuliła się w niego i poczuł jej obnażoną nogę tuż przy swojej. Poruszył się instynktownie, lecz go powstrzymała. Śpij - powtórzyła, ale już jej nie słyszał.

Poranek rozpoczął się od plamy jaśniejszej szarości rozlewającej się po podłodze. Michael otworzył oczy i patrzył na tę plamę zza krawędzi łóżka, gdzie stoczyła mu się głowa podczas snu. Przekręcił się na plecy i ujrzał obok Eleuth wspartą na łokciu; dłoń, którą podpierała policzek, zasłaniały długie włosy. Uśmiechnęła się i pochyliła, żeby go pocałować. - Tak rozkosznie mnie grzałeś przez całą noc - powiedziała. Przesunęła dłonią po jego ramieniu drażniąc porastające je włoski.

Kochali się. Była to rzecz najcudowniejsza, a zarazem najmniej rozsądna. Nie było w tym nic z żądzy, sama tylko konieczność. Leżeli potem obejmując się, on ukradkiem sycił wzrok widokiem jej piersi i brzucha, ona rozkoszowała się w duchu jego spojrzeniem.

Eleuth wstała z łóżka przechodząc nad nim z dłonią między nogami. Zanurzyła białą ściereczkę w ceramicznej misie pełnej wody i obmyła go, a potem wciągnęła na siebie spodnie i koszulę. - Dzisiaj targowisko jest nieczynne -

powiedziała. - Ale mam kilka spraw do załatwienia.

Leżał na pościeli przykryty do połowy kocami i obserwował, jak szara plama staje się żółta.

To było jedno z najcudowniejszych - nie, najcudowniejsze przeżycie, jakiego dotąd doświadczył. Był

o tym święcie przekonany. Nie pamiętał, aby przydarzyło mu się coś wspanialszego, a jednak...

Miało to i swoje ujemne strony. Przez cały czas, jaki tu spędził, zawsze istniała jakaś iskierka nadziei, że to wszystko sen, jakaś długotrwała fantazja. Ale w ciągu swych niewielu szczenięcych lat nigdy nie zdarzyło mu się snuć fantazji tak realistycznej i żywej, jak to, co zaszło dzisiejszego poranka.

A zatem, to mu się nie przyśniło. Był tego bardziej niż pewien. I ta ujemna strona polegała na tym, że teraz zostało to dowiedzione.

A mimo wszystko...

Pozostała jakaś pustka. Był spokojny, jak gdyby rozwiązany został jakiś węzeł, który uwierał go między nogami, węzeł, z którego istnienia nie bardzo zdawał sobie dotąd sprawę. Dobrze się spisał; Eleuth była z niego zadowolona i czuł, jak ten węzeł porusza się i nabrzmiewa na wspomnienie jej zadowolenia. Przyjemność, jaką miał, była realna, ale nie zapierająca tchu w piersi;

na pewno będzie lepiej, kiedy nabierze trochę doświadczenia. Ona przeżywała to realnie i długo.

No więc skąd ta pustka? Nie potrafił jej skonkretyzować. Tak jak wszystko w Mroku Sidhe, spełnienie (słowo to zdawało się wiernie oddawać ten stan, choć brzmiało śmiesznie) przyszło z małą, twardą zadrą niepokoju, grożącej katastrofy.

Michael zdawał sobie teraz sprawę, że nawet gdyby udało mu się wrócić na Ziemię, ta zadra nadal będzie w nim

tkwiła. Być może jest to nieodłączna część procesu dorastania. Ciekawość

we, kochał się z dziewczyną, a nie czuł się przez to ani trochę bardziej dorosły. Może była to najdziecinniejsza strona bycia dorosłym.

Drzemał, kiedy weszła Eleuth z owocem przekrojonym na trzy części. Uśmiechnął się do niej, kiedy podała mu

dwie.

- Na Ziemi jest taka legenda, która mówi, że jeśli to zjem, będę musiał zostać tu na zawsze.

- Nie miałabym nic przeciwko temu - powiedziała Eleuth siadając obok niego na łóżku. - Ale przecież jadłeś już tu owoce, prawda?

Pokiwał głową. - Potrafiłabyś mnie nauczyć języka Sidhów. Pokręciła powoli głową. - Jest trudniejszy od języka ludzi. Lirg próbował nauczyć moją matkę. Tylko Sidhowie mają do niego predyspozycje. Czasami nie jest to nawet język w waszym pojęciu.

- Ale zdarzało mi się już rozróżniać poszczególne słowa. - Tak. Czasami używamy różnych słów do określenia tych samych rzeczy... A kiedy się ze sobą komunikujemy, używamy dosię-mowy. To ty

umożliwiasz mi mówienie twoim

językiem. Ja dosię-mówię... zaglądam w twój umysł i dobieram z niego słowa. Szkoda, że nie ma tu Lirga; on by ci to lepiej wyjaśnił. - Oczy znowu jej zwilgotniały i Michael wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej ramienia. Położyła się obok niego. - Co będziesz dzisiaj robił?

- Chyba pójde do Savarina - mruknął. - Nie pomógł mi wczoraj, ale jest jeszcze wiele rzeczy, których muszę się dowiedzieć. - Nauczę cię wszystkiego, co umiem - zaproponowała Eleuth.

- Wdzięczny ci jestem za to, ale może on potrafi wytłumaczyć mi wszystko bardziej zrozumiale. Jest nauczycielem.

- Och. - Przez chwilę jedli w milczeniu owoc. - Możesz mi tu pomagać?

- Jasne - mruknął Michael. - Powiedz mi, co trzeba zrobić, zaim pójde do Euterpe.

Wspólnie przeliczyli bele materiału i kotły. Eleuth dała mu do przymierzenia naręcze spodni i koszul, z którego wybrał sobie z grubsza pasujący na niego komplet. Gorzej było z butami. Stopy Sidhów i Mieszkańców były dłuższe i węższe od ludzkich. Michael znalazł parę wykonaną z brezentopodobnego materiału, która nie uciskała zbytnio

dużych palców u nóg, a Eleuth obserwowała z niejasnym, zagadkowym wyrazem twarzy, jak podskakuje w kółko na

jednej nodze starając się je wcisnąć na stopę. - Na Ziemi nigdy w to nie uwierzą - wysapał. - Czarodzieje chodzą w tenisówkach. - Roześmiał się wyobrażając sobie, jak będzie to opowiadał w domu. O ile pamiętał, roześmiał się w Królestwie po raz pierwszy. Eleuth uśmiechnęła się.

Przyszyła mu do koszuli kieszeń, żeby miał gdzie trzymać książkę, i przegryzając zębami nitkę powiedziała: - Dziś popołudniu spodziewam się dostawy. Mógłbyś wrócić do tego czasu, żeby mi pomóc?

- Oczywiście. A już myślałem, że wszystko tutaj bierze się znikąd - zażartował. Pokazał na zasłonięte półki z towarami w magazynie.

- Och, nie - zaprze żywo Eleuth. Jej długa twarz zdradzała strapienie. - Daleko mi do takiej umiejętności. Wyruszył

w drogę, kiedy słońce zbliżało się do zenitu, i prze

szedł odległość dzielącą Półmiasto od miasta ludzi spacerowym krokiem. Coś w nim pękło; mógł obserwować

otoczenie bez tego nerwowego usztywnienia, które wcześniej przeważało. Wyglądało na to, że ma teraz czas na

poukładanie sobie wszystkiego we właściwej perspektywie.

Stanął również wobec faktu, iż będzie musiał wkrótce powiedzieć Eleuth, że nie może zostać tu na zawsze, że jej nie kocha. Nie bardzo wiedział, co do niej czuje; wdzięczność, słabość.

Ale jednego obrazu nie mógł wymazać ze swej pamięci: obrazu Żurawic - nieśmiertelnych, lecz z powodu domieszki ludzkiej krwi, zmieniających się z wiekiem. Kiedy zaczną się zmieniać Eleuth?

Kilkoro Mieszkańców - mężczyzna i dwie kobiety, wszyscy z tym piętnem na twarzach zdradzającym, że są starsi od Eleuth, ale nie wiadomo, o ile starsi - prowadziło drogą wóz zaprzęgnięty w konia. Minęli Michaela z wysoko

uniesionymi, długimi głowami' udając, że go nie widzą. Ich ciemnobrązowe oponcze falowały niczym sierść pod

niepożądanym dotykiem. Odwrócił głowę, żeby popatrzeć na wóz, i zauważył koła z drewnianymi szprychami,

dokładnie dopasowaną, ale niczym nie ozdobioną ramę, prostotę uprzęży. W gospodzie Brecker powitał go

uprzejmie nie przerywając zamyślenia małego holu i poinformował, że Savarin jest w swoim pokoju. Michael wszedł

po schodach na górę. Przez wiklinowe drzwi usłyszał Savarina mruczącego coś do siebie. Zapukał. To ja.

Savarin otworzył drzwi na oścież i stanął w nich z uśmiechem na ustach. - Mam nadzieję, że nam wybaczyłeś?

- Tak - powiedział Michael. - Znalazłem sobie kwatere w Półmieście.

Savarin zaprosił go do środka i wyjrzał na korytarz, czy nikt ich nie obserwuje. - Pragniemy, żebyś zrozumiał, że to nie ciebie się boimy.

- Wiem - powiedział Michael. Nie chciał dyskutować na ten temat, ale wiedział, że Savarin będzie go i tak przez jakiś czas wałkował. Ostrożnie, żeby niczego nie połamać, przysiadł na krawędzi podstawki pod miednicę.

- Musimy być po prostu ostrożni. Stoimy między Lamią a Sidhami, między regułami, które zmieniają się z dnia na dzień. Czy miałeś jakieś przejścia z Żurawicami?

Michael potrząsnął głową. - Nie widziałem ich. Przyszedłem tutaj...

- Nadal musisz zachowywać ostrożność. Gdzie zatrzymałeś się w Półmieście.

- To nieistotne - odparł Michael. - Chcę, żebyś mi powiedział wszystko, co wiesz o języku Sidhów. Niczego nie osiągnę, skoro nie rozumiem, co mówią.

Savarin przechylił głowę i uniósł brwi.

- Wysokie wymagania. Musisz być w przeważającej części Sidhem, żeby władać wszystkimi ich językami.

Powiedziałbym, że

podobieństwa pomiędzy językami Sidhów i ludzi są silne, ale składnia i metody rozumienia są w obu przypadkach zupełnie inne. Sidhowie używają, na przykład, metajęzyka... języka kontekstów.

Dysponują niewyczerpanym

zasobem słów oznaczających to samo lub coś bardzo podobnego. Nie jestem w nim biegły. Sam potrafię się

porozumieć, ale...

- Rozumiałem go przez pewien czas - powiedział Michael. Podczas Kaeli. Jedna z Żurawic dotknęła mojej głowy i zacząłem rozumieć wszystko, co mówili.

- I jakie wrażenie odniosłeś?

Michael sięgnął pamięcią wstecz. - To było jak słuchanie muzyki. Każde słowo zdawało się odpowiadać jednej

nucie. Nuty w utworze muzycznym są zawsze takie same, ale gdy umieścić je obok siebie, brzmią inaczej... albo wydłużają dźwięki, albo je skracają. Zastosuj to samo słowo w innym kontekście, a znaczy co innego... inaczej brzmi.

- Może to ty powinieneś mnie uczyć - powiedział Savarin. - Ale to nie trwało długo. Pamiętam z tej nocy tylko to, co powiedzieli... a i to jak przez mgłę. Śpiewali nie śpiewając. Muszę poznać tę mowę, żeby... - ugryzł się w język. - Po prostu muszę ją poznać.

- Bo nadal zamierzasz wydostać się z Królestwa - dokończył za niego Savarin.

Michael odwrócił wzrok i zetknął czubkami palce wskazujące.

- Nie radzę ci tego robić. Po pierwsze, będzie cię ścigał Alyons. Żaden człowiek nie ujdzie jego jeźdźcom. Po drugie, Lamię rozgniewa nawet próba ucieczki - a jak już mówiłem, osobiście wolałbym nie wchodzić jej w drogę. Nie

wiem tylko, jak zareagowałyby Żurawice.

- Nie zastanawiałem się nad tym wiele - odparł Michael. Po prostu walczę. Nie chcę niczyjej protekcji.

- Dziękuj lepiej gwiazdom, że ją masz - powiedział Savarin. - Znałem ludzi, którzy zjawiali się tu, Alyons ich zabierał i tyle ich widzieliśmy - pomimo Paktu! Nie śmieliśmy protestować. Co z nimi

zrobił? Nikt tego nie wie. Ale ty! Wszystko wskazuje na to, że znajdujesz się pod ochroną. Nie zabrał ciebie... chociaż próbował. - Położył dłoń na kolanie Michaela i po

patrzył mu otwarcie w oczy. - Wracaj. Trenuj dalej. Jest w tym; jakiś cel. Jestem tego pewien.

- Mam inne zdanie na ten temat - powiedział Michael.`, Savarin wzruszył ramionami.

- No to porozmawiajmy o kaskaryjskim i nerbskim. Wiesz, czym się różnią?

- Nie.

Savarin wyjaśnił, że kaskaryjski jest językiem młodszym, mniej oficjalnym. Według niego powstał po powrocie

Sidhów na Ziemię i był protojęzykiem, z którego wykształciło się kilka głównych grup językowych mowy ludzkiej; przy czym najbardziej znane z nich należały do gałęzi indoeuropejskiej. - Bez wątpienia słowa te brzmią znajomo -

mówił.- Ich słowo oznaczające nas, ludzi - słowo, które nigdy się nie zmienia, zauważyłeś to? - to antros. Czasami nazywają nas mężczyznami - wiros - albo kobietami, geen, i tym ostatnim słowem określają też swoje kobiety - ale jako rodzaj, zawsze jesteśmy dla nich antros. Słowo-klucz, że tak powiem. Co do nerbskiego, mówi nim niewielu Mieszkańców i żaden Sidh, jakiego spotkałem.

- Niewiele o tym słyszałem, o ile w ogóle słyszałem. A powiedz coś do mnie po kaskaryjsku.

- Pir na? Sed antros lingas ta rup ta pistr. - Co to znaczy?

- „Dlaczego? Ludzie mówią, jakby mieli języki z kamienia." Coś w tym rodzaju powiedział kiedyś do mnie pewien Mieszaniec. Lingas oznacza zarówno język w znaczeniu mowy, mówienie, jak i język - część ciała. Ważny jest

kontekst i modulacja głosu, jak w chińskim. Istnieją też inne kaskaryjskie słowa oznaczające język, a wyrażające jedzenie językiem, płucie językiem, uprawianie magii językiem. Wabienie ptaków językiem i każde jest inne.

- Jak oni się tego uczą?

- Są Sidhami - stwierdził Savarin. - To przychodzi im samo. Niemal każdy Sidh i Mieszaniec, jakich spotkałem, potrafili mówić wszystkimi ludzkimi językami, jakie znam ja. Czy wysysają tę wiedzę z mojego mózgu? Nie wiem.

Ale po kaskaryjsku mówi do nas tylko wtedy, kiedy nie chcą, żebyśmy ich zrozumieli, albo kiedy chcą okazać

wrogość. - Zamilkł na chwilę i twarz mu posmutniała. - Słyszałem też wzmianki o jeszcze jednym języku

Nie wiem o nim prawie nic; tylko to, że istnieje. Jedną z wielu jego nazw jest Kesh. Język bez słów, używany

podczas gwiazdnych marszów. Nie jest to, jak mógłbyś podejrzewać, rodzaj kontaktu pozazmysłowego, to coś

innego.

I żeby było jeszcze śmieszniej, znalazłem dowody na to, że Sidhowie zapożyczyli wiele słów z mowy ludzkiej - z gwary, z języków celtyckich i tak dalej; zapożyczyli je podczas ostatnich wieków, jakie spędzili na Ziemi. Jest taki ustęp w Hudibrasie Samuela Butlera - niech sobie przypomnę... - Skrzywił w skupieniu twarz i spojrzał w sufit.

Dialektem z wieży Babel dźwięczał I_ każdy pedant przed nim klęczał. Pedant uczony, zachwycony, Iż różnobarwne słyszy tony Bo jego język był pstrokaty, Angielski, strojny przecie w łąty Wzorzyste greki i łaciny -

Barakan kładzion na satyny, Miał pomieszany dziwny ton Trzema głosami gadał on

A więc myśleli już niektórzy, Kiedy tak paplał, plół i dłużył Że to trzech robotników z wieży Babel tak gada - lub że bieży

Na nich Cerberus sam i krzyczy; Języków sforę miał na smyczy.*

- Jesteśmy tutaj, jak małe dzieci - westchnął Michael. Savarin pokiwał głową. - A teraz może ty mi potrafisz

wyjaśnić, dlaczego po prostu nas nie wyrznęli? - Czy aż tak nas nienawidzą?

Twarz Savarina rozjaśniła się. - Czy możesz mi powiedzieć cokolwiek o Radzie Eleu? Czy to z niczym ci się nie kojarzy?

Michael nie przypominał sobie, aby słyszał cokolwiek na ten temat.

- To słuchaj uważnie. Chcesz, czy nie chcesz, będziesz coraz bardziej związany z Mieszkańcami i Sidhami. Uważaj, czy gdzieś

* Przełożył Aleksander Mierzejewski.

tego nie usłyszysz. „Rada Eleu”. I jeśli odkryjesz cokolwiek,` przekaż mi to natychmiast! A odpowiadając na twoje pytanie, to' nie, nie wszyscy oni nas nienawidzą. A Rada Eleu ma coś wspólnego z tymi, którzy nas tolerują.

Michael doznał jakiegoś przebłysku pamięci i dokładając wszelkich starań usiłował go podtrzymać, odcedzić. Grupa wysokich,` bladych postaci rozmawiających o nim. Coś jakby jego pokój w domu na Ziemi... ale wspomnienie

umknęło, zanim zdążył je pochwycić. - Dam ci znać, jeśli coś obije mi się o uszy - obiecał. - Jak tam Helena?

- Dobrze - powiedział Savarin. - Martwi się, że wywarliśmy na tobie złe wrażenie, że nas zniechęciłeś, że

zniechęciłeś ją. - Nie czuję do nikogo nienawiści - zaproponował Michael. Chciałbym jeszcze kiedyś z nią

porozmawiać.

- Porozmawiasz. Teraz jest na pewno w pracy, ale moglibyśmy wpaść do niej później...

- Nie. Pójdę sam. Muszę ją spytać o parę rzeczy.

- Jak chcesz - przystał Savarin. Ironiczny uśmiezek nigdy nie zniknął z jego ust; teraz stał się znaczący. - Wydaje mi się, że musisz się czegoś dowiedzieć i to bardzo szybko.

- Czego?

- Seks między ludźmi jest tutaj bardzo niebezpieczny. - Dlaczego?

- Takie rzeczy są ściśle regulowane. Nie chcemy mieć dzieci. Sidhowie i Mieszkańcy mogą mieć potomstwo - my

nie. Michael patrzył na niego bez słowa.

- Ludzie, którzy są tu najdłużej, i Mieszkańcy, mówią, że to dlatego, iż w Królestwie nie ma wolnych dusz. Ludzkie dziecko rodzi się puste. Dziecko Sidhów czy Mieszkańców jest takie z natury i ma już wewnętrzną... jakby to

nazwać... kompensację. Ale ludzkie dzieci są pustymi naczyniami oczekującymi na napełnienie. Wypełniają je

stworzy z Przeklętej Równiny - niektórzy mówią, że to niedonoszone dzieci samego Adonny. - Zacisnął usta i

skwitował dalsze indagacje Michaela machnięciem ręki. Rozmowa o tym uważana jest za nieprzyzwoitą. Ani słowa

więcej.

- Jest jeszcze jedna sprawa - ustąpił Michael. - Jestem' młody - słyszę to na każdym kroku - ale dlaczego ludzie znoszą te upokorzenia?

- A co nam pozostaje? - Savarin zmierzył go dziwnym wzrokiem, jakby szukał czegoś ukrytego w jego twarzy.

Potem na jego usta powrócił nieodłączny uśmiezek i nauczyciel rozluźnił się. Splótnięty przed sobą dłoń

przeciągnął się, aż zatrzeszczało mu w stawach. - Dowiesz się niedługo - mruknął przyciszonym głosem. - Czemu nie idziesz porozmawiać z Heleną? Pewnie już skończyła pracę.

Michael nie spodziewał się odprawy, ale najwyraźniej Savarin miał głowę zaprzątniętą czym innym. Michael wstał i wyciągnął rękę. Savarin pochwycił ją i potrząsnął od niechcenia, a potem miękkim ruchem dłoni wskazał na drzwi. -

No, idź - powiedział. - I dziękuję, że wróciłeś. Myśleliśmy już, że cię straciliśmy, kiedy uciekłeś.

Michael skinął głową i zamknął za sobą wiklinowe drzwi. Savarin podjął swoje nucenie tak cicho, że w korytarzu przestawało być słyszalne w odległości metra od drzwi.

Michael idąc pstryknął palcami, zreflektował się zaraz i zatknął kciuk za płócienną tasiemką przytrzymującą mu spodnie. Było wczesne popołudnie i życie w mieście zwalniało tempo; zamykano warsztat ludzie przechadzali się parami wąskimi uliczkami, jedni zmierzając w kierunku walącej się szkoły, inni po prostu spacerując i rozmawiając.

Michael zauważył mężczyznę i kobietę o orientalnych rysach twarzy, rozmawiających chyba po chińsku.

W głowie rozbrzmiewało mu jeszcze echem jego ostatnie pytanie i wyraz twarzy Savarina, gdy je usłyszał. Opór

wydaje się naturalny tylko wtedy, gdy ktoś cię gnębi. Ojciec opowiadał często Michaelowi o swych studenckich

czasach - rozmowy te nudziły go wtedy, ale teraz przypomniał je sobie jako model zachowania ludzi, przynajmniej Amerykanów, kiedy uważają, że coś jest nie tak, jak trzeba. Michael był ciekaw, czy ludzie mieszkający w

Królestwie potrafiliby zorganizować jakąś akcję protestacyjną, może wprowadzić blokadę. Przynajmniej nie

wpuszczać Sidhów do Euterpe... zastosować bierny opór.

Myśli te wydały mu się tak głupie, że aż się uśmiechnął. Alyons natychmiast rozprawiłby się z taką blokadą. Cześć ludzi przyplaciłaby to pewnie życiem. Może on byłby pierwszym z nich.

Ciągle nie mógł uwierzyć, że może umrzeć w Królestwie. Śmierć

była trudna do pojęcia na Ziemi, ale jak można naprawdę umrzeć tutaj, gdzie wszystko jest postawione na głowie i gdzie zdarza się tyle fantastycznych zjawisk? No i co, że to nie sen, powiedział do siebie. Nie była to też

rzeczywistość.

Rozmyślając tak nawet nie spostrzegł, kiedy znalazł się przy schodach prowadzących do drzwi Heleny. Wchodził po stopniach powoli, z namaszczeniem. Przejechał dłonią po brodzie sprawdzając długość meszkowatego zarostu. Kilka prawdziwych włosów, które mu tam wykiełkowały, sporo już podrosło; dopiero teraz sobie o nich przypomniał i

żałował, że nie ma lusterka i nożyczek, żeby je przystrzyc.

Przeżył chwilę paniki tuż przed zapukaniem, wmawiając sobie, że najlepiej byłoby zwać, gdzie pieprz rośnie...

Helena otworzyła drzwi.

- Cześć - powiedział opuszczając rękę, którą trzymał się za brodę.

- Cześć. Słyszałam twój oddech.

- No tak - bąknął Michael. - Przyszedłem cię przeprosić za tamtą ucieczkę.

-- Nie musisz przeproszać - powiedziała Helena. Była jakaś przygaszona. Otworzyła szerzej drzwi zapraszając go do środka i zostawiła je otwarte podpierając cegłą. - To musiało być dla ciebie nieprzyjemne. Straciłeś głowę.

- Chyba tak. Ale to żadne usprawiedliwienie. Zachowałem się jak dzieciak. Chciałem powiedzieć, po chamsku.

- Cieszę się, że wróciłeś - powiedziała stając metr od niego. - Może usiądziesz? - Usiedli i Helena gryząc paznokieć patrzyła na niego, ale chyba go nie widziała.

- Czy coś się stało? - spytał.

Chyba podjęła decyzję, bo nachyliła się ku niemu patrząc mu prosto w oczy. - Michael, przysięgniesz mi coś?

Podwójnie przysięgniesz? Bo biorę na siebie wielkie ryzyko.

- Jakie ryzyko? - Przysięgniesz?

- Co mam przysiąc, Heleno?

Zerwała się z miejsca i zaczęła przechadzać nerwowo przed nim. - Jesteś miłym chłopakiem - zaczęła wymachując rękami - ale nie zrozumiałeś, o co nam wczoraj chodziło. Sam wiesz,

jaki dla nas jesteś dziwny, że opiekują się tobą Mieszkańcy i tak dalej.

- Wyobrażam sobie - przyznał Michael.

- Zostaw wyobraźnię w spokoju. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

- Mnie to też zastanawia, tego jestem pewien.

- No właśnie, tym bardziej zastanawia nas. Nikt stąd - mam na myśli ludzi - nie był dotąd tak traktowany.

Zachodzimy więc w głowę, czy nie jesteś czasem jakimś podwójnym agentem, czy kimś takim? Może Sidhem, który

wygląda jak człowiek?

- Nie jestem żadnym Sidhem - zaoponował Michael wybuchając śmiechem.

- Nie, ja też nie sądzę, żebyś nim był. Pocisz się, kiedy się zdenerwujesz. - Zachichotała i położyła uspokajająco dłoń na jego ramieniu zaciskając znacząco palce. - Musisz mi więc przysiąc, że nie jesteś podwójnym agentem, wtyczką, ani nikim, kogo podstawiono tutaj, żeby nas zdemaskował.

- Przysięgam - powiedział Michael.

- Masz takie ludzkie oczy - ciągnęła Helena. - Taki przyjemny, zielony kolor. Co się z tobą działo od wczoraj?

Michael zamrugał powiekami zaskoczony tą zmianą tematu.

Znalazłem sobie kwatere w Półmieście. - Ojej, gdzie?

- Chciałaś, żebym przysiągł. Przysięgłem. Co jeszcze mam przysiąc?

Helena uklękła przed nim. - Znasz Savarina. Jest uczonym. Są jeszcze inni ludzie, których nie znasz, z wyjątkiem jednego z nich, który poszedł cię zobaczyć tego wieczora, kiedy wydawali obiad. Kiedy zjawiłeś się w mieście.

Niski, krępy facet z czarnymi włosami.

Michael nie przypominał sobie nikogo takiego.

- No, nie ważne, w każdym razie on widział ciebie i pomyślał, że w swoim czasie będziemy musieli podjąć decyzję, czy skontaktować się z tobą, czy nie.

Na placu miasta rozdzwonił się dzwon. Michael podszedł do okna i nastawił ucha.

- No więc się ze mną kontaktujesz - powiedział.

Helena stanęła obok niego. - To dzwon alarmowy - wy

krztusiła drżącym głosem. - W mieście jest Alyons albo kilku jego jeźdźców. No nic, powiem ci

szybko, o co chodzi.

Znaleźliśmy skład metalu Sidhów. Nieważne gdzie. Paru ludzi stąd podbiera ten metal i wyrabia z niego... różne rzeczy. Na przykład fortepian. Czego ja bym nie oddała, żeby znowu usłyszeć dźwięk fortepianu! Ale oni nie

pozwolą nam, oczywiście, grać, dopóki nie... Urwała nagle i twarz jej pobladła. W wąskiej alejce rozległ się tętent kopyt. - Michael!

- Co?

- Szukają ciebie, czy sam ich tu sprowadziłeś?

- Nie jestem jednym z nich - zaprotestował Michael. Ścisnęła go za ramię.

- Jadą tutaj!

Alyons z dwoma jeźdźcami kierowali niespiesznie swe konie ku drzwiom na końcu alejki. Alyons spojrzał w górę i zobaczył Michaela w oknie. Michael cofnął się szybko.

- Antros! Ktoś chce się z tobą zobaczyć! - Chcą cię zabrać - jęknęła Helena.

- Na to wygląda.

- Och, nie mów im nic. Tak się boję. Dokąd cię zabierają? - Nie wiem - wykrztusił Michael. Wyszedł na korytarz i spojrzał w przeciwną stronę. Gdyby tylko potrafił odtworzyć w sobie ten stan umysłu... Odwrócił się do Heleny i wziął ją niezgrabnie za rękę. Musiał dwa razy poprawiać uchwyt, zanim ścisnął ją pewnie. Strasznie chciało mu się śmiać. - Fortepian, tak?

- Ciiii!

- Myślałem, że chodzi o coś innego, ale wydaje mi się, że to też cholernie wywrotowe.

- Człowieku-dziecko! - zawołał Alyons.

Pocałował ją w rękę i poczuł przyływ dumy pomieszanej ze strachem. Jeden z Sidhów pojawił się w drzwiach przy wejściu na schody. Michael bezceremonialnie wepchnął Helenę do jej izdebki i zamknął drzwi. Stał u szczytu

schodów patrząc w dół na jeźdźca z miną, która, miał nadzieję, wyrażała dumną wzgardę. - Czego chcecie?

Jeździec, nie odpowiadając, wstąpił na schody. Michael ocenił na oko, ile miejsca pozostaje mu po obu stronach Sidha i czy uda

mu się zbiec po schodach odgrywając po drodze sztuczkę z niestabilnym kwiatkiem. Zdecydował, że jest tylko jeden sposób, by się przekonać. Z całą szybkością i koncentracją, na jaką było go stać,

runął po stopniach w dół usiłując rzucić cień w jedną stronę, a samemu przemknąć się drugą. Jeździec złapał go bez wahania, wziął pod pachę z taką łatwością, jakby niósł spętane prosię, i wyszedłszy przez drzwi na uliczkę pokazał Buńczucznikowi.

Zamienili między sobą kilka słów po kaskaryjsku i Michael znalazł się oko w oko z Alyonsem.

- A więc uczysz się od Żurawic - przemówił Buńczucznik. Ale niezbyt pilnie.

Jeździec znowu coś powiedział i wybuchnęli głośnym śmiechem. - Nigdy nie rzucaj cienia, kiedy istnieją tylko dwie drogi, którymi możesz go wysłać - poradził mu Alyons. Uniósł buńczuk i dał nim znak swoim jeźdźcom, żeby

przywiązali Michaela za jego wierzchowcem. Wprawnie zawrócili konie w wąskiej alejce i ruszyli ciągnąc Michaela na sznurze. Obejrzał się jeszcze przez ramię i zobaczył w oknie Helenę; była blada. Ręce miał skrępowane, nie mógł

nic zrobić. Przez chwilę bał się, że Sidhowie zabiorą i ją.

Wyjechali z miasta popędzając konie na tyle, żeby wciąż na wpół biegł, na wpół szedł za nimi. Tam połączyli się z drugą grupą złożoną z czterech Sidhów i teraz było ich już siedmiu. Wlokąc Michaela na sznurze ruszyli drogą w kierunku posiadłości Izomaga.

Rozdział dziewiętnasty

Żołdak pociągnął Michaela ścieżką prowadzącą do domu Izomaga szarpiąc silnie za linę, gdy ten usiłował stawiać opór. Alyons zsiadł z konia i wszedł do środka, a pozostali czekali na zewnątrz milcząco i pełni rezerwy nawet w stosunku do siebie.

Po kilku minutach Alyons wyszedł z domu i ujął koniec liny, na której uwiązany był Michael. Związał ją dopóty, dopóki nie stanął pół metra przed Michaeliem spoglądając nań z góry. - Ona chce z tobą rozmawiać,

człowieku-dziecko. - Kiedy się odwracał pociągając Michaela za związane i wyciągnięte ręce, jego twarz była jak z kamienia, a oczy zdawały się osadzone nieruchomo w oczodołach. Targała nim chyba tłumiona wściekłość, co natchnęło Michaela perwersyjnym optymizmem; jeśli sprawy nie układały się po myśli Alyonsa, to może jego własna sytuacja nie była tak zła, jak sądził.

Wnętrze domu było takie, jakim je zapamiętał, tylko ciemniejsze i chłodniejsze. Słońce opierało się już o widnokrąg.

Ten dzień był szczególnie krótki. .

Schody pięły się w górę ku jaśniejszemu światłu, które wpadało przez wąskie okna w sieni. Lamia stała na balkonie trzymając się poręczy drobnymi, delikatnymi dłońmi.

- Jest tam na dole? - spytała.

- Jak sobie życzyłaś - odparł Alyons tonem pełnym pogardy. - Przyślij go do mnie na górę.

Buńczucznik nie śpieszył się z rozwiązywaniem sznura; Michael czuł na przegubach zimny dotyk jego długich,

gruzłowatych palców. - Idź - warknął. Wskazał na schody i brutalnie popchnął Michaela w ich kierunku. Michael wszedł na stopnie rozcierając poczerwieniałe przeguby i wpatrując się w gęstniejący na gorze mrok. Nie miał ochoty na pozostawanie w tym domu po zapadnięciu ciemności, ale jeszcze mniej uśmiechała mu się podróż po

nocy z jeźdźcami czy samotny powrót do miasta. Stał przed Lamią czekającą nań na podeście.

Zmieniła się jakoś. Widział to pomimo słabego oświetlenia. Skórę miała woskowożółtą, twarz bardziej skrzywioną, jak gdyby nosiła na niej uwierającą maskę. Płatki łuszczącej się skóry wokół jej oczu zaczynały już odpadać, a ręce poprzecinane siateczką drobnych, cienkich zmarszczek przypominały popękana skórkę dobrze wypieczonego chleba.

Zatrzymał się pięć kroków przed nią. Lamia nawet nie drgnęła i przyglądała mu się tylko błędnym wzrokiem.

Sprawiała wrażenie śmiertelnie znużonej.

- Zawiodłeś mnie, chłopcze - odezwała się cicho. - Wyznaczyłam ci zadanie, a ty się przed nim uchylłeś.

- Nie lubię być niewolnikiem - powiedział.

- Ty... nie jesteś... niewolnikiem. - W jej głosie pojawiła się nutka gorzkiej ironii. - Jesteś bardziej wolny niż ja, bardziej wolny niż Alyons. - Wskazała drżącą ręką w dół i szybko chwyciła się znowu poręczy, żeby się nie

przewrócić. Michael popatrzył w mrok panujący na dole. Alyons stał u stóp schodów ze spuszczoną głową, bawiąc się liną.

- Bez przerwy usiłują mnie zabić - poskarżył się Michael. - Kto? Żurawice? - Z głębi gardła Lamii dobył się martwy, suchy chichot kojarzący się z przesypywaniem żwiru. Skinęła nań, żeby podszedł bliżej, a kiedy się zawahał,

poruszyła się tak, jakby chciała wyciągnąć rękę i złapać go za gardło. - Zbliź się! warknęła.

Postąpił jeden krok w jej kierunku. Przysunęła się kilka centymetrów nie puszczając poręczy, która zatrzęszczała pod jej ciężarem. Ramiona pulsowały jej powolnymi, ospałymi falami pod materiałem sukni. - One uczą cię, jak

utrzymać się przy życiu.

- Sam mogę zatroszczyć się o swoje życie mieszkając ze wszystkimi innymi w Euterpe.

- Nie zostaniesz w mieście. Miasto jest pełne tchórzliwych głupców zbyt przerażonych, by coś przedsięwziąć.

- Ja się nie boję.

- A zatem jesteś za głupi, żeby ci się udało. - Zniżyła głos i puściwszy się poręczy zachwiała się tak, iż przez chwilę myślał, że upadnie. - Trzeba cię utemperować. - Michael cofnął się na wszelki wypadek o dwa kroki, bo w każdej chwili mogła stracić

równowagę; kojarzyła mu się z rozchwianym workiem jadowitych płynów, który zaraz przewróci się i pęknie. Ale

Lamia utrzymała się na nogach. - Chodź ze mną - powiedziała. - Musimy porozmawiać w cztery oczy.

Zatoczyła się i ciężko weszła przez drzwi prowadzące na korytarz pierwszego piętra. Ta część domu znajdowała się w nieco lepszym stanie niż parter; na ile mógł to stwierdzić w panującym tu półmroku, ściany nie były popękane, a podłogę pokrywały dywany, które tłumiły dudniące kroki Lamii. Wyciągnęła lewą rękę, popchnęła szerokie drzwi i skinęła na Michaela, żeby wszedł pierwszy. Przemknął się obok niej i znalazł w przestronnej, pustej sali. W

kinkietowych lichtarzach, rozmieszczonych co dwa metry wysoko na wszystkich czterech ścianach, płonęły świece.

W ich blasku lśnił wypolerowany do połysku dębowy parkiet. W drewnianej głębi człapała za nim do góry nogami

druga Lamia. Pierwsza zamknęła drzwi i oparła się o nie dysząc ciężko.

- Jesteś chora? - spytał Michael.

Potrząsnęła głową. Popatrzyła przez jego ramię na pustą salę i jej małe oczka otoczone łuszczącym się ciałem

posmutniały. - Cięży na tobie obowiązek, chłopcze - odezwała się chłod

no. - Czy dowiedziałeś się czegoś więcej o tym domu, o Królestwie?

- Niewiele - odparł Michael: - Nie tyle, ile bym chciał. - Wiesz, że mieszkał tu Izomag?

Skinął głową. - Nie wiem, kim on był... Czy to był David Clarkham?

- Jest, chłopcze. On jest. - Jej usta uformowały się w skierowaną ku górze krzywiznę, co miało sugerować uśmiech.

Skóra na policzkach po obu stronach ust popękała i rozstąpiła się. - Czy wiesz, że on pragnie nas ocalić?

Michael potrząsnął głową. - No to dlaczego go tu nie .ma? - Został stąd wypędzony przez wrogów. Mówiłam ci już.

To była bitwa, która zniszczyła całą tę równinę. Po niej zmusili wszystkich ludzi, którzy wpadli im w ręce, do osiedlenia się tutaj w osamotnieniu i bólu. Ja nigdy nie byłam w mieście; nie mogę opuszczać tego domu. Mam...

mam jednak niewielkie wpływy. Będąc przeklętą, mogę mimo wszystko trochę pomagać. Rozumiesz?

- Nie. - W jego ignorancji tkwiło jakieś sprawiające mu przyjemność wyzwanie. Rozgrzewało go.

Tocząc biodrami i wlokąc za sobą nogi doczłapała na środek sali. W nozdrza uderzył go jej odór, nieprzyjemny i martwo słodkawy, jakby gnijących kwiatów. - Nie wolno ci udaremnić tego planu - wysapała. -- Nieprzyjaźni nam Sidhowie tylko czekają na okazję, żeby... -- Potrząsnęła głową, aż zatrzeszczała jej skóra na szyi.

- To dlaczego zostawili ci w ogóle jakąś władzę? - spytał Michael.

- Bardziej już nie mogą mnie zranić. Istnieje traktat dotyczący tej ziemi, tej równiny. Znosimy pokornie naszą karę, ale jeśli podejmą przeciwko nam jakiegokolwiek dalsze kroki, traktat runie... i wyzwolona zostanie moc zagrzebana głęboko w tej ziemi, która pognębi jego gwałcicieli. To patowa sytuacja. Sidhom wydaje się, że nas pobili. Może mają rację... a może jej nie mają. Gdyby jednak traktat złamali ludzie... - Znowu zawiesiła głos.

- Dlaczego ja jestem tak ważny?

- Ważny? - Splunęła na podłogę, a potem podreptała do miejsca, gdzie na wypolerowanej powierzchni połyskiwała kropla jej śliny, i z nieskończonym wysiłkiem schyliła się, żeby wytrzeć ją rąbkiem sukni. Gdy się prostowała, znowu rozległ się trzask jej skóry. - Ty nie odgrywasz tu decydującej roli. Jesteś tylko posłańcem. Ale żeby był z ciebie jakiś pożytek, musisz przetrwać. Musisz dalej ćwiczyć pod okiem Żurawic.

- Czy mam jakiś wybór?

Lamia odwróciła się do niego plecami. - Mam pewien wpływ na Buńczuczніка; ale niewielki. Jeśli nie wrócisz do Żurawic, pojma cię. Co z tobą zrobi, nie wiem.

- A więc nie mam wyboru.

Obróciła się powoli w groteskowej parodii piruetu. Michael spojrzał na przeciwległą ścianę i zobaczył tam długi, poziomy pręt zamontowany pod świecami - poręcz do ćwiczeń dla tancerzy. Obyś nigdy się nie przekonał, jak

okrutne jest życie - powiedziała. - Ani ile można stracić... a mimo to pozostać wśród żywych. Wracaj do Żurawic.

Ćwicz dalej.

Michael stał przez chwilę milcząc, w blasku świec, a potem odwrócił się i wyszedł z sali. Zszedł na dół schodami i zatrzymał się przed Alyonsem, który na jego widok wypuścił linę z rąk.

- Jakap? - spytał Buńczucznik. Lina rozwinęła się jak atakujący wąż.

- Lamia rozkazuje mi wracać do Żurawic.

- Ona nie ma tu nic do rozkazywania - syknął Alyons. Ja jestem Buńczuczniakiem.

- Nie możesz mi nic zrobić - powiedział Michael.

Sidh pochylił się nad nim zniżając twarz do poziomu twarzy Michaela. - Masz rację, człowieku-dziecko. Nie mogę ci nic zrobić, jeśli uczynisz, co ona ci każe. Ale jeden fałszywy krok, choćby najmniejszy...

- Buńczuczniku! - Przy balustradzie, obrysowana nikłą poświatą sączącą się z sali tanecznej, stała Lamia. -

Przestrzegaj Paktu.

Michael uniknął wyciągającej się ku niemu ręki Sidha i wyszedł z domu. - Z powrotem pojedę - powiedział usiłując ukryć drżenie głosu spowodowane złością i strachem.

- Na którym koniu? - spytał Alyons zamykając za sobą z głośnym trzaskiem drzwi frontowe. - Gdzie twój koń?

- Na twoim - zaryzykował Michael.

Alyons parsknął śmiechem za jego plecami. - Na moim koniu. Taki piękny i złoty koń, taka pokusa, mój koń... nawet dla ludzi. No to wsiadaj, antros, pokaż nam, co potrafisz.

Michael dotknął delikatnie złotego konia Sidha, a potem dosiadł go, tak jak go uczono. Przyszło mu do głowy, czy by nie porwać konia, i zaraz odrzucił tę myśl jako bardzo nierozsądną. Ale nogi same mu wierzgnęły kopiąc zwierzę w boki.

Krajobraz, uwikłany w długi, szary zmierzch, rozmazał się nagle wokół niego. Ciało konia pod siodłem i między jego łydkami stało się podobne do płynnej stali i Michael poczuł niewiarygodny impuls energii, kiedy runęli przed siebie drogą. Jego własne ciało zdawało się topnieć. Śmiertelnie przerażony, uczeplił się konia rękami i nogami wrzeszcząc, żeby się zatrzymał. Jego krzyki tonęły w poświście wiatru.

Miał wrażenie, że jeźdźcy gnają tuż za nim, ale kiedy chciał się odwrócić i spojrzeć za siebie, krajobraz zaczął

wyczyniać tak zwariowane harce, że poczuł mdłości i zamknął oczy.

Nagle wszystko ustało. Michael nadal przywierał kurczowo do szyi konia, żeby się z niego nie

zsunąć. Stali na pagórku, a koń

oddychał lekko i spokojnie. Potrząsnął łbem i zadrżał. Michael ześlizgnął się z siodła na ziemię i z trudnością utrzymał się na nogach.

Wierzchowiec Alyonsa dołączył do jeźdźców otaczających pierścieniem chatę Żurawic. Sierść koni połyskiwała w

blasku pieca padającym z okna; w pyle pagórka skrzyły się roje maleńkich ogników odbijanych przez płaszczy

Buńczuczniaka zsiadającego z pożyczonego rumaka. Spieszony jeździec nadbiegł szybko i z gracją drogą, przeciął

strumień i zatrzymał się u stóp pagórka.

Spod horyzontu sunęły w górę proporce ciemności zwiastując nadejście nocy.

Z chaty wyszła Spart, spojrzała bez słowa na Michaela i zwróciła się do Alyonsa. Rozmawiali przez kilka minut po kaskaryjsku. Michael dygotał w rzece zimnego powietrza napływającej z południa. Jeźdźcy szeptali coś między

sobą.

Z okna zawołała go Nare. Podszedł chwiejnym krokiem do chaty. Prąd ciepłego powietrza wydobywający się przez

okno ożywiał bujne włosy Żurawicy, które podświetlane od tyłu tworzyły wokół jej twarzy złotą aureolę.

- Byłeś u Lamii? - spytała. Michael skinął głową. - Zmieniła się?

- Wydaje mi się, że jest chora. Skórę ma całą złuszczoną. Odetchnął. Wszystko wskazywało na to, że nie będzie łajany za ucieczkę. - Nie chciałem wracać - powiedział. Wyrzucił te słowa z siebie jednym tchem.

- Ma się rozumieć - powiedziała. Zamknęła okno. Alyons wślizgnął się na swego konia i jeźdźcy oddalili się wolno w mrok. Michael stał jeszcze przez chwilę przed chatą, a potem ruszył do swego domku. Biriego nie było nigdzie w pobliżu. Nie było z kim porozmawiać, ani na czym wyładować buntu.

Pomyślał o Eleuth i Helenie. Miał nadzieję, że Helena się nie zamartwia - a potem, że jednak się martwi.

Zastanawiała go obojętność, jaką odczuwał. Zdawało się, że opuściły go wszystkie emocje.

- Poczekamy, zobaczymy - powtarzał sobie w kółko, dopóki nie zmorzył go sen.

Tej nocy, zanim zasnęła, ciemność pod powiekami zapełniały jego myśli o domu, o posiadłości Izomaga, o łuszczącej się skórze wokół oczu Lamii. Obudził się przed świtem i słuchał buczonego nieba. Gdy buczenie ścisnęło, wyjrzał

przez drzwi i zobaczył na horyzoncie blade pasmo szarości. Podczas nocy napłynęły chmury i chociaż powietrze nie było aż tak chłodne, opadały z nich płatki śniegu. Płatki topniały natychmiast w zetknięciu z ziemią.

W jakąś godzinę później przyszła z Półmiasta Eleuth okutana w lekki szal i w butach do kolan na nogach. Niosła cztery wiadra mleka, tak samo jak wtedy, kiedy Michael ujrzął ją po raz pierwszy. Stał przed swoim domkiem, ale przechodząc obok, Eleuth ledwie zaszczyciła go spojrzeniem. Biri obserwował ich z drzwi swojej chatki.

Postawiwszy wiadra przed chatą Żurawic Eleuth zawróciła i ruszyła w drogę powrotną.

- Eleuth - zawołał Michael. Zatrzymała się, wciąż odwracając wzrok. - Nie mogłem wczoraj przyjść.

- Tak słyszałam.

- Chcę ci podziękować. - Te słowa zabrzmiały szczególnie gruboskórnie, jak gdyby potrzeba wypowiedzenia ich

zaprzeczała ich znaczeniu.

- Nic ci nie jest? - spytała. - Słyszałam, że Alyons zabrał cię z miasta ludzi.

- Wszystko w porządku. Postaram się wpaść do ciebie dzisiaj. Spojrzała wreszcie na niego i kiwnęła głową. Biri przyglądał się jej z pozornym brakiem zainteresowania. Ku zaskoczeniu Michaela, przez twarz Eleuth przemknął

błysk nienawiści. Przebiegła przez strumień.

Obok stała Spart z kubkiem mleka.

- Skąd się bierze to mleko? - spytał siorbiąc. - Wciąż te pytania.

- Wciąż.

- Ze stad koni hodowanych za Przekłętą Równiną. Jest dostarczane do Półmiasta i Euterpe dwa razy w miesiącu.

Dobrze się przechowuje i jest pożywne. - Westchnęła. - Ale ja pamiętam jeszcze wspaniałe mleko z Ziemi, tłuste i pełne smaku roślin, którymi żywią się krowy i kozy. - Cmoknęła z rozmarzeniem i odebrała od niego pusty kubek. -

Dotrzymujesz towarzystwa tej Mieszance?

Michael skinął głową. Nie czuł zakłopotania; nie widział powodu, dla którego miałby się troszczyć o pozory wobec Żurawic.

- Czy Sidhowie nigdy nie jedzą mięsa? - spytał. To pytanie czekało na swą kolej od kilku tygodni. Spart drgnęła i odwróciła się powoli, żeby spojrzeć na chatkę Biriego. Zasłona nad drzwiami była zasunięta, a w środku panowała cisza. - Nigdy - powiedziała. - Nawet sama ta myśl przy dosięmowie jest dla nich bolesna. Oni nigdy nie jedzą ciała.

Tylko ludzie żywią się mięsem. To oznaka ich upadku.

- I wszyscy Sidhowie są wegetarianami?

Spart spojrzała mu w oczy. - Zawsze i na zawsze. To dlatego nam dana jest magia, a wam nie.

Nigdy nie tykają mięsa? - nalegał Michael wyczuwając, że coś nie zostało dopowiedziane.

Spart cofnęła się potrząsając głową. - Ten temat nie nadaje się do dyskusji.

A jakie ofiary składają Adonnie? Pomyślał o Lirgu. Spart odwróciła się do niego i podeszła tak blisko, że jej nos niemal dotykał jego policzka. - Wyjątki potwierdzają regułę wycedziła. - Znasz to porzekadło?

- Chyba nie.

Znowu spojrzała na chatę Biriego i oddaliła się w kierunku swojej.

- Czy nasza rozmowa nigdy nie może się przeciągnąć poza cztery zdania? - zawołał za nią Michael. - Jezu. - Z przyzwyczajenia rozpoczął ćwiczenia rozgrzewające. Zmęczony nimi szybko wszedł do domku zastanawiając się,

kiedy znowu zacznie trenować. Położył się na matach z sitowia i oczyścił sobie kawałek podłogi. Wziął jedno z drewniaków, których przy budowie szałasów nie udało mu się nigdzie dopasować i narysował na ziemi linię. - Jestem poetą - mruknął pod nosem cicho, ale stanowczo. - Nie jestem żołnierzem. Nie jestem żadnym cholernym zabijaką.

Jestem poetą. - Zamknął oczy i usiłował wymyśleć temat. Mógł oczywiście pisać o swych przejściach. O Helenie, o Eleuth. O tym, co powiedział mu Biri.

Ale to wszystko było zbyt poplątane. Ich twarze pojawiały mu się przed oczyma i znikwały nie przynosząc ze sobą żadnych słów,

nawet sugestii. Zamiast tego zaczął wspominać Ziemię. Niemal poddał się przygnębieniu. Opanowała go tęsknota za ojcem i matką, za szkołą... brak mu było nawet kpin i swojej pozycji marzyciela w świecie fanfaronów i robotów Nowej Fali. Zbierało mu się na płacz. Nakłaniano go - nie, zmuszano - żeby myślał i zachowywał się jak dorosły, żeby podejmował decyzje, w których stawką było życie lub śmierć, żeby wybierał, a on wcale nie był taki pewien, że jest gotów do zerwania z dzieciństwem.

Jeśli chodzi o samodzielność myślenia, Michael był zawsze dojrzały. Mając pod dostatkiem czasu i spokoju, potrafił

rozwiązywać wiele problemów i dochodzić do wniosków, które innym wydawały się bardzo dojrzałe, jak na jego

wiek. Ale jakie wnioski mógł wyciągnąć z konfrontacji z miłością, gwałtem, seksem z krzyżowaniem się, gatunków?

Tylko takie, że w domu było lepiej. Bezpieczniej. Jak można żądać więcej ponad ciepło, jedzenie, pokój i spokój, warunki do nauki i pracy?

- Nie ma drugiego takiego miejsca, jak dom mruknął i pociągnął nosem. Złączył pięty. W porównaniu z Mrokiem

Sidhe Kraina Oz była Parkiem Narodowym. Poza tym, co znalazł w poezji, rzadko czytał fantastykę, ale Królestwo nie przypominało niczego, o czym słyszał. Było w nim coś nie z bajek, a z lekcji historii - coś z drugiej wojny światowej. Obozy internowanych Ziemie Paktu. Przeklęta Równina kojarząca się z jakimś dziwnym kraterem po

jeszcze dziwniejszej bombie, pełna zmutowanych potworów. Żurawice - instruktorki musztry.

Tak, o tym mógł coś napisać.

Patyk zaczął się poruszać. Przyłożył go do ziemi i poczuł to stare, znajome uczucie dostrajania się do Radia Śmierci, źródła poezji. W Orfeuszu, filmie, który oglądał po raz pierwszy w wieku trzynastu lat, Śmierć przyszła po

współczesnego poetę bitnikowego Orfeusza pod postacią kobiety w wielkiej, czarnej limuzynie. Radio limuzyny

rozbrzmiewało samymi prowokacyjnie nonsensowymi frazesami... które zafascynowały Orfeusza swym oderwaniem

od rzeczywistości i poetyczną istotą. Michaelowi, kiedy spływało nań natchnienie, wydawało się czasem, że jest dostrojony do Radia Śmierci.

To ona

z butelką w dłoni Podchodzi Do mikrofonu Zatacza się Żużel głosu

Suknia mglistego tonu Ona tego nie przeżyje Ten śpiew ją zabije

My wszyscy zaś zasłuchani Jej krew i oddech wódczany Spijemy dzikimi uszami.

Drewienko zatrzymało się. Stuknął nim jeszcze raz stawiając ostatnią kropkę, małą dziurkę w ziemi kończącą wiersz. Rok temu, po zobaczeniu Ricky Lee Jonesa na koncercie, napisał podobny

poemat. Ale tamten wiersz był

kwiecisty i melancholijno-słodki, jak zły Wordsworth, ta natomiast wersja była surowa, odfiltrowana ze zbędnych słów niemal zbyt skromna, jak na jego gust. Żaden majstersztyk, ale intrygująca. Zmarszczył czoło.

Czasami odnosił wrażenie, że nie jest prawdziwym autorem, że Radio Śmierci rozdziela wiersze nie według

osobowości, ale numeru w kolejce. Lecz teraz to uczucie było szczególnie silne. On tego nie napisał. Ktoś, gdzieś usłyszał jego dosię-mowę i przetworzył ją za niego w te strofy.

Ręka sama mu się wyciągnęła i skreśliła pod wierszem słowa „Po prostu spytaj”. O co spytać? ,

Gnomizmy. Zagadkowości. Imię to tylko głupców strój, Słowa są śmiercią myśli.

Nie z materii królestwo swe krój Lecz z tego, co w pieśni się iści.

Wypuścił drewnienko z ręki. Litery ściągnęły wszystkie iskierki z ziemi do swoich maleńkich dolin i skarp. Jarzyły się teraz w mroku panującym w szalasie.. To nie on je napisał; bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że rozmawiał z kimś.

* Przełożył Łukasz Nicpan.

- Człowieku-dziecko!

Zostawił świecące w pyle słowa i wycofał się do wyjścia z domku. Odciągnął zasłonę z trzcin. Przed jego chatą stała Spart. - Tak?

- Nie będziesz dzisiaj trenował - powiedziała.

Stał w zimnym prądzie powietrza cyrkulującym wokół niego. No to co?

- Nie jesteś więźniem. Tylko nie zwracaj już na siebie uwagi Lamii i nie rozpowiadaj naokoło, że planujesz ucieczkę.

Buńczucznik ma dosyć spraw na głowie. - Jej twarz zmarszczyła się na chwilę w uśmiechu. - Nie musisz tkwić na pagórku, kiedy nie trenujesz. Możesz chodzić, gdzie chcesz, nie oglądając się na nas. - Urwała i rozejrzała się znacząco w koło. - Tylko gdzie ty będziesz chodził? Nie ma dokąd. Nie ma dokąd.

- Mógłbym przejść przez Przekłętą Równinę, jak wtedy, kiedy szliśmy po Biriego - zaproponował. Roześmiała się.

- Mam nadzieję, że nie jesteś taki głupi, żeby tego próbować. Jeszcze za wcześnie.

Nie można jej było odmówić racji. - Co będziecie robiły dzisiaj z Birim?

Spart potrzęsnęła głową i przyłożyła palec do ust. - To nie ludzki interes. - Oddaliła się, a on puścił zasłonę i wrócił

do słów nabazgranych w piasku. Już nie świeciły. Podniósł stopę, żeby je zmasać, ale rozmyślił się i wyciągnął

książkę ze schowka pod krokwiami. Otworzyła mu się w rękach na długim poemacie Keatsa „Lamia”, który czytał

już kilka lat temu i zapomniał. Nie wyjaśniał jego sytuacji, ani nie rzucał wiele światła na Lamię; wzbudził jednak jego ciekawość, dlaczego akurat tak ją nazywano. Nie było w niej nic z węża.

Może tylko to, że zrzuciła skórę. Zamknął książkę i wsunął ją do swojej świeżo przyszytej kieszeni. Wyszedł na zewnątrz. Pagórek wyglądał na opustoszały. Przez moment miał straszną ochotę odszukać Żurawice i Biriego i

podpatrzeć, co robią - ale było to zadanie równie niewykonalne; jak sama ucieczka przez Przekłętą Równinę.

Ruszył w kierunku Półmiasta.

Gdy zbliżał się do dziedzińca targowego, usłyszał jakieś zamieszanie. W bramie targowiska stało trzech wysokich Mieszkańców

wśród nich strażnik, który jako pierwszy spotkał Savarina i Michaela na peryferiach Półmiasta - patrzący na mały tłumek, jaki zebrał się przed wejściem. Dyskusja prowadzona była po kaskaryjsku i z podniesionych głosów można się było zorientować, że jest zażarta.

Eleuth stała z boku ze spuszczoną głową. Michael podszedł do niej - Co tu się dzieje?

- Nie zarządzam już targowiskiem - odpowiedziała. Próbowała się uśmiechnąć, ale usta odmówiły jej posłuszeństwa.

Nie prowadziłam go dobrze od czasu porwania Lirga. Tak twierdzi Rada Mieszkańców.

Michael spojrział na strażników i na tłum i poczuł, że na twarz występuje mu rumieniec. - Co będziesz teraz robić?

- Przydzielą mi nowy dom i znajdą innego zarządcę. Przeprowadzę się.

- Nie możesz walczyć o swoje? .

Potrzęsnęła głową zaszokowana tym pomysłem. - Nie! Decyzje rady są ostateczne.

- Kto zasiada w radzie?

- Haldan. Ale on otrzymuje polecenia od Alyonsa, który sprawuje nadzór nad wszystkim, co dzieje

się na Ziemiach Paktu, a zwłaszcza w Półmieście.

- Czy mogę ci jakoś pomóc?

Dotknęła z wdzięcznością jego policzka. - Nie. Przydzielą mi nową pracę, lepiej dostosowaną do moich

umiejętności. Poklepała go po policzku, a nim targnęła fala poczucia winy.

Nauka szybciej mi teraz przychodzi - powiedziała nieobecny tonem. - Wkrótce będę potrafiła robić to, co umie każdy młody Sidh.

- Mówisz o magii?

- Tak. Michaelu, moglibyśmy przejść się dzisiaj... - Nie mógł znieść tego wyrazu cierpienia i rozpacz, jaki malował

się na jej twarzy. - Nad rzekę. Znosi się na ocieplenie... może da się popływać.

Michael skrzywił się i potrząsnął głową. - Nie wiem, czy jeszcze kiedyś zdecyduję się na pływanie.

- Och, Rzekole rzadko sprawiają problemy podczas dnia. Poza tym potrafię dostrzec ich na długo przed tym, zanim nas osiągną.

Niezbyt go to uspokoiło. Ale czemu nie miałby spędzić z nią dnia? Perspektywa była pociągająca. Ale dzielący ich dystans powiększył się teraz, kiedy to ona kogoś potrzebowała, kiedy szukała w nim oparcia. - Nie jestem teraz w stanie komukolwiek pomagać - powiedział. Spojrzała w ziemię.

W końcu jednak to poczucie winy - i zwykłe pożądanie, które jeszcze pogarszało jego samopoczucie - kazały mu się zgodzić. A co z targowiskiem? - spytał, gdy odchodzili.

- Zajmą się nim. Chodź.

Słońce znowu wyrzało przepędzając większość chmur. Popołudnie było przyjemnie ciepłe. Rzeka płynęła szeroko i powoli, również ciepła co zdziwiłoby Michaela, gdyby znajdowali się na Ziemi. Woda była na tyle przejrzysta, że zauważył długą srebrną rybę sunącą w głębinach, tuż nad widmowymi trzciami. Eleuth leżała naga na brzegu, a

Michael wyciągnął się na boku, plecami do niej, podpierając głowę na ręce zgiętej w łokciu. - Jak spisuje się ten Sidh nowicjusz? - spytała Eleuth.

Nie potrafił odczytać jej tonu, oderwał więc wzrok od rzeki i spojrzał na nią. - Chyba dobrze. Nie wiem, co to znaczy być tu kapłanem - kapłanem Adonny.

- To znaczy iść na kompromisy, powiedział kiedyś mój ojciec. Swego czasu próbował czcić Adonnę jak Sidh, ale nic to nie dało. Sidhowie to jeden wielki kompromis. Oni oddają cześć Adonnie, Adonna pozwala im tu żyć.

- Jak można wymuszać wiarę?

- Niektórzy Sidhowie są Adonnie bardzo oddani. Czują się z nim spokrewnieni.

- W jaki sposób spokrewnieni?

- Lirg powiedział kiedyś, że Adonna jest jak Sidhowie. „Jesteśmy siebie godni, my i nasz Bóg; i my, i on jesteśmy niedokończeni i zagubieni”. A jaki jest Bóg na Ziemi?

- Jestem ateistą - odparł Michael. - Nie wierzę, że istnieje Bóg na Ziemi.

- A wierzysz w istnienie Adonny?

To go zaskoczyło. Nie kwestionował właściwie jego istnienia. Pomimo że ponury, był to jednak świat fantazji, a więc mogli istnieć w nim bogowie. Ziemia był realna, praktyczna; nie było na niej miejsca na bogów. - Nigdy go nie spotkałem bąknął.

- Tego - poprawiła go Eleuth. - Adonna nie ma żadnej płci. I ciesz się, że tego nie spotkałeś. Lirg mówi... mówił... -

Umilkła nagle. - Czy nie denerwuje cię, że tak dużo mówię o Lirgu? - spytała po kilku sekundach.

- Nie. Dlaczego miałoby mnie denerwować?

- Podobno ludzie wolą, żeby rozmowa koncentrowała się na nich, nie na innych. Tak słyszałam.

- Nie jestem egocentrykiem - stwierdził stanowczo Michael. Spojrzał na jej długie nogi, tak powabne, białe i

jedwabiste, i wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej uda. Przysunęła się do niego, ale ten ruch był nazbyt automatyczny, za dużo było w nim uległości. Przez moment mignął mu obraz Spart; taka stanie się kiedyś Eleuth.

- Mam zamęt w głowie - powiedział cofając rękę i przekręcając się na plecy. Eleuth oparła delikatnie swój podbródek na jego piersi, patrząc na niego wielkimi oczyma, złotymi w promieniach' stojącego nisko nad horyzontem słońca.

- Dlaczego?

- Nie wiem, co robić.

- A więc jesteś zapewne wolny.

- Nie sędzę. Nie tyle wolny, co głupi. Nie wiem, co jest prawdziwe.

- Ja jestem prawdziwa, kiedy kocham - powiedziała Eleuth. Muszę być prawdziwa. Nie ma innego sposobu.

- Ale dlaczego mnie kochasz?

- Czy ja powiedziałam, że cię; Kocham? - spytała. I znowu go to zaskoczyło. Przez minutę zastanawiał się, co

odpowiedzieć. No więc kochasz mnie, czy nie? -- co było na pewno dostatecznie mało dowcipne.

- Tak - powiedziała Eleuth. - Kocham cię. - Usiadła. Środkiem jej gładkich jak u foki pleców biegł łańcuch krągłych guzów kręgosłupa. Słońce, pomarańczowe w mgiełce unoszącej się nad Przeklętą Równiną, niemal opierało się o

horyzont. Skóra Eleuth przypominała stopione srebro zmieszane ze złotem, była ciepła i żółtobiała. - Czy ludzie na Ziemi wybierają sobie tych, których chcą pokochać?

- Czasami - odparł Michael, ale w myślach sam sobie zaprzeczył. On nigdy nie wybierał. Jego młodzieńcze miłości były zawsze niespodziewane i płomienne.

- Mężczyźni Sidhów pełnej krwi nigdy nie kochają - powiedziała Eleuth. - Przywiązują się, ale to nie to samo, co miłość. Mężczyzna Sidh nigdy nie daje się ponieść uczuciom; tak samo większość Mieszkańców. Związki między

mężczyznami a Mieszankami są zwykle krótkie. Lirg był inny, namiętny, oddany mojej matce. - Z jej głosu przebijał

żal. - Kobietom Sidhów nieobce są namiętności, pożądanie, często jeszcze gorętsze uczucia. Rzadko są zaspokajane.

- Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. I głównie dlatego istnieją Mieszkańcy. Kobiety Sidhów i mężczyźni spośród ludzi - prawie nigdy na odwrót. Dlaczego masz zamęt w głowie?

- Powiedziałem ci już - mruknął.

- Niezupełnie. Nie kochasz mnie? To cię trapi?

Nic nie odpowiedział, ale po chwili skinął głową. - Lubię cię. Jestem ci wdzięczny...

Eleuth uśmiechnęła się. - Czy to, że mnie nie kochasz, ma jakiegokolwiek znaczenie?

- To jakoś nie tak - kochać: się z kimś i nie dawać niczego w zamian. Nic do tej osoby nie czując.

- Przecież mężczyźni Sidhów nigdy nie kochają swoich geen. A mimo to jakoś żyjemy. Można i tak.

Jej rezygnacja wcale mu nie pomogła. Zacisnęła jednak trochę silniej węzeł perwersji i jedynym sposobem

przerwania tej dyskusji, jaki mu przyszedł do głowy, było pocałowanie jej. Wkrótce kochali się już, a jego konfuzja potęgowała wszystko, wszystko pogarszała... i poprawiała.

Zmierzchało już, kiedy wracali do miasta. Michael włókł za sobą po ziemi koszulę, a Eleuth tuliła się do jego ramienia i uśmiechała, jakby przypomniawszy jej się jakiś żart.

Rozdział dwudziesty

Dziedziniec targowy zastali pusty. Eleuth weszła do domu i zaczęła składać swoje rzeczy na kupkę w kącie. Kiedy zwinęła i związała sznurkiem brązowy kobierzec, przerwała na chwilę i uśmiechnęła się, a potem rozwiązała

sznurek. - Musisz już wracać? - spytała.

- Nie - odparł Michael.

- No to może pokażę ci, czego się nauczyłam. - Rozpostarła brązowy kobierzec na podłodze i wygładziła wszystkie zmarszczki przesuwając się po nim na czworakach. - Pozwolą mi tu zostać jeszcze przez dzisiejszą noc, ale jutro muszę się wyprowadzić. Lirg byłby zadowolony, gdyby zobaczył postępy, jakie poczyniłam; jeśli poćwiczę tu

jeszcze jedną noc, będzie to jakby był tu obecny. Uklękła na kobiercu i skinęła na Michaela, żeby usiadł przy jednym z rogów. - Lirg mówi, że Mieszkańcom magia przychodzi trudniej dlatego, iż są bardziej podobni do ludzi. Mają w sobie więcej niż jedną osobę... ale nie mają duszy.

Michael otworzył już usta, żeby wyrazić swe wątpliwości co do tego stwierdzenia, ale pomyślał sobie, że nie do niego należy tu osąd.

- Nie bardzo wiem, co przez to rozumie... rozumiał. Ale czuję w tym prawdę. Zawsze kiedy zajmuję się magią i

jestem jedną osobą, wszystko mi się udaje. Czasami zaś moje myśli po prostu się rozbiegają i w mojej głowie

przemawia wielu ludzi... i wtedy magia zanika. Sidh ma w głowie tylko jeden głos, jedną dyscyplinę. Dzięki temu Sidhowi łatwiej się skoncentrować.

- Może o to właśnie mu chodziło - o zdolność do koncentracji.

- Nie, to coś głębszego. Lirg mówił... - Westchnęła i usiadła na podkurczonych nogach. - Sidh byłby bardzo zły, gdyby mówiło się ciągle o jego rodzicach. Mieszkańcy lubią uważać się za

Sidhów... ale ja jestem w przeważającej części człowiekiem. W każdym razie, kiedy sprowadzisz to do jednej osoby pragnącej jednego, magia przychodzi sama. Potem najtrudniejszą rzeczą jest zapanowanie nad nią. Z niewielką

magią łatwo sobie poradzić, Przez ułamek sekundy obejmujesz głową Królestwo i ona tam jest; co chcesz, żeby się stało, staje się. Królestwo płynie dla ciebie. To prawie automatyczne, jak chodzenie. Ale wielka magia... to bardzo skomplikowane. Mam dalej tłumaczyć?

Michael skinął głową. W ustach mu trochę zaschło. Eleuth leżała na kobiercu wpatrując się weń swoimi wielkimi oczyma; proste włosy spływały jej na ramiona i wiły po jednej piersi.

Sidhowa część Mieszkańca wie instynktownie, że każdy świat jest po prostu pieśnią dodawań i odbierań. Żeby

uprawiać wielką magię, trzeba dostroić się całkowicie do świata - dodając, kiedy ten świat dodaje, odbierając, kiedy odbiera. Możliwe staje się wtedy odwrócenie tej pieśni i dostrojenie świata do siebie, przynajmniej na kilka chwil.

Świat jest tylko jedną długą, trudną pieśnią. Różnica pomiędzy Królestwem a twoim domem rodzinnym, to po prostu różnica między jedną pieśnią a drugą. Zamknęła oczy i zanuciła. - Toh kelih ondulya, med nad ondulya trasn spaan nat kod.

- Co to znaczy?

- To znaczy mniej więcej „Wszystko to fale, a nic nie faluje, gdziekolwiek spojrzeć”.

Michael gwizdnął cicho i potrząsnął głową. I ty to wszystko czujesz?

- Kiedy mi się uda - odparła. - Teraz usiądź dalej, na samym brzeżku kobierca. Przez jakiś czas nie będę mogła z tobą rozmawiać, bo nie będę słyszała, jak dosię-mówisz. Rozumiesz? - Tak. - Nie był pewien, czy rozumie.

Stała pośrodku koca i wyciągnęła przed siebie ręce, a potem, jak gdyby gimnastykując się w zwolnionym tempie, rozsunęła je na boki, tak że wskazywały na przeciwległe sobie rogi kobierca. Michael spojrzał na narożnik po swojej lewej ręce i zobaczył wir ciemności, maleńki jak paznokieć kciuka, zdający się wwiercać przez dywan w podłogę.

Kobierzec naprężył się pod jego kolanami jak żywy.

Opuściła ręce wzdłuż tułowia i zamknęła oczy zadzierając w górę brodę. Palce jej dłoni wyprostowały się.

Na mgnienie oka, z każdego rogu kobierca wzniosły się rozjarzone kolumny, które przeniknęły przez strop, jakby go tam wcale nie było, i zniknęły w jeszcze większym mroku, wysoko w górze. Wyciągnęła ręce przed siebie zaciskając dłonie w pięści i obróciła się na pięcie. Oczy jej zabłyśły w momencie, gdy mrugnął, a kiedy powieki miał

zamknięte, w izbie zapanowała taka jasność, że prześwitywała nawet przez skórę.

Uklękła przed nim, wyciągnęła zaciśniętą pięść i rozprostowała palce. Pośrodku jej dłoni leżał mały żuczek podobny do skarabeusza, ale w kolorze soczystej, metalicznej zieleni, z aksamitnie zielonymi łuskami osłaniającymi

skrzydełka.

- Ale ładny - wyrwało się Michaelowi. Nie bardzo wiedział, czy ma się zachwycić, czy nie.

- To była chłodna noc z niebem zasnutym chmurami i pełnym światła - odezwała się. - Była tam jakaś droga, twarda i czarna, z białymi liniami i złotymi kropkami, a po obu jej stronach trawa uwięziona w kamieniu i drzewa w tej trawie. - Wskazała na żuka. - To było... tam. Zabrałam więc to ze sobą.

Michael zamrugał powiekami. - Ja...

- Przyniosłam to dla ciebie z twojego domu - ciągnęła Eleuth. - Mieszkasz w bardzo dziwnym miejscu.

Żuczek podpełzł centymetr po jej dłoni, zatrzymał się i przewrócił na grzbiet. Przebierał jeszcze przez chwilę łapkami, a potem znieruchomiał. Eleuth przyjrzała mu się uważnie i szturchnęła palcem. Na jej palcu połyskiwały kropelki wody, jak gdyby...

Jak gdyby szukała czegoś po omacku w mokrej trawie. - Nie żyje? - spytał Michael.

W oczach Eleuth zakręciły się łzy. - Chyba tak. Tyle jeszcze muszę się nauczyć.

Kiedy wrócił na swój pagórek, było już ciemno i bardzo zimno. Okna chaty Żurawic płonęły jasnym blaskiem.

Między chatami, stojąc na jednej nodze, czekała na niego Spart. Kiwnęła na niego palcem, opuściła nogę i ruszyła wielkimi krokami w stronę jego domku. Poszedł za nią. Dała mu znak, żeby odciągnął zasłonę,

i uczynił to. Pstryknęła palcami i litery wiersza napisanego na ziemi rozjarzyły się. - Skąd to się tu wzięło?

- Jestem poetą - odparł zły za jej wścibstwo. - Piszę wiersze. Nie ma tutaj papieru, a więc piszę na ziemi.

- Tak, ale skąd się to wzięło? Skąd mam wiedzieć? To poezja.

- Czy wiesz, jak stary jest ten wiersz? - spytała pokazując na kilka ostatnich linijek. - W swojej kaskaryjskiej wersji?

Michael pokręcił głową. - Przed chwilą go napisałem.

- Niebezpiecznie pisać takie rzeczy. Twoje konszachty z Mieszanką czynią cię bardzo interesującym uczniem. -

Odeszła jak dwunożna pajęczycza na swych długich kończynach.

- To mój wiersz - zawołał za nią. Usłyszał za plecami jakieś szmery i obejrzawszy się ujrzał Nare zaglądającą przez drzwi w ciemności zalegające wewnątrz domku. Poruszała bezgłośnie ustami wpatrując się w świecące gryzmoły. - To Kaeli Tonna odezwała się wreszcie głośno i uśmiechnęła

do Michaela. Wyprostowała się i odeszła w ślad za Spart.

Chociaż niebo było bezchmurne, w powietrzu wisiał zapach kurzu i elektryczności. Michael leżał drżąc na macie z sitowia. Wspomnił przez chwilę Eleuth i to, co zrobiła, a potem zaczął myśleć o Helenie. Ciekaw był, co teraz porabia Helena i kiedy znowu ją zobaczy... zastanawiał się też, czy Helena kiedykolwiek będzie tak namiętna jak Eleuth.

(To co zrobiła Eleuth...)

To było chyba więcej, niżby śmiał się spodziewać.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Michael widział kilka razy, jak Żurawice trenują Biriego, rozmawiali jednak po kaskaryjsku, więc nie mógł dobrze zrozumieć, co się dzieje. Wznowiły też ćwiczenia z Michaelem i po upływie kilku dni, z nadejściem większych

chłodów, Nare poświęciła wreszcie cały dzień na nauczenie go hyloki czyli czerpania-ciepła-ze-środku. Zaczynał

dopiero pojmwować, o co w tym chodzi, kiedy zostawiła go i przez cały tydzień wszystkie trzy koncentrowały się od świtu do zmierzchu na Birim.

Pewnego szczególnie chłodnego poranka Michael wyszedł ze swego szałas i pośrodku pagórka ujrzał Biriego z

Żurawicami. Otaczały go kołem trzymając się za ręce, oczy miały zamknięte, a twarze zwrócone w górę, ku

zimnemu, niebieskiemu niebu. Wokół nich leniwymi, powolnymi płatkami padał śnieg. Michael usiadł po turecku na ziemi przed drzwiami swojego szałas.

Grupka ta po prostu stała przez kilka godzin nic nie robiąc. Michael pisał wiersze na twardniejącej ziemi, zmazywał

je i co chwila zerkał spod oka w tamtą stronę, żeby sprawdzić, czy coś się nie zmieniło. Usiłował przywołać z powrotem wrażenie wewnętrznego, oderwanego głosu, ale mu się to nie udawało.

W końcu stojący między Żurawicami Biri osunął się na ziemię, a one cofając się rozerwały krąg i przykucnęły nad nim niczym drapieżne ptaszyska, z szeroko otwartymi oczyma i mocno zaciśniętymi ustami. Potem odeszły do

swojej chaty zostawiając Biriego tam, gdzie leżał. Michael zbliżył się do niego, pochylił i dotknął dłonią jego czoła.

Nic ci nie jest?

- Odejdź - jęknął Biri mocno zaciskając powieki.

- Chciałem tylko zapytać - powiedział Michael. Od strony chaty nadbiegała Spart wymachując rękami.

- Odejdź! - zaskrzeczała. - Zostaw go! Wynoś się stąd!

- Zaczy się, na zawsze? - spytał urażony uchylając się przed odpędzającymi go rękami.

- Wróc o zmierzchu. - Spojrzała na Biriego, który nawet nie drgnął.

Nic mu nie jest? - Jest. Idź już.

Michael przeszedł przez strumień oglądając się przez ramię na zastygły w bezruchu żywy obraz, jaki tworzyli Spart i leżący na ziemi Sidh. Ruszył w kierunku Euterpe marszcząc brwi i kopiąc po drodze małe kamyki.

Śnieg padał coraz gęściej tworząc na rosnących przy drodze krzakach i kępkach trawy poznaczone plamkami czapy.

Idąc ćwiczył hylokę i czuł stopniowe rozprzestrzenianie się po całym ciele ciepła, którego źródłem była jama

żołądkowa.

Ile to już dni minęło, od kiedy trafił do Królestwa? To pytanie zachwiało jego koncentrację i od razu zrobiło mu się zimno. Stracił rachubę dni; może to już dwa miesiące, a może dwa i pół albo i trzy. Wszystko zlało się w trening, ucieczkę, rzucanie cieni, z przebłyskami przerażenia, uczucia Eleuth i myśli o Helenie.

Nachmurzył się i skupił znowu na hyloce. Od razu poczuł nową falę ciepła unoszącą się do piersi i spływającą w dół

ramionami. Uśmiechnął się i na próbę zakręcił rękoma młynka. Uczucie zimna gdzieś się rozwiało. Ujrawszy

zarysy Euterpe przyspieszył kroku. Twarz płonęła mu rumieńcem, a palce świerzbiały.

Przypomniał mu się Biri leżący na ziemi i wyraźnie cierpiący, i bardzo był rad, że nie jest Sidhem. Czuł się odurzony ulgą, że jest Michaelem Perrinem. Był nawet rad z tego, że znajduje się w Królestwie, bo gdyby stał na śniegu gdzie indziej, nie byłoby mu tak ciepło; tak ciepło i przyjemnie. Przytupnął nogami i nie zauważył nikłej smużki dymu.

Gdy zbliżał się do przedmieść Euterpe, tańczył już. Minał w płasach pierwsze domy uśmiechając się do siebie i nucąc pod nosem. Nie zastanawiając się zbyt nad tym, czemu jest tak szczęśliwy, skręcił w uliczkę, od której odchodziła alejka Heleny.

Cienka warstewka lodu pokrywała kocie łby w ścieku pośrodku uliczki. Jego roztańczone nogi nie tyle kruszyły lód, co go roztopiały. Pozostawiały za sobą parujące ślady: Zerwał się do biegu i pokrzykując ochoczo skręcił w pełnym pędzie za róg,

między dwie ślepe kamienne ściany. Ogarnięty ekstazą znalazł chyba znowu swój głos wewnętrzny i miał właśnie

zamiar wyśpiewać jakiś poetycki tekst, kiedy znalazł się przed schodami. Zatrzymał się trochę speszony. W oczach Heleny pragnął uchodzić za poważnego człowieka.

Jego stopy syczały w zetknięciu ze stopniami schodów. Stał przed drzwiami Heleny i zastukał we framugę. Coś się paliło. Rozejrzał się zaintrygowany w nadziei, że to tylko czyjś przypalony posiłek, a nie dom. Swąd był coraz silniejszy. Podniósł rękę, żeby podrapać się po nosie.

Dymił rękaw jego koszuli. Gapił się nań przez chwilę oniemiały z wrażenia. Ciepło promieniowało z jego skóry. Po krawędziach materiału pełzały płomyki, małe i przytłumione z początku, a potem zajął się cały rękaw. Złapał za koszulę, zerwał ją szybko z siebie i rzucił na ziemię. Uniosły się z niej kłęby siwego dymu. Padł na kolana, wyrwał z kieszeni książkę i wypuścił ją od razu z rąk, bo palce przepalały okładkę.

Teraz w płomieniach stanęły spodnie. Zrzucił je z siebie wierzgając nogami i strzepując z nóg zwęglone i dymiące strzępy materiału.

Oddychał głęboko i szybko. W ścianach korytarzyka odbijał się pomarańczowy blask, ale ubranie samo zgasło.

Świerzbiało go całe ciało i ogarniała euforia pomieszana z zaskoczeniem i strachem. Znowu chciało mu się tańczyć, ale opamiętał się i postanowił dobrze się zastanowić.

Nad czym? Nad czymś, co przeoczył... co wymknęło mu się spod kontroli. A to była... tak?

Hyloka. Zapomniał przerwać czerpanie ciepła ze swego wnętrza. Potrząsnął głową w komicznym rozdrażnieniu i

skoncentrował się na ośrodku ciepła wytłumiając je stopniowo. Ręce nadal miał czerwonawe, stłumił więc impuls jeszcze bardziej. Skóra powróciła do normalnej barwy.

Wraz z ciepłem znikła gdzieś euforia. Michael uświadomił sobie naraz, że stoi nagi pośrodku korytarzyka otoczony poczerniałymi resztkami ubrania...

Przed drzwiami Heleny.

To było gorsze od wszelkiego zakłopotania, jakie przeżywał dotąd w nocnych koszmarach. Spalił sobie ubranie na grzbiecie.

Schylił się, żeby podnieść z podłogi książkę, i bez zastanowienia pchnął wiklinowe drzwi. Otworzyły się - w Euterpe nie było zamków - i wpadł do środka.

Minęło kilka sekund, zanim ochłonął na tyle, by zorientować się, że nie ma jej w domu. Wstrząsany znowu zimnymi dreszczami rozejrzał się za jakimś okryciem. W szafce - rzecz jasna wiklinowej - wyszperał długą spódnicę i

obwiązał się nią w pasie. Znalazł też jakiś krótki żakiet, który ledwie pomieścił jego ramiona, i miał się właśnie wyslizgnąć z izdebki, kiedy wiklinowe drzwi znowu stanęły otworem.

Weszła Helena z kilkoma kawałkami materiału przewieszonymi przez ręką i z przyborami do szycia w dłoni.

- Cześć bąknął Michael, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Odwróciła się powoli i spojrzała na niego szeroko

otwartymi oczyma.

- Co ci się, u diabła, stało? - zapytała po chwili. Dygotał upokorzony, ale zdobył się na pełen udręki uśmiech. -

Spaliłem swoje ubranie - wyjaśnił.

- Jezu Chryste - Helena przytrzymała nogą drzwi, żeby się nie zamknęły, jak gdyby pozostawiając sobie drogę do szybkiego odwrotu. Spojrzała na poczerńiałe szmaty leżące na podłodze w korytarzu. - Dlaczego?

- Chciałem się ogrzać ---- wybąkał Michael. - Zimno mi było. Ja, widzisz, czerpałem ciepło z wnętrza... Spart nazywa to hyloką... - Coraz mniej cię rozumiem - powiedziała Helena uspo

kajając się. Powiesiła materiał na oparciu krzesła, a na siedzeniu położyła przybory do szycia. - Najlepiej zacznij od początku.

Michael wytłumaczył jej wszystko najlepiej, jak potrafił, a kiedy skończył, Helena z powątpiewaniem pokiwała

głową. - Ubrałeś się więc w moje rzeczy. Widzisz, to moja jedyna spódnica.

- Nie zmieściłbym się w twoje spodnie - powiedział Michael. - Faktycznie. Co zamierzasz? Będiesz teraz chodził w mojej sukience? Ile masz ubrań?

- Tylko to - powiedział Michael wskazując na korytarz. Byłem...

- Dlaczego przyszedłeś akurat tutaj, żeby spalić swoje ubranie?

Poczucie upokorzenia stało się dlań torturą. Zająknął się i poczuł, że do oczu napływają mu łzy. I wtedy zorientował

się, że Helenę śmieszy cała ta sytuacja i że dworuje sobie z niego. Szedłem z wizytą. Padał śnieg.

Helena wybuchnęła nagle śmiechem. Zgięła się wpół i opadła na krzesło strącając przybory do szycia na podłogę. -

Przepra-a-a-szam - zanosila się. - Naprawdę przepra-a-szam!

Michael zdawał sobie sprawę z zabawnego widoku, jaki przedstawia, ale nie potrafił dzielić z nią wesołości. Idę sobie warknął.

- Ale nie w moim ubraniu. Co my zrobimy? Nie mam tutaj żadnej męskiej odzieży.

- To może od kogoś pożycz - podpowiedział jej z nadzieją. Pohamowała się i podniosła z podłogi przybory do

szycia. Prawdę mówiąc - powiedziała obchodząc go wkoło nie wyglądasz tak źle. Może dam ci ją do ponoszenia.

- Heleno, proszę cię.

- No już dobrze. Dostyc tych kpin.

- Wiem, że to bardzo zabawne - powiedział Michael. - Ja też bym się śmiał, ale to ja stoję tu jak osioł i do tego w twoim mieszkaniu. I to ja mam na sobie twoje rzeczy...

- Dlaczego wróciłeś? Tak dawno cię nie widziałam.

- Żeby porozmawiać. Nie miałem dotąd wolnej chwili. Dopiero kilka dni temu dały mi trochę wytchnienia. - Miał

nadzieję, że nie słyszała o Eleuth; nie wiedział, jak szybko plotki rozchodzą się po Euterpe. Bez wątpienia dowie się tego wkrótce. - Nie powiesz nikomu, prawda?

- Nie. Michael, jesteś najniezwyklejszą osobą, jaką w życiu spotkałam, i za każdym razem, kiedy się spotykamy, stajesz się jeszcze dziwniejszy.

- To wina tego miejsca, wszystkiego, co się tu wyprawia. - Och. A więc jesteś normalny.

- Taak... Nie, to znaczy nie w ten sposób, co pozostali... - Wystarczy, wystarczy - przerwała mu Helena. - Pójdę poszukać Savarina i powiem mu, że potrzebne ci jakieś ubranie. On może wiedzieć, gdzie je zdobyć... widzisz,

krucho tutaj z płótnem. Nie wolno ci go palić, kiedy tylko przyjdzie ci na to ochota. - Zachichotała. - Przynoszę do domu nawet łachmany,

które podarły się w pralni - powiedziała wskazując na materiał. - Łatanie ich należy do moich obowiązków.

- Nie mów nic Savarinowi. Nie przyprowadzaj go tutaj, błagam cię.

- Ale będziemy potrzebowali jakiejś wymówki. Jakiegoś powodu, dla którego potrzebne ci nowe ubranie.

- Powiedz mu, że stare zniszczyło się podczas treningu. - Jasne. I że przeparadowałeś goły przez całe miasto aż do mojego mieszkania.

- No to wymyśl coś! Proszę cię.

- Będę ostrożna. Powiem mu, że to tajemnica. Wiesz, co sobie wtedy pomyśli? - Złożyła buzię w ciup. - No dobrze, niech sobie myśli, co chce. - Podeszła do drzwi. - Niedługo wrócę. Nie wychodź nigdzie.

- Nie musisz mi tego mówić - mruknął.

Obrzuciła go jeszcze jednym spojrzeniem, potrząsnęła głową i zamknęła za sobą drzwi. Michael spojrzał w dół na bluzkę, która ledwie schodziła mu się na piersiach, i na sukienkę i wydał bezsilny jęk. Usiadł na krześle i przejechał

dłońmi po twarzy, potem podniósł głowę i rozejrzał się po małym mieszkanku.

Na wiklinowym stoliku stojącym niedaleko krzesła leżał zaokrąglony kawałek czegoś, co wyglądało na drewno

wyrzucone przez fale na brzeg. Zastanowiło go, skąd to pochodzi; leżało na eksponowanym miejscu, niczym jakiś skarb. Ludzie bardzo tu sobie cenili drewno. Mieszkańcom nie wolno było nim handlować, a wątpił, aby kupcy

Sidhowie dostarczali je ludziom pod jakąkolwiek postacią. Przyszło mu do głowy, czy by nie sprezentować go

trochę Helenie, może deskę ze swojego domku; musiał jakoś zmyć hańbę, którą się okrył.

Koło okna, spoglądając w dół na alejkę, stał wysoki, kolumnowy wazon z ceramiki z trzema liściastymi patykami, które wydały z siebie jeden mały, żółty pączek. Podszedł i powąchał go, ale nie poczuł żadnego zapachu.

Reszta izby urządzona była dosyć skromnie, ale w porównaniu z jego domkiem mieszkanie Heleny sprawiało

wrażenie szczytu cywilizacji.

Wróciła dopiero po godzinie z płócienną torbą, którą mu wręczyła. - Przejdź do drugiego pokoju i załóż to - powie działa. - Savarin poprosił Rzyk o trochę starych rzeczy. Miała je po pewnym gościu, który przepadł w zeszłym roku. Powinny pasować.

Michael zrobił, co mu kazano, korzystając jednocześnie z okazji, aby obejrzeć sobie jej sypialnię. Łóżko wykonane było z a z czegoż by innego? - z wikliny, a na nim leżał materac, wypchany w

zastępstwie słomy jakimiś roślinnymi włóknami, zasłany dwoma prostymi, cienkimi kocami. Miejsca było akurat tyle, aby zmieściło się tu pojedyncze

łóżko. Ściany ozdobione były ręcznie malowanymi kwiatami, trochę kiczowatymi, ale stwarzającymi jakiś ciepły

nastrój.

Gdy wrócił zza zasłony, Helena obejrzała go krytycznym okiem. - Może być - zawyrokowała przykładając palec do policzka. - Widać, że to nie szyte na miarę, ale ujdzie.

- Nie ma kieszeni na moją książkę - zauważył. Pokazał jej tomik, na którym zaczynały już być widoczne ślady złego traktowania.

- Uszyję ci kieszeń z jakichś skrawków - uspokoiła go Helena. - Oddaj mi koszulę. - Zdjął koszulę i podał jej.

Nie będziesz więc potrzebował żadnej ciepłej odzieży, hmmm? - zapytała Helena zabierając się do przyszywania

kieszeni wyciętej z kawałka starej szmaty.

Nie będę już stosował hyloki, dopóki się nie nauczę, jak ją kontrolować odparł. Westchnął. Tyle jest naprawdę dziw-nych rzeczy, przed którymi trzeba się strzec.

Spojrzała znad robótki na jego nagą pierś. Poprawił się na krześle udając, że interesuje go widok za oknem. Nie był

wychudzony, ale skórę miał białą i zdawał sobie z tego sprawę. Trudno byłoby go uznać za chłopca na schwał.

- Mężniejiesz - stwierdziła. - To pewnie dzięki treningowi. Szkoda, że nie widać tego pod tym workowatym

ubranem. Znowu zaczął sypać śnieg. - Czy nastają tu prawdziwe chłody?

- Wygląda, że zaczyna się zima, ale nie zawsze można na to liczyć. Kiedy zima zadomowi się na dobre, robi się bardzo zimno. Zamykają wtedy pralnię, życie zamiera. Zima to dobra pora na ukrywanie różnych rzeczy.

Buńczucznik rzadko wtedy tu wpada.

Nie chce widzieć, jak cierpimy. Ma obowiązek odpowiednio się o nas troszczyć, a czego nie widzi, tego nie musi korygować.

Skończyła przyszywanie i odłożyła igłę. - No, masz kieszeń. Oddała mu koszulę i obróciła się razem z krzesłem, żeby popatrzeć, jak ją zakłada. - Istny oberwaniec. Myślałeś trochę o tym, co ci

powiedziałam?

Pozapinał guziki i wsunął książkę na miejsce. - A co mi powiedziałaś?

- No, o naszej grupie.

- Aha. Myślałem o tym. Zastanawiam się, po co wam ten fortepian.

Wstała, wyjrzała przez okno na alejkę i przysunęła się bliżej. To nie jest taki zwyczajny fortepian - powiedziała. - Po pierwsze jest większy. Fortepian, to jednak coś wspaniałego.

W jej oczach pojawiło się rozmarzenie. - Zupełnie wyszłam z wprawy. Moje palce są w ruinie. - Poruszyła nimi i ułożyła tak, jakby za chwilę miała uderzyć w klawisze. - Zesztywniały. Zrogowaciały. Ale jak mówiłam, planujemy coś innego. Savarin uważa, że możemy ci zaufać. Wszystko wskazuje na to, że Buńczucznik śmiertelnie cię

nienawidzi. Istnieje oczywiście możliwość, że to tylko podstęp... Zdarzali się już ludzie, którzy przeszli na stronę Sidhów. - Popatrzyła na niego przenikliwie. - Ty więcej kumaszą się z Mieszkańcami niż z Sidhami, a Sidhowie i

Mieszkańcy nie żyją ze sobą na zbyt zażyłej stopie. Ale mamy jedną wątpliwość.

- Tak? - Ogarnęło go jakieś nieokreślone poczucie winy i zacisnął zęby.

- Dlaczego Żurawice tak się tobą zajmują?

- Wydaje mi się, że to przez Lamię - powiedział. - Ale posłuchaj, jeśli mi nie ufacie, dajmy temu spokój. Nic mi nie mów. - Nie wiesz, czemu ma służyć twój trening?

- Zastanawialiśmy się już nad tym z Savarinem. Jestem prawdopodobnie najmniej zorientowaną osobą w Królestwie.

Helena roześmiała się. Nie złość się... widzisz, musimy być

ostrożni. Sam rozumiesz, jak stoją sprawy. Co wiesz o Pakcie? - Wiem, że Izomag, czyli David Clarkham, czy kim tam on jest, prowadził wojnę i wywalczył pewne ustępstwa.

- On przegrał.

- Tak, ale wymógł na Sidhach zgodę na ustanowienie Ziem Paktu. Przypuszczam, że ugoda ta przewidywała również sprawowanie nad nami nadzoru przez Alyonsa.

- Savarin twierdzi, że Alyons został tu zesłany w ramach kary za złamanie prawa Sidhów. Ale z tego co wiem,

wynika, że jeśli stawimy jakikolwiek opór albo zapagniemy coś zmienić, Pakt zostanie zerwany. Wtedy Alyons

będzie mógł z nami zrobić, co zechce.

- Nie myślicie o powstaniu? - Przypomniał mu się Biri krążący wokół głazu i ścierający go na proch, a Biri był tylko młodym, niedoświadczonym Sidhem. Do czego zdolny będzie Buńczucznik, kiedy przestaną obowiązywać wszelkie

zakazy?

- Myślimy - przyznała Helena z rozszerzonymi z podniecenia oczyma. - Czy to nie najwyższy czas?

- Czy przywódcą jest Savarin?

- Ależ nie. To ktoś, kogo jeszcze nie znasz. - Ale nie możesz mi zdradzić jego imienia.

Zawahała się, a potem potrząsnęła głową. - Nie mogę, dopóki nie będziemy całkowicie pewni, że można ci ufać.

- A ty mi ufasz?

- Chyba tak - powiedziała Helena po chwili milczenia. Tak, ufam ci. - Uśmiechnęła się szeroko i zaczęła kołysać tam i z powrotem na krześle. - Tajny agent nie paliłby swojego ubrania na moim progu.

A więc co zamierzacie?

- Jesteśmy na etapie planowania. Klamka jeszcze nie zapadła. Ale jeśli to naprawdę zima, może wreszcie się z tym uporamy. Snują plany, od kiedy tu jestem, a zaczynali na długo przedtem. Komitet centralny jest bardzo ostrożny.

- Dziękuję za ubranie - powiedział przypominając sobie, jak ostatnio ubierała go Eleuth.

- Nie ma za co. Postaraj się go nie zniszczyć.

Tego nie gwarantuję - mruknął skruszony. - Czasami nie pomagają najlepsze chęci.

- Nie musisz mi tego mówić - przyznała. Zagryzła dolną wargę i nie odrywała od niego wzroku.

- Co się stało?

- Jesteś bardzo przystojny

- Gadanie.

- Naprawdę tak uważam. Jesteś atrakcyjny.

- A ja myślę, że ty jesteś piękna. - Słowa te wyrwały mu się, nim zdążył je przemyśleć. Wyraz twarzy Heleny nie zmieniał się przez chwilę, ale potem, powoli, pojawił się na niej ciepły uśmiech.

Dotknęła dłońmi jego kolana. -

Naprawdę tak uważam dodał.

- Kochany jesteś. Kiedy masz wrócić? - Jej głos przybrał oficjalny ton. Znowu podeszła do okna.

- O zmroku - powiedział.

- Dzisiaj chyba zapadnie wcześniej. Chcesz wiedzieć, co nas utwierdza w przekonaniu, że możemy z powodzeniem

stawić opór?

- Chyba tak - odparł.

A więc zdecyduj się: tak czy nie - powiedziała surowo. Jeśli chcesz, musiałabym cię zaprowadzić w pewne niezbyt przyjemne miejsce.

- Skąd mogę...? Nie, w porządku. Chcę wiedzieć. - Nie masz kłopotów z żołądkiem?

- Raczej nie.

Popatrzyła na niego spod ściągniętych brwi, a potem wyciągnęła rękę. Ujął ją i wstał z krzesła.

- Musisz przerobić kilka lekcji - powiedziała. Serce zabiło mu szybciej na tę obietnicę, ale Helena zarzuciła na siebie szal i otworzyła mu drzwi mieszkania. - Mam przyjaciół w Kojcu. Wpuszczą nas do środka. Chciałabym, żebyś

kogoś poznał. To Dziecko.

Rozdział dwudziesty drugi

Kojec znajdował się w samym środku Euterpe. Był to przysadzisty, płaski budynek z cegły, otoczony ze wszystkich stron ulicami nienormalnie szerokimi jak na to miasto ludzi. Helena kroczyła przodem ze skupionym wyrazem

twarzy. - Nikt nie lubi tu przychodzić - zwróciła 'się do Michaela. - Rzadko tu bywam. Najczęstszym gościem jest tu Savarin.

Wejście do Kojca było wąskie, szerokie na niecały metr i zabarykadowane masywnymi, plecionymi drzwiami z

wikliny, grubymi na trzydzieści centymetrów. Helena pociągnęła za gałkę i wewnątrz rozległ się stłumiony brzęk szklanych dzwoneczków. Obok drzwi, w ceglanej ścianie otworzyła się klapka judasza i spojrzało na nich żółte, zamglone oko.

Szerebith, to ja - powiedziała Helena. Wiklinowe drzwi odemknęły się z głuchym szurnięciem.

- Tak, panno Heleno. Czym mogę pani służyć? - W uchylonych do połowy drzwiach stała z założonymi rękami

przysadzista kobieta o żółtej twarzy ubrana w długą szarą suknię. Patrzyła na Michaela wzrokiem, który nie wyrażał

ani zaufania, ani sympatii.

- To przyjaciel wyjaśniła Helena. - Chciałabym mu pokazać Kojec i zaprowadzić do Izmaila. Michael, to jest

Szerebith.

Michael wyciągnął rękę. - Miło mi panią poznać - powiedział. Kobieta spojrzała na jego dłoń, skrzywiła się z

niedowierzaniem i otworzyła drzwi szerzej. - Wejdźcie - mruknęła tonem rezygnacji. - Dzisiaj jest spokojny. Reszta bierze z niego przykład. Dzięki komu tam za tę odrobinę łaski.

Szerebith poprowadziła ich ciemnym korytarzem, którego ściany, podłoga i sufit zbudowane były z ciasno

dopasowanych do siebie cegieł koloru wysuszonego nawozu. Wąskie szczeliny

rozmieszczone w ścianie co sześć kroków wpuszczały niewiele światła; jedynym dodatkowym źródłem oświetlenia

były woskowe świece pozatykane między szczelinami. Pomimo odoru stęchlizny, podłogi i ściany wyglądały na

czyste i dobrze utrzymane. Szerebith szła przodem, za nią Helena, a na końcu Michael odczuwający nieprzepartą pokusę obejrzenia się przez ramię.

W budynku ponowała cisza. Na końcu korytarza znajdowały się drugie grube, wiklinowe drzwi obwieszane od

zewnątrznej strony szklanymi dzwoneczkami. - Dzwonki ostrzegawcze wyjaśniła Helena stukając w jeden palcem

zanim Szerebith otworzyła drzwi, od czego rozdzwoniły się wszystkie.

Za drzwiami znajdował się otwarty kwadratowy dziedziniec trzy na trzy metry, też wymurowany z cegły i

pozbawiony jakichkolwiek ornamentów. W każdej z czterech ścian widniały kolejne drzwi. Szerebith podeszła do

tych na wprost i odryglowała je. Przez szparę w uchylających się drzwiach buchnął ciężki, wilgotny smród łączący w sobie najgorsze odory zatęchłych piwnic i szlamu kanalizacyjnego, jaki ojciec Michaela stosował do nawożenia

przydomowego ogródka.

W ciężkim powietrzu za drzwiami świece płonęły przytłumionym blaskiem. Nie było tam szczelin okiennych, ale

przez zakratowane wywietrzniki w suficie prześwitywały blade, poszatkiwane plamki dziennego światła.

Przeciwnie ściany pomieszczenia tonęły w mroku. Sufit podierały kwadratowe, ceglane filary z kapiącymi

świecami zatkniętymi ze wszystkich czterech stron. Michael dostrzegł doły wkopane w podłogę, każdy o boku trzy metry i wyłożony ceglami oraz kamiennymi płytami. Naliczył ich siedem. - Oddział trzeci powiedziała Szerebith. -

Nazywam go Oddziałem Prowodyra albo Wyjnią ze względu na Izmaila. On jest największy. To podżegacz. -

Wskazała na ławy stojące przy każdym z dołów. - Kiedy budowano oddziały, ludzie przewidywali, że może rodzice będą od czasu do czasu odwiedzać swoje dzieci. Nikt nie przyszedł, nie licząc kilku pierwszych miesięcy. Jestem tu tylko ja i opiekun. Ja jestem nadzorczynią. - Uśmiechnęła się odsłaniając rzadkie, żółte zęby. - Nie licząc opiekuna, tylko ja się nimi zajmuję, ja o nie dbam.

- A Savarin? - podsunęła ostrożnie Helena.

- On? On nie przychodzi tu bezinteresownie. Nieraz ich zdenerwuje. Nie kochają Savarina. Czy słucha ich, kiedy noc zapadnie i słyszą zew z Równiny, słyszą rzeczy, których ani ja, ani wy nie możecie usłyszeć? Nie. Pokazała palcem na swoje małe pomarszczone uszy ukryte pod prostymi pasmami siwiejących włosów. - To nawoływania od ich

prawdziwych krewniaków. Ciało nic nie znaczą. Liczy się tylko to, co w butelce, a nie jej kształt czy etykiety.

Poprowadziła ich do środkowego dołu. Michael zerkał do innych mijanych po drodze dołów; szerokość przejść

między nimi nie przekraczała metra i trudno było zachować zimną krew, kiedy po obu stronach czuło się nieznane.

W każdym dole siedziała jedna blada, skurczona postać - jedne wzrostu dziecka, inne większe. Nie potrafił odróżnić szczegółów.

Szerebith pochyliła się nad środkowym dołem. - Izmailu zawołała cicho. Izmailu, jesteś tam? W

mroku poruszyła się chuda, szara postać.

- Tak, matko. Głos był stłumiony, niski i kulturalny, przesycony bezdennym smutkiem. Michael poczuł przypływ jakiejś emocji, której nie potrafił na razie zidentyfikować.

Nie jestem jego prawdziwą matką - zwierzyła się im Szerebith z uśmiechem na zwiotczonych wargach. - Ale tylko mnie zna.

- Izmailu powiedziała Helena klękając na podłodze. Dół był równie głęboki, co szeroki. Jego ściany pokrywały

gładkie, twarde płyty. Postać była naga, a dół pusty, nie licząc trzech misek na jedzenie, na wodę i na odpadki -

ustawionych równo pod jedną ze ścian.

- Tak.

Oczy Michaela przystosowały się do ciemności na tyle, że mógł odróżnić szczegóły twarzy Izmaila. Była okrągła i nieproporcjonalnie mała w stosunku do długości ciała. Dłonie były wielkie i wisiały u rąk, które, wąskie przy barkach, rozszerzały się w groteskowe przedramiona i nadgarstki.

- Mam do ciebie kilka pytań - powiedziała Helena. - I tak nie mam nic innego do roboty.

- Przebywa tu od urodzenia? - zapytał szeptem Michael.

- Prawie - odpowiedziała Helena. - Był jednym z pierwszych, a jakich wiemy. Jest tutaj od Wojny.

- Czas ucieka - ponaglił Helenę Izmail. - Pytaj. - Usiadł opierając się plecami o wyłożoną płytami ścianę i

wyciągając przed siebie blade nogi.

- Kim jesteś?

- Wyrzutem sumienia. Owocem żądz. Czymś tak diabelskim, że trzeba to uwięzić na całe jego nieskończone życie.

Chodzącym nieudacznikiem. Ofiarą.

- Nie słuchaj tych bredni - zwróciła się Helena do Michaela. Zerknęła na niego, żeby ocenić, jakie wrażenie wywarły na nim słowa Izmaila, a potem znowu skierowała całą uwagę na dół. Kim jesteś?

- Nieudacznikiem! - Izmail podniósł głos. - Zrodzonym z mężczyzny i kobiety.

- Zabiłeś swoich rodziców.

- Nie pamiętam - odparł Izmail z niepewnym uśmiechem. - Usiłowałaś zabić dalej.
- Tak cię poinformowano.
- Kim jesteś? - nie ustępowała Helena. - Jak się nazywasz? - Nazywaj mnie...
- Przestań - wtrąciła cicho Szerebith. - Ma na imię Paynim. Jest jednym z tworów samego Adonny.
- Paynim - powtórzyła za nią postać - Izmail. Wszystko jedno.
- Opanował ciało tego dziecka, kiedy przyszło na świat. Nie ma tu dusz. - Szerebith obesła dół w koło. - Tylko ja się o niego troszczę.
- Adonna się troszczy! - zawył Izmail. - Adonna mnie spłodził...
- Pogrzebał cię - przerwała mu Szerebith spacerując za plecami Heleny i Michaela, przez co Michael stojący tuż nad dołem czuł się bardzo nieprzyjemnie.
- Adonna mnie uwolnił.
- Powstałeś z Przeklętej Równiny. Ciągle wzywasz swych przyjaciół, którzy tam pozostali.
- Nie mam przyjaciół - zaprzeczył smutnym głosem Izmail. - A więc czym jesteś? - spytała Helena.
- Jestem poza czasem, ugrzęzłem w Królestwie, nadał mi postać Adonna. Jestem Izmail.
- Do czego jesteś zdolny?

Dziecko potrząsnęło głową. Michael ledwo odróżniał nikły uśmiezek na jego ustach. Powietrze zgęstniało. Michael zapragnął znaleźć się już na zewnątrz.

- Patrzę na Królestwo. Przewiduję. - Co przewidujesz?

- Bunt. - Kiedy?

Wkrótce, wkrótce. - Kto zwycięży?

Michael spojrzał na Helenę, potem na Szerebith. - Pakt zostanie zerwany. Alyons straci wszystko.

Na twarzy Heleny malował się wyraz tryumfu. - Już po raz drugi używa tych słów. To samo powiedział Savarinowi.

Zwycięzimy!

Michael zmarszczył czoło. Twarz Dziecka była skupiona; trzymało ręce na podolku. Szerebith przyklękła obok dołu i podniosła na nich wzrok. - Nikt prócz mnie o nich nie dba - powiedziała. - Tylko ja.

- I opiekun - przypomniała jej Helena. - I on.

Za ich plecami pojawił się niski, chudy mężczyzna w brązowych spodniach i długiej do kolan, workowatej koszuli, wąskimi przejściami popychający przed sobą wiklinowy wózek. Po bokach wózka wisiały papierowe i wiklinowe

miski, z których korzystali mieszkańcy dołów. Przez otwór w wierzchniej części wózka wystawały trzy przykryte pojemniki. Helena i Michael ustąpili mu z drogi, a on minął ich w wąskim przejściu z klekotem misek objających się o boki wózka. Michael spojrzął w twarz mężczyzny. Sunąc pod

smugami światła płynącymi z otworów wentylacyjnych, zdawał się koncentrować na jakiejś wewnętrznej melodii; oczy miał zapadnięte, bezużyteczne i

niebieskie, jak u nowo narodzonego kotka. - To opiekun - szepnęła Michaelowi do ucha Helena.

- Tylko on jeden - przytaknęła Szerebith nie odrywając wzroku od Izmaila siedzącego w swoim dole.

Gdy wyszli z Kojca, Michaelowi zrobiło się zimno. Szerebith bez słowa zamknęła za nimi drzwi i zarygłowała je.

Michael przekonał się po raz pierwszy, jak to jest, kiedy chce się umrzeć skończyć raz na zawsze z cierpieniem.

Było to uczucie, które przejął od Izmaila.

Helena odetchnęła głęboko i odgarnęła włosy z twarzy. Rozumiesz teraz, dlaczego rzadko tu przychodzimy.

- Trzymają ich w dołach... bo rzucają się na ludzi?

- To potwory - powiedziała Helena przechodząc przez ulicę. - Nie słyszałeś, co mówił?

- Tak, ale on tam siedzi... jak długo? Dziesiątki lat? To by z każdego uczyniło potwora.

- Słyszałam tylko, co ludzie opowiadają - powiedziała Helena wyprzedzając go wciąż o krok. - Oni zabili swoich rodziców albo pomordowali innych ludzi. Albo zbiegli na Przeklętą Równinę i napadali stamtąd na Euterpe, dopóki ich nie pojmano albo nie zabito. A kiedy ich zabijano, wyłaziło z nich plugastwo. Zadygotała, jej ramiona zaczęły podrygiwać spazmatycznie. - To nie Ziemia, Michaelu.

- Wiem to - rzucił Michael podnosząc głos. - Ale Jezu... jak oni są traktowani. Jeśli są tak źli, to czemu od razu ich nie zabić? - Nie możemy ich zabijać - odparła spokojnie. - Alyons

może. My nie. Od dawna nie zabił żadnego z nich. Od dawna żaden nie uciekł. Oni są ludźmi... swojego rodzaju. Nie chcę już o tym rozmawiać.

- Zgoda. Pomówmy więc o jego przepowiedni. Skąd wiesz, że mówi prawdę?

- Spytaj Szerebith. Kiedy odrzucić cały ten bełkot, Izmail nigdy nie kłamie.

- Ale może źle go rozumiecie. Czytałem o prorocत्वach Sybilli...

Helena odwróciła się na pięcie, wyciągając szyję i zaciskając pięści. - Posłuchaj! I tak niewiele mamy atutów, nic nie dodaje nam otuchy. Czerpiemy słowa zachęty, skąd się da.

- Od Izmaila? - spytał Michael rumieniąc się. - Od kogoś, kogo więzicie jako potwora?

- Specjalnego potwora - odparła uspokajając się nieco. Nie próbuj pouczać nas co do warunków panujących w Królestwie ani co do naszego postępowania, Michaelu. Jesteśmy tu o wiele dłużej niż ty.

Zabrzmiało to jak zakończenie dyskusji. Przez resztę drogi do mieszkania Heleny milczeli. Weszła po schodach

przed nim. Chcesz wejść? - spytała.

Zastanowił się. - Tak. Chcę się dowiedzieć, co mam zrobić, żeby wam pomóc. Nie lubię Alyonsa tak samo jak wy.

Może nawet bardziej.

- No to wejdź - przystała Helena.

Rozdział dwudziesty trzeci

Helena myła się w drugiej izdebce, za zaciągniętymi do połowy zasłonami. Michael słuchał plusku wody, stukotu przyborów toaletowych i nucenia Heleny.

Był zaniepokojony. Coś złego wisiało w powietrzu, ale nie umiał tego nazwać. Perwersyjny nastrój wywołany

słowami Izmaila ustępował; to coś, co było nie tak, albo sprawiało wrażenie, że jest nie tak, było o wiele bardziej namacalne.

Helena. Kiedy nie było jej przy nim, miał wątpliwości, czy kiedykolwiek stanie się dla niego czymś więcej niż w tej chwili niż przyjaciółką, ale odległą. Kiedy ją widział, wątpliwości te, blokowane jego zaślepieniem, kurczyły się do maleńkich punkcików. Była bystra, ładna, ludzka. Nigdy nie będzie wyglądała tak jak Żurawice. Pochodziła z Ziemi.

Z domu.

A jednak nie czuł się swobodnie w jej towarzystwie. Bardziej rozluźniony był w obecności Eleuth niż Heleny.

Helena rozchyliła zasłony i uśmiechnęła się do niego. Dziękuję, że zaczekałeś. Po wizycie w Kojcu zawsze muszę się opłukać. Podała mu wilgotną ściereczkę. Nie czuł się wcale brudniejszy niż zazwyczaj, ale żeby jej dogodzić, otarł sobie twarz i ręce.

- No - powiedziała rzucając ścierekę w kąt i siadając na sąsiednim krześle. Obróciła się z nim tak, że stanęło prostopadle do jego krzesła. - Wiesz, jak bardzo cię lubię - powiedziała.

Przez chwilę nie odpowiadał. Nie mógł umknąć z oczyma przed jej badawczym spojrzeniem; zmusił się wreszcie do odwrócenia wzroku i przełknięcia śliny. - Wiem, że mnie lubisz - wymamrotał koncentrując się na zasłoniętym

oknie. - Nie wiem tylko dlaczego.

Nie bądź taki skromny - powiedziała. - Bardzo mi na tobie zależy. Jesteś miłym chłopakiem. Bierzesz się co prawda za sprawy, których nie rozumiesz, ale ja też. Wszyscy tutaj tak robimy. Starasz się jak możesz.

Wzruszył ramionami ściągając grube, rude brwi. Uśmiechnęła się. - Jesteś inteligentny i atrakcyjny; gdybyśmy byli gdziekolwiek indziej, z miejsca bym się w tobie zakochała. Chciałabym, żebyś pisał dla mnie swoje wiersze. Ja grałabym ci na fortepianie. - Uśmiechnęła się szerzej. - Tak czy inaczej, wkrótce usłyszysz może, jak gram na fortepianie. Gdybyśmy byli w Brooklynie, zabrałabym cię... - urwała i twarz jej stężała. - Ale nie jesteśmy. Musimy o tym pamiętać. Nie mogę cię kochać, nie tak, jak powinnam. Widziałeś dzisiaj dlaczego.

- Ja?

Kojec. Żeby kochać cię naprawdę, musiałabym oddać ci się bez reszty... a nie mogę. - Spojrzała mu głęboko w oczy i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego policzka. - Nie rozumiesz? Odebrali nam tutaj miłość. Możemy popełnić błąd, przeoczenie. Nie mogę znieść myśli, że mogłabym mieć Dziecko.

Odebrało mu mowę.

- Biedny Michael - powtórzyła.

- Nie rozumiem... - zaczął. Ale zrozumiał. Mówiła całkiem jasno. A poza tym... istniało jeszcze to poczucie

zagrożenia, to wciąż dające o sobie znać źródło niepokoju.

Przyjaźń jest tutaj bardzo ważna - podjęła. - Trzyma nas przy życiu. Musimy wszyscy trzymać się razem, bo inaczej, nas zniszczą. Musimy wszyscy stawić opór w każdy dostępny nam sposób. Potrzebuję ciebie. Jesteś nam potrzebny.

Jako przyjaciel.

Nadal nie mógł znaleźć żadnej odpowiedzi! Chciał jej pokazać, że wie, o co chodzi, ale nie potrafił.

- Nie możemy zostać kochankami, Michaelu. Rozumiesz? Mam nadzieję, że rozumiesz. Chcę, żebyś zrozumiał to

teraz, zanim wszystko... - Machnęła ręką i przekrzywiła głowę. Zanim wszystko stanie na głowie.

- Rozumiem - mruknął. Za późno. Czuł to teraz jeszcze silniej. Świadomość, że nie może jej zdobyć, sprawiała, że pokochał ją jeszcze bardziej. Zdawał sobie sprawę, że to perwersja, ale nie było to uczucie nowe: odmowa tylko obnażyła je całkowicie. Musiał być blisko niej obojętnie na jakich zasadach. - Przyjaźń jest ważna i dla mnie -

powiedział uśmiechając się blado. Potrzebuję tutaj przyjaciół.

- I dobrze. - Położyła mu dłoń na kolanie i spojrzała szczerze w oczy. - Potrzebujemy twojej pomocy.

Jakiej? - Jeśli naprawdę chcesz być z nami, powstać przeciw Alyonsowi i jeźdźcom i uwolnić nas wszystkich spod jarzma Sidhów... musisz zbierać dla nas informacje. Donosić nam o wszystkim, co usłyszysz.

Roześmiał się. - Żurawice nic mi nie mówią - powiedział. Czuję się z nimi ciemny jak tabaka w rogu. - Zaskoczyła go nuta goryczy we własnym głosie.

- Tak, znam to - powiedziała. - Wszyscy tak się czujemy. Ale Savarin mówi że tkwisz w samym środku zdarzeń.

Niecałe dziesięć metrów od twojego szałasus mieszkasz Sidh, a trenują cię Żurawice. Powiedziałam Savarinowi, że

założę się, iż uczysz się już rzeczy, o których żaden inny człowiek nie ma pojęcia. Jak to palenie ubrania na sobie. -

Uśmiechnęła się. - Wciąż nie wiemy, dlaczego przechodzisz ten trening. Prawdopodobnie tylko Lamia mogłaby nam to powiedzieć. Ale muszą istnieć rzeczy, których możesz się dowiedzieć; wiedza, jaką możesz nam przekazać.

Mógłbyś się, na przykład, dowiedzieć o krainę leżącą za Przeklętą Równiną...

- Byłem tam - wpadł jej w słowo Michael.

- A widzisz! - Jej podniecenie wzrosło w dwójnasób. Cudownie! Mógłbyś opowiedzieć Savarinowi, jak tam jest, co tam zastaniemy, kiedy stąd uciekniemy!

- Nie jestem pewien, czy warto nawet myśleć o przejściu przez Przeklętą Równinę - ostudził jej zapał Michael. -

Sami Sidhowie muszą posypywać się sani i używać koni do ochrony. To niebezpieczne.

- Wiemy o tym proszku. Możesz zdobyć dla nas trochę? - Nie sądzę - odparł. - Nie wiem, gdzie go

szukać, nawet jeśli Żurawice mają jakiś zapas...

- Ale gdybyś tak miał okazję zakraść się do ich chaty, poszukać go... Muszą trochę mieć.

- Nie chciałbym nawet próbować - powiedział. - Dlaczego nie? One są przecież w połowie ludźmi. Zachichotał. - To zapomniana połowa. Szkoda, że nie widzia

łaś ich okien w nocy. Zupełnie jakby miały w środku wielki piec

hutniczy. Pomarańczowe, migotliwe światło. Pomyślałabyś, że się pali.

- Nie możesz nawet zajrzeć? - Rozdrażnienie w jej głosie nie było szczególnie ostre, ale cień wątpliwości w tej otoczce sprawiał przykrość.

- Dam wam znać - powiedział po chwili milczenia. - Będzie nam niedługo potrzebny.

- Kiedy?

- Najdalej za dwie niedziele. To znaczy dwa tygodnie. Przepraszam... zaczynam mówić, jak mieszkający tu starzy ludzie. Spojrzała na niego pytająco unosząc brwi. Właściwie błagała. - Postaram się - obiecał.

- Wspaniale!

- Chyba już pójdę. - Chciał zostać sam, przemyśleć sobie wszystko stłumić szum zmieszania i zawodu.

Nie narób jakichś głupstw - powiedziała. - Nie uciekaj znowu. Po prostu pracuj dla nas... pomagaj nam. Słyszałeś, co powiedział Izmail.

- Słyszałem. - Wstali i Helena pocałowała go w policzek ściskając mocno za ramiona.

Przez następny tydzień niewiele pozostawało mu czasu na myślenie. Żurawice, bez słowa wyjaśnienia i

nieodwołalnie, włączyły go nagle do treningu Biriego.

Dzień po rozmowie z Heleną zabrały Michaela i Biriego na łyse wzgórze znajdujące się około trzech kilometrów na południe. Biri pod nadzorem Coom, a Michael - Spart, ćwiczyli coraz to wyższe poziomy hyloki.

Żurawice znajdowały się w stanowczo ponurym nastroju. Spart wywarkiwała swoje instrukcje głosem coraz bardziej ochryplym, w miarę upływu godzin. Pod koniec tego samego dnia Nare uczyła Michaela blokowania aury swej

pamięci - co między innymi miało przeszkadzać przeciwnikowi z Sidhów lub Mieszkańców w dosięgnięciu. -

Zasłaniaj wiedzę - kładła mu do głowy. Zasłaniaj wiedzę, nie swoje bezpośrednie myśli, ale wiedzę o matce, o ojcu, o swych przodkach... wspomnienia o swoim rodzaju.

Niech żadne oko nie zobaczy, żaden umysł nie wykorzysta tego, czego nie życzysz sobie mu udostępnić.

Podczas tego tygodnia śnieg padał częściej. Zima nadciągała zrywami, jakby samo powietrze było niezdecydowane.

Ale więcej dni było chłodnych niż ciepłych. Dzięki hyloce Michaelowi było ciepło w najzimniejsze z nich.

Spart uczyła Michaela, jak rzucać cień podczas snu i jak spać niczym umarły z ledwo bijącym sercem, a

jednocześnie zachowywać trzeźwość umysłu. Kontrolował oddech, dopóki nie odnosiło się wrażenia, że wcale nie

oddycha. Przeszukiwał wewnętrzne myśli okrawając je do najbardziej przydatnych do swych ćwiczeń.

Na jakiś czas zapomniał o Helenie i Eleuth. Wolne chwile, których nie miał zbyt wiele, przeznaczał na doskonalenie nowo nabytych umiejętności, rozkoszując się potencjałem odkrytym bez uciekania się do magii Sidhów.

Nie potrafił zlokalizować wewnętrznego głosu, który przez krótką chwilę rozmawiał z nim wierszem. Znalazł jednak w umyśle mnóstwo innych rzeczy, których nigdy by się tam nie spodziewał. Niektóre podbudowywały go na duchu,

inne zadziwiały, jeszcze inne sprawiały, że ze wstydu popadał w depresję. Kiedy poskarżył się, że nie może już znieść dalszej introspekcji, i zapytał, czy wiąże się ona tylko luźno z innymi dyscyplinami, czy można ją odłożyć na później, Spart odpowiedziała mu, że wojownik musi wiedzieć o wszystkim godnym nienawiści, co tkwi w nim

samym, bo inaczej przeciwnik wykorzysta to przeciw niemu.

- Szantaż? spytał Michael.

- Gorzej. Przeciw tobie mogą zostać rzucone twoje własne cienie.

Trening Biriego wyglądał podobnie, ale prowadzony był na wyższym poziomie. Nie powtórzono już tortur w postaci kręgu, jaki swego czasu utworzyły wokół niego Żurawice. Mimo to Biri wychudł. Był teraz mniej rozmowny i jakby niechętnie reagował na obecność Michaela. Michael trzymał się od niego z dala.

Co do wszystkich pozostałych ćwiczeń, to składały się na nie biegi z żerdzią i bez niej, trening fizyczny prowadzony przez małomówną i nachmurzoną Coom, słowne połajanki wygłaszane przez

Spart, kiedy nie przykładał się do

pracy.

Miał tego serdecznie dosyć, ale mimo wszystko trening dodawał mu pewności siebie. Tęsknił jeszcze bardziej za Ziemią, ale narastało w nim przeświadczenie, że potrafi już przetrwać w Królestwie.

Ósmego dnia nie było żadnych ćwiczeń. Biri i Żurawice opuścili wzgórze przed wschodem słońca. Michael zaspał i nie miał pojęcia, dokąd poszli.

Wczesnym rankiem obszedł wzgórze dookoła, nawołując ich po imionach, oglądając świeże odciski stóp kierujące

się na południe i zastanawiając się czy nie nadeszła odpowiednia pora na poszukanie sani w chacie Żurawic. Ociągał

się z wejściem do chaty czując się jak zdrajca. Ale właściwie nie były jego przyjaciółkami... trenerkami, tyrankami, tak, ale nie przyjaciółkami.

Dlaczego więc czuł się wobec nich zobowiązany?

Zaczął się pocić, zbiegł więc z pagórka i pognął do Półmiasta, żeby odwiedzić Eleuth w jej nowym mieszkaniu.

Czyściła ubrania i przygotowywała się do swoich dalszych ćwiczeń: słuchał jednym uchem, jak opisywała magię

Sidhów, którą już opanowała.

- Gdybym teraz przyniosła ze sobą zuczka, żyłby - powiedziała z dumą, uśmiechając się do niego.

- Po co? mruknął ponuro. - Coś cię dręczy.

Obszedł małe, jednoizbowe mieszkanie, jedną z czterech kwater mieszczących się w parterowym baraku z drewna.

Izba miała wymiary pięć na pięć metrów i była przedzielona na pół kotarą; czysta, schludna, ale w jakiś sposób przygnębiająca. Eleuth jak gdyby tego nie zauważała.

- Co będziesz teraz robiła? - zapytał.

- Wkrótce przydzielą mi nowe zajęcie - odparła wpatrując się z uniesionymi brwiami w podłogę.

- Na przykład, jakie? - nie ustępował. - Decyzja jeszcze nie zapadła.

Miał już powiedzieć coś, co może sprawiłoby jej przykrość, ale w ostatniej chwili, ugryzł się w język. Był zły.

Drażnił go jej spokój, ale to nie był powód, aby dawać upust podłemu nastrojowi. - Żurawice gdzieś dzisiaj zniknęły

- powiedział. - Nie chce mi się siedzieć na pagórku. Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli tu trochę pobędę?

Uśmiechnęła się; oczywiście, że nie.

Przyrządziła prosty obiad. W przewrotnym rewanżu postawił na chwilę mur przeciwko dosięmówieniu i

obserwował z sadystycznym zadowoleniem, jak nie mając nieskrępowanego dostępu do reguł języka angielskiego

przechowywanych w jego mózgu, szuka rozpaczliwie słów. Czuła się upokorzona, ale na zewnątrz pozostała

czarująca.

Kiedy pozmywała po obiedzie, spytał, czy potrafiłaby przenieść kogoś między Królestwem, a Ziemią. Traktował to pytanie jako w miarę niewinne; chciał się po prostu dowiedzieć, na co ją stać. - Dlaczego jesteś zły? - spytała.

- Nie jestem zły. - Wzruszył ramionami i przyznał, że być może jest. - To nie z twojego powodu.

- Ja czuję że z mojego.

- Szlag by trafił tę babską wrażliwość!

Cofnęła się, a on poderwał ręce w górę. - Przepraszam powiedział.

- Pragniesz wrócić na Ziemię? - Jasne. Cały czas.

- A gdybym przeniosła cię z powrotem na Ziemię, potraktowałbyś to jako dowód miłości?

To pytanie zaskoczyło go. - Potrafisz?

- Czy potraktowałbyś to, jako dowód miłości?

- Co masz na myśli mówiąc o dowodzie miłości? Tak, to byłoby cudowne.

- Nie jestem pewna, czy potrafię - przyznała. - Nie chciałabym sprawić ci zawodu.

Przechadzał się tam i z powrotem po izdebce spoglądając spode łba i mamrocząc pod nosem. - Jezu, Eleuth, mam

mętlik w głowie. Nie wiem, co o tym myśleć. I tak, masz rację, jestem zły. - Na kogo jesteś zły?

- Nie na ciebie. Od ciebie spotykały mnie same dobre rzeczy. Uśmiechnęła się promiennie i wzięła go za rękę. -

Chciałabym, żeby wszystko, co robię, było dla ciebie dobre, żeby sprawiało ci radość.

Poczuł się jeszcze bardziej przybity. Czy miałoby to jakieś znaczenie, gdyby już nigdy nie wrócił do domu? Czy potrafiłby ułożyć sobie życie w Królestwie, a chociażby tu, na Ziemiach

Paktu? Inni żyli w gorszych warunkach i byli szczęśliwi, a przynajmniej nie narzekali. Eleuth wyczuła tę duchową rozterkę i ścisnęła mocniej jego dłoń.

- Nie żałowałbyś, zostając tu - powiedziała. Jej pełen nadziei ton podziałał na niego jak cios obuchem w skroń.

- Jak to? - spytał wrywając rękę z jej dłoni. - Ja nie jestem stąd! Jestem człowiekiem, a ty... - Rąbnął pięścią w ścianę. A ona jest człowiekiem i w tym tkwi cały problem, nie mam racji?

- Ta kobieta z Euterpe? - spytała Eleuth wpatrując się w tył jego głowy.

- Helena - powiedział. W jego przekonaniu była to najokrutniejsza rzecz, jaką mógł powiedzieć: imię kobiety, do której czuł to, na co z jego strony zasługiwała Eleuth. Czego Eleuth pragnęła.

To prawda, że ludzie mają o wiele więcej zmartwień niż Mieszkańcy - powiedziała Eleuth. W jej głosie nie było

zdeenerwowania ani zazdrości. Odwrócił się do niej. Twarz miała skupioną, oświetloną do połowy popołudniowym

światłem wpadającym przez wysoko umieszczone okna, oczy wielkie, ciemne i spokojne.

Proszę cię - bąknął Michael.

Mógłbyś kochać ją i być ze mną - powiedziała Eleuth. Łzy popłynęły mu po policzkach. Był wściekły, każda myśl, zdawało się, stanowiła część spienionego, wznoszącego się wiru. Nie mów już nic. Proszę cię, dosyć.

- Już nie będę - powiedziała cicho Eleuth wstając i sięgając do jego ramienia. - Przepraszam. Nie rozumiem ciebie.

Ja nie potrafię być... zazdrosna. Kobiety Sidhów nie znają uczucia zazdrości. Jak można być zazdrosną o partnera, który nie potrafi pokochać, nie potrafi się przywiązać?

Michael siedział na pryczy i pocierał oczy dłońmi. Nie skutkowało żaden ze sposobów zapanowania nad sobą, jakie dotąd ćwiczył. Nie potrafił zbić poziomu swego cierpienia ani zapanować nad skutkami, jakie wywierało na jego ciało, nad napięciem mięśni karku i ramion.

- Potrafiłabym cię kochać, kiedy ty kochałbyś ją - ciągnęła Eleuth. Michael zdawał się jej nie

słyszeć. Usiadła przy nim i położyła mu głowę na ramieniu. - Z miłości byłabym zdolna do wielu rzeczy, a czego bym nie potrafiła,

nauczyłabym się.

Pogładziła go dłonią po plecach. - To wszystko, czego oczekują kobiety Sidhów.

Został z nią na tę noc, a następnego ranka wrócił na pagórek Żurawic. Chaty nadal stały puste. Wszedł do swojego domku i ukrył książkę między krokwiemi. Potem usiadł na matach i usiłował ułożyć jakiś wiersz. Nie przychodziła mu do głowy nawet pierwsza linijka. Z jego głowy uleciały wszystkie słowa. Pozostał tam tylko galimatias myśli; myśli pozbawionych wyrazu.

Zbliżało się już południe, kiedy podjął wreszcie decyzję. Poszuka sani. Sam nie odróżniał dobra od zła; może Helena z Savarinem to potrafili.

W kącie pustej chaty Biriego leżały poskładane starannie plecione maty. Zaglądał we wszystkie zakamarki, ale nie znalazł ani śladu proszku.

Przeszedł do chaty Żurawic i przystanął przed drzwiami. Zaglądając przez okno dostrzegł w środku tylko mrok.

Spróbował otworzyć drzwi naciskając je palcami, ale były chyba zaryglowane. Pchnął je w nadziei, że jednak się otworzą. Nie ustąpiły. Naparł silniej i usłyszał trzask czegoś drewnianego dobiegający ze środka. Drzwi uchyliły się z wolna na zewnątrz.

Żurawice nie uznawały najwyraźniej żadnych zamków. Co więc - jeśli w ogóle coś czy ktoś - strzegło chaty podczas ich nieobecności? To pytanie nie powstrzymało go na długo; nie był teraz zdolny do roztrząsania problemów

praktycznych.

Przez okno po słonecznej stronie chaty wpadał do środka snop dziennego światła przecinający całą izbę i

oświetlający półki zastawione gęsto butelkami. Zawartość jednej z nich wiła się różowo w promieniach słońca.

Wzrok przyzwyczajał się z wolna do mroku panującego w kątach. Pośrodku izby stał cylindryczny piec z cegły

sięgający niemal powały, a na jego obwodzie ziały cztery otwory. Piec otaczała lśniąco biała ceramiczna platforma obwieszona równymi szeregami tłuczków. Na stole stało kilka moździerzy i wznosiły się małe kupki proszków

rozmaitej barwy i grubości ziarna. Ogień był wygaszony, ale piec wciąż jeszcze trzymał ciepło; czuł je na swej twarzy niczym powstrzymującą go wyciągniętą dłoń.

Wzdłuż przeciwległych sobie ścian izby ciągnęły się rzędy półek zastawionych ciasno buteleczkami pełnymi zębów i małych odłam

ków kości. W innych butelkach znajdowały się korzenie i okazy roślin. Jego wzrok przyciągnęła najpierw butelka z rozwidlonym korzeniem; korzeń wił się jeszcze teraz.

Inna półka przeznaczona była wyłącznie na butelki z proszkami. Żaden z pojemników nie posiadał etykiety. Jeśli ich zawartości miały rozmaite zastosowania; to znały je tylko Żurawice.

Za bliższym regałem znajdowało się przepierzenie z desek, na którym schły rozciągnięte na kołkach cienkie płachty mocnej perłowej tkaniny. Pod płachtami wisiał szkielet przedramienia małego drapieznika. Wydawało się, że szpony są ze złota.

Po drugiej stronie izby, częściowo skryta pod draperią z szarego materiału, stała na stole szklana szkatułka.

Wewnątrz znajdowały się kawałki oszronionego kryształu pociętego misternie w abstrakcyjne kształty. Każdy z

kryształów posiadał jedną przezroczystą powierzchnię kojarzącą się z wziernikiem. Michael odsunął draperię

ujmując ją między palec wskazujący i kciuk i otworzył wieczko szkatułki.

Pokusa była zbyt wielka: wyjął jeden kryształ i przyłożył go do oka. Ujrzał tam obraz jak w przeglądarce przezroczy.

Jego oku ukazały się zielone falujące wzgórza i cudownie wyraziste niebo. Miał już odłożyć kryształ i wziąć

następny, kiedy wśród wzgórz dostrzegł idącą kobietę. Zdumiony, poznał w niej o wiele młodszą Coom. Nazywała

się, jak w niepojęty sposób poinformował go o tym kryształ, Ecooma. Uśmiechała się i wymachiwała ramionami, a pod łopoczącą na wietrze czerwoną suknią rysowały się długie, kształtne nogi. Twarz miała podobną do Eleuth, ale jeszcze urodziwszą. Wyszła poza pole widzenia kryształowego oka przynaglając go, żeby je za nią obrócił, ale

bezsukcesownie. Kryształ zachowywał jeden, ustalony raz na zawsze punkt widzenia.

W drugim kryształach widniała przełęcz wysokogórska. Gnane porywistym wiatrem chmury rzucały szybko

przesuwające się cienie na pokryte śniegiem zbocze. Naga kobieta stojąca na skale i nie zważająca na oczywisty chłód miała na imię Elanare. Rozłożyła ramiona, wiatr targał jej długimi, rudymi włosami. W młodości Nare była jeszcze piękniejsza od Ecoomy.

Wziął trzeci kryształ. Wśród grupy młodych ludzkich kobiet siedzących na marmurowych ławach w małym,

wzniesionym

z kamienia amfiteatrze stała Spart - Esparta. Kobiety miały na sobie krótkie białe tuniki przewiązane w talii; Spart ubrana była w długą czarną suknię, a włosy miała związane w kok skrzącą się, złotą tasiemką. Przemawiała do tych kobiet, a one wybuchały co chwila śmiechem, jak gdyby zaskoczone czy zachwycone. Chociaż odznaczała się urodą subtelniejszą od Ecoomy czy Elanare, Michaelowi wydawała się najpiękniejsza z nich trzech.

Znikły gdzieś zniekształcenia twarzy i figury, wyrównał je czas. Odłożył ostrożnie trzeci kryształ do szkatułki i sięgnął po czwarty. Ten, który wziął, pokazał mu popiersia mężczyzny-człowieka i kobiety z Sidhów, obejmujących się ramionami. Mężczyzna był ogorzały, nosił gęstą, rudoczną brodę, miał przenikliwe, inteligentne oczy i ostry, krótki nos. Rysy twarzy kobiety były tak poruszające i znajome, że Michael, zdając sobie sprawę z niemożliwości takiego spotkania, nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, iż już ją gdzieś widział.

To byli Aske i Elme, poinformował go kryształ; istniał też powód, dla którego ich podobizny znajdowały się w

szkatułce. Aske był ojcem, a Elme matką Żurawic oraz siedmiorga innych dzieci Mieszkańców, których obrazy

przechowywane były w pozostałych kryształach.

Odłożył szybko kryształ. Z emocji zjeżyły mu się włoski na rękach. Przetrzęsął w pośpiechu resztę chaty i znalazł

woreczek spoczywający na małym drewnianym stolyczku w pobliżu drzwi. Nerwowo wytrząsnął trochę jego

zawartości na dłoń i stwierdził, że to te złote płatki, o które mu chodziło. Wsypał proszek z powrotem do woreczka i związał go sznurkiem.

Znalazłszy to, czego szukał, Michael poczuł nagle ukłucie paniki. Rozejrzał się dookoła, żeby sprawdzić, czy nie pozostawił po sobie żadnych śladów, chociaż wiedział, że nie ma sposobu na ukrycie tego najścia przed Żurawicami.

Beznadziejna sprawa. Złapią go i co wtedy zrobią?

Namacał zasuwkę przy drzwiach i otworzył je gwałtownie, żeby wyjść...

I odskoczył z okrzykiem przerażenia. W progu, tocząc dziko oczyma i rozdziawiając szeroko usta, jakby wydawał

właśnie ostatnie tchnienie, stał Biri usmarowany błotem i krwią. Czarna

krew ściekała mu z kącika ust i kapiała z rąk plamiąc jego seplę. Z głębi piersi dobywały mu się urywane, świszczące dźwięki jak u ściganego zwierzęcia.

Michael, zdjęty zgrozą, cofnął się ze ściśniętym gardłem w głąb chaty. Biri wywrócił oczy i strasznie przekręcił

głowę.

- Michael, och Michael - jęknął. Co ja zrobiłem? Jego ciało przeszedł konwulsyjny dreszcz. Podniósł błagalnie ręce i nagle wyprostował się, odwrócił na pięcie i uciekł. Michael podszedł do drzwi i patrzył za nim, jak przeskakuje strumień i mija w pędzie peryferie Półmiasta.

Z przeciwnej strony, omijając kupy kamieni i kości i wpatrując się w Michaela stojącego w drzwiach ich chaty, wchodziły na pagórek Nare, Spart i Coom. Ukradkiem wsunął do kieszeni woreczek.

Spart skinęła na niego, żeby wyszedł. Otoczyła go ramieniem i odprowadziła do jego domku. Tam zatrzymała się i obróciła go twarzą do siebie.

- Miał wypadek? - spytał Michael z trudem przełykając ślinę. - Co mu się stało?

Byłeś świadkiem poniżenia Biriego - odparła. - Nie wolno ci o tym nikomu mówić. Wyszedł z życiem ze swej

próby.

- Co to była za próba? Przydatności do stanu kapłańskiego? - Tak - odrzekła Spart z niezwykle ponurym

wyrazem twarzy. - Tarax przysłał przez granicę ulubionego konia Biriego. Biri wytropił go i zarznął. Kiedy

przyjdzie do siebie, będzie gotowy służyć Adonnie. - Spojrzała na niego przenikliwie i marszcząc czoło puściła go. -

Co masz, co wiesz... czy wykorzystasz to mądrze?

- Tak - dwukrotnie przełknąwszy ślinę, dobył wreszcie głosu. Żurawice weszły do chaty i zamknęły za sobą drzwi.

Michael patrzył na step z policzkami mokrymi od łez i zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze poczuje się

normalnym człowiekiem.

Rozdział dwudziesty czwarty

Sypał śnieg pozostawiając po sobie pustą, białą kartę, na której rysowały się blade horyzont,

Półmiasto, chaty i kilka szarych przerw w powłoce chmur. Strumień był ciemny i połyskliwie szary, a z każdego brzegu wystawała cienka

warstwa lodu. Małe lodowe ostrza cięły rwący wartko nurt.

Michael stał na brzegu i patrzył w wodę. Sypiący śnieg zdawał się go uspokajać. Wewnętrzna dyscyplina, której nabył, izolowała go od zimna. Tak samo odizolowany od rzeczywistości, oderwany, wydawał mu się jego umysł.

Jeśli postąpił źle, myślał, to nie z własnej winy. Uwikłał się w sytuację, do której nie był absolutnie przygotowany, w której obliczu nieuchronnie objawiała się jego niedojrzałość.

Woreczek sani spoczywał w jego kieszeni.

Biri siedział ze spuszczoną głową przed swoją chatą. Sidh nie odezwał się jeszcze słowem, nic nie zjadł. Coom obmyła mu twarz i ręce i opatuliła trzciniową płachtą.

Tego ranka Michael odbył obowiązkowy trening - bieg z żerdzią przez pola ze Spart, która dotrzymywała mu przez cały czas kroku, sprawdzając temperaturę jego skóry długim palcem z czarnym paznokciem na końcu. Rzucił cień

dla Coom, na tyle zręcznie, że schwywanie go zajęło jej kilka sekund. Wytłumił aurę pamięci na tyle skutecznie, iż uniemożliwił Spart dosię-widzenie. Wszystko to wśród płatków śniegu opadających powolnymi zakosami niczym

pijani, zamarznęci gogusie nieświadomi otaczających ich mrocznych emocji.

- Idę do Euterpe - powiedział do Coom siedzącej w kucki przed chatą Żurawic, rozdrabniającej na proszek kamień drugim, twardszym kamieniem i nie spuszczał przy tym oka z Biriego. Skinęła bez słowa głową.

Książkę zostawił pod krokwiami swej chatki. Nie spodziewał się kłopotów, a gdyby nawet, to książka nic mu nie pomoże, a nie chciał jej stracić albo uszkodzić.

Droga wydała mu się dłuższa, rozciągnięta przez biel. Kiedy dotarł do Euterpe, miasto było tak skryte i zamknięte w sobie jak twarz śpiącego człowieka. Szedł wyludnionymi ulicami zerkając na ceglane ściany i pokryte gontem dachy, na zniszczone wiklinowe kosze poukładane w stosy i na wózki z kubłami zamarznętych ludzkich nieczystości.

Patrzył na wszystko tak, jakby widział to po raz ostatni. Ogarniające go uczucie nieuchronności było silne,

połykane jeszcze przez odrętwienie.

Skręcił w znajomą alejkę, doszedł do znajomego wejścia i schodów i wspinał się po nich powoli i cicho. Namacał w kieszeni woreczek. Podszedłszy do wiklinowych drzwi, obciągniętych teraz pokrowcem z materiału, podniósł rękę żeby zapukać, ale zawahał się. Ze środka dobiegały głosy.

Helena miała gościa.

Poczuł się, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej odizolowany. Serce mu się ścisnęło. Popchnął drzwi. Te przystąpiły do spisku i otworzyły się z ledwie słyszalnym skrzypnięciem. Głosy nie zamilkły. Odciągnął zasłonę oddzielającą sypialnię od izby, zdając sobie sprawę, że źle czyni naruszając czyjąś intymność, ale poczucie własnej krzywdy było silniejsze.

Savarin i Helena leżeli na wąskiej kanapie, przykryci, na szczęście, burym kocem. Pierwsza zobaczyła go Helena. Jej oczy rozszerzyły się. Puścił zasłonę i wycofał się do frontowej izdebki, tam wyciągnął z kieszeni woreczek sani i położył go na stole. Zza zasłony dochodziło szuranie, trzaski i szelest pośpiesznie zakładanej garderoby. - Zostań tu -

rozległ się głos Heleny. Nie wychodź. Ja z nim porozmawiam.

Wyszła zza zasłony przeczesując palcami włosy i popatrując nań z ukosa. Twarz miała bladą. - Michael -

powiedziała.

- Przyniosłem to powiedział wskazując na wiklinowy stolik. - To, czego wam trzeba. Czego chcieliście.

- Jestem pewna, że nic nie rozumiesz - powiedziała Helena podchodząc bliżej. - To...

- Proszę cię przerwał jej. Daj spokój. Idę.

Pozwól mi wyjaśnić! - Desperacja w jej głosie powstrzymała go. - To nie to, czego pragnie każde z nas. Savarin nie może mieć dzieci. Zanim opuścił Ziemię...

- Proszę cię, daj sobie spokój - powtórzył Michael.

- On jest bezpieczny, nie rozumiesz tego? Ty nie. Ty nie jesteś bezpieczny. To was różni. - Powtarzała te słowa raz po raz zbliżając się do niego i unosząc ręce. W końcu zatrzymała się zataczając rękami kręgi tworzące małe tarcze.

Szukała rozpaczliwie słów. - Nadal potrzebujemy twojej pomocy.

- Już wam pomogłem - powiedział. - Macie ten proszek. Pójdę już. - Słyszac za plecami głos Heleny wykrzykujący coraz głośniejsze i zapamiętał jego imię, zbiegł po schodach na ulicę i uciekł z Euterpe.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że biegnie. Sadził przed siebie wielkimi susami bez widocznego wysiłku. Zdawało mu się, że jest zawieszony we własnym ciele, odizolowany od uczucia zmęczenia. Oddychał równo, niczym

maszyna, która biegłaby jeszcze sprawniej, gdyby jej nie przeszkadzał. Minał kobietę z opończę narzuconą na głowę i ramiona.

Jak gdyby w nie mającym końca cyklu, zmierzał w kierunku Półmiasta. Świadomość, że wszystko ma się ku

końcowi, że dobiega końca jego przygoda w Królestwie, była bardzo silna.

Rozdział dwudziesty piąty

Padający po południu śnieg wyludnił również Półmiasto. Jego półkoliste uliczki pokryły płytkie zaspy. Michael nie mógł zebrać myśli i znalezienie mieszkania Eleuth zajęło mu kilka dodatkowych minut. Stał przed drzwiami z taką pustką w głowie jak zasypane śniegiem pola między Euterpe a Półmiastem.

Gdy zapukał, uświadomił sobie, że ani przez chwilę nie spodziewał się zastać za drzwiami zdrady. (Czy Helena go zdradziła? Czy może uczyniła tylko coś, czego on z racji młodego wieku nie był w stanie zgłębić?).

Drzwi otworzyły się. Eleuth popatrzyła na jego zrozpaczoną twarz i wzięwszy go za rękę wprowadziła bez słowa do środka. Posadziła go na pryczy, a sobie przysunęła mały stołeczek. Trzeba było kilku głębokich, spazmatycznych oddechów, żeby Michael odzyskał głos. - Teraz muszę wracać. Nie mam tu już nic do roboty.

Skinęła głową, potem potrząsnęła nią i znowu skinęła. - Potrzebujesz mojej pomocy? - zapytała.

- Oczywiście, że jej potrzebuję. Gdybym potrafił, dawno już sam bym to zrobił.

- Pomogę ci więc - powiedziała. - Musimy poczekać, aż się ściemni, i nie możemy robić tego tutaj. Ktoś mógłby nas podpatrzeć albo wyczuć, co się dzieje. Zostaniesz tu do zmroku. Chcesz coś zjeść?

- Nie jestem głodny - mruknął.

- Będziesz potrzebował całej swej siły - powiedziała nalewając mu miskę zupy. Gdy skończył jeść, zabrała miskę i ściągnęła narzutę z pryczy. Usiadł. Poprawiła mu poduszkę, a on położył się z otwartymi oczyma. Zmusił się do ich zamknięcia przy następnym oddechu. Twarz miał stężałą.

Jego twarz nie odprężyła się nawet wtedy, gdy była już pewna, że zasnął. Siedziała jakiś czas patrząc na niego, a za oknem zerwał się wiatr, gnając tumany śniegu. Potem obesza izbę zbierając rozmaite przedmioty z szuflad komody, z półek i z niskiego stolika. Ułożyła to wszystko na chuście rozpostartej na kolanach: biały krem do twarzy, chociaż właściwie nie był jej potrzebny, pomyślała; kilka gałązek z drzewa kwitnącego za Przekłętą Równiną; parę

kamyków z samej Równiny, suchych w dotyku; i martwego zielonego żuczka, którego przyniosła spod domu

Michaela. Zebrawszy rogi chusty i związawszy je w węzeł odetchnęła głęboko, obiema dłońmi odgarnęła na plecy

luźne pasma włosów i zapatrzyła się na biały świat za oknem, wątpiąc, czy długo jeszcze dane jej

będzie go oglądać.

Z nadejściem nocy śnieg przestał padać i ustał wiatr pozostawiając Ziemię Paktu pogrążone w głuchej ciszy. Michael obudził się i zjadł jeszcze trochę zupy, a Eleuth rozprowadziła sobie tymczasem po twarzy biały krem. - To odbija światło wyjaśniła.

Spadała teraz na niego lawiną nieuchronna nierealność wszystkiego. Dlaczego miałby się przejmować zdradą?

Żadne z tych ludzi nie istniało. Wszyscy byli widmami; żeby znaleźć drogę do domu, musi tylko wypowiedzieć

jakąś formułę, która wyrwie go z transu, z tego koszmaru przeżywanego tuż przed przebudzeniem.

Zapomniał o wszystkich dowodach istnienia Królestwa, jakie już uznawał. W porównaniu z jego obecnym bólem

wydawały się mętne, mało przekonujące. Eleuth związała mu pod szyją opończę z koca na wypadek, gdyby w

swej rozterce stracił kontrolę nad hylką. Potem wzięła go za rękę i przewiesiwszy sobie tobolek przez przedramię wyprowadziła w noc. Brnął za nią w milczeniu poprzez śnieg. Jej szarawa sylwetka zanurzyła się w mrok zalegający za granicami Półmiasta, skręciła z drogi i zaczęła się oddalać od strumienia, od pagórka, prowadząc go w strony, w które się dotąd nie zapuszczał.

Śnieg osiadły na trawie osypywał się strząsany ich nogami spadając im na stopy i topniejąc na szmacianych łapciach, które wkrótce przemokły. Tylko dzięki hylce stopy im nie zamarały.

Kiedy znaleźli się tak daleko od wszystkiego, że Eleuth uznała, iż wystarczy, odgarnęła mu śnieg, żeby mógł usiąść, rozpostarła chustę, porozkładała na niej zabrane z domu przedmioty i przykucnęła naprzeciw niego. Ledwie ją

widział. Przez luki w chmurach przeblyskiwały nieliczne gwiazdy. Krem na jej twarzy jarzył się słabo i to pozwalało mu śledzić jej ruchy.

Pragniesz wrócić do domu - odezwała się tonem surowszym niż zazwyczaj.

Tak - odparł.

- Pragniesz dostać się tam za sprawą magii Sidhów. - Tak.

Tkwi w tym pewne ryzyko. Czy zgadzasz się je podjąć? - Tak. - Niewiele się tym przejmował.

- Czy przyjmujesz ode mnie ten dar, dar ofiarowywany z miłości?

- Tak. - Poczł ucisk w piersiach. - Bardzo go sobie cenię, Eleuth.

- Jak bardzo? - spytała z nutką goryczy.

Wzruszył w ciemnościach ramionami. - Nie jestem wiele wart. Nie wiem, co cię tak silnie we mnie pociąga.

- Przyjmujesz tę miłość? - Tak.

- Odwzajemniasz ją?

Nachylił się ku jej majaczącej w mroku sylwetce. - Ja też cię kocham - powiedział. - Jako przyjaciółkę. Jako jedyną przyjaciółkę, jaką tu miałem. Gdziekolwiek jesteśmy.

- A więc jako przyjaciółkę - powtórzyła za nim Eleuth już mniej surowym tonem. Ułożyła krąg z gałązek leżących na chuście, tak że wskazywały na jego środek. Obok jednej z gałązek położyła żuka. Obok drugiej kamyk. Resztę kamyków zebrała na kupkę w rogu chusty.

- Tylko tyle ci potrzeba? - spytał Michael.

- Tylko tyle i wprawy - odparła Eleuth. - Nie jestem w tym jeszcze zbyt dobra. - Wstała, wzięła go za rękę i kazała stanąć pośrodku kręgu z gałązek. - Dla ciebie pragnęłabym być Sidhem pełnej krwi - powiedziała wyciągając

ramiona. Przyjęła tę samą pozę, jaką Michael widział w kryształowym portrecie Nare. - Ale krew Lirga jest dobra i zdaje się również na niego. Gdziekolwiek

teraz jest. - Zaczęła tańczyć lekko wokół niego, wirując i przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Odwrócił

głowę, żeby nie stracić jej z oczu. Patrz prosto przed siebie - poleciła.

Po kilku minutach zatrzymała się, oddychając szybciej niż wtedy, gdy zaczynała. - Czy Sidh przeszedł próbę? -

zapytała. Tak.

- Czy spożywał jego ciało, pił jego krew? - Chyba tak.

Odszedł dziś wieczór od Żurawic - powiedziała. - Udaje się do swojego nowego domu. Może spotka Lirga.

Nie wiem.

- Czy wiesz, co robią dziś wieczorem twoi przyjaciele z Euterpe? spytała.

- Nie.

- Żaden Mieszaniec nie wyjdzie tej nocy z domu. My też nie wiemy, ale mamy swoje podejrzenia. -

Podjęła znowu taniec wyciągając raz po raz rękę, żeby przesunąć palcami po jego ramieniu. - Michael - powiedziała dysząc

chrapliwie i wirując wokół niego. - Patrz prosto przed siebie. Pora, żebyś wrócił do domu... już niedługo.

Światło trysnęło w górę spod jego stóp. Zerknął pod nogi i zobaczył, że gałązki płoną jasno od zewnątrz ku

środkowi, niczym wiązka lontów.

- Z miłości - powiedziała Eleuth. Uformowała koło ze swych ramion. Z łuków jej palców strzeliły dwa świetliste koła, wzniosły się w górę i opadły na niego zatrzymując się na poziomie pasa. Gałązki dopalały się już do końca.

Stał pośrodku blasku rzucanego przez ogień, który płonął wokół jego stóp, ale nie parzył.

Eleuth stała przed nim wyprężona, z wysoko uniesionymi rękami, z piersiami przyciągniętymi ściśle do klatki

piersiowej, z wciągniętym brzuchem, dysząc ciężko. Włosy miała w nieładzie, oczy zamknięte. Odwróciła w bok

głowę. - Będę czuwała powiedziała - Tak długo.

Jak. Będę. Mogła.

Jej oczy otworzyły się. Były czarne, obramowane ognistą czerwienią. Poczuł, że w nie wpada. Jego stopy uniosły się z chusty. Koła zacisnęły się wokół jego talii jak pasy, przywierając mocno. Ogień rozprzestrzenił się z trzaskiem i sykiem aż do Eleuth, odpychając ciemności, i kraina wokół nich pojaśniała jak w dzień. Gdy płomienie sięgnęły jej pępka, wzdrygnęła się i krzyknęła.

Ogień otoczył ją ze wszystkich stron. Wyginał się łukiem ku pokrytej śniegiem trawie. Topił śnieg w parę. Wysuszał

trawę i podpalał ją. Wiła się we wznieconych przez siebie płomieniach z otwartymi ustami, w których ziała czerń głębsza od nocy. Michael wzniósł się ku niej i poczuł zimne, elektryczne, niszczące działanie mocy, którą

wyzwoliła.

Błagam dobiegł go jej słaby głos ledwie słyszalny wśród trzasku i ryku płomieni. - Będę czuwała. Bądź ostrożny! To z miłości...

Miotając się w płomieniach malała i ciemniała, aż w końcu skurczyła się do czarnego punkcika.

Michael nie stał już na ziemi, lecz unosił się wysoko nad stepem patrząc na nieskończone połacie

Królestwa, na jego lasy, równiny i góry, które leżały przed nim niczym topograficzna mapa plastyczna. Daleko na północnym

wschodzie, przez lasy, zarośla, pustynie i moczary wiła się rzeka. Widział górę otoczoną miastem o murach

przypominających płataninę srebrzystych korzeni...

A dalej coś czarnego, spiczastego.

Na północy zobaczył wielkie jezioro jarzące się w ciemnościach nocy kobaltowym blaskiem zapewne Nebchat Len.

Za jeziorem znowu rozciągał się las, a za lasem pięło się pod niebo masywne, postrzępione pasmo górskie.

Spojrząwszy w dół ujrzał Ziemię Paktu wtłoczone w środek Przeklętej Równiny, żółtozielone kółeczko otoczone

ciepłym, nieprzystępnym, podkoloryzowanym na pomarańczowo mrokiem. Mrok, zdawało się, wił, sięgał w górę,

aby go pochwycić. Potem wszystko już się wiło... i znikło.

Mógł być zawieszony przez całą wieczność w nicości. Opuściło go poczucie czasu. W otchłani tej, gdzieś nad

miejszem, gdzie znajdowała się jego głowa, migotało światelko. Wyczuł baldachim z liści, potem coś pod stopami, coś twardego i szarego. Pole jego widzenia poszerzyło się. Krew uderzyła mu do głowy i powróciło poczucie

ciężaru.

Michael zamknął oczy i przetarł je. Przyptyw tryumfu przyprawił go o zawrót głowy. Chciało mu się skakać w górę, krzyczeć. Zerknął na zegarek, żeby sprawdzić, która godzina - o której godzinie skończył się trans. Ale zegarka na przegubie nie było. Nadal miał na sobie ubranie, które zorganizowała mu Helena; stopy nadal owinięte były

szmatami.

Wokół kostek jego nóg tańczył migotliwy płomyczek. Michael wpatrywał się w ten płomyk, jak jaśnieje, przygasa i znowu jaśnieje. Nagle buchnął w górę wokół jego łydek i przesłonił trotuar. Macki ognia owinęły się wokół jego nadgarstków niczym pęta i popęły jak węże po piersi.

- Nie! - zaprotestował. - NIE!

Zgiął się we dwoje, jak kopnięty w żołądek. Skurczony, odleciał z powrotem w ciemność

zygzakowatym kursem

powrotnym i otoczony ogniem warkocza komety.

Rozdział dwudziesty szósty

Michael leżał na brzuchu z twarzą wciśniętą w żwir i piasek, z nogami rozrzuconymi na suchej trawie. Otworzył

oczy zbudzony pierwszym brzaskiem i ujrzał ciemne zarośla o tłustych, zielonoczarnych liściach. Przekręciwszy się na wznak zobaczył nad sobą nijakie, szaroniebieskie niebo, ponure i przytłaczające. W przestrzeni połyskiwało mokro kilka zamglonych gwiazd.

Coś zachrząściło w pobliżu. Ścieżka, na której leżał, biegła jeszcze przez metr wśród rachitycznej trawy i kończyła się na werandzie z czerwonej cegły. Na drewnianych kratkach altanki wznoszącej się nad werandą wisiały lampiony z wypłowiałego pomarańczowego papieru.

Dźwignął się na kolana. Chrzączenie przybrało na sile. Wstał na równe nogi, odwrócił się i wzdrygnął poczuwszy na twarzy dotyk suchych, zimnych palców.

Niecały- metr przed nim stała postać w sukni z falbanami. Celowało w niego jej ramię zgięte pod dwoma

niezwykłymi kątami. Cień szerokoskrzydłego kapelusza skrywał rysy twarzy, ale Michael był więcej niż pewien, że to kobieta, uwięziona pomiędzy królestwem a Ziemią, prawdopodobnie równie szalona, co Lamia. Jakie

niebezpieczeństwo może mu grozić z jej strony?

Zbliżyła się utykając, jak gdyby jedną nogę miała krótszą od drugiej, albo coś złego działo się z jej stawami.

Oslonięte rękawem ramię wyciągnęło się znowu i Michael poczuł woń kurzu, pleśni, czegoś metalicznego. Cofnął

się kilka kroków. Nie był w domu... Jesteś w domu.

Głos miękki jak nieruchome powietrze brzasku dosięgnął jego uszu i dotknął tyłu głowy. Jesteś w domu. Skupił

wzrok na palcach dłoni. Były cienkie, bezbarwne; równie dobrze mogły to być gałązki owinięte paskami

chropowatej faktury. Ocierały się o siebie z odgłosem przypominającym szelest liści.

Brama prowadząca na aleję znajdowała się za plecami strażniczki. Poświęcił jeden moment na zerknięcie przez

ramię, żeby sprawdzić, czy istnieje szansa wycofania się przez dom z powrotem po własnych śladach - ale ona tam stała tarasując drogę. Musiała przemieścić się z niewiarygodną szybkością, kiedy na chwilę spuścił ją z oczu.

Odwrócił się twarzą do niej i zaczął się wycofywać powoli w stronę bramy.

Zostań. Ukazały się mu obrazy zapierającego dech w piersiach luksusu, zmysłowości. Ogrody pełne kwiatów i

soczystych owoców, nabrzmiątych dojrzałych jagód na intensywnie zielonych krzakach. Pomidorów czerwonych jak

tętnicza krew.

Jeśli będzie na nią patrzył - a sunęła ku niemu utykając złapie go. Już wyciągała ręce, a jej palce szeleściły z niecierpliwością. Jeśli odwróci się, żeby pobiec do bramy, skoczy za nim szybko jak mrok i też go pochwyci.

Bawiła się nim jak rybą na haczyku. Wpadł w pułapkę, nie wymknie się tym razem. Istniał tylko jeden sposób

przerwania tego transu - transu przeżywanego w jej ogrodzie uwięzionym między majaczącym w perspektywie

rajem a suchą, trzeźwą realnością zmroku.

Realność. Zguba równie realna, jak każda.

Od czasu ostatniego z nią spotkania wiele się jednak nauczył. Istniał sposób, w który można by ją zwieść.

Poszukał ukrytego impulsu i odnalazł go; był wąty, ale był. Tu, między Królestwem a Ziemią, będzie działał tylko z przerwami, słabo. Nie miał jednak innego wyjścia, jak spróbować. Rzucił cień.

Odległość dzieląca go od bramy - zaledwie kilka metrów zdawała się wydłużać w nieskończoność. Usłyszał za

plecami gwałtowny szelest fałd materiału, wyczuł, jak ramiona zamykają się na czymś, jak przechodzą przez puste powietrze. Strażniczka skrzeknęła niczym nietoperz czy sokół.

Pędził aleją. Szósta brama na lewo. Ale nie ma już klucza! Nie będzie mógł otworzyć zamka, przejść przez nią.

Bardziej czuł, niż słyszał, jak jego prześladowczyni sadzi za nim wielkimi susami niczym fala zepsutego, martwego powietrza.

Nie zawahawszy się ani przez moment minął zamkniętą szóstą bramę. Pobiegł kilka metrów dalej, do

siódmej, i z ulgą stwierdził, że nie ma zamka. Pchnął ją gwałtownie. Otworzyła się na oścież z jękiem zardzewiałych zawiasów i sprężyn.

Dłoń strażniczki spadła mu na ramię i cisnęła nim w tył, jakby był z papieru. Przewrócił się i przeleciawszy przez chodnik odbił się od ceglanego muru po przeciwległej stronie alei. Brama zamykała się powoli z cichym, śpiewnym szczękiem sprężyn. Wiedział, że jeśli się zatrzaśnie, nie otworzy jej już.

Że nawet nigdy do niej nie dotrze.

Ale strażniczka nie śpieszyła się. Kiwała się na skrytych pod suknią kończynach jak koszmarna zabawka, jak lalka poruszana przez idiotów.

Odepchnął się rękami i ramionami od muru i rzucił głową naprzód, wkładając całą swą nowo nabytą sprawność w

przedarcie się przez bramę. Podwoje zatrzasnęły się za nim ze szczękiem.

Michael stał na długiej, wąskiej parceli ogrodzonej ze wszystkich stron niskim murem z czerwonej cegły. W pewnej odległości za przeciwległą ścianą dostrzegał zarysy domostwa Lamii, zrujnowanej posiadłości Izomaga.

Być może szosta brama nie była jedyną drogą.

Wzdłuż ścieżki prowadzącej do bramy widniejącej w odległym drugim murze ciągnęły się nieprzerwanie dwie kraty z drewnianych żerdzi obwieszane obficie uschlłym, brązowym bluszczem. Ruszył biegiem między nimi.

- Nie tędy!

Stanął jak wryty. Głos, suche bolesne rżenie, a jednocześnie ostrzeżenie, dobiegał z lewej strony.

- Dopadnie cię, zanim dotrzesz do końca. Ukryj się!

- Uważaj na nią!

Głosy docierały z pokrytych bluszczem kratownic. Niepomny protestu wszystkich swych instynktów zwolnił i

przeszedł z biegu w marsz; strach i niezdecydowanie odbierały mu władzę w nogach.

I nagle spostrzegł je. Tkwiły w winoroślach z kończynami spętanymi przez pnącza: trupy. Skóra napięta niczym

wysuszony pergamin, rozdziawione usta, szkieletowe ramiona i nogi, puste oczodoły. Ale odwracały głowy w ślad za nim i szarpały więzy szczerząc żółte zęby.

- Nie daj się jej schwytać! Lepiej umrzyj! Uważaj na nią!

- Nie tędy. Złapie cię!

Rzeczywiście, brama była teraz chyba dalej niż wtedy, kiedy ku niej ruszał. Im bliżej podchodził, tym bardziej się przed nim cofała i tym bardziej wydłużały się drewniane kratownice. I tym więcej szarpiących się,

zmumifikowanych ciał dostrzegał w pętającym je martwym bluszczu.

- Jeśli cię dostanie, nigdy nie umrzesz... - Jeśli cię pokocha, zaśniesz...

- I obudzisz się tutaj. - Będiesz żył wiecznie... - Ale igni!

Gruchnął obłądny śmiech. Trupy miały się upiornie, a na ziemię opadały z nich kawałki skóry. Niektóre błagalnie wyciągały do niego ręce, inne napierały pustymi piersiami na krępujące je pnącza, natężając się, wrywając i

potrząsając kratownicami, które sprawiały wrażenie, jakby miały za chwilę runąć.

Strażniczka znajdowała się już na tej samej co on ścieżce. Nie widział, żeby przechodziła przez bramę; może nie musiała. Jej wielki kapelusz kołysał się powoli na boki, gdy szła. Kuśtykając ścieżką ku pewnej kolejnej zdobyczy dokonywała przeglądu swych poprzednich ofiar.

Kolekcjonowała je. Posiadała, wykorzystywała, sama je tutaj umieściła. Delektowała się swoimi zbiorami, dobrze wykonaną robotą. To był właśnie jej raj roślin i soczystych owoców, jej dzieło.

Zostań. Na wpół biegł, na wpół szedł rakiem, potykając się co chwila i usiłując odnaleźć w sobie znowu ośrodek tego impulsu. Ale nie miał miejsca na rzucenie kolejnego cienia. Strażniczka wzniosła się kilkanaście centymetrów ponad ścieżkę i z łopotem sukni opinającej teraz ciasno jej zniekształcone członki zbliżała się w powietrzu,

przyśpieszając, niczym strzęp materiału sunący po sznurze do bielizny. Pochylała się w locie coraz bardziej głową w przód, aż w końcu czubek jej kapelusza celował prosto w niego, a za nią wlokła się rozdęta suknia, niczym

śmiercionośny kwiat. v

Odwrócił się i z wrzaskiem rzucił się do ucieczki przed swoim przeznaczeniem.

Przed nim, na ścieżce, stała Eleuth. Była tak blisko, że nie mógł już uniknąć zderzenia.

I przebiegł przez nią. Potknął się i runął jak długi na ziemię. Zerkając za siebie z wykrzywioną przerażeniem twarzą ujrzał, jak przezroczyta Mieszanka rozkłada ręce, zagradzając drogę rozpędzonej strażniczce.

Złazy się w jedno. Rozległ się przeciągły krzyk. Suknia i zniekształcone ciało skłębiły się w

powietrzu i runęły na ziemię niczym strącony ptak. Michael zerwał się na nogi i pognął przed siebie. Brama na końcu parceli była teraz o wiele bliżej. Dopadł do niej w kilku susach, otworzył, obejrzał się na strażniczkę wciąż skręconą na ścieżce i zobaczył ostatni cień Eleuth wirujący jeszcze lekko po zderzeniu. Cień odpłynął ze ścieżki, blednąc, blednąc, aż w końcu całkiem zniknął mu z oczu.

Michael stał na polu na tyłach domu Izomaga. Brama zatrzasnęła się z głuchym łoskotem i mur znikł.

I znowu patrzył ze wzniesienia na Ziemie Paktu, na szeroką rzekę w dole. Dyszał ciężko, krwawiły mu poobcierane łokcie i kolana, strasznie bolała go głowa.

Trans trwał nadal.

Rozdział dwudziesty siódmy

W Królestwie było już późne popołudnie. Michael wyczuwał swąd dymu docierający tu z odległości wielu mil.

Gruby słup czerni wznosił się nad Euterpe. Ledwie powłócząc nogami przeszedł przez pole i stanął przed drzwiami domu Izomaga. Usłyszał gdzieś w oddali burzę niezrozumiałych krzyków i wrzasków. Potem wiatr zmienił kierunek i wszystko ucichło.

Salon, sala balowa i jadalnia domu były puste i ciche, nie licząc odgłosu przypominającego osypywanie się piasku albo kurzu. Nie bardzo wiedział, co ma teraz począć, wszedł więc po schodach na górę. Pomyślał sobie, że powinien porozmawiać z Lamią, zapytać, dlaczego nie udała się jego podróż i co się dzieje w Euterpe. Właściwie mało go to obchodziło.

Sala ze świecami była opustoszała i ciemna. Wstąpił na drewnianą podłogę. Jego kroki odbijały się ostrym echem, chociaż nadal miał na nogach szmaciane łapcie. Echa rozchodzące się po sali były jak powracające noże - oddech, uderzenie serca, chrzęst brody pocieranej palcami.

Zauważył z zaskoczeniem, że zaczyna mu kielkować twarde zarost.

Szedł dalej korytarzem oddalając się od otwartego podestu schodów. Domem zawładnęły cienie; wszystkie świece

tkwiły nie zapalone w uchwytych albo leżały rozsypane po podłodze, jakby komuś przeszkadzało ich światło. -

Lamia? - zawołał, cicho najpierw, a potem głośniejszym głosem. Gardło wciąż go bolało od wrzasku w Międzyświecie. Szorując dłonią po ścianach zagłębił się w najciemniejszą wnękę korytarza. Ściana zawibrowała jak dzwon pod jego

dotykem; cały dom, zdawało się, ożył, ale zaraz przyczaił się znowu zatrwożony.

Namacał framugę i skręcił w drzwi. Przez zasuniętą do połowy kotarę, do małego pokoiku sączyło się przytłumione światło zmierzchu. Lamia siedziała w fotelu twarzą do okna.

- Proszę cię - wymamrotał Michael. - Potrzebuję pomocy. Nie odpowiedziała, nie poruszyła się. Zbliżył się ostrożnie do

fotela, zatrwożony jej masą, jej milczeniem, jej zawzięcie skupionym wyrazem twarzy zwróconej ku gasnącemu

światłu.

Słabe oświetlenie i fałdy jej skóry skrywały przez chwilę fakt, że nie jest ubrana. Siedziała w wielkim fotelu naga i nieruchoma. Michael był przeświadczony, że czeka, aż podejdzie bliżej, żeby wyciągnąć ręce i pochwycić go. Ale nic się nie poruszyło. Zdawało się, że nawet nie oddychała. Czyżby umarła?

Sięgnął ręką, żeby dotknąć jej ramienia. Palec podkurczył mu się mimowolnie, chowając się w dłoń i musiał użyć całej siły woli, aby go wyprostować.

Skóra ustąpiła pod naciskiem palca najpierw o centymetr, potem o dwa. Z odrazą, niezdolny do powstrzymania się, naciskał dalej. Zasycała słabo i głowa skurczyła się jej, jak przekłuty balon. Zaczęły się zapadać ramiona i piersi i po chwili została z niej tylko kupka białych, przezroczystych fałd, która zsunęła się z fotela na podłogę.

To nie była Lamia, ale jej skóra - zrzuciona całkowicie. Schylił się i potarł ją między palcami. Taka znajoma faktura.

Dotykał już kiedyś czegoś podobnego - w schowku pod schodami, kiedy ukryła go tam przed Alyonsem.

Trzymała w schowku pełno zrzuconych przez siebie skór. Ale w takim razie gdzie ona jest? Ukryła się gdzieś,

bezbronna jak krab w świeżo wykształconej skorupie albo wąż wilgotny jeszcze i wrażliwy?

- Chłopcze.

Odwrócił się na pięcie i ujrzał ją w przeciwległym kącie pokoju. Miała na sobie ciemnoszare ubranie i stapiała się z cieniem. Była teraz jeszcze większa, o połowę wyższa i tak samo zwalista jak przedtem. Głos miała grubszy,

bardziej pasujący do góry, którą się stała. Gdy postąpiła krok, wszystko w niej, od policzków do ciała na rękach, przerodziło się w jedną wielką wibrację.

- Staraleś się wrócić, prawda?

W ustach mu zaschło. Skinął głową. Zbliżyła się do niego na dwa metry i zatrzymała się; siła bezwładności ciskała całym jej ciałem jak spiętrzoną falą w jego kierunku... a siła sprężystości odciągała je z powrotem, dopóki te przeciwstawne sobie ruchy nie

wytlumiły się wzajemnie. W tłustych fałdach jej twarzy nie mógł dostrzec oczu. Nie licząc włosów, które były teraz bardziej połyskliwe i wspanialsze niż przedtem, jej ostatnim możliwym do zidentyfikowania rysem

charakterystycznym pozostał nos - maleńki i otoczony tłuszczem.

- Ta młoda Mieszanka. Słyszałam o niej. Córka Lirga. - Skąd słyszałaś?

- Ja słyszę wiele rzeczy - powiedziała Lamia. - Nawet kiedy nie jestem... całkiem w formie. Dlaczego nie

przeszedłeś?

- Nie przeniosła mnie do końca. To znaczy przeniosła, ale tylko na chwilę. Potem wciągnęło mnie z powrotem.

- A strażniczka? Spotkałeś ją? Skinął głową.

- I uciekłeś?

Ponownie skinął głową, tylko raz, żeby zaznaczyć, że z trudem. - Twoja mała przyjaciółka poświęciła się dla ciebie.

- Co takiego? - zapytał, chociaż wiedział:

- Nie była nawet w połowie Sidhem, chłopcze. Nie mogła zrobić tego wszystkiego i uniknąć konsekwencji. Nawet

jej życia było za mało. Nadal jesteś z nami. - Wyraźnie ją to bawiło; przez jej ciało przeszedł lekki dreszcz, któremu towarzyszył głęboki, przytłumiony chichot. - Czy wiesz, co się wydarzyło, kiedy cię tu nie było?

- Jak długo mnie nie było?

- Podejrzewam, że kilka dni. A więc wiesz?

Potrząsnął głową. Zalatywało od niej kurzem, różami i drażniącym odorem spoconego ciała.

- Twoi pozałowania godni przyjaciele buntownicy postanowili powstać przeciwko Alyonsowi. Buńczuczni nigdy

nie był zrównoważony. - W jej głosie pojawiła się znowu ta głęboko ukryta wesołość. - Nic nie mogę pomóc. Nie teraz. Mogli wybrać lepszą porę. Teraz Alyons ma to, czego zawsze pragnął - okazję do dobruania się do ludzi. Do utemperowania ich, do zmuszenia, by zapłacili za to, że tu są.

- Co on robi? - spytał Michael ze ściśniętą krtanią. Lamia zerknęła w dół na zrzuconą skór. - Ta strażniczka, chłopcze, to moja siostra. Byłyśmy żonami Clarkhama. Właściwie to kochankami.

Sprowadził nas tutaj. Wspaniałe były to czasy.

Tańce, wszyscy ci ludzie skupiający się wokół nowego maga. Izomaga, jak się wtedy nazwał - równego

Wężomagowi. Przybył tu, by wydobyć wszystkich z cienia Królestwa na światło swych rządów. Och nie, on nie

pałał nienawiścią do Sidhów. Nie czynił im właściwie krzywdy. Potrafił zapanować nad magią za pośrednictwem

muzyki, czego dawno temu nauczyli nas Sidhowie. Był bardzo dumny. Wkrótce ogłosił wszem i wobec, iż jest

drugim wcieleniem maga - urodzonym ponownie, by pomścić to, co Sidhowie uczynili pierwotnej rasie ludzkiej.

Jego arogancja stała się zbyt wielka, by Sidhowie mogli ją znieść. Czarny Zakon wysłał przeciwko nam swoje armie.

Rozpętała się wojna... wojna, która wydała Przekłętą Równinę. - Milczała przez długą chwilę poruszając fałdami twarzy. - Nie był magiem. Potrafił uprawiać magię, ale nie był w stanie z jej pomocą zwyciężyć. Pozostało mu tylko jak najmniej stracić i nazwać to wycofaniem się na z góry upatrzone pozycje. Uciekł. Mnie i moją siostrę pozostawił

własnemu losowi. Sidhowie podpisali z nim Pakt, ale on nas zostawił. Utrzymał, że pogrzebał tu potężną magię grożącą śmiercią każdemu Sidhowi, który pogwałci postanowienia Paktu. Walczył na tyle dobrze, że Sidhowie mu

uwierzyli. I w ten sposób dobił z nimi targu. Sam osiedlił się poza terenem Ziem Paktu, a wszystkich swoich ludzi -

uważał ich za swoich - umieścił właśnie tu. Sidhowie okroili o połowę terytorium, aby Przekłętą Równinę mogła spełniać rolę nieprzebytej bariery. Aby obronić swe kobiety przed ludzkimi żądzami. Aby zachować czystość rasy.

- Czy w Euterpe toczą się walki? - zapytał Michael.

- A co ci to da, jeśli się dowiesz? Pójdiesz tam i uratujesz ich wszystkich? To głupcy. Mają to, na co zasłużyli.

Chociaż gdybym tylko mogła, sama stanęłabym do walki z Sidhami. Jeszcze siedem dni i byłoby to możliwe. Gdyby twoi buntownicy zaczekali choć tydzień z tą fanfaronadą... Ale teraz znajduję się pod wpływem klątwy, którą na mnie rzucono. Nic nie jem, staję się ogromna. Zrzuciłam skórę jak wąż i moje ciało jest kruche, niczym niewypalona glina. I ty, nawet ty, gdybyś tylko chciał, mógłbyś chwycić mnie teraz za ramię i oderwać je od tułowia. No, spróbuj.

- Wyciągnęła ramię. Michael cofnął się. - Ale nabiorę sił. Zawsze tak było. I wróci moc, którą on mi zostawił. Wtedy Alyons zapłaci, jeśli już nie zapłacił.

- Błagam cię. Powiedz mi, co oni robią?

- Uczynili moją siostrę strażniczką, żeby ludzie nie mogli korzystać z przejścia przez dom Izomaga. Może pozostało w niej jeszcze coś ludzkiego? Nie chwyta wszystkich, którzy przechodzą. Ciebie nie schwytała... może zawahała się widząc, kim jesteś.

- Powiedz mi! - wycedził. Nabrzmiały mu mięśnie szyi, wykrzywiła się dolna warga.

- Pogrom - odparła. - Scarbita. Alyons to Scarbita Antros, Pogromca Ludzi, i nic na to nie poradzisz.

Michael wypadł z pokoju, pognął korytarzem i zbiegł po schodach. Gdy pędził drogą, na niebie zmierzch ustępował

nocy. Starał się nie zwracać uwagi na pomarańczową lunę odcinającą się ostro od ciemności.

Kiedy w oddali pojawiły się zarysy Euterpe, jeszcze się nawet nie zasapał. Pobudzenie hyloki przywróciło energię jego tkankom i nadało zmysłom halucynacyjną precyzję. Ceglane domy leżały w gruzach wokół pożaru szalejącego

pośrodku miasta. Dostrzegał konnych Sidhów pędzących przed sobą szeregi i gromady ludzi. Buńczuki połyskiwały w blasku pożogi. Gwiazdy w górze zdawały się odwracać, zdjęte zgrozą, od tego widoku. Ziemia iskrzyła się

żywymi maleńkimi rozbłyskami.

Zbiegł z drogi i minął wzgórze. Większa część Euterpe leżała w gruzach, a niektóre dzielnice jarzyły się jak

naelektryzowane. Przez długą minutę wpatrywał się w zjawisko, które było chyba widmem hotelu obwiedzionym

poświatą pulsującą na tle fajerwerków ognia. Cała reszta była przezroczysta. Gdy patrzył, poświata wyparowała i hotel znikł.

Od strony miasta doleciały dźwięki fortepianu. Rumaki cofnęły się; jeźdźcy porzucili jeńców i zawrócili w

plómienie. Opór nie został do końca złamany.

Michael obiegnął przedmieścia i przystanął na chwilę nasłuchując muzyki. Dochodziła z ostatnich, stojących jeszcze budynków - ze szkoły. Sidhowie rzucili się na koniu przez płómienie, jakby te dźwięki doprowadzały ich do

szaleństwa.

Na wzgórzu, sto metrów od peryferii miasta, stał pogrążony w zadumie Buńczucznik. Jego złoty koń cierpliwie

czekał z tyłu na rozkazy. Michael starał się trzymać jak najdalej od blasku ognia, ale Sidh odwrócił głowę i dostrzegł

go. Ich spojrzenia skrzyżowały

się na długą chwilę: potem Alyons uśmiechnął się obnażając widmowo białe zęby i wślizgnął się na konia.

Michael zawrócił w biegu i pognął przed siebie oddalając się od Euterpe. Nie bał się; jeśli strach sprowadzał się do reakcji chemicznych zachodzących w organizmie, to odczynniki do takiej reakcji dawno już się w nim wyczerpały.

Działał dokładnie tak, jak go uczono. Teraz stawało się oczywiste, że jego edukacji towarzyszyło sporo

podświadomych instrukcji. Żurawice manipulowały w jego aurze pamięci. Potrafił wyobrazić sobie wyraziście

taktykę, metody ucieczki, o których sam nigdy by nawet nie pomyślał.

Między innymi znalazł też instrukcję, której celu nie bardzo rozumiał; mimo to zastosował się do niej. Złoty

wierzchowiec Buńczuczніка dochodził go leniwym kłusem. Jego pan tryumfował. Nadarzała się oto okazja do

skarżenia tego krnąbrnego antros, i teraz nikt mu w tym nie przeszkodzi.

Michael dostrzegł przed sobą zarysy gigantycznych zębów kamiennego kręgu nieco ciemniejszego od nocy. Skręcił

w tamtym kierunku w przesmyk między kamieniami, potem w bok i oparł się plecami o gładki, okrągły głaz z

wyrytymi na powierzchni spiralnymi rowkami. Alyons powstrzymał konia tuż przed kręgiem. - Hoy ac! - krzyknął.

- Mam gdzieś twoje hoy ac, ty okrutny sukinsynu - szepnął Michael

- Antros! Proś o łaskę Buńczuczніка. Wyłaż stamtąd i dołącz do swoich pobratymców. Nie są źle traktowani.

Ponoszą tylko karę.

- Sam przyjdź tu po mnie - mruknął Michael na tyle głośno, żeby Alyons mógł go usłyszeć, jeśli tylko dobrze

nastawi ucha; nie głośniej. Alyons wzniósł w niebo buńczuk. Jego czubek rozjarzył się przytłumioną czerwienią.

Koń, kołysząc się na boki, przeszedł między kamieniami. Buńczucznik nucił cicho po kaskaryjsku. Boi się, pomyślał

Michael.

- Wjeżdża do kręgu, musi podjechać bliżej - rozległ się jakiś głos za plecami Michaela. Rozpoznał Spart, ale jej nie widział. - Buńczuczniku! - krzyknął. - Czym się zhańbiłeś? Czym

rozniewałeś swych panów? Czy byłeś najnikczemniejszą istotą w Malnie, zdrajcą, czy po prostu czymś, bez czego mogli się obyć?

- Maln - odparł Alyons z kamiennym spokojem i tak cicho, że Michael ledwie go słyszał - nadal mnie akceptuje.

Pełnię służbę na Ziemiach Paktu. Trzymam tu w ryzach ludzkie plugastwo, żeby nie rozpełzło się po całym

Królestwie.

- Nie przyjmą cię z powrotem - urągał mu dalej Michael. Czym naraziłeś się Taraxowi?

- Nie trafiłeś - powiedział Alyons. Michael poczuł muśnięcie na aurze swej pamięci. Postawił blokadę.

- Antros! - Koń Alyonsa był już w kręgu wewnętrznym, ale Buńczucznik nie siedział na jego grzbiecie. Michael

przywarł mocno plecami do zimnego głazu.

Ostrze buńczuka pojawiło się nagle tuż przy jego twarzy i rozjarzyło jasno. Alyons wypłynął przed nim z nicości i przyłożył ostrze do piersi Michaela. Pancierz Sidha połyskiwał i falował jak żywa skóra. Emblem w kształcie

klonowego liścia widniejący na jego piersi zdawał się unosić w powietrzu w pewnej odległości od pancerza, falując własnym życiem i zmieniając się raz po raz to w liść dębowy, to w laurowy i z powrotem w klonowy. Alyons,

śpiewając w ten sam dziwaczny sposób, w jaki śpiewały Żurawice, jak gdyby szukając tonacji i nie znajdując jej, a utrzymując się w niej przez cały czas, cofnął buńczuk przygotowując się do pchnięcia.

Wysuszone trawa za plecami Buńczuczniaka wystrzeliła pionowo w górę i wirując odleciała w noc. Wokół

wewnętrznego kręgu kamieni trysnęła spirala ziemi, a podmuch spowodowany jej przelotem uniósł dęba włosy na

głowie Alyonsa. W tym momencie Sidh zamierzył się buńczukiem i Michael znowu poczuł bliskość śmierci.

I nagle Buńczucznik znikł. Spod ziemi, z rykiem tuzina towarowych pociągów wychynał potworny, stalowy wąż.

Leżał zwinięty w kłęb pod trawą i teraz wyprysnął stamtąd jak sprężyna porywając Buńczuczniaka w błyszczące

stalowe zęby. Tumany ziemi runęły zewsząd na Michaela.

Wąż uniósł Sidha wysoko w powietrze i z odgłosem pęknięcia silnie naprężonego metalu rozpadł się na człony.

Zakrzywione dzwona wyprostowały się i wbiły w ziemię na podobieństwo pali, tworząc trójnóg. Na szczycie tego

trójnoga wznoszą

cego się dokładnie pośrodku kamiennego kręgu kołysał się łeb węża.

Alyons, tkwiący jak mysz w jego paszczy, wyciągnął do Michaela trzęsące się ramię. Michael ruszył wolno wokół

trójnoga i zatrzymawszy się w miejscu, z którego dobrze widział twarz Buńczuczniaka, zdjął blokadę z pamięci.

- Drzewa, drzewa! - wykrztusił Alyons. - Szybko! Zawołaj Drzewoli... - Wił się rozpaczliwie powodując jeszcze głębsze wrażenie się stalowych zębów w ciało. Rozległ się chrzęst metalu natrafiającego na kość, tak głośny, że Michael go usłyszał, i trójnóg zachwiał się.

Alyons nie żył.

Michael nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego. Dygocząc na całym ciele, czując podchodzący do gardła

żołądek, zafascynowany patrzył w górę na trupa. Alyons wpadł w pułapkę i został stracony, a on się do tego

przyczynił. Odwrócił się od trójnoga i bezwładnego, zlanego krwią Buńczuczniaka.

Stała przed nim Spart. Nocny wietrzyk rozwiewał jej włosy. Jeźdźcy nie skończyli powiedziała. Musimy iść.

- Kto ją zastawił? - spytał wskazując na pułapkę. - Clarkham, który nazywa siebie Izomagiem.

- Po co?

- Nie wiem - odparła Spart. Głos miała chrapliwy i suchy, a wiatr przyprawiał ją o dreszcze. - Być może była to zemsta za narzucenie mu Paktu.

- Czy Alyons wiedział, że to tutaj jest?

- Najwyraźniej nie prychnęła Spart. Przymknęła do połowy powieki. - Dostyc pytań. - Pobrnęła przez trawę, a on ruszył za nią. Pożary w Euterpe wygasały. Znow padł śnieg i Michael zauważył z zaciekawieniem, że kiedy osiada na Spart, nie topnieje, jak gdyby nie podtrzymywała już hyloki.

- Widziałem się z Lamią.

- No i? - szła dalej nie oglądając się za siebie. - Nie może nic zrobić. Zrzuciła skórę.

Spart zadrżała. - Cicho - warknęła. W górze coś się zakłębiło, rozległ się poświst wichru Michael słyszał to już kiedyś. Zadarł głowę, ale na zasnutym dymami niebie nie dostrzegł nic. Przez dym, jakby wyczarowywane z nicości, przebijały się płatki śniegu.

Michael nie miał tym razem żadnych trudności z dotrzymywaniem kroku Spart; celowo utrzymywała umiarkowane

tempo marszu. - Korzystaj teraz z tego, czego się nauczyłeś - poradziła mu. - Jeźdźcy wciąż tu są.

- Nie wiedzą jeszcze o Alyonsie?

Spart nie odpowiedziała. Zrobił minę do jej pleców i potrząsnął głową. Nawet w takiej chwili potrafiła go

rozdrażnić. Przemykali się wśród dymiących zgliszczy i zwałów cegły, by po

kilku minutach dotrzeć do Kojca. On też leżał w gruzach. Michael zajrzał tam przez pozostałości grubego muru.

Otwarte doły przeglądały się w nocnym niebie.

W najmniej zniszczonej części miasta mijali ludzi biegnących albo stojących w oszołomieniu; mieszczan ze

spętanymi nogami przykutych do ziemi; mężczyzn i kobiety kryjących się po zakamarkach. Dym i wygasające

plamienie dodawały blasku ich błyszczącym paniką oczom. Nie zauważył żadnego zabitego ani nikogo poważnie

ranionego. Może to groźba Izomaga powstrzymała Sidhów na tyle, aby ustrzec miasto przed ogólną rzezią.

Spart zbiegła po schodach prowadzących do piwnicy pod stosunkowo mało zniszczonym dwukondygnacyjnym

budynkiem magazynu. Podążała przodem w całkowitych ciemnościach, a Michael dreptał za nią po omacku, kierując się odgłosem jej kroków i macając dłońmi ścianę.

Na końcu korytarza znajdowało się pomieszczenie oświetlone naftowymi lampami o szklanych kloszach. Po

podłodze wały się połamane wiklinowe kose i potrzaskane meble. Ceglane ściany, spryskane jakimś srebrzystym blaskiem, skrzyły się tak, że od patrzenia na nie bolały oczy.

Pośrodku pomieszczenia, wśród tego rumowiska, siedział przygarbiony Savarin. Usłyszawszy ich, ledwie raczył

zerknąć w górę. Twarz i ubranie obsypane miał skrzącym się pyłem. Wpatrywał się w podłogę i nagle, jak gdyby

przypomniawszy coś sobie, podniósł znowu głowę i utkwiał w Michaelu swój nieobecny wzrok. Zdrajca - wyrzucił z siebie.. - Powiedziałeś im. - Głos miał bezbarwny i przygaszony.

- Nic nikomu nie mówiłem - zaprotestował Michael, ale z Savarinem nie było najwyraźniej żadnej dyskusji.

Nauczyciel uśmiechnął się jakoś niesamowicie, potrząsnął głową i powrócił do

ogłędzin podłogi. Spart wskazała na najdalszy kąt piwnicznego pomieszczenia, gdzie z dala od blasku naftowych lamp siedziała jakaś postać. To była Helena; jej skóra i ubranie skrzyły się. Siedziała z podciągniętymi pod brodę kolanami na prowizorycznym wiklinowym stołku do fortepianu. Przed nią stał fortepian z roztrzaskanym narożem.

Pudło było wypatroszone. Z takim mozołem zmontowane wewnątrz leżało poszarpane i skręcone w kłęb kilka metrów

dalej. Michael podszedł do Heleny i wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej

ramienia, ale odsunęła się o mało nie spadając z chybotliwego stołka. - Wiem, że nie powiedziałeś - odezwała się chrapliwie odwracając twarz do ściany. Mocniej objęła kolana ramionami i kołysząc się lekko przycisnęła brodę do nadgarstków. - Nie wykorzystaliśmy proszku. Byli tu przed chwilą. Grałam. To była dla mnie jedyna okazja, żeby zagrać. Skorzystaliśmy z fortepianu. Zagraliśmy na nim. Ale nie wykorzystaliśmy... tego, co przyniosłeś. Masz. -

Wręczyła mu woreczek. Węzeł był rozwiązany, wewnątrz pozostało kilka zaledwie ziarenek.

Spart pochwyciła woreczek i odrzuciła go ze złością. Jedną ręką złapała Helenę za włosy i strząsnęła z nich resztki drogocennych iskierek. - Przeinaczyli go, zmarnowali. - Parsknęła z pogardą i odciągnęła Michaela od Heleny. -

Szkoda na nich twego czasu - powiedziała.

Michael obejrzał się na Helenę, niepewny, co odczuwa: współczucie, perwersyjną satysfakcję na widok pogwałcenia tych, którzy go zdradzili, zgrozę i złość, że można tak było potraktować ludzi, którzy byli mu bliscy.

- Nie zostało już nic tego proszku? - spytał.

- Ani dla nas, ani dla nich. Przeinaczyli go i jeśli teraz spróbują przejść, sani będzie działało na opak. Przyciągnie wszystkie potwory z Równiny. - Potrząsnęła ręką, otarła ją energicznie i wyciągnęła go po schodach z piwnicy. Gdy zaprotestował, że musi zostać, żeby im pomóc, jej wzrok zadał mu proste pytanie: A co ty możesz?

Nie mógł nic. Poszedł za nią.

Znalazłszy się na ulicy podbiegli kawałek, a potem ukryli się przed jeźdźcami przejeżdżającymi z tętentem kopyt za nietkniętym

rogiem rozwalonego poza tym budynku. - Dokąd idziemy? wyszeptał Michael.

- Wyruszasz w drogę - powiedziała Spart. - Z proszkiem czy bez niego. Nadszedł twój czas. Wrócisz ze mną na

pagórek, a dalej pójdziesz sam.

Dopiero teraz przypomniał sobie o książce pozostawionej pod krokwiemi w domku. Zapomniał o niej ogarnięty

obsesją wydostania się za wszelką cenę z Królestwa.

- Chodź! - Spart pognała przed siebie. Słyszac narastający tętent końskich kopyt, instynktownie rzuciła cienie. Spart stała się tłumem ludzi. Konie zatrzymały się jak wryte za ich plecami i zaczęły się cofać, rżąc z podniecenia.

Przekleństwa jeźdźców ledwie docierały do uszu Michaela.

Biegli pustą i pokrytą śniegiem drogą prowadzącą do Półmiasta. Poprzez luki w powłoce chmur spływała z nieba

cętkowana gwiazdna poświata. Swąd dymu rozwiął się. Spart gnała tak szybko jak zwykle i miał trudności z

nadążeniem za nią.

Przed nimi rozpościerało się puste i ciche Półmiasto. Spart zwolniła i poprowadziła go normalnym krokiem przez miasto, zerkając to na opuszczone budynki, to na Michaela, jakby chciała podkreślić bezludność tego miejsca.

- Gdzie wszyscy się podziali? - spytał Michael.

- Ci, którym nie udało się zbiec, będą służyć Adonnie. - To był właśnie ten poświst wichru, który słyszał -

przybywający Meteorale. Układ Żurawic z Meteoralami przestał obowiązywać. Nie był to na pewno odpowiedni

czas na odejście, jeśli chciał zachować resztki poczucia godności własnej.

- Nie mogę teraz odejść - zdecydował. - Muszę odnaleźć Eleuth. Muszę jej pomóc.

- Jeśli zostaniesz - powiedziała Spart - jeźdźcy pojnąją cię i uwiężą razem z innymi. Nie będziesz w stanie nic dla nich zrobić. Jeśli umkniesz, być może pomożesz im... z zewnątrz. - Nie mówiła całej prawdy - chociaż jeszcze kilka tygodni temu nie zorientowałby się, 'ze coś przed nim ukrywa. A to przecież Spart uczyła go wrażliwości na takie niedomówienia.

- Poza tym nie masz co szukać Eleuth. Ona nie żyje.

To drugie potwierdzenie tym razem z niekwestionowanego źródła - wstrząsnęło nim do głębi.

- Dała z siebie wszystko - ciągnęła Spart. - Biorąc pod uwagę okoliczności, dobrze się spisała.

Zbliżali się do pagórka, a w jego oczach kręciły się łzy. Chata Żurawic stała nietknięta, ale jego domek leżał w rozsypce. Chatka Biriego została rozebrana do końca. Michael przystąpił do przetrząsania rumowiska w

poszukiwaniu książki i znalazł ją w nie uszkodzonym stanie, wciśniętą pomiędzy krokiew a belkę. Wsunął tomik do kieszeni.

Stały za nim Nare i Coom. Popatrzył między nimi; nie miał im nic do powiedzenia, nic nawet nie przychodziło mu do głowy. - Wkrótce, jesteś pusty - odezwała się Nare.

- Ananna - powtórzyła Coom. - Gotów. Teraz, albo nigdy. Spart uśmiechnęła się współczująco. - Jeszcze jedna

sprawa, a potem przejdiesz przez Równinę i odszukasz Izomaga. Musisz zostawić tutaj części siebie, których

nienawidzisz.

- Co takiego? - zapytał cicho.

- Jeśli istnieje jakaś część ciebie, której nie lubisz, możesz się jej pozbyć. Nadal masz w sobie zbyt wielu ludzi. Ale to może ci nawet przez jakiś czas pomagać. Poświęć ich. Kiedy znajdziesz się w wielkim niebezpieczeństwie,

rzucaj pod postacią cienia to ze swoich ja, którego nie lubisz. Wysyłaj je przodem. Będzie realne, materialne. Umrze za ciebie.

- To możesz robić tylko ty, my tego nie potrafimy - powiedziała Nare. Coom pokiwała głową przytakując.

- Dokąd mam się skierować, kiedy przedostanę się przez Równinę?

- Jaki pewny siebie - powiedziała Nare wznosząc oczy do nieba.

- Idź brzegiem rzeki do morza. Bez względu jak daleko zajdziesz, trzymaj się zawsze rzeki - poradziła mu Spart.

- A co będzie z wami trzema?

Nare i Coom już nie było. Wydawało mu się, że pamięta, jak odchodziły, ale jak przez mgłę. Spart trzymała dłoń przed oczyma. - Do się-mówienie - powiedziała. - Odsię-widzenie. Gdy będziesz gotowy, staną się twoje. To jedyne dary na drogę,

człowieku-dziecko. Bądź wdzięczny i za to. Nigdy nie byliśmy szczodre.

I nagle też zniknęła. Odwrócił się, żeby sprawdzić, czy nie zbiegają z pagórka, ale nie było po nich ani śladu z żadnej strony. Pagórek był teraz pusty.

Tam gdzie zawsze stała chata, pozostał tylko kurz, stare żerdzie, kilka kamieni, pęknięty moździerz i parę odłamków szkła. Michael był zdany tylko na siebie.

Rozdział dwudziesty ósmy

Granica między Ziemią Paktu a Przeklętą Równiną była teraz zarysowana mniej wyraźnie. Michael podejrzewał,

że koło rozpadu zamknęło się i że Ziemia Paktu wkrótce przestaną istnieć.

Stał na głazie nie opodal rzeki i spoglądał w dół, na rozmazaną smugę czerwieni, szarości i brązu pełzającą po oszronionej trawie. Tam gdzie granica przecinała na wpół zamrożoną rzekę, wiry błota i krwistoczerwonej wody pozostawiały na lodzie i na brzegach różowawą plamę.

Nie mając .sani, nie mając żadnej broni prócz kija był naprawdę pusty bez duszy i z pustymi rękoma. Opuściwszy pagórek Żurawic, przez chwilę czuł do siebie nienawiść, ale teraz nawet i ona go opuściła. Był parą oczu

zawieszonych nad bezdennym, psychicznym spustoszeniem, czuł się wymieciony do czysta z młodzieńczych

zahamowań - ale jednocześnie wymieciony do czysta z młodzieńczych ideałów; ze wszystkiego, co piękne i

hamujące. Zsunął się z głazu i przeszedł tę niewyraźną granicę.

To co najbardziej go uderzało, im dalej zapuszczał się w głąb Przeklętej Równiny, to cisza. Towarzyszył mu tylko przytłumiony tupot własnych stóp wzbijających małe obłoczki pyłu. Pył ten opadał z powrotem na swoje miejsce, nie znoszony najmniejszym podmuchem wiatru.

Zima tu nie dotarła. Światło poranka było niejednorodne i pomarańczowe; wibrowało od czasu do czasu, jak gdyby całe powietrze było szarpaną przez kogoś struną.

Michael maszerował z początku szybkim krokiem, potem puścił się biegiem. Mijał brązowe kałuże i parujące

szczeliny, obiegnął słupy lawy i jeszcze bardziej zwiększył tempo. Po słupie pełzały maleńkie, wydłużone cienie.

Po godzinie drogę zagroziła mu rozpadlina. Była szeroka na jakieś sto metrów, a skraj rozwarstwiał się niczym stronicie książki

w cienkie jak brzytwa płyty przezroczystej skały: Dno było płaskie, usłane piachem. Tę piaszczystą gładź naruszały stożkowe wgłębienia rozmieszczone w regularnych odstępach, przypominające ślady pozostawione przez

gigantyczne damskie szpilki.

Szedł jakiś czas wzdłuż tej krawędzi w nadziei, że znajdzie inną drogę. Do dna było około dziesięciu metrów, a poza tym nie uśmiechało mu się brnąć przez ten piach. W końcu jednak niecierpliwość i podejrzenie, że rozpadlina może się tak ciągnąć bez końca, sprawiły, że się zdecydował. Kopnął na próbę w kamienne tafle. Z umiarkowanym

wstrząsem rozsypały się na kawałki. Mógł teraz wykopać sobie łagodne zejście na dno. ~~

Piach był gruboziarnisty i ubity. Szedł szybko i ostrożnie, z daleka omijając wgłębienia.

Jak dotąd nie natknął się na żadnego z mieszkańców Przeklętej Równiny - o ile nie zaliczać do nich słupa lawy i podobnych do robaków cieni. Miał już nadzieję, że przejdzie bez kłopotów, kiedy dół widniejący przed nim

powiększył się gwałtownie. Musiał rzucić się w tył, żeby nie zsunąć się na jego dno.

Pośrodku dołu pojawiło się wybrzuszenie. Michael cofnął się, ale nie dość daleko, by uniknąć obsypania piachem, kiedy wybrzuszenie pękło jak bąbel. Przetarł oczy i usłyszał niski, miły głos

mówiący: - Nawet sobie nie

wyobrazasz, co to za ulga znaleźć się z dala od Euterpe. - Z dołu gramolił się Izmail, Dziecko
wygłaszające

przepowiednie w Kojcu. Stał przed Michaeliem wymizerowany i nagi. Jego długa, blada, surowa
twarz, mimo że

nie pomarszczona, i tak wyglądała na bardzo starą. Uniósł w górę dłoń osadzoną na nienaturalnie
grubym

nadgarstku. O wiele za długo przebywałem z dala od przyjaciół. - Pstryknął pogrubiałymi w stawach
palcami i z rozsianych wokół wgłębień wyskoczyło więcej postaci, z których nie wszystkie nosiły tak
miłe dla oka kształty, jak Izmail. - Czym możemy ci służyć, człowieku?

- Pozwólcie mi przejść - powiedział Michael. - Wewnętrzna pustka pomogła mu opanować drzenie
głosu.

- Przechodzi każdy, kto chce. Nie chciałbyś przewodników? Wiesz przecież, że na tych terenach
może być

niebezpiecznie. - Nie, dziękuję.

Izmail wciągnął powietrze w płuca i parsknął śmiechem wybałuszając oczy. - Jesteśmy jedynymi
pobratymcami,

których tu

masz. Nie bierz na poważnie całej tej propagandy, jaką cię karmili. Nie jesteśmy nawet w
przybliżeniu tak źli, jak twierdzą nasi rodzice.

- Może i nie - powiedział Michael. - Ale sam sobie poradzę. - Zerknął na resztę; było ich siedmiu
albo ośmiu.

Wszyscy wykazywali pewne podobieństwo do ludzi, ale przynajmniej u trzech to podobieństwo było
w najlepszym

przypadku dalekie. Bezwłose ramiona zwisały im do ziemi lub wrastały w uda; twarze były złymi
parodiami. Izmail zbliżał się powoli do Michaela, wyciągając przed siebie ręce, jakby chciał w ten
sposób okazać dobre zamiary.

- Po tych wszystkich przejściach nabraliśmy ochoty, aby nieść pomoc - powiedział. Jego ton
przypominał teraz

bardziej głos spikera radiowego - gładki, kulturalny, coraz mniej i mniej wiarygodny.

A więc której części nie lubisz? Przygotuj się.

Tak długo nie doceniano naszych zdolności - ciągnął Izmail rozczulając się nad sobą. - Lekceważono nasze uczucia.

- Nie zbliżaj się - warknął Michael.

- Nie to nie - powiedział Izmail zatrzymując się. Ukląkł i zezował w górę na Michaela żółtozielonymi oczyma. -

Bracie. Zrodzonyś z mężczyzny i kobiety. Tak samo, jak my.

- Uspokój się - powiedział Michael.

Izmail westchnął głęboko. - Gdzie twój proszek, wędrowcze? Tylko głupiec przechodzi przez Przekłętą Równinę bez proszku albo konia.

Sądzę, pomyślał Michael, że najchętniej wyrzuciłbym z siebie większość tego, czym kiedyś byłem. Tę swoją głupotę i ślepotę. Czy potrafię to zrzucić?

Nie było odpowiedzi. Decyzja należała do niego, sam musiał podjąć ryzyko.

Albo swoją głupią przekorę. Gdybym postępował bardziej rozważnie i starał się przewidzieć skutki, Eleuth może by żyła, a Helena... Nie, w jego postępowaniu w stosunku do Heleny błędów było

mało, a może i wcale. Nie mógł utworzyć cienia z nieprzyjemnych wspomnień.

Chcę rzucić cień swojego ja, które wykorzystało Eleuth.

Przez chwilę w tym samym miejscu stało na Przeklętej Równinie dwóch Michaelów Perrinów. Izmail rozprostowywał i zginał swoje

długie palce. Jego usta otwierały się coraz szerzej i szerzej, jakby nie miał wcale szczęk; wargi spełzły mu z elastycznych, ale bardzo ostrych zębów. Oczy cofnęły się i jego twarz stała się samymi ustami, samymi zębami, spomiędzy których wysunął się cienki i srebrzysty jak ostrze noża język.

Skóra na barkach Dziecka rozstąpiła się i po jego piersi i rękach popłynęła krew. Pęknięciami tymi zaczęły wypełzać spod skóry wybujiałe, brązowe pokrzywy i cierniste pnącza, oplatając mu się wokół ust, a potem ześlizgując na resztę ciała i wbijając, gdzie popadnie, swoje ciernie w poszukiwaniu punktów zaczepienia.

- Czas przybrać prawdziwą postać - powiedział Izmail mlaskając językiem. Reszta Dzieci przechodziła swoje

indywidualne transformacje. Obaj Michaela pozostawali spokojni.

Nie wszystko, co uczyniłem, było do końca złe, powiedział Michael przeznaczony na ofiarę.

Ale nigdy już nie możesz być całym mną, odpowiedział Michael mający uciekać. Jesteś przeszłością.

Postąpił krok w bok. Dzieci rzuciły się z oszalelami szybkością na Michaela-cień oplatając go cierniami, zębami, ramionami, pazurami i innymi, nie mającymi nazwy organami zniszczenia. Cień wrzasnął i Michael gnający już

dnem rozpadliny poczuł nagłe osłabienie.

Izmail oderwał paszczę od pożerania i zawył zrywając się na równe nogi, żeby rzucić się w pogoń, ale Michael

rozkopywał już nogami kamienne tafle i gramolił się po przeciwległym zboczu. Pokaleczył sobie ręce i rozciął goleń od kolana do kostki, ale przelazł wreszcie przez krawędź i znalazłszy się z powrotem na pokrytej miękkim proszkiem płaszczyźnie, popędził dalej przed siebie, potykając się co chwila i zataczając. Ból nie spowolnił go zbyt. Pył

wnikał w jego rany, a jego krew, skapująca kroplami przypominającymi maleńkie rubiny, wsiąkała w pył.

Ścisnął kurczowo książkę spoczywającą w kieszeni. Książka była łącznikiem z realnym światem, zawierała słowa z domu ułożone przez tych, którzy nigdy nie byli w miejscu, gdzie on był teraz, którzy żyli we względnej normalności i pracowali w spokoju nad swoimi wierszami. Pocierał palcami przez materiał skórzany grzbiet i myślał o tym, co (a może, kogo?) pozostawił przed chwilą za sobą na zatracenie.

Pokuta. Przetrawanie.

Jednak, co dziwne, ta pustka była teraz mniej głęboka. Stracił; zyskał.

Widział już w oddali kraniec Przeklętej Równiny i krainę rozciągającą się dalej - mgiełkę i wysokie, przyprószone śniegiem wierzchołki drzew. Słupy lawy były coraz rzadziej rozrzucone i mniejsze, bardziej przypominały pionowe kominy pieców żużlowych niż kolumny.

Na granicy kłębiła się mgła, nieprzejrzysta jak wodniste mleko. Z miejsca, gdzie stał, sprawiała wrażenie

namacalnej, bardziej przypominała pajęczą sieć niż mgłę. Do granicy pozostało mu niecałe sto metrów, jednak

zwolnił, a po chwili zatrzymał się.

Coś długiego i wijącego się wychyleno ponad mgłę i spojrzało na niego z góry. To był czaszkoślimak. Głowy i

krwistoczerwone ślepia rozglądały się po okolicy, cielsko wlokło za sobą makabryczną skorupę. Michael usiłował

ocenić, jak wolno porusza się potwór i jaką ma szansę go pochwycić, jeśli pokona biegiem ostatni odcinek.

Ślimak wynurzył się z mgły z głośnym cmokaniem. Jego oślizła masa falowała sunąc ruchem robaczkowym.

Skorupa-czaszka kolebała się z tyłu, ryjąc w pyle gładką bruzdę.

Czego chce? Nie poruszał się na tyle szybko, żeby Michael nie mógł przed nim uciec; pomimo całej swej ohydy

wydawał się niegroźny. Grupa osadzonych na szypułkach oczu skoncentrowała się na Michaelu. Zewnętrzne były

jasnoczerwone, jak krew tętnicza, krąg wewnętrznych - ciemniejszy. Cielsko połyskiwało jak olej na brudnej kałuży.

Michael stał na ugiętych nogach, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Na myśl, że Dzieci z rozpadliny może nadal go ścigają albo przekopują się pod ziemią, żeby znowu wyskoczyć przed nim, ciarki przechodziły mu po plecach.

Czaszkoślimak zatrzymał się; siła bezwładności popchnęła go jeszcze w pyle o dobry metr. Skorupa mieniła się

barwami, jej powierzchnię przecinały postrzępione pasma brązu, czerni i czerwieni. Ramię, które wysunęło się z wgłębienia „nosa”, uniosło się o jakieś trzy metry wyżej i przekształciło w usta do złudzenia przypominające ludzkie.

- Weź mnie ze sobą - przemówiły usta. Głos był żeński, nieznajomy. - Weź mnie ze sobą - powtórzyły ciszej. - Nie jestem tym, na co wyglądam. Nie jestem stąd.

- Czym jesteś? - spytał Michael rozglądając się szybko dookoła, żeby sprawdzić, czy to nie pułapka.

- Jestem tym, czym życzę sobie widzieć Adonna. Coś sondowało jego pamięć, ale Michael nie osłonił swojej aury. Głos czaszkoślimaka przypominał głos Sidha i Michael był ciekaw dlaczego.

- Kim jesteś?

- Żoną Tonna - odparł czaszkoślimak. Tonn był magiem Sidhów, o którym wzmiankę słyszał na Kaela. - Porzuconą.

Zdradzoną. Weź mnie ze sobą!

Michael obszedł stwora szerokim kołem. Potwór nie starał się już zbliżyć do niego. - Jesteś magiem. Zabierz mnie tam, gdzie będę mogła znowu żyć. A ja ci powiem, gdzie jest Kristine.

- Przykro mi - powiedział Michael. - Nie jestem magiem. I nie wiem, kto to jest Kristine.

Przeszedł przez cierpką w smaku mgiełkę i przekroczył granicę. Czaszkoślimak wznosił wyżej oczy i patrzył za

Michaeliem, jak idzie tam, gdzie on nie mógł, ale już się nie odezwał. Michael wszedł na kilkadziesiąt metrów w zimowy las i dopiero wtedy zaczął się trząść jak osika. Błaganie potwora odbijało mu się echem w głowie; tak

rozkoszny głos w tak groteskowej postaci, jak gdyby klątwę rzucił szczególnie twórczy i perwersyjny czarownik.

Położył się na lodowatej trawie w śnieżnym cieniu majestatycz- j nego dębu i oczyścił szronem ręce, a potem

przetarł twarz i oczy. Wydawało mu się, że nie spał od lat. Stłumił bóle ciała i starając

się zignorować pierwsze oznaki ropienia ran wypoczywał w mokrej teraz trawie, dopóki nie opadły mu powieki.

Gdy się ocknął, była już noc. Lekki wietrzyk szeptał w liściach przesuwając ich sylwetki po czystych jak diamenty gwiazdach. Z liści opadały chybotliwie płatki śniegu, topniejąc w zetknięciu z ubraniem lub skórą. Gdy przekręcił

się na bok, przywitał go świeży, zimny zapach zmarzniętego soku traw i zgniecionych liści.

Pokonując rozpadlinę zboczył na północ od rzeki. Teraz stanął na chwiejnych, zdrętwiałych nogach, żeby znowu

poszukać wody i obmyć sobie rany oraz oczyścić się z resztek pyłu z podróży. Najgorzej bolało przecięcie na

brodzie; poza tym czuł, że spuchły mu nogi. Dłonie znajdowały się w lepszym stanie, ale przecież nie

wykorzystywał ich w takim stopniu. Zakręciło mu się w głowie i wdepnął z pluskiem w zimną trzciniastą płyciznę.

Pobrnął dalej przez lód.

Przemył sobie dokładnie rany, a potem obwiązał je wodorostami i skropił odrobiną soku ściągającego, tak jak uczyły go Żurawice chyba całe wieki temu. Po kilku minutach zawroty głowy ustąpiły i stojąc na mieliźnie ściągnął ubranie, żeby umyć się dokładnie.

Usiadł potem na brzegu czekając, aż osuszy go nocny wietrzyk i podwyższona temperatura własnego ciała i

nasłuchiwał odgłosów wydawanych przez drzewa. Nie miał pojęcia, czy najgorsze jest już za nim, czy dopiero go czeka. Czuł się jednak spokojny. Po tylu miesiącach spędzonych na stepowych Ziemiach Paktu i po trudach treningu przyszła nareszcie chwila, kiedy mógł być naprawdę sam, kiedy

mógł poszukać siebie pośród wszystkich

dotychczasowych doświadczeń. Tego co teraz znajdował, nie musiał się wstydzić, chociaż zdawał sobie sprawę, że pozostały jeszcze niewyglądzone krawędzie, a nawet całe osobowości, które trzeba będzie poświęcić. No i pomimo całego spokoju, jaki tu panował, znajdował się nadal w Królestwie.

Żałował, że nie jest dość jasno, żeby mógł poczytać książkę. Gwiazdy, chociaż dawały trochę blasku, nie pozwalały na to. Masował więc sobie nogi, przeguby i przedramiona i usiłował nawiązać łączność z Radiem Śmierci.

Kiedy i to mu się nie udało, zaczął pogwizdywać. Zreflektował się po chwili, rozejrzał niepewnie dookoła i

przystąpił do układania wiersza mamrocząc pod nosem.

Jakże często miłością po prostu jest ,śmierć. Zróbcie przejście, zróbcie przejście nowemu!

Nie potrafił dojść do ładu z tym fragmentem, ani wydusić z siebie dalszych linijek. Wyglądało na to, że spokój ducha nie sprzyjał poezji - przynajmniej na razie.

A poza tym co chciał przez to wyrazić? Eleuth zabiła się w imię miłości - on, w ramach kontrpoświęcenia, zabił

częstkę siebie...

* Przełożył Łukasz Nicpan.

Liście ocierały się o siebie, kołysały się konary drzew, padał śnieg, trawa posykiwała cicho, a rzeka kotłowała się w korycie łamiąc z trzaskiem zamarzniete trzciny.

- Antros...

Michael zerwał się momentalnie na równe nogi. Znikła jego hyloka i chłód zaczął wysysać zeń ciepło. W odległości kilku metrów stała w ciemnościach wysoka postać z buńczukiem w ręku. To był Alyons.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Michael usiłował nie okazać przerażenia. Starał się przywrócić ciepło swemu ciału, zapanować z powrotem nad

biciem serca, które omal nie wyskoczyło mu z piersi.

Widział Alyonsa ukrzyżowanego przez stalowego węża. Obserwował, jak życie i krew wyciekają z Sidha, i słyszał, jak ten wzywa Drzewoli...

A teraz Alyons stał przed nim uśmiechnięty, jakby nic się nie stało. Michael wiedział, że

zmartwychwstanie Sidha jest jeszcze mniej prawdopodobne niż człowieka, ale miał tutaj dowód na coś wprost przeciwnego namacalny,
przerazający.

Alyons zbliżał się wolno wpatrzony w jakiś punkt nad ramieniem Michaela. - Co cię tak przeraża, człowieku?

Michael nie znajdował odpowiedzi, która nie wyglądałaby bezsensownie.

- Myślałeś, że tak łatwo się mnie pozbędziesz? Że uchronisz swoich ludzi przed ich własną głupotą?

Michael stał wciąż nieruchomo jak sparaliżowany. Włączyła się jego hyloka, ale i tak trząśł się ze strachu i

powracające ciepło nic tutaj nie pomagało. - Ja...

Tak, człowieku-dziecko? Głupi, słaby człowieku-dziecko. - Ja ciebie nie zabiłem - wykrztusił wreszcie Michael. -

Nieważne.

- Ja nie... nie cieszyłem się z twojej śmierci.

Sidh wzruszył ramionami. Przez długą minutę mierzyli się wzrokiem. Opończa Buńczuczніка łopotała w

podmuchach lekkiego nocnego wietrzyku; jego czerwone włosy wyglądały w blasku gwiazd jak czarne. Oczy

błyszczały mu pustym blaskiem jak zwierciadła widziane z odległości wielu mil. W końcu Michael cofnął się.

Alyons nie wykonał żadnego ruchu.

- Ty nie żyjesz, prawda? - spytał Michael. Nie mógł nic wyczuć we wnętrzu Alyonsa; nie znajdował śladu aury.

Albo... nie nauczył się jeszcze korzystać z daru Żurawic.

- Jestem umarły - przyznał Alyons. - Bez nadziei nawet na drzewa. A jeśli nawet nie ty mnie zabiłeś, to ty

wprowadziłeś mnie do tego kręgu, ty mnie tam zwabiłeś. Na jedno wychodzi.

- Nie wiedziałem.

- Gdybyś wiedział, nie wpadłbym w tę pułapkę - powiedział Alyons. - Odczytałbym twoją wiedzę. A może uważasz, że byłem skończonym głupcem?

- Sidhowie nie pozostawiają duchów - powiedział Michael. Miał jednak przed sobą dowód, że zostawiają...

- To prawda.

- Czym więc jesteś?

- Jestem klęską, antros. Twoją klęską, swoją klęską. Jestem pustką, nie pozostało po mnie nic. Mój koń wędruje teraz nie niosąc na grzbiecie jeźdźca. Skrzywdziłeś mnie podwójnie, człowieku-dziecko.

- Nie rozumiem.

- Przywiodłeś mnie do śmierci, a nie zagarnąłeś zdobyczy. Wzgardziłeś nią.

Michael odsunął się już na kilka metrów od Alyonsa i z wysuniętą w tył nogą szykował się do wykonania zwrotu i ucieczki. Alyons skinął w stronę lasu. Spomiędzy drzew wynurzył się koń.

Miał rany na kłębach i zadzie, a w jego szeroko rozwartych oczach malował się jeszcze dziki strach przed

niedawnym zagrożeniem. - Zabijasz Sidha, bierzesz jego konia. Wzgardzenie koniem to podwójna zniewaga. Jesteś bardzo głupi, człowieku-dziecko. - Co mam zrobić?

Alyons wskazał na konia. - Bierz mojego epona. Nie marnuj wszystkiego, czym byłem. Koń Sidhów na pewno ci się przyda... Tak, to była prawda, ale Michael nie więcej pragnął konia

Alyonsa, niż towarzystwa Buńczuczніка. - Nie mogę - powiedział. - Nie wiem nawet...

- Powiedz do niego: „jam twym panem, tyś mą duszą”. Ulegnie ci wtedy.

- Dlaczego pragniesz mi go oddać?

- Ja nie mam żadnych życzeń, żadnych pragnień. Takie prawa tu obowiązują. Tylko człowiek nie wyczuje

instyktownie... że taki jest zwyczaj.

- Jesteś cieniem - stwierdził Michael w nagłym przebłysku zrozumienia.

- Bez żadnych życzeń, żadnych pragnień... i po wsze czasy, jeśli marnuje się koń. - Założył ręce na piersi, jakby przygotowywał się do czekania przez wieczność.

- Odejdiesz, jeśli wezmę konia?

Alyons skinął głową. - Nie ma mnie teraz tutaj. To tylko twoja ignorancja lepi moją postać z ciemności. Jestem tylko klęską i gwałtem,

- Zatem wezmę tego konia - zdecydował się Michael. Cię wymierzył swój buńczuk w Michaela; koń podszedł doń

wolno i odwrócił się za jego plecami stając przodem do widma dotychczasowego pana.

- Klęska pozostaje - powiedziało widmo ciemniejąc. - Ale gwałt się skończył... - Wypowiedziawszy te słowa

wybuchnęło chrapliwym rechotem, stało się czarne jak odległe drzewa i rozpląnęło w nicość.

Michael zadygotał konwulsyjnie, zrzucając cały swój strach w pojedynczym paroksyzmie. Koń przyglądał się mu

wielkimi, zdziwionymi, szarymi oczyma. Michael wyciągnął niepewnie rękę, żeby dotknąć jego uzdy.

- Darowany koniu - przemówił do zwierzęcia. - Musiałeś sam przejść przez Przeklętą Równinę... a może on, to

widmo cię przeprowadziło. - Zerknął w noc, na miejsce, w którym stał Alyons, żeby się upewnić, czy cień jeszcze tam nie stoi i nie czeka na swą szansę. Przez głowę przelatywały mu setki myśli. A jeśli Sidh potrafił po śmierci odcisnąć w zwierzęciu swoją osobowość - a jeśli koń nadal słucha Buńczuczніка? Mógłby go wtedy zrzucić, zabić...

Jednak badając zwierzę Michael nie znajdował w nim ani śladu Buńczuczніка. A koń na pewno ułatwi mu podróż.

Położył się po zawietrznej stronie dębu, gdzie śnieg nie przysypał trawy, i zanim ponownie zasnął, jeszcze przez godzinę przyglądał się swemu niepożądanemu wierzchowcowi.

Był już jasny dzień, kiedy się obudził. Koń strącał kopytem szron z trawy i skubał śniadanie. Michael był wściekle głodny; hyloka musiała czerpać niezbędną jej energię, skąd się da, i podejrzewał, że jeśli nie będzie się dobrze odżywiał, wkrótce zacznie marznąć. '

- Gdzie my znajdziemy coś do jedzenia, hmm? - spytał konia. Ten potrząsnął grzywą i obserwował go nie

przerywając jedzenia. Michael poklepał go lekko po boku, a potem zaszedł od łba i powoli, wyraźnie szepnął mu do ucha. - Nie wiem, czy rozumiesz po angielsku, ale jestem teraz twoim panem. I mam nadzieję, że znajdzie się we mnie miejsce... że teraz znajdzie się we mnie miejsce dla ciebie, żebyś został moją duszą. - Koń trącił chrapami jego dłoń i poderwał łeb.

- Możemy ruszać? - mruknął Michael. Nie było sensu dosiadać konia na modłę Sidhów. Wdrapał się,

jak potrafił, na grzbiet, uczeplił się grzywy i trącił zwierzę piętami.

Koń niepewnie napiął pod nim mięśnie, potrząsnął łbem i ruszył kłusem. Michael przywarł do jego szyi, żeby

gałęzie drzew nie smagały go po twarzy.

Niewiele było jedzenia w Królestwie zimową porą. Michael żywił się skromnym zapasem czerwonych jagód

zebranych z krzaków, rad, że ma chociaż to i ucieszony ze zwariowanego porządku pór roku w Królestwie, gdzie

krzaki wydają owoce w zimie. Przy takich głodowych racjach nie mógł zbyt liczyć na hylokę, nauczył się więc szybko koncentrowania niewielkich ilości ciepła, jakie mu pozostało, i rozpalania ognia palcem wskazującym. Nie wychodziło mu to tak sprawnie jak Biriemu, ale zaczynał podejrzewać, że jego zdolności otarły się, przynajmniej troszeczkę, o magię Sidhów. Grzał się przy ogniskach i topił sobie śnieg do picia. Koń miał pod dostatkiem

zmarzniętej trawy, ale chętnie pił wodę ze śniegu, a w nocy trzymał się blisko płonącego i dymiącego ogniska.

Po kilku dniach rozpalania ognia tą metodą Michael zauważył, że schodzi mu paznokieć z palca. Wkrótce mógł już bez trudu zerwać go sobie całkowicie. W zamyśleniu cisnął paznokieć w sam

środek świeżo rozpalonego ogniska i obserwował, jak kurczy się i czernieje. Od tej chwili zaczął się z niepokojem zastanawiać nad konsekwencjami niektórych swoich nowych umiejętności.

W ciągu tygodnia przebył około trzystu kilometrów - trudno było prawidłowo oceniać odległości, jeśli w ogóle warto je było mierzyć w Królestwie - trzymając się wciąż skutej lodem rzeki. Przez cały czas był głodny i chudł coraz bardziej. Tęsknił za owsianką, którą karmiły go Żurawice. Była taka niesmaczna i tak cudownie wypełniała żołądek.

Ósmej nocy, kuląc się blisko ogniska rozpalonego wśród drzew (a to był mały las!) i popatrując na konia stojącego w pobliżu ze spuszczonego, zakapturzonego łbem, Michael rozważał na poważnie pomysł zabicia zwierzęcia i zjedzenia go. Po części myślał o Birim bezpośrednio po rytualnym zjedzeniu konia; ponadto z czułością wspominał smak

konkretnego posiłku. Spróbował trawy, ale była cierpka i wyraźnie nie nadawała się dla ludzi. Spróbował kory, a właściwie żuł ją przez chwilę szukając w niej larw, ale kora smakowała jak chinina zmieszana ze skórkami cytryny, a larw w Królestwie nie było. W prowizorycznym czajniczku z osobliwie wydrążonego kamienia wstawionym do

ogniska udało mu się przyrządzić z kory znośną herbatę. Wypił ją w kubku zwiniętym z płata nie zaparzonej kory.

Przyszło mu do głowy, że niektóre drzewa mogą być wawrzynami, bo ich liście miały kształt i zapach

liści

laurowych, które jego matka dodawała do potraw; pozostałe były niezaprzeczalnie dębami, ale nie miały żołądzi (a swoją drogą nie wiedział, czy potrafiłby tak przyrządzić żołądzie, żeby nadawały się do jedzenia - czy wymagało to czegoś więcej niż wyłuskania ich ze skorupki i wrzucenia do wrzącej wody?). Większość stanowiły teraz ogromne drzewa iglaste o szpilkach grubych jak źdźbła trawy śródziemnomorskiej.

Nie spotkał dotąd żadnych zwierząt.

Dziewiątego dnia sosny ustąpiły dębom i drzewom laurowym. Ociepliło się; łachy śniegu zalegały tylko

gdzieniegdzie.

Nie przebył nawet piętnastu kilometrów - godzina konnej jazdy - kiedy pora roku zaczęła się zmieniać. Drzewa nie traciły liści, a trawa nie żółkła; wraz z pojawieniem się kapryśnej i przedwczesnej wiosny Michael po raz pierwszy znalazł w Królestwie coś do jedzenia i aż popłakał się z radości.

W dzikim sadzie, jak okiem sięgnąć, rosły w beładzie drzewa owocowe uginające się pod brzemieniem owoców nie tkniętych niczyją ręką. Jabłka, gruszki, coś podobnego do brzoskwiń o skórce w brązowe pasy, wielkie

wiśniopodobne kiście o smaku najwyraźniej alkoholowym. Znalazł tam nawet mięsiste, słonawe owoce rosnące na

drzewach podobnych do laurowych, które zaspokoili jego apetyt na mięso.

Opuściły go kłopotliwe myśli o złotym koniu Alyonsa. Michael został w dzikim sadzie przez dwa dni, ryzykując

nawet lekkie oszołomienie smakującym jak wino miąższem wiśniowych owoców. Koń z zadowoleniem skubał w

pobliżu trawę. Michael siedział oparty plecami o pień drzewa, rozmyślał o Kaeli i zastanawiał się, jakie to zwierzęta unosiły Sidhów w międzygwiazdnych wędrówkach. Zamknął oczy i usiłował sobie wyobrazić taką podróż

odbywaną bez ognistych startów czy gwiazdolotów; po prostu jazda na grzbietach pierwotnych eponów

rozciągających się poprzez przestrzeń niczym rtęć albo roztopione złoto...

Mając umysł rozgrzany działaniem owocu i pełny żołądek przeczytał z zapartym tchem kilka poematów z książki.

Pomimo swych niedawnych, mrozących krew w żyłach przejść i dręczącego go wstydu - a może właśnie dlatego -

był z siebie zadowolony jak nigdy dotąd. Wydawało mu się, że jest głową komety pędzącej przed ogromnym,

wlokącym się za nią warkoczem doświadczeń, coraz bardziej się wydłużającym i coraz bogatszym. Myśli płynęły

coraz leniwiej i nawet nie zauważył, kiedy zmorzył go sen. Książka wysunęła mu się z dłoni i upadła w trawę. Wiatr przewracał zrećnie jej strony wdychając, kiedy znajdował, to co chciał.

U stóp Michaela stała Drzewolka przyglądając mu się bez mrugnienia powieką zielonymi oczyma. Podeszła do konia i poklepała go czule, chociaż epon był dla Drzewoli bezużyteczny. Potem spojrzała w górę i spomiędzy gałęzi

drzewa mrugnęła do niej twarz Meteorala, który dmuchał na stronie książki. Przyklękła i natarła Michaelowi czoło błękitnozieloną pastą. Pasta zaskwierczała buchając parą, która spłynęła mu po bokach nosa i wpełzła do ust.

Oboje Sidhów wtopiło się w drzewa.

Michael ujrzał pałac z jedwabiu i złota, zwiewny i lekki niczym ogromny namiot, wznoszący się nad górą z lodu i granitu. Z grot

w zboczu góry waliły w dół kaskady wody ze stopionego śniegu. Po komnatach pałacu oprowadzał go widmowy

przewodnik. Stał wreszcie przed obliczem wielkiego króla - orientalnego Chana - oplakującego swoją flotę

zniszczoną daleko na wschodzie przez demoniczny wichur. Chan również śnił; śnił o wielkich trawiastych równinach i wysokich górach przykrytych śnieżnymi czapami, i o bezdrożnej pustyni, i o zuchwałych mężach na pałakowatych nogach, z płaskimi, zdecydowanymi twarzami i prostymi, czarnymi włosami, którzy podchodzili dzikie konie... to wszystko była dla Chana przeszłość. Teraz rządził największym imperium wszechczasów, imperium rozciągającym

się od morza Wschodniego przez góry i równiny na południe aż po góry śnieżnych diabłów i na północ, aż do

namiotowego masztu świata.

Oblicze Chana zmieniło się w bladą twarz siwowłosego starca wyglądającego na mniej lat, niż ich miał w istocie, zasiadającego na chanowym tronie. Nie pochodził z królewskiego rodu. Trawiaste stepy pożółkły, imperium

pogrążyło się w mrokach historii, a blady uzurpator oglądał swój pałac z miną zdradzającą tłumioną

wściekłość i znudzenie, niecierpliwe wyczekiwanie...

Czekał na Michaela.

Pasta wyparowała. Wizje zawirowały i Michael otworzył powoli oczy. Nigdy dotąd nic mu się w Królestwie nie

śniło i nie sądził, że to co widział, było snem. Było w tym coś, jakieś piętno, które sygnalizowało, że ponownie odebrał komunikat z Radia Śmierci... tym razem niemy.

Nazbierawszy zapas owoców w węzełek związany z koszuli Michael, choć niechętnie, opuścił sad i ruszył

porośniętym drzewami brzegiem rzeki, która skręcała teraz na wschód nawracając od czasu do czasu leniwymi

pętlami lub rozdwajając się wokół zasnutych mgłą wysepek. Koń szedł cierpliwie przed siebie, a Michael patrzył nad wodą na największą z wysp i wydawało mu się, że w skalnych turniach widzi blanki murów obronnych. Przez cały

czas podróżował lewym brzegiem rzeki; bardzo łatwo było sobie wyobrazić Rzekoli czyhających w wodzie,

gotowych dostarczyć go siłom Adonny, gdyby okazał się na tyle nierozważny, aby przeprawiać się na drugą stronę.

Odżywiał się niewielkimi ilościami owoców, które wciąż utrzymywały świeżość. Jak cała żywność Sidhów, szybko

zaspokajały głód.

O zmierzchu, czwartego dnia od opuszczenia sadu, koń skręcił w napotkaną przerwę w ścianie zarośli i znaleźli się na bardzo starym, prawie zarośniętym szlaku, który piał się łagodnym zboczem góry. Noc spędzili w pobliżu

szczytu. Michael spał pod gołym niebem u stóp rozsypującego się kopca, a koń stał obok wpatrując się w żar

dogasającego ogniska.

Michael obudził się tuż przed brzaskiem i ujrzał srebrzyste pasmo przecinające niebo. Przetarł oczy i znowu spojrział

w górę. Od horyzontu do horyzontu, pod kątem mniej więcej trzydziestu stopni, rozciągała się wstęga perłowego światła. Była pocętkowana jak księżyc i mogła być właściwie bardzo wydłużonym księżycem, chociaż miała cztery razy większą szerokość. Z nadejściem świtu wstęga rozpadła się na zamglone dyski, które pokruszyły się na

rozmażane smugi i znikły.

Po śniadaniu składającym się z kawałka mięsistego owocu Michael, prowadząc za sobą konia, wszedł pieszo na

szczyt, żeby zorientować się w położeniu. Spoglądali w dół przeciwległego zbocza góry w długą, szeroką dolinę.

Koń parsknął raźnie, poznając okolicę; powietrze unoszące się nad doliną było złote jak jego sierść, a drzewa - grube niczym puszysty mech, kiedy patrzyło się z tej wysokości - zdawały się trwać w całkowicie innej porze roku, nie w wiosnie, a w jesieni. Tworzyły mozaikę odcieni brązu, pomarańczy i złota. Pomimo ciepła tych barw ranne

powietrze wypełniające dolinę było dosyć chłodne.

Dopiero po jakimś czasie Michael dostrzegł jakąś budowlę przycupniętą daleko w głębi doliny. Była ciemna,

kanciasta i zdobna, ale z tej odległości potrafił rozróżnić niewiele ponad jej ogólne zarysy. Przypominała wysoką wschodnią pagodę.

- Czy widzisz jakiś powód, dla którego mielibyśmy tam zejść? - spytał konia. Koń nie odpowiedział.
- Tak czy

inaczej idziemy.

Ostrożność odradzała mu przeprawę przez rzekę, ale tym razem nie poszedł za jej radą. Pokusa była silna - i nie miała nic wspólnego z Radiem Śmierci.

Rozdział trzydziesty

Zbocze opadające w dolinę nachylone było pod kątem dziesięciu, najwyżej dwudziestu stopni. Gdy schodzili,

zielone drzewa miejscowej wiosny ustępowały stopniowo barwom jesieni i w końcu pozostały tylko nieliczne ślady zieleni. Kwiaty zmieniały się pod kopytami konia z niebieskich, różowych i czerwonych w jednolicie złotożółte.

Im głębiej zapuszczali się w dolinę, tym ciemniejsze stawało się niebo i po jakimś czasie pławili się w soczystym ciemnym złocie przypominającym zmierzch na mrocznym, starym obrazie olejnym.

Oko Michaela wyłowiło ostatni przeblysłk błękitu w kępcie kwiatów rosnących kilka metrów od szlaku: Zatrzymał

konia i zsiadł, żeby to sprawdzić.

Złotawemu zalewowi opierały się cztery małe, niebieskie kwiatki, świetliste i urocze. Nie mógł

oderwać od nich oczu. Przyklęknął na jedno kolano, otoczył kwiatki dłońmi i schylił się, żeby je powąchać. Nie pachniały zbyt intensywnie, ale wystarczał sam kolor. Zerwał jeden i wyjął książkę z kieszeni. Otworzył ją na chybił trafił i wsunął

kwiatek między dwie stronice, pieczołowicie układając płatki.

Z westchnieniem - na wpół sennym, na wpół nostalgicznym za pozostawianymi za sobą kolorami - dosiadł konia i

ruszył w dalszą drogę ku pagodzie wznoszącej się w pobliżu zboczy zamykających dolinę z przeciwległej strony.

Między drzewami pojawił się szerszy, kręty szlak. Michael skierował konia na tę ścieżkę i dotarli nią do polany.

Pośrodku stała czarna i błyszcząca jak obsydian budowla osadzona na fundamencie z czarnych glazurowych cegieł

absorbującym lekkie nierówności terenu. Fundament otaczały zarośla połyskujące woskowymi żółtozielonymi liśćmi i wielkimi żółtymi kwiatami.

Wokół zarośli rozciągał się równo przystrzyżony trawnik w kolorze gdzieś pomiędzy dojrzałą pszenicą a zmurszałą kością.

Michael. podniósł oczy na wieżę. Zobaczył teraz, że pierwsze wrażenie budowli w stylu pagody było mylące. Wieża miała siedem poziomów i była wyższa niż szersza. Wyglądała, jakby wyrzeźbiono ją z czarnej pianistej lawy w taki sposób, że widoczne zagłębienia w skale karbowwały równomiernie każdą krawędź układając się we wzory haftów i

zdradziecko ostre obsydianowe sztylety.

Zdrowy rozsądek wyraźnie nakazywał jak najszybszy odwrót. Jednak ten budynek czy też pałac był najbardziej

frapującym wytworem architektury, jaki Michael widział w Królestwie. Zastanawiało go, czy zbudowali go

Sidhowie. Wydawali się tak mało zainteresowani sztukami materialnymi.

Zsiadł z konia i wzięwszy go za uzdę w sposób podpatrzony u Spart poprowadził ku bramie z ciemnego

polerowanego granitu, osadzonej w wysokim murze okalającym dziedziniec. Kopyta konia stukotały o płyty z

żółtego kamienia zdobione ochrowymi spiralami. Szczyt muru zabezpieczały ustawione na sztorc ostre kryształki

złotego kwarcu. Michael rozejrzał się dookoła nasłuchując, w nadziei, że może chociaż lekki wietrzyk przerwie tę grobową ciszę i nieruchomość.

Przy bramie nie było kołatki, ale tuż obok tkwił w murze kołek z polerowanego drewna uwiązany na złotym

łańcuszku. Łańcuszek przechodził przez dwa okrągłe uszka wbite w kamień i znikał w otworze.

Koń parsknął i trącił Michaela w plecy. Michael poklepał go po czole. - Denerwujesz się, co? - spytał. Dziwne, sam nie odczuwał żadnego zdenerwowania, co rodziło w nim podejrzenie, że to miejsce jest zaczarowane. - Podenerwuj się i za mnie powiedział do konia. Był coraz bardziej senny; ta dolina tonęła w barwie tyłu nie do końca

zapamiętanych snów. Bezpieczny w półświatle, wsłuchując się w leniwie płynące myśli, częścią siebie czuł się jak w domu...

Chwycił za kołek i pociągnął go mocno. - Hej! Mieszka tu kto? Z odrzwi wyskoczyło lusterko obsadzone w

drewnianej ramce, zakołysało się i zaczęło się opuszczać drobnymi skokami, żeby po chwili zatrzymać się

gwałtownie jakiś metr nad głową Michaela.

Nakierowało się w jego stronę. Spojrzał w nie i z zaskoczeniem ujrzał tam małą patrzącą nań twarzyczkę.

Wyraźnie widział tylko zmierzwioną szopę czarnych włosów, dwa błyszczące oczka o brunatnych źrenicach i

fizjonomię niezupełnie ludzką, ale też na pewno nie należącą do Sidha.

Lusterko wchodziło najprawdopodobniej w skład całego systemu zwierciadeł przenoszącego obraz w głąb budowli -

i z powrotem. Twarzyczka chyba coś powiedziała, ale głos był tak słabutki i odległy, że Michael nic nie zrozumiał.

- Słucham?

- Hoy ac! - wrzasnęła ledwo dosłyszalnie twarzyczka.

- Hoy - odparł Michael. - Szukam noclegu. - Czy aby na pewno? spytała częścią jego ja.

- Antros? - spytała twarzyczka z wyraźnym zaskoczeniem. - Tak - przyznał Michael. - Jestem człowiekiem. Mogę

wejść?

Brama skrzywnęła, drgnęła i rozwarła się na oścież trąc z chrzęstem po kamykach i ziemi zaściełających dziedziniec.

Najwyraźniej nie otwierano jej od lat. Michael wszedł do środka wciągając za sobą zapierającego się konia.

Dziedziniec był opustoszały. Mury z czarnego kamienia okalały studnię wyrzeźbioną z onyksu. Na brzeżku

przycupnął czarny marmurowy kruk, a ze szczeliny w jego krtani wypływała woda. Dziób kruka wznosił się w

ciemnobrązowe, zasnuwane jaśniejszymi zawirowaniami niebo, a jego kamienne oko przyglądało się Michaelowi z

chłodną ciekawością. W przeciwległym końcu dziedzińca znajdowała się następna, już otwarta brama.

Stał w niej mały człowieczek. Miał na sobie szatę ze złotego jedwabiu spływającą do samej ziemi. Michael

automatycznie poszukał aury pamięci mężczyzny. Była nieznajoma i trudna do odczytania; nie należała ani do

człowieka, ani do Sidha.

- Halo - powiedział Michael.

Człowieczek skinął głową. Zmierzwiona czarna broda spływała mu na piersi. Rysy twarzy miał nieco wschodnie, a cerę bladożółtą i błyszczącą jak starannie wyprawiona skóra. Dłonie nikły w rękawach złotej szaty.

- Przepraszam za najście.

- Ja się nie gniewam - zaprotestował człowieczek świetną angielszczyzną, nie starając się nawet sondować aury Michaela. Niewielu gości tu wstępuje, a już na pewno nie ludzie. Przedstaw się. - Jestem Michael. Michael Perrin.

- A ja jestem Lin Piao Tai. Czym mogę ci służyć?

- Twoja dolina... - Michael wskazał gestem za bramę, która pojękując i wibrując zamykała się powoli. Prowadząc konia wokół fontanny zbliżał się do człowieczka. - Twoja dolina jest bardzo niezwykła. Wydaje się, że ma swoją własną porę roku.

- To wieczna pora roku - powiedział Lin Piao Tai. - Jesteś w podróży i szukasz miejsca, w którym

mógłbyś

odpocząć. Chociaż ośmielam się twierdzić, że nie napastował cię żaden Sidh, bo od wielu setek li gardzą tymi

lasami. Wszyscy prócz Drzewoli i Meteoratów, a ośmielam się twierdzić, że ci nie ukazali się tobie.

- Nie - przyznał Michael. - Aż do tej pory nie widziałem żadnego.

- No i dobrze. Wejdz. Konia zostaw tutaj. Zajmie się nim moja służba. - Michael poklepał konia i przeszedł za Lin Piao Tai przez drugą bramę, wkraczając do domu.

Brama zamknęła się za Michaeliem bez widocznej pomocy z czyjejkolwiek strony. W niszy, tuż za bramą, tryskała

następna fontanna. Ściany niszy i gładka, trochę kobieca swą obłością misa fontanny, wykonane były z czystego gagatu, natomiast wnętrze misy i dno otaczającego ją basenu - z gładkiej, szarej porcelany. Sam basen oświetlały bladożółte świece osadzone w szklanych cylindrach rozmieszczonych wokół brzegów. W falującej wodzie

połyskiwały złote rybki, a ich łuski, kiedy podpływały blisko, odbijały się jasno w ścianach. Lin Piao Tai wszedł w czarny korytarz dając znak ręką Michaelowi, żeby podążył jego śladem. - Chodź.

Michael doszedł do końca korytarza.

- Witaj w mych progach, Michaelu - jeśli mogę się tak do ciebie zwracać.

Michael rozejrzał się po wielkiej sali. Sufit z drewna o ciepłożółtej barwie, rzeźbiony w zawiłe wzory układające się w ptaki i ryby, znajdował się na wysokości co najmniej sześciu metrów. Ściany, od podłogi do sufitu, pokrywały tafle w czarnych i ciemno

brązowych ramach z urokliwymi widokami gór, lasów i płynących rzek, służące jako przednie płyty szuflad, szafek i wnęk.

- Musisz być głodny. - Lin Piao Tai odgarnął tren swej szaty i bosą brązową stopą zsunął z podłogi słomianą matę odsłaniając zagłębienie z kilkoma poduszkami rozrzuconymi po obwodzie i niskim stolikiem pośrodku. - Moi słudzy przyniosą posiłek zakładam, że odpowiadał ci będzie ludzki posiłek, tylko że bezmięсны - i herbatę. Usiądź, proszę. -

Michael zszedł do zagłębienia i stwierdził, że spod stołu bije przyjemne ciepło. Zagłębienie ogrzewała ceramiczna misa wypełniona węgielkami.

Lin Piao Tai zszedł za nim i ułożył suknię na kształt worka, w którym przycupnął ze skrzyżowanymi nogami niczym poczwarka w kokonie. - Z jak daleka przybywasz?

Michael nie widział powodu, dla którego miałby cokolwiek ukrywać. - Z Przeklętej Równiny - odpowiedział.

- Niewiele mi to mówi... ach! Tak! Przypominam sobie. Trzymani są tam teraz twoi ludzie. Kiedyś zwykli

wędrować, gdzie dusza zapragnie.

Uwagę Michaela odciągnęły postacie wkraczające do sali. Ubrane były w czarne habity i mierzyły sobie niewiele ponad metr wzrostu; były szczupłe i miały stylizowane, metaliczne, złote twarze nie zdradzające płci. Ich

wielocłonowe ręce poruszały się zwinnie. Michael nie potrafił stwierdzić, czy to roboty, czy coś innego, a czuł, że pytanie o to bądź sondowanie aury Lin Piao byłoby nietaktem.

Służący wnieśli tace z potrawami i dzbankami gorącej herbaty i postawili je bezgłośnie na stoliku, po czym wycofali się w ukłonach. Michael sięgnął po ciastko polane galaretką i sycił się jego bogatą słodyczą. - Przepyszne -

pochwalił. Lin Piao nalał mu herbaty. - Przykro mi, ale zamknęli Ziemię Paktu - powiedział Michael nie wracając do wspomnień. Odczuwał taki spokój właściwie od chwili zejścia w dolinę czuł się zupełnie swobodnie a prawdę

mówiąc, co w tym złego? Wszystko było tu takie eleganckie i spokojne.

- Dawno już podejrzewałem, że do tego dojdzie. Wy, ludzie jeśli wybaczysz mi moją opinię - jesteście raczej

niesforni. W przeszłości często miałem do czynienia z ludźmi. Ale z drugiej strony miałem też do czynienia z

Sidhami i muszę przyznać, że

wolę ludzi. - Uśmiechnął się do Michaela. - O ile się orientuję, nie wiesz, kim jestem. Zdajesz sobie sprawę, że nie jestem

Sidhem... ale i nie człowiekiem. Mój rodzaj jest teraz bardzo

rzadko spotykany, a to za sprawą Sidhów. W każdym razie rzadko w mojej , postaci. Niewątpliwie widziałeś moich krewniaków na Ziemi. A nawiasem mówiąc, co tam na Ziemi?

Michael usiłował znaleźć słowo, które podsumowałoby wszystko na raz i nie znajdując go, rozłożył swą odpowiedź

na trzy. Rozpacz. Okrucieństwo. Piękno.

Lin Piao promieniał jakimś nostalgicznym zadowoleniem. Niektóre rzeczy nigdy nie ulegają zmianie - powiedział. -

Jestem Sprygglą. Moja rasa jest tak samo stara jak Sidhowie czy pierwsza rasa ludzi, ale nie

opowiadaliśmy się po żadnej stronie podczas wojen. Wiesz coś o wojnach?

- Niewiele - odparł Michael.

- Jedz do woli - powiedział Lin Piao podsuwając mu przykryte misy. - Jakie to szczęście, że mogłeś mnie odwiedzić.

Mamy tysiące tematów do rozmowy. Ja to po prostu wiem. Tysiące tematów.

Michael jadł z parujących mis pikantny rosół z makaronem i aromatyczne jarzyny z miseczek wykonanych z

porcelany cienkiej jak skorupa jajka. Posiłając się opowiadał Lin Piao swoje przygody w Królestwie i przyłapał się na tym, że kiedy tylko opuścił coś w swojej narracji, wracał do tego po kilku minutach. Był jednak na tyle ostrożny, żeby nie wspomnieć o książce, która nadal spoczywała w jego kieszeni.

- Fascynujące - rzekł Spryggla potrząsając głową, kiedy Michael skończył. - Domyślam się, że teraz chciałbyś

usłyszeć coś bliższego o mnie.

- Ma się rozumieć - przyznał Michael. Wymagała tego grzeczność, a zresztą był ciekaw.

Głos Lin Piao zmienił barwę, stał się piskliwszy i bardziej śpiewny. Hipnotyzował swym brzmieniem.

- Z trzydziestu ras - zaczął - to właśnie Sprygglowie byli stworzeni przez naturę do formowania bloków z ziemi, szlifowania kamieni, wytwarzania cegieł i tynku oraz do stawiania budowli. Kochaliśmy miejsca przeznaczone do zamieszkania i to kochaliśmy je już wtedy, kiedy Sidhowie i ludzie zadowalali się węd

rowaniem pod bezkresnym, nie tworzącym dachu nad głową niebem. To my wznieśliśmy pierwsze mury i objęliśmy

na własność zawarte między nimi ziemie. My postawiliśmy pierwsze budynki i pierwsze spichlerze, a potem

pierwsze fortece. Z początku nie doceniano nas. Pozostali uważali nas za zachłannych i chciwych, ale wcale tak nie było. Przygotowywaliśmy się tylko do realizacji najświetniejszych naszych dokonań - do budowy miast.

Wkrótce inni dostrzegli naszą wartość i wartość naszych miast, i zaakceptowali jedno i drugie. Mieszkali pod

naszymi dachami i w naszych murach. Deszcz stał się kontrolowanym błogosławieństwem. Do nas należał wybór,

czy wyjść nań, czy nie. Wiatr stał się mniej dokuczliwy. W tamtych czasach nie było na Ziemi zwierząt; zostały stworzone dużo później, jedne przez ludzi, którzy byli niedoścignieni w sztukach żywych, inne przez Urgów... ale odbiegam od tematu.

Zbudowaliśmy wspaniałe miasta. Obawiam się, że wszystkie legły już w gruzach, pograżyły się w oceanach lub

rozsypały w proch w paszczy nienasyconej Ziemi. Byliśmy niezastąpieni. Ach, te czasy były para daizo - to znaczy rajem zamkniętym w murach... ale jednak nie wolnym od trosk. Wkrótce każdy wybijający się rodzaj, każda

inteligencja zaczęła coraz bardziej kłuć w oczy inne rasy. Nastroje stawały się coraz gorsze, a w tamtych czasach złe nastroje mogły znajdować straszliwe ujścia, tak straszliwe były nasze moce. Wewnątrz każdej rasy powstawać

zaczęły rozmaite frakcje siejące niezgodę i głoszące separatyzm. Mnóstwo było w tym zapalczywości i intryg i nikt nawet nie podejrzewał, do czego to doprowadzi. Byliśmy potężni, ale niewinni. Mądrzy, ale naiwni.

Michael zaspokoił już głód i słuchał rozparty na poduszkach. Czuł dreszczyk emocji. Miał nareszcie całą tę historię podaną w prostych słowach i nie obchodziło go, czy Lin Piao jest w swej relacji obiektywny, czy nie; czy mówi prawdę, czy ją zniekształca.

- Stopniowo niektórzy z nich zgromadzili wokół siebie innych i sami zostali przywódcami. Nazwali się magami.

Było czterech głównych magów: nosili imiona Tomn, Dedal, Manus i Aum, a ich potęga rosła kosztem pozostałych.

Byli zbyt silni, aby dążyć do wojny między sobą, ale do konfliktu doprowadzili pomniejsi magowie, wiedzeni

własnymi ambicjami. Wojna trwała całe wieki.

Ta wojna nie ze wszystkim była zła. Nikt nie zginął... w każdym razie nie umarł na zawsze. Byliśmy wtedy niczym młodzi bogowie i z ran odniesionych w bitwie, chociaż sprawiały cierpienie, można się było wylizać. Ale z czasem nauczyliśmy się desperackich sztuk dyplomacji i kłamstwa, i podstępu, udawania człowieczeństwa i honoru. Potem nauczyliśmy się jeszcze nieufności i nasza magia stała się potężniejsza. Wojna zaczęła pociągać za sobą ofiary.

Przeciwnicy doszli do wniosku, że albo muszą dobrze żyć ze sobą, albo starać niszczyć się nawzajem. Złotego

środka nie było. Zakorzeniły się głęboko wszystkie przewrotne uciechy czerpane z prowadzenia walki - przyjemność z pokonania wroga, z klęski z rąk silniejszego, z tragedii i straty, z walki i zwycięstwa. To silne odczucia i nawet

,teraz tkwią gdzieś głęboko w naszej podświadomości.

Michael skinął głową. Powieki miał na w pół przymknięte. Nie spał, ale nie musiał patrzeć na Lin Piao, żeby chłonąć jego opowieść. - A te inne rasy... w co zmienił Je Tonn?

- Właśnie do tego dochodzę. W końcu odkryto, jak zadawać śmierć. Zadawać śmierć tak, aby zabity nigdy już nie Powrócił na Ziemię. Wszyscy mieli wtedy nieśmiertelne dusze, ale byliśmy przykuci do Ziemi takimi żądzami, że śmierć budziła odrazę. I tak rozpoczęła się wojna nie na żarty. Oddychało się nienawiścią, żyło nią, tarzało w niej. Byli już zwycięzcy i pokonani. Pokonanych traktowano źle. Kiedy ludzie pod wodzą maga Manusa odnieśli

zwycięstwo nad Sidhami, nałożyli na nich najcięższą z pokut - odarli Sidhów z dusz. A kiedy Sidhowie, wzmocnieni groźbą całkowitego wyginięcia, wzięli górę nad ludźmi, mag Tonn położył wojnie kres. Sidhowie nie mieli

możliwości pozbawienia nas nieśmiertelności, ale zdołali nas wtłoczyć w upokarzające kształty. Sprygla,

wyznawcy Dedala, zawsze byli dumni z pracy, jaką mogli wykonywać rękami, a więc Tonn zabrał im ręce i umieścił

ich tam, gdzie nie trzeba było budować - w morskich głębinach. Stali się wielorybami i delfinami. Ludzie zostali przemienieni w maleńkie ryjówki, co miało oddawać ich prawdziwy charakter. Pozostałe rasy przemieniono w

jeszcze inne zwierzęta. Dusze niektórych podzielono między miliony, a nawet miliardy mniejszych form, jak na

przykład dusze Urgów, których przemieniono w jeden z ich

własnych tworców, w karaluchy. Ludzie Auma, Cledarowie, byli twórcami muzyki, a więc Sidhowie ukradli im ich

sztukę i ogłosili swoją. Potem zamienili Auma i cały jego rodzaj w ptaki.

Michael zamknął oczy, ale wsłuchiwał się pilnie w każde słowo. - Ze wszystkich ras Sidhowie zachowali tylko

garstkę Spryggłów, żeby dla nich budowała. Pozwolili nam żyć w komforcie i z czasem pogodziliśmy się z losem.

Dano nam pracę. Moich przodków zabrali ze sobą do gwiazd i budowaliśmy tam wielkie dzieła. W końcu wrócili na Ziemię i wtedy ja się urodziłem.

- Ile masz lat? - spytał Michael,

Nie wiem odparł Lin Piao. Ile czasu upłynęło na Ziemi?

Michael otworzył oczy. - Skąd mam wiedzieć?

- Może coś ci opiszę, a ty postarasz się to określić. Otóż kiedy ostatni raz byłem na Ziemi, rządził tam największy władca wszechczasów. - Rozłożył ręce, w jego głosie pojawiła się nutka ironii.

- Kto to był?

- Był z rodu Dżyngis Chana. Nazywał się Kubla. Rządząc wielką krainą rozciągającą się od morza do morza,

reprezentował nową potęgę ludzi, którzy znowu wzniesli się ponad żalosnych Sidhów.

To było chyba jakieś siedemset lat temu - powiedział Michael.

- A więc liczę sobie trzy tysiące siedemset lat ziemskiego czasu. A ile lat masz ty?

- Szesnaście - odparł Michael. Zaczął się śmiać i krztusić. Lin Piao machnął wielkodusznie ręką.

- A mimo to tu jesteś, podróżujesz po Królestwie wolny i niezależny. Zdumiewające. Wyglądasz na zmęczonego,

mój przyjacielu, i nadciąga wieczór. Chyba powinieneś odpocząć. - Już tak późno?

- Czas w Królestwie nadal cię zaskakuje? Moi słudzy przygotowują ci sypialnię.

- Jak trafiłeś do Królestwa? Dlaczego opuściłeś Ziemię? - O tym jutro - powiedział Lin Piao. Michael podszedł za nim do ściany. Spryggła odsunął płytę, za którą krył się kolejny ciemny korytarz. W małej, skromnie umeblowanej komnacie, na

misternie plecionych matach z sitowia spoczywały puchowe materace, a na pobliskim stoliczku płonęła migotliwym światłem wysoka świeca na szklanym spodku. Obok stała taca z zimną herbatą i ciasteczkami. - To na noc, gdyby trwała dłużej, niż się spodziewasz, i poczułbyś głód.

Pomieszczenie było najbardziej luksusowe z tych, jakie Michael widział w Królestwie. Położył się na materacu, przykrył pod brodę kocem i w kilka sekund zasnął.

Jakże ten człowiek patrzy Sza! Pst!

Na równinie bez snów, wędrowcy

Podróż, zaciśnięte powieki; słuchają Kapania głosów. Dzieci

Rosną, odrzucają żuzle, popioły. Judasze w nas zwłóczą, dulczą; Judasze w was dulczą, zwłóczą; Obcym słowem z nie-snu kłują Dulczą, zwłóczą, a wciąż knują...*

Michael zerwał się nagle rozbudzony, drżąc na całym ciele. Instykt ostrzegał go przed wielkim

niebezpieczeństwem. Cały był mokry od potu; wilgotne były materac i koc. Wypalona już do połowy świeca

zamigotała, spłoszona jego niespokojnym oddechem, wprawiając w rozdygotany taniec pobliskie, szare ściany.

Odwrócił głowę i po drugiej stronie komnaty ujrzał jednego ze złotych służących stojącego w odległości niespełna metra od posłania, z głową skrytą w cieniu. Michael sięgnął po świecę i uniósł ją w górę. Twarz sługi przeformowała się blokami niczym mozaika, albo dziecięca układanka. Wszystkie elementy wsunęły się nagle na swoje miejsca i twarz przybrała gładko wyrzeźbiony, nieobecny wyraz. Sługa zgiął się przed nim w ukłonie, ale pozostał tam, gdzie stał, jakby postawiono go na straży.

Michael namacał pod kocem książkę tkwiącą nadal w kieszeni. Położył się na wznak i usiłował przypomnieć sobie, co go tak nagle wyrwało ze snu. Być może sprawił to kolejny kontakt z Radiem

* Przełożył Łukasz Nicpan.

Śmierci. Ich częstotliwość zdawała się wzrastać ostatnimi czasy, ale Michael rzadko je pamiętał.

Przed wejściem do komnaty zadźwięczał dzwoneczek. Korytarzem przechodził wolno Lin Piao niosąc lampion ze

złota i kryształu z reflektorem w kształcie liścia. Mrugnął do chłopca, uśmiechnął się i dał mu znak, żeby poszedł za nim. - Piękny poranek odezwał się, gdy Michael wychodził z sypialni, zapinając po drodze guziki koszuli. - Zięby śpiewają w ogrodach, kwitną lilie, czeka śniadanie.

Usiedli w złotym świetle pod krzakiem róży, pośrodku nienagannie zadbanego ogrodu. Lin Piao kazał ustawić złoto lakierowany stół zastawiony talerzami owoców, gotowanych zbóż i wonnych smakołyków na łupkowych płytach

chodnikowych na skraju wijącej się ścieżki. Michael był wściekle głodny i pochłaniał posiłek w ilościach, które zadziwiały nawet jego. Lin Piao jadł powoli obserwując gościa z wyraźnym zachwytem.

Nie ma większej satysfakcji nad odczuwanie apetytu i większej przyjemności nad zaspokajanie go - odezwał się w pewnej chwili. Michael przyznał mu rację i otarł usta chusteczką z czystego jedwabiu. - Byłbym zaszczycony

oprowadzając cię dzisiaj po moich włościach. Powinieneś zobaczyć, jak wspaniałym miejscem stało się moje

więzienie.

- Więzienie?

Twarz Lin Piao posmutniała na chwilę, ale zaraz wypogodziła się z powrotem. - Tak. W swoim

czasie byłem

zuchwały i teraz za to płacę. Sidhowie nie wybaczą.

- Co im zrobiłeś?

- Służyłem, jak umiałem. Przejdziemy się? - Poprowadził Michaela ogrodami zwracając jego uwagę na klomby i

rzędy kwiatów, wszystkich, oczywiście, w starannie dobranych odcieniach złota. Przystanęli na końcu ścieżki, gdzie dalszą drogę zagradzał wysoki mur z czarnej lawy, a kontury ogrodu rozmywała delikatna mgiełka. - Byłem

wiernym sługą - ciągnął Lin Piao. - Długi już czas upłynął wtedy od powrotu Sidhów na Ziemię. Wiesz, że włóczyli się kiedyś między gwiazdami - słyszałeś już dużo na ten temat? Dobrze. Mężczy mnie opowiadanie dziejów Sidhów.

Nie byli już tak pełni wigoru jak niegdyś. Nadal korzystali z usług Spryggłów, a my nadal spełnialiśmy ich rozkazy, chociaż nasza liczebność zmalała nawet w porównaniu z tą garstką z przeszłości.

Odgarnął złocistą szatę i usiadł na onyksowej ławeczce. Wybuchł konflikt. Dwa odłamy Sidhów - może więcej -

spierały się między sobą, jak ma wyglądać ich dalsza egzystencja na Ziemi. Królestwo, widzisz, było już otwarte na migrację Sidhów i wielu wolało przybyć tutaj, niż pozostawać w krainach zamieszkiwanych przez nową rasę ludzką.

W trakcie tych swarów odłamy stworzyły wiele pieśni władzy w nadziei uzyskania przewagi nad przeciwnikami.

Jeden z odłamów zamierzał dać pieśń władzy ludziom. Nie jestem dobrze zorientowany co do motywów, jakie kryły się za tymi planami - nie wiem nawet, który z odłamów zaangażował się w tak szaloną kampanię - ale sądzę, że to Czarny Zakon i że w ten sposób jego przedstawiciele chcieli uczynić ludzi na tyle potężnymi, by ci wyparli

wszystkich Sidhów do Królestwa, gdzie Tarax mógłby rządzić nimi w imieniu Adonny. Chwała Ci, O Stwórco

Adonno! - Mrugnął do Michaela. - Gorzej nie mogli postąpić, ale cel uświęca środki.

W tamtych czasach cieszyłem się wielkim uznaniem, powierzono mi więc zadanie zaprojektowania pałacu dla

Imperatora Kubli, który miał ujrzeć owoc mojej pracy we śnie. Po zbudowaniu pałacu przez Kublę Chana - a było rzeczą nieuniknioną, że go zbuduje, zważywszy sugestywną siłę snu i piękno moich projektów - budowla ta miała zawrzeć we wszystkich swych formach i wymiarach architektoniczną

pieśń władzy, czyniąc Imperatora

najpotężniejszym człowiekiem od czasów wojen. Wkładając w to wszystkie moje umiejętności zaprojektowałem

pałac, a inni, pozostający pod moimi rozkazami, przygotowali sen... ale stała się rzecz dziwna.

Sen został niewłaściwie przekazany. Kubłę bez reszty urzekła jego wizja, ale nie mógł jej sobie przypomnieć na tyle wyraźnie, aby dokładnie ją odtworzyć. I kiedy umieszczono mnie w jego służbie na Ziemi, robotników

prześladowały wypadki przy pracy i choroby oczu. Czarny Zakon poniósł porażkę. Winą za to obarczyli mnie.

Sądziłem w swoim sądzie - to najstraszliwsze miejsce i obyś nigdy go nie zobaczył! - i uznali winnym fuszerki.

Za to właśnie jestem uwięziony w tej dolinie. - Pochylił się do przodu i podniósł oczy na twarz Michaela. - Sprygga też

posiadają moc magiczną. Ta magia pozwala im kształtować materię. Możemy być bardzo potężni, chociaż nie tak

potężni jak Maln. Odebrali mi moją magię, wszystko prócz tego, co pozostaje w związku z rzeczami żółtymi lub

złotymi. Uwięzili mnie, a przecież starałem się, jak mogłem. Nie spisałem się chyba tak źle; jak myślisz?

- Wcale nie tak źle - przytaknął Michael.

- Miło mi to usłyszeć. Jesteś pierwszym moim towarzystwem od dziesiątków lat. Od czasu do czasu wpada tutaj

jakiś Sidh wydać mi polecenia. To ja doradzałem Christopherowi Wrenowi, a jeszcze wcześniej Leonardowi i

Michałowi Aniołowi... Ale może nie powinienem ci tego mówić.

- Dlaczego Sidhowie kazali ci pomagać tym ludziom?

- To ciągle miało związek z odłamami, z pieśniami władzy... Nie, nie ma chyba sensu zanudzać cię wszystkimi

moimi przeszłymi osiągnięciami, dawnymi porażkami. Tak, tym właśnie były. Nigdy tak wspaniałe, jakimi miały

być w zamierzeniach, zawsze objawiające swe wady pod koniec budowy. Cięży na mnie jakaś kłątwa. - Nabrał

emfazy. - Ale to nie z mojej winy! Jestem największym z pechowców, miotam się między wojującymi Sidhami

przeciągany to na tę, to na drugą stronę...

- Kim był twój ostatni gość? - spytał Michael.

Twarz Spryggli spochmurniała. - Ktoś, kogo wolałbym wyrzucić z pamięci. To było bardzo nieprzyjemne. Poza tym zaszczyca mnie teraz swą obecnością gość o wiele milej widziany i muszę skorzystać jak najwięcej z jego

towarzystwa, zanim mnie opuści!

Wrócili niespiesznie do domu z czarnego kamienia. - Moja władza jest ograniczona ściśle do terenu tej doliny. Ja natomiast ograniczony jestem do żółci i złota. Mogę umiarkowanie pracować z barwami neutralnymi, czerniami i

bielami oraz ich kombinacjami. Czerwienie i brązy nie zakłócają moich zdolności, ale oczywiście wolę żółcie. I nigdy nie mogę opuścić tej doliny. Tak więc, jak widzisz, daję tu niczym nie skrępowany upust mojej pasji

tworzenia. - Westchnął. - Boję się, że gdybym nie zmieniał często otoczenia, skończyłbym w gmatwaninie

barokowych ozdóbek. Oszalałbym zupełnie.

- Czy mogę rzucić okiem na mojego konia? - zapytał Michael.

- Oczywiście, oczywiście! Co to za traf, że tuż przed twym przybyciem zaprojektowałem całkiem przyzwoite stajnie.

Mam nadzieję, że twojemu koniowi jest tam teraz bardzo dobrze.

Jedno skrzydło domu wychodziło na stajnie wzniesione z czarnego błyszczącego drewna, z przegrodami z

naturalnego dębu. Michael szedł za Lin Piao wzdłuż rzędu pustych stanowisk usiłując sobie przypomnieć coś, o

czym zapominał, coś bardzo ważnego...

Udało mu się to wreszcie z niemałym wysiłkiem. Lin Piao otworzył szeroko drzwi do zagrody jego konia. Michael wszedł tam, obejrzał dokładnie wierzchowca, żeby sprawdzić, czy ma właściwą opiekę (a właściwie dlaczego miałyby podejrzewać, że jest inaczej?) i poklepał zwierzę po zadzie.

- Wkrótce odjeżdżam - powiedział. Lin Piao skinął głową, a jego wieczny uśmiech wydał się Michaelowi jakiś nie na miejscu. - Mam swoje zobowiązania.

- Ma się rozumieć.

- Muszę odszukać Izomaga. Chcę w ten sposób pomóc moim ludziom.

Lin Piao skinął głową. - To szlachetny cel podróży. - Dziękuję ci za gościnność.

- Jestem na twoje rozkazy, jak długo będziesz sobie tego życzył.

- Wszystko chyba w najlepszym porządku - powiedział Michael zamykając drzwi zagrody. - Dziękuję.

Lin Piao skłonił się. - Jeśli zbyt ci się narzucam, powiedz mi proszę. Zwykłem żyć w samotności i być może

zatraciłem co nieco z towarzyskiej ogłady.

- Nie wydaje mi się - powiedział Michael. Naprawdę mu się nie wydawało. Zaczynały nachodzić go myśli, jak to

będzie, kiedy znów zostanie sam, zdany tylko na siebie, bez tego wspaniałego otoczenia i cudownego źródła

informacji.

- W każdym razie mam coś do zrobienia - powiedział Lin Piao. - Przepraszam cię, czuj się jak u siebie w domu.

Słudzy spełnią każde twoje życzenie.

Rozstali się i Michael wrócił do ogrodu, żeby posiedzieć podziwiając kwiaty i rozkoszując się spokojem. Coraz bardziej przyzwyczajał się do ograniczonej kolorystyki. Zawsze lubił kolor żółty - teraz jeszcze bardziej - i czuł się jak w domu.

O zmierzchu zjedli kolację w sali głównej. Lin Piao opowiadał mu o zmiennych kolejach współpracy z człowiekiem Kubłą, o cichych melancholiach chana i o jego wybuchach szału. Z wielką nostalgią odnosił się do początków

swojego ludu, do stepów. Tak dobraliśmy konstrukcję pałacu, aby jeszcze bardziej rozbudziła jego tęsknoty.

Przypominał mongolski namiot, taki, jaki można by znaleźć w najwyższym z siedemnastu niebios dużo większy od

niechlujnych jurt, w których sypiali jego praszczurowie. Wszystkie jego ściany były z jedwabiu. Była

to piękna konstrukcja... w założeniu. Ale kiedy ujrzałem ją zbudowaną na Ziemi... gotową budowlę...
- Położył ironiczny nacisk na słowo „budowla”. - Byłem przerażony. Serce o mało mi nie pękło. Cała
moja praca, wszystkie narady z Sidhami... na próżno. To była parodia. Pałac nie był zwiewny, on
przytłaczał. Przeładowany mongolskimi

ornamentami stał się kiczowaty. Nie mogłem go jednak zrealizować inaczej. Byłem tylko doradcą,
architektem. Nie mogłem sprzeciwić się woli chana. Z desperacją dążył do odtworzenia tego, co
widział we śnie. Polityka, Michaelu, to zaraza występująca wszędzie tam, gdzie zbiera się grupa
jakichkolwiek istot. W moim przekonaniu, nawet termyty mają do czynienia z polityką. - Uśmiechnął
się. - Ale chyba jesteś już śpiący.

Powieki ciążyły Michaelowi tak, że z trudnością je unosił. Lin Piao zaprowadził go do jego komnaty.
Przykrywając się kocem usłyszał jeszcze, jak Spryggla mówi: - Bardzo łatwo wyjaśnić, dlaczego nie
ma tu snów. Jest tak dlatego, żeby wszystko do reszty się nie pogmatwało... Ty... czy ja. Obaj nimi
jesteśmy.

Więcej Michael nic już nie pamiętał. I popadłszy w ten stan zapomnienia, niemal natychmiast
rozpoczął

szamotaninę. Odbierał teraz silny sygnał Radia Śmierci. Nie śnił; walczył, żeby utrzymać się na
ziemi. W dole rozciągało się wielkie miasto widziane z bardzo wysoka; unosił się na niemal takiej
samej wysokości, co wtedy, gdy Eleuth próbowała odesłać go na Ziemię, ale całe jego pole widzenia
zajmowało teraz to wielkie miasto, a obok

miasta, czarna i spiczasta niczym wstrętne torebka nasienna jakiegoś diabelskiego drzewa, wznosiła
się świątynia...

Irall. Michael rozpoznał ją natychmiast. To była świątynia Adomy i coś go ku niej ciągnęło...

Przekreślił się niespokojnie pod kocami i obudził. Z początku był nieprzytomny i prawie od razu
zapomniał, co go wyrwało ze snu. W ciemnej komnacie dały się słyszeć jakieś szmery. Pozostałości
snu, zdawało się, kleiły

Michaelowi powieki. Otworzył je pomagając sobie palcami, a potem przetarł oczy.

Nad matą, w przytłumionym, złotym blasku świecy stał Lin Piao ściskając coś w dłoniach. Na jego
twarzy malował

się wyraz szalonej radości, ekstazy.

- Przyniosłeś mi ją - odezwał się. - Jak to było przykazane. Mnie ją przyniosłeś. Poprzez światy.
Pieśń. Moją Pieśń.

Przez chwilę Michael nie zdawał sobie sprawy, co trzyma Spryggla. Był to czarny tomik poezji, który
dał mu na Ziemi Waltiń.

- To moje - zaprotestował sennie.

- Tak, tak. Dobrze o nią dbałeś. Dziękuję ci.

- To moja książka - powtórzył Michael zrywając się na równe nogi. Sięgnął po nią, ale powstrzymali go dwaj złoci słudzy, którzy wynurzyli się z cienia i pochwycili jego ręce w silne, ciepłometaliczne kleszcze.

- Nawet nie wiesz, co to jest - parsknął pogardliwie Lin Piao. Ta nagła zmiana w jego tonie skruszyła resztki letargu Michaela. - Czyż nie mówiłem ci, że pracowałem nad przekazem snu? I teraz widzę, że znowu próbowali, ale tym

razem nie poprzez architekturę... poprzez poezję! I znowu ktoś przeszkodził. Słyszałem pogłoski, jakoby twój

Izomag dysponował fragmentem Pieśni Władzy. Teraz wiem, na co czekał. Na ciebie, na to!

Podniósł w górę otwartą książkę pokazując Michaelowi stronę, o którą mu chodziło. - Pieśń przekazywana jest we śnie człowiekowi poecie. On ją zapamiętuje, zaczyna spisywać linijka po linijce... i coś mu przerywa! Sprytnie pomyślane, przybysz z Porlock, wysłany bez wątpienia przez zaangażowany w spór opozycyjny odłam Sidhów. I

kiedy poeta zasiada znów do pisania, sen zaciera się, tylko jego fragment przelany zostaje na papier. Ale Clarkham musiał być w posiadaniu tej jego części, która nigdy nie została zarejestrowana na Ziemi! A teraz ty przynosisz fragment nieosiągalny w Królestwie, poemat spisany przez Coleridge'a, nigdy nie dokończony. - Lin Piao z błyszczącymi oczyma odwrócił książkę i zaczął czytać.

„W Xanadu kazal Kubla Chan

Wznieść pyszny pałac, tam, gdzie płynie W pieczarach, których myśl człowieka Nie zmierzy, Alph, święta rzeka, Co w mrocznym morzu ginie”.

Przerzucił stronę.

„Murem Kubla otoczył, wieżami osłonił Dwakroć pięć mil ziemi płodami wezbranej...”*

Spryggla urwał nagle krztusząc się i uderzając dłonią w książkę, jakby ujrzał tam osę. Zaczął tańczyć trzymając tomik w wyciągniętej ręce i popiskując jak zraniony królik. - Zdrajca! - krzyczał. - Człowiek!

Spomiędzy kartek wypadł niebieski kwiatek, który Michael zerwał na skraju złotej doliny. Upadł na podłogę płaski i martwy, ale zadziwiająco jasny. Płonął pośród wszechobecnego złota i żółci niczym klejnot.

Lin Piao, wciąż popiskując, odskoczył od niego w tańcu. Wypuścił z rąk książkę, jakby w obawie, że może zawierać ich więcej. Jeden ze służących puścił ramię Michaela i rzucił się do kwiatka, ale pod jego dotykiem płatki drgnęły i zdały się chwytać oddech, a potem nastroszyły się i rozprostowały.

- Nie! - zawył Lin Piao. - Tylko nie to, tylko nie teraz! Służący znowu rzucił się do kwiatka, podniósł go z podłogi i trzymając jak najdalej od siebie pognął do drzwi. Ale z każdym jego ruchem kwiat pozostawiał za sobą błękitną smugę. Smuga ta zdawała się ociekać kolorem niczym pasmo farby, a potem rozproszyła się i pogrubiała, pulsując jak żywa. Lin Piao kwiknął jak zarzynany i popędził za sługą trzymając się w bezpiecznej odległości od smugi

błękitu.

Drugi sługa puścił ramię Michaela i cofnął się. Jego twarz przeformowała się blokami. Michael ubrał się szybko i podniósł z podłogi książkę. Smugi błękitu spłowiały. Na moment wszystko ucichło i zapanował idealny spokój.

* Przełożył Stanisław Kryński.

Kiedy jednak chciał wyjść z komnaty, drogę zastąpił mu uśmiech. Sam uśmiech, nic poza tym; jasnobłękitne wargi z elektrycznie niebieskimi zębami. Rozpłynął się po chwili. Michael wyrztał za drzwi i omiótł wzrokiem korytarz od końca do końca. Był pusty i cichy.

Przechodził już przez salę główną kierując się do stajni, kiedy ujrzał błyszczące żyły błękitu pełzające pod ścianami, łączące się z kobaltowym dywanem rozpostartym na podłodze. Ciekła błękitność kapłała ze wszystkich szafek,

szuflad i przejść rozpryskując się po podłodze, a każda kropla wlokła za sobą nić. Michael nie był w stanie uciec przed tym zalewem. Przenikał mu pod stopami łaskocząc, ale nie sprawiając bólu, i wpełzał na przeciwległą ścianę.

Z jakiegoś nieokreślonego kierunku dochodziły jego uszu stłumione przekleństwa Lin Piao.

Otępienie opuściło raptownie Michaela. Zanikało działanie magii Spryggli. Był przerażony, a jednocześnie

przyjemnie podniecony. Poczucie władzy, przygniatającej transformacji, działało jak środek pobudzający. Chciało mu się tańczyć po błękitnej podłodze, walić dłońmi o błękitną ścianę. - Wolny! - krzyknął. Wolny!

Nie bardzo wiedział, od czego się uwolnił. Czyżby Lin Piao naprawdę nim manipulował, odurzył go? Nie wiedział

tego, ale umysł miał teraz o wiele jaśniejszy i o wiele silniejsze było poczucie ciężącego nań obowiązku.

Musiał się stąd wydostać. Odnalazł drzwi prowadzące do zewnętrznego korytarza. Czarny kamień wydawał się nie

dotknięty niebieską zarazą; nawet misa fontanny i świetlisty basen były takie same jak za jego przybycia. Teraz jednak dostrzegł tworzące się w basenie fale. Grunt pod nogami wibrował. W miarę jak częstotliwość wibracji

wzrastała, fale w basenie przybierały pewien wzór układając się w figury geometryczne. Woda podniosła się na

podobieństwo płaskorzeźby, jak żelatyna wypełniająca formę.

Michael obserwował z fascynacją ten proces, dopóki wodne płaskorzeźby nie rozpadły się nagle w błękitne

uśmiechy. Uśmiechy te uniosły się z basenu i przemknęły obok niego, by czynić swą powinność.

Michael wyszedł na dziedziniec i przystanął usiłując przypomnieć sobie drogę do stajni, kiedy bocznymi drzwiami wypadł Lin Piao. Krawędzie jego złotej szaty były przypalone, a czarne włosy posiwiały. Spryggla zatrzymał się i przeszył Michaela pełnym nienawiści spojrzeniem.

- Ty to zrobiłeś! Ty naszedłeś mój dom, moją dolinę! Potwór! Człowiek! Znajdę sposób, żeby cię zniszczyć...

- Nie chciałem cię skrzywdzić - powiedział spokojnie Michael. - Jeśli mogę w czymś pomóc...

W drzwiach, którymi dopiero co wpadł Lin Piao, pojawił się sługa. Chwiał się w przód i w tył, jakby miał się za chwilę przewrócić. Jego złota do niedawna powierzchnia przybrała teraz barwę zmatowiałego spiżu. Tunikę miał

osmaloną i poszarpaną; opadała z niego strzępami. Lin Piao cofnął się przerażony. Rozprzestrzenia się! Powstrzymaj to, powstrzymaj to!

- Jak?

- Przyznaję, ty jesteś tym jedynym, ty jesteś wyznaczony. Powstrzymaj to teraz, spraw, żeby odeszło! Pozostanę tu na zawsze, nie będę się skarżył...

W ścianach z czarnego kamienia pojawiły się błękitne rysy. Rysy te połączyły się i kamień popękał jak pod

uderzeniem młota. I rzeczywiście, łomoty dochodzące z wnętrza domu sugerowały, że coś miota się tam, żeby

wydostać się na wolność.

- Nie wiem, co robić - powiedział Michael. - Nie jestem czarownikiem.

- A JA JESTEM! - wrzasnął Lin Piao. - Jak się 'to mogło mi przytrafić? - Zobaczył wielki odłam kamienia

odpadający od ściany i jego oczy rozszerzyły się, a skóra na twarzy pobladła niemal do bieli. Wznosząca się nad nimi pagodowa wieża kołysała się, kruszyła, a po jej postrzępionych krawędziach pełzały błękitne ogniki. Języki ognia strzelały wachlarzami we wszystkie kąty budowli,

rozprzestrzeniły się na teren ogrodzony murem i ze

skwierczeniem wypełzły w dolinę.

Michael zdawał sobie sprawę, że nie ma takiego miejsca, w którym mógłby się dostatecznie szybko schronić. Nie zdałoby się na nic nawet rzucenie cienia. Grunt uniósł mu się pod nogami i spod rozstępujących się kamiennych płyt, którymi wybrukowany był dziedziniec, zaczęła wyciekać jasnoblękitna poświata. Michael zamknął oczy i otworzył

je w momencie, gdy jakaś siła gwałtownie

cisnęła go wysoko w powietrze. Wszędzie dookoła wznosiły się w niebo fontanny elektrycznego błękitu wyłapując ciepłą ciemną ochrę nocy i przeistaczając ją w zimną, spryskaną gwiazdami czern.

Żołądek podskoczył Michaelowi do gardła. Spowity w wieczny chłód, wieczny lód, nie czuł swego ciężaru ani masy.

Błyskawice igrały między jego palcami, a włosy stały dęba. Powróciły, aby go nawiedzać, wszystkie wełniane

dywany, jakie deptał, wszystkie koty, jakie kiedykolwiek czochrał.

Zamknął znowu oczy i leżał na ziemi roztrzęsiony, bez tchu. W powietrzu unosił się zapach elektryczności, ale grunt już nie drżał.

Zapadła długa cisza. Czekał jeszcze, ale spokój zapanował na dobre. Zanim otworzył oczy, namacał książkę.

Spoczywała bezpiecznie w kieszeni.

Rozejrzał się dookoła. Niewiele pozostało w nim zdolności do dziwienia się, ale to co ujrzał, pochłonęło całą tę resztę. Budowla znikła, a wraz z nią i ogrody. Na ich miejscu rozpościerało się pole błękitnych kwiatów. Błękitne kwiaty kwitły, jak okiem sięgnąć, w całej dolinie. Rosnące tu drzewa traciły jesienną szatę. Nowe liście przybierały soczysto szmaragdową barwę lasów poza doliną.

Obmacał ciało szukając sińców. Chociaż raz wyszedł z przygody w Królestwie bez rozcięć, zadrapań i potłuczeń.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na drugą połowę doliny. Tuż za nim, z pięściami uniesionymi jakby do ciosu, stał Lin Piao Tai. Michael cofnął się spłoszony, ale zaraz przystanął. Sprygla trwał w bezruchu.

Był w rzeczywistości litym błękitem.

Został przemieniony w lazurową statwę z zachowaniem przerażenia i złości malujących się na jego twarzy.

Zarżał sidhowy koń stojący dwadzieścia metrów dalej. Podeszli do siebie; Michael powitał zwierzę uśmiechem

niedowierzania i poklepał je po chrapach. Ocaleli i on i koń. Wyszli z tej przygody bez szwanku.

Ale siły wyzwolone dla przewrócenia nieznanej równowagi Królestwa nie oszczędziły złotej maści konia.

Od ogona po chrapy wierzchowiec Alyonsa był teraz olśniewającej barwy błękitu nieba.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Kiedy Michael dotarł do szczytu wzgórza i skręcił w kierunku rzeki, na dolinę-więzienie Lin Piao padał śnieg.

Zatrzymał konia i obejrzał się na śnieżne tumany. Nie potrafił rozpoznać miejsca, w którym stała budowla; dolinę pokrywał błękitny welwet, który wkrótce stanie się blady. Nie dziwiła go nagła zmiana pór roku; to kaprys Adonny, i kwestionowanie go, pomyślał z uśmiechem, nie pasowałyby do schematu.

Nadal ociągał się z popuszczeniem wodzy rumakowi, posuwali się więc ledwie kłusem. Przeprowa przez las trwała jeszcze kilka dni. I znów krucho zrobiło się z żywnością. Michael nie przejmował się tym zbyt. Głód sam ustąpił.

Teraz gdy już po raz trzeci zaszło słońce i nadciągnęła noc, chodziło mu tylko o znalezienie dowodu na to, że wędruje we właściwym kierunku i robi, co trzeba, a nie przesuwa się od punktu do punktu po mapie zwariowanych wypadków.

Gdy zapadła noc, rozniecił ogień palcem bez paznokcia i usiadłszy w blasku płomieni czytał książkę. Kontakt z Radiem Śmierci ustał; nic nie mąciło mu już snu. „Kubłę Chana” przeczytał kilka razy, ale właściwie znał większość tego poematu na pamięć jeszcze ze szkoły średniej. Słowa wydawały się zarazem naiwne i pełne treści, jasne i

niezrozumiałe. Książka zawierała również przedmowę Coleridge'a do poematu potwierdzającą niektóre wynurzenia

Lin Piao, ale nie było tam wzmianki o śnie Kubli ani o budowie pałacu.

Jeśli Lin Piao mówił prawdę, a Michael nie widział żadnego powodu, by powątpiewać w opowieść Spryggli,

znajdował się w posiadaniu części Pieśni Władzy. Jeśli Izomag ma drugą połowę - tę część, w której spisaniu

przeszkodziło Coleridge'owi - to razem będą być może w stanie przełamać dominację Sidhów i ocalić ludzi oraz

Mieszkańców.

A może źle zrozumiał? Jak Pieśń Władzy mogła być jednocześnie architektoniczna i poetycka? Lin Piao wspominał

coś o kodowaniu; może wiersz i kopułę rozkoszy, w formie pierwotnie przekazanej przez Sidhów, należy rozumieć jako abstrakcyjną zasadę, jako estetyczny ekwiwalent...

Zaczął gubić się w domysłach, zamknął więc książkę i wyciągnął się na wznak przy ognisku.

Mimo wszystko, zarówno w architekturze, jak i w poezji ważne były proporcje.

- Spij - westchnął znużony sam do siebie.

Następnego ranka, na skraju bezkresnej sawanny z czymś, co wyglądało na górę (a prawdopodobnie nią nie było), wznoszącą się w zamglonej dali, Michael znalazł sidła.

Były przywiązane do młodego drzewka i zaopatrzone w bardzo czuły spust sporządzony z palika i linki. Nic jeszcze w nie nie wpadło. Koń obszedł wnyki bokiem machając nerwowo ogonem. Sidła skonstruowane były wyraźnie z

myślą o łowieniu drobnej zwierzyny; drzewko nie wytrzymałoby ciężaru niczego większego. Przynęty stanowiły

leśne korzonki ułożone na ziemi w pętli liny, w pobliżu spustu. Korzonki były jeszcze całkiem świeże.

Michael rozejrzał się po zaroślach i przeredzonych drzewach. Żaden Sidh nie zastawiłby pułapki na zwierzę dla mięsa; a jeśli to sidła czarownika, który chce złowić żywe stworzenie potrzebne mu do

odprawienia jakiegoś obrzędu? Widział przecież kości poskładane wokół pagórka i chaty Żurawic. Ale podejrzewał, że sidła zastawił

jednak człowiek. Było w nich coś szczególnego, jakieś człowieczeństwo w przemyślanym i eleganckim stylu ich

konstrukcji.

Nie wiedział, czy się cieszyć, czy zachować czujność.

Nie musiał czekać długo. Rzeka przebiła się przez skraj lasu i wtoczyła swe na wpół zmrożone wody na sawannę, wyprostowując bieg i płynąc teraz szybciej, głębszym korytem. Michael usiłował rozgryźć naturę kształtu

mającego w oddali, ale bezskutecznie. Był przekonany, że nie jest to po prostu góra.

Prowadził konia piaszczystym brzegiem rzeki obchodząc łachy rzeczno lodu i śniegu i nagle poczuł czyjąś

obecność. Tylko tyle; po prostu uświadomił sobie, że jest obserwowany.

Zatrzymał się i udał, że sprawdza podkowę konia. Wrażenie czyjejś obecności spotęgowało się. Odetchnął głęboko i poszukał aury pamięci. Nigdy nie miał okazji sondować czysto ludzkiej aury; teraz, wykrywszy taką - aurę

mężczyzny - stwierdził, że łatwo ją spenetrować.

Wiedział, w jakiej odległości znajduje się ten mężczyzna, ale nie potrafił określić kierunku. Ktokolwiek zastawił

sidła, podążał za nim w odległości trzydziestu kroków. Zmarznięta trawa miała zaledwie pół metra wysokości. - Czy sobie czegoś życzysz? zawołał Michael pod wpływem impulsu. - Mężczyzna miał czterdzieści, najwyżej czterdzieści pięć ziemskich lat. Angielski nie był jego ojczystą mową, ale władał nim niezłe. - Widzisz, że nie jestem Sidhem.

Znalazłem twoją pułapkę między drzewami.

Potęźnie zbudowany, brodaty mężczyzna o krótko przystrzyżonych na jeża włosach, kryjący się dotąd w trawie,

wstał powoli na równe nogi uśmiechając się pod sumiastym wąsem. - Niezła sztuczka - powiedział. - Czuć cię

Sidhem. Nie wiedziałem, coś ty za jeden. Boże mój, człowiek, tutaj!

Michael uświadomił sobie, że mężczyzna jest Rosjaninem i myśliwym. Nie podchodził bliżej. Stał po kolana w

trawie odziany w skóry i futra, z płócienną torbą przewieszoną przez ramię i w nasadzonej na bakier futrzanej czapie z rozwiązanymi nausznikami.

- No, nie - odezwał się po krótkiej chwili milczenia mężczyzna. - Nie Sidhem, znaczy się, nie czuć cię zupełnie tak samo jak ich. Nie byłem pewien, coś ty za jeden. Szedłem za tobą od doliny Spryggli. Zszedłeś do niej, wyszedłeś...

Wielkie zmiany. Przyszedłem tu za tobą.

- A zatem możesz mnie nauczyć czegoś nowego - powiedział Michael. - Nawet nie podejrzewałem, że mnie śledzisz, dopóki nie zobaczyłem sideł.

- Niewielu tu się kręci. - Myśliwy ruszył w jego stronę z czujnie błyszczącymi oczyma. - Sidhowie rzadko się tu zapuszczają. Ta kraina rozciąga się na południe aż po góry i na wschód do miasta, a na zachód do... nory Izomaga.

Do Euterpe. Stamtąd jesteś?

Michael skinął głową. - A ty?

- Nie dałem się złapać - odparł. - Byłem tancerzem. Wyciągnął przed siebie ręce i spojrzał w dół na swą potężną postać. - Przybyłem tu, kiedy miałem czternaście lat. Christos! Otarł oczy dłonią w rękawicy. - Wspomnienia. Twój widok je przywołał. Czterdzieści lat, a może i więcej. Sam nie wiem. Jestem tutaj... - Rozczulił się na dobre. Stał

drżąc dziesięć metrów od Michaela, ocierając oczy. Po chwili odwrócił się zawstydzony. Byłem jeszcze chłopcem -

szlochał. - Jesteś niewiele starszy niż ja wtedy.

Michael stał zakłopotany. - Nie pojмали cię? - powtórzył starając się uspokoić nieznanego.

- Za szybko! O wiele za szybko. - Otarł twarz rękawem, odwrócił się znowu do Michaela i podszedł kilka kroków bliżej. Nie rozmawiałem z człowiekiem od... zapomniałem już od jak dawna. Polowałem, jadłem, spałem, chodziłem do miasta i odwiedzałem Sidhów... Twój koń. To przez niego zrodziło się we mnie podejrzenie, że możesz być

Sidhem. Skąd go masz?

- Od Buńczuczніка Ziem Paktu.

- Od Alyonsa? - Myśliwy cofnął się o krok przerażony. Jak to?

- On nie żyje. Myślał, że to ja go zabiłem. A wcale tak nie było. Ale on - a raczej jeden z jego cieni - dał mi tego konia - Alyons nie żyje?

Michael ponownie skinął głową. - Zginął w pułapce za stawionej przez Izomaga.

- Byłem tam, dawno temu, podczas pierwszej bitwy Izo- maga - powiedział myśliwy potrząsając głową. - Widziałem szczyty magii, wszystkie barwy i potwory, o których ujrzeniu ni masz nawet co marzyć. Niektóre z nich chwyciły mnie, zmieniał ale uciekłem. To mnie postarzyło. - Zagryzł swą zarośniętą dolną wargę, spojrzał w niebo i zaczął

mrużyć powiekami, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy. - Stałem się taki stary, jak jestem teraz. Tylko patrzyłem, ale magia mnie nie oszczędziła. Uciekłem. Nie zatrzymywałem się dopóki nie trafiłem do mia- sta. -

Pokazał na zamglony, przypominający górę kształt. Wpuściła mnie tam kobieta z Sidhów, zaczęła mnie uczyć. Ale i wcześniej na to wszystko. Musimy się sobie przedstawić. Jestem

Christos! Zapomniałem. - Zamrużił powiekami. - Mam na imię... Mikołaj! Tak, Mikołaj.

- A ja Michael. - Mikołaj ściągnął rękawicę i uścisnęli sobie ręce.

- Nie jesteś ciepło ubrany, a dłonie masz bardzo ciepłe zdziwił się Mikołaj. - Uczyli cię chyba Sidhowie?

Mieszkańcy - sprostował Michael. - Żurawice. - Nie obrazisz się, jeśli spytam, dokąd zmierzasz?

Michael nie był jeszcze gotów do odpowiedzi, uśmiechnął się więc tylko i wzruszył ramionami.

- Rozumiem. W każdym razie idziesz do miasta. Rzeka przepływa przez miasto, a ty podążasz z jej biegiem,

prawda? Pójdziemy dalej razem? - Przyglądał się badawczo Michaelowi unosząc wysoko krzaczaste brwi. Michael

przystał na tę propozycję.

Po drodze Mikołaj pokazał, co ma w torbie. Niósł w niej paski suszonego mięsa obwiązane pieczolowicie bladobiałą korą. - To ze stworzenia podobnego do królika, o wielkich oczach - wyjaśnił. - Głupie jak na sidhowe zwierzę. -

Były tam też korzenie stosowane na przynętę do sideł i owoc bardzo podobny do tego, jaki Michael jadł w dzikim sadzie. Oprócz tego w torbie znajdowały się orzechy i woreczek mąki z żołądźci. Mikołaj wydobyl z zanadru fajkę wystruganą z drewnianej gałęzi. - Do palenia suszę sobie te liście. Nawet ujdzie. Nigdy nie palę w obecności

Sidhów. Wściekają się z zazdrości. Nie wolno im palić.

- Tolerują cię w mieście?

- Witają mnie zawsze z otwartymi ramionami, mówię ci! Kobiety. Sam zobaczysz. Sidhowie mężczyźni rzadko tu

teraz zaglądnają. Są bardzo zimni. Według mnie to skończeni pedanci. Ciebie też kobiety przyjmą serdecznie. Ale konia... Nie wiem, co z koniem. Naprawdę przekazał ci go Alyons?

- Naprawdę.

Mikołaj potrząsnął z powątpiewaniem głową. - No, zobaczymy. Miasto jest przepiękne. Przed wiekami Spryggle

zbudowali je dla Czarowników.

Tej nocy obozowali na wolnym od śniegu skrawku piasku, na brzegu rzeki, po wewnętrznej stronie jej zakola.

Mikołaj zaoferował Michaelowi swoją fajkę, ale ten wymówił się grzecznie. Mikołaj zaciągnął się głęboko i

wydmuchnął dym w nieruchome

nocne powietrze, akurat w momencie, gdy gwiazdy zakończyły swój taniec po niebie i zamarły w bezruchu. -

Najpierw ja opowiem o sobie - odezwał się - a potem ty mi się zrewanżujesz. Zgoda?

Michael skinął głową. Nikolaï zaczął opowiadać rozwlekłe swoją historię wdając się w nieistotne szczegóły. Mijały godziny, ale myśliwy wydawał się niezmordowany. W końcu Michael wyciągnął się na ziemi na wznak i podłożył

sobie ręce pod głowę. Nikolaï dał mu małą poduszkę wypchaną elastycznymi liśćmi. Nie krępuj się - powiedział -

śpij. Ja się nie pogniewam. I faktycznie, nie pogniewał się.

Dzieje Nikolaïja Nikolaïjewicza Kuprina można było streścić w kilku zdaniach. Sprowadzono go do Stanów

Zjednoczonych z Leningradu, żeby tańczył w szkole Denishawna. Karierę tancerza zaczął w wieku siedmiu lat

(„To był prawdziwy taniec, nie przytupywanie w miejscu, jakim popisywałem się jako czterolatek”), ale nie był to jego świadomy wybór. Zawsze bardziej niż taniec pociągała go muzyka. Równoległe do żmudnego programu nauki

tańca próbował też sił w grze na fortepianie i w końcu doszedł do takiej biegłości w tej sztuce, że mógł

akompaniować innym tancerzom. - To stało się, kiedy grałem Strawińskiego powiedział zniżając głos. -

Przebywałem wtedy na zwolnieniu lekarskim w mojej rodzinnej daczce w Pasadenie. Wyczerpanie nerwowe.

Pozwalali mi grać na fortepianie, bo to mnie odprężało. Przygotowywałem „Odgłosy Wiosny” na występy w

nadchodzącym sezonie... - Uniósł ramiona i westchnął. - Miałem czternaście lat. Nic nie wiedziałem o świecie, nie mówiąc już o tym! Omal nie pojмали mnie jeźdźcy Alyonsa, ale byłem z natury sprytny. Konflikt odwrócił ich

uwagę ode mnie. Wtedy właśnie traciłem w pobliże pola bitwy i oglądałem finał.

Spojrzał z góry na Michaela, który niemal już zasypiał.

- Patrzył na to mały, czarnowłosy chłopczyk - Nikolaï ciągnął z oczyma pełnymi łez. - Czegóż oni się

nie

dopuszczali; jakich potworów nie wyzwolili. Ta nienawiść do mojego ludu. To cud, że zdolny jestem jeszcze do

polubienia jakiegokolwiek Sidha Istny cud.

To były ostatnie słowa, jakie Michael słyszał tego wieczora' a przynajmniej, jakie wyraźnie zapamiętał: Nikołaj jeszcze długi snuł opowieść, ale on już spał.

Nadszedł ranek, a Nikołaj wciąż siedział przy dogasających głowniach ogniska, wpatrując się jasnymi oczyma w

sawannę z wyrazem czujności na twarzy. - Nauczyłem się jeszcze jednej rzeczy - odezwał się do Michaela. - Ludzie nie muszą tu spać. Może i ty będziesz mógł teraz zrezygnować ze snu.

Znowu zmieniała się pora roku. Po dwóch dniach ogromne miasto Sidhów zajmowało niemal cały północnowschodni horyzont. Słońce przygrzewało coraz silniej, topiąc śnieg i uwalniając rzekę z okowów lodu,

który przez całą noc pękał z trzaskiem i chrzęstem, a od czasu do czasu strzelał niczym salwa z działa. Nikołaj zdecydował, że będą nocować na głazie na wypadek, gdyby woda przybrała i zalała sawannę.

Michael zaproponował Nikołajowi swojego konia, ale ten podziękował. Postawa Nikołaja - szacunek połączony z

obawą niepokoiła Michaela. Rosjanin czegoś chyba mu nie powiedział; może z grzeczności, a może wychodząc z

założenia, że Michael już to wie.

Po południu, gdy do miasta pozostało im niespełna pięć kilometrów, zatrzymali się na odpoczynek pod rozłożystym, podobnym do wawrzynu drzewem rosnącym samotnie pośród traw. - Z jednego końca miasta na drugi jest, z grubsza licząc, sto pięćdziesiąt kilometrów - powiedział Nikołaj pociągając na próbę nisko rosnącą gałąź. Wokół unosił się zapach trawy

wilgotnej gleby rozwiewany podmuchami lekkiego wietrzyka. Otacza je pięć murów, z których każdy ma cztery

bramy. A w tych wieżach po lewej... - Wycelował liść i popatrzył wzdłuż niego lewym okiem. - W tych wieżach

pracują mistrzowie muzyki. Muzyki Sidhów. Ja osobiście nigdy jej nie słyszałem. Znajome kobiety twierdzą, że

wypaliłaby ludzki mózg na popiół. Może to i ciekawe przeżycie. A tam, w tej złotej kopule, znajdują się fabryki Sidhów. Nigdy mi nie powiedziano, co się w nich produkuje. Nic tam nie wchodzi, nic stamtąd nie wychodzi, ale niezaprzeczalnie pracują.

Miasto połyskiwało złotem, bielą i srebrem w przygrzewającym słońcu. Mury były niebieskoszare, a mosty i drogi obiegające centralną granitową górę - bladoszare. Ze szczytu góry na wysokość kilku tysięcy metrów ponad sawannę wyrastała smukła iglica nabijana krystalicznymi guzami. Stąd tego nie widać,

ale po drugiej stronie, jakieś piętnaście kilometrów za murami miasta...

- Irall - powiedział Michael. - Świątynia Adonny. Nikolaj zeszywniał. - Byłeś tam już?

- Widziałem ją... z wysoka. W wizjach. - Co jeszcze widziałeś?

- Sidh, który trenował ze mną, pokazał mi góry, w których Czarny Zakon przygotowuje nowicjuszy dla świątyni.

- Te góry leżą daleko na północ - rzekł Nikolaj. - Są zawsze pokryte śniegiem, spowite śnieżnymi chmurami; same czarne skały i wiekowe błękitne pola lodowe.

- Mówisz tak, jakbyś tam był - powiedział Michael. - Byłem niedaleko.

Na zachodnim stoku miejskiej góry wznosiła się budowla w kształcie rombu skróconego w dwuzwojową spiralę,

wysoka na jakieś półtora kilometra i szeroka na kilometr u podstawy. Podstawę otaczały ogromne kolumny z pni

drzew, podtrzymujące górne kondygnacje nie posiadające ścian. Wyżej pnie rozgałęziały się i mnożyły, tworząc w końcu zwarty gąszcz wokół górnych pięter. zapewniwszy pniami i gałęziami stabilność pionową budowniczo wie z

rasy Spryggła zastosowali przezroczyste różnokolorowe tafle do osłonięcia górnych poziomów, przy czym dla

każdego odcinka zawartego między sąsiednimi gałęziami przeznaczono inny kolor tafli. Efektem był cud

różnorodności i kolorystyki. Wokół góry wyrastało kilka podobnych budowli różnej szerokości i wysokości.

Bliżej, na stoku południowym, stał niski, płaski budynek składający się z podobnej do płaskowyzu powierzchni

górnej otoczonej tysiącami filarów z pni drzew. Każdy pień obwieszony był kiściami domów mieszkalnych roz-

mieszczonych wokół całego obwodu budowli w pozornym, mi- łym dla oka nieładzie. Na płaskowyzu - widoczny z

tej odległości jako zielona plama - rósł gęsty las. Jeszcze inny budynek miał piętra rozmieszczone ukośnie, jak popchnięta talii kart. Kondygnacje trzeciego biegly pod kątem trzydziestu albo i więcej stopni względem poziomu i przecinały się z in- nymi kondygnacjami, a całość przypominała kryształową kra- townicę.

Pomiędzy większymi budowlami roilo się od budynków wzniesionych na poziomie ulicy, odzwierciedlających

kontury wzgórz leżących u podnóża góry, pokrywających niższe zbocza samej góry i obsiadających wzniesienia

między wspaniałymi drogami.

Michael żałował, że nie dane mu było porozmawiać dłużej z Lin Piao. Jeśli Sprygla potrafili budować miasta takie jak to, stanowili bardzo szczególną rasę; nie widział nigdy niczego podobnego i nie spodziewał się, że jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

Nikołaj z wyraźną satysfakcją obserwował zachwyty Michaela. To miasto zawsze robi wrażenie - powiedział. - Spójrz tam wskazał z dumą właściciela. - Widzisz ten budynek? Upodobnili go do małej góry. Ściany przypominają granie, w ścianach widać jaskinie. Nigdy tam nie byłem. Jak myślisz, co za rodzaj Sidhów go zamieszkuje?

Michael wolał nie zgadywać. Koń stapał obok nich patrząc prosto przed siebie i strzygąc uszami, jak gdyby wiedział, że wkrótce znajdzie się w bardziej znajomym sobie towarzystwie, i nie mógł się tego doczekać. Chociaż Michael był

pod wrażeniem tego, co widział, to jednak nie umiał jakoś wykrzesać z siebie entuzjazmu. Tych kilka przejść z Sidhami nie skłaniało go do tęsknoty za dalszymi kontaktami. Nikołaj usiłował go uspokoić.

- Posłuchaj, oni są tacy w polu. Szorstcy, prości. To jest miasto. Kobiety są zupełnie inne. Mało tam mężczyzn. Mile widzą mnie, ciebie też przyjmą. Damy sobie radę.

- A co z koniem?

- To twój koń, prawda? Alyons sam ci go dał.

- Nie ma na to żadnego dowodu - mruknął Michael. Nikołaj nie znalazł na to żadnej odpowiedzi.

Mury miasta wzniesiono z ogromnych kamiennych bloków i powleczone niebieskawym ceramicznym szkliwem.

Nikołaj ponaglał do szybszej wspinaczki pochyłością ku gościńcowi wybrukowanemu płytami z białego kamienia.

Gościńiec wiódł prosto jak strzelił do szerokiej, niskiej, przypominającej usta bramy widniejącej w cieniu

zewnątrznego muru.

- Wchodzimy od tyłu. Tą stroną miasto zwraca się ku stepowi. Ruch tu niewielki i brama nie jest zbyt często

używana. Brama przypominała wejście do ogromnej mrocznej groty. Mur

okazał się gruby na dziesiątki metrów, ale miał tylko trzydzieści

metrów wysokości, co czyniło go wyniesioną ponad poziom gruntu groblą biegnącą naokoło miasta.

Nikołaj zatrzymał się na skraju gościńca i położył na ziemi torbę. - Tutaj się przebieram, chowam prowiant i

doprowadzam do cywilizowanego wyglądu zgodnie z normami Sidhów. Bierze cię obrzydzenie, kiedy kot przynosi

ci do domu upolowaną mysz, prawda? Sidhom nie spodobałoby się ani moje menu, ani strój.

Wyciągnął z torby

prostą tunikę i spodnie, na ich miejsce wepchnął dotychczasowe ubranie i ukrył zawiniątko w dziupli pobliskiego drzewa.

Nigdzie nie widać było strażników. Nikołaj wprowadził Michaela w ciemności, potem zatrzymał się i usiadł

opierając się plecami o gładką jak szkło wewnętrzną powierzchnię tunelu. Zaczekamy parę minut.

Po upływie ponad godziny Nikołaj zerknął w ciemność i skinął do siebie głową. - No - odetchnął. - Idzie.

Daleko w mroku pojawiła się samotna postać zmierzająca w ich kierunku. Michael wstał i pod krytycznym

spojrzeniem Nikołaja doprowadził się do porządku, na ile było to możliwe. - Kto tu po ciebie wychodzi? - spytał.

- Służąca Kapłanki Godzin - odparł enigmatycznie Nikołaj. Kobieta Sidh przerastała Michaela o głowę, a Michael był nieco wyższy od Nikołaja. Najbardziej uderzająca była jej twarz znaczone poziomymi pomarańczowymi pasami

o brzegach pociągniętych kreskami koloru węgla drzewnego. Gdy podchodziła do nich pełnym gracji krokiem,

Nikołaj zgiął się w przesadnym, teatralnym ukłonie. Nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem, lecz nie odrywała

wzroku od Michaela. Jej jasne, szaroniebieskie oczy przypominały barwą krawędzie zachodzących na siebie chmur.

Miała wąskie, niemal surowe usta i typową dla Sidhów pociągłą twarz. Ubrana była w purpurową opończę

obramowaną satynowym paskiem ognistej czerwieni. Gdy szła, spod opończy prześwitywała z każdym krokiem

kremowa suknia z naszytymi kwiecistymi wzorami w kolorze czystej bieli.

Michael nie nazwałby jej ładną, ale musiał przyznać, że była nadzwyczaj egzotyczna.

- Witaj - powiedziała. Michael poczuł na swej aurze delikatne muśnięcie nie przypominające w niczym

bezceremonialności

Alyonsa ani zdecydowanego sondowania Żurawic. To uczucie było nawet przyjemne.

- Sona rega Ban - powiedział Nikołaj - przedstawiam ci mojego przyjaciela, Michaela Perrina. Wędruje jak ja...

Teraz zignorowała ich obu spoglądając na konia. Po chwili odwróciła się z uśmiechem do Michaela, wyciągnęła rękę i ujęła go za przedramię ciepłymi, delikatnymi palcami. - Jestem Ulath powiedziała. - Z rodu Wis. Twój przyjaciel jest bardzo niezwykły, Nikołaju. Kapłanka Godzin powita go z radością, nie sądzisz?

- Oczywiście mam taką nadzieję - przytaknął Nikołaj. - Czy to twój koń? - zwróciła się Ulath do Michaela. - Tak.

Nigdy, nawet w Królestwie, nie widziałam niebieskiego konia.

- Za tym kryje się cała historia, rega Ban - wtrącił się Nikołaj. - Jestem pewien, że mój przyjaciel opowie ją jeszcze raz w stosownym czasie.

Chodźcie - powiedziała Ulath - i witajcie w Inyas Trai. - To nazwa tego miasta - wyjaśnił Nikołaj. - I nie radzę ci wymawiać jej głośno, nawet kiedy będziesz sam.

Zabobony, Nikołaju - powiedziała nieco głębszym głosem kobieta.

- Pani - Nikołaj skłonił się znowu. - Jesteśmy tylko biednymi...

- Skończ z tą swoją unізonością. Nie pasuje tutaj.

- W istocie, nie pasuje - przyznał Nikolaïj prostując się i uśmiechając do Michaela. - W mieście Sidhów nie ma miejsca na pokorę.

W głębi muru tunel rozgałęział się na dwa korytarze, jeden biegnący w czerwony mrok, drugi ku półokręgowi

dziennego światła. Michael odetchnął z ulgą, kiedy skręcili w ten drugi.

Wyszli na wąską uliczkę wijącą się między ścianami beżowych i białych budynków. Na ulicach panowała niczym

nie zmacona cisza. Michael miał wrażenie, że znalazł się na dnie koryta głębokiej rzeki. Krystaliczne, okrągłe zwierciadła osadzone w ścianach domów odbijały na wszystkie strony światło dnia rzucając na ulice świetliste

zajaczki w kilkumetrowych odstępach jeden od drugiego. W miarę jak słońce przesuwało się po niebie, ożywały

coraz to nowe sieci odbić i na miejsce blednących starych zajaczek pojawiały się nowe.

Ulath szła ciągle dwa kroki przed Nikolaïjem i Michaeliem. Jej suknie szeleściły, a gęste, ciemnoczerwone włosy kołysały się na boki niczym uwodzicielskie wahadło przeciwważące płynny ruch bioder.

Nikolaïj rozglądał się dookoła z żywym zainteresowaniem, uśmiechając się od czasu do czasu do Michaela i milcząco zwracając mu uwagę na coraz to inną atrakcję Inyas Trai. Po kilku minutach, minąwszy po drodze zaledwie trójkę Sidhów - same kobiety, wszystkie ubrane w odmiany stroju Ulath - dotarli do szerokiego chropowatego kamienia

wsuniętego w cienistą wnękę o wysokich ścianach. Dwa naturalne stopnie ułatwiały wejście na płaską powierzchnię głazu. Ulath wspięła się po stopniach i obejrzała na nich. - Czy on wie o kamieniach przejściowych? zapytała.

Nikolaïj wzruszył ramionami.

- Wiesz?

- Nie - odparł Michael. I wtedy Ulath odwróciła się twarzą do niego i w najcudowniejszym seansie odsię-widzenia, jaki Michael dotąd przeżył, napelniła mu głowę najważniejszymi wiadomościami o Inyas Trai.

Aby przemieścić się z jednego miejsca tego ogromnego miasta w inne, wchodziło się na najbliższy kamień

przejściowy, który w prosty i bezpośredni sposób przesyłał stojącą na nim osobę tam, gdzie chciała się znaleźć.

Każdy kamień miał siedem współrzędnych. Pasażer musiał wyobrazić sobie tylko współrzędne punktu przeznaczenia i w mgnieniu oka już tam był. W Inyas Trai nie było komunikacji kołowej. Albo chodziło się piechotą, albo jeździło konno (a koni było w mieście niewiele), albo korzystało z kamieni.

Weszli na kamień. Nisza pojaśniała i znikła. Stali pośrodku innego kamienia, na skraju dachu bardzo wysokiego budynku: Wiatr targał włosami Michaela. Znajdowali się niemal na pozio mie szczytu góry i było bardzo zimno.

Przywitał ich słodki aromatyczny zapach bijący od smukłych, podobnych do bambusa źerdzi wystających z jednej

krawędzi kamienia. Michael zszedł ostatni; wciąż „widział” i wchłaniał informacje przekazywane m przez Ulath.

Miasto było zaludnione przez same niemal kobiety. Mężczyźni nie gustowali w miejskim życiu; wycofali się przed wiekami do lasów otaczających Irall i rzadko, jeśli w ogóle, wracali. Miastem rządziły kobiety; Kapłanka Godzin, pani Ulath, sprawowała w hierarchii miasta funkcję odpowiadającą stanowisku radcy.

Michael zamrugał powiekami. Uświadomił sobie nagle, że podczas odsię-widzenia Ulath zręcznie ominęła bariery, jakimi otoczył swą aureę, i zaczerpnęła z jego pamięci znaczną porcję informacji o nim samym. Uśmiechnęła się doń przepraszająco i ruszyła przodem. Jej suknia i włosy powiewały na wietrze.

- Dokąd idziemy - spytał szeptem Nikołaja.

- Do domu Kapłanki Godzin - odparł Nikołaj. - Prowadzi kroniki miasta. Przedstawię cię Emmie, a potem wyruszę na swoją pielgrzymkę.

- Nie wspominałeś o żadnej pielgrzymce.

- Możesz iść ze mną - powiedział Nikołaj. - Udaję się w góry, żeby zobaczyć Snieżne Oblicza. Zbliża się sezon.

Michael podążył za nimi schludnym laskiem niewysokich drzew

o grubych pniach. Szli brukowaną ścieżką, wzdłuż której skrajów biegły niskie poręcze. - Kto to jest Emma? - spytał

Michael. - Zobaczysz - odparł Nikołaj z wyrazem błógiego roz

czulenia na twarzy. Dotknął palcami policzka i potrząsnął głową. - Musisz obiecać...

- Co obiecać.

Nikołaj gwałtownie potrząsnął głową. - Nieważne - mruknął wycelowując palec. - Widzisz? - Ulath

szła przodem nie zwracając na nich uwagi.

- Czy co widzę?

-- Jeden z Drzewoli Kapłanki. Opiekują się biblioteką. - Tymi drzewami?

Nikołaj poważnie skinął głową. - Chodź. Nie wolno nam zostawać z tyłu.

Dom Kapłanki Godzin zbudowany był ze wspaniale rzeźbionego i dopasowanego drewna. Strzelisty, stożkowy dach,

ośmioboczny do połowy swej wysokości, rozstępował się na trzy zwężające się stopniowo poziomy o mniejszej

liczbie boków, przy czym poziom najwyższy miał ich trzy. W wierzchołku wznosiła się wieża z brązu, ozdobiona

srebrnym sierpem księżyca. Spod

stożkowatego dachu centralnej budowli wyłaniały się pod kątem czterdziestu pięciu stopni dwa skrzydła osłaniające z dwóch stron trójkątny dziedziniec. Na dziedzińcu, w niczym nie skrępowanej obfitości rosły kwiaty: róże

wszystkich odcieni, włącznie z niebieskim, nasycaly wonią powietrze i zdawało się, że nawet je ogrzewały. Ulath zerknęła przez ramię na Michaela.

- Kapłanka Godzin mieszka tu od wieków - powiedziała. Zanim jeszcze zbudowano miasto.

- Przenieśli tu ten dom - wtrącił Nikołaj.

Skręcili na ścieżkę biegnącą obok kwiatów i wkroczyli do domu Kapłanki wysokimi, wąskimi, czarnymi drzwiami w wierzchołku trójkąta. Wnętrze rotundy otaczały płyty z czarnego marmuru oznaczonego siateczką zielonych żyłek.

Płyty blokowały bezpośrednie światło dnia wpadające oknami osadzonymi w niszach w murze zewnętrznym. Zza

płyt dochodziły przyciszone szepty. Michael poczuł kilkanaście lekkich jak piórko dotknięć na swej aurze pamięci.

Odepchnął je delikatnie i głosy ucichły. Nikołaj stanął obok Ulath pośrodku sali. Oboje, zdawało się, czekali na coś.

- Kapłanka Godzin jest bardzo potężna - powiedział Nikołaj. - W jej obecności popada się w oszołomienie i czas zmienia swój bieg. Nie przestrasz się. Nie wyrządzi nam krzywdy.

Po kilku minutach Ulath dygnęła i skłoniła głowę. Z sąsiedniego korytarza wyszła kobieta w bieli i

zbliżała się ku nim po gładkiej, kamiennej posadzce, bardziej sunąc po niej, niż idąc. Gdzieś wysoko, we wnętrzu wieży rozległo się brzęczenie. Michael odwrócił wzrok od blasku bijącego od Kapłanki i spojrzał w górę. Kontury wieży migotały wypełnione złotymi pszczołami. Od patrzenia na te owady rozjaśniło mu się w głowie. Kapłanka ujęła go za rękę, poprowadziła za marmurową płytę, a potem spiralną klatką schodową na drugą kondygnację. Minęli długi korytarz z jasno oświetlonymi oknami i znaleźli się w wyłożonej drewnem sali, której podłoga wycięta była z jednego pnia jakiegoś ogromnego drzewa. Pośrodku koncentrycznych słoï podłogi stała szeroka, niska misa z wodą. Przy misie stała jakaś sylwetka, ale Michael nie mógł dostrzec, kto czy co to jest. Kapłanka poprosiła go, aby obmył ręce, i kiedy spełnił jej życzenie, niewiarygodny aromat wypełnił salę.

- Mamy wśród siebie poetę - powiedziała ujmując jego wilgotne dłonie i prowadząc go do sąsiedniej sali.

Sciany tej komnaty pokrywało piękne białe płótno, a na podłodze leżała mata upleciona z sitowia. Kapłanka Godzin wyciągnęła do niego ramiona; jej dłonie jarzyły się ciepłem i magią. Michael podszedł do niej, a ona przygarnęła go do piersi. - Tak, nie obyło się bez bólu - powiedziała - i błędu. Tak już jest w obu naszych domach. Ale ty mnie znasz, prawda?

Znał ją i zaczął cicho szlochać.

Rozdział trzydziesty drugi

Kilka godzin później, nakarmiony i pozostawiony sam w komfortowej sypialni na końcu południowego skrzydła,

Michael wyjął swoją książkę z kieszeni i marszcząc czoło ważył ją w dłoni.

Spotkał się z Kapłanką Godzin - ale nie pamiętał, jak wyglądała. Twarz Uloth przypominał sobie dosyć dokładnie; tak samo wszystkie inne szczegóły sprzed tego spotkania. Ale nie potrafił przywołać z pamięci ani wyglądu

Kapłanki, ani barwy jej głosu. Pamiętał jak przez mgłę wysoką kobietę z rodu Sidhów ubraną w biel, ale jaka była suknia - długa, powłóczysta, jasna, a może przezroczysta?

Chociaż bardzo się starał, nie mógł sobie przypomnieć nic więcej. Sondowanie aury Nikołaja okazało się

bezowocne; sposoby takie nie nadawały się do zdobywania informacji o ostatnich wypadkach, a zresztą Nikołaj

niewiele wiedział o jego spotkaniu z Kapłanką.

W komnacie Michaela stało mosiężne łóżko przykryte pikowaną kołdrą, słój z wodą na marmurowym stojaku, a na

ścianach wisiało kilka scenek rodzajowych z Ziemi oprawionych w ramy. Dopiero po kilku minutach uświadomił

sobie, że to autentyczne Coroty i jeden Turner. A więc Kapłanka Godzin była amatorką przedmiotów ziemskiego

pochożenia - włączając w to najwyraźniej jego samego.

Rozebrał się i umył w misce. Komnatę wypełnił znowu bogaty, ciężki aromat...

I jak katalizator, aromat ten otworzył bramy jego pamięci dostatecznie szeroko, by uwolnić jeden fragment.

Kapłanka podniosła wzrok i spojrzała na Michaela z ciepłym uśmiechem. Tuż pod jej wydatnymi kośćmi

policzkowymi pojawiły się dołki. Oczy miała lekko skośne, migdałowe w kształcie i głęboko

osadzone, szafirowo błękitne, przyprószone srebrem. - Jesteś zdecydowany dotrzeć do Izomaga bez względu na

konsekwencje? Michael skinął głową.

- Nie zważając na fakt, że czyni cię to narzędziem w rękach tych, o których nic nie wiesz?

Ponownie skinął głową, ale już mniej pewnie. Kapłanka westchnęła i nachyliła się ku niemu nad blatem stołu

inkrutowanym wzorami układającymi się w pnącza winorośli. Między nimi stała misa z pokrojonymi owocami.

Tak kończył się ten fragment. Michael wytarł się płóciennym ręcznikiem i wpełzł pod miękką kołdrę. Pościel,

chłodna z początku, ogrzewała się stopniowo od jego nagiej skóry.

Jutro, pomyślał, Nikolaś przedstawi go Emmie kimkolwiek jest ta Emma - i przygotują się do wyprawy.

Kapłanka zaaprobowała tę wyprawę. Tyle jeszcze pamiętał. Co do konia - Ulath powiedziała, że koniuszowie

Sidhów odpowiednio się nim zaopiekują. Napomknęła, że jest chory i trzeba go trochę podleczyć, a przy okazji na nowo podkuć.

- Żaden Sidh nie miałby nigdy książki z jakąkolwiek historią - powiedział Nikolaś przy śniadaniu. - Słowo pisane krępuje. Najlepsza jest długa pamięć. Przeszłość pozostaje wtedy żywa; może się zmieniać jak coś żywego.

- A więc drzewa pamiętają? Weszła Ulath z misą owoców...

Kapłanka opowiedziała mu o Emmie Livry... Ale co mu o niej opowiedziała?

...uśmiechnęła się i postawiła misę na stole. - Te odcisnięte pamiętają - powiedziała. - Sidhowie, tacy jak ja, którzy służyli Kapłance. Gdy dożyjemy w jej służbie czasu, kiedy stajemy się beзуżyteczni, każemy się odciskać w

drzewie. Podobno miło jest uwolnić się od wszelkich trosk Królestwa i pozostawić sobie do strzeżenia, do hołubienia tylko przeszłość.

W kryształowym oknie refektarza stało jasne słońce. Wszędzie wokół kobiety Sidhów o rozmaitych kolorach skóry i w oszałamiająco różnorodnych strojach jadły dostojnie, leżąc na brzuchach, jak starożytni Rzymianie, o których czytał Michael.

Nikołaj leżał obok Michaela obierając ze skórki niebieskie jabłko i kiwając głową. - Często się zastanawiałem, jak wygląda czyste życie umysłu - powiedział. - Sale pamięci, korytarze myśli.

Leżąca w ich sąsiedztwie Ulath przekreśliła się na bok, żeby spojrzeć bezpośrednio na Michaela. Michael poczuł na twarzy rumieniec zakłopotania. Upuścił trzymaną w rękę kromkę chleba i sięgnął, żeby ją podnieść. Ulath

przytrzymała go za rękę.

- Kapłanka jest pod wielkim wrażeniem - powiedziała. Nie może się tobie nadziwić. Przybyłeś do nas wyszkolony jak Sidh, na sidhowym koniu. Żaden człowiek nie dokonał tego jeszcze w Królestwie. Kapłanka jest ciekawa i my wszystkie też. - Wskazała gestem pozostałe kobiety zebrane w refektarzu.

- Jestem zazdrosny - wtrącił Nikołaj odgryzając kęs kandyzowanej brzoskwini.

- Niedawno przybyłeś z Ziemi - ciągnęła Ulath. - Jak tam jest? Michael rozejrzał się po sali i stwierdził, że wszyscy nastawili uszu. - Dużo tam teraz maszyn - odparł. To, zdawało się, nikogo nie zadowoliło. - Wylądowaliśmy na

Księżycu.

- Byłam kiedyś na Księżycu - powiedziała Ulath. Są tam wspaniałe ogrody.

- Co takiego? - Michael płócienną chusteczką otarł dłonie z owocowego soku. Ściany komnaty Kapłanki...

Emma Livry, to drugie takie narzędzie...

- To chyba nie nasz Księżyc - sprostował otrząsając się szybko. - Nasz jest martwy, nie ma na nim powietrza ani wody. - Są tam i ogrody, ale tylko dla tych, którzy potrafią patrzeć powiedziała Ulath.

- Ulath niejedno w życiu widziała - szepnął Nikołaj do Michaela. - Znała osobiście króla Artura.

Ulath zmierzyła Nikołaja wzrokiem wyrażającym lekką przyganę i znowu skierowała całą uwagę na Michaela. -

Żadnej z nas nie udaje się ciebie odczytać - powiedziała.

- Naprawdę? - Michael podejrzewał, że Ulath odczytała go bardzo dokładnie.

- Chodzi mi o twoje motywacje i plany. Uprzejmość każe się otwierać w Inyas Trai. Nikołaj jest bardzo otwarty.

- Nie mam nic do ukrycia - powiedział Nikołaj. - Chyba że w pobliżu kręci się jakiś mężczyzna.

- Nie ma tu teraz mężczyzn - zapewniła go Ulath. - Michael wzbudza naszą ciekawość...

Nie uważał całkowitego otwarcia się za rozsądne posunięcie. Powiedział im, że trafił do Królestwa przez przypadek.

Wspomniał o muzyce Arno Waltiriego, potem dużo przeskoczył, ledwie zahaczając o Żurawice, i opowiedział im o

Lin Piao Tai nie wspominając nic o książce. Ulath słuchała uważnie i kiedy Michael skończył, pogładziła go po ramieniu. Jej dotyk był chłodny i elektryczny, zupełnie inny od dotyku Eleuth.

I inny od dotyku Kapłanki Godzin. - Nie obchodzi cię, że stajesz się narzędziem w rękach tych, którzy nie życzą sobie, abyś cokolwiek o nich wiedział?

Chodź - powiedział jakoś opryskliwie Nikołaj wstając i poprawiając swoje miejskie ubranie. - Poszukajmy Emmy.

Oddaliwszy się od domu Kapłanki i minąwszy gaj wyszli na

mały dworek z kamienia. Dworek otoczony był topolami i modrzewiami. Tuż obok jeziorko o gładkiej jak lustro

powierzchni rozpraszało swą szklistą gładzią poranne promienie słońca. Po jeziorku, niczym małe, spacerowe

łódeczki, pływały łabędzie, a ciągnące się za nimi po wodzie ślady wprawiały w kołysanie tratwy wodnych lilii.

Ciężkie drewniane drzwi dworku osadzone były w łukowato sklepionej framudze rzeźbionej w wysokie na

kilkadziesiąt centymetrów postacie świętych. Michael nigdy nie chodził do kościoła i nie rozpoznał ich. Nikołaj przeżegnał się przed jednym widniejącym na poziomie oczu i mruknął: - To święty Piotr.

- Ujął w dłoń masywną

żelazną kołatkę w kształcie smoczej głowy i zastukał dwa razy do drzwi. - Ona jest urocza - powiedział, kiedy czekali.

Drzwi uchyliły się. Przez szparę wyjrzała mała, chuda twarzyczka obramowana prostymi czarnymi włosami i

zmierzyły ich przenikliwie, zwężone brązowe oczy. - Nikolaaj - kraknęła twarzyczka i drzwi otworzyły się na całą szerokość.

Była to w pewnym sensie kobieta. Miała niewiele ponad metr wzrostu, była chuda jak źdźbło trawy i ubrana w

czarną koszulę z długimi rękawami. Na kościstych dłoniach nosiła białe rękawiczki. Kąciki jej ust jakby z natury wyginały się ku dołowi, a uniesione wysoko w niemym znaku zapytania brwi nadawały

komunikat: „Łatwo mnie skrzywdzić, nie zadzierać ze mną, bo gryzę instynktownie”.

- Jest Emma? - zapytał Nikolaaj.

- Dla ciebie zawsze - odparła kobietka. - A ten, to kto? Spojrzała na Michaela jak na robaka przyniesionego z ogrodu przez kota.

- Znajomy - powiedział Nikolaaj. - Z Ziemi, Mario. Twarz Marii jeszcze bardziej złagodniała. - Ostatnio? Michael skinął głową.

- Chodźcie ze mną - powiedziała. - Jest na górze. Tańczy. Weszli za Marią po schodach na piętro. Krótkim

korytarzykiem o pudrowoniebieskich ścianach dotarli do na wpół uchylonych, podwójnych drzwi. Maria precyzyjnie przecisnęła się przez nie. - Emmo zaszczębiotała chrapliwie - mamy gości. Przyszedł Nikolaaj... z przyjacielem.

Pokój bardzo przypominał studio taneczne Lamii na piętrze domostwa Izomaga; był jednak mniejszy i zalany

słonecznym światłem wpadającym przez szeroki świetlik.

Pod ścianą stała dziewczyna niewiele starsza od Michaela, ubrana w suknię baletnicy sięgającą do pól łydki. Czarne włosy miała odgarnięte do tyłu i związane w koński ogon. Jej długa, smukła szyja i ramiona były tak samo pełne wyrazu jak u łabędzi pływających po jezioru przed domem. Przerwała ćwiczenia i rzuciła się z otwartymi

ramionami do Nikolaaja. - Mon cher ami! - zawołała. - Tak się cieszę, że cię widzę!

Cofnęła się o krok, zakręciła nim dwa razy w koło, a potem spojrzała na Michaela.

- Nie zwracaj na niego uwagi, to uwodziciel - powiedział Nikolaaj. - Przejrzałem go.

- To człowiek! - wykrzyknęła z zachwytem Emma. Wyciągnęła rękę i Michael uściskał ją. Była zarumieniona,

ciepła, delikatna jak kwiat. Grzbiet jej dłoni był jednak nieco jaśniejszy od palców, a skóra na nim lekko

pomarszczona, jak gdyby po dawno zabliźnionym oparzeniu.

- Z Ziemi! - wychrypiała Maria. - Przybył niedawno. - Och! C'est merveilleux! - Emma klasnęła w ręce z dziecięcym zachwytem. - Nikołaju, to ty go znalazłeś i przyprowadziłeś, żeby z nami porozmawiał i opowiedział nam o domu?

- Częściowo - powiedział Nikołaj. - Zrobiłbym wszystko, żeby uszczęśliwić Emmę - mruknął do Michaela.

Maria wniosła mały stoliczek; przysunęli sobie do niego drewniane krzesła spod ściany i usiedli. - Mario - poprosiła Emma - przynieś wina i te wspaniałe ciastka, które podarowała nam Kapłanka.

Spojrzała na Michaela i uśmiechnęła się olśniewająco, a potem zamknęła oczy i wyraźnie zadygotała z przejęcia. -

Skąd jesteś? - Z Kalifornii.

- Mówisz... z Kalifornii? Tak, wiem! To jest w les Etats Unis. Nigdy tam nie byłam. To pustynia i do tego bardzo sucha, prawda?

Maria wróciła z ciastkami, winem i szklankami i zajęła się nalewaniem i częstowaniem. Ciastka były ze słodkiej gryki. Kiedy Michael zaspokoił ciekawość Emmy dotyczącą Kalifornii, spytała go, czy był kiedykolwiek we Francji.

- Nie - przyznał. Twarz jej przygasła.

Czy to znaczy, że nie możesz mi opowiedzieć niczego o Francji, jak tam jest? Który teraz rok?

- Kiedy odchodziłem, był rok 1985 - odparł Michael. Odchodziłeś? Odszedłeś z własnej woli? Och... mnie zabrano.

Co wcale nie znaczy, że nie jestem za to wdzięczna. - Przez chwilę wyglądała tak, jakby miała się rozplakać, ale natychmiast rozpogodziła się i dotknęła jego dłoni. Nikołaj obserwował ten kontakt z nieskrywaną zazdrością. - A więc jak wyglądał Paryż, kiedy odchodziłeś? Tyle mam pytań!

Michael poszukał wzrokiem pomocy u Nikołaja. - Kiedy Emma... hm... odeszła?

- W 1863 - odparł ponuro myśliwy. - To był dla niej zły rok.

- Bardzo zły - potaknęła Emma, ale tak, jakby niezupełnie się z tym zgadzała. A więc to już... ponad sto dwadzieścia lat. Nie odczułam upływu czasu. Są dla mnie dobrzy, ale czasem wydaje mi się, że

jestem dla nich zabawką.

- Kochają cię - przypomniał jej Nikołaj, a potem uniósł brwi i zacisnął usta. - W każdym razie na tyle, na ile potrafią kochać. - Tańczę dla nich - powiedziała Emma. - Ich reakcja jest

bardzo zabawna! Mówią mi, że Sidhowie potrafią tańczyć z o wiele

większą dyscypliną, wdziękiem, nawet z większą spontanicznością niż ja, a jednak tego można od nich oczekiwać.

Mówią, że ja tańczę ze specjalnym ładunkiem magii, bo nie ma we mnie magii! To nie żadne czary, nie iluzja, ale fizyczny taniec. Och, ale gdybym została na Ziemi...

- Gdybyś została na Ziemi - wtrąciła Maria - nie żyłabyś już.

- Ale Nikołaj mówi, że gdyby to się nie stało - ciągnęła Emma nie zbity z tropu - zmieniłabym kształt tańca! To znaczy sposób, w który każdy pojmuje taniec, balet.

- Jesteś legendą - przytaknął Nikołaj. - Ale Michael nie zna się zupełnie na tańcu. Jest poetą. Tak mówi nam

Kapłanka. - A więc pokażę ci taniec - zaproponowała Emma.

- Skończyłaś już ćwiczenia na dzisiaj - przypomniała jej Maria. - Nie wolno ci się przemęczać.

- Maria wygaduje czasami takie głupstwa - zachichotała Emma. - Zapomina się. Tutaj nie mogę się przemęczyć!

Chronią mnie. Ulath, Kapłanka... czuję się jak... jak to się mówi? Jak kwiat w oranżerii trzymany pod szkłem. -

Potrząsnęła stanowczo głową. - Jestem taką delikatną, taką kruchą, małą zabawką. Ale Nikołaj tak o mnie nie myśli.

On wie, że tancerze są silni.

- Jesteś dla mnie siostrą, której nigdy nie miałem - powiedział Nikołaj.

- Jestem starsza od niego, prawda? - spytała Emma spoglądając po twarzach siedzących przy stole. - Jest z Ziemi, jaka nastąpiła po mnie, a więc jestem starsza. A jednak nie widać po nas takiej różnicy wieku! Zgodzisz się ze mną Michaelu, że to miejsce jest bardzo dziwne. Ale nieważne. Jeśli chcesz, zatańczę dla ciebie. Może kiedy poprosi mnie o to Kapłanka... albo kiedy tylko zechcesz.

Nikołaj powiedział jej, że muszą już iść. Odprowadziła ich do drzwi sprawiając wrażenie przygnębionej aż do czasu, kiedy posłała im dłonią pocałunek, uśmiechnęła się i wbiegła po schodach z powrotem na górę. Maria popatrzyła na nich obojętnie i zamknęła drzwi.

- Jak tu trafiła? - spytał Michael. - Tak samo jak ty, jak inni?

- Nie. Sprowadzili ją tu Sidhowie. Może sama Kapłanka albo Ulath, albo jeszcze kto inny, wszystko jedno. To

Emma Livry; nie domyśliłeś się?

- Słyszałem gdzieś to nazwisko... Kapłanka...

- Emma Livry, jedna z najwspanialszych tancerek swojego czasu - ale nigdy nie miała okazji zdobyć

uznania, na jakie zasługiwała. Była zaledwie dwudziestoletnią, piękną dziewczyną. Od lampy gazowej zajęła się jej suknia. Spłonęła - skrzywił się - to straszne. Nie wiem dokładnie, jak to zostało przeprowadzone, ale Sidhowie z Inyas Trai przyszli po nią i zabrali do siebie. Wyleczyli ją i zatrzymali tutaj. Zauroczyła ich; była tak młoda i piękna.

- Odetchnął głęboko. - Czasami nawet Sidhowie czynią coś dobrego.

Emma Livry. Nagle wróciły mu wspomnienia z reszty spotkania z Kapłanką i jej słowa:

- Śmiem przypuszczać, że Nikolaj prawie tak samo mało wie, co się naprawdę wydarzyło, jak ty. Ten spór o Pieśni Władzy... o kwestię rodzaju ludzkiego... przez wieki rozpalał namiętności pod każdym dachem.

- Wiem o kopule rozkoszy - powiedział Michael.

- Dobrze. A więc nie jesteś całkiem niedoinformowany. To był pośledni incydent, człowieka-dziecko. Zdarzały się epizody o wiele bardziej okrutne i bezsensowne. Nikolaj poinformuje cię bez wątpienia, że Emma była bardzo

obiecującą, młodą tancerką, którą spotkał nieszczęśliwy wypadek. To nie był wypadek.

Gdy dopiero zaczynała swoją karierę, dotarł do niej David Clarkham. Och, nosił wtedy inne nazwisko...

- Jest taki stary?

- Nawet starszy. Czy wiesz kim, a raczej czym jest Clarkham? - Wiem tylko tyle, że nazywa siebie Izomagiem.

Uśmiechnęła się znowu kładąc w ten uśmiech całkowicie inne

znaczenie. - Dotarł do niej z planami wielkiego baletu, w którym ona miałaby zagrać wiodącą rolę. Miała zatańczyć zupełnie rewolucyjne solo. A w tej solówce Clarkham miał zawrzeć jeszcze jedną Pieśń Władzy. Nie w formie

architektury, nie w formie poezji, ale pod postacią tańca. Wiedział, że Maln użył wszystkich środków, aby nie dopuścić do przekazania ludziom Pieśni Władzy, kiedy zdał sobie sprawę, co ludzie mogliby z nią zrobić - nie tylko wyprzeć resztki

Sidhów z Ziemi, ale i ponownie zjednoczyć Królestwo i Ziemię. Najpierw Maln zniweczył swoje własne dawne

plany wysyłając pewną osobę z Porlock do Coleridge'a. Kiedy Clarkham wpadł na pomysł zawłaszczenia sobie

władzy poprzez odtworzenie Pieśni, zdawał sobie sprawę, że do realizacji tego planu będzie mu potrzebny wielki artysta człowiek. Jego pierwszy wybór padł na Emmę Livry. Maln zdemaskował jednak jego zamiary, i zanim Emma

zdołała zatańczyć w jego balecie... zaaranżował ten wypadek.

- Dlaczego po prostu nie zabili Clarkhama? - Był za potężny.

- Ale przecież ludzie nie są podobno zdolni do uprawiania potężnej magii!

- Dopiero teraz nabierasz podejrzeń, co do natury i zdolności Clarkhama?

Michael zignorował ten lekko kąśliwy docinek. - Co jej zrobili? - Nosila czysty tarlatan. Chciała, aby jej kostium był

idealnie biały, bez wgłębień pozostawianych przez środki zmniejszające palność. Czekala za kulisami, Malnowi

wystarczyło tylko wydłużyć płomień gazowej lampy, kiedy poprawiała na sobie suknię. Stała w ogniu, jak ćma, która wpadła w płomień świecy. Przebiegła przez scenę, a płomień żywiły się wiatrem. Biedna ćma... - Kapłanka spuściła oczy. - Dogorywała w cierpieniach przez osiem miesięcy. Była tak oddana idei sztuki, stanowiła tak czystą indywidualność, że zaprosiła mimów, aby przyszli popatrzeć, jak się wije w męczarniach, i w ten sposób lepiej zrozumieli naturę bólu.

Michael skrzywił się i potrząsnął głową. Czujesz obrzydzenie?

To bardzo dziwaczne.

Być może dla kogoś, kto nie do końca rozumie. Ale Sidhowie rozumieją. Nie ma nic poza Pieśnią i wszystko jest Pieśnią. W końcu nawet Maln złagodniał i pozwolono nam odebrać ją bólowi. Podstawiliśmy na jej miejsce

sobowtóra, żeby za nią umarł, i wyleczyliśmy ją, ale pod warunkiem, że nigdy nie opuści Inyas Trai. Pozostała tu na zawsze. Holubimy ją. Wiadomo, że nawet Tarax przybył tu, aby obejrzeć jej taniec, a przecież Tarax nienawidzi waszego rodzaju z zaciekłą pasją.

Kapłanka oderwała ręce od stołu i wstała.

Czy to znaczy, że grozi mi niebezpieczeństwo?

Nic nie odpowiedziała, patrzyła tylko na niego, poprzez niego, na ważniejsze problemy gdzieś poza nim. Jesteś narzędziem powiedziała w końcu. - Narzędziem uwikłanym w odwieczne zmagania potężnych sił. Jesteś

przygotowany lepiej niż inni, ale nadal niewiele wiesz i nie do mnie należy udzielanie ci niezbędnych informacji. -

Spojrzała na niego czule. - Pomimo że przyszedłeś w moje progi i pamiętasz mnie we snach, i wiesz, co uczyniłam przed wiekami dla twego rodzaju, na mnie również ciąży pewne ograniczenia. Nie mogę, chroniąc cię, naruszać

nakazów geas Adonny.

Nikołaj dotknął ramienia Michaela. - Nie bujaj w obłokach - powiedział. - Wyglądasz na poruszonego. Coś się stało?

Michael potrząsnął głową. Nie. Jeszcze nie.

Rozdział trzydziesty trzeci

Kamień przejściowy, od którego miała się rozpocząć ich pielgrzymka, leżał po północnej stronie historycznego gaju.

Nikołajowi i Michaelowi idącym przez gaj nikt nie towarzyszył. Nikołaj miał na sobie ciepłe ubranie, które miało go chronić przed spodziewanym zimmem; Michael ubrany był znacznie lżej.

Drzewole opiekujący się drzewami, płci męskiej i żeńskiej, jedni i drudzy zieleni i nadzy, stali w cieniach swych podopiecznych. Obserwowali przechodzącą parę, ale nic nie mówili. - Nawet ich lubię - powiedział Nikołaj. - Robią, co do nich należy, nie wchodzą nikomu w drogę, nigdy się nie skarżą i pozostają wierni Kapłance. Mógłbym tu żyć między nimi i byłbym całkiem szczęśliwy.

- To dlaczego nie zostaniesz w mieście? - spytał Michael. - Och, to zupełnie co innego. W mieście pełno jest

napięcia. Większość czasu mężczyźni siedzą w swoich lasach, albo polują wśród wzgórz otaczających Irall. Wtedy tutaj jest spokojnie. Ale co jakiś czas mężczyźni powracają na swoje Kaeli i wtedy Kapłanka musi być bardzo

czujna, żeby uchronić przed wytropieniem, albo porwaniem swoich ludzi i Mieszkańców.

- Ale przecież sam Tarax oglądał taniec Emmy Livry!

- Tarax, przyjacielu, nie wie ani o tobie, ani o mnie. Dopóki jego moc jest równoważona przez moc Kapłanki, może Emmę tolerować - ale Kapłanka nie mogłaby nam w niczym pomóc, gdybyśmy zostali odkryci.

- A więc Emma i Maria są traktowane specjalnie... Skąd się tu wzięła Maria?

- Zawsze tu była i opiekowała się Emmą. Nigdy nie pytałem. - Nikolaј spojrział surowo na Michaela.

- Może i ty nie powinienes.

- Jesteś na mnie zły? - spytał Michael. Kamień przejściowy było już widać poprzez rzadki zagajnik drzewek zbyt młodych, jak na historyczne gaje.

Nikolaј westchnął głęboko. - Nie. Raczej zazdrosny. Zaniepokojony. Jesteś... kimś znacznym. Cieszysz się u nich względami, jakimi mnie nigdy chyba nie obdarzały.

- A mimo to Kapłanka nie będzie mnie chronić bardziej niż ciebie.

- Nigdy nie rozmawiałem z Kapłanką - przyznał Nikolaј. W każdym razie nie przypominam sobie takiej rozmowy. A ty rozmawiałeś. Tych, którzy zwracają na siebie uwagę Sidhów, czeka jedno z dwojga. Jedno, to uwięzienie, a może i poniżenie. Emma jest uwięziona, ale jej nie poniżają, przynajmniej nie tak, jak my to rozumiemy, ani tak, by kiedykolwiek to odczuła. Tańczy; sama mówi, że jest jak kwiat w oranżerii. Wydaje mi się, że ona lubi być kwiatem, cieszy się, że może koncentrować się tylko na tańcu. Mnie by to nie odpowiadało. Sidhowie tolerują mnie, lubią, ale nie są mną zainteresowani.

- A jaka jest druga możliwość?

- Nie wiem - odparł Nikolaј. - Może to los, jaki spotkał Clarkhama.

- Czy on jest człowiekiem? . Nikolaј uniósł brew. - Ty , chyba wiesz o nim więcej niż ja. - Nie wiem wszystkiego.

Żyje od bardzo dawna i zdaje się dobrze znać magię.

Nikolaј westchnął. - No dobrze, chociaż podczas tej wyprawy podróżujmy z lekkimi sercami. Kapłanka wyraziła na nią zgodę, a niewiele wydarzy się w podróży, nad którą czuwa Kapłanka. Nikolaју, pamiętasz, jak wygląda

Kapłanka?

- Nie. - Kamień przejściowy był pustym, ciemnym i płaskim głazem, spoczywającym w kręgu wysypanym białym

zwirem. Po niebie przemykały chmury zasłaniając słońce. Wiatr niósł nikły zapach kwiatów z ogrodów otaczających dom Kapłanki. - Nikt nie wie, jak ona naprawdę wygląda, z wyjątkiem może Ulath. To jej broń przeciwko Taraxowi i Malnowi.

Nikolaј stanął na krawędzi kamienia i podał rękę Michaelowi. Pociągnął lekko i Michael znalazł się naprzeciwko niego. Nagle spowił ich przenikliwy chłód.

Olśniewająca biel niemal natychmiast oślepiła Michaela. Zakrył oczy dłońmi i namacał stopą

przeciwległą krawędź

kamienia przejściowego. Nikolaïj ujął go za ramię i sprowadził na dół za chroniący przed wichrem występ skalny. -

Zaskoczyło mnie - wyjąkał Michael przecierając oczy i mrugając powiekami.

- Jest dużo zimniej niż zeszłego sezonu, kiedy byłem tu ostatni raz - przyznał Nikolaïj. Kamień przejściowy

przycupnął na skraju szerokiej skalnej półki wychodzącej na wysokie, postrzępione szczyty. Przełęcz między

szczytami wypełniał błyszczący, biały śnieg, gładki niczym powierzchnia wiadra z mlekiem. Płatki śniegu wirowały gwałtownie na wietrze, który zawodził wokół kamienia przejściowego i wprawiał w wibracje ściany ich kryjówek.

- Ile mamy stąd do przejścia? - spytał Michael usiłując zapanować nad swą hylką.

- Mniej więcej dwa kilometry marszu: Zaczekamy na innych. Nigdy nie podróżuję samotnie, zwłaszcza w taką

pogodę. Adonna musi dziś cierpieć na straszliwy ból zęba. - Uśmiechnął się i strzepnął śnieg z głazu w kształcie ławeczki. Wnętrze kryjówek było ciemne i przyprószone nawiewanym przez wiatr śniegiem. Nie będzie ci za zimno?

Ulath była wyraźnie pewna, że nie będziesz miał żadnych kłopotów. Sidhowie, jeśli chcą, mogą tu przychodzić

całkiem nago. Może i ty mógłbyś?

Hylka Michaela zaczynała wreszcie działać. - Już dobrze powiedział. Powstrzymał wzrost temperatury swego ciała, gdy poczuł, że spodnie stały się ciepłe. Nie było to najważniejsze miejsce na powtarzanie eksperymentu

przeprowadzonego przed drzwiami mieszkanki Heleny.

Nikolaïj zacisnął dłonie chronione rękawicami i wpatrywał się w nierówną czarną, kamienną podłogę. Pociągnął

nosem i spojrzał na Michaela. - Czego najbardziej się boisz? - zapytał.

Michael wzruszył ramionami. - Boję się różnych rzeczy. Czemu pytasz?

Nikolaïj zapatrzył się na sypiący na zewnątrz śnieg. - Żeby coś mówić.

- A ty? Czego ty się boisz?

- Przyznam, że boję się umrzeć tutaj. Jeśli tu umrę, stanę się niczym. Nie wrócę nigdy na Ziemię. Boję się więc, żeby nie stać się

zbyt mało dobrym, aby pozostać przy życiu. Wiem, że się boję, i jakoś z tym żyję. Ale ty... czy ty wiesz, czego się boisz?

Michael przypomniał sobie uspokajające, ciepłe ramiona Kapłanki. - Już powiedziałem, że przeraża mnie wiele

rzeczy.

- Co w szczególności?

- Myślę. Nie naciskaj na mnie. No. - Spojrzał w górę na skalne sklepienie. - Już wiem. Boję się być normalny.

Nikołaj uśmiechnął się od ucha do ucha. - Dzięki Bogu.

Niepokoilem się już, że nie wiesz. Byłbyś wtedy niebezpieczny. Co zamierzasz uczynić ze swym strachem?

- Będę unikał bycia normalnym? - A jeśli ci się to uda?

Michael roześmiał się i poczuł rozchodzące się po żołądku zimno. - Wtedy będę żałował, że tyle czasu namęczyłem się wśród ludzi. Wśród Sidhów, wśród kobiet, wśród moich przyjaciół... wśród kogokolwiek.

Nikołaj wstał i wyjrzał za krawędź kryjówki. - Nadchodzą. Przygotuj się. Prawie każdy może się tu pojawić.

- Co to są te śnieżne oblicza?

- Tajemnica - powiedział Nikołaj siadając z powrotem. W miejscu, gdzie wszystko jest dla nas tajemnicą, możemy oglądać coś, co jest tajemnicą nawet dla Sidhów. Podoba mi się to. Dlatego tu przychodzę.

Pierwszy pielgrzym, jaki dołączył do nich w kryjówce, przypominał widmo; był wysoki i śmiertelnie chudy. Michael dostrzegł pod białym kapturem jasnoczerwone włosy i bladoszare oczy czystej krwi Sidha. Ale w spojrzeniu, jakim pielgrzym obrzucił Nikołaja i Michaela, nie było żadnej groźby, samo tylko krańcowe wyczerpanie - zarówno ciała, jak i umysłu. Michael wysondował jego aurę i nie zobaczył nic prócz ciemności, jak gdyby pamięć wyciekła

Sidhowi z głowy. Sidh serdecznie skinął głową Nikołajowi i osunął się na kolana wprost na kamienną podłogę.

Do pieczary weszło, jeden po drugim, pięciu następnych: trzech kolejnych Sidhów, jeden człowiek - okutany grubo w biel i Mieszaniec. Mieszaniec był młodym, wysokim, z wyglądu silnym mężczyzną o

sztynnych jasnoblonde

włosach, odzianym bardzo podobnie jak Michael. Z początku Michael nie potrafił stwierdzić, czy człowiek jest

mężczyzną, czy kobietą; czy jest stary, czy

młody. Miał na oczach dwa drewniane krążki ze szczelinami do patrzenia - zabezpieczenie przed śnieżną ślepotą.

Wejrząwszy w aurę tego człowieka Michael wycofał się z niej gwałtownie, jak oparzony.

Nigdy nie otał się o tak obnażony ból duszy i ohydę. Pozostało mu wrażenie plugawych nowotworów i trądu,

pełzającego robactwa i potwornej, pochłaniającej wszystko żarłoczności.

Pięciu nowych pielgrzymów zebrało się pod osłoną barykady. Trójka Sidhów zrzuciła wierzchnie okrycia i stanęła nago w ciemnym kącie nie patrząc na pozostałych. Ten, który sprawiał wrażenie wyczerpanego, przyjrzał się

Michaelowi głęboko osadzonymi oczyma, a potem delikatnie wysondował jego aurę. Michael uprzejmie otworzył

mu dostęp do pewnych informacji - o języku, trochę o swym pochodzeniu.

Nikołaj najwyraźniej już ich kiedyś spotkał i teraz przedstawił wszystkich Michaelowi: - To są Harka; Tik i Dour. -

Harka, ten wyglądający na zmęczonego, skinął głową. Tik i Dour dopiero co osiągnęli dojrzałość; byli młodzi,

bardziej krzepcy i brakowało im tej wyrachowanej równowagi umysłu właściwej starszym Sidhom. - Ten opatulony, to Shahpur... nazwiska nie pamiętam...

- Agajeenian - rozległ się stłumiony głos spod zwojów materiału. Głos był miły dla ucha i stanowił zadziwiający kontrast z tym, z czym Michael na krótko zetknął się w jego wnętrzu.

- A my chyba się jeszcze nie znamy - zwrócił się Nikołaj do Mieszkańca.

- Bek - przedstawił się Mieszaniec unosząc dłoń. - To mój pierwszy raz. Kiedy ruszamy?

- Kiedy wiatr ustanie - powiedział Shahpur. Za każdym razem, kiedy się odzywał, jego głos zdawał się coraz

piękniejszy, był bardzo podobny do głosu Sidha. Michael, podejrzewając, że popełnił pomyłkę podczas pierwszego sondowania, spróbował jeszcze raz. Ohyda nie dawała się opisać i przez chwilę

musiał zmagać się ze sobą, aby nie zwymiotować. Sidhowie trzymali się z dala od Shahpura, który nic już nie powiedział.

Nikołaj starał się podtrzymać rozmowę. Jego wysiłki na nic się zdały. Wkrótce wszyscy stali lub siedzieli za

barykadą w milczeniu i słychać było tylko poświst wyjącego wichru, któremu wtórował trzask i grzmot sunących

gdzieś daleko lawin.

Ściemniało się i w kryjówce robiło się coraz mroczniej. Nagle wichura przerwała swój zajadły szturm pozostawiając po sobie tylko głucho, zanikające echo przypominające jęk zdychającego konia. Zapadła martwa cisza, dla

przyzwyczajających się do niej uszu Michaela brzmiąca niemalże swoim własnym dźwiękiem. Shahpur wyrzwał za

krawędź barykady i wyszedł na szlak. W jego ślady poszedł Bek, a za nim Harka, Tik i Dour. Nikołaj z Michaeliem opuścili kryjówkę jako ostatni.

- Czasami wydaje mi się, że to dla nich coś wstydliwego - powiedział Nikołaj pokazując ruchem głowy

poprzedzające ich postacie. - Zastanawiam się, po co w ogóle przychodzą. Z Harką z roku na rok coraz gorzej.

Gdyby był człowiekiem, powiedziałbym, że umiera, ale Sidhów nie mają się choroby fizyczne.

- Jest pusty w środku - powiedział Michael. - Może chorują w inny sposób. A co się dzieje z Shahpurem?

- Ach. - Nikołaj potrząsnął głową. - On jest przeklęty. Tak samo jak ja wędruje po Królestwie, ale kiedyś Sidhowie pojмали go. Uciekł, ale przedtem zabawili się z nim po swojemu. - Grubo opatulona postać odwróciła się sztywno i popatrzyła na nich przez chwilę. Nikołaj zacisnął usta i umilkł.

Szlak biegł obrzeżami niemal pionowej ściany granitu. Daleko w dole, poprzez skotłowane warstwy chmur

przebijały się szczyty skał. Pod stopami poskrzypywał śnieg leżący na ścieżce w przewianych wiatrem zaspach, a ich oddechy zamieniały się w prawie namacalną parę, która wisiała w powietrzu znacząc przebytą drogę.

Do przewężenia skalnej półki pierwsi dotarli Tik, Dour i Harka. Odwróciwszy się plecami do otchłani, zaczęli

przesuwać się bokiem wzdłuż ściany, przekraczając szeroką na metr wyrwę w miejscu, gdzie z półki

wykruszył się kawał skały. Shahpur, Michael i Nikołaj mieli więcej trudności z pokonaniem wyrwy; Nikołajowi poślizgnęła się stopa postawiona już po drugiej stronie. Michael złapał go za rękę i przeciągnął na szersze miejsce, gdzie oparli się o ścianę dla zaczerpnięcia kilku głębokich oddechów.

- Nie było tu tego „ostatnim razem” - wysapał Nikołaj. Z każdym sezonem ścieka staje się coraz bardziej

niebezpieczna. Półka rozszerzyła się; przechodząc w szeroki, zaokrąglony

występ i dając im przynajmniej złudzenie bezpieczeństwa. Obszedł

szy ostry skalny odłam, który wykruszył się dawno temu z jakiejś

wyższej półki, ujrzeni cel swej podróży. Shahpur podążał za idącymi przodem Sidhami i Mieszkańcem, a Nikołaj,

sapiąc i klnąc, parł przed Michaeliem.

Zebrawali się wszyscy na szerokiej skalnej platformie przed głębokim, przypominającym jaskinię zagłębieniem. - Góra powiedział Nikołaj. W odległości wielu kilometrów, a mimo to widoczna tak wyraźnie, jakby stała zaledwie kilka metrów przed nimi, wznosiła się Heba Mish. - Nikt nie wie, jak jest wysoka, nawet Sidhowie.

Daleko w dole, w głęboką przepaść pod skalną platformą i jaskinią, wlewały się chmury pozostawiając za sobą

wolno

rozwijające się i zanikające pasma. Ciemnosedynowe zbocze lodu widniejące na dnie przepaści zagradało drogę spadającym chmurom i rozbijało je na szerokie rzeki mgły, które ześlizgiwały się w dół wyłobionymi,

zaokrąglonymi kanionami. Michaelowi

spoglądającemu w dół poprzez krawędź platformy zakręciło się w głowie. Podniósł głowę i omiół wzrokiem

pionowe pole lekko nadtopionego śniegu zalegającego zbocze góry. Biała masa sięgała

trzech czwartych drogi do szczytu i dopiero tam zaczynały się przebijać wystające czarne skały.

- Teraz zaczekamy - powiedział Nikołaj. Jak na komendę, trzej Sidhowie i Mieszaniec zawrócili do jaskini,

pozostawiając ludziom wsłuchiwanie się w ciszę.

- Na co czekamy? - spytał Michael. - Na Śnieżne Oblicza - odparł Nikołaj.

Nadciągnęła noc. Michael znalazł sobie dosyć wygodne miejsce na zimnej podłodze jaskini i położył się. Nikołaj spał niespokojnie obok. Shahpur przykucnął i chyba nie spał. Sidhowie siedzieli ze skrzyżowanymi nogami wzdłuż przeciwległej ściany jaskini.

Michael nie mógł zasnąć. Ponowił próbę wysondowania umysłu Harki. Aura widmowego Sidha była praktycznie

pozbawiona wszelkich wspomnień, jak gdyby został dopiero co stworzony i nie

osiadał żadnych przodków ani żadnej przeszłości. Michaelowi przyszło do głowy, że może niektórzy Sidhowie z

własnej woli wymazują swoje życie. Dysponując silną dyscypliną, można było

tego dokonać wygotowując sobie pamięć rodzajem ukierunkowanej hyloki...

Nikołaj mruknął i otworzył oczy. - Czekanie to tortura wymamrotał. - Zwłaszcza tutaj.

- Skąd wiesz, że nadchodzi właściwy czas?

- Mam swoje sposoby. Wieść przekazywana jest z ust do ust. Słucham szeptu Drzewoli albo podsłuchuję Amorfitów w głębokich pieczarach, w których mieszkają. Albo inny wędrowiec, taki jak Bek, ja sam czy Shahpur dowiaduje się o tym i pielgrzymi wyruszają w drogę. Potem zbieramy się w grupę. Ja, żeby się tu dostać z Inyas Trai, zawsze korzystałem z kamienia przejściowego. Inni podróżują pieszo i wspinają się. Niektórzy nigdy nie mówią, jak

przybyli; po prostu przybywają. Nie zawsze tak jest, nie każdego sezonu... czasami przerwa trwa latami.

Słyszałem, że w sadzawce w Irall pojawia się znak. Sadzawka jest bardzo głęboka; na jej dnie zalega lód i kiedy staje się czarny jak noc, obserwujący Sidhowie wiedzą, że nadchodzi sezon. Przekazują tę wieść w sekrecie...

Adonna mógłby nie pochwalać zainteresowania Sidhów prawdziwą tajemnicą. - Rozprostował nogi i ponownie

zamknął oczy. - Może rano, kiedy znowu zerwie się wiatr.

Michael leżał pogrążony w półśnie, w stanie bardzo przypominającym ten, w jakim kulił się na kamieniu

wyczekując ciepła świtu swojej drugiej nocy spędzanej w Królestwie.

Pomarańczowe światło wypełniło z wolna jaskinię. Towarzyszyło mu ciche, basowe syczenie. Michael wstał i

rozprostował zdrętwiałe nogi. Nikolaј uczynił podobnie wydając z siebie pomruki niezadowolenia.

Zza Heba Mish wyłaniało się słońce odbijając się od leżących na zachód szczytów i rzucając ciemnopurpurowy

odblask na pokryte śniegiem zbocze. Obłoki po wschodniej stronie pławiły się w zielonych, pomarańczowych i

liliowych płomieniach. Kilka snopów światła, które przebiły się przez pokrywę chmur, padło na niewidoczną stronę Heba Mash tworząc wokół szczytu podobną do aureoli otoczkę.

Wysoko w górze perłowa wstęga rozsypała się na osobne łuki i znikła. Sypiący w ciemnościach śnieg osiadał

roziskrzoną warstwą przed wejściem do jaskini.

Nikolaј z Michaelem wyszli na skalną platformę. Chmury wlewające się w przepaść rozpierzchły się. Teraz widać tam było tylko głęboką, niewidzialną kipieli powietrza. W lodowej skorupie tworzyły się pęknięcia i od czasu do czasu, kiedy szczeliny te poszerzały się i góra zrzucała z siebie kawały lodu, do ich uszu docierały niskie, basowe grzmoty i eksplozje.

- Nadchodzi - rozległ się za ich plecami głos Shahpura. Gdzieś daleko syk przybierał na sile, aż w końcu można już było wyróżnić składające się nań wycie i ryk. Lodowaty wichur chlasnął ich o twarzach i przemknął przez jaskinię z widmowym hukiem pękającego dzbana. Na platformę wyszli Sidhowie i Mieszaniec; wzmagająca się wichura

szarpała ich włosami. Huk przeszedł

w nieustający grzmot.

Zaskakująco gwałtowny poryw wichru zepchnął ich do tyłu i zagroził zdmuchnięciem z platformy. Michael poczuł, jak jakaś ogromna siła przygniata go do ziemi, a potem unosi na kilka centymetrów ponad skałę. Wydawało mu się, że trwa tak zawieszony w powietrzu całą wieczność, a tymczasem Nikolaј i pozostali, leżąc z rozrzuconymi rękami i nogami na platformie, rozpaczliwie szukali najmniejszego punktu zaczepienia.

Potem równowaga ciśnienia przesunęła się i opadł z powrotem na dół. Ryk

przeszedł teraz w rozsadzający bębenki uszu wizg; wiatr gnał przełęczą między górskimi szczytami wlewając się w przepaść i podrywając w górę, by rozpocząć wspinaczkę po białym, pokrytym śniegiem stoku Heba Mash.

Zachwiała się krucha równowaga stoku, który zaczął się rozpadać z ledwie słyszalnymi trzaskami. Szerokie na

kilometr płyty odpadały od niego Jak łuski i zjeżdżały po poduszce

powietrznej w dół niczym strzępy papieru, pękając po drodze

Wiatr porywał te okruchy, podbijał w górę wielkie tumany śniegu.

Amebowe kłęby przesłoniły bok góry, potem wystające spod śniegu skały i w końcu wystrzeliły ponad szczyt.

Wydawało się, że upłynęły godziny, zanim śnieg dotarł do zenitu. Wiatr znów ucichł. Przez całe zapierające dech w piersiach

minuty kłęby śniegu wisały zasłoną nad Heba Mish; potem zaczęły się opuszczać.

- Teraz - wymamrotał Nikołaj.

Michael zmrużył oczy starając się nie przeoczyć najmniejszego szczegółu. Śnieżna zasłona rozpadła się w kłębach niestabilnego powietrza. Kłęby te rzeźbiły opadający śnieg, odcinając to ten, to inny nadmiar jego masy, wymuszając na chmurze wydęcie się w jednym miejscu albo zapadnięcie w innym. Z tego kłębowiska wyłaniał się powoli jakiś kształt.

- Pierwsza - wyszeptał Nikołaj. Zarysy wygładziły się nagle. Była to twarz młodo wyglądającego człowieka z krótką brodą. Michael nie rozpoznał go. Twarz rozciągnęła się na wiele kilometrów nad Heba Mish, a potem znikła.

Chmury opuszczały się nadal, wykształcając z siebie następne twarze. Bardzo niewyraźna z początku, a potem

kryształowo ostra, wyłoniła się z nich druga twarz - Michael był pewien, że to twarz Spryggli, bo bardzo

przypominała Lin Piao Tai. Następną twarz była tak znajoma, że zaskoczony wciągnął w płuca głęboki haust

zimnego powietrza i omal nie stracił kontroli nad swą hyloką. Znajoma - ale czyja? Wąskonosa, silna i młoda, ostre rysy...

- Druga i trzecia - liczył Nikołaj. - Teraz to opadnie, wytworzy jeszcze jedną i na tym będzie koniec.

Michael wpatrywał się w twarz usiłując sobie przypomnieć, gdzie już ją widział. - Znam go - mruknął. - Wiem, kto to jest! Ale pamięć szwankowała. Uformowała się czwarta twarz nale

żąca do surowego i dumnego Sidha o nawiedzonych oczach. Michael nie poświęcił jej wiele uwagi. Był już blisko, a to wspomnienie wydawało mu się tak ważne, że chciało mu się uderzyć siebie samego, rwać włosy z głowy -

cokolwiek, byle wymusić odpowiedź.

I nadeszła.

Trzeciej twarzy nie potrafił od razu zidentyfikować ze względu na jej młodość - ten mężczyzna, kiedy ostatnio się widzieli, był już stary.

To był Arno Waltiri opadający teraz rozproszonymi tumanami śniegu na poszarpane zbocze Heba Mish i w głęboką

na wiele kilometrów lodową przepaść.

Rozdział trzydziesty czwarty

Pierwsi odeszli Sidhowie. Posuwali się z powrotem tą samą drogą, jaką tu dotarli, ale po biegnącej kilka metrów wyżej półce, żeby ominąć kamień przejściowy. Nie wracali do Inyas Trai; mieli przed sobą inne cele, do których można było dotrzeć jedynie wędrując pieszo przez góry. Shahpur pozostawał na kamiennej platformie z zakrytą,

nieodgadnioną twarzą i umysłem tak strasznie odrażającym, jak przedtem. Tylko Mieszaniec Bek postanowił wracać z Nikołajem i Michaelem do Inyas Trai. - Nigdy tam jeszcze nie byłem - powiedział. - I dostatecznie długo już uciekam przed jeźdźcami Sidhów. Z tego, co słyszałem, w mieście jest, przynajmniej na razie, spokojnie.

Nikołaj nie zachęcał go, ale Mieszaniec już się zdecydował. Gdzie ludzie są mile widziani, tam na pewno i

Mieszaniec nikt nie pogardzi.

Po przejściu wichury półka stała się jeszcze bardziej zdradliwa. Śnieg osunął się ze zboczy ich góry i zbił w śliski lód, po którym musieli teraz stąpać. Michael był bardzo zmęczony i ucieszył się na widok kamienia przejściowego.

Czuł się tak, jakby przeżył swe życie wiele razy i za każdym razem pozostawiał coś nierozwiązanego. Był duchem w wielu postaciach, uwięzionym pomiędzy co najmniej dwiema rzeczywistościami, z których żadna nie była całkiem

trwała ani przekonująca. Kim takim był Arno Waltiri, że rzeźba jego twarzy wyłoniła się z śnieżnych chmur w

Królestwie Sidhów?

A może Clarkham nie był wcale celem jego podróży, nie był tym, kto przeniesie go z powrotem na Ziemię, czy

pomoże ludziom żyjącym w Królestwie? Ale przecież Waltiri nie żyje... a ściślej mówiąc Michaela poinformowano o jego śmierci. W realiach Ziemi wiadomość taka - taka informacja - była pewna. Nikt, z kim kiedykolwiek zetknął

się Michael, nie był na tyle okrutny,

żeby skłamać mu o śmierci przyjaciela, a nie miał powodu, żeby podejrzewać o to Golde.

Być może ona też nie wiedziała. Albo to on zwiódł ich wszystkich.

Może nie był nawet człowiekiem.

Michael wstępował na kamień, pogrążony w głębokiej zadumie. Za nim weszli Nikołaj i Bek. Bekowi drżały ręce,

gdyż obawiał się Sidhów tak samo, jak kiedyś Michael.

I Michael nadal powinien się ich wystrzegać. W chwilach, jakie mijały między kamieniami, słyszał głosy zajęte rozmową. Nie miał się nigdy dowiedzieć, czy rozmowę tę zaaranżowano jako ostrzeżenie. Głosy omawiały jego

pozycję w Inyas Trai, jego stosunki z Kapłanką Godzin, położenie ludzi w Królestwie - wspomniały też o Radzie Eleu i o Malnie.

Wynurzył się w ciepłe słoneczne światło. Na kamieniu obok niego nie było ani Nikołaja; ani Beka. W zwirowym

kręgu otaczającym kamień oczekiwała go Ulath z czterema Sidhami w perłowoszarych szatach. Twarz Ulath była

napięta, ponura. Czuł, jak pulsuje złością jej aura, wyczuwał jej spętana moc.

Sidhowie byli jeźdźcami z Irall. Tyle zdołał wysondować; zanim uświadomili sobie jego możliwości i zablokowali swe umysły. - Przypominam wam odezwała się Ulath - że on znajduje

się pod ochroną Kapłanki Godzin.

Najniższy z jeźdźców wystąpił przed pozostałych i wyciągnął rękę, żeby pomóc Michaelowi zejść z kamienia.

Michael zawahał się, ale po chwili przyjął tę pomoc, zdając sobie sprawę, że inaczej zdradziłby się ze swym

strachem. Nie miał pojęcia, co dalej robić. Wątpił, czy po takich krótkich przygotowaniach i w otoczeniu tylu czujnych Sidhów, udałoby mu się z powodzeniem rzucić cień.

- Jestem Gwinat - odezwał się Sidh, który podał mu rękę. Przyszedłem po ciebie. Znajdujesz się w posiadaniu konia należącego do hall.

- Podarowano mi go - zastrzegł się Michael.

- To nie ma znaczenia. Nikt, a zwłaszcza człowiek, nie może znajdować się w posiadaniu konia ze stajni świątyni Adonny.

323

- To był koń Alyonsa - wtrąciła Ulath zerkając to na Gwinata, to na Michaela. - Dobrze o tym wiecie.

- I za kradzież tego konia Alyons został zesłany na Przeklętą Równinę. W ten sposób go ukarano. Nie mogliśmy

odzyskać tego konia - wycisnął na nim swoje piętno i dla świątyni zwierzę stało się bezużyteczne. Zresztą prawo Sidhów nie przewiduje zwrotu zagrabionej własności - a zwłaszcza koni.

Ulath dotknęła policzka Michaela. - Cień Alyonsa zemścił się na tobie - powiedziała. - Po śmierci Alyonsa koń musiał wrócić do Irall albo zdechnąć.

- Dał mi go - powtórzył głucho Michael. I nagle dorzucił w przebłysku olśnienia: - A ja przybyłem tu, żeby go zwrócić. Gwinat uśmiechnął się z uznaniem i potrząsnął głową. - Ty byłeś jego wrogiem i ty go zabiłeś, prawda?

- Nie chciałem być jego wrogiem. Nie ja go zabiłem.

- Chodź. - Jeźdźcy otoczyli go kołem rozwiewając wszelką nadzieję na ucieczkę. Ulath cofnęła rękę i odstąpiła od nich. Wysondował ją szybko i natrafił na żal, ale nie znalazł tam głębokiego smutku. - Irall nie pochwała

postępowania Kapłanki w odniesieniu do ludzi - rzucił do niej Gwinat.

- Irall nie ma żadnej władzy nad Kapłanką. Została powołana przez Adonnę. Co mówi Adonna?

Gwinat uśmiechnął się przebiegle i skłonił głowę. - Zabieramy go. Takie jest prawo.

Michaelu Co? Kto to? Idź z nimi

Spojrzał na Ulath, ale ona nie przesyłała żadnych komunikatów. Nie rozpoznał też Kapłanki... ani Radia Śmierci. A zatem kto?

Wszedł z jeźdźcami na kamień przejściowy prowadzący na ulice w dole, a potem ulicami tymi dotarli do miejsca, gdzie czekały konie ich - i Alyonsa. Grupa kobiet Sidhów przypatrywała się, jak jeźdźcy pozwolili Michaelowi dotrzeć błękitnego jak niebo wierzchowca, jak dosiedli swoich koni i odjechali z nim przez północną bramę Inyas Trai. Gwinat, uśmiechając

się wciąż, odwrócił się, żeby spojrzeć za siebie przez bramę.

- Nie mogę się nadziwić, co nawet ludzie widzą w tym wartościowego - mruknął pod nosem. - Budując to, Sprygggle zemścili się na nas, tak jak Alyons zemścił się na tobie, co?

Michael patrzył prosto przed siebie, na szeroki kamienny gościniec biegnący jak strzeł między szpalerem kolumn z czarnego kamienia i dalej, do bram świątyni Adonny.

Zabierali go do Irall.

Rozdział trzydziesty piąty

Przed nimi majaczyło Irall. Jego czarna wieża centralna, gładka, okrągła i nijaka, zwężała się ku górze w anonimowe ostrze iglicy. Wokół jej podstawy tłoczyły się nieregularne skupiska mniejszych wież, z których wszystkie pochylały się ku centrum. Wieże wyrastały z gładkiej kopuły jedwabście szarej skały.

Gwinat i jeźdźcy prowadzili Michaela mroczną kamienną drogą biegnącą między kolumnami lśnącymi jak

polerowany metal, a przy tym czarnymi jak noc; w ich głębiach płonęły rozbłyśki niczym oczy sycące się jego

niepokojem, jego strachem.

Nic z nauk Żurawic nie mogło go do tego przygotować. Wjazd był zadziwiająco mały, szeroki tylko na tyle, aby

mogły się nim przecisnąć trzy stąpające obok siebie konie i może o dwie głowy wyższy od jeźdźców posuwających się po obu stronach Michaela. Ściany tunelu były wklęsłe jak ściany lodowej jaskini, a po podłodze wały się śmieci wyglądające na uschnięte kwiaty. W powietrzu unosił się słodki zapach kurzu; nie był przykry, ale i nie za

przyjemny. Był sugestywny, niepokojący, jak zapach

róż więdnięcych w kubku dłoni skrytych gdzie nie sięga słońce płatki sypią się pachnące czarne w wiekuistych

mrokach

Komunikat nadszedł z o wiele większą siłą niż kiedykolwiek przedtem, gdy tylko światło wjazdu do tunelu zniknęło za zakrętem drogi. Jeźdźcy parli naprzód; im niepotrzebne było żadne światło.

Michael nasłuchiwał dalej tego głosu.

Jak przez mgłę dotarły do niego słowa Gwinata: - Mamy doprowadzić cię do Testamentu.

• Przełożył Łukasz Nicpan.

Gdy oczy przywykły do ciemności, Michael zauważył, że tunel rozszerzył się i że wypełnia go słaba zielonkawa

poświata. Przed nimi, po chodnikach biegnących pod obiema ścianami, noga za nogą poruszały się

gęsiego dwa

długie szeregi postaci z oczyma skierowanymi na wprost. Byli to Mieszkańcy, a każdy niósł zieloną ceramiczną misę napełnioną czarną cieczą. Michael starał się przyglądać każdej mijanej twarzy, wypatrując Lirga, ale było ich o wiele za dużo, a do tego nie miał pewności, czy potrafiłby sobie przypomnieć, jak wyglądał Lirg.

Tunel wychodził na ogromną, okopconą salę, której sklepienie tonęło w mroku. W ścianach, po obu jej stronach, widniały otwory o średnicy od dziewięciu do dwunastu metrów, o dolnych krawędziach zaśnieżonych rdzą od

nieprzerwanie skapujących z góry kropli. Konie brodziły z pluskiem w głębokiej na kilkanaście centymetrów

warstwie mętnej cieczy pokrywającej podłogę. Koń Alyonsa - a raczej Adonny - niespokojnie strzygł uszami i

zarzucał zadem.

Następna sala przypominała wnętrze kartonowego ula; skonstruowano ją z okrągłych poziomych żeber ułożonych

warstwami, jedno na drugim, tak że tworzyły kopułę. Pośrodku sali znajdował się wpuszczony w podłogę amfiteatr o wysokich na metr stopniach prowadzących w dół, ku stawowi rdzawej wody. Michael czuł teraz tylko stęchły odór stojącej wody.

Jeźdźcy eskortujący Michaela objechali z nim amfiteatr i wprowadzili do bocznego korytarza. Mijali teraz szereg maszerujących Sidhów odzianych tylko w szare kilty.

Wszyscy słudzy Adonny byli najwyraźniej płci męskiej; Irall było sanktuarium mężczyzn.

- Co to jest Testament? - spytał Michael.

Gwinat odwrócił się do niego. - Sala rozpraw sądu Adonny. Miejsce spotkań Malnu. - Nie musiał sondować aury

Michaela, żeby dobrze mówić po angielsku.

- Myślałem, że to w górach - zdziwił się Michael. Gwinat uśmiechnął się tylko, uważając prostowanie ludzkich

błądów postrzegania za absurd.

- To znaczy myślałem, że to tam, gdzie szkolicie swoich kapłanów. - Michael milczał przez kilka minut, potem

odezwał się znowu: - To oczywiste, że zgodnie z waszym prawem jestem

winien. Dlaczego chcecie mnie sądzić? Czyż Maln nie jest wszechmocny? A może pewną okolicznością łagodzącą

jest moja niewiedza?

- Okolicznością łagodzącą jest twoja wina - powiedział Gwinat.

Michael musiał wytężyć swój umysł bardziej, niż czynił to dotychczas. Z pewnością istniało jakieś wyjście z tej sytuacji, jakiś najwyższy wysiłek albo przebłysk geniuszu, który zaszczepliły w nim Żurawice, a o którym chwilowo zapomniał.

Tunel przed nimi zalewała mgła elektrycznie błękitnej poświaty. Konie niosły ich poprzez widmowo niebieskawe kłęby. Mgiełka wiła się w rozumnych gestach, ciekawa i zimna.

Powietrze oczyściło się i Michael zauważył, że przemierzają jakąś ogromną, otwartą przestrzeń, wewnątrz samej

kopuły; wszystkie inne sale znajdowały się w murach Irall. Upłynęły długie minuty, zanim dostrzegł kamienny stół

na gołej ziemi i czterech Sidhów w czarnych szatach zasiadających twarzami zwróconymi do siebie na wysokich

kamiennych siedzeniach otaczających stół.

Jeźdźcy prowadzący między sobą Michaela zatoczyli krąg wokół stołu. Czterej Sidhowie w czerni przyglądali się im bacznie. Posadzka pełzała stłumionymi rozlewiskami błękitnej mgiełki przecinanej nietrwałymi błyskawicami

zieleni i czerni.

- Tra gahn - przemówił jeden z czwórki wstając i odsuwając ze zgrzytliwym łoskotem kamienne krzesło. Spojrzał

Michaelowi w oczy i skinął na Gwinata. Gwinat chwycił Michaela za rękę, ściągnął go z konia i postawił na ziemi wykręcając mu boleśnie ramię.

Odwróciwszy się Michael spostrzegł, że kamienny amfiteatr otacza teraz stół. Na stopniach stał tłum zażywnych, przepysznie odzianych Sidhów. Wszyscy wpatrywali się w Michaela nękając go milczącym chórem ostrych jak

brzytwa sond szukających luki w jego blokadzie pamięci.

- Poznajesz mnie? - zapytał Sidh stojący za stołem. Michael odwrócił się do niego i skinął głową. - Kim jestem?

- Jesteś Tarax.

- I wiesz, jaką popełniłeś zbrodnię?

Michael ponownie skinął głową zdając sobie sprawę, że wdawanie się w spory na nic się nie zda.

Tarax zrzucił z siebie czarną szatę odsłaniając krwistoczerwoną opończę. Teraz ściągnął opończę, pod którą nie kryła się następna warstwa odzienia ani jego ciało, ale gąszcz liści, tak jakby jego głowa osadzona była nie na korpusie z krwi i kości, lecz na drzewie. Z liści tych, wysoko w ciemność ulatywały ptaki trzepocząc równomiernie skrzydłami. Trzepot skrzydeł ścichł.

Gwinat nachylił się do Michaela. - Tarax twierdzi, że twoja wina jest bezsporna - szepnął. - I że ty jesteś tym, kogo szukał. Nawet gdybyś był niewinny, mielibyśmy teraz prawo odebrać cię Kapłance. Adonna chce cię widzieć.

Rozdział trzydziesty szósty

Odprowadzili go od stołu. Amfiteatr znikł tak samo szybko, jak się pojawił, a wraz z nim pięknie odziani Sidhowie.

- Schodzimy na dół - powiedział Gwinat. Michael wykrzył w głosie Sidha cień współczucia.

Pośrodku kopuły Irall znajdowała się studnia o średnicy jakieś pięćdziesiąt metrów. Koncentryczne stopnie

prowadziły w dół do węższego otworu o średnicy dziesięciu do dwunastu metrów. Gwinat, popychając przed sobą

Michaela, zmusił swego konia do wstąpienia na stopnie. Jeźdźcy postępowali za nim. Ze środka dmuchał w górę

zimny strumień powietrza. - Wsiadaj - warknął Gwinat wyciągając rękę. Michael przyjął ją i wciągnięty na konia Gwinata znalazł się przed Sidhem.

Wybałuszył z przerażenia oczy, gdy Sidh kopnął zwierzę piętami w boki. Koń potrząsnął głową, cofnął się i rzucił w nicość. Jeźdźcy skoczyli za nimi.

Michael zamknął na chwilę oczy. Żołądek podszedł mu do gardła, powieki zatrzepotały mimowolnie, a potem się

otworzyły. Przymrużył je, chroniąc oczy przed silnym prądem powietrza. Nurkowali w dół studni, w ciemność.

Gwinat jedną ręką silnie obejmował Michaela w pasie. Wierzchowce jeźdźców gnających po obu ich stronach

rozciągnęły się w srebrzystych, wydłużonych pozach skoku; ogony wirowały i falowały za nimi, grzywy trzepotały połyskując jak płomienie, ściągnięte wargi odsłaniały zgrzytające zęby. Zdawały się chwytać tymi zębami powietrze przed sobą, na próżno szukać wyciągniętymi nogami stałego

gruntu.

Ciemności rozpraszały tylko. pochodnie świetlistego, zielonego mchu zawieszzone na wygładzonych kamiennych

ścianach. Michael obejrzał się na Gwinata. Zobaczył obnażone zęby Sidha; miał wrażenie, że ten jednocześnie

uśmiecha się, krzywi i szykuje do krzyku.

Michael zakrył oczy dłońmi. Suchy wiatr parzył. Kamienne ściany ustąpiły po kilku minutach lodowi tak

przezroczystemu i głębokiemu, jak nieskazitelne, błękitne szkło.

Daleko przed nimi - w dole - pojawiła się maleńka plamka przytłumionego światła mieniąca się wszystkimi barwami tęczy, która pędziła im na spotkanie. Michael przygotował się na unicestwienie. Poczł, jak rozluźniają się pod nim mięśnie konia. Przywarł do jego szyi i z całej siły wczepił się dłońmi w grzywę, bez wątpienia sprawiając zwierzęciu ból; nie protestowało jednak. Ściany studni znikły; spadali przez co najmniej kwadrans, a teraz sunęli lotem

ślizgowym poprzez kipieli zawiesistego, mętnego światła.

Znajdowali się pod dnem Królestwa, poza wszelką stałością, i zmierzali ku ciemności i przerażającemu tworzeniu.

Konie lawirowały wśród rosnącego do góry nogami lasu lodowych stalaktytów, grubych przy podstawie na setki

metrów. Poprzez kipieli kotłującą się w dole przemykały małe jasne globy nieokreślonej wielkości.

Michael modlił się cicho; czynił to nie dlatego, że słyszał nad głową poświst wichru wypełniającego tę pustkę, przylepiającego mu włosy do czaszki i grożącego wyrwaniem go z objęć Gwinata. - Boże - poruszał bezgłośnie

ustami - dziękuję ci za wszystko, co dane mi było przeżyć, za wszystko, co widziałem. Przepraszam, że nigdy w Ciebie nie uwierzyłem, i mam nadzieję, że nie wszystko to na nic... Jeśli teraz zginę, to ze świadomością, że nie dokonałem niczego wartościowego, a sprowadzałem tylko cierpienie i śmierć... - Pomyślał o wirującym, blednącym cieniu Eleuth w Międzyświecie, a potem o przygarniających go, przebaczących ramionach Kapłanki Godzin. -

Wiem, że w obliczu tego jestem niczym i że to jest niczym wobec Ciebie... - Odrzucał wszystkie swoje deklaracje niewiary i wszystkie ze swych filozofii młodego materialisty. A robił to ospale, w niezręcznych słowach i o wiele za często powtarzając słowo „nic". Był na wpół oszalały ze strachu, a mimo to zdawał sobie sprawę, że układa własne modlitwy, własne błagania... Redagował styl w obliczu zagłady.

Gwinat objął go silniej czując, jak Michael drży, a potem zaczyna dygotać. Z pewnym zdziwieniem Sidh uświadomił

sobie, że Michael się śmieje. Łzy zdmuchiwane przez rwący prąd powietrza z twarzy człowieka trafiały w Gwinata i ściekały mu

strumieniami po policzkach. Sidhowi przemknęła przez głowę myśl, że może najlepiej byłoby upuścić człowieka w kipiel i pozbyć się go w ten sposób. W tym śmiechu i szlochu było coś niesamowitego i niebezpiecznego, coś, czego nie potrafił odgadnąć. Ale nie popuścił uścisku i po chwili chłopiec się uspokoił.

Konie zanurkowały w dół oddalając się od lodowych kolumn. Michael przestał się modlić. Wypełniła go

pozbawiona słów, głęboka cisza. Tylko jedna myśl przyszła mu do głowy, kiedy odpadali od podspodzia Królestwa: w ten właśnie sposób musieli Sidhowie przemieszczać się między gwiazdami. Zabierając ze sobą w pustą przestrzeń własny wiatr, podróżując milionowymi hordami, tabunami tak licznymi, że z daleka wyglądali jak warkocz komety, połyskując niczym perłowe pyłki na tle nieprzeniknionej, ostrej jak brzytwa czerni.

Przed nimi, nad kipiela dryfował owalny obiekt przypominający kształtem wydłużone ziarnko fasoli. Fasolowy

kształt okazał się cylindrem o długości dwa razy większej niż szerokość. Wirował powoli wokół swej długiej osi; był

wytoczony z litego bloku spiżu. Cylinder kierował się podstawą ku kipieli, a wraz z jego zewnętrzną powierzchnią obracały się nieregularne wrzody śniedzi.

Zbliżali się do górnej podstawy. Płaska przestrzeń majaczyła przed nimi jak ściana przebita nieregularnym otworem wejściowym ziejącym w jej środku. Dopiero w ostatniej chwili, kiedy wpływali już do otworu, Michael zdołał sobie uzmysłwić jej rozmiary.

Średnica cylindra wynosiła chyba ze dwa kilometry.

Przez chwilę trwało zamieszanie. Jeden z jeźdźców wysforował się przed Michaela i Gwinata. Kopyto jego konia

przemknęło niecały metr od twarzy Michaela, a potem wróciło, trafiając go w bok głowy. Michael wysunął się z

objęć Gwinata i spadł z konia mając przed oczyma tylko ciepłą, łagodną czerwień przygasającą gwałtownie do

ciemnego brązu...

Świadomość wracała Michaelowi etapami. Najpierw poczuł ostry i drażniący zapach kurzu. Kichnął.

Potem

przyszedł ból. Czoło mu płonęło. Oczy miał otwarte, ale nic nie widział, dopóki ciemności nie rozstały się i nie odsłoniły innej, jeszcze głębszej czerni. Był w łańcuchach.

Nadgarstki i kostki nóg miał przykute do mosiężnego pręta z pierścieniem po obu końcach. Łańcuchy ciągnęły się od tych pierścieni do innego pręta odległego o kilka metrów. Na przezroczystych, żółtych kościach przykutego doń szkieletu powiewały strzępy ubrania i zeschniętej skóry.

Był nieważki. Wszędzie wokół wyczuwało się niewypowiedzianą obecność czegoś ogromnego, poruszającego się.

Słabe, szare światło nie pozwalało Michaelowi dostrzec niczego poza łańcuchami, prętami i dalszymi trupami.

Unosił się w powietrzu na cmentarzu. Zamknął oczy i wysondował otoczenie aż po krańce swego zasięgu. Wróciły

doń tylko nieokreślone pomruki. Wrażenia były na tyle silne, żeby utwierdzić go w przekonaniu, iż znajduje się w centrum spiżowego cylindra i że cylinder ten jest wysuniętym posterunkiem Malnu - przedłużeniem Irall.

Ponownie dokonał próby z sondowaniem i nagle wycofał się kurcząc przed rozsadzającym go głosem. Postawił

szybko swe blokady, ale były za słabe, by wytłumić tę powagę i nienawiść.

- Za twe zbrodnie, antros, za wszystkie stworzenia, które straciły życie, abyś ty mógł jeść ich mięso; za wszystkich, którzy cię kochali i zostali zdradzeni, za wszystkie tak bardzo ludzkie czyny, których się dopuściłeś. Razem stawimy czoła tajemnicy, antros.

To był głos Taraxa. Z ciemności wyłonił się Sidh stojący na spiżowej platformie.

- Kim jesteś? - spytał Tarax; białe włosy falowały aureolą wokół jego głowy.

- Jestem poetą - powiedział Michael nie odczuwając ani wahania, ani skrępowania, których doświadczał kiedyś

wymieniając swoje zajęcia, swoją obsesję.

- Nic to dla mnie nie znaczy. Kim jesteś, że cię chronią, że nie wolno mi cię zabić? Teraz nawet Adonna chce cię widzieć. Mówię szczerze, nie wiem, co o tym myśleć. Kim jesteś?

- Czego chce ode mnie Adonna? - Michael miał sucho w gardle od wdychania drażniącego kurzu.

- Nie wiem. Służyłem Adonnie długie, długie wieki i byłem powiernikiem jego tajemnic, i wielbiłem jego

stworzenie...

- Jego?

- Należysz teraz do niego. Nie muszę niczego przed tobą ukrywać. Prawdę mówiąc, mam do wypełnienia tylko jedno zadanie, a ponieważ czas nic nie znaczy dla Adonny, nie muszę się śpieszyć. Wiem o tobie wiele, wiem, że jesteś złym duchem, że nie kradzież konia jest twoją najgorszą zbrodnią. Jest nią ludzkie pochodzenie... i wspomaganie tego, który zwie siebie Izomagiem. Chciałeś zanieść mu Pieśń Władzy, czyż nie?

Michael poczuł nacisk książki na udo. Platforma Taraxa podsunęła się bliżej i wielki kapłan Malnu wyciągnął rękę, aby długimi palcami dotknąć łańcuchów skuwających go z innymi trupami. - To jest moim jedynym zadaniem -

uwolnić cię i wysłać w dół do Mgły. Tym wszystkim tutaj - wskazał na setki, tysiące trupów - wyświadczałem tę łaskę i wracałem wkrótce potem, by znaleźć ich tu, zwróconych przez Adonnę, który zabrał każdemu to, co mu było potrzebne. Większość to Sidhowie. Niewielu ludzi zasłużyło na taki zgon.

Szata Taraxa ożyła nagle. Z czarnego materiału uniosły się szare pasma, wijąc się i formując w splątane wzory.

Tarax dotknął zakutej w łańcuchy stopy Michaela i wypchnął go powoli, spokojnie z pływającego cmentarza. -

Michael Perrin - obwieścił głośno Tarax. - Antros.

Otworzyło się wejście w przeciwległym końcu cylindra. Michael spojrział tam i zobaczył przed sobą tęczowe światło kipieli. Cmentarz za jego plecami rozpadł się w siatkę brązowych punktów, a potem spowiły go ciemności.

Michael zamknął oczy i przełknął z trudem ślinę.

Kiedy znowu je otworzył, przepływał już przez otwór i ujrzał mknącą wokół niego płaską ścianę cylindra, wirującą bez końca, a migotliwe światło bijące od tego, co Tarax nazwał Mgłą, oświetlało jej spiżową powierzchnię i zacieki śniedzi.

W dole wrzała aktywność. Coś uniosło się ku niemu z Mgły. Ciemność iskrzyła. Nibyodnoga nocy, tętniąca

potencjałem, wydłużyła się i owinęła wokół niego. Wszędzie wokół migotały jakieś kształty mijając go w parodii matamorfozy: twarze, ciała, formy mniej przyjemne dla oka. Michael jęknął i usiłował przestać na to patrzeć, ale nie mógł.

Nie ma żadnej magii, jest tylko to, co dopuszczają nasze umysły.

- Nie! - Rozpoznał ten ton, tę intonację.

Wszechświaty mogą współistnieć w tym samym ciągu fal, funkcjonując niczym harmoniczne złożonych

częstotliwości. Analogicznie do dźwięku zapisanego w rowku płyty gramofonowej, w którym wprawne ucho

odróżnia z łatwością brzmienie rogu i strun - rogi to jeden wszechświat, struny inny. Możemy istnieć we wszystkich wszechświatach, ale „słyszeć” tylko jeden z uwagi na właściwe nam ograniczenia, na zawór naszych pragnień, naszych praktycznych, fizycznych potrzeb. Wszystko jest wibracją, a nic nie wibruje na żadnej odległości. Wszystko jest muzyką. Wszechświat, świat jest tylko długą, trudną pieśnią. Różnice między światami to różnice między

pieśniami. Wiedzą to wszyscy Sidhowie, kiedy uprawiają magię.

Michael walczył, ale teraz był bezwolny, przerażony i tylko czekał: Nie spodziewał się tego. Znał ten głos bardzo dobrze szukał go ostatnio w nadziei, że udzieli mu odpowiedzi, że mu pomoże.

Zabrano mu książkę, a wraz z nią wymazano z pamięci poemat, którego szukał Lin Piano Tai, pierwszą część Pieśni Władzy, która w domysłach Spryggli była potrzebna Izomagowi. Nie było już jego jedynej tajemnicy, jego ostatniej deski ratunku.

- To ty jesteś Radiem Śmierci - wykrztusił Michael. Jestem Królestwem. Moje ciało jest Królestwem i mój umysł

jest Królestwem.

- Jeśli mnie nienawidzisz, to dlaczego mi pomagałeś?

Nie czuję do ciebie nienawiści. Stworzenie jest niedoskonale. Chronienie go przed rozpadem stało się bardzo

męczące. I czasu wcale nie ma tak wiele, jak się kiedyś wydawało... to nie wieczność.

Głos stał się mniej głuchy. Jednocześnie wzrok Michaela wyostrzył się i jego oczom ukazały się ciemność i obłoki chaosu zapadające się w wirach do wewnątrz, błyskające zielenią, żółcią i błękitem, przybierające barwę różową i wydające z siebie aureole jasnej czerwieni.

Przed nim, na wykutym z kamienia płaskowyżu wysoko w górach, które kiedyś pokazał mu Biri, stała niezwykła

postać. Był to z pewnością Sidh, ale niepodobny do żadnego Sidha, jakiego Michael dotąd widział. Pomimo braku zmarszczek, niezmaconej czerwieni włosów, pozornej siły obnażonych ramion i nóg, postać

sprawiła wrażenie starej i znużonej. Jego oczy były czarne jak otchłań i nie posiadały białek, a zęby miał

kamiennoszare.

Ubrany był w krótki kilt i narzucony na ramiona luźny płaszcz związany kawałkiem złotego sznura.
Rąbek kiltu

udekorowany był gałązkami i liśćmi wyszytymi złotą nicią. Michael zerknął w dół, ale nie zobaczył własnego ciała; był po prostu parą oczu, przynajmniej na razie.

- A więc mnie poznajesz. Tak.

Sidh podszedł bliżej. - Zadałem sobie trochę trudu, żeby się ucharakteryzować. A jednak jesteś bardzo

spozostzegawczy. Czy to nie mój głos rozpoznałeś?

Nie. - Mój styl. Przypuszczam, że nawet bóg nie może zmienić na zawołanie swojego najbardziej wewnętrznego ja.

Od jak dawna jesteś... bogiem?

- Po prawdzie, od nie tak dawna. Dwadzieścia, może trzydzieści tysięcy ziemskich lat. Ale to w zupełności

wystarczy. Wiesz, czym jestem?

Sidhem. - Tak, i to bardzo starym Sidhem. Nie z tego młodszego pokolenia. Wszyscy Sidhowie żyjący obecnie - z bardzo niewieloma wyjątkami - zapomnieli mnie. Znają tylko Adonnę. Zapomnieli o Tonnie, który przyprowadził

ich z powrotem na Ziemię, który sprzeciwił się własnej córce i Radzie Eleu. To ja byłem przewodniczącym Rady

Delf. A ty wiesz, kim był Tonn, chłopcze? Magiem Sidhów.

- Masz dobrą pamięć. Magów było czterech, chłopcze. Pamiętasz ich wszystkich?

Tonn, Dedal...

- Manus i Aum. I inni, mniej potężni, magowie mniej znaczących ras. Wszystkie są teraz zwierzętami na twojej Ziemi, brak im sił na powtórny ewolucję, albo są zadowoleni ze swego losu. Tylko ludzie wywalczyli sobie powrót do

poprzedniej postaci. Tak bardzo nas nienawidzili... Teraz niewielu twych pobratymców pamięta, dlaczego walczyli o powrót. Może tylko jeden... Wężomag. Och tak, myślę, że on pamięta!

Michael nie odpowiedział.

- Ty także nie będziesz pamiętał tej rozmowy. Ani przez chwilę. Nie wyszłoby na dobre ogromnej większości

Sidhów, gdyby dowiedzieli się, że Adonna był niegdyś jednym z nich. Mag to postać imponująca, ale bóg musi

imponować nieskończenie bardziej. Musi pozostawać na uboczu. Znam swój lud, wiem, jak go karać, jak trzymać go w ryzach. Ale życie w moim Królestwie to nie wszystko. Długo i ciężko pracowałem nad tym, by funkcjonowało,

nad pogodzeniem wszystkich występujących w nim niekonsekwencji... wszystkich niedoskonałych tworów

powołanych do istnienia przeze mnie samego. I nie obyło się też bez poświęceń z mojej strony. Życie osobiste, jakie kiedyś miałem... szacunek mego potomstwa... i moją własną żonę..

Michaelowi przypomniał się Czaszkoślimak z Przeklętej Równiny.

Tak, tak - ciągnął Tonn podchodząc jeszcze bliżej, tak że Michaelowi wydawało się, iż stoi tuż obok niego. -

Nadszedł czas zmian. Być może Rada Eleu miała rację. Być może rację miała Elme. Czas, aby Sidhowie powrócili

na Ziemię. Ach, gdyby słyszał mnie teraz biedny Tarax! Straciłby cały sens swego życia. Spaliłby się ze wstydu. To ty, żałosne ludzkie dziecko - nie potężny i wierny Sidh - musisz udźwignąć te brzemie. Bo przecież Tarax jest wielkim ignorantem. Cały mój lud, z wyjątkiem może Kapłanki Godzin, żyje w nieświadomości.

Michael przywołał z pamięci obraz wysokich postaci pochylających się nad jego łóżkiem na Ziemi i rozmawiających o nim. To ty? spytał.

- Nie - odparł Tonn wyciągając dłonią kamienny blok z powierzchni płaskowyzu i siadając na nim. - To nawet nie Maln ani nie Rada Delf. Wybrała cię Rada Eleu i jej członkowie byliby bardzo strapieni, gdyby dowiedzieli się o mej zgodzie. Ale zanim nasze plany będzie można wprowadzić w czyn, trzeba usunąć pewne przeszkody. Pewne stare

urazy. Nie zgadzamy się ze sobą w pełni, ale każdy z nas uwzględnia twój udział w swoich planach.

A więc nie działałam z własnej woli?

Dysponujesz całą wolą, jaka kiedykolwiek będzie ci potrzebna. Tego nie będziesz potrzebował. - Podniósł w górę czarną

książkę. Znikła mu w dłoni. - Nie będzie ci też potrzebne Radio Śmierci. Teraz czas zapomnieć...

Czerń kamiennej płaszczyzny pogłębiła się i rozmasała, łącząc się z niebem i chmurami, spowijając

Tonna i

przesłaniając go. Kiedyś poeci byli czarownikami. Poeci byli silni, silniejsi od wojowników czy królów - silniejsi od starych, nieszczęsnych bogów. I znowu będą silni. Pojawiła się znów chmura stworzenia. Cofająca się czerń iskrzyła i burzyła się.

Rozdział trzydziesty siódmy

Michael szedł pogwizdując fałszywie; uświadomił sobie nagle, że gwizdże, i zatrzymał się jak wryty. Rozejrzał się niepewnie dookoła czując łaskotanie włosów jeżących się na przedramionach. Potem zmarszczył czoło i usiadł

zastanawiając się, dlaczego jeszcze żyje. Był przecież w Irall.

Pomacał za książką. Nie było jej. Rzucił się do gorączkowych poszukiwań, rozgarniając trawę i sprawdzając, czy gdzieś jej nie upuścił. Nie mógł uporządkować wspomnień.

W pobliżu rwała szeroka rzeka, to wygładzając swe wody, to burząc się z szumem na głazach. Kilkaset metrów od przeciwległego jej brzegu wznosiła się jedna ściana kanionu, a druga rzucająca cień - o wiele bliżej, po tej 'stronie rzeki. Obie były z szarego kamienia, z rdzawoczerwonymi zaciekami, postrzępione i poszarpane, jak gdyby rzeka, złościąc tu swoje koryto, nie robiła tego ani delikatnie, ani ostrożnie. Obie ściany pięły się w górę na co najmniej sto pięćdziesiąt metrów i rozciągały poza zasięg wzroku Michaela. Wzdłuż brzegów rzeki rosły w kępach, tu po pięć, tam po dziesięć, drzewa, których licie kołysały się na wijącej nieustannie chłodnej bryzie - przepływającej kanionem rzece powietrza będącej dopełnieniem rzeki wody.

- Co się stało? - pytał sam siebie robiąc krok w jedną stronę, cofając się i zwracając w innym kierunku. Pamiętał

spotkanie z Radiem Śmierci, z tym wysokim gościem w kilcie i pelerynce... ale kto to był? Pamiętał, że tamten coś mu mówił, ale nie mógł sobie przypomnieć co.

Taraxa przypomniał sobie zupełnie wyraźnie i zadrzał. - Michael! Michael!

Dwie postaci schodziły w dół kamienistym szlakiem biegnącym wzdłuż bliższej ściany kanionu.

- Nikołaj! - krzyknął. Radość zatarła chwilowo wszystkie rozterki. - Nie wróciłeś do miasta!

- A ty wróciłeś? - Nikołaj i Bek nadbiegali piaszczystym brzegiem rzeki omijając kępy traw. Michael padł w objęcia Nikołaja zaskoczony i trochę zażenowany przyjemnością, jaką sprawia mu ścisnięcie ciepłego, krzepkiego ciała

Rosjanina. Bek stał z boku przyglądając się tej scenie z nikłym uśmiechem. - Pojmano mnie - wyjaśnił Michael.

- Zostaliśmy wtedy rozłączeni... przez Kapłankę - powiedział Nikołaj. Roześmieli się i ponownie objęli. - Nas przysłano tutaj. Ciebie też. To Kapłanka? Czy to ona cię uratowała?

Michael opowiedział, co pamiętał, ale to niewiele pomogło. Opisał wnętrze Irall, podróż pod Królestwem i cylinder unoszący się nad Mgłą. - Potem... wydaje mi się, że śniłem.

- Tutaj? Zupełnie nieprawdopodobne - pokręcił głową Nikołaj. - Cokolwiek to było, musiało działać się na jawie.

- Odebrano mi moją książkę. Zapomniałem paru rzeczy. Twarz mu spochmurniała. Wspomnienie książki

przypomniało mu o „Kubli Chanie”. Pamiętał tylko kilka pierwszych strof.

- Ale ocalałeś! Nikt nigdy nie wyszedł z Irall żywy - w każdym razie żaden człowiek.

- Ani żaden Mieszaniec - odezwał się Bek przeczesując dłonią swe jedwabiste blond włosy. - Nikołaj mówił mi, że jesteś kimś specjalnym. Teraz mu wierzę! Specjalny antros.

Michael był gotów obrazić się za to słowo, jakże często wypowiedane w charakterze przekleństwa, ale sprawnie

wysondował umysł Beka i nie znalazł tam żadnej niechęci. Bek odwzajemnił mu się sondowaniem i napotkał

postawioną natychmiast przez Michaela blokadę. Mieszaniec uśmiechnął się szeroko i potrząsnął głową z uznaniem i zaskoczeniem.

Do wieczora nazbierali suchych patyków i trawy na ognisko. Zjedli to, co Nikołaj nazbierał poprzedniego dnia -

trochę owoców i korzeni - i Ułożyli się na spoczynek niewiele rozmawiając. Nikołaj rzucił Michaelowi od czasu do czasu wymowne spojrzenia.

Po jakimś czasie z ogniska pozostały tylko dym, popiół i kilka trzaskających głowni. Bek i Nikołaj spali. Michael czuł się tak,

jakby przespał sto lat i mógł już nigdy nie zasnąć. Siedział wpatrzony w snujący się dym, obejmując ramionami podciągnięte pod brodę kolana, i zastanawiał się, skąd się bierze to dobre samopoczucie, skoro stracił ostatnią rzecz, jaka miała jeszcze dla niego znaczenie, skoro nie miał już przed sobą żadnej przyszłości, żadnych dających się przewidzieć perspektyw. Skoro nadal znajdował się w Królestwie.

Żył. To wystarczało. Jakże często gotów był już umrzeć - albo jeszcze gorzej. Przypomniał mu się nieważki

cmentarz i drażniący pył.

Nawet jeśli Clarkham okaże się nie tym, o kogo mu chodzi i vice versa - nawet jeśli on sam jest pionkiem..

Usłyszał szelest traw. To co ujrzał za piaszczystym owalem, na którym spali Nikolaaj z Bekiem, sprawiło, że

wyprostował się i zeszywniał.

W trawie stał Biri odziany w czarną opończę z czerwonymi naramiennikami i rękawami. Wpatrywał się

nieruchomym wzrokiem w Michaela i wyciągał rękę przywołując go do siebie.

Michael wstał i otrzepał piasek ze swych spodni brudnych jak święta ziemia. Odszedł za Birim od obozu na

odległość głosu, gdzie szum rzeki mógł zagłuszyć ich rozmowę.

- Czy to jakieś skrzyżowanie dróg? - spytał Michael ledwie dobywając głosu. Odchrząknął.

- To nie żadne skrzyżowanie. Przyprowadziłem coś, co może ci się jeszcze przydać. Według prawa, należy do ciebie.

Przetrwaleś ciężką próbę i on nosi teraz twoje piętno. - Wskazał na kępę drzew. Tam, widoczny w poświacie szarego pasma przecinającego niebo, stał błękitny koń. Zarżał i podszedł do nich. Michael wyciągnął niepewnie rękę.

Wierzchowiec wtulił nozdrza w jego dłoń.

- Wiele przeszedłem przez tego konia - powiedział Michael. - To znowu jakiś podstęp?

Biri potrząsnął głową. - Tarax szalał z wściekłości, kiedy nie znalazł cię w cylindrze martwego. Wypuścił konia, ale nie w to samo miejsce, gdzie kazano mu wypuścić ciebie.

- Co tu robisz?

- Wypełniam wolę Adonny.

- I...?

Biri spuścił głowę i utkwiał wzrok w ziemi. - Za sprawą Adonny nie mam własnego konia. Za sprawą Taraxa nie ma już we mnie wiary w Adonnę ani w Irall. Cały mój trening poszedł na marne. Mój lud umiera. Usychamy od środka.

Winię za to Adonnę. Spojrzenie, które rzucił Michaelowi, było niemal błagalne. Udałem się do Kapłanki Godzin.

Ona i jej słudzy wydają się jedynymi, którzy wiedzą, jakie zło dzieje się w Królestwie.

- Rada Eleu - mruknął Michael. - Tak. Co o nich wiesz?

- Niewiele.

- Czy chciałbyś dowiedzieć się więcej, tyle, ile wiem ja? Michael skinął głową. Jeśli Clarkham nie był pewnym wybawcą, to może zdoła mu pomóc Rada Eleu.

- Jedź zatem ze mną... a raczej, ponieważ nie mam własnego konia, pozwól mi pojechać ze sobą. Dopóki śpią twoi towarzysze. - Dokąd?

- Jeszcze nie tak dawno pomyślałbym, że to przeklęte miejsce, i unikał go. Teraz jestem tego o wiele mniej pewny.

To niedaleko, jeśli pojedziemy konno.

Michael obejrzał się na obóz i pogrążone we śnie sylwetki Nikołaja i Beka. Wiedział, że Nikołaj śpi, ale Bek...

- Dlaczego nie zabieramy ich ze sobą?

- Ten człowiek nigdy nie potrafił poddać się dyscyplinie. Nie przetrwałby. A Mieszaniec... - Biri wzruszył

ramionami. - To nie jego sprawa. On nie żyje w grupie, jest samotnikiem. On nie dba o to, że jest Mieszaniec; gdyby było inaczej, mogłoby to mieć dla niego jakieś znaczenie.

Michael podjął męską decyzję. - Prowadź.

Błękitny koń pozwolił się dosiąść im obu. Tym razem, w odróżnieniu od jazdy na jednym wierzchowcu z Gwinatem, to Michael siedział z tyłu, a Biri przed nim. - Byłem w Irall - powiedział Michael.

- Wiem.

- Widziałeś mnie? - Tak.

- Dlaczego mi nie pomogłeś?

- Nikt nie wchodzi w drogę Taraxowi. Poza tym szedłeś do Adonny. Nawet nowicjusze zdają sobie sprawę z

daremności sprzeciwiania się Adonnie.

Michael ponaglił konia. Potem, w pełni świadom konsekwencji, popuścił Sidhowemu zwierzęciu cugli, dając mu

możność nabrania szybkości... i wzbicia się w powietrze. - Mów, w którą stronę zwrócił się do Biriego, kiedy

kontury konia rozmyły się pod nimi i rozsrebrzyły.

- Na południe - padła odpowiedź.

Rozdział trzydziesty ósmy

Przez jakiś czas koń gnał wzdłuż rzeki i kanionu. Michaelowi trudno było stwierdzić, czy lecą, czy pędzą po ziemi, ani nawet określić dokładnie, gdzie się znajdują. Wszystko się przemieszało. Z każdym ruchem jego głowy świat stawał się innym miejscem pełnym strug światła i rwących chmur.

- Abana - krzyknął Biri. - Powiedz do konia abana. Michael powtórzył to słowo i to co pozostało jeszcze z Królestwa, rozplynęło się. Noc przeszła w brzask, świetliste strugi i chmury przeorientowały się tworząc szarobłękitne niebiosa. W dole, niczym woda spływająca po pomarszczonej tkaninie, przesuwały się po stepie światła miasta. - To wygląda jak Ziemia! - krzyknął Michael. Poczul na języku elektryczny smak wiatru.

- To jedna z wielu Ziemi - odparł Biri. - Ziemi istniejących pomiędzy twoim światem a Królestwem. To miejsce, do którego zdążają konie abanując.

Miejskie światła, pochylając się i kołysząc daleko w dole, zestaliły się w ulice i budynki. Wszystko było zielonkawe, a przynajmniej bardzo przypominało ten odcień - odcień Międzyświata, gdzie trwała na straży siostra Lamii. - Ile tych Ziemi istnieje?

- O wiele więcej, niż można zliczyć - odparł Biri. - I konie potrafią się między nimi przemieszczać?

- Jesteśmy tu tylko w przelocie. W rzeczywistości nie ma tam nas, o ile nie spadniemy. Koń muska samą

powierzchnię, prześlizguje się wzdłuż Ziemi otaczających Królestwo.

Światła miasta znikły i wszystko ponownie przemieszało się i stało nie do odróżnienia. Michael, sięgając przez Biriego do grzywy konia, miał wrażenie, że ściska w garściach zimny ogień. Koń odwrócił łeb i łypnął na nich

ślepiami. Były zimne i złowrogo

błękitne, niczym lodowe kule podświetlone od środka. Odciągnięte wargi odsłaniały zęby ostre i długie jak u

tygrysa. Fakt, między Królestwem a Ziemią - a raczej Ziemią - było to zupełnie inne zwierzę, istny koszmar.

- Już niedaleko - oznajmił Biri.

Koń zadrżał i wirowanie straciło na sile. Michael poczuł, jak napinają się pod jego udami mięśnie zwierzęcia

przygotowującego się do przejścia z abanowania w bieg po stałym gruncie.

I znowu byli w Królestwie. Koń galopował kamienistym polem porośniętym gdzieniegdzie maleńkimi drzewkami.

Powróciło zimne i suche powietrze nocy. Niebo pełne było jaskrawobiałych gwiazd.

Michael zatrzymał konia. - Jaką odległość przebyliśmy? - Zbyt dużą, by można ją pokonać pieszo - odparł Biri

zsuwając się z konia na lewą stronę. - Nie możemy wjechać konno do chronionego kręgu.

Michael zeskoczył z konia i ruszyli pieszo przez pole. Kamienie wrażały się boleśnie w obute w miękkie łapcie stopy Michaela. Przed nimi, majacząc niewyraźnie w gwiazdnej poświacie, wznosił się usypany z ziemi i kamienia

pagórek bardzo przypominający kurhany znane Michaelowi z książek historycznych.

- Na Ziemi też są takie - powiedział.

Z boku pagórka znajdował się kamienny łuk zatarasowany okrągłą płytą na wpół zagrzebaną w ziemi. Biri sięgnął za lewą krawędź płyty i wyciągnął stamtąd kamień o średnicy jakichś piętnastu centymetrów. Wydłubał w nim

zagłębienie, zupełnie jakby kamień był z gliny, i przełożył do drugiej ręki. Jednym palcem rozniecił w zagłębieniu oślepiająco białą poświatę. Latarnia - wyjaśnił.

Na prawej krawędzi płyty znajdował się szereg nacięć. Biri umieścił w niektórych rowkach palce jednej dłoni, a potem dotknął pozostałych w innej kolejności. Płyta zapadła się z głuchym łoskotem w ziemię.

- Teraz wchodzimy - powiedział.

Kamienna latarnia wyłowiła z ciemności wilgotny tunel o ścianach pooranych płataniną korzeni, wrzynający się w głąb pagórka na odległość około dziesięciu metrów. Posadzka wykuta była w kamieniu. W chłodnym powietrzu

unosił się odór stęchlizny. Biri ruszył przodem.

Pośrodku pagórka znajdowała się komora o średnicy jakichś dziewięciu metrów. Jej kamienne ściany lśniły od

wilgoci. Z mokrych powierzchni zwisały srebrzystobiałe, podobne do bród grzyby.

Na kamiennych marach pośrodku komory, kilka centymetrów jedna od drugiej, stały dwie przezroczyste, kwarcowe

trumny. W każdej spoczywał szkielet. Biri stanął przy marach, a Michael, zaglądając do trumien przez krystaliczne boki, obchodził je powoli dookoła.

- Wiesz, kim oni są? - zapytał Biri zniżając głos w rozbrzmiewającej echem komorze.

- Nie wydaje mi się - odparł Michael. Piszczele w lewej trumnie przypominały przezroczystą kość słoniową i

odziane były w prześwitującą, białą suknię; szkielet z prawej trumny był nieprzezroczysty, zbrązowiały ze starości i nie miał na sobie nic prócz pyłu i strzępów materiału. W dłoni ścisnął łaskę z polerowanego drewna zakończoną główką z brązu.

Michael zakończył okrążenie i przystanął obok Biriego. Większość mego ludu urągała jej - zaczął Biri dotykając kwarcu koniuszkami palców. - Kiedy powróciliśmy z gwiazd, byliśmy zbyt słabi, by zniszczyć twój rodzaj.

Niektórzy Sidhowie, włączając w to Maga, objawili się ludziom jako bogowie i usiłowali powstrzymać ich

rozwój, ale twoja rasa nie zawsze czczyła ich ślepo. Mimo wszystko dorastała, dojrzewała i odkrywała drzemiące w niej potencjały. Wykorzystała kłamstwa i sny zsyłane jej przez fałszywych bogów, tak jak kwiat wykorzystuje

nawóz.

Ona uważała, że powinniśmy żyć z wami w pokoju, ale nawet jej ministrowie odmawiali wprowadzenia w czyn

snuty przez nią planów. Była królową; to ona przyprowadziła nas do domu i była potężną czarodziejką; nie mogli wystąpić przeciw niej otwarcie. Zaczęła wędrować po Ziemi w poszukiwaniu rozwiązania. Z czasem jej ministrowie zdołali przekonać większość Sidhów, że królowa oszalała, że nie wytrzymała trudów podróży, że - jak często się wtedy zdarzało - moc, jaką dysponowała, padła jej na umysł.

Zebrała więc wokół siebie najwierniejszych stronników i utworzyła Radę Eleu. Podczas gdy inni Sidhowie usiłowali podporządkować sobie ludzi, Rada szerzyła wśród nich wiedzę. Podczas gdy

mag Tonn całe wieki poświęcił tworzeniu wizerunków waszych bogów Jahwe, Baala i innych, królowa

przeciwstawiała się mu i starała zachęcić ludzi do rozwijania swych najdoskonalszych cech. Tonn był silniejszy.

I w końcu królowa oświadczyła, że zakochała się w człowieku. Odrzuciła zimny i pozbawiony

uczucia związek z

mężczyznami swego rodzaju. Twarz Biriego nie zdradzała ironii ani nawet świadomości samokrytyki. - Czasami,

nawet teraz, jej stronnicy wierzą, że naprawdę była wtedy szalona, ale ona szczerze pokochała tego człowieka i kiedy zmarł, jak wszyscy śmiertelni, złożyła jego ciało tutaj. Potem, przez tysiące lat, Rada Eleu pracowała pod kierunkiem królowej nad wydzwignięciem ludzkości do poziomu, po którego osiągnięciu inni Sidhowie mogliby

uznać ludzi za równych sobie. Ale jej entuzjazm umarł wraz z jej mężem; z czasem umarła też królowa i jej ciało złożono nie w grobowcu honoru, czy w drzewie, skąd mogłaby przekazywać swą mądrość potomnym, a u boku tego,

którego kochała.

Tom, aby sprzeciwić się jej woli, powołał do życia Czarny Zakon i postawił na jego czele Taraxa. Czarny Zakon, Maln, zwalczał każdą akcję Rady Eleu. Po dziś dzień stoją wobec siebie w opozycji i Rada Eleu musi pracować w tajemnicy.

- A więc to są Elme i Aske - mruknął Michael. Biri skinął głową.

- Adonna jest zepsutym bogiem - ciągnął - którego uwiad starczy staje się z upływem czasu coraz to bardziej i bardziej wyraźny. Nie mogę mu służyć. Muszę służyć tym, którzy mu się przeciwstawiają i występują przeciw

Malnowi.

- Chcesz pomagać ludziom?

- Wychodzi na to, że muszę, nieprawdaż? - Biri uśmiechnął się ponuro.

- Czy Żurawice są córkami Elme?

- Elme i Aske spłodzili czterdzieścioro dzieci, pierwszych Mieszkańców. Dwadzieścioro z ich potomstwa poślubiło ludzi i miało z nimi dzieci...

- Jak dawno to było?

- Aż dziewięć tysięcy ziemskich lat i tylko osiemdziesiąt lat temu. Ci, w których żyłach płynie mniej niż ósma część krwi Sidhów, stają się znowu śmiertelnymi, ale potrafią w pewnym

stopniu posługiwać się magią. Ich dzieci rozproszyły się po Ziemi, a wiele z nich żyło tysiące lat przeżywając wiele pokoleń swych potomków.

Dawno, dawno temu Elme miała swój dwór w pięknym ogrodzie otoczonym wysokimi murami z kamienia. Szukała

rady u Wężomaga, ostatniego z pierwotnych ludzi.

Oczy Michaela zwęziły się.

- Wiesz o tym? - spytał Biri przyglądając mu się z zaciekawieniem.

Michael wpatrywał się w szkielet w jasnej sukni i nie wiedział, jak zareagować. W końcu oczy mu zapłonęły, jak gdyby przez całe życie wysłuchiwał zaledwie fragmentów jakiejś cudownej i smutnej historii, a teraz poznał

wreszcie jej zakończenie.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Wrócili tą samą drogą, którą przybyli. Michael nie zwracał prawie uwagi na towarzyszące im fajerwerki; trzymał się Biriego i konia, i zwracał swe myśli do wewnątrz.

Dowiedział się rzeczy, jakich nie mogłaby go nigdy nauczyć żadna lekcja historii na Ziemi. Podejrzywał, że istnieje jeszcze wiele takich spraw, o których usłyszał tylko prawdy częściowe albo wręcz kłamstwa.

Koń zatrzymał się na skraju skalnej półki wychodzącej na obóz i zaczął bić kopytem w ziemię. Nie było już widać jego kłów, a oczy mu złagodniały. Michael zeskokczył z wierzchowca i spojrzał w górę na Biriego.

- Nie ufam ci - oznajmił. Biri wytrzymał jego spojrzenie z kamienną twarzą. - Nie,- nie. Sądzę, że powiedziałaś mi prawdę o Elme i Askem, i o tym, co ci wiadomo z historii Sidhów. Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałbyś mnie w tym względzie okłamywać. Być może wiesz, że słyszałem już sporo z tej opowieści od innych. Ale nie

bardzo chce mi się wierzyć, że porzuciłaś Adonę.

Biri uśmiechnął się ironicznie. - Pogodzisz się jednak z tą myślą?

- Rozważę ją jako pewną możliwość - zaproponował Michael. - Ale wszystko idzie zbyt gładko. Każdy chce, żebym doszedł do Izomaga. Tylko Kapłanka Godzin powiedziała mi, że jestem pionkiem uwikłanym w zmagania dwóch sił

- Rady Eleu i Malnu. Jej chyba ufam.

- To szlachetna kobieta - przyznał Biri wyrażając swój szacunek skłonieniem głowy.

- Wydaje mi się, że nadszedł czas, żebym zaczął działać na własną rękę - powiedział Michael. - Chcę wrócić na Ziemie Paktu.

- One już nie istnieją - powiedział Biri. - Twoich ludzi i Mieszkańców przeniesiono gdzie indziej, ulokowano w nowych wspólnotach.

- Chciałeś powiedzieć, w obozach - poprawił go Michael. Zaprowadź mnie do jednego z tych obozów.

- Są ściśle strzeżone. Tarax nie chce, aby więcej takich jak ty przybywało tu na zaproszenie Rady Eleu.

- Ty i ja działając wspólnie możemy...

- Wyrzekłem się Adonny - przerwał mu Biri potrząsając stanowczo głową - ale nie będę występował przeciwko

swojemu rodzajowi.

- Przecież chcesz służyć Radzie Eleau. Możesz to robić pomagając ludziom.

Biri nie odpowiedział.

- Nie jestem wcale pewien, czy moje spotkanie z Izomagiem nie jest właśnie tym, czego pragnie Maln. Zwolnili

mnie z Irall, a to rodzi we mnie pewne podejrzenia.

- A co kazałaby ci uczynić Rada? - Nie wiem.

- Kto najbardziej stawał ci na drodze? - Nienawidzący ludzi Sidhowie.

- Maln.

- Po prostu nie wiem... - przyznał Michael znowu niepewny, co o tym wszystkim myśleć.

- To chyba oczywiste - powiedział Biri.

- Więc dlaczego Tarax nie zabił mnie, kiedy miał po temu okazję? Nie jestem zbyt silny. Mógłby mnie zabić

pierwszy lepszy Sidh. Ty też, zaraz tutaj, podnosząc tylko palec.

- Być może nie jesteś taki słaby, jak myślisz.

- Och, nie? - roześmiał się Michael. - Niedawno wydrążyłeś od niechcienia kamień i rozpałiłeś w nim ogień.

Wszystko, co potrafię, to zapewnić sobie ciepło.

Biri zsiadł z konia i przykucnął na półce, żeby zajrzeć do kanionu. W swojej opończy z czerwonymi naramiennikami wyglądał w świetle gwiazd jak odcieleśniony; odnosiło się wrażenie, że na szarej platformie zawieszanej nad

kanionem unosi się samo jego popiersie. - Nazywasz siebie poetą - odezwał się po chwili Biri. - Sidhowie od dawna odnoszą się do poetów z szacunkiem.

- Mam szesnaście, no może teraz już siedemnaście lat powiedział Michael. - W swoim życiu napisałem jakieś pięć dosyć strawnych wierszy, prawdopodobnie nawet nie tyle. W Królestwie nie miałem czasu, żeby napisać choćby

jeden. A kiedy już próbowałem, słyszałem w głowie czyjś głos podsuwający mi sugestie albo po prostu tworzący

utwory za mnie. Jestem bardziej pionkiem niż poetą, wierz mi.

- Co więc zamierzasz robić?

- Może siedzieć tutaj, może podróżować z Nikołajem i Bekiem. Zanim podejmę jakąkolwiek decyzję, chcę najpierw sprawdzić, do czego naprawdę jestem zdolny. - Urwał, a potem mruknął pod nosem: - Z tego, czego się

dowiedziałem, wynika, że ze strony Clarkhama nie mogę się spodziewać żadnej pomocy. Nie jestem nawet pewien,

czy on jest człowiekiem ani czy los ludzi rzeczywiście leży mu na sercu.

Biri skinął głową. - Nawet jeśli jesteś pionkiem, to czy sądzisz, że siły, które cię wykorzystują w swej grze, pozwolą ci chodzić samopas?

Michaela zatkało. Usiadł obok Sidha i zaczął machać nogami nad kanionem. - Przynajmniej nie zmuszą mnie, żeby zachowywał się jak głupia kukła.

- Jeśli jesteś wykorzystywany, czy to przez Taraxa, czy przez Radę, to wymawiając im posłuszeństwo będziesz miał

przeciwno sobie potężnych przeciwników.

- Co więc według ciebie mam robić?

- Chyba nie tak wiele. Pracuj nad udoskonalaniem swojej dyscypliny. Dokończ treningu.

- Nie ma już Żurawic - przypomniał mu Michael. - Nie przypuszczam, żeby w najbliższym czasie zjawily się tu

gdzieś spod ziemi.

- Ja mogę cię trenować - zaproponował Biri. Wyciągnął rękę w kierunku obozu. - Dziś w nocy, dopóki śpią. Potem będziesz mógł zdecydować. - Jego uśmiech promieniował w ciemnościach, był niesamowity. Michaelowi ciarki

przeszły po plecach. - A jeśli postanowię działać przeciwko Radzie?

- Moja decyzja jeszcze nie okrzepła - powiedział Biri. Może ty potrafisz naprowadzić mnie na właściwą drogę.

Michael zastanawiał się przez chwilę. - Czy Tarax nie będzie cię ścigał, starał się ściągnąć z powrotem?

- Po co? Jestem dla niego bezużyteczny, bezużyteczny dla Adonny. Jestem po prostu kolejnym niełojalnym Sidhem.

Nie będą tracili czasu na zemstę. Tylko żaloszny Sidh jak Alyons angażuje się w takie głupstwa.

Michael podszedł do konia. - A więc ucz mnie.

- Zaczynamy bez zwłoki - powiedział Biri wstając.

Rozdział czterdziesty

To była chyba najdłuższa noc w dziejach Królestwa. Dla Michaela ciągnęła się w nieskończoność... a nie było to przyjemne. Oddalali się z Birim pieszo od kanionu, dopóki nie stanęli na szerokim pasie piasku i drobnych głazów.

- Najpierw musisz sobie uświadomić, że jesteś sam - zaczął Biri. - Nowicjusz Sidh potwierdza swoją samotność

zabijając własnego konia; nie może istnieć żadna silniejsza więź i żaden silniejszy wstrząs od tego, jakiego doznaje się mordując z premedytacją swego najcenniejszego towarzysza.

- Czy będę musiał zabić tego konia? - spytał Michael czując nagły przyływ mdłości.

- Nie. Uczucie, jakim darzysz to zwierzę, jest płytkie, niewykształcone. Nie wychowałeś się z nim. Mafoc Mar nie schwytał go dla ciebie na polach, kiedy byłeś młody; nie dorastałeś do wieku dojrzałego z koniem u boku. Musisz znaleźć coś innego.

- Może kolejny cień mego ja?

Biri potrząsnął z rozdrażnieniem głową. - To nie moja sprawa. Stali w świetle gwiazd dostatecznie jasnym, by rzucać cienie. - Żadnych mieczy, żadnych błyskotek. To wszystko wynika

z ludzkiego niezrozumienia magii, z ludzkiego zapatrzenia się na technikę. Magia tkwi najzwyczajniej w umyśle.

Sidhowie zaliczają się do najnikczemniejszych, najzdradliwszych stworzeń ze wszystkich przejawów Stworzyciela, ale posiadli jedną ważną cechę zdolność koncentracji. Potrafią skupić się bez reszty, na czym tylko zechcą.

Biri usiadł w trawie i skinął na Michaela, żeby ten uczynił to samo. - Jesteś sam - powiedział. - Jesteś jedyną istniejącą rzeczą Nigdy nie dowiesz się naprawdę, czy poza tobą istnieje coś, jeszcze To że ludzie mają dusze, nie daje żadnych podstaw do twierdzenia iż różnią się od Sidhów .tym, że ci są wewnętrznie samotnia

Michael potrząsnął głową. - A co z przyjaźnią, z miłością? - Mężczyznom Sidhów miłość się nie przytrafia - odparł

Biri. - Ale i tak potrafię zniszczyć miłość. Czy kochałeś osobę realną, czy tylko wyobrażałeś sobie obiekt swej miłości? Czy kochałeś powierzchowność, czy to, czym ta osoba była dla ciebie?

- Ale przecież musi być ktoś, coś, co się kocha albo nie lubi. - Jesteś tylko ty. Sam. Życie to samotność, miłość to samotność.

- Ale wtedy nie istniejesz. Nikt nie istnieje.

- Chociaż w grupie, jesteśmy sami. To osobliwość naszego istnienia. Nigdy nie zaznajemy prawdziwej wspólnoty.

Nawet Sidhowie, którzy potrafią sięgać nawzajem w głąb swych aur pamięci, odsię-widzieć i dosię-widzieć, nawet oni nie mogą uniknąć samotności. Nigdy nie możesz na nikim polegać, nie do jądra swego istnienia. Nigdy nie

możesz ufać nikomu bezgranicznie... bo jak to możliwe, skoro jesteś sam?

Biri zdawał się znikać, pozostawiając Michaela w trawach. Samego:

Michael zerwał źdźbło trawy i kontemplował je czując się w środku martwy. Jeśli jest niepowtarzalny, samotny, pozbawiony jakiegokolwiek oparcia w całej tej rzeczywistości - włącznie ze swą własną wewnętrzną rzeczywistością

- jeśli nawet jego umysł jest samotny, pozostawiony z jednym tylko głosem, a wszystko inne to iluzja...

Martwość jeszcze raz wyparł nadzwyczajny spokój. Jak często można niszczyć kolejne wyobrażenia o otaczającym

świecie, a potem wygładzać je jak ocean bez fal?

Ile jeszcze wyniknie takich objawień, które potem skończą się tym samym potwierdzeniem mistrzostwa,

potwierdzeniem, że wszystko jest złudzeniem?

To źdźbło trawy jest samotne. Razem są samotni. Będąc ze sobą, są sami.

Ziemia Królestwa jest sama. Źdźbło trawy jest z tą ziemią same. Przeplływały w nim słowa,

argumenty, zamieniały formę i znaczenie, . a nie znaczyły nic. Dał sobie z nimi spokój dopiero wtedy, gdy przemiótł go niewyobrażalny, rwący ból.

- Kocham słowa - powiedział na głos. -- Są moim koniem. Dosiadam ich, wykorzystuję je. Ale nigdy nie zdołam ich zabić.

Chociaż wiem, że te słowa nie pomogą mi dostać się tam, dokąd zmierzam. - Uświadomienie sobie swego

uzależnienia wystarczyło.

Bez słów, prawdy, znaczenia czy myśli własna samotność stała się dlań nagle oczywista.

Jedynym sposobem, aby być naprawdę samotnym, jest złać się w jedno ze wszystkim, z każdym...

W cały wszechświat dysponujący tylko jednym głosem. We wszystkie przejawy samego stworzenia.

Michael uświadomił sobie teraz, co robił dokonując drobnych sztuczek, których nauczyły go Żurawice. - Być

samotnym znaczy być trudnym do zlokalizowania.

Potrafił nawet udoskonalić tę definicję: - Samotność oznacza izolację od potrzeb. - Mógłby trwać wiecznie bez jedzenia i wody. - Walczę tylko z cieniami. Jeśli jestem sam, nie ma wroga,

z którym musiałbym walczyć. - Brak potrzeby walki był podstawową zasadą. - To głupota walczyć, kiedy jest się samym. Odłożył źdźbło trawy i spojrzał w rozgwieżdżone niebo. Tę

konstrukcję pomógł mu zbudować ostrożnie, cegielka po cegielce, Biri. Teraz zaczęła się walić. Wszystko to było śmiechu warte. Jak w ogóle mógł uwierzyć w takie bzdury? Kiedy się jednak zawałała, nie pociągnęła za sobą

spokoju ani poczucia mistrzostwa; te pozostały.

Zbudowali łódź, przeprawili się przez rzekę i łódź rozpadła się, gdy tylko stanął na drugim brzegu.

Za jego plecami pojawił się Biri.

- To wszystko nie tak - mruknął Michael. - Nie ma w tym odrobiny sensu.

- To znak nad bramą twojej akceptacji - powiedział do niego Biri po kaskaryjsku. - Samotność dla Sidha jest

niesieniem, jest zabawna. Nie wolno ci nigdy ufać nam... ani naszym filozofom. - A więc i tobie nie powinienem ufać?

- Nigdy nie ufaj nauczycielowi.

Chyba nie żartował. Michael był daleki od przekonania, że wie, o co chodziło w całym tym osiągnięciu ostatecznej dyscypliny, chociaż jej skutki były niezaprzeczalne. A jeśli była to taka dyscyplina, która sprawiała, że Sidhowie zachowywali się jak Sidhowie - że prowadzili segregację mężczyzn i kobiet, i to ona

doprowadzała mężczyzn do tak dziwnego postępowania - wtedy jak najszybciej się jej pozbędzie, nie bacząc na to, czy daje efekty, czy nie.

Ale teraz nie pozostało mu już nic do roboty. Czuł się silniejszy, lepiej przystosowany do dawania sobie rady.

Wrócili do kanionu; Biri zszedł ścieżką na dół za Michaeliem.

Na wschodnim horyzoncie pojawiła się jutrzienka. Nareszcie kończyła się ta długa noc. Gdy podeszli do obozu,

Nikołaj i Bek jeszcze spali. Ognisko wygasło i pozostał po nim tylko dymiący popiół. Biri zatrzymał się w pewnej odległości od śpiących i zapatrzył się na płynącą rzekę.

- Co teraz planujesz? - spytał go Michael.

Nikołaj obudził się, przekręcił na plecy i zagapił z nieprzytomnym zaskoczeniem na Sidha. - Kto to? - spytał

gramoląc się na nogi. Bek usiadł na ziemi. Biri nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

- Chyba pójdę do Izomaga - odparł po chwili Biri.

- My też tam idziemy - bąknął Nikołaj zerkając na Michaela.

- Niekoniecznie - powiedział Michael. - Po co tam iść? Biri uśmiechnął się swym niesamowitym uśmiechem.

Mikołaj zadrzał i wycofał się z obozowiska. - On nosi opończę nowicjuszy Malnu!

- Być może dlatego, że on zna kilka odpowiedzi - odparł Biri. - A jeśli wy nie idziecie, ktoś musi pójść tam za was.

Poza tym to niedaleko stąd. - Wskazał w dół rzeki. - Ta rzeka wpada do morza. Ziemia Izomaga leżą w jej delcie. -

Odwrócił się, żeby odejść.

- Gdzie byłeś całą noc? - spytał Mikołaj patrząc ciekawie na Michaela.

- Sam nie bardzo wiem - odparł Michael. Sidh zlał się z cieniami zalegającymi przy ścianie kanionu. Gdy rozjaśniło się na dobre, nie było go już nigdzie widać.

- Izomag zawsze mnie zaciekawiał - powiedział Mikołaj. To tragiczna, a może niebezpieczna osoba.
- Zrywali owo-ce z karłowatych drzew rosnących w pobliżu rzeki. - Czy by

łoby bezpiecznie udać się tam tylko po to, by zaspokoić ciekawość?

- Prawdopodobnie nie- powiedział Bek. Mikołaj zmarszczył brwi i wbił zęby w małą gruszkę.
- A zatem albo zostajemy tutaj, albo wracamy na Ziemię Paktu - z tym że, jak mówiłeś; już ich nie ma i nie możemy tam wracać. Nie wiem, co robić.
- Sidh wie przynajmniej, gdzie znaleźć odpowiedzi na swe wątpliwości - powiedział Bek.
- To mogą nie być te odpowiedzi, których szukam ja włączył się do rozmowy Michael. - Jeśli ja w ogóle szukam

jakichś odpowiedzi. No i nie wiem, po co on idzie do Clarkhama.

- Być może Clarkham potrafi opowiedzieć mu o Radzie. My też byśmy chętnie posłuchali.
- Rozumiem, że obaj chcecie dalej szukać Clarkhama? Bek zastanowił się przez chwilę, po czym skinął głową.

Mikołaj wzruszył ramionami. - Mnie tam jest dobrze wszędzie, gdzie akurat jestem, dopóki nie ,mam do czynienia z nikim z Malnu.

- A więc powinieneś iść do Clarkhama. Ja podejmę decyzję w stosownym czasie. - Michael wrócił sztywno do

obozowiska z kieszeniami pełnymi małych owoców. Mikołaj powlókł się za nim.

- Michael, Michael, co się stało? Co ten Sidh ci powiedział? Zmieniłeś się...

I .rzeczywiście, nie czuł już potrzeby niczyjego towarzystwa czy rady. Odczuwał narastającą w sobie ohydę

zajmującą miejsce początkowego spokoju, jaki sprowadziła nań dyscyplina Biriego.

Zatrzymał się i spojrzał czujnie za ognisko o wiele większe niż wtedy, gdy odchodzili. -- Bracia - rozległ się zza ognia stłumiony głos. Spoza płomieni wynurzył się okutany od stóp do głów w biel Shahpur z założonymi na piersi rękoma. - Powiedziano nam, że potrzebujecie eskorty. - Zza pobliskiego głazu wyszli Harka, Tik i Dour. Michael obejrzał się przez ramię i zobaczył zbliżającego się Beka. Krok miał odmierzony, swobodny.

- Są w znowie - szepnął Mikołaj do Michaela z rozszerzonymi niepokojem oczyma.

- Izomag wita was na rubieżach Xanadu - oznajmił Shahpur. Nikoła j jęknął.

- Wspaniale, wspaniale! - krzyknął wyrzucając ręce w górę. - Teraz nie masz żadnego wyboru. Ja też nie.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Harka przywitał się znużony z Michaeliem i przysiadł na piaszczystym brzegu rzeki. Tik i Dour stanęli obok niego.

Obaj młodszy Sidhowie sprawiali wrażenie zdenerwowanych; tylko Bek i Harka pozostawali swobodni, z tym że

Harka nie był chyba zdolny do czegokolwiek innego. Shahpura nie dawało się rozgryźć.

- Czuwaliśmy nad tobą, ma się rozumieć - powiedział Harka. Nie odepchnął sondy Michaela; był, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej pusty niż wtedy, gdy Michael ostatni raz zaglądał w jego umysł. Jego pustka była tak samo niepokojąca, jak straszliwa pełność Shahpura.

- Nie potrzeba mi ochrony - powiedział Michael.

- Izomag jest innego zdania. Niewiele mógł pomóc, kiedy podróżowałeś z Ziem Paktu do tego miejsca, przez

terytoria Sidhów. Ale kazał nam wyjść ci na spotkanie w góry, a nawet powążył się wysłać z tobą Beka do Inyas Trai. Teraz gdy zbliżyłeś się do jego włości, mamy o wiele więcej swobody. Możemy pomagać, kiedy zajdzie taka konieczność.

- Mówiąc o pomocy - odezwał się Shahpur - Harka rozumie, że musimy zadbać, abyś dotarł do Xanadu. Takie jest

życzenie Izomaga.

Sidhowie, jakkolwiek niski był ich status, zachowali nadal pewne swe umiejętności. Michael zorientował się co do tego zaledwie muskając ich aury. Nie mógł uciec. Wciąż czuł się silny, ale nie był to ten rodzaj siły, jaki mógłby bezzwłocznie zastosować; dyscyplina Biriego zakłóciła w jakiś sposób nawet jego elementarne umiejętności. Gdyby był tu Biri, siły byłyby co najmniej wyrównane; w obecnej sytuacji opór był jednak bezcelowy.

- Cały czas to właśnie planowałem - powiedział Michael. - Żaden przymus nie jest potrzebny.

- Wspaniale - powiedział Harka. - Izomag będzie

rad. Jak łatwo się domyślić niewielu gości go odwiedza.

- A co ze mną? - spytał Nikołaj.

- Wszyscy, którzy pomagali dziecku-człowiekowi, są mile widziani w Xanadu. Ruszamy zaraz, czy musisz odpocząć po swej... pracowitej nocy?

- Jestem wypoczęty - powiedział Michael. Nikolaï wyprostował się i skinieniem głowy dał znak, że też jest gotów do drogi. - Świetnie. To przyjemna podróż. Będziemy na miejscu póź

nym wieczorem. Oczywiście, gdybyśmy wszyscy mieli konie... zerknął z zazdrością na wierzchowca. - Niestety nie mamy. Bek zaopiekuj się eponem.

Na odcinku pierwszych piętnastu kilometrów ściany kanionu stawały się coraz wyższe, aż w końcu szli dnem

głębokiej przepaści pogrążonej w wiecznym cieniu. Przy brzegu rzeki tłoczyły się mchy i paprocie, a były wśród nich i takie, które wybijały - wysoko tworząc nad ich głowami gęsty baldachim spowijający wszystko w zielonym mroku. Rzeka stała się głębokim, rwącym potokiem o szerokości nie przekraczającej dziesięciu metrów.

W jej przezroczystej toni Michael dostrzegał Rzekoli :połyskujących niczym pstrągi, lawirujących między skałami i falującymi wodorostami, spływających do morza.

Do wylotu kanionu dotarli późnym popołudniem. Ściany obniżyły się gwałtownie, a rzeka rozlała szerzej

wypływając na rozległą porośniętą lasem równinę. Równinę omiały ruchliwe tumany mgły; niebo w górze stapało się w barwę leżącą gdzieś pomiędzy masłem a polerowanym brązem. Drzewa porastające równinę podchwytywały

ten brązowy odcień i przyjmowały kolor bladej, umbrowatej zieleni. Chmury o złotych obrzeżach rzucały na

wszystko długie cienie.

Równina opadała łagodnie ku bezkresnemu, płaskiemu morzu, spokojnemu w ostatnich promieniach gasnącego dnia

jak lustro odbijające niebiosa i dodające mu od siebie tylko nieco ciemniejszy odcień.

Nadal posuwając się wzdłuż rzeki weszli w czerwonej poświacie zachodu słońca w najbliższy gąszcz drzew. Woda

wzdychała i szumiała w szerokim korycie pokrytym małymi kamykami. Którędy podążyli Rzekole, skoro głębokość

rzeki na tym odcinku nie przekraczała kilkunastu centymetrów, Michael nie potrafił wydedukować.

Harka ponaglał ich do szybszego marszu przez wieczorne cienie. Leśny szlak był zarośnięty i łatwo było z niego zbiec nawet w jasny -dzień, ale to zdawało się dopingować truposzowatego Sidha do tym większego pośpiechu.

Bek, Tik i Dour szli kawałek z tyłu. Shahpur trzymał się blisko Michaela, a jego biała postać sunęła

niemal

bezszelestnie przez krzaki i po zeschniętych liściach zaścielających ścieżkę.

Harka zastanawiał Michaela. Panująca w nim pustka coś mu przypominała... ale Michael nigdy nie zetknął się z

Sidhem tak zboleiałym jak Harka. Jeśli te istoty pracowały dla Clarkhama, to istniała możliwość, że ten zastosował

wobec nich jakiś rodzaj magii - poddał ich może procesowi geas. Ale jak ktoś nie będący Sidhem mógłby

podporządkować sobie Sidha?

Michael snuł raz po raz rozmaite plany ucieczki i zarzucał je jeden po drugim. Fermentowały w nim głęboko

zakorzeniony gniew i konfuzja. Dlaczego Biri zamącił mu w . głowie tak dziwną i niesamowitą filozofią? Może po to, pomyślał, by stworzyć blokadę, która go teraz paraliżowała.

W miarę jak zbliżali się do morskiego wybrzeża, Mikołaj .stawał się coraz czujniejszy. W końcu pojawiła się

perłowa wstęga, światła, która oświetlała im drogę przez skraj kończącego się lasu. Szli teraz przez piasek ku krawędzi nieruchomej wody.

--- Nawet dla oczekiwanych gości niebezpiecznie jest zbliżać się do Xanadu pod osłoną ciemności - odezwał się Harka. Zatrzymamy się tu na noc.

Mikołaj poszedł za Michaelem plażą jeszcze kilka metrów dalej. Tamci nie wykonali najmniejszego ruchu, żeby ich zatrzymać. Michael schylił się i zanurzył ręce w szklistej powierzchni morza. Zmarszczka wody podchwyciła

światło wstęgi i uniosła je na wiele metrów od plaży. Woda nie była ani ciepła, ani zimna. Michael przytknął

wilgotny palec do ust. Była tylko lekko słonawa właściwie miała bardziej mineralny posmak.

- Nie możesz nic zrobić? - szepnął Mikołaj.

Michael pokręcił głową. - A po co? Przecież sam chciałeś tu przyjść - i ja z początku też.

- Ale potem rozmyśliłeś się.

-- Jeśli nawet zmieniam swe postanowienia, to skąd mogę wiedzieć, że to ja je zmieniam? Jeśli ktoś zmienia za mnie moje

postanowienia, to czy ta eskorta robi jakąś różnicę? Może oni zmuszają nas tylko do robienia tego, co i tak

powinniśmy uczynić.

- Zawsze czułem, że Harki trzeba się strzec - powiedział Mikołaj. - Ale gdybym widział, że pracuje dla Izomaga! -

Rosjanin cmoknął, a potem zerknął kącikiem oka na Mieszkańca., Sidhów i owiniętego w oponę człowieka. - Kto

by pomyślał, kto by pomyślał. Co zrobimy, kiedy staniemy przed Clarkhamem?

- Jestem pewien, że da nam do zrozumienia, czego od nas oczekuje.

Noc minęła szybko. Michael nie spał. Wyczuwał, jak zastrasząco wzbiera w nim trucizna, połączenie nienawiści; podejrzliwości i siły. Dyscyplina Biriego kwitła, a jej kwiat był odrażający.

Świt rozdarł wschodni nieboskłon i pokruszył łukowatą wstęgę światła na blednące strzępy. Powietrze zabręczało ponownie jak pierwsze akordy symfonii. Gdy słońce wysunęło się już całe spoza horyzontu, brzęczenie ustało.

Brązowe niebo pojaśniało do czysto maślanego odcienia.

Harka zbliżył się do Michaela i Mikołaja leżących na piasku i dał im znak; żeby poszli za nim. - Jesteśmy umówieni i już się spóźniliśmy.

Ruszyli w drogę oddalając się od nieruchomego morza. Nim przebyli dwa kilometry, skończył się piasek i zaczęła trawa pofałdowany teren pokryty idealnie utrzymaną murawą z rosnącymi tu i tam spokojnymi drzewami

szumiącymi w .leniwych podmuchach ciepłego wietrzyka. Osiągnąwszy pewien kąt na nieboskłonie słońce zlało się z resztą nieba pozostawiając po sobie tylko podświetloną nijaką kulę.

Harka wskazał zielone wzgórze pnące się pełną godności pochyłością ku obłemu wierzchołkowi położonemu około

stu pięćdziesięciu metrów nad poziomem morza. Wzgórze otaczała ściana lasu i ogrody, a na jego szczycie

przycupnęła kopuła w kolorze wyblakłej kości słoniowej o rozmiarach trudnych do oszacowania z tej odległości. W

zboczu wzgórza ziała głęboka rozpadlina obramowana drzewami; szum tryskającej z niej wody słyszalny był nawet z tej odległości. Woda waliła potokiem po stoku zwróconym ku morzu, by u stóp wzgórza przejść w krętą rzekę.

-- Pałac Izomaga, - : powiedział uroczyście Harka.

Zbliżali się do kamiennej ściany z bloków ciemnego marmuru, wysokiej na dobre pięć metrów. .
Znajdowała się w nim otwarta brama z brązu, rzeźbiona: w smoki. Jedynym jej strażnikiem, był
granitowy wojownik mierzący sobie pięć metrów wzrostu, o dzikich orientalnych oczach utkwionych
w martwym morzu, trzymający niczym włócznię

jeden ze słupów bramy. Gdy go mijali, Nikolaï przyglądał się mu z nieskrywanym podziwem.

Na wewnętrznym obwodzie pierwszego muru igrały zwierzęta wszelkiej maści; jedne pasy się, inne
polowały,

choć gdzie nie było widać, by te łowy zostały uwieńczone powodzeniem. Michael dostrzegł
ogromnego tygrysa podchodzącego ze zwieszonym łbem stado przezroczystych jeleni. Jeleń o nogach
przypominających szklane pręty

zastrzygł uszami i oddalił się długimi skokami wypłaszając bażanty z nefrytowych zarośli: Bażanty
wzlatywały w powietrze bijąc, „skrzydłami przypominającymi- fragmenty witraży; potem, zmęczone,
opadały na pobliskie krzaki.

Drugi mur zbudowany był z pokrytej szklawem cegły i miał tylko. dwa i pół metra wysokości. Z
jednej strony muru, ku jego szczytowi, pięły się stopnie, z drugiej takie same stopnie prowadziły w
dół. Nie było przy nich żadnego strażnika, ani, żywego, ani kamiennego.

Wspinali się teraz po stoku wzgórza. W pewnej chwili zatrzymali się i obejrżeli na rzekę i ocean.
Michael ocenił, że odeszli już- na, jakieś pięć kilometrów od zewnętrznego muru, co znaczyło, iż
promień całego kręgu liczy sobie około ośmiu kilometrów. Mury otaczały wzgórze kołem i były
poprzecinane bramami rozmieszczonymi w czterech

punktach kompasowych oraz płynącą meandrami rzeką, która wlewała swe wody do cieniściego morza
nie

wzbudzając na. jego powierzchni ani jednej zmarszczki.

Trzeci mur, a właściwie murek, miał zaledwie, półtora metra wysokości, ale za to był gruby na trzy
metry i najeżony długimi cierniami. Brama w tym murze osadzona była w biegnącym dołem tunelu dla
pieszych. Tynkowane ściany

tunelu pokryte były freskami przedstawiającymi rodzajowe scenki z życia Chin, w których główną
postacią był

długowąsy, okrągłolicy cesarz radujący się spokojem i płodnością swych mądrych rządów.

Obchodzili teraz wzgórze i tracili z oczu morze. Kamienna grobla wiodła w górę szerokim pasem;
cedrów, wzdłuż tryskającej fontanną wyrwy. Nad zielonymi zlebami pełnymi kwitnących drzew i
gęstych, wonnych zarośli

przerzucone były mostki. Ziemia pod ich stopami zdawała się oddychać, a każdy taki oddech zaznaczał się nagłym rykiem wody i głębokim, zgrzytliwym tąpnięciem.

W szczelinie szczególnie długiego żlebu Michael dostrzegł potok niosący grube kawały lodu, postrzępione i

bladozielone w ciemnych wodach. Kry miały się od brzegu do brzegu, by w końcu roztrzaskiwać się u stóp

wzgórza na mleczny śrut.

Stopnie kończyły się przy pawilonie z wdzięcznie rzeźbionego drewna, wyposażonym w wyściełane jedwabiem

ławeczki. Opoczy-

wali kilka minut czekając, aż Harka zaczerpnie tchu, a potem ruszyli

nieskazitelnym trawnikiem pokrywającym wierzchołek wzgórza. Dwieście metrów przed kopułą z trawnika strzelał

w niebo krąg czarnych minaretów. Rozmieszczone były w odległości piętnastu metrów jeden od drugiego; a wokół

każdego, aż do bocianich gniazd z brązu usadowionych na szczycie, biegły zewnętrzne spiralne schody. Klatki były puste, ale Michael odnosił nieodparte wrażenie, że jest obserwowany, jeśli nie z wież, to z pawilonów ze szkła, kamienia i drewna. ozdabiających krajobraz.

Samą kopułą wzniesiona była z jedwabi rozpiętych na zakrzywiopych słupach. Słupy osadzono w alabastrowych

ścianach. Teraz można było ocenić rzeczywiste rozmiary kopuły; mierzyła sobie co najmniej dziewięćdziesiąt

metrów wysokości i dwa razy tyle średnicy.

Weszli pod kopułę rozkoszy pajęczym łukiem wykutym w zielonym steatycie. Harka unosząc rękę kazał im się

zatrzymać i odwrócić się do Michaela..

- Izomag przyjmuje cię jak równego sobie - powiedział. - To wielki przywilej. Żyje w pokoju, ale jest wiecznie zaabsorbowany swoją pracą. Zaprasza cię jako gościa i jako przybysza z Ziemi. Czy żywisz wobec niego

jakikolwiek złe zamiary?

- Nie - zaprzeczył Michael. Clarkham nigdy mu nic nie zrobił, prawdę mówiąc nie był dla niego niczym więcej, jak odległym celem. - Nie - powtórzył ze znużeniem Harka. - Nie masz takich umiarów. Twój towarzysz również. - Nikolaaj popatrzył na Sidha z wyraźnym zaskoczeniem. - Wchodźcie zatem, by

spełnił się sen i pieśń.

Rozdział czterdziesty drugi

Wnętrze jedwabnej kopuły skąpane było w mlecznym świetle; Michaela spowiły ciepło i woń kadzidła. Szli po

posadzce z czarnego marmuru pociętej żyłkami lodu, a stopy omywała im warstwa chłodnego powietrza. Nikolaaj

trzymał się blisko Michaela kręcąc głową, jakby chciał zobaczyć wszystko na raz.

Słupy podtrzymujące jedwabny namiot łączyły się wysoko w górze, tam gdzie przez otwór w tkaninie widać było

niebo. Pośrodku pomieszczenia, na podwyższeniu, na które wiodły drewniane schody rzeźbione w smoki i konie, za płotem z drewna tekowego zwieńczonym złotą barierką, stał normalnej wielkości dom: tynkowane na biało ściany i zasłonięte kotarami okna, spadzisty dach kryty czerwoną dachówką, wszystko otoczone idealnie przystrzyżonymi

krzewami oleandra.

- To dom Clarkhama - powiedział Michael. - Stąd zaczynałem...

Drzwi frontowe były otwarte, ale nie weszli do środka. Harka poprowadził ich stopniami pod górę, a następnie

wokół dziedzińca na tyły domu. Było tam zupełnie zwyczajnie - wybrukowane cegłą patio i dobrze utrzymany ogród różany, bogato wyścielane ogrodowe meble z drewna sekwojowego, okrągły stolik na wygiętych metalowych

nóżkach z parasolem przeciwsłonecznym. Nadzwyczajność tego miejsca polegała tylko na tym, że znajdowało się

tutaj, stanowiąc komiczny zgrzyt w egzotycznej chińszczyźnie.

Śniada kobieta z rodu Sidhów przycinała krzewy róż- sekatorem z brązu. Za każdym cięciem róże na przycinanym

krzaku rozjarzały się, a powietrze wypełniała słodka, ostra woń. Kobieta podniosła wzrok i dostrzegła grupkę stojącą za ceglany murkiem ogradzającym trawnik. Uśmiechnęła się, odłożyła

sekator na składany drewniany stołeczek i wygładziła na sobie szarą, przetykaną złotem suknię.

- Nareszcie! - wykrzyknęła. - Czekamy na ciebie od bardzo dawna. - Podeszła do nich przez trawnik i wyciągnęła rękę do Michaela. Ujął jej dłoń za palce, a ona dała mu znak, żeby wszedł na trawnik. Ciepła, letnia miękkość trawy zastąpiła natychmiast chłód pożyłkowanego lodem marmuru. Pocałowała go skromnie w policzek i poprowadziła

przez trawnik. - Chodź, proszę - . zawołała do Nikołaja. Pozostali skłonili się i wycofali. Nikołaj zawahał się zmieszany, a potem wstąpił na murawę i ruszył za kobietą i Michaeliem.

- David nie może się doczekać - powiedziała kobieta. Głos miała słodki jak każdy Sidh, którego dotąd słyszał

Michael, kojarzący się z zapraszającym uśmiechem. Jej włosy były lśniące i aksamitnie czarne, brwi lekko

asymetryczne, jedna biegnąca pod nieco większym kątem od drugiej, a usta bardziej . pełne niż u innych Sidhów.

Weszli przez szklane drzwi i znaleźli się w pokoju położonym na tyłach domu, gdzie Michael obserwował kiedyś

księżycową poświatę rozlaną po nagiej drewnianej podłodze. Tutaj pokój ten umeblowany był jak gabinet - w rogu naprzeciwko drzwi dębowe biurko z żaluzjowym zamknięciem, pełne książek półki ciągnące się wzdłuż dwóch ścian i pianino przed muslinowymi firankami wykuszowego okna.

- Mam na imię Mora - przedstawiła się kobieta. - On zaraz zejdzie, żeby się z wami przywitać. Na razie... Sięgnęła pod zapaskę sukni, wydobyla z wewnętrznej kieszeni różę i wręczyła ją Michaelowi. - Na ozdobienie twojego

pokoju. David mówi, że zostaniesz z nami jakiś czas.

Michael przyjął różę. - Mam na imię...

- Och, wiemy, wiemy! - zawołała Mora wybuchając śmiechem. - A to jest Nikołaj, przyjaciel Emmy Livry.

Nikołaj skłonił uroczyście głowę i z wyraźną tęsknotą spoglądał na książki i na pianino:

- Muszę już wracać do ogrodu - oznajmiła Mora. - To specjalny sezon: rzadki i krótki. - Położyła palec na trzymanej w dłoni róży. - Utrzyma się przez jakiś czas.

Wyszła przez drzwi balkonowe zamykając je za sobą. Michael i Nikołaj stali nasłuchując tykania wahadła ściennego zegara wiszącego nad biurkiem.

Na schodach rozległy się kroki, ucichły na chwilę i dały się znowu słyszeć. Drzwi gabinetu otworzyły się i do pokoju wszedł siwowłosy mężczyzna średniego wzrostu wyglądający na jakiegoś

pięćdziesiąt pięć lat. Miał na sobie rozpiętą pod szyją koszulę, brązowe spodnie, a obuty był w brązowe mokasyny. Twarz miał szeroką i przyjemną, a na jego policzkach kiełkował rudy zarost.

- Michael? - spytał wyciągając rękę. - Michael Perrin. Michael uścisnął podaną dłoń i potrząsnął nią silnie czując się, jak zwykle, zakłopotany tym ceremoniałem.

- Miło mi cię widzieć. Jestem Clarkham. David Clarkham. Witaj w Xanadu - a może Mora już cię powitała?

Oczywiście. Ona jest cudowna. Gdyby nie ona, marnowałbym cholernie dużo czasu na zajmowanie się tą

posiadłością. Mam nadzieję, że podróż była interesująca?

Michael nie mógł dobyć z siebie słowa. Skinął tylko głową. Clarkham podał rękę Nikołajowi. - Pan Kuprin. Od lat podziwiam pańską śmiałość. Spotkaliśmy się kiedyś przelotnie, chociaż może pan tego nie pamiętać. Kiedy

odwiedziłem Emmę w Inyas Trai. Byłem wtedy ucharakteryzowany nie do poznania. Nikołaj zmarszczył czoło.

- Tak - powiedział Clarkham uśmiechając się. - Charakteryzacja spełniła swe zadanie. Zbliży się pora kolacji, a dla uczczenia waszego przybycia przygotowałem wystawne przyjęcie. Jesteście niewątpliwie głodni. Żywność w

Królestwie to tak przypadkowa sprawa. Chodźcie ze mną, pokażę wam pokoje, gdzie będziecie się mogli odświeżyć.

Mam tu jeszcze jednego gościa, kogoś, kogo chyba znacie - Sidha. Dotrzymaj nam towarzystwa przy kolacji. Tak, wiele mamy do przedyskutowania!

Kolacja była właściwie ucztą. Podano ją, kiedy gasnąć zaczęło przytłumione słoneczne światło przesączaające się przez jedwabną kopułę. Stół rozstawiono na patio, w pobliżu jarzących się róż Mory, a ona zносиła misę za misą pieczonych jarzyn, przyprawionych ziaren, sałatek i kompotów ze świeżych owoców i sałatek z zieleniny. Pojawił

się owinięty w płótno chleb na wiklinowych koszyczkach, gorący i świeżo upieczony, a wraz z nim pikantne masło roślinne, bo mleko sidhowych koni nie nadawało się do wyrobu zwykłego masła.

Po jednej stronie stołu siedzieli Michael z Mikołajem, a Clarkham zajmował miejsce u szczytu, obok Michaela.

Skończywszy podawanie do stołu Mora usiadła naprzeciw Nikołaja. Wtedy dopiero z domu na patio wkroczył Biri.

Uśmiechnął się tajemniczo do Michaela i usiadł obok : Mory.

- Świetnie! - powiedział Clarkham puszczając w obieg pierw szą misę - są tu wszyscy. Mora, jak zwykle, użyła w kuchni swoich czarów. -. Mrugnął do Michaela. - Jakież to będzie miły wieczór.

Michael był nastawiony mniej entuzjastycznie. Jadł - był bardzo głodny -- i słuchał, ale sam niewiele się odzywał. -

Mówił przeważnie Clarkham; miejscowe żarty, stan ogrodu, pogoda w Xanadu, co niesie tym ziemiom nadciągająca

wiosna.

Michael starał się nie spoglądać na Birięgo. Pragnął ponad wszystko zadać dwa proste pytania - dlaczego Sidh

pozostaje w tak zażyłych stosunkach z Clarkhamem i jaki cel miał Biri spotykając się z Michaeliem w kanionie.

Biri nie wtrącał nic od siebie i rzadko zwracał się bezpośrednio do nowo przybyłych gości. Gdy się posilili,

Clarkham zaproponował przejście do wnętrza domu. Zapadła noc i pod kopułą rozkoszy zrobiło się ponuro. Biri

wstał i przesunął dłonią za każdym z szeregu papierowych lampionów rozwieszonych na patio tuż nad poziomem

głowy. Zaczęły się jarzyć migotliwym żółtym światłem.

Woń róż wyczuwalna była nawet we wnętrzu domu. Michael zerkał ciekawie na elektryczne lampy - pierwsze, jakie widział w Królestwie. To oświetlenie wydało mu się zimniejsze i bardziej przykre dla oczu. Jeśli uwzględnić ten ostatni szczegół, dom, z całym tym wrażeniem normalności i komfortu, mógł równie dobrze znajdować się na Ziemi

- Ziemi lat może czterdziestych, sądząc po umeblowaniu. Michael nie czuł się tu jednak dobrze. Zbyt często

przedtem dawał się zwodzić pozorom.

Clarkham wyjął brandy w kryształowej karafce i rozlał po trochu sobie, Michaelowi i Nikołajowi. - Sidhowie nie przepadają za ludzkimi trunkami - wyjaśnił. -- Mora nigdy ich nie tyłca --. twierdzi, że niszczą jej dziedzictwo. Biri, jak podejrzewam, nigdy w życiu nie miał kropli w ustach. Maln by tego nie pochwalił, prawda?

Biri potrząsnął głową na. w pół ze smutkiem. - Niestety, nie. - Ja jednak mogę pić i mam nadzieję, że moi goście również

nie odmówią. - Spojrzał Michaelowi w oczy i rozdał kieliszki. Mistrz Michael pragnie się

dowiedzieć, co ze mnie za jeden. - Sensowne pytanie - odezwała się Mora. Siedzieli w salonie

gościnnym w wygodnych miękkich fotelach i na sofie, obitych tkaniną zdobioną wizerunkami liści drzew

tropikalnych i egzotycznych ptaków. Rozpalono ogień, który trzaskał teraz ciepło w kominku.

- „Co to za jeden?” - Clarkham. zrobił komiczną minę. Często zadawane pytanie, młodzieńcze, przynajmniej przez ostatnie kilkaset lat. Tu, oczywiście upłynęło o wiele ,mniej czasu.

- Nie jesteś Sidhem - powiedział Michael decydując się na udział w tej grze, chociaż nie wiedział jeszcze, o co się toczy. - Nie jesteś też Sprygglą.

- Na Boga, nie! - zakrzyknął Clarkham wybuchając śmiechem.

- Arno Waltiri sądził, że jesteś człowiekiem - ciągnął Michael.

- Nie, tu się mylisz, młodzieńcze. To ja sądziłem, że Waltiri jest człowiekiem. Mam poważne wątpliwości, czy Arno w ogóle zmyliła moja maska.

Michaela zatkało. Clarkham zauważył jego zaskoczenie. - To bardzo skomplikowana gra, mój drogi, i każdy ma w

niej swój udział. Nie można oczyścić sześćdziesięciu milionów lat z nieszczęścia i bezprawia w jedną noc czy bez pokonania kilku zakrętów w labiryncie.

- Waltiri nie żyje - zaryzykował bez przekonania w głosie Michael.

- Powiedzmy, że w to wątpię - powiedział Clarkham. - To bardzo zdolny i zręczny osobnik.

Michael nie mógł się zdobyć na zapytanie Clarkhama, za kogo uważa Waltiriego, ale ton Clarkhama denerwował go.

Teraz wszystko zdawało się go irytować - oświetlenie, towarzystwo, nawet Nikołaj - jakby wypełniał go rój

szerszeni.

- Urodziłem się na Ziemi - ciągnął Clarkham. - W roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym dziewiątym. Moja matka przy była kilka wieków wcześniej do Anglii, gdzie służyła jako pokojowa

u samej królowej Maeve, zanim królowa wtopiła się w dąb w Starym Lesie, a jej świta rozproszyła się po wyspach, by ująć przed wypalaczami węgla drzewnego. Nawiasem mówiąc, ścięli w końcu ten królewski dąb. Być może

częstka czcigodnego domu Maeve tkwi teraz w szklanych szybach jakiejś wspaniałej angielskiej katedry. Ale jej już nie ma i moja matka też dawno umarła, chociaż nie była śmiertelną. Śmiertelnym

był mój ojciec, Michaelu. Jestem Mieszkańcem, jeśli jeszcze tego nie odgadłeś - pół na pół. Od mojej matki nauczyłem się magii Sidhów, a od ojca - no cóż, po ojcu odziedziczyłem postać, która nie zdradza zbyt mego prawdziwego pochodzenia. Tym właśnie

jestem. - Machnął na Michaela ręką, a w nim cicho brzęczały szerszenie.

- A ty, mój panie? Odpowiedź za odpowiedź.

- O ile wiem, uważają mnie za poetę - odpowiedział bez wahania Michael.

- Ach tak. A jesteś nim? - Tak.

- I na to właśnie czekam - powiedział Clarkham okazując swoje zadowolenie całemu salonowi poprzez

kontemplacyjne pocieranie brody. - Poezji nigdy nie jest za wiele.

- Żałuję bardzo, że nie mam przy sobie żadnego z mych wierszy - powiedział Michael. - I skradziono mi książkę. -

Jaką książkę?

- Tę, którą dał mi Arno.

- Co ty powiesz, co ty powiesz - zadumał się Clarkham. Arno, kiedy czegoś potrzebował, zawsze był bardzo

wspaniałomyślny. Czy razem z książką dał ci jakąś radę?

- Sugerował, żebym nie bał się podejmować ryzyka. - Znaczący się, przychodząc tutaj.

- Tak przypuszczam.

Wtrąciła się Mora. - Z rozkoszą posłuchałabym któregoś z twoich wierszy.

- Będę musiał napisać parę nowych - odparł Michael.

- Wspaniale - powiedział Clarkham. - Biri opowiadał nam trochę o twojej podróży. Coś nieprawdopodobnego.

Przykro mi słuchać o twoich przejściach na Ziemiach Paktu. Zdaje się, że Alyons drogo zapłacił za swoje wybryki.

- Zginął w twojej pułapce - powiedział Michael. Morę przeszedł leciutki, ledwie zauważalny dreszcz.

- A on myślał, że to twoja sprawa - powiedział Clarkham. - Żałosny głupiec. Nigdy nie wiedział, z

której strony wiatr wieje. Nie wszyscy Sidhowie odznaczają się bystrością, Michaelu; potraktuj to jako lekcję.

- Myślałem, że będzie pan niepokieszony słysząc, iż nie przyniosłem książki.

Nikołaj zerkał to na jednego, to na drugiego, zdeorientowany i zażenowany.

- Na Boga, nie! - wykrzyknął Clarkham. - A po co mi ona? - Nie mam pierwszej części Pieśni Władzy.

- Której? Z tyłoma już się stykałem w życiu.

- Poematu „Kubli Chana” Coleridge'a. Nawet go nie pamiętam.

- To może chciałbyś go jeszcze raz przeczytać? Mam go gdzieś tutaj. - Wstał, podszedł do półki z książkami i

spomiędzy dwóch opasłych ksiąg oprawnych w skórę wyciągnął niewielki tomik. Wręczył go Michaelowi

zakładając zręcznie palcem właściwe stronicę.

Michael zerknął na wiersz. Był to ten sam tekst - włącznie ze wstępem - co w książce, którą dał mu Waltiri.

- Myślałeś może, że Maln usiłuje ci przeszkodzić w dostarczeniu mi tego? - Clarkham zachichotał. - Mam tę książkę od dziesiątków lat. Powiedziałem kiedyś pewnemu zwariowanemu staremu Spryggli, że mi potrzebna, ale dopiero

wtedy, gdy ten głupiec starał się otumanić mnie czarami. Z tego co wiem, rozgadał to naokoło, chociaż jego zasięg jest raczej ograniczony.

- On nie żyje - powiedział Michael. - A przynajmniej został obrócony w kamień.

- A kto się do tego przyczynił? - Pośrednio ja.

Clarkham odetchnął głęboko. = Jesteś bardzo wpływowy, Michaelu. Eliminujesz na prawo i lewo wielowiekowe

tradycje, łamiesz tabu, penetrujesz nowe krainy. Nie, mnie nie interesują starocie. Przybyłeś tu ze swoim

potencjałem. Ten potencjał tkwi w twojej poezji. Znajdujesz się w tym samym położeniu, co biedny pan Coleridge.

Michael zwrócił się do Biriego. - Przeszedłeś na jego stronę, prawda? Naprawdę chciałeś, żebym tu przyszedł.

Biri skinął głową. - Nie sięga tu władza Adonny. Jestem od niego wolny.

- Ach, dobry, stary Adonna - rozkliwił się Clarkham. Biri mówi, że nawet z Irall uszedłeś z życiem. Ja nigdy tam nie byłem. Prawdopodobnie już bym stamtąd nie wyszedł. Przez wiele lat byłem utrapieniem Taraxa. Adonna, jak

przypuszczam, sprawił, że nie pamiętasz tego spotkania. To typowe. Jest bardzo starym, ogromnie znużonym

magiem i bierze na swe barki zbyt wielką odpowiedzialność. Jest jednak na swój sposób mężny.

Michaelowi przypomniał się nagle Adonna - Tonn - w kilcie i pelerynce, dzierżący laskę.

- Widzisz teraz wyraźniej? - spytał Clarkham. - Czy co widzi? - bąknął półgłosem Nikołaj.

- Przypominam sobie pewne rzeczy - wyjaśnił Michael. Nikołaj nie był najwyraźniej na tyle kompetentny, by

uczestniczyć w tej grze w charakterze kogoś ważniejszego niż widz. Kto więc grał?

- Czy mogę zapytać kim albo czym jest w rzeczywistości Adonna? - Nikołaj rozejrzał się po twarzach obecnych.

Mora poczuła doń litość.

- Kiedyś był Magiem Sidhów. To on stworzył Królestwo majstersztyk, temu nikt nie zaprzeczy - ale zgubiły go

wygórowane ambicje. Zawsze przeciwstawiał się Izomagowi.

- Nigdy nie potrafiłbym zmobilizować w sobie tyle hubris, żeby nazwać siebie prawdziwym magiem powiedział

Clarkham. Inni mogą być do tego zdolni, ale nie ja. Magowie zapracowali na swoją pozycję, na szacunek. Ja mam po prostu nadzieję zrealizować cele, które oni postawili dawno temu.

- Co za skromność - szepnął Nikołaj.

Michael pochylił się do przodu. - Istnieje przyczyna, dla której mnie tu sprowadziłeś. Twoja żona - jedna z twych żon przetarła mi szlak. Druga pozwoliła mi uciec, chociaż mogła mnie chyba dołączyć do swej kolekcji.

Clarkham siedział z doskonałą twarzą pokerzysty nie wyrażającą zupełnie nic.

- Proszę cię, powiedz mi, dlaczego się tu znalazłem.

- Dzisiejszego wieczora? Chciałem, żebyś przedtem odpoczął... - Teraz jest najlepsza pora.

Clarkham podniósł rękę i spojrział na Morę i Biriego. - Bardzo dobrze. Jesteś tu, żeby dokończyć ostateczną Pieśń Władzy. To chyba dla ciebie oczywiste.

Daleko było temu do oczywistości, ale Michael skinął głową. - Ja z kolei użyję Pieśni Władzy do podporządkowania sobie Królestwa oraz do przywrócenia wolności ludziom i Mieszkańcom. - Nie wykorzystasz jej pan do niczego więcej?

Clarkham przekrzywił na prawo głowę i postukał palcem wskazującym, a potem środkowym w krawędź stołu. -

Spotkałeś Taraxa. Wiesz, do czego zdolny jest Maln.

- A pan pomógł mi przypomnieć sobie Adonę. Nie wygląda na takiego wcielonego diabła.

Clarkham poczerwieniał na twarzy. - Tonn objawia ci się, jak chce. Sidhowie w jego wieku i o jego zdolnościach niewiele ustępują bogom, Michaelu, i są ogromnie przebiegli. Pracowałem przez całe stulecia tylko nad tym, by po prostu móc stawić im opór i udało mi się ale nie potrafię go pokonać. A nie dlatego przecież pragnę z nim walczyć, że jest miłym staruszką. Mięśnie na policzku Clarkhama pracowały z napięciem, a jego oczy zwęziły się. Potem z wyraźnym wysiłkiem zapanował znowu nad sobą. Na jego usta powrócił przymilny uśmiech. - Nie jest to temat,

przy którym udaje mi się zawsze zachować spokój. Tonn nie jest takim znowu potworem, jakim chciałby go widzieć Tarax, nie. Ale Tonn zna swoich Sidhów. To dla nich stworzył Królestwo i rządzi nimi z surowością, której

oszczędza jedynie Kapłance Godzin. Czy domyślasz się dlaczego?

Michael potrząsnął głową.

- Ponieważ to jego córka, która stanęła przy nim, kiedy Elme zbuntowała się przeciwko niemu. Pomimo że

przemienił ich matkę w paskudztwo w napadzie... nie bardzo wiem, jak byś to nazwał. Straszliwego gniewu. Kiedy Elme poślubiła człowieka, to właśnie Tonn skazał ją na wygnanie i obmyślił wszystkie tortury towarzyszące jej upadkowi. Kiedy nie zdołał nagiąć jej do swej woli i kiedy poparła ją Rada Eleu, wtedy i dopiero wtedy zaangażował

całą potęgę w stworzenie Królestwa. On zaciekle nienawidził ludzi, Michaelu.

- Być może zmienił swoje poglądy.

Clarkham spojrział nań zaskoczony, po czym roześmiał się krótko i piskliwie. - Najwyraźniej wywarł na ciebie jakiś wpływ, nie odkrywając swej prawdziwej natury. I dlatego wydaje mi się, że powinienem się ciebie trochę strzec.

W ciszy, jaka zapadła, Nikołaj przyglądał się obecnym w salonie z rosnącym skrepowaniem. - Michael występuje w imieniu ludzi i Mieszkańców - odezwał się w końcu. - Michael to porządny

człowiek.

Mora i Biri uśmiechnęli się. Clarkham wybuchnął serdecznym, szczerym śmiechem. - Ależ oczywiście. Włożył

wiele wysiłku w to, by tutaj dotrzeć, by pomóc swojemu i mojemu ludowi. Będziemy pracowali razem i osiągniemy wszystkie swoje cele. Na razie, po tak długiej podróży i wyśmienitym posiłku, najlepiej będzie, jeśli rozejdziemy się do pokoi i ułożymy wygodnie do pokrzepiającego snu. Mora pokaże wam, gdzie co jest. Wstał i przeciągnął się

ostentacyjnie. Dobrej nocy, panowie.

Mora zaprowadziła Nikołaja i Michaela na górę i pokazała im łazienkę, ich pokoje i miejsce, skąd brało się bieliznę.

Pozostawiała za sobą woń róż. Michaela rozpraszały kłębiące się po głowie myśli prowokowane jej czarnymi

lśniącymi włosami i skórą koloru drzewa tekowego.

W jego pokoju stało wspaniałe, królewskie łóżce ze złożoną starannie pościelą i ściągniętą białą narzutą, spod której wystawały ciepłe, wełniane koce. Na wieszaku przy dębowej toaletce wisiała kompletna zmiana odzieży - spodnie, koszula i sweter oraz wyglądające na nowe, brązowe buty z bardzo miękkiej skóry. Kiedy założy je rano, będzie ubrany lepiej niż normalnie na Ziemi.

Ściany sypialni udekorowane były uspokajającymi, abstrakcyjnymi pastelami w tonacji brązowej, szarej i

niebieskiej. W kącie przycupnął maleńki krzaczek róży w dzbanie z brązu, a obok niego stało biurko z wpuszczoną w blat skórzaną wyściółką. Lampka do czytania na wygiętym w pałąk wysięgniku rzucała na łóżko miękką cień.

Półka stojąca w pobliżu drzwi pełna była interesujących tomów - Gerald Manley Hopkins, Yeats, Keats, Shelley, a obok nich starsze i nowe powieści.

Michael zamknął drzwi i usiadł na łóżku. Mając przed sobą cały ten ziemski komfort powinien czuć się wzruszony, nawet pomimo

ostrożności. Ale nie było w nim miejsca na sentymeny. Rozebrał się i zarzucił na siebie aksamitny szlafrok. Potem wyszedł na korytarz, wziął sobie ręcznik z szafki na bieliznę i skierował się do łazienki.

Gorąca woda, mydło, biała, emaliowana umywalka i wanna, marmurowy blat, tapeta w liście paproci, wyłożony

kafelkami boks z prysznicem. Stał pod natryskiem długo, dopóki pozwalało mu na to jego wyczerpanie; potem

wytarł się z zamkniętymi oczyma.

Gdy wrócił do swojego pokoju, zastał tam Clarkhama stojącego przy łóżku. Clarkham trzymał w ręku ryzę papieru przyciskając do niej kciukiem wspaniałe wieczne pióro ze złotą obwódką i skuwką. - To do twego użytku -

powiedział kładąc wszystko na biurku. Gdy postępował krok w kierunku Michaela, wyraz jego twarzy był prawie

błagalny. Zależało mu wyraźnie, aby sprawiać wrażenie przyjacielskiego, ale coś stało między nimi, jakiś na razie tłumiony antagonizm, który w każdej chwili mógł znaleźć sobie ujście.

- Przepraszam - mruknął po chwili Clarkham. Obszedł Michaela i stanął w drzwiach. - Wciąż trudno mi

zdecydować, kim jesteś.

Michael potrząsnął głową. - Nie jestem czarownikiem, jeśli o to panu chodzi.

Clarkham uśmiechnął się ponuro. - Nieświadomi czarownicy są czasami najpotężniejsi. Ale nie zważaj na moje

bajdurzenie. Wskazał na biurko. - Ćwicz swój talent, kiedy tylko poczujesz natchnienie. Będziemy wszyscy

chłonnym audytorium.

Wyszedł zamykając za sobą drzwi.

Michael zrzucił z siebie szlafrok, nałożył flanelową piżamę leżącą obok łóżka i wpełzł pod prześcieradła. Podniósł

rękę, żeby zgasić światło. Każdy gest był tak obcy, a zarazem tak znajomy. Zasnął. I tej nocy śnił.

Rozdział czterdziesty trzeci

Róża zmieniła się w szkło. Leżała na toalecie, idealna w każdym szczególe, i gdy Michael jej dotknął, zadźwięczała cicho. Podniósł ją za łodygę i wsunął w wyłóg koszuli. Wystawała spod swetra wciąż słodko pachnąc.

Schodząc po schodach z trzema arkuszami papieru w jednej i wiecznym piórem ze złotą obwódką w drugiej ręce

uświadomił sobie, że wszystko, co działo się do tej pory, było mało ważne.

Leżąc w łóżku napisał pięć krótkich wierszy mieszczących się na jednym arkuszu. Były to bardziej wprawki niż

dopracowane utwory; testy własnych umiejętności. Wykazały, że jego talent nie wywietrzył. Jeśli już, to chociaż nie wykorzystywany systematycznie, nawet wzrósł.

Wyszedł przez drzwi balkonowe na patio.

Dzieweczkę młodą z Abisynii W wizji ujrzałem niegdyś ja: Cudownie ona na cymbałach Grała, a grając tak,

śpiewała, Jaka jest góra Abora.

Mora nie śpiewała jednak o górze Abora, lecz o rajskim pałacu zwanym Amhara. Michael wysondował ją delikatnie, a ona z uśmiechem i z niemal erotyczną gotowością odkryła przed nim swój splot kaskaryjskich słów. Clarkham

siedzący naprzeciw niej przy stoliku z parasolem zdawał się tego nie zauważać, albo go to nie obchodziło. Mora grała na instrumencie przypominającym lutnię przerywając od czasu do czasu, żeby dostroić na słuch strunę.

Nikołaj był już po śniadaniu i siedział na pomalowanej na biało ławce z kutego żelaza niedaleko niskiego ceglanego murka

* Przełożył Stanisław Kryński.

oddzielającego patio od ogrodu różanych krzewów. Biriego nie było.

- Śniłaś mi się w nocy - powiedział Michael do Mory. - Naprawdę? - Przestała grać.

- Śpiewałaś tak jak teraz, przygrywając sobie na lutni. - To pliktera - sprostowała. - A gdzie grałam?

Michael nie odpowiedział, Odwrócił się do Clarkhama i wręczył mu arkusz ze szkicami wierszy. Czy o to panu

chodziło? Clarkham przeczytał szybko wiersze i odłożył arkusz na stół. Sam wiesz, że nie.

- Skąd mam wiedzieć, czego panu trzeba?

Clarkham popatrzył nieruchomym wzrokiem na Michaela. Nikołaj poruszył się niespokojnie na ławeczce. Za

różanym ogrodem, na drugim krańcu czarnej marmurowo-lodowej posadzki, pod ścianą kopuły stali Harka, Bek, Tik i Dour. Było ich zdecydowanie zbyt wielu, by Michael mógł im stawić czoło, gdyby połączyli siły...

Staralem się ci pomóc zeszłego wieczora powiedział Clarkham.

Zesłał mi pan sen. Niewiele to pomogło. Na krótką chwilę Michaelowi zrobiło się żal Izomaga.

Clarkham roześmiał się piskliwie. - Miałem do czynienia z o wiele większą- liczbą pieśni władzy niż ty,

młodzieńcze.

- Nie potrzeba mi sugestii podsuwanych w czasie snu. Mam ich wystarczająco wiele od innych.

- Od Tonna? Michael skinął głową. - I od kogo jeszcze?

- Nieważne. Odrzuciłem je wszystkie. Mam teraz własne koncepcje. - Ujrzał wyraziście swój obraz; spada

swobodnie, żyje dla własnego celu. Przepęniało go poczucie siły.

Była to siła bomby.

Zapoczątkował ten proces Arno Waltiri. Poprowadziły go dalej Żurawice i Lamia Lamia, jak się domyślał,

nieświadomie; wykuwały Michaela swoimi młotami. Podróż wyzarzyła go i wypełniła niezbędnymi obrazami -

obrazami, które przetworzył nie do poznania. Sam Clarkham nastawił zapalnik czasowy snem zesłanym w nocy -

snem naiwnym, tak dokładnie pozbawionym tego, co było konieczne.

- Jakiś ty pompatyczny - powiedział Clarkham. - Jesteś tylko chłopcem. Ile ty żyjesz - szesnaście, siedemnaście ziemskich lat? Ja jestem starszy od miasta, w którym się urodziłeś.

- Gdziekolwiek się pojawiłeś, pozostawiałeś po sobie nieszczęścia i rozczarowania. Nawet na początku... kiedy pracowałeś dla Malnu. - Był to tylko domysł, ale najwyraźniej trafny.

Oczy Clarkhama zwęziły się, a jego dłonie zacisnęły w pięści na blacie stolika.

- To ty byłeś tą osobą z Porlock, prawda? - ciągnął Michael. - Maln wysłał cię, byś przerwał Coleridge'owi.

Wykonałeś to zadanie, ale potem zacząłeś się zastanawiać, czy Mieszaniec nie może czasem służyć Sidhom, a

jednocześnie ubijać przy tym własnego interesu. I nie dawało ci spokoju, co napisałby Coleridge, gdybyś mu nie przerwał...

Clarkham wstał.

Wiele lat później, kiedy dorobiłeś się własnej magii, próbowałeś nakłonić Emmę Livry, by

zatańczyła dla ciebie pieśń. Musiałeś być wtedy bardzo blisko celu, bo sprowokowałaś Taraxa i Maln do spalenia jej.

- Kochałem ją - powiedział Clarkham, a w jego głosie zabrzmiał groźny pomruk. Mora zerknęła na niego i szybko odwróciła wzrok.

- Z kim jeszcze nawiązałeś kontakt? - spytał Michael. I o ile lepiej byłoby dla nich, gdybyś po prostu dał im spokój?

Nie licząc, oczywiście, Arno.

- Czy wiesz kim był... jest Waltiri? - warknął Clarkham. - Nie - przyznał Michael. Właściwie nie chciał nawet wiedzieć.

- Jego lud, to ptaki, Michaelu. Cledarowie. To on mnie zwiódł, a nie ja jego. Przed wiekami odnalazłem drogę do Królestwa, ale to jego muzyka otworzyła przez mój dom przejście, którego nie potrafiłem zamknąć. To on ściągnął

na mnie uwagę w Królestwie i sprowadził na mnie Sidhów, żeby zniszczyli mój dom i wzięli w niewolę moje żony.

To jego rodzaj nauczył Sidhów, Jak wykorzystywać muzykę... a on utwierdzał mnie w przekonaniu, że to ja panuję nad sytuacją. On był magiem, chłopcze, ostatnim ze swego ludu. Tobie pozostawiam ocenę, jak długo

czekał na tę chwilę i gdzie się teraz znajduje. I jak odpierałem ataki jego i Tonna.

Rozpostarł ramiona i ziewnął, żeby rozładować napięcie. Proponuję przerwać tę absurdalną rozmowę. Będziemy

mieli dosyć czasu na dyskusje o motywach i drobnych przewinach po ukończeniu pieśni. A znam cię, chłopcze, na tyle dobrze, że bez reszty wierzę w konieczność dokończenia jej przez ciebie. Jest już w tobie, nieprawdaż? Bez względu na to, czy mój sen z ostatniej nocy pomógł, czy nie.

- To był sen z opery komicznej - powiedział Michael. - Czy sądzisz, że to właśnie próbował wyrazić Coleridge?

Przez drzwi patio wyszedł Biri niosąc tacę ze szklankami i glinianym dzbanem ociekającym skroploną parą.

Clarkham zmarszczył brwi i machnął ręką na znak, że nie chce pić. - Mam do niej prawo powiedział. Zawsze znałem ogólny zarys tej pieśni, a brakowało mi tylko drobnych szczegółów.

- A może tajemnica pieśni polega na tym, jak transformują ją jej nosiciele.

- Teraz zaczynasz mówić niezrozumiale - powiedział Clarkham siadając znowu na swym krześle.

- Co to był za sen? - spytał Nikołaj.

- Znajdowałem się w pierwszej kopule rozkoszy. Śniła mi się Mora grająca i śpiewająca. Ja byłem poetą - dzikim, nieokrzyszonym poetą żyjącym w lasach otaczających pałac. Mora była na służbie u cesarza. Kochał się w niej

nadworny astrolog, czarownik - i ja też ją kochałem. Spotykaliśmy się między cedrami. Astrolog stał się zazdrosny.

Doradził Kubli, żeby ten wysłał flotę na podbój Japonii, Ośmiu Wysp. I nasłał bandę werbowników, która pojmała dzikiego poetę i wcieliła go do floty najeźdźczej jako galernika.

Nikołaj słuchał oczarowany. Mora złożyła ręce na blacie stolika. Biri postawił tacę i napełniał szklanekę. - I co dalej?

spytał Nikołaj.

- Potem astrolog, wiedząc, że flota zostanie posłana na dno morza, a razem z nią jego rywal, zaplanował swój ślub z abisyńską dziewczyną. Zerwał się wielki wichur i zatopił statki cesarza, tak jak to przewidział astrolog, i potonęli wszyscy znajdujący się na ich

pokładach. Ale młody poeta był tak silny duchem, że nie można się go było pozbyć nawet po śmierci. Powrócił, by nawiedzać pałac.

- Czy to chciał opisać Coleridge? - spytał Nikołaj.

- Nikt nie wie, co on chciał opisać - odparł Michael. - Do czego w ogóle jesteśmy ci potrzebni? - zwrócił się do Clarkhama. - Dlaczego nie dokończysz pieśni sam?

- Izomag dobrze wie, że w pieśni władzy istotna jest forma odezwał się Biri. - By nadać jej tę formę, trzeba poety.

- No właśnie - przytaknął Clarkham.

- I uważasz, że potrafię dorównać Coleridge'owi? Clarkham zastanawiał się przez chwilę, po czym pokręcił

przecząco głową. Brak ci jego liryzmu, chłopcze. Ale mimo to możesz nadać jej formę. Mimo to możesz dokończyć pieśń.

A zatem odmawiam powiedział Michael z wielkim trudem dobywając głosu. Nie zasługujesz na władzę. Porzuciłeś

swe żony, porzuciłeś Emmę Livry. Ilu jeszcze skrzywdziłeś? Arno potraktował cię po prostu tak, jak na to

zasługujesz - tak, jak ty traktowałeś innych.

- Ten biedny, smutny Niemiec - odezwała się Mora spuszczać wzrok.

- Nie ponoszę żadnej odpowiedzialności za Mahlera - bąknął Clarkham nie spoglądając na nią. - Za jego dziecko również. To nie było wcale moje dzieło. - Uśmiechnął się do Michaela, znowu spokojny i przyjazny. - Wiele

przeszedłem, mój chłopcze. Nie wolno mnie teraz zatrzymywać.

- A więc brnij dalej beze mnie. Zesłałeś mi sen. Nadaj mu formę. Jeśli ja nie mogę się równać z Coleridge'em, może ty to potrafisz.

- Nie jestem poetą.

- Nie! - krzyknął Michael. - Jesteś pasożytem. Pożadasz władzy, na którą nie zasłużyłeś.

- W pewnym sensie jestem symbiontem - przyznał Clarkham. - Współdziałam, inspiruję, Podejrzewam, że

znajdujesz się pod zbyt wielkim wpływem Tonna, by w pełni pojąć moje związki z artystami.

- Tonn powiedział, że pewnego dnia znowu rządzić będą poeci. Nie pozwolę rządzić tobie.

Clarkham odetchnął głęboko i z cichym gwizdem wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. - Godna uznania

odwaga. I głupota. - Wskazał na Nikołaja. - Spójrz na niego.

Trup zajmujący krzesło Nikołaja był masą drobno posiekanej skóry i mięśni. Pod krzesłem zebrała się kałuża krwi.

Clarkham podniósł palec i Nikołaj przywrócony został do życia. - Nie musiałbym stosować takich prymitywnych

metod - powiedział Clarkham - gdybym miał do czynienia z godnym siebie przeciwnikiem. Ale nie mam. Tak więc

mielibyśmy za sobą rozmowy wstępne. Stwórz końcową część pieśni, bo jak nie, Nikołaj stanie się tym, co przed chwilą widziałeś. Ale nie teraz. Daliśmy się ponieść emocjom. Trzeba czasu na refleksje, na przygotowanie.

- Nie potrzebuję czasu - powiedział Michael. Dał Clarkhamowi ostatnią szansę, a Izomag odwzajemnił się mu

pogrózką. Mogę napisać to teraz.

Nalegam powiedział Clarkham.

Mora z beznamiętnym wyrazem twarzy przyglądała się krzewom róż w ogrodzie. Nikola, tak jak poprzedniego

wieczora, patrzył tylko skołowany i zdezorientowany. Nic nawet nie poczuł.

- Niech Mora przejdzie się z tobą i z twoim przyjacielem po okolicy. Wiele tu do oglądania. Kopała rozkoszy była nadzwyczajną budowlą i miałem wiele kłopotów z jej odtworzeniem. Byłoby szkoda, gdyby owoc mych wysiłków

przestał istnieć bez pełnego wynagrodzenia takiego trudu. - Jego uśmiech był niemal słodki. - Zakończymy nasz mały taniec później. Piękny mamy dzień. Precz. - Pomachał ręką w kierunku Mory i oddalił się od stolika.

- Nie wolno ci go nie doceniać - powiedziała Mora prowadząc Michaela i Nikola po marmurowo-lodowej

posadzce. Izomag jest potężnym czarodziejem.

- Bez wątpienia - przyznał Michael.

Odwróciła się i spojrzała nań z pełnym bólu wyrazem twarzy. Czemu więc go drażnisz?

- Bo od wielu miesięcy sądziłem, iż on jest tym, który wskaże mi drogę do domu i pomoże ludziom w Królestwie.

Teraz widzę, że chodzi mu tylko o zdobycie władzy. Chce być drugim Adonną.

Mora pokręciła głową powoli, niemal z politowaniem, nie spuszczać wzroku z twarzy Michaela. - Nikt nie jest w stanie ogarnąć całości. Tak mawia Izomag i chyba ma rację. Zawsze istnieje tajemnica i element zaskoczenia.

- Poza tym nic mi nie zrobi, dopóki nie uzyska ode mnie tego, czego chce. I - Michael poczuł w sobie brzęczenie szerszeni nic mnie to już nie obchodzi. Jestem gotów mu to dać. Idźmy więc na tę wycieczkę i miejmy to wreszcie za sobą.

Mora przekrzywiła głowę. - Mówisz, że poeta z Ziemi, mając okazję przejścia Xanadu od końca do końca, nie jest tym zainteresowany?

Michael poczuł się zakłopotany. Taka sposobność na pewno już się nie powtórzy; nie był jednak pewien, czy

cokolwiek może teraz wywołać w nim entuzjazm. No, może - bąknął.

- No to chodźmy. Zaczniemy od szczytu...

Obok kopały, pośrodku idealnego kręgu cedrów, znajdowały się marmurowe schody wiodące w dół, w głąb

wzgórza. Mora zdjęła latarnię z brązowej płyty wpuszczonej w ścianę i zaczęła schodzić pierwsza. Nikolaïj ruszył tuż za nią, a Michael podążał kilka kroków z tyłu.

- W czym usługujesz Clarkhamowi? - spytał Michael Morę. - Robię, czego sobie życzy - odparła ledwie dosłyszalnie w poświście wiatru hulającego w schodni.

- A jakie są jego życzenia? - naciskał Michael świadomy, że dotyka czułych miejsc.

- Kiedy przybył Izomag, nie było tu nic prócz morza. Maln ustąpił mu te tereny na mocy Paktu. Był przybity i

wyczerpany. Nie miał nic. Stracił wszystkich, których kochał; trwali przy nim tylko Shahpur i Harka, ale wtedy niewiele miał z nich pożytku. Zachował moc, ale opuściło go...

Podniosła w górę rękę i Michael poczuł, jak go sonduje w poszukiwaniu właściwego słowa.

- Natchnienie? - odpowiedział.

- Tak. Ja również byłam zagubiona, odrzucona, bo pokochałam człowieka. Wędrowałam przez morze i Izomag mnie

przygarnął. Nie był już sam i powróciła mu siła wyobraźni. To wtedy właśnie rozpoczął prace nad kopułą rozkoszy.

- Jak Izomag stworzył to wszystko? - spytał Nikolaïj, gdy schodzili w mrok i chłód.

- On tego nie stworzył - odparła Mora; jej głos odbijał się echem. - Pieśń miała już wiele postaci. Przyjął po prostu pieśń, jaką była, i pozwolił jej ukształtować Królestwo w granicach jego terytorium.

Michael namacał ścianę wyciągniętą ręką; była teraz z lodu pociętego cieniutkimi żyłkami skały. Przed nimi

zadudnił ryczący grzmot. Stopnie wibrowały w rytm to narastającego, to opadającego dudnienia.

- Królestwo wzniesione jest na lodzie - wyjaśniła Mora ale od tego lodu dzieli nas jeszcze wiele kilometrów. Tego lodu, zimna pośród mroku, wymaga pieśń. Lód topi się tworząc rzekę. A rzeka...

Skręcili za róg i opadła na nich błękitnozielona poświata. Z gładkich, lśniących ścian lodu kapiała wilgoć. Rynnami po obu stronach schodni płynęły strumyczki wody. - Rzeka wpada do morza - podjęła Mora. - Przedtem nawadnia

glebę, dzięki czemu lód przyczynia się do podtrzymania życia - z zimna prowadzi do ciepła. To też jest częścią pieśni. O pewnych rzeczach nie wspomina żadna postać pieśni. Przystanęła i pokazała coś palcem. Głęboko w lodzie tkwiły pozwijane wydłużone ryby o głowach kotów i jeleni. Michael przyjrzał się im uważniej i stwierdził, że nie są prawdziwymi stworzeniami, lecz złudzeniami utworzonymi przez malutkie pęknięcia; spojrział jeszcze raz i nie

zobaczył już ryb, ale zamrożone trzciny z oczami na czubku. - Pieśń musi być zawsze czymś więcej, niż potrafi to przekazać wykonujący ją śpiewak.

Stopnie kończyły się na poziomej posadzce i szli teraz bezpośrednio po lodzie. Nikolaïj potknął się o wąską szczelinę i Michael chwycił go za ramię. - Niebezpiecznie tu dla turystów! - skomentował kwaśno Rosjanin.

Otoczający ich lód pojaśniał od bladego, niebieskozielonego odcienia, bardziej żywego niż martwa zieleń grubego szkła. Mora prowadziła ich do przedłużenia tunelu. - Chodźcie - powiedziała wskazując na szeroki lodowy most.

Ponad nim nisze w lodzie i marmurze formowały zadziwiające ornamenty, a roślinne wachlarze minerałów mieszały się z przezroczystą wodą. Poniżej, z prawej strony zbierała się woda z topniejącego lodowca, by runąć kaskadą z lewej. Zagłębienie z wodą miało lekko licząc pięćset metrów średnicy. Kawały lodu widziane z daleka nabierały teraz właściwych proporcji; były wielkości domów, nawet budynków. I nie wszystkie z tych kawałów były lodem.

Tak jak opisywał to Coleridge, w zamęt ten wmieszały się odłamy skał. Lodowy most - poskręcany, wygięty w

pałak, najwyraźniej naturalnego pochodzenia, a mimo to wygodny - bez drgnięcia przyjmował na siebie ciosy rwącej dołem kry i głazów.

Weszli na przęsło. Nikolaïj niechętnie, obawiając się ześlizgnięcia z obłej powierzchni. W powietrzu unosiła się woń zimna i mgiełki i wypełniał je zgiełk: piskliwe zgrzyty i pojękiwania, dudniący prysznic, głębokie i nieodparte wrażenie ruchu.

Przedostali się przez most i weszli w wąski, nisko sklepiony tunel znowu wydrążony w podłożu składającym się pół

na pół z lodu i skały.

U wylotu przeważała skała. Wynurzyli się w rozproszone, przytłumione światło głębokiej rozpadliny w stoku

wzgórza „romantycznej przepaści” Coleridge'a. Jeszcze głębiej, setki metrów poniżej nie ogrodzonej półki skalnej, na której stali, tryskała woda ze stopionego lodowca unosząca w swej spienionej toni bryły lodu i skały. Drzewa uformowały nad półką baldachim błyszczący kropelkami wodnej mgiełki. Nikolaïj zadygotał.

Podążając półką dotarli nad krawędź przepaści, skąd roztaczał się widok na ogrody. Pod ciepłym niebem, niczym leniwy mosiądz, wiła się zakolami rzeka. Schody po drugiej stronie przepaści pięły się ku oczekującej je kopule.

Michael popatrzył w dół, na podnóże wodospadów i na kry podrygujące w głębokim tworzącym się tam rozlewisku.

- Teraz zejdziemy do ogrodów - powiedziała Mora. Michael przytrzymał jej dłoń na swym ramieniu.

- Tracimy tylko czas - powiedział.

- P r o s z ę. - W jej głosie było błaganie.

- Albo zrobię to, po co mnie tu sprowadzono, albo odejdę teraz - powiedział stanowczo Michael. Mora cofnęła się i złożyła

ręce na piersi. Nikolaï stał niepewnie z boku z zatkniętymi za pas kciukami.

- Dlaczego pragniesz przyspieszyć bieg spraw? - spytała Mora. - Czasu mamy dużo.

Michael spojrział na opadającą w dół ścieżkę i zobaczył Harkę i Shahpura siedzących na przydrożnych głazach.

Drogę odwrotu miał odciętą. - No to prowadź - zdecydował.

Pusty Sidh i spowity w biel człowiek towarzyszyli im przez resztę wycieczki nie odzywając się ani słowem. Michael mało interesował się wspaniałymi widokami, labiryntami perfekcyjnych i wiecznie kwitnących ogrodów,

delikatnymi, podobnymi do klejnotów zwierzętami Sidhów. Wczesnym popołudniem Nikolaï oświadczył, że jest

zmęczony i głodny, wspięli się więc na górę wzdłuż przeciwległej krawędzi przepaści i znaleźli znowu przed

steatytową bramą. Harka, Michael i Shahpur zostali trochę z tyłu przed wejściem do jedwabnego namiotu. Na sygnał

Harki Michael zatrzymał się. Podszedł do nich Shahpur i skinął Sidhowi okutaną w materiał głową.

- Uważamy za stosowne cię ostrzec - powiedział Shahpur do Michaela. - Izomag nie będzie tolerował dalszego

oporu. Harka westchnął. - Jest tu od dawna, niewiele ma do roboty

i nie wszystkie z jego przemyśleń są jasne. Wciąż przepełnia go wielka gorycz.

- Jest potężny - dodał Shahpur. - Wyrządzi ci wielką krzywdę...

- Wiesz, że my jesteśmy inni - ciągnął Harka. - Izomag nie zawsze był zadowolony z mych usług. Ukarał mnie.

- I mimo to służysz mu nadal?

- Nie mamy wyboru. Ostrzegamy cię teraz tylko dlatego, że on uważa, iż możesz się od nas czegoś nauczyć.

Mówimy ci to tylko dlatego, że on życzy sobie tego. Uciekłem z Clarkhamem z Malnu; byłem jego współnikiem.

Pokłóciliśmy się i on okazał się silniejszy. Wylał ze mnie moje ja, jak wylewa się wino z dzbana. We mnie jest tylko pustka. Shahpur...

- Niegdyś Izomag przepełniony był nienawiścią, a ona spłodziła w jego mózgu chorobę, która jest jak robaki w

gnijącym mięsie odezwał się Shahpur. - To uczyniło go słabszym, rzucił więc cień. Ale ten cień był zbyt silny, by po prostu zaniknąć. Musiał zrzucić

~ I ten cień na kogoś. Wybrał mnie. Noszę teraz jego dawną

zgniliznę. - Potraktował nas w taki sposób - podjął znowu Harka a przecież nie sprzeniewierzyliśmy mu się nigdy w znaczący sposób. Jeśli jednak sprawisz mu zawód, odmówisz uczynienia tego, czego najsilniej pragnie, potraktuje to na pewno jako wielkie sprzeniewierzenie. Choć jestem pusty, drzę na samą myśl o tym, co zrobi tobie i twemu

towarzyszowi.

- A więc nie zawiodę go - powiedział Michael. - Dam mu to, czego chce.

- Co utracili ludzie i Sidhowie rozdzielając się? - spytał Clarkham, gdy skończyli wczesny obiad. Bek i Tik

sprzątnęli talerze, a Mora przyniosła tacę z kieliszkami brandy. - Jedni utracili magię, a drudzy poczucie kierunku.

Połączyć ich znowu co nieuchronne - a skorzystają na tym i jedni, i drudzy. Tak, ale jak pogodzić ich bezboleśnie?

Kto rozumie zarówno Sidhów, jak i ludzi? - Clarkham uniósł kieliszek zapraszając Michaela, żeby uczynił to samo. -

Nie Tonn. Nie ten stary, zgrzybiały mag tracący kontrolę nad wszechświatem, który sam stworzył. Nie Waltiri. Nie Tarax, ten twardy i rzutki Sidh nie żywiący ani krzty współczucia dla dawnych nieprzyjaciół. Tylko Mieszaniec.

Brandy stanowiła najwyraźniej jeden z wieczornych rytuałów Clarkhama. Michael sączył powoli łagodny w smaku,

ale mocny trunek. - W jaki sposób? - spytał.

- Jak ich zjednoczę? Michael skinął głową.

- Bardzo ostrożnie. Co łać pierwsze, wodę czy kwas? Stary alchemiczny problem...

- Zawsze dolewa się kwasu do wody - powiedział Michael przypominając sobie lekcje chemii prowadzone przez

panią Perry. - Tak. Ja porównałbym Sidhów do kwasu, a ludzi do wody...

Sprowadzenie tutaj ludzi nie przyniosło niczego dobrego. Sidhowie po prostu odrzucili ich i odizolowali. Ale wziąć tak paru Sidhów i przenieść ich z powrotem na Ziemię... może rezultat będzie lepszy.

- Dobrze nam tam i bez nich - mruknął Michael Zaprzeczając własnym słowom, zanim wypowiedział je na głos. Nie potrzeba nam Sidhów.

- Ziemia to bagno, Michaelu. Nikt nie potrafi tam zagłębiać w umysły innych, a to czyni ludzi złymi i samolubnymi.

Wszystkie cuda, jakie czynicie, są cudami topornymi i niebezpiecznymi, nie ma w nich poezji. Toczyście batalie, które Sidhom nie przyszyby nawet do głowy - przeciwko chorobom, klęskom żywiołowym, przeciw własnemu

zagubieniu.

- I ty chcesz nadzorować to wymieszanie ras?

Clarkham skinął głową. Tak. Czy przychodzi ci na myśl inny tak przygotowany do tej roli Mieszaniec z tyłoma...

doświadczeniami w zanadrzu?

Michael potrząsnął głową. - Ty byłbyś tym światłym, łaskawym mistrzem.

Za Clarkhamem stała Mora z dłońmi spoczywającymi na jego ramionach. Clarkham przykrył jedną z nich swoją

dłonią. Samolubnym, jak każdy.

Oczy Michaela przesunęły się na Harkę trzymającego się na skraju patio.

- To nie byłoby łatwe zadanie. Frustrujące. Stresujące zasugerował Michael.

Wczesnowieczorne światło i blask papierowych lampionów odbijały się od kieliszków rozsiewając po patio

łagodne refleksy. Clarkham pochylił się w przód i rozpostarł ręce na uprzątniętym

stole. Po między jego rękami pojawił się obraz - Ziemia tak bezpośrednia i realna, jaką zawsze widział ją Michael, odtworzona do najmniejszego szczegółu. - Trzeba będzie tylko położyć na tym pieśń... przy współpracy ludzi i

Sidhów i pod kierunkiem stosownego przywódcy - mnie - znikną wszelkie nieszczęścia. Świat stanie się znowu

rajem, jakim był niegdyś...

- Amhara - wyszeptała Mora ciemniejąc na twarzy do odcienia wiśniowego brązu. .

Glob pomknął spomiędzy dłoni Clarkhama w kierunku Michaela. Michael nie uchylił się. Obraz rozszerzył się,

wypełnił całe jego pole widzenia i Michael odniósł wrażenie, że mknie przez chmury nad morzami koloru wina, nad szerokimi białymi plażami, nad

dżungłami i postrzępionymi górami o ostrych szczytach. Wdychał czyste, orzeźwiające powietrze wypełnione

przyjemnością i wyzwaniem. Obraz znikł jak pękająca mydlana bańka, ale wrażenie pozostało.

- Młodość - westchnął Clarkham. - Świat znowu młody, wolny od winy, oczyszczony z grzechu i nienawiści.

- A ty u steru - powtórzył Michael. W tym momencie zarzucił swoją wstrzymywaną do tej pory sondę. Clarkham

zablokował fachowo wszystko prócz wysuniętego punktu zaczepienia. Ten fragment powrócił do Michaela krótkim,

przerazającym wrażeniem wnętrza Clarkhama - i uświadomieniem sobie. Wykorzystaj to.

Zepsucie, nienawiść, niemal tak samo odrażające i intensywne, jak we wnętrzu Shahpura. Jak często zarzucał

Clarkham swój najmroczniejszy cień? Jak często odradzała się jego wewnętrzna szpetota? Nosił w sobie złość, której nie można było wykorzenić. a tylko zredukować, by znowu się odrodziła.

Shahpur był człowiekiem; nie chroniona dusza jest lepem na zrzucane cienie, zwłaszcza w Królestwie.

Gdy Michael da Clarkhamowi, czego ten chce, Clarkham odda mu to, czego nie będzie już mógł w sobie wygodnie

pomieścić. Duchową wydzielinę. Czy zdoła to odeprzeć?

A dlaczego tak surowo go osądzam? Czyż i we mnie nie ma tego mroku, tego plugastwa?

Clarkham nie zareagował na sondowanie. - Tak, będę przewodził - powiedział. Minęło zaledwie kilka sekund. -

Kogóż innego byś zaproponował?

- Nikogo - odparł Michael.

- Odłóżmy więc na bok nasze waśnie. Ty jesteś w posiadaniu klucza do stworzenia :raju na Ziemi, do wsparcia mnie w ponownym zjednoczeniu zbyt długo już podzielonych ludów. Współpracujmy. Przyświecają nam te same cele. -

Clarkham skinął na Morę, żeby przyniosła pióro i papier. Weszła do domu i wróciła po chwili z przyborami do

pisania kładąc je przed Michaeliem. - I coś specjalnego do picia - zarządził Clarkham.

Michael sięgnął po dwa pozostałe arkusze papieru i zaczął pisać. Wieczne pióro kładło atrament na gładkiej

powierzchni kredowego papieru płynnymi, grubymi liniami.

Gdy troje koła go ściskają

Z Awernu, żeby straszyć, wstają Duchy wędrowców, co pomarli Jego Królestwo cienia schodząc...

To była tylko rozgrzewka. Wpatrzył się w białą kartkę odrywając się myślami od otoczenia. Pomyślał, że

przypomina to rzucanie cienia; potrafił wydobyć słowa kryjące się w jego wnętrzu, nadać im kształt, przelać na papier. A miały to być słowa zgubne.

Biri doniósł znowu gliniany dzban i grube, masywne szklanki. Rozlał do nich przezroczysty płyn o kremowym

kolorze i rozdał wszystkim napoje.

Clarkham pociągnął łyk ze szklanki podanej mu przez Biriego i wzniosł toast pod adresem Michaela. - Prawdziwe rajske mleko powiedział.

Potrójnym go oplećcie kołem...

Napój był słodki jak mleko i piekący, z alkoholowym posmakiem. W sumie był przepyszny. - To kumys -

powiedział Biri. - Napój cesarza Kubli.

Kumys zaczął działać na Michaela niemal natychmiast. Napisał dwie ostatnie linijki z fragmentu Coleridge'a:

Bo on się miodowicą raczył

I mleko pił za rajskim stołem.

I wtedy spłynęło to nań. Błyskało, iskrzyło i przychodziło tak szybko, że ledwie nadązał z zapisywaniem. Wiedział, że nie będzie mu dana druga taka szansa. Starał się uchwycić tyle, ile zdoła, i tryumfował. Nie istniało żadne zewnętrzne źródło tego natchnienia; czerpał je z wnętrza, tylko z siebie samego, a raczej z tej cząstki siebie, która łączyła go z Coleridgem, z Yeatsem, ze wszystkimi wspaniałymi poetami. Była to chwila, kiedy nie istnieje nic prócz Słowa i która nadchodzi idealnymi falami.

Lód oto, wieki przeciekając, Jedwabny podkopuje pałac,

Pod cedry z trzaskiem upadając, Jakby lat upływ złością pałał

I wielkie sny chciał zdusić, miażdżąc Mury, ogrody, złote wieże,

Potęgi Chana krusząc leże...

Ze dwadzieścia linijek przemknęło tak szybko, że nie zdążył ich zapisać. Nie były jednak najważniejsze.

Z bezańskim sterem przez strome brnąc fale, Zaryły w piasek jego galeony.

Ty, Chanie, który Czarami cukrzony Spożywasz owoc, znikasz, gdy wytrwale Proszą, byś został, słuchaj, co łagodny Krytyk, ta młoda o zmierzchu niewiasta, Śpiewała, słodkie potracając struny. „Pałac - śpiewała - wieże i ogrody, Żalu z twej duszy przegnać nie zdołają. Ani wiecznego na pieśni .wzniesć miasta”.

Wody w Pieczarach z gromkim rykiem wstają...

Ziemia zadrzała. Clarkham przytrzymał się stołu. Najwyższe góry przenosząc potopem,

I Chana krwawe rzezie zatapiają Sklepionym fontann wirujących stropem.*

To nie był koniec, do końca było jeszcze daleko, a słowa nie przemykały tylko przez jego głowę, by zniknąć. Pieśń została stworzona i ukończona, i Michael wiedział od razu, że nie jest to Pieśń Władzy, której poszukiwał Clarkham.

Nigdy nią nie była. Od samego początku, kiedy polecili Lin Piao Tai zbudowanie pałacu, występujący w niej

element zniszczenia był wyraźny.

Peomat Coleridge'a i wstawka Michaela były po prostu przynętami, pułapkami, które miały zwabić i zniszczyć

takich jak Clarkham, stojących na drodze ostatecznym zwycięzcom. Waltiri, mag ptaków Cledar, wysłał Michaela; współpracowały z nim Żurawice i Kapłanka Godzin; Tonn i Maln przepuścili go.

Clarkham porwał arkusze, gdy tylko Michael przestał pisać. Przeczytał je wytrzeszczając oczy. - Zdrajca - wycedził.

- To nie jest...

* Przełożył Łukasz Nicpan.

- Skończyłem. Nie ma tu wszystkiego, ale ja ją skończyłem powiedział Michael czując się nagle wyczerpany.

Clarkham zmiął stronice i cisnął je na stół. Mora sięgnęła po plikterę leżącą obok jej krzesła. Clarkham odwrócił się do niej, ale nie spojrzała nań. Nikolaaj cofnął się od stołu, a ziemia znowu zadrżała. Z przepaści, do koryta płynącej teraz szybciej rzeki wystrzelił jak z katapulty ładunek lodu. Clarkham obrócił się na pięcie, żeby spojrzeć na Biriego, który przygląda się mu nieubłaganie.

- To ty! - warknął Clarkham. - Ty jesteś zdrajcą. Nadal trzymasz z Taraxem.

- Nie było żadnej różnicy zdań co do misji tego chłopca powiedział spokojnie Biri. Opowiadali się za nią Tarax i Adonna, jak również Rada Eleu. Wszyscy zjednoczyli się przeciwko tobie. Nawet ty ją popierałeś. Chłopiec miał już zawrócić, ale sam go tu sprowadziłeś. Nie chciał kończyć pieśni, ale zmusiłeś go do tego. Sam jesteś sobie winien, Izomagu.

Twarz Clarkhama poczerwieniała z wściekłości. Ręce mu drżały nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie trysną swą potęgą.

- Lepiej odejdz - szepnął Michael do Nikolaaja. Rosjaninowi nie trzeba było tego powtarzać dwa razy. Przeskoczył

przez murek, przemknął przez ogród róż i zajął pozycję przy marmurowo-lodowej posadzce. Ziemia zadrżała i po

marmurowej powierzchni za jego plecami pomknęły drobne rysy plując w górę okruchami kamienia. Michael schylił

się, żeby podnieść zmięte kartki. Rozprostował je i schował za plecami.

- Co mam zrobić z wami wszystkimi? - zapytał Clarkham. Michael współczuł mu teraz - i bał się go - bardziej niż kiedykolwiek.

Biri wziął Morę za rękę. Odwrócili się do Izomaga i zeszli po ceglanych stopniach na trawnik. Światło przenikające przez jedwabną kopułę czerwieniało, a materiał marszczył się pod gwałtownym

naporem zrywającego się wichru.

Clarkham zwrócił się do Michaela, który jako jedyny pozostał na patio. - Wynoś się! - krzyknął. Czarny marmur popękał ze zgrzytem wzdłuż żyłek lodu. Murawa zafalowała odsłaniając bruzdy gleby. Róże zatrzęsły się.

Większość opalikowanych krzewów przemieniła się w szkło; kwiaty roztrzaskały się, a ich odłamki spadły na

ziemię.

- WYNOŚ SIĘ!

Michael odwrócił się plecami do Izomaga czując, jak ciarki przechodzą mu po krzyżu. Był niemal pewien, że za

chwilę jego kości odarte zostaną z ciała, ale Clarkham koncentrował całą potęgę na ratowaniu pałacu przed

runięciem.

Z hukiem wystrzału z działa pękł jeden z zakrzywionych skupów oporowych. Przewracając się rozdarł kawał

jedwabnej powłoki. Popękały tynk i ceglane ściany domu Clarkhama. Odpadające odłamy roztrzaskały się o

ziemię. Jęczały w męczarniach belki konstrukcji domu.

Idąc przez trawnik i z trudem utrzymując równowagę, Michael usłyszał swoje imię wykrzykiwane przez Clarkhama.

Obejrzał się i zobaczył Izomaga stojącego w rozkroku na dwóch rozstępujących się fragmentach patio. Włosy

Mieszkańca sfrunęły mu z głowy. Jego dłonie i ramiona skwierczały energią.

Trzymał w górze wstrętnie rozjarzony palec.

Nie możesz odejść! wrzasnął przekrzykując tumult.

Z jego palców spęzły zwoje kleistego światła i rozprzestrzeniły się nad różanym ogrodem i trawnikiem. Opuściły się na Michaela tworząc serpentynową sieć utkaną z jasnozielonych pasm.

Michael poczuł na oczach ciepło, potem gorąco. Cień, który rzucił, był mrocznym, nieopisanie wstrętnym,

otaczającym go tworem. Oderwał się od swego cienia, przedarł przez sieć i skoczył na popękany marmur czując we włosach ładunek energii.

Jakże ten człowiek patrzy! - tłum by wołał. Blask w oku, włos na wietrze!...

Cień zawierał całą dyscyplinę Sidhów przekazaną mu przez Biriego, całą jej truciznę, jadownicie nieludzkie nonsensy o samotności i samodoskonaleniu się poprzez izolację. Była to filozofia zniechęconej, umierającej rasy i temu celowi służyła - nappełniła Michaela podstawową wolą niszczenia. Teraz nie była mu już do niczego potrzebna - najwyżej do obrony.

Clarkham przeskoczył w bardziej stabilne miejsce i pociągnął zieloną sieć ku sobie. Cień szarpnął się w niej, wydał z siebie dźwięk kruszonej skały i eksplodował. Ciemność poszarpała sieć i rozproszyła w płomiennym blasku

wypełniającym kopułę.

Clarkham wrzasnął coś w języku, którego Michael nigdy dotąd nie słyszał, po czym zarzucił kolejną sieć, tym razem intensywnie niebieską.

Michael odwrócił twarz i podniósł w górę poemat. Atramentowe linie uniosły się z kartek z sykiem i skwierczeniem.

Słowa strzeliły lancami ognia nad głową Clarkhama podpalając dom. W przeciągu sekund tylna ściana i pokryty

dachówkami dach przerodziły się w piec niegaszonego wapna, drewna i gliny. Pękły z hukiem szyby w drzwiach

balkonowych, a ramy pokurczyły się niczym poczerńiałe zapałki. W rosnącym skwarze strzelały w górę rozjarzone główne, od których zajęła się jedwabna powłoka kopuły.

Moje dzieło, moje dzieło!

Michael spojrział w dół i zobaczył Clarkhama biegnącego w stronę domu. Płomienie nie pozwalały mu się zbliżyć, ale on rozwinął z nicości arkusz lodu i wskoczył w ogień. Od narożników pawilonu nadbiegali na pomoc swemu

panu Harka i Shahpur. Za zwojami szaty Shahpura ciągnęły się pasma dymu.

Wibracje wzgórza i pałacu przerodziły się w muzyczne akordy. Michael biegł uchylając się przed spadającymi

strzępami płonącego namiotu. Dopiero za steatytową bramą uświadomił sobie, że to co słyszy, musi być

oryginalnym Koncertem Nieskończoności, takim, jak brzmiał on przed dziesiątkami lat.

Mora i Biri czekali na niego na trawniku, obok fundamentów kopuły. Kilka metrów za nimi usiłował utrzymać się na nogach Nikolaaj. Biri ruszył przodem skrajem przepaści, oddalając się od wzgórza i od ognia przerzucającego się z kopuły na sady i cedrowe lasy. Po drodze minęli Beka, Tika i Doura, którzy zdawali się wtapiać w dymiące drzewa.

Nie zatrzymywali się, dopóki nie stanęli przy granitowym strażniku strzegącym bramy w zewnętrznym murze. Biri wciąż trzymał Morę za rękę. Jej twarz była maską głębokiego żalu i wyrzutów sumienia.

Nikolaaj przestępował z nogi na nogę obserwując szalejącą pożogę. Jezusie, Jezusie! Spójrz tylko, co narobiłeś! W

życiu nie widziałem niczego podobnego! Kim ty, u diabła, jesteś, Michael?

Michael spojrzął na kartki, które wciąż ścisnął w rękę. Wszystkie litery zostały dokładnie, linijka po linijce, wypalone, a w dło

niach pozostały mu brązowe po brzegach strzępy papieru trzymające się tylko na marginesach.

Wzgórze zapadało się. Pożar był teraz kolumną dymu i ognia sięgającą nieba.

- Ten sen się skończył - powiedział Biri wyjmując zniszczone stronicę z rąk Michaela i rozrzucając je po trawie. -

Możesz teraz iść.

- Dokąd? - Do domu.

- A co się stanie ze wszystkimi innymi? Z ludźmi?

- To już zmartwienie Adonny. Ty spełniłeś swe zadanie. Jesteś wolny. - Biri przyjrzał się mu z pogardą. Zrzuciłeś z siebie dyscyplinę Sidhów. W naszych oczach jesteś teraz niczym.

Nie odkrywaj się. On jest tylko trybikiem w maszynie. Michael rozpoznał teraz ten głos; to był Waltiri. Poczł moc wciąż obecną w jego umyśle i uśmiechnął się do Biriego. Nie potrzebował spierać się z Sidhem.

Wzgórze znajdowało się teraz na jednym poziomie z równiną. Stamtąd, gdzie się wznosiło, tryskała bijącymi

wysoko fontannami woda rozlewając się w jezioro. Po powierzchni kołysały się leniwie lodowe kry. Pośrodku

jeziora utworzył się wir, a straszliwy odgłos zasysania słyhać było nawet spod zewnętrznego muru. Michael czuł

ucisk w żołądku.

- Clarkham popełnił jeden błąd - powiedział Biri, gdy patrzyli, jak znika jezioro. - Zaufał Sidhom. Te słowa głęboko dotknęły Morę. Cofnęła się i wyrwała mu swą dłoń.

- Nikołaju - odezwał się Michael. - Nic ci nie jest? - Nic - odparł Nikołaj. - A co?

- Coś się dzieje.

- To twoja brama spada poprzez Królestwo - powiedział Biri. - Spada w pustkę. Wracaj do domu, człowieku-dziecko. - Michael! Poczekaj!

Nikołaj rzucił się ku niemu, ale nic ciągnęła go mocno - długa nic jego istnienia w Królestwie. Trawa, skrawki papieru, mury, Biri i Mora, Nikołaj, wszystko odleciało od niego w gwałtownym wirze. Wzniósł się łukiem wysoko ponad Królestwo i pomknął ciągnięty z niewyobrażalną szybkością nad rzeką, ' stepami i lasami...

Niczym kometa śmignął przez Irall, Inyas Trai, przez nagi pagórek Żurawic i poprzez zrównaną z ziemią, spaloną wioskę Euterpe...

Poprzez dom Lamii, gdzie w cieniu kryła się wielka kobieta zapomniana teraz, kiedy jej rola się skończyła, przez wszystkich... Przez zapuszczone pole do łagodnie mrugającej bramy... Aleją, obok przygarbionej postaci strażniczki siedzącej pod drewnianą kratą altanki...

I w ciepły wiaterek wczesnego wieczora.

Wypełnionego szelestem liści zaścielających chodnik, zapachem świeżo skoszonej trawy i eukaliptusów, uczuciem złożonej i wiecznie zmieniającej się stałości.

Świerszcze. A w oddali warkot motocykla.

Rozdział czterdziesty czwarty

Stał pod uliczną latarnią świecą księżycowym blaskiem, skryty do połowy w cieniu wysokiego, brązowolistnego klonu. Cztery domy dalej, po przeciwnej stronie ulicy widać było tynkowany na biało dom Davida Clarkhama. Stał

tak opuszczony od czterdziestu lat, a na zaniedbanych trawnikach rosła wybijająca trawa; żywopłoty, nie przycinane przez nikogo, wypuszczały we wszystkich kierunkach gałązki; ściany były popękane i poplamione błotem. W

oknach frontowych nie było zasłon. Tabliczka „NA SPRZEDAŻ” na frontowym trawniku odchyłała się od domu

udając, że go nie zna.

Dom był pusty.

Michael odgarnął włosy z oczu i poczuł na policzkach meszek jedwabistego zarostu. Spojrzał w dół na sweter,

koszulę i spodnie, które dał mu do noszenia Clarkham.

W wyłogu koszuli tkwiła szklana róża. Wyjął ją i powąchał. Zapach ulotnił się.

Rozdział czterdziesty piąty

Michael siedział w salonie naprzeciw swych rodziców, a jego zaniepokojenie rosło wraz z przedłużającym się

milczeniem. Matka przestała na chwilę szlochać, a ojciec wpatrywał się w dywan z twarzą pełną bólu i ulgi,

zdradzając koniec udręki i początek bezsilnego gniewu. - Pięć lat to bardzo długo, synu - odezwał się w końcu. -

Mogłeś przynajmniej...

- Nie było sposobu. To było niemożliwe. Jak mógł im powiedzieć, co się wydarzyło? Nie przekona ich nawet

szklana róża. Ale żeby pięć lat! Miał wrażenie, że nie upłynęło nawet pięć miesięcy.

- Zmieniłeś się - powiedział ojciec. - Sporo podrosłeś. Nie możesz od nas wymagać, żebyśmy tak po prostu...

przeszli nad tym do porządku dziennego. Zamartwialiśmy się o ciebie, Michaelu. Byliśmy pewni, że nie żyjesz.

- Ojciec...

Ojciec uniósł rękę. - To musi potrwać. Gdziekolwiek byłeś, cokolwiek robiłeś. To musi potrwać. My... - Teraz w jego oczach pojawiły się łzy. - Nic nie zmieniliśmy w twoim pokoju. Meble, książki.

- Wiedziałaś, że jeśli żyjesz, wrócisz - odezwała się matka odgarniając z oczu pasma rudych włosów.

- Czy rozmawialiście kiedyś z Goldą Waltiri?

- Umarła pięć miesięcy po twoim... odejściu - powiedziała matka. - Przysłała ci list i przyszło też pismo od jakichś prawników. - Spuściła wzrok na dywan. - Tyle czasu, Michaelu.

- Wiem - mruknął, a oczy powilgotniały mu na myśl o ich bólu. Wstał z fotela i usiadł między nimi na kanapie, otaczając oboje ramionami, i obejmując się tak płakali razem i starali odsunąć od siebie ten dziwny okres, ten długi czas rozłąki.

Po obiedzie, po kilku godzinach zapoznawania się z nowymi wiadomościami i powtarzania domownikom, że nie da

się opisać tego, co się wydarzyło - przynajmniej nie teraz, kiedy nie dysponuje jeszcze wystarczającymi dowodami -

wszedł na piętro do swojego pokoju i stanął pośród książek i reprodukcji, obok biurka, z którego zupełnie już wyrósł.

Otworzył list od Goldy i kopertę z dokumentami od prawników dotyczącymi posiadłości Waltiriego i położył się na wznak z poduszką pod głową. Pisma Goldy było eleganckie, staroświeckie, wyraźne i prowadzone między

staromodnymi marginesami na papierze pocztowym w zielone linie.

Drogi Michaelu,

Nie powiedzianam twoim rodzicom, bo sama wiem tak niewiele. Arno - tajemniczy mąż! Nie bardzo nawet wiem,

jak opisać swoje z nim życie, chociaż było cudowne - Arno zażąda, abyś ty zajął się naszą spuścizną, kiedy ja połączę się z nim (czy mogę mieć na to nadzieję? A może działa tutaj coś potężniejszego?), co jak sądzę nastąpi wkrótce, bo znajduję się teraz w wielkim . stresie. Nie przejmuj się tym zbyt, Michaelu, ale stres ten w znacznej mierze bierze się z ukrywania przed twymi drogimi rodzicami, którzy są dla ~ mnie tacy mili, pewnych faktów. Ale co my im możemy powiedzieć - że posłuchałeś sugestii mego męża, i to wbrew jego ostatnim słowom, a może nawet życzeniom? Nie wiem, dokąd się udałeś, i nie jestem pewna, czy wrócisz, chociaż Arno najwyraźniej to wiedział.

Nie jestem taka stara, by można mi było wybaczyć zagubienie, jakie odczuwam, ale wybacz mi, drogi Michaelu, bo ja naprawdę je odczuwam. Jak również smutek, poczucie znajdowania się w sytuacji, do której jestem zupełnie nie przygotowana ani pod względem wiedzy, ani zdolności pojmowania. Może po twoim powrocie będziesz już

wiedział, dlaczego Arno wysunął to żądanie i co masz zrobić z naszym majątkiem, który wcale nie jest mały.

Będiesz również posiadaczem praw do dorobku Arno. Nie ma żadnych innych szczególnych klauzul, a wszystko

zostanie wyjaśnione szczegółowo w piśmie od naszych ,prawników. Drogi chłopcze. Wychył za nas szklaneczkę -

tylko jedną szklaneczkę, bo Arno nigdy nie pił wina i na przyjęciach prosił mnie, żebym piła za niego - kiedy wrócisz bezpiecznie do domu i połączysz z najbliższymi. Jak mawiał

od wieków nasz lud: żeby nadszedł czas, kiedy wszyscy podzielą się swymi opowieściami i

wszystko stanie się

jasne, i żebyśmy radowali się z ciekawych i pięknych gawęd wtedy opowiedzianych. Jakże niezgrabna jest ta uwaga dla czytającego ją młodego poety!

Złożył list, wsunął go do koperty, wyciągnął dokumenty prawnicze i przejrzał je pobieżnie. Był zabezpieczony

finansowo; do jego obowiązków należeć będzie uporządkowanie dokumentów Waltiriego i zajęcie się ich

opublikowaniem oraz nadzór nad aktualnie publikowanymi pracami; jeśli chce, może mieszkać w domu Waltiriego.

Usiadł i objął przykryte kocem nogi siilnymi, opalonymi na brąz ramionami, a listy zsunęły mu się z piersi.

Najbardziej ze wszystkiego pragnąłby teraz porozmawiać z Goldą, poprosić ją o pomoc w udobruchaniu rodziców,

może o uspokojenie umysłów ich wszystkich.

Czy Goldzie przysłoby coś z tego, gdyby wiedziała tyle, ile wiedział Michael - kim był Waltiri i że nie umarł.

Przynajmniej nie w ludzkim tego słowa znaczeniu.

A co z ludźmi z Królestwa? Z Heleną i z innymi! Adonna Tonn - powiedział, że po usunięciu Clarkhama nikomu nie stanie się krzywda. Michael nie mógł w to po prostu uwierzyć, ale nie mógł też nic zrobić. Nie tutaj, nie teraz.

Poszedł do łazienki, żeby obmyć sobie twarz. Z umywalki z gorącą wodą unosiła się para kłębiąc się wokół jego twarzy. Oddychał głęboko wciągając parę w płuca, by oczyścić się ze smutku i stresu. Spojrzał poprzez parę w

lustro.

Położenie - ką - nie był idealnie prosty. Znajomy, ale... Michael był widoczny w trzech czwartych. To co sobie uświadomił, było jak pociągnięcie ostrą żyłką po szkło. Patrzył na pierwszą twarz z Hebal Mish, na pierwszy wizerunek wyrzeźbiony z obłoków śniegu. Zmienił się tak bardzo, że nie poznał sam siebie.

Z początku ogarnęło go przerażenie:.. Postać chwilę w korytarzu przed łazienką, potem wszedł do swego pokoju i otworzył na oścież okno, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

To się nie skończyło. To się nigdy nie skończy; i był w to teraz zaangażowany bardziej niż kiedykolwiek.

W głębi nocy zaczął śpiewać ptak..

GREG(ORY DALE) BEAR

urodził się 20 sierpnia 1951 roku w San Diego (Kalifornia, USA). Z wykształcenia anglista, absolwent San Diego State University, podejmował się różnych zajęć (wykładowca kierownik planetarium, księgarz), by w roku 1975

poświęcić się całkowicie pisaniu. Zadebiutował opowiadaniem „Destroyers” zamieszczonym w roku 1967 na łamach Famous Science Fiction. Pierwsze dwie powieści, Hegira i Psychoneopublikował w roku 1979; od tamtej pory wydał

ich kilkanaście, między innymi:

Beyond Haeven's River (1980),

Strength of Stones (1981),

Koncert nieskończoności (1984) i The Serpent Mage. (1986),

kolejnej dylogii Eon (1985) i Eternity (1988),

Blood Music (1985) oraz The Forge of God (1987).

Ponadto ukazały się dwa zbiory jego opowiadań The Wind from a Burning Woman (1983) i Tangents (1989).

Tytułowe opowiadanie z tego ostatniego zbioru otrzymało nagrody Hugo i Nebula w roku 1987, natomiast w roku

podobnie uhonorowano opowiadanie „Blood Music”.

W życiu prywatnym Greg Bear jest mężem Astrid Anderson, córki Poula i Karen Andersonów oraz ojcem dwojga

dzieci.